

Najnowsza powieść autora bestsellerowego
Bielszego odcienia śmierci.
Thriller, który chwyta za gardło
i ani na chwilę nie puszcza.

BERNARD MINIER

KRABĄG



BERNARD MINIER



Przełożyła
Monika Szewc-Osiecka



Dom Wydawniczy REBIS

Cywilizowane jednostki, ukrywające się za kulturą, sztuką, polityką (...), a nawet za sprawiedliwością – to ich należy się obawiać. Noszą doskonałe przebranie. Ale to właśnie ci ludzie są najbardziej okrutni. Są najniebezpieczniejsi na świecie.

Michael Connelly, *Ostatni kojot*

Przekład M. Szewc-Osiecka

PROLOG

W GROBIE

Jej umysł był jednym wielkim krzykiem.

Skarga.

Wewnątrz swojej głowy wyła z rozpacz, wykrzykując wściekłość, cierpienie, samotność – wszystko to, co miesiąc po miesiącu odzierało ją z człowieczeństwa.

A także błagając.

Litości, litości, litości, litości... Błagam, pozwólcie mi stąd wyjść!

Krzyczała, błagała i szlochała. Ale tylko w głowie: w rzeczywistości z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Pewnego pięknego ranka obudziła się prawie niema. Niema – kobieta, która zawsze tak chętnie mówiła, a słowa przychodziły jej z tak wielką łatwością. Słowa i śmiech...

W pomieszczeniu panowała ciemność. Kobieta zmieniła pozycję, by ulżyć napiętym mięśniom. Siedziała na gołym klepisku, oparta o kamienną ścianę. Czasem się kładła. Albo przenosiła się na cuchnący materac w kącie pomieszczenia. Przez większość czasu spała, leżąc z podkulonymi nogami. Kiedy wstawała, rozciągała się albo chodziła – cztery kroki w tę, cztery z powrotem: jej więzienie miało nie więcej niż dwa na dwa metry. Panowało w nim przyjemne ciepło. Od dawna się domyślała, że za drzwiami jest kotłownia – nie tylko z powodu ciepła, ale także ze względu na dochodzące stamtąd odgłosy: szuranie, syczenie, stukot. Nie miała na sobie żadnych ubrań. Była naga jak małe zwierzę. Tak było od wielu miesięcy, a może lat. Załatwiała się do wiadra. Dwa razy dziennie dostawała jedzenie, chyba że mężczyzny nie było. Spędzała wtedy kilka dni sama, bez jedzenia i picia, umierając z głodu, pragnienia i strachu. W drzwiach były dwa otwory: przez pierwszy, na dole, podawał jej posiłki; przez drugi ją obserwował. Choć judasze były zamknięte, przenikały przez nie dwa promienie światła, które przecinały ciemności jej więzienia. Oczy kobiety już dawno przywykły do półmroku; na podłodze i ścianach widziała szczegóły, których nie dostrzegłby nikt inny.

Na początku badała loch, nasłuchiwała najdrobniejszych szmerów. Szukała sposobu ucieczki, jakiejś luki w jego systemie zabezpieczeń,

najdrobniejszej oznaki nieuwagi w zachowaniu mężczyzny. W końcu przestała się tym zajmować. Nie było luki, nie było nadziei. Nie pamiętała już, ile tygodni, ile miesięcy upłynęło od jej porwania. Od poprzedniego życia. Mniej więcej raz w tygodniu – może częściej, a może rzadziej – kazał jej przełożyć rękę przez otwór i robił jej dożylny zastrzyk. Było to bolesne, ponieważ mężczyzna był niezręczny, a substancja gęsta. Kobieta niemal natychmiast traciła świadomość. Budziła się w jadalni na górze, w masywnym fotelu o wysokim oparciu, z nogami i tułowiem przywiązanymi do siedzenia. Wykąpana, wyperfumowana i ubrana. Nawet jej włosy ładnie pachniały szamponem, a obłożone zazwyczaj wewnątrz ust i cuchnący oddech wypełniał zapach pasty do zębów i mentolu. W kominku trzaskały jasne płomyki, na lśniącym jak jezioro ciemnym blacie drewnianego stołu płonęły świece, a z talerzy unosiła się smakowita woń. Z wieży stereo zawsze dochodziła muzyka poważna. Ilekroć usłyszała muzykę, ujrzała blask świec, poczuła na skórze dotyk czystej odzieży, jak zwierzę pod wpływem odruchu warunkowego dosłownie zaczynała się ślinić. Trzeba dodać, że przed uspieniem jej i wyniesieniem z lochu mężczyzna zawsze fundował jej dwudziestoczęterogodzinny post.

Po bólu brzucha poznawała, że podczas snu wykorzystywał ją seksualnie. Z początku myśl ta napełniała ją przerażeniem i obudziwszy się znowu w swoim lochu, pierwsze prawdziwe posiłki wymiotowała do wiadra. Teraz już jej to nie wzruszało. Zdarzało się, że mężczyzna milczał, innym razem mówił bez końca, ale rzadko go słuchała: jej mózg odwykł od podążania za rozmową. Słowa „muzyka”, „symfonia”, „orkiestra” powracały jednak jak leitmotiv w jego wypowiedziach. Powtarzało się też pewne nazwisko: Mahler.

Jak długo była tak zamknięta? W jej grobie nie było dnia ani nocy. Bo to był grób. W głębi serca kobieta zrozumiała, że nigdy nie wyjdzie z niego żywa. Już dawno opuściła ją wszelka nadzieja.

Przypominała sobie cudowny, zwyczajny czas, gdy była wolna. Kiedy po raz ostatni się śmiała, gościła u siebie przyjaciół, widziała rodziców. Zapach grilla latem, wieczorne światło między gałęziami drzew w ogrodzie, oczy syna w blasku zachodzącego słońca. Twarze, śmiech, zabawy... Oczyma duszy widziała siebie uprawiającą seks z mężczyznami, szczególnie z jednym... Życie, które uważała za banalne, a które w rzeczywistości było cudem. Wzbierał w niej wielki żal, że nie smakowała go pełniej. Zdawała sobie sprawę, że nawet chwile smutku lub cierpienia były niczym w porównaniu z obecnym piekłem, z tym niebytem pogrzebanym w nieistniejącym miejscu. Poza światem. Domyślała się, że zaledwie kilkumetrowa warstwa kamienia, betonu i ziemi dzieli ją od prawdziwego

życia; ale setki drzwi, krat i kilometry korytarzy nie oddzielałyby jej bardziej skutecznie.

Pewnego dnia jednak życie i świat znalazły się tuż-tuż. Z niewiadomych przyczyn mężczyzna był zmuszony pilnie przewieźć ją w inne miejsce. Ubrał ją w pośpiechu, nadgarstki spiął na plecach plastikowymi kajdankami, na głowę włożył płócienną torbę. Następnie kazał jej wejść po schodach na górę i znalazła się na świeżym powietrzu. Świeże powietrze... Szok był tak wielki, że omal nie postradała zmysłów.

Kiedy na nagich rękach poczuła dotyk promieni słonecznych, przez materiał torby odgadła jego światło, wciągnęła w płuca zapach wilgotnej jeszcze ziemi i pól, woń ukwieconych łąk, usłyszała świergot ptaków o wschodzie słońca, o mało nie zemdląła. Płakała tak bardzo, że łzy i ciekące z nosa smarki przemoczyły torbę na jej głowie.

Potem położył ją na metalowej podłodze i przez warstwę płótna wdychała zapach spalin i benzyny. Choć nie była w stanie krzyczeć, na wszelki wypadek wepchnął jej do ust watę i zakleił usta plastrem. Aby nie kopała w ściankę, przywiązał jej nadgarstki do kostek. Poczuła wibracje silnika. Ciężarówka telepała się na nierównościach podłoża, a następnie wjechała na asfalt. Gdy nagle przyśpieszył, a kobieta usłyszała odgłos wyprzedzających ich wielu samochodów, zrozumiała, że są na autostradzie.

Najgorzej było na bramce. Słyszała wokół siebie głosy, muzykę, warkot silników. Tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Za ścianką. Dziesiątki ludzkich istnień. Kobiety, mężczyźni, dzieci. Zaledwie kilka metrów od niej! Słyszała ich! Zwaliała się na nią lawina emocji. Śmiali się, rozmawiali, przychodzili i odchodzili, żywi i wolni. Nie mieli pojęcia o jej istnieniu, choć była tuż obok, o jej powolnym konaniu, o jej niewolniczej egzystencji. Potrząsała głową, aż uderzyła w metalową ściankę i z jej nosa na brudną podłogę pociekła krew.

A potem usłyszała, jak jej kat mówi „dziękuję” i ciężarówka ruszyła. Miała ochotę wyć.

W dzień przeprowadzki była piękna pogoda. Kobieta była prawie pewna, że to pora kwitnienia roślin. Wiosna... Ile jeszcze będzie pór roku? Zanim się nią zmęczy, zanim ogarnie ją obłęd, zanim mężczyzna ją wreszcie zabije. Nagle poczuła pewność, że jej przyjaciele, bliscy, policja uznali ją już za martwą. Tylko jedna istota na świecie widziała, że jeszcze żyje: a była to istota diabelska, wąż, inkub. Nigdy już nie ujrzy światła dnia.

PIĄTEK

LALKI

*To było w cieniu ogrodu,
Zimny cień przyczajonego zabójcy,
Cień w cieniu na trawie,
Zieleń trawy ginąca w purpurowej posoce wieczoru.
Wśród drzew krtań słowika
Pobity Marsjasz i Apollo.
W głębi ptaszarnia z gniazdami
I kulkami jemioty
Tworzą wiejski wystrój...*

Oliver Winshaw przerwał pisanie. Zamrugął powiekami. Coś na obrzeżach jego pola widzenia przyciągnęło – a raczej rozproszyło – jego uwagę. Za oknem. Jakiś blask na zewnątrz. Jak błysk aparatu fotograficznego.

Nad Marsac rozszalała się burza.

Tego wieczoru, podobnie jak we wszystkie inne wieczory, siedział przy swoim biurku. Pisał. Wiersz. Jego gabinet znajdował się na piętrze domu, który kupili z żoną na południowym zachodzie Francji. Pokój obity dębową boazerią. Ściany niemal całkowicie zajmowały książki – głównie dziewiętnasto- i dwudziestowieczna poezja angielska i amerykańska: Coleridge, Tennyson, Robert Burns, Swinburne, Dylan Thomas, Larkin, E.E. Cummings, Pound...

Wiedział, że nigdy nie dorośnie do pięt swoim domowym bóstwom, ale niewiele go to obchodziło.

Nigdy nikomu nie czytał własnej poezji. Dochodził do zimy życia, nawet jesień miał już za sobą. Niedługo rozpali w ogrodzie wielkie ognisko i wrzuci do niego sto pięćdziesiąt zeszytów w czarnych okładkach. Łącznie ponad dwadzieścia tysięcy wierszy. Jeden dziennie przez pięćdziesiąt

siedem lat. To prawdopodobnie najlepiej strzeżona tajemnica w całym jego życiu. Nawet jego druga żona nie miała prawa ich czytać.

Po wszystkich tych latach wciąż się zastanawiał, skąd czerpał natchnienie. Spoglądając wstecz, widział, że jego życie to długi ciąg następujących po sobie dni, z których każdy kończył się wierszem pisanym wieczorem w zaciszu gabinetu. Wszystkie były datowane. Mógł odnaleźć wiersz napisany w dniu narodzin syna, ten, który napisał w dniu śmierci swojej pierwszej żony czy wtedy, gdy wyjechał z Anglii, by osiedlić się we Francji. Nie kładł się spać, dopóki nie skończył – a czasem była to pierwsza albo druga w nocy – nawet w okresie, kiedy pracował. Nigdy nie potrzebował wiele snu, nie wykonywał też pracy fizycznej, był wykładowcą angielskiego na uniwersytecie w Marsac.

Oliver Winshaw dobiegał dziewięćdziesiątki.

Był spokojnym, powszechnie znanym starszym panem. Kiedy wprowadził się do tej należącej do uniwersytetu niewielkiej, malowniczej willi, szybko nazwano go „Anglikiem”. Było to, jeszcze zanim jego rodacy jak chmara szarańczy rzucili się na wszystkie stare kamienne budowle tego regionu, które tylko nadawały się do odrestaurowania, co sprawiło, że jego przezwisko uległo swoistemu rozrzedzeniu. Teraz był już tylko jednym spośród setek Anglików w tym departamencie. Ale wraz z nastaniem kryzysu gospodarczego Anglicy jedni po drugich wyjeżdżali w bardziej atrakcyjne finansowo okolice – Chorwacja, Andaluzja – i Oliver się zastanawiał, czy pożyje jeszcze na tyle długo, by na powrót stać się jedynym Anglikiem w Marsac.

Po tafli basenu pełnego nenufarów

Przesuwa się cień bez twarzy,

Posepny, szczupły, zwięziony profil,

Jak starannie oszlifowane ostrze noża.

Znowu się zatrzymał.

Wydawało mu się, że przez regularny szum deszczu i nieustające echo piorunów przewalające się z jednej strony nieba na drugą dochodzą do niego dźwięki muzyki. Z pewnością nie mogła to być Christine, która od dawna spała. Tak, dźwięk pochodził z zewnątrz: muzyka poważna.

Oliver skrzywił się z dezaprobatą. Sprzęt musiał być podkreślony na cały regulator, skoro mężczyzna słyszał muzykę w gabinecie pomimo

burzy i zamkniętego okna. Próbował się skupić na wierszu, ale nic z tego: co za diabelskie dźwięki!

Poirytowany, znowu podniósł oczy i spojrzął w stronę okna. Światło błyskawic przeświecało przez żaluzje. Między ich listewkami dostrzegał lejący strugami deszcz. Wydawało się, jakby cała wściekłość burzy skupiła się na tym małym mieście, zamykając je w płynnym kokonie i odcinając od reszty świata.

Odsunął krzesło i wstał.

Podszedł do okna i rozchylił listewki żaluzji, by wyrzec na ulicę. Woda przelewała się z głównego ścieku na chodnik. Nocne niebo ponad dachami znaczyły cienkie linie błyskawic, które wyglądały jak wykresy świetlistych sejsmografów.

W domu naprzeciwko wszystkie okna były rozświetlone. Może trwała jakaś impreza? Rzeczony dom, willę z przylegającym do niej ogrodem, oddzieloną od ulicy wysokim murem, zajmowała samotna kobieta. Wykładała na najbardziej prestiżowych kursach przygotowawczych* w tym regionie przy liceum w Marsac. Piękna kobieta. Szczupła brunetka o wspaniałej sylwetce – trzydziestka w pełnym rozkwicie. Podobałaby się Oliverowi, gdyby był o czterdzieści lat młodszy. Zdarzało mu się podglądać ją dyskretnie, kiedy latem opalała się na leżaku, ukryta przed ludzkim wzrokiem; on był wyjątkiem, jako że jej ogród znajdował się dokładnie pod oknem jego gabinetu, za murem po przeciwnej stronie uliczki. Coś było nie tak. W oknach wszystkich czterech kondygnacji paliło się światło. Główne drzwi wychodzące na ulicę były otwarte na oścież, blask niewielkiej latarni wydobywał z ciemności lśniący od deszczu próg.

Za taflami okien Oliver nikogo jednak nie widział.

Znajdujące się na bocznej ścianie domu szklane drzwi, prowadzące z największego pokoju na ogród, były szeroko otwarte. Ich skrzydło trzaskało raz po raz jak drzwi saloonu – deszcz padał pod takim kątem, że woda na pewno wlewała się do domu. Oliver widział, jak strumienie wody odbijają się od posadzki tarasu, jak zginają żdźbła traw na trawniku.

Z pewnością to stamtąd dochodziła muzyka. Poczul przyspieszające tętno. Jego spojrzenie powoli przesunęło się w kierunku basenu.

* We Francji studia wyższe poprzedza dwuletni cykl przygotowawczy, po którym zdaje się egzamin na uczelnię, gdzie studiuje się przez kolejne trzy lata. Kursy przygotowawcze organizowane są przez licea i uczelnie (wszystkie przypisy tłumaczki).

Wymiary jedenaście na siedem metrów. Wokół płytki w kolorze piasku. Trampolina.

Odczuwał swoiste mroczne podniecenie: takie, które dopada człowieka, kiedy coś niezwykłego zakłóci jego codzienną rutynę, a tym, zważywszy na wiek, była obecnie egzystencja Olivera. Przeczesał wzrokiem ogród wokół basenu. W głębi zaczynał się las Marsac, 2700 hektarów drzew i ścieżek. Od tej strony nie było muru ani nawet siatki, jedynie zwarta ściana żywopłotu. Po przeciwnej stronie basenu, na prawo, znajdował się *pool house*, niewielka, stała konstrukcja, wzniesiona później niż pozostałe zabudowania.

Skierował uwagę na basen. Powierzchnia wody, smagana strumieniami ulewy, lekko falowała. Oliver zmrużył powieki. Z początku nie wiedział, co właściwie widzi. A potem zrozumiał, że na wodzie kołysze się kilkanaście lalek. Tak, to były lalki... I choć wiedział, że to tylko lalki, poczuł, jak jego ciało przebiega niewytłumaczalny dreszcz. Pływały jedne przy drugich, ubrane w jasne sukienki falujące na powierzchni wody, którą jak uderzenia igieł nakłuwały niezliczone krople deszczu. Sąsiadka z naprzeciwka raz zaprosiła Olivera i jego żonę na kawę. Francuska żona Winshawa, zanim przeszła na emeryturę, była psychologiem i miała własną teorię na temat takiej obfitości lalek w domu samotnej kobiety po trzydziestce. Po powrocie wytłumaczyła mężowi, że ich sąsiadka to prawdopodobnie typ „kobiety-dziecka”, a Oliver zapytał ją, co przez to rozumie. Zasypała go wtedy sformułowaniami typu „niedojrzała”, „uchylająca się od odpowiedzialności”, „troszcząca się wyłącznie o własne przyjemności”, „mająca za sobą traumę uczuciową” i Oliver się wycofał: zawsze wolał poetów od psychologów. Ale za cholere nie rozumiał, co te lalki robią w basenie.

Powiniennem zadzwonić po żandarmerię, pomyślał. Ale co im powiem? Że w basenie pływają lalki? Jego uwagę przykuła inna myśl. To nie jest normalne... Cały dom oświetlony, nie widać żywego ducha, a do tego te lalki... Gdzie się podziała właścicielka domu?

Oliver Winshaw przekręcił klamkę i otworzył okno. Do pokoju natychmiast wdarła się fala wilgoci. Deszcz smagał go po twarzy. Mężczyzna zmrużył oczy, wpatrując się w dziwaczne zgromadzenie utworzone przez plastikowe buzie o nieruchomym spojrzeniu.

Teraz doskonale odróżniał dźwięki muzyki. Już ją słyszał, choć nie był to jego ulubiony Mozart.

Do licha, co znaczy ten cały cyrk?

Ciemne niebo przeszył błysk, zaraz po nim nastąpił ogłuszający grzmot. Od huku zatrzęsły się szyby. W blasku, jak w nagłym świetle reflektora, zobaczył jakąś postać. Siedziała na brzegu basenu z nogawkami zanurzonymi w wodzie. Początkowo jej nie zauważył, gdyż zasłaniał ją cień wielkiego drzewa rosnącego w środku ogrodu. Młody człowiek... Pochylony, wpatrywał się w falującą plamę lalek. Choć Oliver znajdował się w odległości piętnastu metrów od niego, dostrzegł jego zagubione, przerażone spojrzenie i otwarte usta.

Klatka piersiowa Olivera Winshawa była jednym wielkim wzmocniaczem; jego serce waliło jak wściekły perkusista. Co się tu dzieje? Rzucił się do telefonu i chwycił za słuchawkę.

RAYMOND

– Anelka to muł – stwierdził Pujol.

Vincent Espérandieu spojrział na kolegę, zastanawiając się, czy podstawą tego osądu jest mizerna gra napastnika, czy też jego korzenie oraz fakt, że pochodzi z małego miasta w regionie paryskim. Pujol bardzo nie lubił takich miast, a szczególnie ich mieszkańców.

Espérandieu musiał jednak przyznać, że tym razem Pujol ma rację: Anelka jest do niczego. Zero. Beznadzieja. Jak zresztą cała reszta drużyny. Ten pierwszy mecz to masakra. Tylko Martin wyglądał, jakby miał to gdzieś. Espérandieu spojrział w jego stronę i się uśmiechnął: był pewien, że jego szef nie zna nawet nazwiska selekcjonera, którego od wielu miesięcy przeklinała i wyzywała cała Francja.

– Domenech to pieprzona łamaga – powiedział Pujol, jakby jego mózg przechwycił myśl Vincenta. – W 2006 doszliśmy do finału tylko dlatego, że stery przejął Zidane i inni.

Ponieważ nikt nie zaprzeczył, policjant zanurzył się w tłumie, by przynieść kolejne piwa. Bar pękał w szwach. Był 11 czerwca 2010 roku, otwarcie i pierwsze mecze Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej, odbywających się w RPA. Właśnie trwała transmisja jednego ze spotkań: Urugwaj-Francja, do przerwy 0:0. Vincent znowu spojrział na szefa, który siedział ze wzrokiem wlepionym w ekran. Pustka. Tak naprawdę komendant Martin Servaz tylko udawał, że ogląda mecz. Jego zastępca o tym wiedział.

Servaz nie tylko nie oglądał meczu, ale także zastanawiał się, co w ogóle robi w tym miejscu.

Chciał sprawić przyjemność kolegom ze swojej brygady śledczej i postanowił im towarzyszyć. Od tygodni mundial był tematem numer jeden niemal wszystkich rozmów w Wydziale Spraw Kryminalnych. Forma zawodników, beznadziejne mecze towarzyskie, a wśród nich upokarzająca porażka w spotkaniu z Chinami, decyzje selekcjonera, zbyt drogi hotel: Servaz zaczął się zastanawiać, czy wybuch trzeciej wojny światowej byłby w stanie bardziej ich poruszyć. Chyba nie. Miał nadzieję, że podobnie

zachowają się przestępcy i że statystyki kryminalne spadną same z siebie, bez potrzeby niczyjej interwencji.

Chwycił kufel zimnego piwa, który właśnie postawił przed nim Pujol, i uniósł go do ust. Na ekranie wznowiono grę. Niebieskie ludziki miały się po boisku, wysilając się równie daremnie jak poprzednio: biegały z jednej strony na drugą, w czym Servaz nie był w stanie dostrzec za grosz logiki. Co do napastników, to choć nie był specjalistą, wydawało mu się, że są wybitnie niezdarni. Przeczytał gdzieś, że transport i zakwaterowanie tej drużyny będą kosztować Francuski Związek Piłki Nożnej ponad milion euro; pomyślał, że warto byłoby się dowiedzieć, skąd ta organizacja czerpie dochody oraz czy on sam nie będzie musiał za to zapłacić. A jednak najwyraźniej ta kwestia mniej zajmowała jego sąsiadów niż chroniczny brak wyników, choć przecież byli skrupulatnymi podatnikami. Mimo wszystko Servaz próbował się skupić na tym, co działo się na ekranie. Z odbiornika bez przerwy dochodziło jednak nieprzyjemne buczenie, jak brzęczenie olbrzymiego pszczelego roju. Wytłumaczono mu, że ten dźwięk wydają tysiące trąbek należących do południowoafrykańskich kibiców obecnych na stadionie. Zastanawiał się, jak oni mogą wytwarzać, a przede wszystkim wytrzymać taki jazgot: nawet tutaj, choć dźwięk łagodziły mikrofony i inne techniczne filtry, był on wyjątkowo irytujący.

Nagle światła w barze zamrugały i ze wszystkich stron rozległy się okrzyki niezadowolenia, kiedy obraz na ekranie zniknął, by po chwili znowu się pojawić. Burza... Krażyła nad Tulużą jak stado kruków. Servaz uśmiechnął się pod nosem, gdy wyobraził sobie wszystkich tych ludzi pograżonych w ciemnościach i pozbawionych możliwości oglądania meczu.

Nie zorientował się nawet, kiedy jego rozproszone myśli zaczęły krażyć wokół znanego, ale niebezpiecznego tematu. To już osiemnaście miesięcy, odkąd Julian Hirtmann nie daje znaku życia. W ciągu tych osiemnastu miesięcy nie było dnia, by policjant o nim nie pomyślał. Szwajcar uciekł z Instytutu Wargniera zimą 2008 roku, zaledwie kilka dni po tym, jak Servaz widział się z nim w jego celi. Podczas tego spotkania ku swojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdził, że z byłym genewskim prokuratorem łączy go wspólna pasja: muzyka Maniera. Potem Hirtmann uciekł, a Servaza porwała lawina.

Osiemnaście miesięcy, pomyślał. Pięćset czterdzieści dni i tyle samo nocy, w trakcie których nieskończenie wiele razy śnił ten sam koszmar. Lawina... Był pogrzebany w śnieżno-lodowej trumnie; zaczynało mu brakować powietrza, a zimno coraz bardziej paraliżowało jego kończyny.

Wreszcie sonda trafiła na niego i ktoś zaczął wściekle odgarniać śnieg. Oślepiające światło na twarzy, haust świeżego powietrza, które wdychał łapczywie otwartymi ustami, i twarz, która pojawiła się nad otworem. Twarz Hirtmanna... Szwajcar zanosił się śmiechem, mówił: „Adieu, Martin” – i zasypywał dziurę...

Pominąwszy kilka wariantów, sen zawsze kończył się mniej więcej w ten sam sposób.

Choć Servaz w rzeczywistości przeżył lawinę, w swoich koszmarach umierał. W pewien sposób owej nocy tam, na górze, jakaś jego część faktycznie umarła.

Co w tamtym czasie robił Hirtmann? Gdzie był? Servaz poczuł dreszcz, jeszcze raz oczyma duszy widząc niewyobrażalny majestat zaśnieżonego krajobrazu. Przypomniwał sobie szczyty o zawrotnej wysokości, strzegące zagubionej doliny, budynek o grubych murach, szcęk zamków rozlegający się w opustoszałych korytarzach... I wreszcie drzwi, zza których dochodziła dobrze znana muzyka Gustava Mahlera, ulubionego kompozytora Servaza, ale także Hirtmanna.

– Rychło w czas – powiedział siedzący obok niego Pujol.

Servaz w roztargnieniu rzucił okiem na ekran. Jakiś gracz opuszczał boisko, na jego miejsce wchodził inny. Servaz zrozumiał, że chodzi o wspomnianego Anelkę. Spojrzał w lewy górny róg ekranu: siedemdziesiąta pierwsza minuta i ciągle 0:0. To pewnie z tego powodu atmosfera w barze była napięta. Jakiś spocony, zwalisty typ z rudą brodą, ze sto trzydzieści kilogramów żywej wagi, poklepał go po ramieniu, jakby byli dobrymi znajomymi, po czym chuchnął w twarz wysokoprocentowym powietrzem:

– Gdybym był trenerem, spralbym tym pierdołom tyłki, żeby się trochę ruszyli. Cholera, nawet na mistrzostwa świata nie mają energii.

Servaz zastanawiał się, czy jego sąsiad sam dużo się rusza – poza tym, że przywłókł się tutaj i że chodzi po sześciopaki piwa do delikatesów na rogu.

Policjant pytał samego siebie, dlaczego nie lubi sportu w telewizji. Czyżby z tego powodu, że jego była żona Alexandra w przeciwieństwie do niego nie przepuszczała żadnego meczu swojej ulubionej drużyny? Przez siedem lat tworzyli związek, o którym Servaz zawsze, od samego początku myślał, że długo nie przetrwa. A mimo to pobrali się i wytrzymali ze sobą aż siedem lat. Wciąż nie potrafił zrozumieć, dlaczego potrzebowali tak dużo czasu, by uświadomić sobie oczywistą rzecz: pasowali do siebie jak

talib do libertynki. Co z tego zostało poza osiemnastoletnią córką? Servaz był jednak dumny ze swojej Margot. O tak, bardzo dumny. Choć wciąż nie przywykł do jej wyglądu, do jej piercingu i fryzur, dziewczyna szła w jego, Martina, ślady – a nie w ślady matki. Tak jak on lubiła czytać i tak jak on zapisała się na najbardziej prestiżowe kursy przygotowawcze z literatury w regionie, Marsac. Przyjeżdżali tu najlepsi studenci mieszkający w promieniu setek kilometrów, niektórzy nawet z Montpellier czy Bordeaux.

Po głębszym namyśle musiał przyznać, że w wieku czterdziestu jeden lat jego życiowe zainteresowania ograniczają się zaledwie do dwóch zagadnień: praca i córka. No i książki. Ale książki to co innego – to nie jedno z zagadnień, ale całe jego życie.

Czy to wystarczy? A wokół czego koncentruje się życie innych? Spojrzał na dno kufła po piwie, w którym zostały już tylko ślady piany, i uznał, że już dość wypił tego wieczoru. Poczul nagle parcie na pęcherz i ruszył przez tłum ku drzwiom toalety. W środku było obrzydliwie brudno. Plecami do niego załatwiał się łysy facet, Servaz słyszał dźwięk moczu uderzającego o emaliowane wnętrze pisuaru.

– Co za banda połamańców – powiedział mężczyzna, gdy gliniarz rozpiął spodnie i stanął obok niego. – Wstyd patrzeć na coś takiego.

Zapiął rozporek i wyszedł, nie zadając sobie trudu, by umyć ręce. Servaz długo mydlił i płukał swoje, wysuszył je pod suszarką, a potem, wychodząc, zanim złapał za klamkę, której przed chwilą dotykał mężczyzna, naciągnął rękaw na prawą dłoń.

Krótki rzut oka na ekran i już wiedział, że nic się nie zmieniło, choć spotkanie dobiegało końca. Widownia była jak wulkan kipiący z frustracji. Servaz pomyślał, że jeśli nic się nie zmieni, dojdzie do rozruchów, i wrócił na miejsce.

Jego sąsiedzi wydawali z siebie okrzyki w stylu: „Iiidź!”, „Podaj piłkę, oż kurwa, no podaj ją!” „Na prawą stronę! Na prawo!” – znak, że coś się dzieje – gdy poczul w kieszeni znajome wibracje. Sięgnął do spodni i wyciągnął telefon – nie smartfona, ale starą dobrą nokię. Ekran był podświetlony – znak, że i tutaj coś się dzieje. Odczytał wiadomość – trzy ósemki: aparat zdążył już przekierować rozmowę na automatyczną sekretarkę.

Servaz wystukał numer.

Zastygł.

Ten głos w słuchawce... Wystarczyło mu pół sekundy, by go rozpoznać. Czasoprzestrzeń się skurczyła, jakby do pokonania dwudziestu lat, które upłynęły od czasu, gdy słyszał go po raz ostatni, wystarczyły dwa uderzenia serca. Nawet teraz, po tak długim czasie, na dźwięk znajomego głosu poczuł mrowienie w żołądku.

Miał wrażenie, jakby sala zaczęła wirować. Okrzyki, słowa zachęty, jazgot wuwuzeli odplynęły, ginąc we mgle. Teraźniejszość skurczyła się do mikroskopijnych rozmiarów. Głos mówił:

„Martin? To ja, Marianne. Oddzwoń, proszę. To bardzo ważne. Błagam, zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość...”

Głos z przeszłości, ale także głos, w którym brzmiało przerażenie.

Samira Cheung rzuciła skórzaną kurtkę na łóżko i spojrzała na potężnego mężczyznę, który palił oparty o poduszki.

– Musisz się zwijać. Idę do pracy.

Facet, który siedział na jej łóżku, był od niej o ładnych trzydzieści lat starszy, miał ewidentną nadwagę i siwe włosy na klatce piersiowej, ale Samira miała to gdzieś. Tym razem było fajnie i tylko to się dla niej liczyło. Ona także nie była miss piękności. Od czasu liceum wiedziała, że większość mężczyzn uważa ją za brzydką – a raczej, że ma brzydką twarz, podczas gdy reszta jej ciała jest wyjątkowo atrakcyjna. W dziwnym poczuciu ambiwalencji, jakie w nich budziła, szala wagi przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę. Samira Cheung radziła sobie, sypiając z jak największą liczbą mężczyzn; dawno już zauważyła, że największe ciacha niekoniecznie są najlepszymi kochankami, a ona szukała świetnych kochanków – nie czarujących królewiczów.

Wielkie łóżko skrzypnęło, gdy jej brzuchaty amant wygrzebał nogi spod kołdry i pochylił się, by sięgnąć po ubrania poskładane na krześle, niedaleko stojącego lustra, które odbijało część poddasza. Pozostałą część pomieszczenia zajmowały pajęczyny, kurz, wiszący na jednej z belek barokowy żyrandol, w którym nie działała połowa żarówek, dywaniki z trzciny, wygrzebane na targu staroci hiszpańskie meble: komoda i szafa. Samira włożyła majtki i T-shirt, po czym ulotniła się przez dziurę w podłodze.

– Wódka? Kawa?! – zawołała z dołu.

Weszła do malutkiej, pomalowanej na czerwono kuchni i włączyła ekspres na kapsułki. Pomieszczenie wielkością przypominało kambuz na

statku. Nad głową Samiry paliła się goła żarówka. Reszta wielkiego domu tonęła w ciemnościach. Nic dziwnego; Samira nabyła tę leżącą dwadzieścia kilometrów od Tuluzy ruinę w poprzednim roku i odnawiała ją stopniowo, wybierając sobie okazjonalnych kochanków spośród przedstawicieli stosownych profesji – elektryków, hydraulików, murarzy, dekarzy – i na razie zajmowała zaledwie jedną piątą powierzchni mieszkalnej. Wszystkie pomieszczenia na parterze i połowie piętra były puste, podłogi oklejone folią, przy ścianach rusztowania, a na nich ociekające farbą wiadra i pędzle, ona tymczasem przysposobiła sobie pokój na strychu.

Na czerwonej ścianie wymalowała za pomocą szablonu złoty napis: „Teren budowy, obcym wstęp wzbroniony”. Przez T-shirt, na którym widniała życiowa dewiza Samiry I LOVE ME, prześwitywały małe piersi. Mężczyzna ciężkim krokiem zszedł po stopniach drabiny ustawionej pionowo jak na statku. Wręczyła mu filiżankę parującego espresso i wgryzła się w napoczęte jabłko, które zaczynało brązowieć na kuchennym blacie. Po czym zniknęła w łazience. Pięć minut później przeszła do tymczasowej garderoby: wszystkie jej ubrania wisiały w cienkich pokrowcach na długich metalowych stelażach, majtki i podkoszulki poukładane były w szufladach plastikowej garderoby, a kilkadziesiąt par butów podpierało ściany.

Włożyła dzinsy z dziurami na kolanach, botki na płaskim obcasie i czysty T-shirt, a do tego nabity ćwiekami skórzany pas. Przypięła kaburę ze służbową bronią i narzuciła na siebie wojskową parkę od deszczu.

– Jesteś tam jeszcze? – rzuciła w drodze do kuchni.

Wielki pięćdziesięciolatek starł z ust resztki dżemu. Przyciągnął ją do siebie, pulchnymi dłońmi chwycił dziewczynę za pośladki. Stała tak przez chwilę, po czym wyswobodziła się z uścisku.

– Kiedy się zajmiesz moim prysznicem?

– W ten weekend nie dam rady. Żona wraca od swojej siostry.

– Znajdź jakiś dzień w tygodniu.

– Mam wypełniony grafik – zaprotestował.

– Nie ma roboty, nie ma pieprzenia – oświadczyła.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– To może w środę po południu. Muszę zobaczyć.

– Klucze będą tam gdzie zwykle.

Zamierzała jeszcze coś powiedzieć, kiedy rozległy się przeraźliwe dźwięki gitarowych riffów i wycie jak z horroru. Pierwsze takty utworu w wykonaniu Agoraphobie Nosebleed, amerykańskiego zespołu śpiewającego grindcore. Gdy wreszcie Samira znalazła telefon, dzwonek zdążył zamilknąć. Spojrzała na wyświetlony numer: Vincent. Miała oddzwonić, gdy zabrzączał sygnał przychodzącego esemesa:

Oddzwon.

Co od razu uczyniła.

– Co się dzieje?

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– U siebie, już miałam wychodzić. Mam dzisiaj dyżur. – Tego wieczoru wszyscy panowie z brygady, którzy mogli wziąć L-4, uczynili to. – A ty nie oglądasz meczu?

– Był telefon...

Jakaś pilna sprawa. Na pewno dzwonił dyżurny zastępca prokuratora. Nie ma litości dla miłośników piłki nożnej. W sądzie telewizory z pewnością także były włączone. Jej samej trudno było znaleźć kochanka na ten wieczór: najwyraźniej tym razem futbol był ważniejszy od seksu.

– Dzwonili z prokuratury? – zapytała – O co chodzi?

– Nie, nie z prokuratury.

– Ach tak?

W głosie Espérandieu dało się wyczuć wyjątkowe napięcie.

– Wszystko ci wytłumaczę. Nie musisz jechać do komendy. Wsiadaj w samochód i dołącz do nas. Masz jak zapisać?

Nie zwracając uwagi na gościa, który siedział obok zniecierpliwiony, otworzyła szufladę kredensu, skąd wyjęła długopis i blok karteczek samoprzylepnych.

– Czekał... Już mam.

– Podaję adres, tam się spotkamy.

Notując, uniosła brew, choć przecież Vincent nie mógł widzieć jej miny.

– Marsac? Ale to jest na prowincji. Kto do was dzwonił?

– Wyjaśnimy ci. Jesteśmy już w drodze. Dołącz do nas jak najszybciej.

Światło błyskawicy za oknem.

– My jesteśmy w drodze? Co za my?

– Martin i ja.

– W porządku. Jadę.

Rozłączyła się. Coś tu nie grało.

MARSAC

Deszcz niezmordowanie walił w dach samochodu. Falował w świetle reflektorów, zalewał przednią szybę i drogę, przeganiał zwierzęta do nor i oddzielał od siebie nieliczne auta. Przyszedł z zachodu, jak armia najeźdźcy zdobywająca nowe terytorium. Najpierw straż przednia obwieściła niebezpieczeństwo gwałtownymi porywami wiatru i piorunami, a następnie nad lasy i drogi nadciągnęła ulewa. Nie był to zwykły deszcz. To był potop. Z ledwością byli w stanie odróżnić leśną drogę i stosy ściętego drzewa. Momentami niebo przecinały błyskawice, ale przez większość czasu widzieli tylko otoczony ciemnością krąg światła z licznymi rozbłyskami, który przemieszczał się przed nimi. Wyglądało to, jakby jakiś kataklizm zatopił zamieszkane ziemie, a oni zmierzali do dna oceanu. Servaz wpatrywał się w drogę. Wycieraczki pracowały w zdecydowanie przyspieszonym tempie, naśladując rytm uderzeń jego serca. Jakiś czas temu zjechali z autostrady i teraz jechali drogą wiodącą wśród pagórków pogrążonych w wiejskich ciemnościach. Dla trzydziestoletniego mieszczucha, jakim był Espérandieu, przypominało to nurkowanie w rowie tektonicznym na pokładzie okrętu podwodnego. Był przynajmniej zadowolony, że to nie jego szef wybrał podkład muzyczny. Vincent wsunął do odtwarzacza płytę Queens of the Stone Age i choć raz Martin nie zaprotestował.

Komendant był całkowicie pochłonięty własnymi myślami.

Espérandieu na ułamek sekundy oderwał oczy od drogi. Zobaczył blask reflektorów i ruch wycieraczek odbijający się w czarnych źrenicach szefa. Servaz patrzył na drogę tak samo jak wcześniej na ekran telewizora: nie widząc. Vincent pomyślał o tamtym telefonie. Od czasu rozmowy w Martinie nastąpiła jakaś metamorfoza. Espérandieu wydedukował, że w Marsac coś się wydarzyło, a głos w słuchawce należał do starej przyjaciółki komendanta. Servaz nic więcej nie powiedział. Poprosił Pujola, by kontynuował oglądanie meczu, a jemu kazał iść za sobą.

Gdy znaleźli się w samochodzie, poprosił go, by zadzwonił do Samiry. Espérandieu nie miał pojęcia, co się dzieje.

Ulewa trochę się uspokoiła, kiedy scénic znalazł się w tunelu platanów u wjazdu do miasta i zaczęli przemierzać wąskie uliczki. Samochód trząsł się na bruku.

– W lewo – powiedział Servaz, gdy znaleźli się na placu z kościołem.

Espérandieu nie omieszkał zauważyć dużego wyboru pubów, kafejek i restauracji. Marsac było miastem uniwersyteckim, liczącym 18 503 mieszkańców, spośród których większość stanowili studenci. Był tu wydział literatury, nauk ścisłych, prawa, ekonomii i zarządzania, a także renomowane kursy przygotowawcze. Lubiąca wyraziste porównania prasa nazywała miasteczko „Cambridge południowego wschodu”. Ze ściśle policyjnego punktu widzenia takie nagromadzenie studentów oznaczało nieustające problemy z prowadzeniem pojazdów pod wpływem alkoholu lub innych środków odurzających, handlem marihuaną i amfetaminą oraz pewną liczbę zniszczeń mniej lub bardziej powodowanych zemstą. W każdym razie nic, co miałoby podlegać kompetencjom policji kryminalnej.

– Wygląda na to, że mają awarię prądu. Rzeczywiście, ulice pogrążone były w ciemnościach, nawet w oknach pubów i barów nie paliło się światło. Wewnątrz dostrzegli jasne, ruchome punkty: latarki kieszonkowe. Burza, domyślił się Vincent.

– Jedź dookoła skweru i skręć w drugą ulicę po prawej.

Objechali ogrodzony okrągły skwerek i ruszyli wąską wybrukowaną uliczką pnącą się w górę między fasadami wysokich domów. Gdy przejechali dwadzieścia metrów, w strumieniach deszczu ujrzeni światła radiowozu. Żandarmeria... Ktoś wezwał żandarmerię.

– Co to za cyrk? – zapytał Espérandieu. – Wiedziałeś, że tu będą?

Ustawili się za renówką i citroenem c4 – oba samochody w kolorach żandarmerii. Deszcz lał bez przerwy. Ponieważ Servaz nie odpowiadał, Vincent odwrócił się w jego stronę. Komendant wyglądał na bardziej spiętego niż zazwyczaj. Rzucił zastępcy zakłopotane, ostrożne spojrzenie i wysiadł.

Nie minęło pięć sekund, a jego włosy i koszula były całkowicie przemoczone. Kilku funkcjonariuszy żandarmerii ubranych w nieprzemakalne kurtki ze stoickim spokojem stało w strumieniach ulewy. Jeden z żandarmów podszedł do nich i Servaz pokazał mu odznakę. Funkcjonariusz uniósł brwi, by dać wyraz swojemu zdziwieniu faktem, że kryminalni zjawili się tak szybko, choć nie zostali jeszcze poinformowani przez prokuraturę.

- Kto kieruje akcją?
- Kapitan Bécker.
- Jest w środku?
- Tak, ale nie wiem czy...

Servaz ominął żandarma, nie czekając na dalszy ciąg.

- MARTIN!

Odwrócił głowę w lewo. Nieco dalej, w głębi uliczki, stał peugeot 307. Za kierownicą przez otwarte drzwi zobaczył osobę, której aż do tego wieczoru nie spodziewał się jeszcze kiedykolwiek zobaczyć.

Zalewająca wszystko woda, oślepiające światła reflektorów, koguty radiowozów, zakapturzone twarze – wszystko było zamazane. Jednak tę sylwetkę rozpoznałby w tysięcznym tłumie. Miała na sobie nieprzemakalny płaszcz z podniesionym kołnierzem. W jednej chwili deszcz przemoczył jej kręcone blond włosy uczesane z wyraźnym przedziałkiem i grzywką opadającą na lewą stronę czoła. Tak, to była ona. Stała prosto, z jedną ręką opartą o drzwi i uniesionym podbródkiem, tak, jak ją zapamiętał. Na jej twarzy malował się strach i ból, ale też duma.

Właśnie ta duma tak mu się kiedyś podobała. Dopóki nie stała się murem między nimi.

- Witaj, Marianne – powiedział.

Puściła drzwi, ominęła je i rzuciła się w jego kierunku. Chwilę później trzymał ją w ramionach. Przez jego ciało przeszedł lekki dreszcz. Kobieta wstrząsał szloch. Gestem raczej oficjalnym niż zażyłym objął ją, nie przyciskając do siebie. Ile to już lat? Dziewiętnaście? Dwadzieścia? Wyrzuciła go ze swojego życia, odeszła z innym, znajdując sposób, by zwalić winę na niego. O tak, kochał ją. Być może najbardziej spośród wszystkich kobiet, które były przed nią i po niej. Ale to wszystko działo się w poprzednim wieku, tak dawno temu...

Odsunęła się trochę i spojrzała na niego. Długie, mokre włosy przelotnie musnęły jego policzek. Ciało Martina znowu przebiegł wstrząs, który w jego skali musiał mieć nasilenie czterech stopni. Jej oczy były tak blisko: przypominały dwa zielone, lśniące jeziora. Wyczytał w nich mieszaninę uczuć. Był tam ból, smutek, wątpliwości, strach. Ale także wdzięczność i nadzieja. Maleńka, nieśmiała nadzieja, którą kobieta w nim pokładała. Popatrzył w bok, by uspokoić bicie serca. Minęło dziewiętnaście

lat, a ona prawie się nie zmieniła, miała tylko drobne zmarszczki w kąci-
kach ust i oczu.

Przypomniał sobie, co mówiła przez telefon: „Stało się coś strasznego...”. Przez chwilę myślał, że mówi o sobie, że to ona coś zrobiła, dopiero potem dotarło do niego, że chodzi o jej syna: „Hugo... Znalazł martwą kobietę w jej domu... Wszystko wskazuje na niego, Martin... Oskarżą go...”. Miała ściśnięte gardło, a jej głos był tak zdławiony szlochem, że Servaz nie zrozumiał nawet połowy z tego, co mówiła. „Co się stało?” „Zadzwoił do mnie... Był naćpany... Obudził się w domu tej kobiety, a ona była... martwa...” To brzmiało absurdalnie, nie miało sensu. Pomyślał, że jest pijana albo czegoś się nałykała. „Marianne, nic nie rozumiem. O czym ty mówisz? Co to za kobieta?” „Uczy w Marsac. Jedna z wykładowczyń”.

Marsac. To tam, gdzie uczy się Margot. Trudno mu było ukryć niepokój nawet przez telefon. Potem uprzytomnił sobie, że w Marsac – w liceum, college’u i na uniwersytecie – musi być w sumie ze stu wykładowców. Jakie jest prawdopodobieństwo, że akurat ta kobieta uczyła Margot? „Martin, oskarżą go... Jest niewinny. Hugo nie byłby zdolny do czegoś takiego. Proszę cię, musisz nam pomóc...”

– Dziękuję, że przyjechałeś – oznajmiła. – Ja...

Powstrzymał ją gestem.

– Nie teraz. Wracaj do siebie. Skontaktuję się z tobą.

Spojrzała na niego wyczerpana. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie, wsiadła do samochodu i odjechała.

– Kapitan Bécker?

– Tak.

Znowu machnął legitymacją, choć w panujących w domu ciemnościach trudno było cokolwiek zobaczyć.

– Komendant Servaz, policja kryminalna z Tuluzy. A to porucznik Espérandieu.

– Kto pana zawiadomił? – zapytał z miejsca Bécker.

Przysadzisty mężczyzna niewiele po pięćdziesiątce, źle sypiający, jeśli sądzić po worach pod oczami. Wyglądał na wstrząśniętego tym, co zobaczył. Był wyraźnie nie w sosie. Kolejny gość, którego oderwali od meczu.

– Świadek – odpowiedział wymijająco. – A was?

Bécker sapnął, jakby miał opory przed dzieleniem się informacjami z nieznajomymi.

– Sąsiad. Oliver Winshaw, Anglik. Mieszka tam, po drugiej stronie ulicy.

Wskazał jakiś punkt za ścianą.

– Co widział?

– Okno jego gabinetu wychodzi na ogród. Widział młodego człowieka siedzącego na brzegu basenu i mnóstwo lalek unoszących się na wodzie. Uznał to za dziwne i zadzwonił do nas.

– Lalek?

– Tak. Sami zobaczycie.

Salon, w którym się znajdowali, tonął w ciemnościach, tak jak całe Marsac. Drzwi wychodzące na ulicę były otwarte i pokój oświetlały jedynie światła zaparkowanych na zewnątrz samochodów, kładąc na ścianach długie cienie obecnych w nim postaci. W półmroku Servaz dostrzegł otwartą kuchnię, okrągły szklany stół, na którego blacie tańczyły girlandy odblasków, cztery krzesła kute ze stali, kredens, a za filarem schody prowadzące na górę. Przez otwarte na oścież drzwi balkonowe wpadało z ogrodu wilgotne powietrze. Servaz pomyślał, że ktoś musiał je zablokować, żeby nie trzaskały. Słyszał odgłosy deszczu i szelest miotanych wiatrem liści.

Jakiś żandarm przeszedł obok nich. Snop światła jego latarki na chwilę wydobył z mroku ich sylwetki.

– Właśnie instalują agregat – oznajmił Bécker.

– Gdzie jest chłopak? – zapytał Servaz.

– W furgonetce. Pod dobrą opieką. Zabierzemy go na posterunek.

– A ofiara?

Żandarm wskazał palcem sufit.

– Na górze. W łazience.

Po jego głosie Servaz poznał, że mężczyzna nadal jest w szoku.

– Mieszkała sama?

– Tak.

Sądząc z tego, co widział z ulicy, dom musiał być duży – z parterem i poddaszem liczył cztery kondygnacje, nawet jeśli każda z nich miała powierzchnię nie większą niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych.

– Pani profesor, tak?

– Claire Diemar. Trzydzieści dwa lata. Wykładała coś tam w Marsac.

W półmroku Servaz napotkał wzrokiem spojrzenie kapitana.

– Chłopak był jednym z jej uczniów.

– Co?

Słowa żandarma zagłuszył huk grzmotu.

– Mówiłem, że chłopak chodził do jednej z klas, w których uczyła.

– Tak, jestem na bieżąco.

Servaz w ciemności wpatrywał się w Bécquera. Każdy z mężczyzn pogrążony był we własnych myślach.

– Sądzę, że pan jest bardziej przyzwyczajony niż ja – powiedział wreszcie żandarm. – Mimo wszystko uprzedzam. To nie jest przyjemny widok. W życiu nie widziałem czegoś równie... obrzydliwego.

– Przepraszam – odezwał się głos od strony schodów.

Ruszyli niepewnie w tamtym kierunku.

– Można wiedzieć, kim pan jest?

Ktoś schodził po stopniach. W cieniu zamajaczyła wysoka postać, powoli szła w ich stronę, aż wreszcie znalazła się w ich polu widzenia.

– Komendant Servaz, policja kryminalna z Tuluzy.

Mężczyzna wyciągnął ku niemu dłoń w skórzanej rękawiczce. Musiał mieć blisko dwa metry wzrostu. Spoglądając w górę, Servaz dostrzegł długą szyję i dziwnie kwadratową głowę z odstającymi uszami i ostrzyżonymi przy skórze włosami. Olbrzym zmiażdżył jego wilgotne jeszcze palce uściskiem dłoni odzianej w delikatną skórę.

– Roland Castaing, prokurator z Auch. Właśnie dzwoniła do mnie Catherine. Mówiła, że pan tu będzie. Można wiedzieć, kto pana wezwał?

Chodziło o Cathy d'Humières, prokurator kierującą prokuraturą w Tuluzie. Servaz współpracował z nią wielokrotnie, zwłaszcza przy najważniejszym śledztwie w swojej karierze, które przed osiemnastoma miesiącami prowadził w Instytucie Wargniera. Zawahał się.

– Marianne Bokhanowsky, matka tego młodego człowieka – odpowiedział.

Zaległa cisza.

– Pan ją zna?

W tonie prokuratora dało się wyczuć lekkie zdziwienie i podejrzliwość. Mężczyzna miał niski i głęboki głos, który przetaczał się po spółgłoskach jak koła wozu po kamienistej drodze.

– Tak. Trochę. Ale nie widziałem jej od wielu lat.

– A zatem dlaczego pan? – zaciekawiał się olbrzym. Servaz znowu się zawahał.

– Pewnie dlatego, że moje nazwisko było na pierwszych stronach gazet.

Mężczyzna przez chwilę milczał. Servaz domyślił się, że gigant przygląda mu się z wysokości swoich dwóch metrów. Poczul utkwione w sobie spojrzenie i zadrżał: nowo przybyły przypominał mu posąg z Wyspy Wielkanocnej.

– Ach tak, oczywiście. Morderstwa w Saint-Martin-de-Comminges. Oczywiście. To pan. Co za nieprawdopodobna historia, prawda? Takie śledztwo musi zostawiać w człowieku trwałe ślady, co, komendancie? W tonie jego głosu było coś, co stanowczo się Servazowi nie podobało. – Ale to w dalszym ciągu nie wyjaśnia, co pan tutaj robi.

– Już panu powiedziałem: matka chłopaka prosiła mnie, żebym przyjechał i rzucił na to okiem.

– O ile mi wiadomo, jeszcze nie powierzono panu śledztwa – odparował stanowczo prokurator.

– To prawda.

– Sprawa jest w gestii prokuratury w Auch. Nie w Tuluzie.

Servaz już zamierzał mu odpowiedzieć, że prokuratura w Auch dysponuje tylko niewielką brygadą śledczą, której przez kilka ostatnich lat nie powierzono ani jednej poważnej sprawy kryminalnej, ale się powstrzymał.

– Pokonał pan długą drogę, komendancie – powiedział Castaing. – I jak sądzę, podobnie jak my, musiał pan zrezygnować z oglądania meczu. Niech pan więc idzie na górę i rzuci okiem, ale uprzedzam: to nie jest miły

widok. Choć z pewnością, w przeciwieństwie do nas, widział pan już niejedno.

Servaz ograniczył się do skinienia głową. Spłynęła na niego nagła pewność, że w żadnym wypadku nie może pozwolić, by to śledztwo wymknęło mu się z rąk.

Lalki spoglądały w czarne niebo. Servaz pomyślał, że spojrzenie trupa pływającego w basenie byłoby podobne. Plastikowe ciała kołysały się, czasem lekko się ze sobą zderzając, a ich jasne sukienki falowały w jednakowym rytmie. Stali razem z Espérandieu na brzegu basenu. Vincent trzymał duży parasol. Deszcz bębnił o materiał, moczył płytki, na których stali, i czubki ich butów. Wiatr miotał dzikim winem porastającym fasadę za ich plecami,

– Kurwa – powiedział po prostu zastępca Servaza. Było to jego ulubione słowo, którym podsumowywał niezrozumiałe dla siebie sytuacje. – Zbierała je. Nie sądzę, żeby ten, kto ją zamordował, przyniósł je ze sobą. Musiał je znaleźć w domu.

Servaz przytaknął. Policzył. Dziewiętnaście... Kolejny błysk oświetlił ociekające wodą buzie. Najbardziej uderzające było to ich nieruchome spojrzenie. Policjant wiedział, że podobny widok czeka ich na górze, i przygotowywał się do niego psychicznie.

– Chodźmy.

Po wejściu do środka założyli rękawiczki, czepki na włosy i ochraniacze na buty. Zewsząd otaczały ich ciemności. Agregat wciąż nie działał, prawdopodobnie wystąpił jakiś problem techniczny. Trwali w milczeniu. W tej chwili ani on, ani Vincent nie mieli ochoty na rozmowę. Servaz wyjął latarkę i zaświecił ją. Espérandieu zrobił to samo. Zaczęli wchodzić na górę.

ŚWIATŁA

Rozbłyśki piorunów wpadały do środka przez wąskie okna i oświetlały schody, które skrzypiały pod ich nogami. Ich twarze odcinały się w padającym od dołu świetle latarek. Espérandieu widział błyszczące jak dwa czarne kamienie oczy komendanta: Servaz z nosem przy samych stopniach szukał śladów butów. Wchodził na górę, stawiając stopy możliwie jak najbliżej tralek, rozstawiając nogi szeroko niczym rugbysta z All Blacks tańczący hakę.

– Miejmy nadzieję, że pan prokurator zrobił to samo – powiedział.

Na ostatnim półpiętrze ktoś postawił lampę naftową, która rzucała krąg niepewnego światła wokół siebie i na jedyne drzwi.

Budynek wciąż jęczał chłostany podmuchami wichury. Servaz zatrzymał się na progu łazienki. Spojrzał na zegarek: 23.10. W chwili, gdy wchodził do pomieszczenia, niebo za oknem przecięła błyskawica o wyjątkowo intensywnym blasku; jej kształt na moment zapisał się na siatkówkach ich oczu. Usłyszeli potężne uderzenie pioruna. Podeszli jeszcze krok do przodu i omietli poddasze światłem latarek. Musieli działać. Na razie byli sami, ale wkrótce na miejscu mieli się pojawić technicy. Łazienka była pogrążona w ciemności. Jedyne oświetlenie stanowiły efekty pirotechniczne szalejące za oknem i... stojąca w głębi wanna, widoczna jako prostokąt bladoniebieskiego światła.

Jak basen... Oświetlona od wewnątrz.

Servaz poczuł w gardle uderzenia puls. Metodycznie omiótł podłogę strumieniem światła. Następnie poczuł się w obowiązku podejść do wanny. Starał się trzymać blisko ścian. Nie było to łatwe: musiał uważać na świeczki i flakony, niskie meble, miski, wieszak na ręczniki, lustro. Wanna stała za podwójną zasłoną, której brzegi były rozsunięte. Servaz dostrzegł na wodzie odblaski światła odbijającego się od emalii. I jakiś cień.

Jakiś kształt w wannie. Coś... a raczej ktoś.

Wanna była starego typu, biała, odlana z żeliwa, na czterech nóżkach. Miała prawie dwa metry długości i była głęboka – tak głęboka, że

aby zajrzeć do środka, Servaz musiał pokonać ostatni dzielący go od niej metr.

Zrobił jeszcze jeden krok. Powstrzymał się, by się odruchowo nie cofnąć.

Kobieta patrzyła na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami, jak gdyby na niego czekała. Miała też otwarte usta. Wyglądało to tak, jakby zamierzała coś powiedzieć. Co oczywiście było niemożliwe, ponieważ jej spojrzenie było martwe. Nie miała już w sobie ani kropli życia.

Bécker i Castaing mieli rację: nawet Servaz niewiele razy miał okazję oglądać coś równie odrażającego. Wyjątkiem był może tamten koń bez głowy w górach... W odróżnieniu jednak od żandarmów komendant wiedział, jak zapanować nad emocjami. Claire Diemar została związana bardzo długim sznurem, owiniętym wielokrotnie wokół jej tułowia, nóg, kostek, szyi i ramion. Sznur przechodził pod jej łopatkami, między udami, miażdżył piersi, tworząc wielką liczbę pętli i ordynarnych węzłów. Jego szorstkie sploty głęboko wpijały się w skórę ofiary. Espérandieu podszedł do wanny i zajrzał Servazowi przez ramię. Przez głowę natychmiast przemknęło mu jedno słowo: *bondage*. Miejscami więzy i supły były bardzo gęste: Servaz pomyślał, że rozcięcie ich, a następnie zbadanie w laboratorium zajmie medykowi sądowemu wiele godzin. Związanie ofiary z pewnością trwało krócej: ten, kto to zrobił, działał z wielką brutalnością, a następnie wpakował ją do wanny i odkręcił kurek.

Nie zamknął go dobrze, woda z kranu wciąż kapiała. Odgłos każdej kropli spadającej do wanny rozlegał się przejmującym echem w cichym pomieszczeniu.

Być może napastnik wcześniej uderzył kobietę. Servaz miał ochotę włożyć dłoń do wanny i wyjąć głowę z wody, by przez czarne włosy ofiary zbadać kość ciemieniową i potylicę – dwie spośród ośmiu kości płaskich tworzących czaszkę. Nie zrobił tego jednak. Ta praca należała do lekarza.

Blask jego latarki odbijał się od wody. Zgasił ją i zostało już tylko jedno źródło światła. Jakby było rozsiane w wodzie...

Servaz zamknął oczy, policzył do trzech i ponownie je otworzył: źródło światła nie znajdowało się w wannie, ale w ustach ofiary. Niewielka kieszonkowa lampka o średnicy nie większej niż dwa centymetry. Latarka tkwiła w gardle kobiety. Z przetyku wystawała tylko końcówka, oświetlając podniebienie, dziąsła i zęby denatki. Refleksy światła rozchodziły się po wodzie.

Widok przywodził na myśl lampę. Jej kloszem było ludzkie ciało.

Zdezorientowany Servaz zastanawiał się, co miał oznaczać ten ostatni gest napastnika. Czyżby to był jego podpis? Jego całkowita bezużyteczność i niewątpliwe symboliczne znaczenie wprawiły komendanta w zadumę. Zastanawiał się nad tym, co widzi, myślał też o lalkach w basenie, próbując określić ciężar gatunkowy każdego z elementów.

Woda. Woda była zasadniczym elementem. Na dnie wanny Servaz dostrzegł też odchody i wyczuł delikatny zapach moczu. Wywnioskował, że kobieta zmarła dopiero w tej zimnej wodzie.

Woda w łazience i na zewnątrz... Padało... Czy morderca czekał ze swoimi zamiarami na tę burzową noc?

Servaz uświadomił sobie, że wchodząc na górę, nie widział na schodach żadnych szczególnych śladów. Gdyby ciało zostało związane poza pomieszczeniem, a następnie do niego zawleczone, można było oczekiwać zarysowań na tralkach, rozdarć lub otarć na wykładzinie. Myślał o tym, by poprosić techników o zbadanie klatki schodowej i pobranie próbek, ale uświadomił sobie, że już zna odpowiedź.

Znowu popatrzył na dziewczynę. Zakręciło mu się w głowie. Miała przed sobą przyszłość. Kto zasługuje na śmierć w tak młodym wieku? Spojrzenie do wanny dopowiedziało resztę: bała się, panicznie bała się przed śmiercią. Zrozumiała, że to już koniec, że wszystkie jej kredyty na przyszłość zostały wyczerpane, zanim jeszcze zaczęła się starzeć. O czym myślała? O przeszłości czy o przyszłości? O straconych okazjach, o drugich szansach, których już nie będzie, o planach, które nigdy nie ujrzą światła dziennego, o kochankach czy o wielkiej miłości? A może myślała tylko o tym, żeby przeżyć? Miotła się jak dzikie zwierzę schwyte w pułapkę, była już jednak unieruchomiona w ciasnym więzieniu ze sznura i czuła, że poziom wody wokół niej powoli, nieuchronnie się podnosi. Panika wyła w jej mózgu jak huragan. Kobieta chciała wrzeszczeć wniebogłosy, ale niewielka latarka uniemożliwiała jej to skuteczniej niż knebel. Oddychała tylko przez nos, z obolałym gardłem, obrzmiałym wokół tkwiącego w nim obcego ciała. Jej mózg był niedotleniony. Zakrztusiła się, kiedy woda dostała się do jej ust, a gdy zaczęła wlewać się przez dziurki w nosie, zakrywać twarz i musnęła rogówki szeroko otwartych oczu, panika zmieniła się w przerażenie...

Nagle wróciło światło i obaj mężczyźni podskoczyli.

– Ożeż kurwa jasna! – zawołał Espérandieu.

– Niech mi pan wytłumaczy, komendancie, dlaczego miałbym powierzyć to śledztwo właśnie panu.

Servaz podniósł głowę i spojrzał na prokuratora. Castaing wyjął papierosa, ścisnął go wargami i zapalił. Papieros zaskwierczał pod kroplami deszczu. W świetle latarni stojący w strugach wody prokurator wyglądał jak jakiś totem. Spoglądał na Servaza z góry.

– Dlaczego? Ponieważ wszyscy oczekują, że pan to zrobi. Ponieważ to rozsądny wybór. Ponieważ jeśli pan tego nie zrobi, a śledztwo będzie się wlokło, będą pana pytać, dlaczego pan tego nie zrobił.

W niewielkich oczach osadzonych pod wystającymi łukami brwiowymi pojawił się błysk. Servaz nie potrafił rozróżnić, czy to złość, czy rozbawienie, czy może mieszanka jednego i drugiego. Zachowanie olbrzyma było zaskakująco trudne do rozszyfrowania.

– Cathy d’Humières rozplywa się w pochwałach na pana temat. – W jego tonie bez najmniejszych wątpliwości dało się wyczuć sceptycyzm. – Mówi, że pańska brygada śledcza jest najlepszą, z jaką kiedykolwiek pracowała. To spory komplement, prawda?

Servaz milczał.

– Chcę być na bieżąco informowany o każdym pańskim ruchu i o wszystkich postępach śledztwa, jasno się wyrażam?

Komendant ograniczył się do skinienia głową.

– Zadzwońię do komendy i od razu skontaktuję się z pańskim szefem. Zasada numer jeden: żadnych tajemnic ani pogrywania z procedurą. Krótko mówiąc, nie podejmuje pan żadnej inicjatywy bez mojej zgody. – Oczy prokuratora spod mocno wysklepionych łuków brwiowych wypatrywały oznak aprobaty. Servaz znowu kiwnął głową. – Zasada numer dwa: wszystkie sprawy związane z prasą będą przechodziły przeze mnie. Nie będzie pan rozmawiał z dziennikarzami. Ja się tym zajmę.

No proszę, on też chce swoich piętnastu minut sławy. Tymi kilkoma słowami Andy Warhol zasiał ziarno niezgody. Od tamtego czasu każdy, zanim odejdzie, pragnie się pojawić w światłach rampy: nadgorliwi sędziowie na boiskach sportowych, liderzy związków zawodowych, którzy biorą swoich szefów jako zakładników, by bronić stanowisk pracy, ale także po to, aby pokazać się w telewizji, kiedy tylko zapali się światełko kamery, a także prowincjonalni prokuratorzy.

– Z pewnością wolałby pan pracować z Cathy d’Humières, ale będzie się pan musiał przyzwyczaić do mojej obecności. Powierzam panu tę sprawę na czas zatrzymania. W momencie wskazania podejrzanego otworzę śledztwo. Jeśli nie będę zadowolony z pańskiej pracy, jeżeli postępowanie przygotowawcze będzie toczyć się zbyt wolno albo uznam, że nie dość się pan stara, zwrócę się do sędziego, by odebrał panu sprawę i powierzył ją wydziałowi śledczemu żandarmerii. Tymczasem daję panu wolną rękę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł w kierunku zaparkowanej nieco dalej skody.

– Super – podsumował Vincent. – Mamy naprawdę przyjemny zawód.

– Przynajmniej wiemy, czego się trzymać – rzuciła Samira, która znalazła się obok nich. – Jaki sąd jest w Auch?

Dotarła na miejsce, gdy mężczyźni schodzili po schodach. Ubrana w wojskową parkę, na której plecach widniał napis „Zombies vs Vampires”, niechybnie wzbudziła zainteresowanie żandarmów.

– Okręgowy...

– Hmm.

Servaz rozumiał, co miała na myśli. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jest to pierwsza sprawa tak dużego kalibru w karierze pana prokuratora. Demonstrował swoją władzę, by pokryć brak doświadczenia. Czasem między policją i wymiarem sprawiedliwości istnieje zgodna współpraca, ale niejednokrotnie przypomina ona przeciąganie liny.

Wrócili do środka. Technicy byli już na miejscu. Rozciągnęli taśmy odgradzające, podłączyli reflektory, rozwinęli wielometrowe kable, rozłożyli żółte plastikowe tabliczki tam, gdzie mogły się znajdować jakieś ślady i w świetle specjalnych lamp badali ściany w poszukiwaniu zabrudzeń z krwi, spermy i Bóg jeden raczy wiedzieć czego jeszcze. Chodzili tam i z powrotem między parterem, schodami i ogrodem. Mieli na sobie białe kombinezony i nic nie mówili: każdy doskonale wiedział, co ma robić.

Servaz przeszedł z salonu do ogrodu. Deszcz trochę się uspokoił, ale krople nadal bębniły mu w głowę. Głos Marianne wciąż rozbrzmiewał w jego uszach. Według kobiety Hugo zadzwonił do niej i powiedział, że właśnie się obudził w domu swojej nauczycielki. Z powodu paniki jego głos był trudny do rozpoznania. Nie miał pojęcia, co tam robił ani jak się tam znalazł. Szlochając, opowiadał o tym, jak najpierw poszedł przeszukać

ogród, ponieważ drzwi na taras były otwarte i jak ze zdumieniem odkrył kolekcję lalek pływających w basenie. Następnie przystąpił do przeszukania domu. Sprawdzał piętro po piętrze i o mało nie zemdleł, gdy na samej górze w wannie znalazł ciało Claire Diemar. Następnie – wyjaśniła Servazowi Marianne – przez dobre pięć minut jej syn nie był w stanie nic zrobić, tylko płakał i wyrzucał z siebie bezładne zdania. Potem zebrał się w sobie, chwycił leżącą w wodzie Claire i potrząsał nią, by ją ocucić. Próbował rozsypać węzły, ale były zbyt mocno zaciśnięte. Poza tym widział, że kobieta nie żyje. Wstrząśnięty, znowu wyszedł z domu i pomimo padającego deszczu powlókł się w stronę basenu. Nie wiedział, jak długo siedział na brzegu z kompletną pustką w głowie. Następnie zatelefonował do matki. Powiedział jej, że czuje się dziwnie, jakby jego głowę wypełniała mgła. Takiego określenia użył. Jakby został czymś odurzony... A potem, gdy jeszcze był otumaniony, przyjechali żandarmi i zakuli go w kajdanki.

Servaz podszedł do basenu. Jeden z techników właśnie wylawiał lalki za pomocą podbieraka, a następnie jedną po drugiej wkładał do dużych zamykanych przezroczystych toreb, które podawał mu kolega. Scena ta miała w sobie coś nierzeczywistego. Przy basenie także umieszczono reflektory: lalki o białych, upiornych twarzach z nieruchomymi niebieskimi oczami błyszczały w ostrym świetle. Tyle że, pomyślał Servaz z drżeniem, w przeciwieństwie do bezsprzecznie martwego spojrzenia Claire Diemar oczy lalek wydawały się dziwnie żywe. A raczej tliła się w nich żywa wrogość... Co za bzdury! Skarcił się za takie myśli.

Powoli obszedł basen dookoła, uważając, by nie poślizgnąć się na mokrych płytkach. Czuł niejasno, że napastnika przyciągnął jakiś element w zachowaniu lub postawie kobiety. Podobnie jest w przyrodzie – zwierzę tworzy sobie w wyobraźni obraz swojej ofiary i nie poluje na chybił trafił.

Stanął naprzeciw muru oddzielającego ogród od ulicy. Podniósł głowę i zobaczył górną kondygnację domu stojącego naprzeciwko. Jedno z okien wychodziło prosto na basen. Z całą pewnością to właśnie stamtąd angielski sąsiad zauważył Hugona i lalki. Gdyby chłopak siedział po drugiej stronie basenu, w cieniu wysokiego muru, nikt by go nie zobaczył. Ale usiadł właśnie na tym brzegu, na którym teraz stał Servaz. Może nawet o tym nie pomyślał, może po tym, co przed chwilą przeżył był zbyt otumaniony, zbyt zagubiony, zbyt przerażony, by przejmować się czymkolwiek. Servaz zmarszczył brwi. Stał z głową wciśniętą w ramiona, w strugach deszczu, który spływał mu po karku i wlewał się za kołnierz. W całej tej historii było coś dziwnego.

ŁOWY NA SNARKA

Oliver Winshaw był starszym panem o spojrzeniu błyszczącym jak u ryby, którą przed chwilą wyjęto z wody. Pomimo późnej godziny nie wyglądał bynajmniej na zmęczonego. Servaz zauważył, że choć żona mężczyzny nie odezwała się ani słowem, nie spuszcza z nich wzroku i nie umyka jej żadne słowo z ich rozmowy. Podobnie jak w przypadku męża, o jej wyglądzie można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest zmęczona. Dwoje ożywionych staruszków o jasnych umysłach, którzy bez wątpienia mają za sobą ciekawe życie i mają nadzieję, że jeszcze długo uda im się utrzymywać neurony w dobrej kondycji.

– Zapytam jeszcze raz, żebyśmy mieli pełną jasność: w ostatnim czasie nie zauważył pan niczego niezwykłego?

– Nie, niczego. Przykro mi.

– Nie kręcił się tu żaden typ, nie dzwonił do furtki sąsiadki, nie pojawił się jakiś szczegół, na który nie zwróciłby pan uwagi, ale który w świetle tego, co się stało, teraz wydaje się podejrzany? Proszę się skupić, to ważne.

– Sądzę, że wystarczająco zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji – wtrąciła się zdecydowanie kobieta, po raz pierwszy otworzywszy usta. – Mój mąż stara się panu pomóc, komisarzu, chyba pan to widzi.

Servaz spojrział na Olivera. Lewa powieka mężczyzny lekko zadrżała. Policjant nie zadał sobie trudu, by poprawić „komisarza”.

– Pani Winshaw, czy mogłaby pani zostawić nas na chwilę samych?

Spojrzenie kobiety stało się twarde. Lekko rozchyliła usta.

– Niech pan posłucha, komisarzu, ja...

– Christine, proszę cię – powstrzymał ją Winshaw. Servaz zauważył, że kobieta się wzdrygnęła. Najwyraźniej nie była przyzwyczajona do tego, by mężczyzna brał sprawy w swoje ręce. W głosie Olivera Winshawa dało się wyczuć żwawszą nutę. Spodobało mu się, że żona dała się usadzić i że będzie miał możliwość znaleźć się w męskim towarzystwie. Servaz spojrział na swoich współpracowników i dał im znak, by się oddalili.

– Nie wiem, czy na służbie panu wolno, ale ja chętnie napiję się szkockiej – powiedział wesoło straszy pan, gdy zostali sami.

– Nie wygada pan? – uśmiechnął się Servaz. – Poproszę bez lodu.

Winshaw odsłonił w uśmiechu żółte od teiny zęby. Miał łagodne, ironiczne spojrzenie i długie, przerzedzone włosy starca. Servaz wstał i podszedł do regałów z książkami. *Raj utracony, Rymy o sędziwym marynarzu, Hyperion, Łowy na Snarka, Ziemia jałowa...* Długie rzędy angielskiej poezji.

– Interesuje się pan poezją, komendancie?

Servaz sięgnął po szklaneczkę, którą właśnie podawał mu rozmówca. Pierwszy łyk spłynął w dół przełyku jak ogień. Trunek był smaczny, bardzo wyrazisty i miał dymny posmak.

– Wyłącznie łacińską.

– Studia?

– Tak, literatura. Bardzo dawno temu.

Winshaw energicznie pokiwał głową na znak uznania.

– Tylko poezja potrafi wyrazić niezdolność człowieka do uchwycenia sensu naszego przejścia przez tę ziemię – powiedział. – A jednak, jeśli dać im wybór, ludzie zawsze będą woleli futbol niż Victora Hugo.

– Nie lubi pan sportu w telewizji? – zaczepił go Servaz.

– Chleba i igrzysk. Nie ma w tym nic szczególnie nowego. Ale gladiatorzy kładli przynajmniej na szali swoje życie, to miało całkiem inny wydźwięk niż uganianie się tych chłopaczków w krótkich gatkach za piłką. Stadion to nic innego jak szkolne boisko w wersji XL.

– A jednak już Plutarch mówił, że nie należy gardzić ćwiczeniami fizycznymi – zauważył Servaz.

– A zatem zdrowie Plutarcha.

– Claire Diemar była piękna, co?

Ręka Olivera Winshawa zatrzymała się w drodze do ust. Jego jasne, łagodne oczy zdawały się błędzić gdzieś w oddali.

– Bardzo.

– Aż tak?

– Przecież ją pan widział, nie? Chyba że... niech mi pan nie mówi, że... że ją...?

– Powiedzmy, że to nie był jej najlepszy dzień.

Spojrzenie mężczyzny zasnęło się mgłą.

– Mój Boże. My tu żartujemy, pijemy... Przy tym wszystkim, co się stało tuż obok.

– Patrzył pan na nią?

– Co?

– Czy patrzył pan na nią, kiedy była w ogrodzie?

– Na Boga, o czym pan mówi?

– Ma na ciele ślady po kostiumie, to znaczy, że się opalała. Na pewno spacerowała po ogrodzie. Wyobrażam sobie, że kładła się na leżaku, pływała w basenie. Piękna kobieta. Musiało się zdarzyć, że pan ją widział, mimochodem, przechodząc obok okna.

– Co za bzdury! Niech pan nie owija w bawełnę, komendancie. Chce pan wiedzieć, czy bawiłem się w podglądacza? – Oliver Winshaw walił prosto z mostu. Wzruszył ramionami. – Co mam panu powiedzieć. Tak. Zdarzało mi się. Czasami ją podglądałem... No i co z tego? Miała fantastyczny tyłek, zdaje się, że to chciał pan usłyszeć. Wiedziała o tym.

– Jak to?

– Niech mi pan wierzy, komendancie, to nie było jakieś niewinne dziewczątko.

– Przyjmowała gości?

– Tak. Kilku.

– Znał ich pan?

– Nie.

– Żadnego?

– Nie, ona się nie zadawała z ludźmi stąd. Tylko ten chłopak, jego już widziałem.

Starzec zatopił spojrzenie w oczach Servaza. Odczuwał przyjemność, mogąc wzbudzić zainteresowanie policjanta.

– Chce pan przez to powiedzieć, że odwiedził ją wcześniej?

– Tak, właśnie.

– Kiedy?

– Tydzień temu. Widziałem ich razem w ogrodzie. Rozmawiali.

– Jest pan tego pewien?

– Jeszcze nie zdemenciałem, komendancie.

– A wcześniej? Czy widział go pan wcześniej?

– Tak. Widywałem go.

– Ile razy?

– Myślę, że z dziesięć... Nie licząc tych razów, które przegapiłem. Nie siedzę w oknie bez przerwy.

Servaz był przekonany, że jest wręcz przeciwnie.

– Zawsze spotykali się w ogrodzie?

– Nie wiem. Nie, nie sędzę. Raz czy dwa zadzwonił do drzwi i zostali w środku. Ale niech pan sobie nie wyobraża, że zamierzam coś sugerować.

– Jak się zachowywali? Czy ich relacja wyglądała na... zażyłą?

– Chce pan zapytać, czy zachowywali się jak kochankowie? Nie... Może... Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia. Jeśli szuka pan jakichś pikantnych informacji, będzie pan musiał się zwrócić pod inny adres.

– Czy to długo trwało? Starzec wzruszył ramionami.

– Wiedział pan, że ten chłopak to jej uczeń?

Tym razem Servaz zauważył błysk w oku rozmówcy.

– Nie, nie wiedziałem.

Upił łyk whisky.

– Nie wydaje się to panu podejrzanym, żeby student odwiedzał swoją wykładowczynię? Taką piękną kobietę?

– Nie mnie o tym sądzić.

– Rozmawia pan z sąsiadami, panie Winshaw? Czy na jej temat krążyły jakieś plotki?

– Plotki? W takim mieście jak Marsac? Pan żartuje? A jak pan sądzi? Co do mnie, to prawie nie rozmawiam z sąsiadami. Tym zajmuje się Christine. Jest znacznie bardziej towarzyska niż ja, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. O to trzeba by zapytać ją.

– A czy państwo byli u niej w domu?

– Tak. Kiedy się sprowadziła, zaprosiliśmy ją na kawę. Odwzajemniła zaproszenie, ale tylko raz, z pewnością przez grzeczność, gdyż nasza znajomość nie posunęła się dalej.

– Przypomina sobie pan, czy ona kolekcjonowała lalki?

– Odpowiedź brzmi tak. Moja żona jest psychologiem. Bardzo dobrze pamiętam, że kiedy wróciliśmy do siebie, wysunęła pewną hipotezę na temat obecności tylu lalek w domu samotnej kobiety.

– Jaka to była hipoteza?

Winshaw mu powiedział. Przynajmniej sprawa pochodzenia lalek została wyjaśniona. Servaz nie miał więcej pytań. Zwrócił uwagę na niewielką komodę, na której leżały rozłożone Tora, Koran i Biblia.

– Interesuje się pan religiami? – zapytał.

Winshaw się uśmiechnął. Wychylił łyk i szelmowsko błysnął okiem znad szklanki.

– Są fascynujące, nieprawdaż? Mam na myśli religie... Jak to się dzieje, że takie kłamstwa są w stanie zaślepić takie rzesze ludzi? Wie pan, jak nazywam tę komodę?

Servaz uniósł brew.

– „Kącik idiotów”.

AMICUS PLATO, SED MAGIS AMICA VERITAS

Servaz wrzucił monetę do dystrybutora z gorącymi napojami i wcisnął guzik „Duża kawa z cukrem”. Gdzieś wyczytał, że wbrew powszechnie panującym sądom caffè lungo zawiera więcej kofeiny niż espresso. Kubek nie całkiem trafił na swoje miejsce i połowa kawy wylała się obok. Policjant na próżno czekał na cukier i patyczek do mieszania.

Wypił jednak wszystko aż do ostatniej kropli, po czym zgniótł kubek i wyrzucił go do kosza.

Wreszcie pchnął drzwi.

Na posterunku żandarmerii w Marsac nie było pomieszczenia przeznaczonego do przesłuchań. Servaz zaanektował więc na tę okoliczność niewielki pokój zebrań na pierwszym piętrze. Od razu zwrócił uwagę na okno. Zmarszczył brwi. Podstawowym zagrożeniem w tej sytuacji była nie tyle możliwość usiłowania ucieczki, ile raczej możliwość próby samobójczej, gdyby podejrzany poczuł się osaczony. Mimo, że usiłowanie defenestracji z pierwszego piętra wydawało mu się mało prawdopodobne, nie chciał podejmować żadnego ryzyka.

– Zamknij okiennicę – poprosił Vincenta.

Samira otworzyła laptopa i wprowadzała protokół z zatrzymania, wpisawszy najpierw godzinę, o której się zaczęło. Następnie położyła urządzenie w pobliżu miejsca, gdzie miał usiąść podejrzany, tak aby móc go filmować zintegrowaną kamerą. Servaz po raz kolejny poczuł się zapóźniony. Czworo jego młodych współpracowników każdego dnia dawało mu odczuć, jak szybko zmienia się świat i do jakiego stopnia on sam jest nieprzystosowany. Pomyślał, że jedno z nich albo też jakiś Koreańczyk czy Chińczyk wymyśli roboty do prowadzenia przesłuchań, a on sam pójdzie w odstawkę. Będą one wyposażone w wykrywacze kłamstw, analizatory głosu i lasery zdolne do wychwycenia najdrobniejszych ruchów gałek ocznych. Nie będą się męczyły i nie będą miały uczuć. Ale może adwokaci znajdą sposób, by zakazać ich stosowania w trakcie zatrzymania.

– No gdzie oni są? – zirytował się.

W tej samej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Bécker z Hugonem. Chłopak nie był zakuty w kajdanki. Punkt dla żandarma. Servaz przyjrzał mu się. Hugo wyglądał na nieobecnego. I zmęczonego. Zastanawiał się, czy żandarmi nie próbowali przesłuchiwać go na własną rękę.

– Siadaj – powiedział kapitan.

– Rozmawiał z adwokatem?

Bécker zaprzeczył gestem.

– Od momentu aresztowania nie odezwał się słowem.

– Ale wyjaśnił mu pan, że ma prawo do spotkania z adwokatem?

Żandarm spiorunował go wzrokiem i podał mu maszynopis, nie siląc się na odpowiedź. Servaz przeczytał: „Nie żąda adwokata”. Usiadł przy stole naprzeciw chłopaka. Bécker zajął miejsce przy drzwiach. Servaz uświadomił sobie, że skoro matka Hugona jest na bieżąco z biegiem wydarzeń, nie ma już potrzeby nikogo informować w myśl zasad zatrzymania, które dla siedemnastolatka i dla osoby pełnoletniej są takie same.

– Nazywa się pan Hugo Bokhanowsky – zaczął. – Urodzony 20 lipca 1992 roku w Marsac.

Za miesiąc skończy osiemnaście lat. A już jest na drugim roku kursów przygotowawczych. Bardzo inteligentny chłopiec... Nie chodzi do jednej klasy z Margot, która jest na pierwszym roku, ale uczą się na jednej uczelni. Jest zatem duże prawdopodobieństwo, że Claire Diemar uczyła także jego córkę. Obiecał sobie, że o to zapyta.

– Napije się pan kawy? – Żadnej reakcji. Servaz zwrócił się do Vincenta: – Przynieś mu kawę i szklanę wody.

Espérandieu wstał. Servaz zmierzył młodego człowieka wzrokiem. Chłopak wpatrywał się w podłogę. Siedział z dłońmi wetkniętymi między zaciśnięte kolana – oczywisty gest obronny; przez dziury w dżinsach widać było opalone nogi.

Umiera ze strachu, pomyślał policjant.

Hugo był szczupłym młodym mężczyzną o pięknej twarzy, która musiała się podobać dziewczynom. Włosy ścięte przy samej głowie wyglądały jak jasny, jedwabisty puszek. Okrągła czaszka błyszczała w świetle lamp. Na policzkach widać było trzydniowy zarost. Chłopak miał na sobie T-shirt z nazwą jakiegoś amerykańskiego uniwersytetu.

– Zdajesz sobie sprawę, że wszystkie okoliczności świadczą przeciwko tobie? Znalaziono cię w domu Claire Diemar, która wieczorem padła ofiarą zbrodni dokonanej ze szczególnym okrucieństwem. Według raportu, który mam przed oczami, byłeś pod wpływem alkoholu i narkotyków.

Spojrzał na młodego człowieka. Hugo siedział bez ruchu. Być może był jeszcze pod wpływem środków odurzających. Może nie całkiem doszedł do siebie.

– Twoje ślady znaleziono w całym domu...

– ...

– Ślady błota i trawy pochodzące z twoich butów po tym, jak byłeś w ogrodzie.

– ...

Servaz rzucił pytające spojrzenie Béckerowi, który odpowiedział wzruszeniem ramion.

– Ślady na schodach i w łazience, gdzie znaleziono martwą Claire Diemar, były identyczne.

– ...

– W pamięci twojego telefonu jest zapisane, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni dzwoniłeś do ofiary osiemnaście razy.

– ...

– Po co do niej dzwoniłeś? Wiemy, że byłeś jej uczniem. Ceniłeś ją jako nauczycielkę?

Bez odpowiedzi.

Cholera, nic z niego nie wyciągnę.

Servaz pomyślał o Marianne: jej syn miał wszystkie cechy sprawcy; zachowywał się jak winny. Przez chwilę zastanawiał się, czy do niej nie zadzwonić i nie poprosić, by przekonała chłopaka do współpracy.

– Co robiłeś u Claire Diemar?

– Jesteś, kurwa, głuchy, czy co? Nie wiesz, w jakie gówno się wpakowałeś!

To był głos Samiry. Gwałtowny. Ostry i chropowaty jak piła. Hugo podskoczył. Wreszcie raczył podnieść wzrok i przez chwilę wyglądał na lekko zbitego z tropu na widok wydatnych ust, wylupiastych oczu i małego noska Francuzko-Chinko-Marokanki. Na domiar złego Samira miała

skłonność do nadużywania maskary i cieni do powiek. Jednak Hugo patrzył na nią zaledwie przez ułamek sekundy. Po czym znowu wbił spojrzenie we własne kolana.

Na zewnątrz burza, w środku cisza. Wydawało się, że nikt nie ma ochoty jej przerywać.

Servaz i Samira wymienili spojrzenia.

– Nie mam zamiaru cię przyciskać — powiedział wreszcie. — Chodzi nam tylko o ustalenie prawdy. *Amicus Plato, sed magis amica veritas.*

„Miłuję Platona, lecz jeszcze miłsza mi prawda”.

Tak brzmiała ta łacińska sentencja?

Tym razem doczekał się reakcji.

Hugo patrzył na niego niesamowicie niebieskimi oczami. Spojrzenie matki – pomyślał Servaz, choć oczy kobiety były zielone. Także w linii warg i kształcie twarzy rozpoznawał geny Marianne. Uderzyło go to fizyczne podobieństwo.

– Rozmawiałem z twoją matką – wyjawiał bez zastanowienia. – Kiedyś byliśmy przyjaciółmi. Bardzo bliskimi przyjaciółmi...

– ...

– Jeszcze zanim poznała twojego ojca.

– Nigdy mi o panu nie mówiła.

Pierwsze zdanie Hugona Bokhanowskiego spadło jak ostrze gilotyny. Servaz poczuł się, jakby otrzymał cios pięścią w żołądek. Wiedział, że Hugo mówi prawdę. Odchrząknął.

– Ja też studiowałem w Marsac – powiedział. – Tak jak ty. A teraz studiuje tu moja córka. Margot Servaz. Jest na pierwszym roku.

Młody człowiek skupił na nim całą uwagę.

– Margot to pana córka?

– Znasz ją?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Kto by nie znał Margot? W Marsac trudno jej nie zauważyć. To ładna dziewczyna. Nie mówiła nam, że ma ojca gliniarza.

Hugo wpatrywał się w Servaza niebieskimi oczami i nie spuszczał z niego wzroku. Komendant zorientował się, że się pomylił. Chłopak się nie

bał. Po prostu postanowił się nie odzywać. Choć miał dopiero siedemnaście lat, robił wrażenie znacznie dojrzałego.

Servaz łagodnie kontynuował:

– Dlaczego odmawiasz odpowiedzi? Zdajesz sobie sprawę, że postępując w ten sposób, tylko pogarszasz swoją sytuację? Chcesz, żebyśmy wezwali adwokata? Porozmawiasz z nim, a potem pogadamy.

– Po co? Byłem na miejscu, kiedy zmarła albo niedługo później. Nie mam alibi. Wszystko świadczy przeciwko mnie. A zatem jestem winien, nie?

– A jesteś?

Chłopak popatrzył Servazowi prosto w oczy. Policjant nie wyczytał w jego spojrzeniu ani winy, ani niewinności. Nie było w nim żadnego ukrytego przekazu. Jedynie oczekiwanie.

– Przynajmniej pan tak uważa. Więc co za różnica, czy to prawda czy nie?

– Zasadnicza – odparł Servaz.

Ale różnicy nie było. Servaz wiedział, że kłamie. Francuskie więzienia są pełne niewinnych ludzi, a po ulicach chodzi mnóstwo przestępców. Sędziowie i adwokaci wkładają togi, by wygłaszać mowy na temat moralności i prawa, ale jednocześnie popierają obowiązujący system, doskonale wiedząc, że prowadzi on do całej masy pomyłek sądowych.

– Zadzwońiłeś do matki i powiedziałeś jej że obudziłeś się w tym domu i że była w nim martwa kobieta, tak?

– Tak.

– Gdzie się obudziłeś?

– W salonie, na dole.

– Gdzie w salonie?

– Na kanapie. Na siedząco.

Hugo spojrzał na Servaza.

– Już im powiedziałem.

– I co zrobiłeś potem?

– Zawołałem Claire Diemar.

– Nie wstawałeś z kanapy?

– Nie, wstałem. Drzwi balkonowe były otwarte, deszcz lał się do domu. Wszedłem tamtędy.

– Nie zastanawiałeś się, gdzie jesteś?

– Poznałem dom.

– Już tam byłeś?

– Tak.

– A zatem rozpoznałeś miejsce. Często tam bywałeś?

– Dostyc.

– „Dostyc”, to znaczy? Ile razy?

– Nie pamiętam.

– Spróbuj sobie przypomnieć.

– Nie wiem, może dziesięć... albo dwadzieścia...

– Dlaczego tak często ją odwiedzałeś? I ciągle do niej wydzwaniałeś? Czy panna Diemar zapraszała do siebie wszystkich uczniów z Marsac?

– Nie, nie sędzę.

– A więc, dlaczego ty? O czym rozmawialiście?

– O tym, co piszę.

– To znaczy?

– Piszę powieść. Powiedziałem o tym Clai... eee... pannie Diemar. Była bardzo zainteresowana, zapytała mnie, czy może przeczytać. Rozmawialiśmy o tym regularnie. Także przez telefon.

Servaz spojrział na chłopaka. Poczł dreszcz. On też w czasach, gdy uczył się w Marsac, zaczął pisać powieść. Wielką współczesną powieść. Marzenie każdego początkującego pisarza. Dzieło, na którego widok wydawcy i czytelnicy mówiliby: *Chapeau bas*. Była to opowieść o sparaliżowanym mężczyźnie, którego życie toczyło się na płaszczyźnie myśli, ale jego wnętrze – pełne kolorów i intensywne jak tropikalna dżungla – było znacznie bogatsze niż wnętrze większości ludzi. Przestał pisać nazajutrz po tym, jak jego ojciec popełnił samobójstwo.

– Mówiłeś do niej po imieniu? – zauważył.

– Tak.

- Jakiej natury była wasza relacja?
- Przed chwilą panu powiedziałem. Interesowała się tym, co piszę.
- Dawała ci jakieś wskazówki?
- Tak.
- Uważała, że dobrze piszesz?

Oczy Hugona. Błysk dumy w źrenicach.

- Mówiła... mówiła, że od dawna nie czytała niczego podobnego.
- Mógłbym się dowiedzieć, jaki jest tytuł powieści? Dostrzegł wahanie chłopaka. Postawił się na jego miejscu.

Młody autor z pewnością nie miał ochoty dzielić się takimi sprawami z obcym człowiekiem.

- „Krag”, taki jest tytuł.

Servaz chciał zapytać go, o czym jest książka, ale nie zrobił tego. Czuł, że narasta w nim jakaś głęboka bezradność, a zarazem odruchowa empatia wobec młodego człowieka. Nie był naiwny. Wiedział, że jej powodem jest fakt, iż widział w chłopaku siebie samego sprzed dwudziestu trzech lat. Oraz być może to, że Hugo jest synem Marianne. Ale jednocześnie zastanawiał się, czy to możliwe, by zabił on jedyną osobę, która była w stanie zrozumieć i docenić jego pracę.

- Wróćmy do tego, co robiłeś później.
- Wróciłem do domu. Wołałem ją. Szukałem wszędzie.
- Nie pomyślałeś w tamtej chwili, żeby wezwać policję?
- Nie.
- A potem?

- Wszedłem na górę, szukałem po kolei we wszystkich pokojach. Aż doszedłem do łazienki. I tam... Tam ją zobaczyłem. – Grdyka chłopaka podskoczyła. – Byłem spanikowany. Nie wiedziałem, co robić. Próbowałem wyjąć jej głowę z wody, klepałem po twarzy, żeby ją ocucić, krzyczałem, usiłowałem rozwiązać supły. Ale było ich za dużo, były zbyt mocno zaciśnięte, nie byłem w stanie: napęczniały pod wpływem wody. Szybko zrozumiałem, że już za późno.

- Mówisz, że próbowałeś ją reanimować?
- Tak, właśnie.

– A latarka?

Servaz zauważył, że powieki chłopaka lekko drgnęły.

– Widziałeś przecież latarkę w jej ustach, prawda?

– Tak, oczywiście.

– To dlaczego nie próbowałeś jej wyciągnąć? Hugo się zawahał.

– Nie wiem, pewnie dlatego, że...

– Że brzydziłem się wkładać jej palce do ust...

– Chciałeś powiedzieć: do ust martwej kobiety? Servaz zobaczył, że chłopak opuścił ramiona.

– Tak. Nie. Nie tylko. Do ust Claire...

– A przedtem? Co się stało przedtem? Powiedziałeś, że obudziłeś się u Claire Diemar. Co przez to rozumiesz?

– To, co powiedziałem. Ocknąłem się w salonie.

– Chcesz powiedzieć, że straciłeś przytomność?

– Tak. To znaczy, tak przypuszczam. Opowiadałem to już pana kolegom.

– Opowiedz mi, co robiłeś w chwili, gdy urwał ci się film, pamiętasz?

– Nie. Nie bardzo. Nie jestem pewien. Mam jakąś... jakąś dziurę.

– Dziurę w rozkładzie dnia?

Servaz dostrzegł, że Bécker zamiast patrzeć na chłopaka, wpatruje się w niego. Spojrzenie żandarma było wymowne. On także zauważył, że Hugo jest zmieszany. Był wystarczająco inteligentny, by zdawać sobie sprawę, że ta dziura nie przemawia na jego korzyść,

– Tak – przyznał rad nierad.

– Jaka jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominasz?

– Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to że wcześniej byłem z przyjaciółmi w Dublinersach.

Servaz robił zapiski w notesie. Nie miał zaufania do kamery, podobnie jak do innych gadżetów tego typu.

– The Dubliners?

Znał to miejsce. Pub istniał już za jego czasów. Servaz z przyjaciółmi urządzili sobie tam kwaterę główną.

– Co tam robiliście? Która to była godzina?

– Oglądaliśmy mistrzostwa świata, mecz otwarcia. I czekaliśmy, aż będzie grała Francja.

– „Czekaliśmy”? Chcesz powiedzieć, że nie pamiętasz meczu Urugwaj-Francja?

– Nie... może... nie pamiętam, co robiłem wieczorem. To dziwnie brzmi, ale nie wiem, jak długo to trwało. Ani w której dokładnie chwili straciłem przytomność.

– Myślisz, że ktoś cię ogłuszył, tak? Że ktoś cię uderzył?

– Nie, nie wydaje mi się, sprawdzałem... Nie mam guza ani nie boli mnie głowa. Ale kiedy się ocknałem, byłem otumaniony, wydawało mi się, że mam w głowie mgłę.

Zapadał się w sobie, coraz bardziej zdając sobie sprawę, że wszystko wskazuje na niego.

– Sądzisz, że ktoś ci podał narkotyki?

– Tak, to możliwe.

– Sprawdźmy to. Gdzie, w pubie?

– Nie mam pojęcia!

Servaz i Bécker wymienili spojrzenia. Wzrok żandarma mówił bez cienia wątpliwości: winny.

– Rozumiem. Ale może sobie przypomnisz. Gdyby tak było, koniecznie mi powiedz. To ważne.

Hugo smutno pokiwał głową.

– Nie jestem idiotą.

– Ostatnie pytanie: lubisz piłkę?

Błysk zdumienia w niebieskich oczach.

– Tak, dlaczego?

– Kawa ci wystygnie – powiedział Servaz. – Wypij. To może być długa noc.

– Samotna kobieta w otwartym domu – odezwała się Samira.

– I żadnych śladów włamania – dodał Espérandieu.

– Musiała mu otworzyć. W końcu to był jej uczeń, nie miała powodów do obaw. Zresztą on sam to powiedział: już tam bywał. I dzwonił do niej osiemnaście razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Żeby dyskutować o literaturze? Bez jaj!

– To on — podsumował Vincent.

Servaz odwrócił się w stronę Samiry, która potwierdziła skinieniem głowy.

– Zgadza się. Został zatrzymany w domu ofiary. Nie ma śladów obecności innych osób. Nic. Nigdzie. Nie ma najmniejszych dowodów na to, by był tam ktoś jeszcze. Za to jego ślady są wszędzie. Alkotest wykazał, że miał 0,85 promila alkoholu we krwi. Analizy wykażą, czy brał też narkotyki. To możliwe, zważywszy na stan, w jakim go znaleziono. I ile wziął. Żandarmi twierdzą, że kiedy go znaleźli, miał rozszerzone źrenice i był całkowicie rozbity.

– Sam powiedział, że podano mu narkotyki – zauważył Servaz.

– Racja. Ale kto mu podał? Jego samochód stał zaparkowany kawałek dalej. A więc to nie on prowadził? Załóżmy, że kto inny. Chłopak mówi, że ocknął się w domu. To by oznaczało, że prawdziwy morderca zaryzykował wyciągnięcie go z samochodu i zawleczenie do domu Claire? I nikt go nie widział? To się nie trzyma kupy! Okna wielu domów wychodzą na ulicę, w tym trzech przylegających do siebie naprzeciwko domu ofiary.

– Wszyscy oglądali mundial – zaproponował Servaz. – Nawet my.

– Nie wszyscy. Staruszek z naprzeciwka go widział.

– Ale akurat nie widział, kiedy przyjechał. Nikt nie zauważył, jak wchodził. Dlaczego, jeśli to on jest mordercą, czekał, aż przyjadą go zgarnąć?

– Znasz statystyki tak samo dobrze jak my – odpowiedziała Samira. – W piętnastu procentach przypadków sprawca sam zgłasza się na policję, w pięciu procentach zawiadamia osobę trzecią, która powiadamia gliny, a w trzydziestu ośmiu procentach czeka grzecznie na miejscu zbrodni na przybycie sił porządkowych, wiedząc, że jakiś świadek z pewnością już je poinformował. Tak właśnie zrobił chłopak. W rzeczywistości prawie dwie trzecie przestępstw zostaje wyjaśnionych już w pierwszych godzinach dzięki zachowaniu sprawcy.

Faktycznie, Servaz znał statystyki.

– Tak, ale oni później nie usiłują uchodzić za niewinnych.

– Był naćpany. Kiedy zaczął wracać do siebie, zdał sobie sprawę z tego, co zrobił i co mu grozi – odparł Espérandieu. – Po prostu próbuje ratować skórę.

– Jedyna sprawa, która jest w tej chwili istotna, to dowiedzieć się, czy napad był zaplanowany – powiedziała Samira.

Oczy podwładnych były utkwione w Martinie. Obydwoje czekali na jego reakcję.

– No, ale zbrodnia została wyreżyserowana i była to dość niezwykła reżyseria, nie? – odpowiedział. – Te sznury, latarka, lalki... Nic nie wskazuje na zwykłe morderstwo. Musimy uważać, żeby zbyt łatwo nie przeskakiwać do wyciągania wniosków.

– Chłopak był naćpany. – Samira wzruszyła ramionami. – Na pewno miał atak furii. To nie byłby pierwszy raz, gdy człowiek na haju popełnia szalony czyn. Nie czuję tego smarkacza. Poza tym wszystko wskazuje na niego, nie? Kurwa, cholera, szefie, w innych okolicznościach doszedłby pan do takich samych wniosków jak my.

Servaz podskoczył.

– Co to znaczy?

– Sam pan powiedział: znał pan dobrze jego matkę. I to ona wezwała pana na pomoc, o ile się nie mylę.

Aluzja Samiry dotknęła Servaza do żywego. W tej sprawie jest przecież tyle zagadkowych szczegółów, pomyślał. Inscenizacja, latarka, lalki... No i ta pora. Coś go niepokoiło w wyborze momentu popełnienia zbrodni. Jeśli chłopak faktycznie miał atak furii, to dlaczego akurat tego wieczoru, kiedy wszyscy siedzieli przed telewizorami?

Przypadek, zbieg okoliczności? W ciągu szesnastu lat praktyki w tym zawodzie Servaz zdążył już wykreślić te wyrazy ze swojego słownika. Hugo lubił futbol. Czy ktoś, kto lubi oglądać sport w telewizji, wybrałby akurat ten wieczór na popełnienie morderstwa? Chyba że chodziło o to, by nikt nie zwrócił na niego uwagi. Ale Hugo został na miejscu zbrodni i nie próbował się ukryć. Pozwolił, by go zgarnęli.

– To śledztwo zostało zakończone, zanim się zaczęło – podsumowała Samira, strzelając kośćmi palców.

Powstrzymał ją gestem.

– Wcale nie. Wróćcie tam i upewnijcie się, czy technicy dobrze sprawdzili samochód Hugona. I powiedzcie im, żeby potraktowali auto cyjanoakrylem.

Chciałby mieć do dyspozycji kabinę, w której można by dokładnie pokryć samochód tym środkiem. Podobną do kabin używanych przez lakierników, z możliwością rozpylenia podgrzanego cyjanoakrylu, znanego jako klej superglue. Kontakt oparów substancji z tłuszczem znajdującym się w odciskach linii papilarnych wywołuje reakcję chemiczną, w której wyniku na badanej powierzchni pojawiają się białe ślady. Niestety, nigdzie w promieniu pięciuset kilometrów nie było takiej kabiny, a o zapaskudzeniu cyjanoakrylem zwykłej kabiny lakierniczej nie mogło być mowy. Technicy musieli się więc zadowolić przenośnymi dyfuzorami tego środka. Tak czy inaczej, gwałtowny deszcz najprawdopodobniej dokładnie umył karoserię.

– A potem przesłuchajcie sąsiadów. Wchodźcie po kolei do wszystkich domów na tej ulicy.

– Wywiad środowiskowy o tej porze? Jest druga w nocy!

– To wyciągajcie ich z łóżek. Chcę mieć odpowiedź, zanim wrócimy do Tuluzy. Czy ktoś widział, słyszał, zauważył tego wieczoru albo w poprzednie dni coś podejrzanego, niezwykłego, wszystko jedno, nawet jeśli to nie ma związku z ostatnimi wydarzeniami.

Podwładni wpatrywali się w niego z niedowierzaniem.

– Do roboty!

MARGOT

Jechali wśród pagórków. Wrzesień. Było jeszcze ciepło. Wokół panowało lato, a ponieważ klimatyzacja w samochodzie była zepsuta, Servaz opuścił szyby. Wsunął do odtwarzacza płytę z muzyką Mahlera. Miał świetny humor. Nie tylko dlatego, że była ładna pogoda, a on jechał w towarzystwie swojej córki; wioził ją w miejsce, które dobrze znał, choć nie odwiedzał go od wielu lat. Prowadząc, przypominał sobie przeciętną uczennicę, jaką Margot była w podstawówce. Potem był kryzys wieku dojrzewania. Jeszcze dziś jego córka, gustująca w piercingu, szokujących kolorach i skórzanych kurtkach, w żadnym calu nie przypominała klasowej prymuski. Wiedział jednak, że Margot, pomimo swojej „punkowej” powierzchowności, ma bardzo dobre oceny. Ale Marsac to były najlepsze kursy przygotowawcze w całym regionie. I najbardziej wymagające. Żeby się tam dostać, trzeba było być naprawdę wybitnym. Servaz został przyjęty na uczelnię dwadzieścia trzy lata wcześniej, w czasach, gdy chciał być pisarzem. Został jednak policjantem. Tego ranka, jadąc przez letni pejzaż, czuł, że wypełniająca go duma pęcznieje jak bańka mydlana.

– Ładnie tu – odezwała się Margot, zdejmując z uszu słuchawki. Servaz ogarnął okolicę szybkim spojrzeniem. Droga wiała się wśród zielonych wzgórz, przecinała skąpane w słońcu lasy i płowe, jedwabiste pola. Kiedy zwalniali, wchodząc w zakręt, przez opuszczone szyby do ich uszu dochodził śpiew ptaków i bzyczenie owadów.

– Ale trochę nudno, co?

– Hmm... Jakie jest Marsac?

– Małe miasteczko. Myślę, że ciągle działają tam te same studenckie puby. Dlaczego wybrałaś Marsac, a nie Tuluzę?

– Z powodu Van Ackera. To profesor od literatury.

Nawet po tylu latach to nazwisko wywoływało w nim reakcję podobną do impulsu elektrycznego, który pobudzał dawno uśpioną okolicę serca.

– Naprawdę jest taki dobry?

– Najlepszy w promieniu pięciuset kilometrów.

Margot wiedziała, czego chce. Bez wątpienia. Przypomniał sobie słowa żonatego kochanka córki, którego spotkał jeden jedyny raz na place du Capitele tuż przed Bożym Narodzeniem: „Pod tą buntowniczą powierzchownością kryje się wspaniała dziewczyna, błyskotliwa i niezależna. I o wiele bardziej dojrzała, niż pan zapewne uważa”. To była bolesna rozmowa, gorzka i pełna oskarżeń. Ale dzięki niej Servaz wreszcie sobie uświadomił, jak słabo zna swoją córkę.

– Mogłaś się wysilić i ubrać jakoś staranniej.

– Po co? To mój mózg ma być dla nich interesujący, nie ciuchy.

Cała Margot. Nie było jednak pewności, czy ten argument przekona ciało pedagogiczne. Przejechali duże połacie lasu, pełnego szlaków konnych, ścieżek i parkingów, który rozciągał się na długości kilku kilometrów przed Marsac. A następnie, pokonawszy długą, wysadzaną platanami aleję, którą Servaz wielokrotnie przemierzał w młodości, dotarli do miasta.

– Nie przeszkadza ci, że od poniedziałku do soboty będziesz mieszkać w bursie? – zapytał, gdy kluczyli wśród wąskich brukowanych uliczek, usianych kafejkami i butikami.

– Nie wiem. – Margot spoglądała na zewnątrz przez otwarte okno. – Niewiele się nad tym zastanawiałam. Myślę, że poznam tam ciekawych ludzi, nie takich jak ci kretyni z liceum. A jak było za twoich czasów?

Pytanie go zaskoczyło. Nie miał ochoty na takie opowieści.

– Fajnie – odpowiedział.

Na ulicach było dużo rowerów. W większości używali ich studenci, zobaczyli też jednak paru wykładowców, którzy w koszach zamocowanych na bagażniku lub na kierownicy wieźli wypchane książkami skórzane torby. Marsac było siedzibą wielu wydziałów: prawa, nauk ścisłych, nauk humanistycznych... Miasto wyglądało jak świątynia młodości. Poza miesiącami wakacyjnymi połowa populacji miała mniej niż dwadzieścia pięć lat. Opuścili miasto północnym wyjazdem. Zielona równina, a w głębi linia gęstego lasu.

– To tutaj – oświadczył.

Po prawej stronie, w pewnej odległości od drogi, na skraju wielkiej łąki stał długi, wysoki budynek. Na pierwszy rzut oka bardzo stary – najeżone kominami dachy, okna ze szprosami, skomplikowana bryła. Wokół monumentalnego gmachu postawiono niskie, nowoczesne budynki z betonu, porzrzućane na trawnikach jak dziwne kostki domina. Servaza

opadły wspomnienia. Znowu zobaczył posągi zamysłonych postaci i sadzawki z zieloną wodą za budynkiem, zagajniki z drzewami obrośniętymi jemiolą, korty tenisowe, które w listopadzie pokrywały się zeschniętymi liśćmi, bieżnię, niewielki lasek, ulubione miejsce jego spacerów, porastający wysokie wzgórze, z którego ponad szczytami mniejszych pagórków widać było zaśnieżone od jesieni do wiosny Pireneje.

Nostalgia spłynęła na Servaza i zamknęła jego serce w żelaznym uścisku.

Nie zdając sobie z tego sprawy, kurczowo chwycił kierownicę. Przez długi czas marzył o drugiej szansie i w końcu zrozumiał, że jej nie dostanie. Pozwolił, by szczęście przemknęło mu koło nosa. Skończy swój męski żywot tak, jak go zaczął: jako glina. Ostatecznie jego marzenia okazały się ulotne jak chmury.

Na szczęście dla niego uczucie nie trwało długo. Chwilę później zniknęło.

Z głównej drogi skręcili w asfaltową aleję. Z lewej strony pomalowany na biało płot oddzielał ich od wielkiej łąki i głównego budynku; po prawej, za rowem, rosły szpalerem stare dęby. Po łące hasały konie. Servaz nie mógł powstrzymać wspomnienia o śledztwie, które prowadził zimą na przełomie lat 2008 i 2009.

– Idź za swoimi marzeniami – powiedział nagle. Jego głos był zduszony.

Margot odwróciła głowę, zaskoczona. Chciałby wtedy móc ukryć łzy, które napłynęły mu do oczu.

– Uczestnictwo w naszych kursach przygotowawczych jest bardzo absorbujące. Są do niego zaproszeni silnie zmotywowani uczniowie, którzy są gotowi do ciężkiej pracy. Dwa lata, które pani u nas spędzi, będą okazją do rozwoju i owocnej nauki, a także do zupełnie nowych spotkań i doświadczeń. Wiedza, jaką się tu dzielimy, nie wyklucza czynnika ludzkiego. W przeciwieństwie do innych placówek nie mamy obsesji na punkcie statystyk – uśmiechnął się dyrektor.

Servaz był przekonany, że jest wręcz przeciwnie. Za plecami dyrektora było otwarte okno. Widział bluszcz, słyszał hałas kosiarki i stukanie młotka. Wiedział, że gabinet dyrektora znajduje się na szczycie okrągłej narożnej wieży i że okno wychodzi na tyły budynku. Znał to miejsce jak własną kieszeń.

– Nie dopuszczamy możliwości powtarzania pierwszego roku. Wyjątek stanowi poważny wypadek lub choroba, poświadczone przez lekarza, pod warunkiem zgody dyrektora i rady klasowej. Natomiast trudności ze zdaniem egzaminu na wyższą uczelnię mogą stwarzać konieczność powtórzenia drugiego roku. Tę możliwość mają wszyscy studenci, którzy przez dwa lata spełniali stawiane im wymagania.

Na teczkę z dokumentami Margot padł promień słońca, kiedy dyrektor otworzył ją, żeby wyjąć luźną kartkę.

– Przejdźmy do wyboru opcji. To poważna sprawa. Nie można tego robić pochopnie, młoda damo. Mimo że wyboru przedmiotów egzaminacyjnych dokonuje się dopiero na początku drugiego roku, będzie on uwarunkowany wyborem zajęć, w których uczestniczyła pani na pierwszym. I odradzam wybieranie zbyt dużej liczby opcji, na przykład po to, by się zabezpieczyć. Ponieważ obciążenie nauką jest duże, taki wybór miałby negatywny wpływ na jakość pani pracy. – Wyliczał na palcach: – Na pierwszym roku ma pani już pięć godzin francuskiego, cztery godziny filozofii, pięć historii, cztery pierwszego języka nowożytnego, trzy języków i kultury antycznej, dwie geografii, dwie drugiego języka nowożytnego, dwie wychowania fizycznego i...

– Wybrałam już opcje – przerwała mu Margot. — Moduły specjalności: łacina i greka, poziom zaawansowany. I teatr. Pierwszy język nowożytny angielski, drugi niemiecki.

Dyrektor skrobał piórem po papierze.

– Znakomicie. Ten wybór obowiązuje panią przez cały rok, rozumiemy się?

– Tak.

Odwrócił się do Servaza z uśmiechem, wyraźnie zachwycony:

– Oto osoba, która wie, czego chce.

MUZYKA

Servaz wrócił do pokoju. Było wpół do trzeciej. Na twarzy chłopaka malowało się zmęczenie i strach. Servaz nagle poczuł, że atmosfera się zmieniła. Tak wielka presja, tak ogromny strach. Zbliżała się godzina wyznań. Wyznania spontaniczne, wyznania kłamliwe, wyznania prawdziwe, wyznania wymyślane, wyznania wymuszone... Mówię, bo spada ze mnie ciężar winy, mówię, bo mam dość, bo jestem już zbyt zmęczony, zbyt bezradny, bo okropnie chce mi się sikać, mówię, bo ten drań naprzeciwko dyszy mi w twarz swoim niezdrowym oddechem, mówię, bo już wariuję od jego wrzasków i boję się go, mówię, bo w gruncie rzeczy oni wszyscy tego chcą i jak tak dalej pójdzie, to dostanę zawału, hipoglikemii, niewydolności nerek, padaczki... Zapalił papierosa i wbrew wiszącemu na ścianie zakazowi podał go rozmówcy. Chłopak wziął go i pociągnął z wdzięcznością rozbitka, któremu podano łyk słodkiej wody, pozwalając, by trucizna zstąpiła do jego tchawicy i płuc. Servaz zauważył, że Hugo się nie zaciąga, ale mimo to wygląda, jakby poczuł się znacznie lepiej. Młody człowiek wpatrywał się w niego w milczeniu. Na zewnątrz deszcz hałaśliwie bębnił w rząd kontenerów na śmieci.

Byli sami. Jak zawsze wtedy, gdy się okazuje, że jeden z członków brygady śledczej ma lepszy kontakt z zatrzymanym niż pozostali. Nieistotne, czy tą osobą jest szef czy podwładny: najważniejsze jest nawiązanie dialogu.

- Chcesz jeszcze kawy?
- Nie, dziękuję.
- Coś do picia? Drugiego papierosa?

Hugo potrząsnął głową.

- Rzuciłem palenie.
- Kiedy?
- Osiem miesięcy temu.
- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy kontynuowali?

Servaz musiał znieść pełne niepokoju spojrzenie rozmówcy.

– Myślałem, że skończyliśmy.

– Nie całkiem. Chciałem wyjaśnić jeszcze parę punktów – oświadczył Servaz, otwierając notatnik. – Chcesz, żebyśmy to odłożyli na później?

– Nie, nie. W porządku.

– Świetnie. Jeszcze godzina, dwie, a będziesz mógł się położyć.

– Gdzie? – zapytał młody człowiek, szeroko otwierając oczy. – W więzieniu?

– Na razie w areszcie. Ale będziemy musieli cię przewieźć do Tuluzy. Wtedy śledztwo przejmie policja kryminalna.

Zauważył, że chłopak przygasł na twarzy.

– Chciałbym zatelefonować do mamy.

– Nie mamy obowiązku ci na to pozwalać... Ale będziesz mógł zadzwonić, gdy skończymy, zgoda?

Hugo odchylił się na krześle i zaplótł dłonie na karku. Długie nogi wyciągnął pod stołem.

– Spróbuj sobie przypomnieć, czy coś nie wydało ci się dziwne.

– Na przykład?

– Nie wiem, cokolwiek. Jakiś szczegół. Coś, co ci nie pasowało. Jakaś rzecz nie na swoim miejscu. Wszystko, co ci przychodzi do głowy.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie, nie wiem.

– Wysił się, chodzi o twoją skórę!

Servaz podniósł głos. Hugo spojrzał na niego zaskoczony. Na zewnątrz znowu rozległ się trzask pioruna.

– Muzyka...

Servaz zmierzył go wzrokiem.

– Co: muzyka?

– Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale sam pan pytał...

– Wiem, o co pytałem. To jak? Co z tą muzyką?

– Kiedy się ocknąłem, z wieży leciała muzyka.

– To wszystko? I co w tym dziwnego?

– No... – chłopak się zamyślił – Claire nieraz puszczała muzykę, kiedy u niej byłem, ale nigdy taką.

– Jaki to był gatunek?

– Muzyka poważna.

Servaz spojrział na niego. Muzyka poważna... Poczł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

– Zwykle takiej nie słuchała?

Hugo potwierdził skinieniem głowy.

– Jesteś tego pewien?

– Przynajmniej z tego, co wiem. Słuchała jazzu albo rocka. Nawet hip-hopu. Ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej puszczała muzykę poważną. Pamiętam, że w chwili, kiedy się obudziłem, nagle wydało mi się to... dziwne. Ta mroczna muzyka, otwarty dom i nikt nie odpowiada na wołanie. To naprawdę nie było w jej stylu.

Servaz czuł, że zaczyna w nim wzbierać jakiś głuchy niepokój. Coś nieokreślonego, rozproszonego.

– Nic więcej?

– Nic.

Muzyka poważna. Przyszła mu do głowy pewna myśl, ale wydała mu się tak nedorzeczna, że ją przegnał.

Kiedy wrócił do domu Claire Diemar, wciąż panował tam ten sam cyrk. W ulicze tłoczyły się teraz zaparkowane furgonetki i samochody osobowe. Do tańca, mimo późnej – bądź wczesnej, w zależności od punktu widzenia – godziny, włączyli się także dziennikarze ze swoimi mikrofonami, kamerami i typowym dla siebie zawodowym rozbieganiem. Jak można było wywnioskować z obecności vana z anteną paraboliczną, w dzienniku telewizyjnym następnego dnia miały się znaleźć nie tylko komentarze z boisk piłkarskich. Servaz był jednak pewien, że morderstwo wykładowczynie języków i kultury antycznej znajdzie się daleko za mizernymi wyczynami francuskich futbolistów.

Postawił kołnierz kurtki, która i tak zdążyła się już zmienić w moką szmatę, i szybko ruszył po śliskim bruku, zasłaniając się dłonią przed błyskami fleszy.

W domu wygradzono taśmami wąskie przejście od drzwi głównych do wyjścia na taras. Servaz zauważył wieżę stereo, ale technicy właśnie nad nią pracowali, używając pincet i substancji do wykrywania odcisków linii papilarnych. Postanowił tymczasem sprawdzić ogród. Lalki zniknęły. Technicy ustawiali tabliczki z numerami w trawie i między drzewami, tam, gdzie znajdowały się hipotetyczne ślady. Pawilon przy basenie był otwarty i jasno oświetlony. Servaz podszedł do niego. Wewnątrz pracowało w kucki dwóch techników w białych kombinezonach. Zobaczył umywalkę, złożone leżaki, podbieraki, sprzęt sportowy i pojemniki ze środkami do czyszczenia basenu.

– Znaleźliście coś?

Jeden z mężczyzn odwrócił się w stronę policjanta. Grube pomarańczowe szkła okularów powiększały jego oczy. Przecząco pokręcił głową.

Servaz powoli obszedł basen dookoła. Następnie ruszył przez mokry trawnik w kierunku lasu, który tworzył zwartą ścianę zieleni, tam gdzie kończyła się trawa. Nie było ogrodzenia, ale roślinność była wystarczająco gęsta, by służyć za naturalną barierę. Zauważył jednak w tym żywopłocie dwa wąskie otwory. Podszedł do nich. W środku było czarno jak w piecu, a krople deszczu głośno bębniły o liście nad jego głową. Ścieżka wiodąca przez pierwszy otwór urwała się po kilku metrach. Servaz wrócił na trawnik i spróbował przejść przez drugą dziurę. Wyglądało na to, że ten korytarz prowadzi dalej. Była to ledwie zauważalna przecinka między pniami wyższych i niższych drzew i policjant skrzywił się na myśl o pójściu dalej, jednak ścieżka konsekwentnie wcinała się w ciemności, jak srebrna nić w bryłę kwarcytu. Baldachim z liści niemal całkowicie chronił od deszczu. Światło latarki Servaza wydobywało z mroku gałęzie, które sprawiały wrażenie, jakby chciały go zatrzymać. Musiał patrzeć pod nogi, ponieważ szedł po dywanie z liści i uschniętych patyków. Choć pokonał już jakieś dziesięć metrów, ścieżka wciąż była tak samo wąska. Zawrócił więc, obiecując sobie, że przyjdzie tu za dnia. Był już całkiem blisko wyjścia, kiedy w niemal całkowitych ciemnościach zauważył na ziemi coś białego. Skierował tam strumień światła.

Kupka małych, jasnych, cylindrycznych obiektów, odcinających się na tle ciemnej ziemi i listowia.

Papierosy...

Schylił się. Niedopałki. Kilka.

Ktoś musiał tu stać i palić przez dłuższą chwilę. Servaz uniósł głowę. Z miejsca, w którym się znajdował, wyraźnie widział część domu wychodzącą na ogród, drzwi balkonowe, a nawet wewnątrz salonu oświetlone przez policję. Idealny punkt obserwacyjny.

Poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Osoba, która tutaj bywała, dobrze znała teren. Próbował przekonać samego siebie, że tym kimś był ogrodnik albo nawet sama Claire Diemar. To się jednak nie trzymało kupy. Nie istniał żaden sensowny powód, by stać w tych krzakach i palić papierosa za papierosem, poza jednym: szpiegowaniem młodej kobiety.

Servaz znowu się zastanowił. Hugo wszedł przodem i zostawił samochód na ulicy. Dlaczego miałyby obserwować Claire z lasu? Przyznał, że był u niej wielokrotnie. Czyżby miał potrzebę jeszcze bawić się w podglądacza?

Nagle poczuł się tak, jakby był widzem jakiegoś kuglarskiego przedstawienia: jak wtedy, gdy prezenter kieruje uwagę publiczności w jedną stronę, podczas gdy najważniejsze dzieje się z drugiej. Jedną rękę, oświetloną, pokazuje widzom, a drugą robi coś w ciemności. Ktoś chce ich skłonić, by patrzyli na sprawę od niewłaściwej strony. Wybrał scenę, aktorów, opracował dekoracje... Servaz odniósł wrażenie, jakby za kulisami całego dramatu przesuwiał się, niezauważony przez nikogo, jakiś ukryty cień. Niepokój powrócił z całą mocą.

Policjant zmarszczył brwi i nie zwracając już uwagi na deszcz, wrócił do budynku. Wytarł przemoczone buty w dywanik przy wejściu. Technicy w salonie uporali się już z wieżą.

– Chce pan rzucić okiem? – zapytał jeden z nich, podając mu ochraniacze na buty i czepek. W tych śmiesznych nakryciach głowy technicy kryminalistyczni wyglądali jak klienci damskiego salonu fryzjerskiego.

Komendant nałożył na siebie obowiązkowy strój i podniósł taśmę.

– Jest tu coś dziwnego – powiedział technik. Servaz popatrzył na niego.

– Znaleźliśmy komórkę chłopaka, miał ją w kieszeni. Ale nie ma śladu po telefonie ofiary. A szukaliśmy wszędzie.

Servaz wyjął notatnik i zapisał informację. Słowo „telefon” podkreślił dwa razy. Przypomniawszy sobie, że znaleźli osiemnaście połączeń z numerem ofiary w komórce Hugona. Dlaczego miałyby usunąć telefon Claire, a nie swój?

– A tutaj niczego nie znaleźliście? – wskazał podbródkiem wieżę stereo.

Technik wzruszył ramionami.

– Nic szczególnego. Odciski palców na sprzęcie i na płytach, ale tylko należące do ofiary.

– W odtwarzaczu nie było płyty?

Technik spojrział na niego, nie rozumiejąc. Najwyraźniej zastanawiał się, jakie to może mieć znaczenie. Na komodzie leżała kupka przezroczystych torebek z zamknięciem strunowym, które miały zostać zabrane do laboratorium. Mężczyzna wziął jedną z nich i podał Servazowi bez słowa. Komendant chwycił pakunek i spojrział na zamknięte wewnątrz pudełko.

Rozpoznał je.

Gustav Mahler, *Kindertotenlieder* – *Pieśni na śmierć dzieci*. Wykonanie z 1963 roku pod batutą Karla Böhma, z Dietrichem Fischerem-Dieskauem. Servaz miał w swojej płytotece dokładnie taki sam egzemplarz.

BIEL

Hugo wspominał o muzyce. Nie uściślił jednak, o jaką muzykę chodzi. Tymczasem ta muzyka była dla Servaza nawiązaniem do śledztwa, które prowadził na przełomie lat 2008/2009. Śnieg, wiatr, biel. Biel przede wszystkim. Wszędzie: w środku i na zewnątrz. Na Dalekim Wschodzie kolor śmierci i żałoby, a także kolor rytuałów przejścia. Taka właśnie była wymowa bieli tego grudniowego dnia 2008 roku, kiedy jechali przez zasypaną śniegiem dolinę, pośród jodeł, pod obojętnym spojrzeniem nieba, które miało barwę stali.

I to miejsce. Odosobnione. Instytut Wargniera. Kamienne mury charakterystyczne dla architektury tych okolic z początków XX wieku. W tym samym stylu budowano hotele i elektrownie wodne. Czasy, kiedy wznoszono budowle, które miały przetrwać wieki, i wierzone w przyszłość. Opustoszałe korytarze, opancerzone drzwi, zabezpieczenia biometryczne, kamery, strażnicy. Choć zważywszy na liczbę pensjonariuszy i na to, jak bardzo byli oni niebezpieczni, strażników wcale nie było aż tak wielu. Wszędzie dookoła góry: ogromne, niegościnne, budzące grozę.

I wreszcie – ten człowiek. Julian Alois Hirtmann. Urodzony czterdzieści pięć lat wcześniej w Hermance, we francuskim kantonie Szwajcarii. Servaza nic z nim nie łączyło poza jedną rzeczą: muzyką Mahlera. Niemożliwe byłoby zagięcie któregoś z nich w zakresie znajomości dzieła austriackiego kompozytora. Na tym koniec podobieństw. Z jednej strony policjant z brygady kryminalnej, z drugiej – seryjny morderca, który dwa lata wcześniej znalazł się na wolności. Hirtmann, były prokurator sądu w Genewie, który w swojej willi nad Jeziorem Genewskim organizował orgie, został zatrzymany za podwójne morderstwo na własnej żonie i jej kochanku, do którego doszło w nocy 21 czerwca 2004 roku. Następnie znaleziono u niego dokumenty, na podstawie których można było sądzić, iż Szwajcar jest sprawcą czterdziestu innych morderstw popełnionych w ciągu dwudziestu pięciu lat. Czyniło to zeń jednego z najniebezpieczniejszych współczesnych seryjnych zabójców. Przebywał w wielu placówkach psychiatrycznych, zanim trafił do Instytutu Wargniera – miejsca wyjątkowego w skali całej Europy, gdzie zamykano zwyrodniałych morderców, których sądy ich krajów uznały za

niepoczytalnych. Servaz prowadził śledztwo, które poprzedziło – a w pewnym sensie także spowodowało – ucieczkę Hirtmanna. Spotkał się z nim też w jego celi, niedługo przed tym, jak Szwajcar zbiegł.

Po ucieczce mężczyzna zniknął: rozplynał się w powietrzu jak dżinn z lampy Aladyna. Servaz przez cały czas był przekonany, że Hirtmann w końcu wypłynie na powierzchnię. Bez odpowiedniego leczenia jego instynkt łowcy prędzej czy później musiał się ujawnić.

Co bynajmniej nie oznaczało, że będzie łatwo go złapać.

Jak podkreślił Simon Propp, psycholog sądowy, który brał udział w śledztwie, Hirtmann nie tylko był inteligentnym manipulatorem i socjopata. Stanowił wyjątek nawet wśród zabójców zorganizowanych. Należał do tej niezwykle rzadkiej kategorii seryjnych morderców, którzy potrafią prowadzić intensywne i satysfakcjonujące życie społeczne równoległe z działalnością kryminalną. Rzadko bowiem zaburzenia osobowości, którymi są dotknięci kompulsywni mordercy, nie upośledzają w jakiś sposób ich funkcjonowania intelektualnego i społecznego. Szwajcar zaś zdołał przez dwadzieścia lat piastować odpowiedzialne stanowiska w genewskim sądzie i w tym samym czasie porwać, torturować i zamordować czterdzieści kobiet. Pościg za Hirtmannem uznano za priorytet: wielu policjantów w Paryżu i Genewie zajmowało się tą sprawą. Servaz nie miał pojęcia, na jakim etapie są te śledztwa, ale gdzieś miał zapisane odpowiednie numery telefonów.

Oczyrna pamięci jeszcze raz ujrział Hirtmanna w jego celi. Mężczyzna ubrany był w T-shirt i kombinezon w kolorze zszarzałej wskutek wielu prań bieli, miał intensywnie czarne włosy, ale bardzo bladą, niemal przezroczystą skórę. Był wychudzony i nieogolony, a jednocześnie bardzo obyty, uśmiechnięty i niezwykle uprzejmy. Servaz był pewien, że Hirtmann zachowałby ten wygląd wykształconego człowieka i dobre maniery, nawet gdyby został kloszardem. Nigdy nie spotkał kogoś, kto w mniejszym stopniu przypominałby seryjnego mordercę. Pamiętał jednak spojrzenie Szwajcara, paraliżujące jak taser. Mężczyzna nigdy nie mrugał. W jego twarzy było coś surowego, karzącego, ale jej dolna część zdradzała sybarytę. Mógłby być kaznodzieją-hipokrytą, wysyłającym w 1692 roku domniemane czarownice z Salem na stos, mógłby być członkiem inkwizycji lub oskarżycielem w procesie stalinowskim... Albo tym, kim był: prokuratorem, który cieszył się opinią nieprzejechanego, a jednocześnie organizował w swojej willi imprezy sado-maso, podczas których wydawał własną żonę na pastwę zachcianek wpływowych i skorumpowanych przedstawicieli genewskiej śmietanki. Niezaspokojonych mężczyzn, którzy,

tak jak on, poszukiwali emocji i przyjemności daleko wykraczających poza powszechnie przyjęte zasady moralności. Ludzi biznesu, sędziów, polityków, artystów. Ludzi z kręgów władzy i finansjery. Ludzi o nieograniczonych apetytach.

Servaz myślał o Hirtmannie. Jak wygląda dzisiaj? Czy poddał się operacji plastycznej? Czy zadowolił się zapuszczeniem długich włosów i brody, ufarbowaniem ich i założeniem szkieł kontaktowych? Przytył, zmienił zachowanie i sposób mówienia, znalazł pracę? Tyle pytań... Servaz się zastanawiał, czy by go rozpoznał, ucharakteryzowanego i ubranego całkiem inaczej, gdyby Szwajcar minął go gdzieś w tłumie w odległości kilku centymetrów – i przeszedł go dreszcz.

Oddał technikowi torebkę z płytą, mrużąc oczy w blasku reflektorów.

Czuł, jakby żołądek związał mu się w supeł.

Kindertotenlieder to ten sam utwór, który Hirtmann wybrał tego wieczoru, gdy zamordował swoją żonę i jej kochankę, Servaz wiedział, że po pierwszych ustaleniach i zakończeniu wywiadu środowiskowego będzie musiał zatelefonować w kilka miejsc, porozmawiać z paroma osobami. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że na miejscu zbrodni znaleziono jednocześnie syna kobiety, w której przez długi czas był zakochany, i muzykę będącą odwołaniem do najgroźniejszego mordercy, jaki kiedykolwiek stanął na jego drodze. Wiedział jedno: nie jest po prostu detektywem wyznaczonym przez prokuraturę; to śledztwo dotyczy go osobiście.

Wrócili do Tuluzy w strugach deszczu około czwartej nad ranem. Zamknęli Hugona w jednej z cel zatrzymań na drugim piętrze. W gmachu policji cele te znajdowały się po jednej stronie korytarza, naprzeciwko gabinetów – tak że aresztanci mieli tylko kilka kroków do miejsc przesłuchań. Nie były okratowane, ale oświetlone światłem wpadającym przez grube luksfery. Servaz spojrzał na zegarek.

– Okay. Damy mu odpocząć – powiedział.

– A co robimy potem? – zapytał Espérandieu, usiłując stłumić ziewanie.

– Mamy jeszcze czas. Zapisuj dokładnie godziny wypoczynku w rejestrze zatrzymania i w protokole, upewnij się, że z nich korzysta i zapytaj go, czy nie jest głodny.

Servaz się odwrócił. Samira właśnie rozładowywała swoją broń do specjalnego metalowego pojemnika, wyściełanego i zabezpieczonego kevlarem. Była to procedura bezpieczeństwa, obowiązująca wszystkich agentów wracających z misji. Inaczej niż większość kolegów, Samira nosiła pistolet w kaburze na nerkach. Zdaniem Servaza dzięki temu wyglądała trochę jak kowbojka. O ile mu było wiadomo, dziewczyna jeszcze nigdy nie musiała zrobić użytku ze swojej broni, miała jednak doskonałe wyniki na strzelnicy. On przeciwnie, nie trafiłby nawet słonia w wąskim korytarzu, ku rozpaczy instruktora, który pewnego dnia zaczął go przezywać „Daredevil”. Ponieważ Servaz nie bardzo rozumiał aluzję, instruktor wyjaśnił mu, że Daredevil to superbohater z pewnej kreskówki, niezwykle smutny, ale... ślepy. W przeciwieństwie do Samiry Servaz nigdy nie korzystał ze stanowiska do rozładowywania broni. Po pierwsze dlatego, że w pięćdziesięciu przypadkach na sto zapominał wziąć ją ze sobą. Po drugie – ponieważ po powrocie z misji zamykał ją pod kluczem, a ponadto najczęściej magazynek jego pistoletu był pusty.

Przemierzył korytarz i wszedł do gabinetu.

Do rana było jeszcze daleko, a on miał przed sobą mnóstwo papierkowej roboty. Na samą myśl o niej czuł się zniechęcony.

Podszedł do okna i przez strugi deszczu, ponad jedną z trzech ceglanych wież zdobiących fasadę gmachu policji kryminalnej spojrzął na ciągnący się w dole kanał. Niebo robiło się blade, ale dzień jeszcze nie wstał. W szybie zobaczył własne odbicie. Czoło, usta i oczy były rozmazane, ale – zanim zdążył przywołać się do porządku – zdołał dostrzec wyraz twarzy, który mu się nie spodobał. Wyraz twarzy człowieka zaniepokojonego i napiętego. Człowieka, który ma się na baczności.

– Ktoś chce z tobą rozmawiać – odezwał się głos za jego plecami.

Odwrócił się. Jeden z dyżurnych oficerów.

– Kto?

– Adwokat rodziny. Chce się zobaczyć z chłopakiem. Servaz zmarszczył brwi.

– Młody nie prosił o wezwanie adwokata, a czas wizyt się skończył – powiedział. – Powinien o tym wiedzieć.

– Wie. Ale prosi uprzejmie o pozwolenie na pięć minut rozmowy. Tak powiedział. I jeszcze, że przysyła go matka.

Servaz przez chwilę milczał. Czy powinien przystać na prośbę najmimordy? Rozumiał strach Marianne. Co powiedziała facetowi na temat ich relacji?

– Gdzie on jest?

– Na dole. W holu.

– Okay, schodzę.

Kiedy Servaz wysiadł z windy, przyłapał dwóch dyżurnych na gapieniu się w mały telewizor umieszczony za półokrągłą ladą. Na ekranie zauważył zielen i ubrane na niebiesko mikroskopijne sylwetki biegające we wszystkich kierunkach. Zważywszy na porę, musiała to być powtórka. Westchnął na myśl, że całe kraje stoją na skraju upadku, czterej jeźdźcy Apokalipsy, którym na imię finanse, polityka, religia i wyczerpanie zasobów naturalnych, ciężko pracują, a ciżba wciąż tańczy na wulkanie i pasjonuje się sprawami tak błahymi jak futbol. Servaz wyobraził sobie, że kiedy ten świat ogarną katastrofy klimatyczne, krachy na giełdach, masakry i rozruchy oznaczające jego koniec, nadal będą istnieli ludzie tak głupi, by strzelać bramki, i inni, jeszcze głupszy, którzy będą chodzić na stadiony i im kibicować.

Adwokat siedział na krześle w pustym, słabo oświetlonym holu. W ciągu dnia miejsce przeżywało obłączenie. Ludzie, którzy tu przychodzili, mieli swoje powody. Nikt nie przychodzi na komisariat dla przyjemności. Dyżurni stawali oko w oko z tłumem zrozpaczonych, wściekłych albo przerażonych ludzi. Jednak o tej porze niewielki człowieczek siedział tu sam w przyblakłym świetle lamp, z teczką na ściśniętych kolanach i wycierał szkła okularów. Za oknami wciąż padał deszcz.

Adwokat usłyszał odgłos otwierających się drzwi windy. Włożył okulary na nos i spojrzał w tamtym kierunku. Servaz skinął na niego i mężczyzna minął recepcję, wyciągając rękę na powitanie. Zimny, wilgotny uścisk. Po czym pogłaskał krawat, jakby chciał wytrzeć dłoń.

– Mecenasiu – Servaz od razu przypuścił atak – wie pan doskonale, że nie ma pan tu nic do szukania. Chłopak nie domagał się pańskiej obecności.

Sześćdziesięcioletni człowieczek zmierzył go wzrokiem. Policjant natychmiast stał się czujny.

– Wiem, wiem, komendancie. Ale Hugo nie był w pełni świadomy, kiedy pan go o to pytał. Był pod wpływem środków odurzających, które

mu podano, co wykażą analizy. Proszę więc, by rozważył pan swoje stanowisko i zadał mu to pytanie ponownie, teraz, kiedy prawdopodobnie doszedł już do siebie.

– Nie mam takiego obowiązku.

Krótki błysk oka zza szkieł.

– Przyznaję. Odwołam się zatem do pańskiego... człowieczeństwa i poczucia sprawiedliwości, nie tylko do kodeksu.

– Do mojego człowieczeństwa?

– Tak. Dokładnie takich słów użyła osoba, która mnie tu przysłała. Wie pan, o kim mówię.

Adwokat wpatrywał się w niego, oczekując odpowiedzi. Wiedział o nim i Marianne. Servaz poczuł przypływ gniewu.

– Mecenasiu, odradzam panu...

– Jak się pan domyśla – przerwał mu adwokat – ona jest bardzo poruszona tym, co się dzieje. „Poruszona” to zbyt małe słowo. Lepiej powiedzieć „zrozpaczona”, „załamana”, „przerażona”. To tylko drobny gest, komendancie. Nie chcę w żadnym razie sprawiać panu kłopotów. Nie przyjechałem po to, by utrudniać panu sprawę, chcę się tylko z nim zobaczyć. Ona błaga, by się pan przychylił do mojej prośby: błaga – tego słowa też użyła. Niech się pan postawi na jej miejscu. Proszę pomyśleć, w jakim stanie by pan był, gdyby na miejscu tego chłopca znalazła się pańska córka. Dziesięć minut, ani chwili więcej.

Servaz zmierzył go wzrokiem. Adwokat wytrzymał spojrzenie. Policjant próbował w oczach mężczyzny pogardę, smutek lub zakłopotanie, ale nie znalazł w nich niczego. Zobaczył jedynie własne odbicie w szklach jego okularów.

– Dziesięć minut.

SOBOTA

WSPOMNIENIA

Deszcz padał bez przerwy na drogi i lasy z nieba, które miało żółtawą barwę rozkładającego się trupa. Jakby niebiosa wylewały raczej żółć niż łzy, jakby ktoś tam na górze wyzynał na ziemię brudną gąbkę. Powietrze było ciężkie, lepkie i wilgotne. Był wtorek, 12 czerwca, przed ósmą rano. Servaz był w drodze do Marsac, tym razem sam.

Przespał się niecałe dwie godziny w jednej z cel aresztu, w toalecie opłukał pachy i twarz, wytarł się papierowymi ręcznikami z dystrybutora i z trudem utrzymywał oczy otwarte.

Prowadził jedną ręką, w drugiej ściskając kubek termiczny z letnią kawą. Jego powieki opadały i podnosiły się, naśladując senny rytm wycieraczek. W ręce z kubkiem zmieścił się jeszcze papieros, którym policjant zapamiętało się zaciągał. Wszystko do niego wracało. Jego wyostrzoną świadomość ogarnęła ogłupiająca jasność. Pożar pamięci. Lata młodości miały smak krajobrazu, który właśnie przemierzał. Jesienią miały smak liści, które uciekały na boki przed pędzącym samochodem, podczas gdy on słuchał włączonej na cały regulator muzyki; w ciągu niekończących się, skąpanych w deszczu listopadowych tygodni – smutnych, cichych korytarzy zalanych szarym światłem; a potem – białego blasku bijącego od pierwszego śniegu, radosnej muzyki rockowej dochodzącej zza drzwi pokoi akademika w okolicach Bożego Narodzenia, wiosennych pąków i kwiatów, które rozkwitały wszędzie i jak syreni śpiew, jak raj utracony kusily ich, by wyszli na zewnątrz wtedy, gdy nadchodził czas intensywniejszej nauki albo zbliżały się kwietniowe i majowe zaliczenia pisemne. I wreszcie – upalnych czerwcowych dni, rażącego bladoniebieskiego nieba, zbyt jaskrawego światła i brzęczenia owadów.

Były też twarze.

Dziesiątki... Młode, szczere, złośliwe, inteligentne, żarliwe, skupione, przyjazne, wszystkie pełne nadziei i marzeń, niecierpliwe. I wreszcie samo Marsac: puby, kino Art et Essai, w którym wyświetlano Bergmana, Tarkowskiego i Godarda, ulice, skwery. Kochał te lata. O, Bóg wie, jak bardzo je kochał. Mimo że wtedy podchodził do nich z beztróską, usianą

przyprawiającymi o zawrót głowy chwilami szczęścia i głębokiej jak zjazd po kwasie rozpaczy.

Najgorsza z tych chwil miała na imię Marianne.

Po dwudziestu latach rana, o której myślał, że nigdy już się nie zablizni, jednak się zagoiła i mógł eksplorować ten okres z ciekawością archeologa. Przynajmniej tak sądził. Do wczoraj.

Pokonał długą, prostą aleję z platanami po obu stronach i jego jeep cherokee zatrząsł się na wyłożonej starym brukiem uliczce. Miasto wyglądało zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru, gdy przejeżdżali przez nie w ciemności. Gładkie twarze studentów ubranych w odblaskowe kurtki, rzędy rowerów, wystawy sklepowe, puby, fasady budynków, ponure, ociekające wodą zadaszenia tarasów: wszystko nagle stanęło przed nim, tak jakby w ciągu tych dwudziestu lat nic się nie zmieniło, jakby przeszłość deptała mu po piętach, przez cały ten czas czekając na dogodny moment, by chwycić go za gardło i głowę w dół zanurzyć we wspomnieniach.

PRZYJACIELE I WROGOWIE

Wysiadł z samochodu i zauważył grupę licealistów, która truchtem przebiegła obok niego w strugach deszczu. Na czele gromadki znajdował się wuefista o zaciętej twarzy i Servaz przypomniał sobie podobnego nauczyciela, który lubił upokarzać i hartować swoich uczniów. Policjant wszedł głównymi schodami, zerkając na konie, które obojętne na wszystko pasły się na dużej łące.

– Komendant Servaz – przedstawił się sekretarce siedzącej w gabinecie za holem – chciałbym się spotkać z dyrektorem.

Spojrzała podejrzliwie na jego przemoknięte ubranie.

– Jest pan umówiony?

– Prowadzę dochodzenie w sprawie śmierci profesor Diemar.

Zobaczył, że do jej oczu, ukrytych za szklami okularów, napłynęły łzy. Kobieta podniosła słuchawkę i ścisząc głos, powiedziała kilka słów. Następnie wstała.

– Nie trzeba. Znam drogę – powiedział.

Przez chwilę się zawahała, po czym usiadła. Wyglądała, jakby coś jej leżało na sercu.

– Pani Diemar... – odezwała się. – Claire... To była dobra osoba. Mam nadzieję, że ukarzenie tego, kto to zrobił.

Nie powiedziała znajdziecie, ale ukarzenie. Servaz był pewien, że całe Marsac wie, iż Hugo został zatrzymany na miejscu zbrodni. Ruszył korytarzem. W tej części liceum panowała cisza, zajęcia odbywały się gdzie indziej – w betonowych klockach otoczonych trawnikami i supernowoczesnej auli, której za jego czasów jeszcze nie było. Wyczerpany dotarł na szczyt krętych schodów wiodących środkiem okrągłej wieży. Drzwi otworzyły się prawie natychmiast. Dyrektor przybrał stosowną do okoliczności poważną minę, ale zaskoczenie zniweczyło włożony wysiłek.

– Poznaję pana. Pan jest...

– Ojcem Margot, tak. Jestem również komendantem prowadzącym śledztwo.

Twarz dyrektora spochmurniała.

– Co za straszna historia. Że już nie wspomnę, jak to wpłynie na reputację tej placówki: nauczycielka zamordowana przez ucznia!

No tak...

– Nie wiedziałem, że śledztwo jest już zakończone – powiedział Servaz, wchodząc do pomieszczenia. – Ani o tym, że upubliczniono jego szczegóły.

– Przecież Hugo został zatrzymany w mieszkaniu pani Diemar, prawda? A więc sprawa jest jasna: wszystko wskazuje na niego.

Servaz rzucił mu spojrzenie o temperaturze ciekłego azotu.

– Rozumiem, że pan chce szybkiego zakończenia tego śledztwa – odparł. — W interesie tej placówki...

– Właśnie.

– Ale niech pan zostawi tę robotę nam. Rozumie pan, że nie mogę powiedzieć więcej.

Dyrektor się zaczerwienił i energicznie pokiwał głową.

– Tak, tak. Oczywiście, oczywiście. Ma się rozumieć. Naturalnie.

– Niech mi pan o niej opowie – poprosił Servaz. Grubas wyglądał na spanikowanego.

– Była dobrym wykładowcą?

– Tak. No cóż. Nie zawsze zgadzaliśmy się z jej metodami... pedagogicznymi. Ale uczniowie... Uczniowie, no... bardzo ją lubili.

– Jakie stosunki z nimi utrzymywała?

– Co... Co pan ma na myśli?

– Czy była z nimi blisko? Czy zdystansowana? Surowa? Przyjazna? A może pana zdaniem za bardzo się spoufalala? Powiedział pan, że uczniowie bardzo ją lubili.

– Normalne stosunki.

– Czy któryś z uczniów albo profesorów mógł mieć do niej jakieś pretensje?

– Nie rozumiem pańskiego pytania.

– Była piękną kobietą. Mogła być obiektem zainteresowania ze strony kolegów albo nawet uczniów. Nigdy nie zgłaszała panu tego typu spraw?

– Nie.

– Żadnych niestosownych kontaktów z uczniami?

– Hm, hm. Nic mi o tym nie wiadomo...

Servazowi nie umknęła różnica między dwiema odpowiedziami. Odłożył jednak pogłębianie tej kwestii na później.

– Czy mogę zobaczyć jej gabinet?

Mężczyzna poszedł do szuflady po klucz i ciężkim krokiem ruszył do drzwi.

– Proszę za mną.

Zeszli piętro niżej. Idąc korytarzem, Servaz przypominał sobie, gdzie znajdowały się gabinety jego profesorów. Nic się nie zmieniło. Ten sam zapach pasty, białe ściany, te same skrzypiące podłogi.

– Och! – zawołał nagle dyrektor,

Servaz podążył wzrokiem za jego spojrzeniem i pod jednymi z drzwi zauważył wielobarwny stos: bukiety kwiatów, napisane ręcznie lub wydrukowane karteczki, niektóre złożone na czworo, inne zwinięte i przepasane kolorową wstążką. Na wypastowanej podłodze stało kilka świec. Mężczyźni spojrzeli po sobie i przez chwilę poczuli jakiś rodzaj podniosłości. Nie trwało to długo. Servaz domyślił się, że wiadomość obiegła już akademiki. Schylił się, chwycił jedną z karteczek i rozłożył ją. Kilka słów napisanych fioletowym atramentem: *Płomień zgasł. Ale w nas nigdy ten płomień nie przestanie płonąć. Dziękuję.* To wszystko. Poczuli się dziwnie poruszony. Nie czytał pozostałych kartek; postanowił, że zleci to komu innemu.

– Co pan o tym sądzi? Co mam z tym zrobić?

W głosie dyrektora słyszeć było raczej nudę niż wzruszenie.

– Proszę tego nie ruszać – odpowiedział Servaz.

– Ale jak długo? Nie jestem pewien, czy innym profesorom to się spodoba.

Przede wszystkim tobie się to nie podoba, ty staruchu o spróchniałym sercu, pomyślał policjant.

– Podczas całego śledztwa. Miejsce zbrodni – rzucił, puszczając oko. – Oni żyją, ona nie. Niech to im wystarczy.

Mężczyzna wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

– To tutaj.

Wyraźnie nie miał wielkiej ochoty wchodzić. Servaz przeszedł przed nim, robiąc duży krok nad stertą kwiatów i świec.

– Dziękuję.

– Czy jeszcze mnie pan potrzebuje?

– Na razie nie. Myślę, że trafię do wyjścia.

– Hm, hm. Niech pan nie zapomni odnieść mi klucza, jak pan skończy.

Ostatni raz pokiwał głową. Servaz patrzył za odchodzącym mężczyzną.

Nałożył rękawiczki i zamknął drzwi. W białym pomieszczeniu panował nieopisany bałagan. Na ustawionym na środku biurku oprócz góry papierów wały się kubki pełne długopisów, markerów, flamastrów i ołówków, teczki na gumkę, bloczki kolorowych karteczek samoprzylepnych, lampka i telefon. Za biurkiem znajdowało się okno: sześć wąskich, wysokich szyb, a pod nimi trzy duże i trzy mniejsze. Servaz zauważył drzewa dzielące dwa szkolne podwórka: jedno należące do licealistów, drugie do studentów kursów przygotowawczych, a za nimi tonące w deszczu boiska i zagajniki. Przez całą długość ściany po prawej stronie biegły półki wypełnione książkami i segregatorami. Na lewo od okna, w kącie, masywny komputer – model, którego dawno już nie produkowano. I wreszcie na całej ścianie po lewej – dziesiątki rysunków i reprodukcji dzieł sztuki, przypinanych w jednym ciągu, często zachodzących na siebie, tworzących jakby wielobarwną łuskę. Większość z nich była Servazowi znana.

Wolno omiół pokój wzrokiem. Obszedł biurko i usiadł na fotelu.

Czego szukał? Przede wszystkim chciał zrozumieć, kim była osoba, która tu żyła i pracowała. Nawet gabinet jest zwierciadłem osobowości właściciela. Co widział? Na pewno kobietę, która lubiła otaczać się pięknem. Wybrała też gabinet z najlepszym widokiem na drzewa i boiska. Aby móc się napawać innym rodzajem piękna?

Piękno będzie konwulsyjne albo wcale go nie będzie.

Zdanie napisano wielkimi literami na ścianie, wśród reprodukcji i obrazów. Servaz rozpoznał autora – to André Breton. Co Claire widziała w tych słowach? Wstał i podszedł do książek na przeciwległej ścianie. Literatura starożytna (znana mu), pisarze współcześni, teatr, poezja, słowniki – i kolekcja książek z historii sztuki: Vasari, Witruwiusz, Gombrich, Panofsky, Winckelmann...

Nagle Servaz pomyślał o lekturach swojego ojca. Tak podobnych do książek Claire.

Uczucie, jakby w jego serce wbijał się metalowy klin. Nie dość głęboko, żeby zabić, ale wystarczająco, by zadać ból. Jak długo syn musi ciągnąć za sobą uczipiony ramion cień zmarłego ojca? Wzrok Servaza spoczywał na rzędach książek, ale umysłem mężczyzna patrzył dużo dalej. Kiedy był młody, sądził, że się od tego uwolni; wierzył, że wspomnienia tego rodzaju z czasem bledną, a w końcu stają się całkowicie nieszkodliwe. Ale stopniowo zdawał sobie sprawę, że cień wciąż przy nim jest. I czeka, aż odwróci głowę. W przeciwieństwie do niego cień miał przed sobą całą wieczność. I mówił wyraźnie: Nigdy cię nie opuszczę.

Uświadomił sobie, że może się pozbyć wspomnienia ukochanej kobiety, wspomnienia niewiernego przyjaciela, ale nie wspomnienia ojca, który popełnił samobójstwo i postanowił, że to właśnie on znajdzie jego zwłoki.

Servaz po raz tysięczny ujrzał oczami duszy promień wieczornego światła, który wpadał do gabinetu i muskał grzbiety książek, jak w filmie Bergmana, przypominał sobie fruwały w powietrzu kurz i usłyszał muzykę: Mahlera. Zobaczył martwego ojca, siedzącego w fotelu z otwartymi ustami, białą strużkę spływającą po jego podbródku. Trucizna... Jak Seneka, jak Sokrates. To ojciec tchnął w Martina zamiłowanie do tej muzyki i do tych autorów w czasach, gdy był jeszcze trzeźwym i cenionym przez uczniów profesorem. Jego ojciec przeżył śmierć swojej żony, a mówiąc dokładniej – gwałt i zabójstwo jego matki, tam, na jego oczach. Przeżył dziesięć lat powolnego zstępowania do piekieł, dziesięć lat wymierzania sobie kary za to, że nie był w stanie nic zrobić, ponieważ był przywiązany do krzesła i mógł ich tylko błagać, żeby przestali, tych dwóch bandytów, którzy odwiedzili ich w pewien lipcowy wieczór. Aż któregoś dnia ojciec postanowił z tym skończyć. Raz a dobrze. Tym razem nie miała to już być powolna śmierć pijaka, ale końcowy akord, na wzór

starożytnych: trucizna. Ojciec, który zdecydował, by to właśnie on go znalazł. Dlaczego? Servaz nigdy nie poznał satysfakcjonującej odpowiedzi na to pytanie. Ale kilka tygodni po tym, jak znalazł ciało, przerwał studia i zdał egzamin do policji. Zganił siebie. Skup się! Czego tu szukasz? Skup się, do cholery! Zaczął już do pewnego stopnia wyczuwać osobowość Claire Diemar. Osoba, która żyje sama, ale z całą pewnością nie należy do samotników, miłośniczka piękna, zwolenniczka elitaryzmu, oryginalna, trochę outsiderka. Sfrustrowana artystka, która straciła złudzenia i poświęciła się nauczaniu. Nagle zauważył przed sobą leżący na biurku otwarty zeszyt. Schylił się i przeczytał:

Przyjaciół to czasem puste słowo. Nieprzyjaciół – nigdy.

Na pierwszej stronie.

Przewracał kartki. Wszystkie były białe... Zbliżył zeszyt do nosa. Nowy. Wszystko wskazywało na to, że Claire Diemar właśnie go kupiła. Zbity z tropu jeszcze raz przeczytał zdanie. Co chciała przez to powiedzieć? Dla kogo to zdanie było przeznaczone? Zanotowała je dla siebie czy dla kogoś innego? Zapisał je w notatniku.

Wrócił myślą do telefonu komórkowego ofiary.

Jeśli Hugo był winny, nie miał żadnego powodu, by go usuwać, i tak wszystko wskazywało na niego: jego obecność na miejscu zbrodni, stan, w jakim się znajdował, także jego komórka, którą miał przy sobie i kilkanaście połączeń z Claire zapisanych w pamięci telefonu. To było bez sensu. A jeśli to nie Hugo był sprawcą i jeśli morderca usunął telefon ofiary, to był idiotą. Niezależnie od tego, czy dysponują aparatem czy nie, telekomunikacja i tak za parę godzin przekaże im wykaz połączeń przychodzących i wychodzących z telefonu młodej kobiety. I co z tego? Przecież szczęśliwym trafem większość kryminalistów to imbecyle. Chyba że odurzony Hugo znalazł się na miejscu zbrodni w charakterze kozła ofiarnego, a sprytny magik czaił się gdzieś w cieniu. W takim wypadku jednak ten ostatni nie mógł być aż tak głupi, by popełnić podobny błąd.

Było trzecie rozwiązanie. Hugo był winien, a telefon zniknął z przyczyn niemających nic wspólnego ze zbrodnią. Często w śledztwie zdarza się, że jakiś natrętny drobny szczegół nie daje spokoju śledczym, aż do dnia, kiedy orientują się, że nie ma on żadnego związku ze sprawą.

W pomieszczeniu było duszno i Servaz szeroko otworzył główne skrzydło okna. Wilgotny powiew musnął jego twarz. Usiadł przed komputerem. Antyczny sprzęt przez chwilę jęczał i zgrzytał, po czym na monitorze ukazał się obraz pulpitu. Komputer nie zażądał hasła. Servaz znalazł ikonę programu pocztowego i kliknął. Tym razem hasło było potrzebne. Policjant zajrzał do notatek, spróbował kilku kombinacji daty urodzenia z inicjałami pisanych w tę i z powrotem. Nic się nie wydarzyło. Wystukał słowo „Lalki”. Znowu nic. Claire wykladała literaturę i kulturę starożytną. Spędził więc kolejne pół godziny na wpisywaniu imion filozofów i poetów greckich i łacińskich, tytułów dzieł, imion bogów i postaci mitologicznych, a nawet słów takich jak „wyrocznia” czy „retry” – to ostatnie to nazwa odpowiedzi, której udziela wyrocznia. Za każdym razem wyświetlał się komunikat: „Login lub hasło nieprawidłowe”.

Już miał dać spokój, kiedy znowu spojrzął na ścianę z reprodukcjami i napisem. Wystukał hasło „André Breton” i wreszcie skrzynka się otworzyła.

Pusto. Biały ekran. Żadnych wiadomości.

Servaz kliknął na foldery „Wiadomości wysłane” i „Kosz”. To samo. Odchylił się w fotelu.

Ktoś wyczyścił pocztę Claire Diemar.

Servaz wiedział, intuicja go nie zawiodła, gdy uznał, że ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się zdaje. Był w niej jakiś kąt martwy. Zbyt wiele faktów się nie zgadzało. Wyjął telefon i wybrał numer pracowni badań informatycznych. Po drugim dzwonku ktoś odebrał.

– Czy u Claire Diemar był jakiś komputer?

– Tak. Laptop.

Sprawdzanie komunikatorów i twardego dysku w komputerze ofiary to już rutyna.

– Zbadaliście go?

– Jeszcze nie – odpowiedział głos w słuchawce.

– Możesz rzucić okiem na pocztę?

– W porządku, skończę coś i zaraz się do tego zabieram.

Sięgnął za stary komputer i jedno po drugim odłączył wszystkie gniazda. To samo zrobił z telefonem stacjonarnym, wysłedziwszy bieg

kabla pod górą papierów. Wyjął z kieszeni kurtki torebkę na materiał dowodowy i wsunął do niej otwarty zeszyt.

Otworzył drzwi gabinetu, wrócił, położył telefon stacjonarny oraz zeszyt na komputerze i podniósł urządzenie. Komputer był spory i ciężki. Zanim Servaz znalazł się na dole, musiał dwukrotnie odpoczywać, odkładając ciężar na schody. Następnie ruszył korytarzem w stronę holu. Odwrócił się tyłem i pośladkami pchnął wahadłowe drzwi. Gdy znalazł się na głównych schodach, znowu odstawił komputer, wyjął kluczyki do jeepa, otworzył centralny zamek i pospieszył do samochodu, patrząc, jak krople deszczu spadają na nieprzemakalną torebkę, do której włożył zeszyt. Zamierzał powierzyć komputer i telefon pracowni badań informatycznych, a zeszyt oddać do zbadania w laboratorium kryminalnym i stycznym. Kiedy położył wszystko na tylnym siedzeniu, wyprostował się i zapalił papierosa.

Deszcz moczył kołnierz jego kurtki i koszuli, ale policjant tego nie czuł. Był zbyt zajęty własnymi myślami. Zaciągnął się papierosem i poczuł, jak stymulująca dawka nikotyny dociera do jego płuc i mózgu. Krople deszczu okrywały jego twarz delikatnym welonem świeżości. Muzyka... Znowu ją słyszał. *Kindertotenlieder*... Czy to możliwe?

Rozejrzał się dookoła – jakby on mógł gdzieś tam być – i nagle coś przykuło jego uwagę.

Rzeczywiście w pobliżu ktoś był.

Jakaś postać. Opatulona w przeciwdeszczową pelerynę w kolorze butelkowej zieleni. Głowa ukryta w cieniu kaptura. Servaz dostrzegł dół twarzy i domyślił się, że chodzi o młodą osobę.

Uczeń.

Obserwował Servaza z odległości około dziesięciu metrów, stojąc na niewielkim pagórku w kępie drzew, z rękami w kieszeniach plastikowej peleryny. W kącikach jego ust błąkał się lekki uśmiezek. Jakbyśmy się znali, pomyślał policjant.

— Hej, proszę pana! – zawołał.

Młody człowiek spokojnie odwrócił się na pięcie i niespiesznie ruszył w stronę szkolnych budynków. Servaz musiał do niego podbiec.

– Hej, proszę zaczekać!

Student się odwrócił. Był odrobinę wyższy od Servaza. Pod kapturem lśniła blond grzywka i broda. Duże, jasne oczy. Pytające spojrzenie. Usta

rozciągnięte w uśmiechu. Policjant ni stąd, ni zowąd zaczął się zastanawiać, czy Margot zna tego chłopaka.

– Słucham? Do mnie pan mówi?

– Tak. Dzień dobry. Nie wie pan, gdzie mogę znaleźć profesora Van Ackera? Ma zajęcia w sobotę rano?

– Sala numer 4, tamten pawilon. Ale na pana miejscu zaczekałbym, aż skończy. Nie za bardzo lubi, jak mu się przeszkadza. Och...

Servaz patrzył na młodego człowieka. Chłopak, rozbawiony, uśmiechnął się szerzej.

– Pan jest ojcem Margot, prawda?

To pytanie go zaskoczyło. W jego kieszeni zabręczał telefon, ale policjant zignorował połączenie.

– A pan, kim pan jest?

Młodzieniec podał mu dłoń, którą wyjął spod peleryny.

– David. Jestem na drugim roku kursów. Bardzo mi miło.

Servaz uświadomił sobie, że chłopak jest na tym samym roku co Hugo. Również podał mu rękę. Szczery, prosty uścisk dłoni.

– To skąd pan zna Margot?

– Tutaj wszyscy się znają. A Margot trudno nie zauważyć.

To samo mówił Hugo.

– Ale pan wie, że jestem jej ojcem.

Młody człowiek zatopił jasne spojrzenie w oczach policjanta.

– Byłem tu wtedy, kiedy przyjechał pan z nią pierwszy raz.

– A, rozumiem.

– Jeśli jej pan szuka, powinna być w sali.

– A Claire Diemar, uczyła pana?

Młody człowiek przez chwilę milczał.

– Tak, dlaczego?

Servaz odsłonił odznakę.

– Prowadzę śledztwo w sprawie jej śmierci.

– O kurwa, glina! – W głosie chłopaka nie było agresji, raczej go zatkało.

Servaz nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Dokładnie tak.

– Wszyscy jesteśmy w szoku. To była naprawdę świetna nauczycielka, wszyscy ją cenili. Ale... – Młody człowiek spuścił głowę i wlepił wzrok w czubki trampek. Gdy uniósł ją z powrotem, Servaz wyczytał w jego oczach znajomy blask, jaki często widywał w spojrzeniu osób związanych z oskarżonymi. Mieszanka zdenerwowania, niezrozumienia i niedowierzania. Odmowa przyjęcia do wiadomości. – Nie potrafię uwierzyć, żeby Hugo mógł to zrobić. Niemożliwe. To nie on.

– Dobrze go pan zna?

– To jeden z moich najlepszych przyjaciół.

Oczy młodego człowieka były lekko wilgotne. Był na krawędzi płaczu.

– Był pan z nim w pubie wczoraj wieczorem?

David odwzajemnił Servazowi zdecydowane spojrzenie.

– Tak.

– Pamięta pan, o której mniej więcej wyszedł?

Tym razem w oczach chłopaka widać było więcej ostrożności. Zastanawiał się przez chwilę.

– Nie, ale pamiętam, że nie czuł się dobrze. Czuł się... dziwnie – odpowiedział.

– Tak powiedział? Że czuje się dziwnie?

– Tak. Nie był w formie.

Servaz wstrzymał oddech.

– Nic więcej nie powiedział?

– Nie. Tylko że naprawdę kiepsko się czuje i że... woli już wracać. Wszyscy byliśmy zaskoczeni. Bo miał się zacząć mecz.

Młody człowiek zastanawiał się nad końcówką, zdając sobie sprawę, że jego słowa mogą pograżyć przyjaciela. Servaz jednak patrzył na tę sprawę zupełnie inaczej. Czy Hugo użył pretekstu, by się wymknąć i pojechać do Claire Diemar, czy też rzeczywiście był chory?

– A potem?

– Po czym?

– Wyszedł i więcej go pan nie widział?

Młody człowiek znowu się zawahał.

– Tak, tak było.

– Dziękuję panu.

Zauważył, że David jest zmartwiony, że niepokoi się, jak Servaz zinterpretuje jego słowa.

– To nie on – rzucił. – Jestem przekonany. Gdyby znał go pan tak dobrze jak ja, też by pan o tym wiedział.

Servaz pokiwał głową.

– To jest bardzo inteligentny facet – nalegał David, jakby to mogło pomóc koledze. – Entuzjastyczny, pełen życia. To lider, gość, który konsekwentnie wierzy w swoje szczęście i potrafi się dzielić swoimi pasjami. Ktoś, komu dobrze we własnej skórze. Wierny w przyjaźni. To, co się stało, zupełnie do niego nie pasuje! – Chłopak mówił o przyjacielu drżącym głosem. Starł wodę, która ciekła mu po nosie, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł ze spuszczoną głową.

Servaz przez chwilę śledził go wzrokiem.

Wiedział, co David chciał powiedzieć. W Marsac zawsze był jakiś Hugo: gość jeszcze zdolniejszy, jeszcze bardziej błyskotliwy, jeszcze bardziej wybitny i pewny siebie niż inni, ktoś, kto przyciąga wszystkie spojrzenia i ma swój orszak wielbicieli. Za czasów Servaza ten ktoś nazywał się Francis Van Acker.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Połączenie z pracowni badań informatycznych. Oddzwonił.

– Hasło było zapamiętane w komputerze – powiedział głos po drugiej stronie słuchawki. – Każdy mógł się dostać do poczty. I ktoś ją wyczyścił.

VAN ACKER

Zatrzymał się w pobliżu betonowego pawilonu i wyjął z paczki kolejnego papierosa. Oparł się o drzewo. Przez otwarte okna dochodził głos. Niezmieniony. Taki sam jak dwadzieścia lat wcześniej. Wystarczyło go usłyszeć, by się zorientować, że ma się do czynienia z człowiekiem inteligentnym, aroganckim i budzącym respekt.

– To, co tu czytam, to wypociny bandy nastolatków, niezdolnych do patrzenia poza granice skarłałego świata swoich emocji. Nudziarstwo, sentymentalizm, masturbacja i trądzik. Na Boga! Macie się za najlepszych? Obudźcie się! W tym nie ma ani jednej oryginalnej myśli.

Servaz zapalił papierosa i pstryknął zapalniczką. Erupcja pompatyczności Francisa Van Ackera dobiegła końca.

– W przyszłym tygodniu zaczniemy równoległe studium trzech lektur: *Pani Bovary*, *Anna Karenina* i *Effi Briest*. Trzy książki wydane między rokiem 1857 a 1894, w latach, kiedy skonkretyzowała się forma powieści. Czy jakimś cudem jest w tym gronie osoba, która przeczytała wszystkie trzy? Czy istnieje ten rzadki ptak? Nie? A może jest przynajmniej ktoś, kto ma jakąś intuicję na temat punktu wspólnego tych trzech książek?

Cisza, a potem głos z sali:

– To trzy historie kobiet cudzołożnych.

Servaz drgnął. To Margot.

– Dokładnie tak, panno Servaz. No cóż, widzę, że jest w tej klasie choć jedna osoba, która nie zatrzymała się w rozwoju na lekturze *Spidermana*. Trzy historie kobiet cudzołożnych. Ich szczególną cechą jest fakt, iż wszystkie zostały napisane przez mężczyzn. Trzy mistrzowskie sposoby potraktowania tego samego tematu. Co dowodzi, że twierdzenie Hemingwaya, jakoby należało pisać tylko o tym, co się zna, to niedorzeczność. Jak wiele innych sentencji starego dobrego Ernesta. Znakomicie. Wiem, że niektórzy z was mają z pewnością plany na weekend i rok szkolny jest, rzecz by można, skończony, ale chcę, żebyście do końca przyszłego tygodnia przeczytali te trzy książki. I pamiętajcie, że w poniedziałek czekam na wasze prace.

Trzaskanie krzesel. Servaz schował się za rogiem budynku. Nie chciał teraz wpaść na Margot, zamierzał spotkać się z nią później. Patrzył, jak oddala się w grupie uczniów. Margot rozmawiała z dwiema dziewczynami. Opuścił kryjówkę w chwili, gdy Van Acker schodził po trzech stopniach pawilonu, otwierając parasol.

– Dzień dobry, Francis.

Przez twarz Van Ackera przemknął bardzo delikatny grymas zaskoczenia. Parasol się poruszył.

– Martin... No tak, sądzę, że po tym, co się stało, powinienem się spodziewać twoich odwiedzin.

Niebieskie oczy mężczyzny były wciąż tak samo przenikliwe. Mięsiasty nos, usta wąskie, ale zmysłowe, starannie przycięta broda. Francis Van Acker był taki sam jak ten z jego wspomnień. Dosłownie promieniejący. Tylko kilka siwych włosów pojawiło się w jego brodzie i kosmyku kasztanowych włosów, który spadał mu na czoło.

– Co powinno się powiedzieć w takich okolicznościach? – zakpił. – Kopę lat?

– *Fugit irreparabile tempus* – odparł Servaz. Van Acker parsknął śmiechem.

– Zawsze byłeś najlepszy z łaciny. Nawet nie wiesz, jak mnie to wkurzało.

– I to jest twój słaby punkt, Francis. Zawsze chciałeś być we wszystkim najlepszy.

Mężczyzna nie odpowiedział. Jego twarz lekko się nachmurzyła. Nie trwało to jednak długo i po chwili znów pojawił się na niej prowokujący uśmiech.

– Nigdy tu nie przyjeżdżałeś. Dlaczego?

– To ty mi powinieneś powiedzieć dlaczego.

Van Acker nie spuszczał z niego wzroku. Mimo panującej wilgoci miał na sobie tę samą granatową sztruksową marynarkę, którą Servaz znał od zawsze. Nigdy nie widział go w innym stroju. W czasach, gdy obaj byli studentami, stało się to nawet przedmiotem żartów: Francis Van Acker miał szafę pełną identycznych granatowych marynarek i białych koszul znanej amerykańskiej marki.

– No cóż, obaj wiemy dlaczego, Edmondzie Dantès – powiedział.

Servaz poczuł suchość w gardle.

– Podobnie jak hrabia de Morcerf, ukradłem ci Mercedes. Z tą różnicą, że ja jej nie poślubiłem.

Podmuch gniewu na moment rozżarzył wewnątrz Servaza do czerwoności. Potem na nowo opadł na nie popiół minionych lat.

– Słyszałem, że Claire została zamordowana w okrutny sposób.

– Co się na ten temat mówi w Marsac?

– Znasz Marsac, tutaj w końcu wszyscy o wszystkim się dowiedzą. Żandarmi okazali się raczej... gadatliwi. Reszta rozeszła się pocztą pantoflową. Z tego, co słyszałem, została związana i utopiona we własnej wannie. To prawda?

– Bez komentarza.

– Boże! Swoją drogą fajna babka. Błyskotliwa. Niezależna. Uparta. Z pasją. Jej metody pedagogiczne nie wszystkim się podobały, ale moim zdaniem były dość... interesujące.

Servaz kiwnął głową. Ruszyli wzdłuż betonowych pawilonów o brudnych oknach.

– Co za okropna śmierć. Trzeba być szaleńcem, żeby zabić kogoś w taki sposób.

– Albo bardzo się wkurzyć.

– *Ira furor brevis est*. Gniew jest krótkotrwałym obłędem.

Szli teraz wzdłuż opustoszałych kortów tenisowych. Nasiąknięte siatki zwisały jak liny na ringu bokserskim pod ciężarem niewidzialnego zawodnika.

– Jak idzie Margot? – zagadnął Servaz. Van Acker się uśmiechnął.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Margot ma prawdziwy talent i radzi sobie całkiem nieźle. Ale będzie sobie radzić jeszcze lepiej, kiedy zrozumie, że konsekwentny antykonformizm to tylko inny rodzaj konformizmu.

Teraz uśmiechnął się Servaz.

– A zatem to ty prowadzisz śledztwo – powiedział Van Acker. – Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego wstąpiłeś do policji. – Podniósł rękę, uprzedzając ewentualny sprzeciw. – Wiem, że to się wiąże ze śmiercią twojego ojca, a schodząc jeszcze głębiej, z tym, co się stało z twoją matką,

ale na Boga, mogłeś zostać kim innym. Mogłeś zostać pisarzem, Martin. Nie takim, jak ci wszyscy grafomani, prawdziwym pisarzem. Miałeś polot, miałeś dar. Pamiętasz ten tekst Salingera, który w kółko cytowaliśmy, jeden z najpiękniejszych, jaki kiedykolwiek powstał na temat pisarstwa i braterstwa?

– *Seymour: wstęp* – odpowiedział Servaz, starając się nie ulec wzruszeniu.

– „Główną osobą w moim opowiadaniu – Francis zaczął powolną recytację, idąc wciąż w tym samym rytmie – przynajmniej w momentach jasności myśli, gdy będę mógł zmusić się do spokoju i rozsądku, ma być mój nieżyjący już najstarszy brat, Seymour Glass, który, wolę to wyrazić w jednym zdaniu i stylem nekrologu, w roku 1948, podczas wakacji spędzanych z żoną na Florydzie, popełnił samobójstwo”.

– „Za życia znaczył wiele dla wielu osób – podjął Servaz po chwili wahania – a dla swoich braci i sióstr w naszej nieco zbyt licznej rodzinie, był wszystkim, co najważniejsze: naszym niebiesko pręgowanym jednorożcem, naszym wklęsłym zwierciadłem, naszym generalnym doradcą, naszym przenośnym sumieniem, konwojentem naszego ładunku i jedynym naszym dojrzałym poetą, a poza tym nieuchronnie, jak mi się zdaje, skoro powściągliwość nigdy nie była jego najmocniejszą stroną, a w dodatku prawie przez siedem lat błyszczał w ogólnokrajowym programie dziecinnej zgaduj-zgaduli, wskutek czego niewiele z tego, co myślał, zostało przemilczane, nieuchronnie więc i jawnie, jak mi się zdaje, był także naszym mistykiem i typem niezrównoważonym”.*

Uświadomił sobie, że choć nie wracał do tego tekstu tyle lat, pamiętał każde słowo. Nietknięte zdania, wypalone w pamięci ognistymi literami. W tamtym okresie to było ich zaklęcie, ich mantra, ich hasło.

Van Acker przystanął.

– Ty byłeś moim starszym bratem – powiedział nagle dziwnie wzruszonym głosem – byłeś moim Seymourem, i tego dnia, kiedy wstąpiłeś do policji, dla mnie ten starszy brat na swój sposób popełnił samobójstwo.

Servaz znowu poczuł przyływ gniewu. Tak? To dlaczego mi ją zabrałeś? – miał ochotę zapytać. Ją... a przecież mogłeś mieć tyle innych kobiet. I miałeś. I dlaczego potem ją porzuciłeś?

* Jerome Salinger, *Wyżej podnieście strop, cieśle. Seymour: wstęp*, przeł. Maria Skibniewska, Albatros, Warszawa 2007, s. 119.

Doszli na skraj sosnowego lasu – miejsca, z którego przy ładnej pogodzie można było podziwiać rozległą panoramę, ciągnącą się aż po oddalone o czterdzieści kilometrów Pireneje. Tego dnia jednak pagórki tonęły w deszczowych chmurach i mgle. To właśnie tutaj on i Van Acker mieli zwyczaj przychodzić przed dwudziestu laty. Z Marianne – zanim dziewczyna stała się między nimi kością niezgody, zanim zazdrość, gniew i nienawiść rozdzieliły ich i rozerwały ich więzi. Kto wie, może Van Acker ciągle tu przychodził, choć Servaz wątpił, by wspominał w ten sposób stare dobre czasy.

– Opowiedz mi o Claire.

– A co chcesz wiedzieć?

– Znałeś ją?

– Pytasz o to, czy znałem ją osobiście czy jako koleżankę?

– Osobiście.

– Nie, właściwie nie. Marsac to mała miejscina uniwersytecka. Przypomina trochę dwór w Elsynorze. Wszyscy się znają, wszyscy wszystkich szpiegują, spotwarzają, sztyletują. Każdy dba o to, by mieć coś do powiedzenia na temat swojego sąsiada, zdobyć jakieś informacje, najchętniej soczyste i pikantne. Cała ta uniwersytecka elita wyniosła sztukę obmowy i oszczerstwa na szczyty doskonałości. Spotykaliśmy się na różnych przyjęciach, wymienialiśmy zdania bez znaczenia.

– Krażyły jakieś plotki na jej temat?

– Naprawdę sądzisz, że w imię starej przyjaźni będę ci opowiadał wszystkie plotki i pogłoski, jakie można tu usłyszeć?

– Ach tak, to było ich aż tyle?

Ich uszu dobiegł szmer samochodu na wąskiej drodze wijącej się u stóp pagórka.

– Plotki, spekulacje, pogłoski... To tak się odbywa ten tak zwany wywiad środowiskowy? Claire była nie tylko niezależną i pociągającą kobietą, miała też zdecydowane poglądy na bardzo wiele tematów. I zachowywała się trochę... zbyt wojowniczo w czasie kolacji w mieście, na które była zapraszana.

– A poza tym? Jakies plotki na temat jej prywatnego życia? Wiesz coś o tym?

Van Acker schylił się, by podnieść sosnową szyszkę. Rzucił nią daleko, w dół zbocza.

– A jak uważasz? Piękna kobieta, samotna, inteligentna. Oczywiście, że mężczyźni się wokół niej kręcili. Nie była zakonnica.

– Spałeś z nią?

Van Acker rzucił mu nieprzeniknione spojrzenie.

– No proszę, komisarzy Maigret, to tak pracujecie w policji? Rzucacie się na pierwsze pojawiające się oczywistości? Zapomniałeś, jaka jest różnica między egzegezą a hermeneutyką? Przypominam ci, że Hermes, posłaniec, to zdradliwy bóg. Gromadzenie dowodów, poszukiwanie ukrytych znaczeń, zstępowanie aż do niezbadanych struktur intencjonalności: parable Kafki, wiersze Celana, zagadnienie interpretacji i subiektywności u Ricoeura, kiedyś się w tym lubowałeś.

– Czy ktoś jej groził? Zwierzała ci się? Czy jako koleżanka albo przyjaciółka opowiadała ci o jakiejś trudnej relacji czy zerwaniu, o kimś, kto by ją nękał?

– Nie, nie zwierzała mi się. Nie byliśmy ze sobą aż tak blisko.

– Nigdy ci nie mówiła o telefonach od jakichś dziwnych typów?

– Nie.

– Żadnych podejrzanych napisów na jej temat na murach liceum albo w okolicy?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– A Hugo, jakim był uczniem?

Na twarzy rozmówcy pojawił się przelotny uśmiezek.

– Siedemnaście lat, a już na drugim roku kursów, najlepszy w klasie. Rozumiesz, co mam na myśli? A poza wszystkim, przystojny gość, miał u stóp wszystkie, no, prawie wszystkie dziewczyny. Każdy chłopak marzy, by być kimś takim jak Hugo.

Przerwał i spojrzał na Servaza.

– Powinieneś się spotkać z Marianne.

Servaz poczuł ledwie dostrzegalny ruch powietrza – a może był to tylko podmuch wiatru wśród sosen.

– Zamierzam to zrobić w ramach śledztwa – odpowiedział chłodno.

– Nie tylko to mam na myśli.

Wszluchał się w szmer deszczu na dywanie z igliwia. Idąc w ślady Van Ackera, zapatrzył się w horyzont spowitych mgłą wzgórz.

– Obojętność nigdy nie była w twoim stylu, Martin. To twoje przewrażliwienie na punkcie sprawiedliwości, ten twój gniew, ten pieprzony idealizm... Idź się z nią zobaczyć. Ale nie otwieraj starych ran. – Po chwili milczenia dodał: – Ciagle mnie nienawidzisz, prawda?

Servaz nagle zaczął się zastanawiać, czy tak jest, czy rzeczywiście nienawidzi człowieka, który kiedyś był jego najlepszym przyjacielem. Czy to możliwe, by nienawidzić kogoś przez tyle lat i nigdy mu nie przebaczyć? O tak, możliwe. Uświadomił sobie, że jego paznokcie wpijają się w dłonie, które trzymał w kieszeniach. Odwrócił się na pięcie i oddalił się ciężkim krokiem, rozgniatając podeszwami sosnowe szyszki. Francis Van Acker stał bez ruchu.

Margot szła w jego kierunku, przebijając się przez ciżbę uczniów wypełniającą korytarze. Wyglądała na wyczerpaną. Odgadł jej stan po sposobie, w jaki zwieszała ramiona, niosąc książki. Uśmiechnęła się jednak na jego widok.

– A więc to tobie powierzyli śledztwo?

Servaz zamknął szafkę Hugona, w której nie znalazł nic prócz stroju sportowego i książek, i zmusił się do uśmiechu. Przytulił ją, stojąc w ciasnym tłumie, potrącany przez młodych ludzi, którzy przechodzili obok nich, ocierając się o siebie, zderzając ze sobą i głośno nawołując. Dzieciaki, to tylko dzieciaki, pomyślał. Są z planety, której imię „młodość”, równie wyjątkowej i odległej jak Mars. Planety, o której Servaz nie lubił myśleć w samotne, nostalgiczne wieczory, bo wtedy uświadamiał sobie, że wiek dorosły jest przekleństwem.

– Mnie też przesłuchasz jako świadka?

– Nie pali się. Chyba że chcesz mi coś zeznać, ma się rozumieć.

Puścił do niej oko i zobaczył, że dziewczynie ulżyło. Zerknęła na zegarek.

– Mam mało czasu, za pięć minut zaczyna się wykład z historii. Będziesz tu cały dzień czy wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie wiem. Jeśli zostanie do wieczora, moglibyśmy się umówić na kolację, co ty na to?

Margot się skrzywiła.

– Zgoda, ale szybko. Mam pracę do skończenia na poniedziałek i jestem zarobiona.

– Tak, słyszałem. Nieźle sobie poradziłaś dziś rano.

– Słucham?

– Na zajęciach z Van Ackerem.

– O czym ty mówisz?

– Byłem tam. Wszystko słyszałem. Przez okno. Spuściła wzrok i zaczęła się wpatrywać we własne stopy.

– Czy on... coś ci o mnie mówił?

– Francis? O tak. Nie mógł się ciebie nachwalić. Znam go, to u niego rzadkie. Powiedział, cytując: „Niedaleko pada jabłko od jabłoni”.

Zobaczył, że Margot czerwieni się z zadowolenia i przemknęło mu przez głowę, że jest taka sama jak on, gdy był w jej wieku. Rozpaczliwa potrzeba uznania i akceptacji. I, inaczej niż on, ukrywa tę słabość za buntowniczą postawą i pozorną niezależnością.

– Spadam – powiedziała. – Udanych łowów, Sherlocku!

– Zaczekaj! Znasz Hugona?

Jego córka zatrzymała się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Tak. A co?

Machnął ręką.

– A tak tylko pytam. On też mi o tobie mówił. Wróciła do niego.

– Tato, myślisz, że on jest winny?

– A jak ty myślisz?

– Hugo to dobry człowiek, to wszystko, co wiem.

– On mówił o tobie to samo.

Zobaczył, że Margot powstrzymuje się przed zadaniem kolejnych pytań.

– Claire Diemar cię uczyła?

Przytaknęła.

– Jaka ona była?

– Potrafiła sprawić, że jej zajęcia były ciekawe. Studenci ją cenili. Nie mogliśmy porozmawiać o tym kiedy indziej? Bo naprawdę się spóźnię.

– Ale jaka ona była?

– Radosna, żywiołowa, entuzjastyczna, bardzo ładna. Trochę sztywna, ale naprawdę równa babka.

Servaz skinął głową i zobaczył, jak Margot odwraca się na pięcie. Zauważył, że jej ramiona i plecy jeszcze bardziej się przygarbiły.

Ruszył korytarzem w stronę holu, torując sobie drogę wśród tłumy, rzucając okiem na korkowe tablice pokryte ogłoszeniami, regulaminami, ofertami wymiany i usług. Ta tradycja także była niezmienna. Servaz zastanawiał się tylko, czy na tablicach nadal wieszano ogłoszenia żartobliwe albo pisane wierszem, jak to było za jego czasów i wyszedł. Zabrzęczał jego telefon. Policjant spojrzał na wyświetlony numer: Samira.

– Tak?

– Chyba coś mamy.

– To znaczy?

– Kazalesz nam przecież nie skupiać się na chłopaku, prawda? Poczul, że jego puls przyspiesza.

– Dawaj.

– Pujol przypomniał sobie o sprawie, którą się zajmował kilka lat temu. Napad i gwałt na młodej kobiecie w jej domu. Znalazł tożsamość sprawcy w swoim programie i sprawdził archiwa.

Program do redakcji procedur. Przedpotopowy program komputerowy zajmujący mnóstwo miejsca w pamięci, za pomocą którego policjanci pisali wszystkie swoje protokoły. Już dawno miała być wdrożona jego nowa wersja. Servaz czekał na dalszy ciąg, obserwując konie hasające w szarym świetle, dostojne i eteryczne niczym jakieś niebiańskie stworzenia.

– Facet był wielokrotnie skazywany za napaści na tle seksualnym na młode kobiety, a nawet za jeden gwałt w mieszkaniu ofiary. W Tarbes, Montauban i Albi. Nazywa się Elvis Konstandin Elmaz. Kartoteka dość paskudna. W wieku dwudziestu pięciu lat miał już dwanaście wyroków za handel drogami, czynne napaści, kradzież. Teraz ma dwadzieścia siedem. Predator. Miał odrażający sposób działania: szukał ofiar na portalach randkowych. – Servaz przypomniał sobie wyczyszczone pocztę elektroniczną u Claire. – W 2007 roku w ten sposób umówił się z jedną ze swoich ofiar w jakimś miejscu publicznym w Albi, poszedł z nią do jej

mieszkania, grożąc nożem, przywiązał do kaloryfera i zakneblował. Zabrał jej też kartę do bankomatu, wcześniej wydobywszy od dziewczyny pin. A następnie zgwałcił ofiarę i zagroził konsekwencjami, jeśli wniesie skargę. Innym razem w parku w Tarbes po zmroku napadł na jakąś kobietę, związał ją i wpakował do bagażnika swojego samochodu, a potem zmienił zdanie i porzucił ofiarę w krzakach. Cud, że jeszcze nikogo nie zabił. – Przerwała na chwilę. – W każdym razie, jeśli się wykluczy... Krótko mówiąc, w tym roku wyszedł z więzienia.

– Mhm.

– Ale jest pewien szkopuł. – Usłyszał po drugiej stronie odgłos dzwonienia łyżeczką o filiżankę. – Wygląda na to, że miejscowy Elvis ma na wczorajszy wieczór solidne alibi. Brał udział w bójce w jakimś barze.

– To ma być solidne alibi?

– Nie, ale potem karetka zabrała go do Rangueil. Około dziesiątej został przyjęty na pogotowiu. Ciągle jest w szpitalu.

Dziesiąta wieczór. O tej godzinie Claire już nie żyła, a Hugo siedział na brzegu basenu. Czy Elvis zdążyłby wrócić do Tuluzy i wywołać bójkę, by załatwić sobie alibi? A gdyby tak było, to czy miałby czas i sposobność, by podać chłopakowi narkotyki?

– Naprawdę ma na imię Elvis?

Samira zachichotała w słuchawkę.

– Na sto procent. Dowiadywałam się: zdaje się, że w Albanii to dość popularne imię. W każdym razie do tego drania bardziej pasuje *Jailhouse Rock* niż *Don't Be Cruel*.

– No tak – odpowiedział Servaz, nie całkiem pewny, czy pojął aluzję.

– Co robimy, szefie? Mam go przesłuchać?

– Nie ruszaj się, już jadę. Dowiedz się tylko, czy przypadkiem nie wypuścili go ze szpitala.

– Nie ma obaw. Wczepię się w tego bydlaka jak wesz łonowa.

Interludium 1

NADZIEJA

Nadzieja to narkotyk.

Nadzieja to psychotrop.

Nadzieja to środek pobudzający silniejszy niż kofeina, khat, yerba mate, kokaina, efedryna, erytropoetyna, speedball czy amfetamina.

Nadzieja podnosiła jej tętno, przyspieszała oddech, podwyższa ciśnienie krwi, rozszerzała źrenice. Nadzieja stymulowała działanie nadnerczy, wyostrzała słuch i węch. Nadzieja ścisnęła jej żołądek. Jej mózg wspomagany nadzieją rejestrował nagle wszystkie sygnały z ostrością, jakiej dotychczas nie znała.

Sypialnia...

Ale nie jej. Kobieta przez krótką chwilę myślała, że obudziła się u siebie, a niekończące się miesiące spędzone w podziemnym lochu to tylko nocny koszmar. Zdawało jej się, że nadszedł ranek, który przeniósł ją z powrotem do jej dawnego życia, do cudownej, banalnej codzienności. Jednak ta sypialnia nie należała do niej.

Widziała to pomieszczenie po raz pierwszy. Nieznany pokój.

Rano. Lekko odwróciła głowę i zobaczyła, że przez rozsunięte zasłony na oknie znajdującym się niedaleko łóżka wpada coraz intensywniejsze światło. Budzik stojący na nocnej szafce wyświetlał na czerwono godzinę 6.30. Na drugim końcu pokoju stała szafa z lustrem. Kobieta podniosła głowę i zobaczyła swoje odbicie: stopy, kolana, a między nimi, w półmroku, własną twarz przypominającą pyszczek małego, przerażonego zwierzątka.

Obok niej ktoś spał.

Nadzieja wróciła. Mężczyzna zasnął i zapomniał znieść ją z powrotem do piwnicy, zanim narkotyk, który jej wstrzyknął, przestał działać! Nie wierzyła własnym oczom. Błąd, nareszcie, jeden jedyny błąd po tylu miesiącach niewoli. To była jej szansa. Miała wrażenie, jakby serce wyrywało się jej z piersi, jakby była na skraju zawału.

Nadzieja – upajająca nadzieja – buzowała jej w mózgu. Ostrożnie odwróciła głowę w jego stronę, słysząc w skroniach szalone pulsowanie krwi.

Spał z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Z uczuciem absolutnej neutralności spojrzała na leżącego obok niej nagiego mężczyznę. Ani nienawiści, ani fascynacji. To stadium minęło już dawno. Nawet niezbyt naturalny blond obciętych przy skórze włosów, ciemna bródka i ramiona czarne od tatuaży pokrywających jego ciało jak łuskowata skóra – wszystko to przestało już robić na niej wrażenie. Na widok strużek spermy na jego owłosionych udach przeszedł ją dreszcz. Nie miał on jednak nic wspólnego z nudnościami i uczuciem serca podchodzącego do gardła, które wstrząsały nią na początku. To stadium także miała już za sobą.

Nadzieja pomnażała jej siły. Nagle odczuła palące pragnienie, by opuścić to piekło. Stać się wolna. Tyle mieszanych uczuć... Po raz pierwszy od początku niewoli widziała światło dnia. Wcześniej nie oglądała go nawet przez zasłonięte okno. Po raz pierwszy obudziła się w łóżku, a nie na twardej ziemi swojego ciemnego lochu. To pierwsza sypialnia, jaką widziała od wielu miesięcy, a może nawet lat.

To niemożliwe. Coś musiało się stać.

Nie potrafiła jednak się rozluźnić. Światło coraz obficiej zalewało pokój. Mężczyzna w końcu się obudzi. Taka okazja więcej się nie powtórzy. Nagle wrócił strach.

Istniało rozwiązanie. Zabić go. Teraz, natychmiast. Roztrzaskać mu głowę nocną lampką. Wiedziała jednak, że jeżeli chybi, mężczyzna natychmiast się na nią rzuci. Był zbyt silny, a ona za słaba. Dwie inne możliwości: znaleźć broń – jakiś nóż, śrubokręt, ostry i ciężki przedmiot; albo uciec.

Zwyciężyło ostatnie rozwiązanie. Była tak osłabiona, miała w sobie tak niewiele sił, by stawić mu czoło. Ale dokąd uciec? Co było na zewnątrz? Podczas jednej, jedynej przeprowadzki słyszała śpiew ptaków, pianie koguta, rozpoznała zapach pól. Dom na odludziu...

Z sercem podchodzącym do gardła, przekonana, że mężczyzna prędzej czy później się obudzi i otworzy oczy, odrzuciła kołdrę, wyslizgnęła się z łóżka i zrobiła krok w kierunku okna.

Serce jej zamarło.

To nie mogła być prawda...

Zobaczyła zalaną słońcem łąkę i drzewa. Samotny dom stał w środku lasu jak w bajkach, które знаła z dzieciństwa. Widziała wysokie trawy, dzwonki, maki i fruujące nad nimi żółte motyle. Pomimo szyby słyszała śpiew ptaków witających nowy dzień. Po wszystkich tych miesiącach podziemnego piekła najprostsze i najpiękniejsze życie było tuż. Tak blisko.

Spojrzała na drzwi pokoju, które przyciągały ją z nieodpartą siłą. Wolność była tuż-tuż, po drugiej stronie. Rzuciła okiem na łóżko. Mężczyzna wciąż spał. Miała wrażenie, jakby jej tętno oszalało. Zrobiła pierwszy krok, potem drugi i trzeci, omijając łóżko i biurko. Klamka przekreśliła się bezszelestnie. Kobieta nie wierzyła własnym oczom. Drzwi się otworzyły. Cisza. Prosty korytarz. Po prawej i lewej stronie było kilkoro drzwi, kobieta jednak ruszyła przed siebie i dotarła do przestronnej jadalni. Od razu rozpoznała duży drewniany stół, ciemny jak jezioro, kredens, wieżę stereo, duży kominek, świeczniki. Oczyma duszy ujrzała pełne talerze i migocące świece, usłyszała muzykę, w nozdrzach poczuła zapach jedzenia. Wróciły jej mdłości. Nigdy więcej... Okiennice były zamknięte, ale światło wciskało się przez szpary, wpadając do środka wielkimi świetlistymi plastrami.

Przedpokój, drzwi wejściowe – tuż obok, w cieniu po prawej stronie. Kobieta znowu zrobiła dwa kroki. Uświadomiła sobie, że narkotyk, który jej podano, nie całkiem przestał działać. Czuła się, jakby szła w wodzie, jakby powietrze stawiało opór. Jej ruchy były ciężkie i niezdarne. Przystanęła. Nie może tak wyjść. Naga. Spojrzała za siebie i ścisnął jej się żołądek. Wszystko, tylko nie wracać do tego pokoju. Na sofie leżał pled. Chwyciła go i narzuciła sobie na ramiona. Podeszła do drzwi wejściowych. Podobnie jak reszta domu drzwi były wiekowe, zrobione z surowego drewna. Zwolniła zasuwkę, pchnęła je.

Poraziło ją słoneczne światło, śpiew ptaków eksplodował jak uderzenie w cymbały, muchy rzuciły się na nią z głośnym bzyczeniem, zapach trawy i drzew wdarł się w jej nozdrza, ciepło musnęło skórę. Przez chwilę poczuła zawrót głowy, oślepiona zamrugowała powiekami. Zaparło jej dech w piersiach. Była oszołomiona zmasowanym uderzeniem gorąca, światła i życia. Nagle poczuła się upojona wolnością jak koza pana Seguina, Ale strach prędko wrócił. Miała bardzo niewiele czasu.

Po prawej stronie zauważyła przybudówkę – rodzaj starego typu szopy – otwartą i na w pół zawaloną, z widocznymi belkami konstrukcyjnymi. Pod dachem zbiorowisko sfatygowanego sprzętu gospodarczego, narzędzi, sterta drewna i samochód.

Ruszyła w jego kierunku, stając bosą po nagrzanej już słońcem ziemi. Drzwi od strony kierowcy skrzypnęły podczas otwierania i kobieta przestraszyła się, czy hałas nie obudził oprawcy. Wnętrze miało woń kurzu, skóry i oleju silnikowego. Drżącą ręką obmacała kokpit w poszukiwaniu kluczyków, ale ich nie znalazła. Sprawdziła w schowku, pod siedzeniem, wszędzie. Na próżno. Wysiadła. Uciekać... Jak najprędzej... Rozejrzała się dookoła. Droga na szerokość samochodu: nie, nie tędy. Następnie dostrzegła początek ledwie widocznej ścieżki znikającej w półcieniu lasu. Tak. Pobiegnęła w tamtą stronę i uświadomiła sobie, jak bardzo jest słaba – w piwnicy musiała stracić od dziesięciu do piętnastu kilogramów – i jak opornie słuchają jej własne nogi. Ale nadzieja dodawała jej nowej energii, podobnie jak to ciepłe, drgające powietrze, pełna życia przyroda i światło pieścące skórę.

Poszycie było nieco chłodniejsze, ale również tętniło życiem. Biegła ścieżką. Wielokrotnie raniła stopy o ostre kamienie i kolce, ale nie zwracała na to uwagi. Przeszła niewielką drewnianą kładką nad strumieniem, który płynął w głębi, wydając czysty, dźwięczący szum. Jej kroki wprawily w wibracje ażurowe deski.

A potem zaczęła podejrzewać, że coś tu nie gra.

Kawałek dalej, na ziemi, na środku ścieżki leżał jakiś ciemny przedmiot. Stary magnetofon kasetowy z rączką. Z urządzenia wydobywała się muzyka. Kobieta od razu ją rozpoznała i zadrżała z przerażenia. Słyszała ją setki razy. Czknęła. To niesprawiedliwe. Nieskończenie okrutne. Wszystko, tylko nie to...

Zamarła. Jej nogi były jak z waty. Nie mogła iść dalej tą ścieżką, nie mogła też zawrócić. Po prawej ręce miała rów, zbyt głęboki i szeroki, by przez niego przeskoczyć, którego dnem płynął strumyk.

Rzuciła się na lewo, przekroczyła ziemny nasyp i ruszyła niewyraźną ścieżką wśród paproci.

Biegła do utraty tchu, oglądając się za siebie. Nikogo jednak nie dostrzegła. Las wciąż rozbrzmiewał śpiewem ptaków. Echo za jej plecami nadal grało mroczną muzykę, powtarzając ją jak wszechobecną groźbę.

Kiedy sądziła, że na dobre zostawiła ją za sobą, w miejscu, w którym ścieżka rozdzielała się na dwoje w kształcie litery T, niemal się nie zderzyła z przybitą do drzewa tabliczką. Była na niej namalowana linia zakończona dwiema strzałkami, oferująca dwa kierunki do wyboru. Pod strzałkami dwa słowa: WOLNOŚĆ i ŚMIERĆ.

Kobieta znów czknęła. Schyliła się i zwymiotowała na paprocie przy ścieżce.

Podniosła się, wytarła usta brzegiem pledu, który – teraz zdała sobie z tego sprawę – śmierdział stęchlizną, kurzem, śmiercią i obłędem. Miała ochotę płakać, położyć się na ziemi i więcej nie wstać. Musiała jednak zareagować.

Wiedziała już, że to pułapka. Jedna z tych jego perwersyjnych zabaw. Śmierć albo wolność... Co by było, gdyby wybrała „wolność”? Jaka wolność chciał jej zaoferować? Na pewno nie wolność powrotu do dawnego życia. Czy uwolniłby ją z więzienia, zabijając ją? A gdyby wybrała „śmierć”? Czyżby to była metafora? Co oznaczała? Kres jej cierpień, koniec męki? Ruszyła w tę stronę, kierując się przekonaniem, że w umyśle tego chorego człowieka propozycja z pozoru najbardziej kusząca z pewnością oznaczała najgorsze.

Przebiegła jeszcze jakieś sto metrów i zauważyła przed sobą podłużny kształt wiszący pionowo jakiś metr nad ścieżką.

Znowu zwolniła, potem przestała biec, przeszła jeszcze kawałek i wreszcie stanęła, gdy zrozumiała, co ma przed sobą. Zrobiło jej się niedobrze. Na gałęzi wisiał kot. Sznurek na jego szyi był tak mocno zaciśnięty, że prawie odcinał głowę od reszty ciała. Z białego pyszczka wystawał koniec różowego języka, a korpus zwierzęcia był sztywny jak kawałek drewna.

Kobieta nie miała już czym wymiotować, ale i tak wstrząsnęły ją nudności. Poczowała w ustach smak żółci. Lodowaty dreszcz strachu przebiegł jej wzdłuż kręgosłupa.

Jęknęła. Nadzieja kurczyła się w niej jak płomyk dogasającej świecy. W głębi duszy wiedziała, że te drzewa i piwnica to ostatnie rzeczy, jakie widzi w życiu. Wiedziała, że nie ma stąd wyjścia. Ani dzisiaj, ani w żaden inny dzień. Chciała jednak jeszcze choć odrobinę w to wierzyć.

Czy nie ma nikogo, kto by spacerował po tym przeklętym lesie? Nagle zaczęła się zastanawiać, gdzie się właściwie znajduje. We Francji czy gdzie indziej? Wiedziała, że są kraje, w których można iść całymi godzinami, a nawet dniami, nie spotykając żywej duszy.

Wahała się, w którym kierunku iść dalej. W każdym razie na pewno nie w tym, który wybrał dla niej ten świr.

Przemykała między pniami drzew, z dala od wszelkich ścieżek, potykając się o korzenie i nierówności terenu, raniąc bosa stopy do krwi.

Wkrótce dotarła do innego strumienia, którego dno pełne było drzew, brzoź i leszczyn, powalonych przez ostatnią burzę. Z wielkim wysiłkiem weszła w tę gęstwinę, usiłując przedostać się na drugą stronę. Końcówki połamanych gałęzi, sterczące jak sztylety, rozrywały skórę na jej łydkach. Wykręcała palce u stóp na ostrych kamieniach i kawałkach suchego drzewa.

Po drugiej stronie kolejna ścieżka. Wyczerpana postanowiła nią iść. Wciąż miała nadzieję, że natknie się na kogoś, a przedzieranie się przez podszyt było dla niej zbyt męczące.

Nie chcę umierać, pomyślała.

Biegła, przewracała się, wstawiała i ruszała dalej.

Biegła, pragnąc ratować skórę. Jej klatka piersiowa płonęła ogniem, serce było o krok od eksplozji, a nogi stawały się coraz cięższe. Las wokół niej gęstniał, powietrze było coraz bardziej gorące. Zapachy lasu mieszały się z kwaśną wonią potu, który szczypał ją w oczy. Słyszała plusk płynącego w pobliżu strumyka. Żadnych innych odgłosów. Za jej plecami panowała cisza.

Nie chcę umierać – ta myśl zajmowała całą wolną przestrzeń jej umysłu. I strach. Godzien pogardy, nieludzki.

Nie chcę... nie chcę... nie chcę... umierać.

Na policzkach czuła gorzkie łzy, puls walił jej w gardle i klatce piersiowej. Zabiłaby własnych rodziców, żeby móc się wyrwać z tego koszmaru.

I nagle jej serce podskoczyło. Zobaczyła jakąś postać.

Zawołała.

– Hej! Proszę zaczekać, proszę zaczekać! Na pomoc! Ratunku!

Sylwetka nie ruszała się, ale uciekiniarka widziała ją przez łzy. Kobieta. Ubrana w sukienkę na ramiączkach zapinaną na guziki.

Zdziwiło ją, że postać jest zupełnie łysa. Ostatkiem sił podeszła do niej, ale sylwetka wciąż stała bez ruchu. Zbliżając się, stopniowo zaczynała rozumieć, co widzi; jej krew gęstniała jak syrop.

To nie była kobieta...

Plastikowy manekin oparty o pień drzewa i zastygły w sztucznej pozie jak na wystawie sklepowej. Rozpoznała sukienkę, w którą był ubrany. To

jej sukienka, miała ją na sobie w tamten wieczór... Tyle że teraz była poplamiona czerwoną farbą.

Miała wrażenie, że opuszczają ją wszystkie siły, jakby ktoś je wysysał z jej ciała. Była pewna, że mężczyzna pozakładał w lesie masę innych, równie ponurych pułapek. Była szczurem w labiryncie, jego rzeczą, jego zabawką. A on był tuż obok. Poczowała, że uginają się pod nią nogi i straciła przytomność.

ELVIS

Zaparkował na dolnym parkingu i ruszył ku stojącej pośrodku betonowej wieży, w której znajdowały się windy. Szpital uniwersytecki w Rangueil wznosił się jak forteca na wzgórzu na południe od Tuluzy. Aby dostać się do niego z położonego w połowie wysokości parkingu, trzeba było wjechać windą, a następnie przejść długim łącznikiem zawieszonym wiele metrów nad drzewami, z którego rozciągał się imponujący widok na położone niżej budynki uniwersytetu i przedmieścia. Przeszedł tarasem w stronę nowoczesnej fasady, obłożonej efektowną metalową siatką. Jak często bywa, na tej trosce o zewnętrzną estetykę traciły inne aspekty funkcjonowania infrastruktury. Cóż z tego, że szpital zatrudniał dwa tysiące ośmiuset lekarzy i dziesięć tysięcy członków personelu i rocznie przyjmował osiemdziesiąt tysięcy pacjentów, co równa się populacji średniego miasta. Servaz zdążył już zauważyć, że ośrodek cierpi na okrutny brak służb niemedycznych. Szybko minął jedyną kawiarnię, wypełnioną personelem, odwiedzającymi i pacjentami w szpitalnych piżamach, i długimi korytarzami doszedł do wind. Dzieła współczesnych artystów – dary od dobroczyńców – na próżno próbowały rozweselić wnętrze: sztuka ma swoje ograniczenia. Servaz zauważył drzwi do kaplicy z wywieszonymi godzinami odwiedzin kapelana. Zastanawiał się, jak Bóg znajduje dla siebie miejsce w tym świecie, gdzie człowiek sprowadzony jest do poziomego układu narządów, rozbierany na części i remontowany jak silnik, a czasem oddawany do kasacji po uprzednim wymontowaniu pojedynczych części, które mogą się przydać do naprawy innych silników.

Samira czekała na niego przy windach. Miał pokusę, by zapalić, ale jego wzrok padł na wiszącą na ścianie tabliczkę z zakazem.

– *Kraksa* – odezwał się już w kabinie.

– Hę? – zainteresowała się Samira,

Broń na jej biodrach przyciągała wszystkie spojrzenia.

– Powieść Ballarda. Mieszanka chirurgii, mechaniki, masowej konsumpcji i pożądania.

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem. Wzruszyła ramionami.

Drzwi windy się otworzyły. Do uszu Servaza i Samiry doszedł krzyk:

– Banda kretynów, nie macie prawa trzymać mnie wbrew mojej woli! Zawołajcie mi tu tego konowała, chcę się z nim zobaczyć, już!

– Czyżby nasz Elvis? – zainteresował się komendant.

– Bardzo prawdopodobne.

Skręcili w prawo, następnie w lewo. Zatrzymała ich pielęgniarka. Samira pomachała legitymacją.

– Dzień dobry. Szukamy Elvisa Konstandina Elmaza.

Kobieta zachmurzyła się. Wskazała im drzwi z matowego szkła na końcu korytarza, za łóżkiem na kółkach, na którym czekał starszy człowiek z rurką w nosie.

– On musi odpoczywać – odpowiedziała surowo.

– Ależ oczywiście – przyznała ironicznie Samira. Pielęgniarka rzuciła im pogardliwe spojrzenie i oddaliła się.

– Kurwa, jeszcze psów tu brakowało! – zawołał Elvis, kiedy weszli do sali.

W pomieszczeniu panował wilgotny upał, pomimo że w kącie pracował cherlawy wentylator. Elvis Konstandin Elmaz siedział w głowach łóżka w rozchełstanej piżamie. Oglądał telewizor z wyłączonym dźwiękiem.

– *One for the money, Two for the show* – zanuciła Samira, kołysząc się w biodrach i podchodząc do niego tanecznym krokiem. – Cześć, Elvis.

Wyglądało na to, że Elvis rozpoznał w niej policjantkę. Zmrużył brwi, wpatrując się w nią jak w objawienie: tego dnia miała z pół tuzina naszyjników na T-shircie z krzyczącym napisem LEFT 4 DEAD.

– Ja pierdolę, a ta co?! – zawołał w kierunku Servaza. – Tak wygląda dzisiejsza policja? Kurwa, dokąd zmierza ten świat?!

– Elvis Elmaz?

– Nie, Al Pacino. Czego ode mnie chcecie? Nie przychodzicie w związku z moją skargą.

– To prawda.

– Nie, no jasne. Nie trzeba się wam długo przyglądać, żeby zgadnąć, że jesteście z KFC.

KFC, Kentucky Fried Chicken, słynna sieć fast foodów specjalizująca się w kurczaku z frytkami: tak oprychy nazywały ich główną siedzibę, innymi słowy policję sądową. Elvis Konstandin Elmaz był niewysoki i bardzo przysadzisty, miał doskonale gładką i błyszczącą czaszkę, wianuszek zarostu na masywnych szczękach, a w uchu małe kolczyki z cyrkoniami. Jeżeli nie był to prawdziwy brylant. Jego muskularny tors od podbrzusza po przepoń kilkakrotnie owinięty był bandażem. Drugi opatrunek miał na prawym bicepsie.

– Co się panu stało? – zapytał Servaz.

– Jakby pan nie wiedział. Dałem się zaskoczyć, człowieku. Trzy dźgnięcia nożem w okolice żołądka i jedno w ramię. Cud, że mnie ci pedzie nie zaciukali. „Żaden ważny dla życia narząd nie został naruszony, cudem się pan wywinął, panie Elmaz”, tak mi powiedział ten drugi doktorek. Nie chce mnie wypuścić wcześniej niż jutro, mówi, że jeśli za bardzo będę tym ruszał, może się otworzyć. Nie jestem lekarzem, to on tak mówi. Ale mnie już nogi świerzbią, zresztą żarcie tutaj jest gorsze niż w pierdłu.

– A ci pedzie? – zapytała Samira.

– Było ich trzech. Serbowie. Nie wiem, czy wiecie, ale ci pedzie Serbowie i my, Albańczycy, kiepsko się dogadujemy. Serbowie to banda i hołota.

Samira pokiwała głową. Tę samą śpiewkę słyszała z drugiej strony. Poza tym, nie powiedziała tego, ale w jej żyłach krążyło trochę bośniackiej krwi, a także prawdopodobnie włoskiej: jej rodzina sporo podróżowała.

– Co się stało?

– Zaczęliśmy się bić w knajpie, a potem dalej się tłukliśmy na chodniku. Byłem lekko dziabnięty, przyznaję. – Spojrzał kolejno na każde z nich. – Tylko że ten kurdupel miał dwóch kumpli w środku, a ja o tym nie wiedziałem. Rzucili się na mnie, jakby byli napaleni, zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, a potem zwiali jak szczury. A ja leżałem na chodniku i sikała ze mnie krew, naprawdę myślałem, że tym razem to już pozamiatane. To by znaczyło, że jest też jakiś Bóg dla bandziorów, co, kicia? Nie masz przypadkiem fajki? Rodziców bym zabił za kawałek szluga.

Samira powstrzymała się, żeby się nie pochylić i nie dźgnąć go przez bandaż palcem pod żebro.

– Nie widziałeś zakazu? – odpowiedziała zjadliwie. – Palenie zabronione. Jaki był powód tej sprzeczki?

– Sprzeczki... Kurwa, kicia, co ty gadasz! Powiedziałem ci: jestem Albańczykiem, a tamci to Serbowie.

– I to wszystko?

Zobaczyli, że się zawahał.

– Nie.

– A co jeszcze?

– No kurde, poszło o dupę. Zagadała do mnie.

– Aha, była z nimi?

– No.

– Ładna?

Twarz Elvisa Konstandina Elmaza rozświetliła się jak bożonarodzeniowe drzewko.

– No ba! Prawdziwa laska! W dodatku z klasą i do wzięcia. Kurwa, nie mogłem się powstrzymać, gapilem się na nią. W końcu to zauważyła i przyszła pogadać. Może też chciała ich wkurzyć, nie wiem. A może była na nich wpieprzona, mieli sprzeczkę, jak pani woli... I wtedy się zaczęło.

– A zatem wczoraj wieczorem znalazł się pan na pogotowiu, w nocy był pan operowany, a potem zamknęli pana tutaj?

Krótki błysk w brązowych oczach.

– A dlaczego to jest takie ważne? Macie w dupie to, o czym gadam, co? Interesuje was, co było potem. Coś się stało.

– Panie Elmaz, cztery miesiące temu wyszedł pan z więzienia, prawda?

– Zgadza się.

– Był pan skazany za kradzież z użyciem przemocy, porwanie, pozbawienie wolności, napaści na tle seksualnym i gwałt...

– I co z tego? Odsiedziałem karę.

– Za każdym razem dobierał się pan do ładnych młodych brunetek.

Elvis spojrział na nich ponuro.

– Do czego zmierzacie? To było dawno temu. – Przenosił wzrok z Samiry na Servaza i z powrotem. – Co się stało wczoraj wieczorem? Napad na jakąś dziunię, tak?

Spojrzenie Servaza padło na stolik na kółkach ustawiony obok łóżka. W pół sekundy uświadomił sobie, co czyta. I jeszcze szybciej zbladł:

MORDERSTWO MŁODEJ WYKŁADOWCZYNI W MARSAC

*Policjant, który rozwiązał sprawę z Saint-Martin,
prowadzi śledztwo*

Psiakrew! Nie zwracając już uwagi na pytania Samiry i odpowiedzi Elmaza, chwycił gazetę i zaczął przewracać kartki w poszukiwaniu artykułu.

Tekst znajdował się na trzeciej stronie i zajmował tylko kilka linijek. Autor pisał, że *komendantowi Servazowi z policji kryminalnej w Tuluzie, temu samemu, który prowadził śledztwo w sprawie morderstw w Saint-Martin zima 2008 roku (była to największa afera ostatnich lat w regionie Midi-Pyrénées), powierzono dochodzenie w związku z morderstwem nauczycielki z Marsac, liceum kształcącego elity regionu*. Nieco dalej można było się dowiedzieć, że młodą kobietę znaleziono w jej domu, *związaną i utopioną we własnej wannie*. Służby zajmujące się kontaktami z prasą przemilczały przynajmniej sprawę latarki – z całą pewnością po to, by móc przyłapać wszystkich wariatów, którzy w najbliższym czasie nie omieszkają zadzwonić. Za to rzuciły jego nazwisko na żer dziennikarzom. Genialne. Servaz poczuł, jak wzbiera w nim gniew. Chciałby mieć w garści drania, który ujawnił tę informację. Zrobił to niechcący czy z namysłem? A może za przeciekiem stoi sam Castaing?

– O której godzinie zaczęła się kłótnia? – pytała właśnie Samira.

– Między wpół do dziesiątej a dziesiątą.

– Jacyś świadkowie?

Elvis wybuchnął śmiechem przechodzącym w kaszel.

– Dziesiątki!

– A co robiłeś przedtem?

– Głusi jesteście? Piłem i bajerowałem tę laskę! Mówię wam, widziało mnie kilkadziesiąt osób! Wiem, że w przeszłości popełniałem błędy. Ale, do

kurwy nędzy, co te dziewczyny, na które napadałem, robiły wieczorem poza domem, hę? W Albanii kobiety nie włóczą się po nocy, szanują się...

Samira wybrała miejsce na chybił trafił i wbiła palec wskazujący w bok Albańczyka. Mocno. Przez bandaż. Servaz zobaczył, że Elvis krzywi się z bólu. Już miał interweniować, gdy Samira cofnęła palec.

– Masz poważny interes w tym, żeby twoje alibi było solidne – powiedziała nieprzyjemnym, zimnym głosem. – Naprawdę masz problem, Elvis. Czy ty czasem nie jesteś impotentem? A może ukrytym pedziem? No tak, o to chodzi. Podobało ci się pod prysznicem w pierdlu?

Servaz zauważył, że mężczyzna zmienia się na twarzy. Jego spojrzenie stało się mroczne jak plama ropy, oczy straciły blask. Mimo panującego gorąca policjant miał wrażenie, jakby wzdłuż jego kręgosłupa płynęła strużka lodowatej wody. Jego serce zaczęło bić szybciej. Przełknął ślinę. Tak, kiedyś już spotkał takie spojrzenie, bardzo dawno temu. Miał wtedy dziesięć lat. Mały chłopiec w jego wnętrzu nie był w stanie zapomnieć. Znowu przypomniał sobie mężczyzn, którzy pewnego lipcowego wieczoru zajechali przed jego rodzinny dom. Było ich dwóch. Dwaj mężczyźni podobni do tego tutaj, wilki, zwyrodnialcy o pustych oczach. Pomyślał o matce, która wyła i błagała, o ojcu przywiązany do krzesła, o rękach tych drapieżników, które ją uwięziły i zbrukały... I o małym Martinie zamkniętym w komórce pod schodami, który wszystko słyszał, wszystkiego się domyślał, i o tym, ile razy spotkał podobnych ludzi od czasu, gdy wstąpił do policji. Nagle rozpaczliwie zapragnął zaczerpnąć powietrza, wyjść z tego pokoju, z tego szpitala. Biegiem ruszył do toalety, by zdążyć przed atakiem nudności.

– To nie on.

Servaz przytaknął. Wracali korytarzami w stronę głównego holu. Miał szaloną chęć zapalić, ale wiszące wszędzie tabliczki zakazu nieustannie przywoływały go do porządku.

– Wiem – odparł. – Jego alibi trzyma się kupy, a poza tym nie wyobrażam sobie, jak mógłby wyczyścić pocztę Claire Diemar w liceum ani z jakiego powodu miałby iść za chłopakiem i naszprycować go narkotykami.

– Ten gość nie powinien przebywać na wolności – oświadczyła Samira, gdy mijali kawiarenkę.

– Żadne prawo nie pozwala wpakować człowieka do więzienia tylko dlatego, że jest potencjalnie niebezpieczny – zauważył.

– Prędzej czy później wróci do tego, co robił.

– Odsiedział wyrok.

Samira pokręciła głową.

– Jedyna skuteczna terapia dla typów tego pokroju to obcięcie im jaj.

Servaz spojrział na asystentkę. Najwyraźniej nie żartowała. Szli przez hol. Z ulgą zobaczył, że zbliżają się już do drzwi wejściowych i sięgnął do kieszeni, ale po drugiej stronie zobaczył jeszcze jedną tabliczkę z zakazem palenia. Poczul się tak, jakby na powrót stał się nastolatkiem na bieżni, który biegnie z płucami w ogniu i ma wrażenie, że nigdy nie zdoła pokonać ostatnich dwudziestu metrów.

Drzwi wreszcie się otworzyły. Zanurzyli się w upale i wilgoci. Servaz zeszywniał. Pozbawione nikotyny płuca domagały się dawki trucizny, ale coś nie dawało mu spokoju. Co? Od chwili, gdy minęli pierwszą tabliczkę z zakazem palenia, jego podświadomość intensywnie pracowała, nie potrafił jednak dojść, o co chodzi.

– Jeśli to nie on, wracamy do punktu wyjścia – zauważyła Samira.

– To znaczy?

– Hugo...

Servaz spojrział na zegarek, jednocześnie sięgając po papierosa.

– Wracamy na Boulevard de l'Embouchure. Przyciśniesz informatyków. Do wieczora chcę mieć wyniki. Jeśli to Hugo, to wytłumacz mi, dlaczego wyczyścił komputer Claire, a nie swoją komórkę?

Podniosła ręce na znak, że nie wie, patrząc, jak Servaz oddala się tarasem w kierunku łącznika. Z wyciem syreny nadjechała karetka, która zatrzymała się i czekała na otwarcie szlabanu.

Nagle go oświeciło. Już wiedział, dlaczego te tabliczki nie dawały mu spokoju.

Idąc długim łącznikiem zawieszonym nad drzewami, wyjął komórkę, znalazł numer Margot i nacisnął klawisz połączenia.

W słuchawce usłyszał jakieś barbarzyńskie, gardłowe dźwięki z gitarami elektrycznymi w tle. Skrzywił się. Z jednej strony był zadowolony, dowiadując się, że córka wyłącza telefon na czas wykładów, z

drugiej akurat teraz mu to nie pasowało. Jednym palcem wystukał esemesa:

Czy Hugo pali? Przypomnij mi, to ważne.

Ledwie skończył, gdy jego telefon zabrzęczał.

– Margot? – odezwał się, dochodząc do wind.

– Nie. Mówi Nadia – wyjaśnił kobiecy głos.

Nadia Berrada kierowała pracownią informatyczną. Nacisnął przycisk windy.

– Komputery przemówiły – oświadczyła.

– I?

– Faktycznie poczta była wyczyszczona. Odzyskaliśmy wiadomości otrzymane i wysłane. Ostatnia napisana w dniu jej śmierci. Zwykle sprawy. E-maile do kolegów z pracy, prywatne, zaproszenia na zebrania kadry pedagogicznej lub seminaria, reklamy.

– Jakies e-maile wysłane albo otrzymane od Hugona Bokhanowskiego?

– Nie. Ani jednego. Za to jeden adres regularnie się powtarza. „Thomas999”. Te wiadomości wyglądają na raczej... jak by to powiedzieć? Intymne.

– Jak to intymne?

– No bo to jednak dość intymne, kiedy się pisze – zrobiła chwilkę przerwy, zanim przystąpiła do czytania – „W przyszłości życie będzie bardziej ekscytujące dzięki temu, że się kochamy”, „Potężny. Totalny. Niewiarygodny. Absolutny brak ciebie”. „Jestem kłódką, a ty jesteś kluczem, należę do ciebie na zawsze, twoja wiewióreczka, teraz i na wieczność”...

– Kto to pisał, ona czy on?

– Obydwoje. No nie, w siedemdziesięciu pięciu procentach ona. On wydaje się mniej ekspresyjny, ale tak samo zaangażowany. Cholera, ależ ta dziewczyna była napalona!

Po tonie głosu Servaz odgadł, że lektura tych e-maili wprowadziła Nadie w marzycielski nastrój. Przypomniawszy sobie, jak to było z nim i z Marianne.

W tamtych czasach nie było e-maili ani esemesów, ale wymienili setki listów tego rodzaju. Egzaltowanych, lirycznych, naiwnych, żarliwych, głupich. Nawet wtedy, kiedy spotykali się prawie codziennie. Zaznali tej intensywności, tego ognia. Servaz przeczuwał, że ma coś w garści. Ta dziewczyna była napalona... Nadia znalazła odpowiednie słowo. Spojrzał z wysokości łącznika na poruszane deszczem korony drzew.

– Poproś Vincenta, żeby w trybie pilnym załatwił nakaz – powiedział.
– Musimy się jak najprędzej dowiedzieć, kim jest ten Thomas999.

– Już to zrobiliśmy. Czekamy na odpowiedź.

– Świetnie. Informuj mnie na bieżąco, jak będziesz go miała. Aha, i proszę cię, Nadia, mogłabyś pójść rzucić okiem na dowody rzeczowe?

– A co chcesz wiedzieć?

– Czy wśród rzeczy znalezionych w kieszeniach chłopaka była paczka papierosów.

Czekał. Drzwi windy się otworzyły, ale nie wsiadł, obawiając się, że metalowe ściany mogą przerwać sygnał. Po czterech minutach Nadia się odezwała:

– Ani paczki papierosów, ani jointa – oznajmiła. – Nic z tych rzeczy. To ci w czymś pomogło?

– Może. Dzięki.

Kiedy wyobrażał sobie, jak Nadia przeszukuje kupkę dowodów rzeczowych, przyszła mu do głowy pewna myśl. Miała ona związek z zeszytem, który znalazł na biurku Claire, i zapisanym w nim zdaniem:

Przyjaciół to czasem puste słowo. Nieprzyjaciół – nigdy.

Poczuł mrowienie u podstawy kręgosłupa. Claire Diemar zanotowała to zdanie w zupełnie nowym zeszycie na krótko przed śmiercią. Otwarty zeszyt zostawiła na biurku. Czy była świadoma grożącego jej niebezpieczeństwa? Czy kogoś do siebie zraziła? Czy to zdanie w ogóle ma związek ze śledztwem? W głowie Servaza dojrzała pewna myśl. Znowu sięgnął po telefon.

– Jesteś przy komputerze? – zapytał, kiedy Espérandieu podniósł słuchawkę.

– Tak, a co? – zapytał jego zastępca.

- Mógłbyś wstukać w Google jedno zdanie?
- Zdanie? W Google?
- No przecież mówię.
- Jakiś cytat?
- Mhm.
- Czekaj... Dobra, już, słucham. Servaz podyktował mu zdanie.
- Co to ma być? Teleturniej? – zażartował Vincent. – Czekaj... No proszę, a czy to aby nie ty studiowałaś literaturę?
- Dawaj.
- Victor Hugo.
- Co?!
- To cytat. Z Victora Hugo. Wyjaśnisz mi, o co chodzi?
- Później.

Zatrzasnął klapkę telefonu. Victor Hugo. Czy to mógł być zbieg okoliczności? Claire Diemar zapisała w zeszycie tylko to jedno zdanie i zostawiła zeszyt na widoku. Mówiła w nim o przyjacielu... Hugo? Servaz miał świadomość, że chodzi o Marsac, miasteczko uniwersyteckie, jak podkreślał Francis, który porównał je z dworem w Elsynorze, gdzie dyskrecja liczyła się na równi z oszczerstwem, gdzie, owszem, sztyletowano, ale w sposób elegancki i wyszukany – i gdzie wszelkie bezpośrednie oskarżenie mogło być uznane za najbardziej niewybaczalny przejaw złego smaku. Nie zapominał, że ma do czynienia z erudytami, ludźmi kochającymi zagadki, aluzje, ukryte znaczenia, lubiącymi też dawać wyraz własnej subtelności, nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach. To zdanie nie znalazło się w tym zeszycie przez przypadek.

Czy to możliwe, by Claire ujawniła – pośrednio, w formie aluzji, w sposób zawołowany – imię swojego wroga, a nawet przyszłego zabójcy?

HIRTMANN

Wróciwszy do komendy, zajrzał do Espérandieu.

– Jak tam dzieciak?

Zastępca Servaza zdjął słuchawki, w których wokalista Queens of the Stone Age śpiewał *Make It Wit Chu* i wzruszył ramionami.

– Spokojny. Zapytał, czy mam coś do czytania. Podrzuciłem mu jedną z moich mang, ale nie chciał. Przypominam ci, że zatrzymanie kończy się za sześć godzin.

– Wiem o tym. Zadzwoń do prokuratora. Poproś go o przedłużenie.

– Powód?

Tym razem Servaz wzruszył ramionami.

– Nie wiem, wymyśl coś. Pogrzeb w twoim zaczarowanym kufierku.

Kiedy znalazł się w swoim gabinecie, przystąpił do przeszukiwania szuflad. Wreszcie znalazł. Numer telefonu. W Paryżu. Zamyślony wpatrywał się w kartkę. Już dawno nie dzwonił na ten numer. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał tego robić, że tę historię ma już za sobą.

Servaz rzucił okiem na zegarek i wykręcił numer.

– Kopeć lat! – zażartował głos po drugiej stronie słuchawki. – Czemu zawdzięczam ten telefon, komendancie?

Opowiedział, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, i zakończył informacją o znalezieniu płyty Mahlera. Spodziewał się, że mężczyzna powie: „I z tym pan do mnie dzwoni?”, ale było mu wszystko jedno.

– Dlaczego nie zadzwonił pan od razu? – zapytał rozmówca.

– Z powodu zwykłej płytki znalezionej na miejscu zbrodni? To pewnie nie ma żadnego związku.

– Na miejscu zbrodni, na którym przypadkowo znajduje się syn pańskiej dawnej znajomej i które logicznie podlega kryminalnym z Tuluzy, a ofiarą jest młoda kobieta około trzydziestki o profilu podobnym do jego

innych ofiar? I w dodatku z wieży leci ten sam kawałek, który Julian puszczał tego wieczoru, kiedy zabił swoją żonę? Pan żartuje!

Servaz zwrócił uwagę na tego „Juliana”. Tak jakby węsząc w poszukiwaniu Szwajcara, tropiciele zdążyli się z nim zakolegować. Wstrzymał oddech. Ten facet miał rację. Poprzedniego dnia, kiedy znalazł płytę, miał dokładnie takie samo przeczucie. A potem zajął się czym innym. Jeśli patrzeć z tej perspektywy, poszczególne elementy układały się w niepokojącą całość. Przyznał, że gość po drugiej stronie słuchawki, który na złapanie tych powiązań potrzebował mniej niż trzech sekund, to naprawdę bystrzak.

– Zawsze tak jest – westchnął głos w słuchawce. – Ludzie informują nas dopiero wtedy, kiedy mają czas albo kiedy już włożą swoje ego do kieszeni, albo wtedy, gdy wszystkie ślady już wystygły.

– A wy macie coś nowego?

– Chciałby pan, żebym odpowiedział twierdząco, co? Przykro mi, że pana rozczaruję, komendancie, ale dosłownie toniemy w powodzi informacji. Istny zalew. Większość z nich to takie fantazje, że nawet ich nie sprawdzamy, niektóre mimo wszystko trzeba sprawdzić, a to zabiera strasznie dużo czasu. Widziano go tu i tam. W Paryżu, w Hongkongu, w Timbuktu. Jeden świadek jest pewien, że Hirtmann jest krupierem w kasynie w Mar del Plata, gdzie on sam grywa co wieczór, inny widział go na lotnisku w Barcelonie, jeszcze inny w Düsseldorfie, a pewna kobieta podejrzewa, że jej kochanek to Hirtmann.

Servaz miał wrażenie, że jego rozmówca jest całkowicie zniechęcony, zmęczony. Ale nagle ton jego głosu się zmienił, jakby coś mu się właśnie przypomniało.

– Tuluza, tak?

– Tak, dlaczego?

Servaz nie otrzymał odpowiedzi, za to usłyszał, że człowiek rozmawia z kimś innym; musiał zasłonić mikrofon dłonią, ponieważ nie dało się rozróżnić słów. Po kilkunastu sekundach wrócił na linię.

– Ostatnio coś się zdarzyło – powiedział. – Wrzuciliśmy jego zdjęcie do Internetu. Obrobiliśmy je w programie do zdjęć i zrobiliśmy koło dziesięciu różnych wersji: z brodą, z wąsami, z włosami krótkimi i długimi, ciemnymi i jasnymi, z różnymi typami nosa i tak dalej. Rozumie pan, co mam na myśli? Dostaliśmy setki odpowiedzi. Sprawdzamy wszystkie po kolei. Mrówcza robota. – Znowu zmęczenie w głosie. – Jedna brzmi bardzo

ciekawie: pewien facet, który prowadzi stację benzynową przy autostradzie, twierdzi, że Hirtmann zatrzymał się u niego i kupił benzynę i gazety. Mówi, że był na motorze, miał przefarbowane włosy, zapuścił brodę i nosił okulary słoneczne, ale gość jest pewien: typ był podobny do jednego z portretów w Internecie, wzrost i sylwetka się zgadzają, poza tym motocyklista mówił z lekkim akcentem: być może szwajcarskim. Tym razem mieliśmy szczęście, mogliśmy sprawdzić kamery sklepowe. Świadek mówi prawdę: to może być on, powtarzam: może.

Servaz poczuł, że jego puls wali jak werbel.

– Gdzie to było? I kiedy?

– Dwa tygodnie temu. To się panu spodoba, komendancie: rejon Bois de Dourre, na A20, na północ od Montauban.

– Kamera złapała motor? Macie numery?

– Przypadek albo celowe działanie: zaparkował motocykl poza zasięgiem kamer. Ale znaleźliśmy jego zdjęcie w jednym punkcie opłat na południu, na drodze Paryż-Tuluza. Fotografia nie jest wyraźna. Mamy początek rejestracji, pracujemy nad resztą. Teraz pan rozumie, dlaczego to, co pan mówi, jest ważne? Jeśli typ na motorze to naprawdę Hirtmann, jest wielce prawdopodobne, że jest teraz na pana terenie.

Servaz wpatrywał się ogłupiały w wyniki swoich poszukiwań. Wstukał w Google słowa „Julian Hirtmann” Wyświetliło się co najmniej milion sto trzydzieści tysięcy wyników.

Odchylił się w fotelu i pogrążył w myślach.

Po ucieczce Szwajcara tropił najdrobniejsze skrawki informacji na jego temat, przeglądał gazety, depesze, biuletyny, wykonywał dziesiątki połączeń telefonicznych, naciskał na komórkę zajmującą się jego poszukiwaniem, ale mijały miesiące i pory roku – wiosna, lato, jesień, zima, znowu wiosna – i dał spokój. Skończył z tym. To już nie jego cyrk. Kurtyna. *Exit. Finito.* Usiłował przegnać go ze swojej głowy.

Przebiegał w myślach stronę z wynikami wyszukiwania wyświetloną na ekranie. Wiedział, że wolność słowa to konik internautów i każdy musi sam przesiewać, wybierać i wykazywać się zmysłem krytycznym, ale to, co znalazł w sieci, wprawiało go w osłupienie. Szwajcar miał tysiące fanów i kilkadziesiąt poświęconych mu stron. Niektóre artykuły były względnie neutralne: zdjęcia Hirtmanna z procesu i inne, kradzione, z wcześniejszego okresu, na których był w towarzystwie swojej olśniewającej małżonki:

ją i jej kochanka Szwajcar śmiertelnie raził prądem w swojej piwnicy, wcześniej zmusiwszy oboje, by się rozebrali, i oblawszy ich szampanem. Hirtmanna porównywano z innymi europejskimi seryjnymi mordercami, takimi jak José Antonio Rodríguez Vega, który między sierpniem 1987 a kwietniem 1988 roku w Hiszpanii zgwałcił i zabił co najmniej szesnaście kobiet w wieku od sześćdziesięciu do dziewięćdziesięciu trzech lat, albo Joachim Kroll, „Kanibal z Ruhry”. Na zdjęciach Hirtmann miał zdecydowaną, nieco surową twarz o wyrazistych rysach i intensywnym spojrzeniu. W niczym nie przypominał bladego, zmęczonego człowieka, którego Servaz spotkał w Instytucie Wargniera.

Z tą twarzą Servazowi skojarzył się głos – głęboki, przyjemny, dobrze postawiony. Głos aktora, trybuna, który przywykł do przemawiania do swoich pretorian.

Przypominały mu się także mniej lub bardziej wyraźne twarze czterdziestu młodszych i starszych kobiet zaginionych w ciągu dwudziestu pięciu lat. Kobiet, które zaginęły bez śladu, ale których nazwiska, a także inne dane znaleziono w notatnikach byłego prokuratora. Gdzieś istniała grupa rodziców ofiar, którzy domagali się, by zmusić Hirtmanna do mówienia. Ale w jaki sposób? Serum prawdy? Hipnozą? Torturami? Podekscytowani internauci brali pod uwagę wszystkie możliwości. Łącznie z odesłaniem go do Guantânamo albo zakopaniem w ziemi w słoneczny dzień z głową wysmarowaną miodem przed kopcem czerwonych mrówek.

Wiedział, że Hirtmann nic nie powie. Wolny czy w więzieniu miał nad tymi rodzinami większą władzę, niż kiedykolwiek posiadało jakiekolwiek złe bóstwo. Na zawsze był ich prześladowcą. Ich koszmarem. Była to jego ulubiona rola. Jak wszyscy najwięksi psychopatyczni zbrodniecy Hirtmann cechował się absolutnym brakiem wyrzutów sumienia i poczucia winy. Być może pękłby, gdyby zaserwowano mu *waterboarding*, rażenie prądem albo inne tortury praktykowane przez Japończyków na Chińczykach w 1937 roku, ale nie było dużych szans, by zmiękł pod wpływem środków stosowanych w areszcie lub w ramach kuracji psychiatrycznej – jeżeli w ogóle zostanie złapany, w co Servaz wątpił.

Nagle na monitorze wyświetliło się zdanie:

ARE YOU READY?/CZY JESTEŚ GOTOWY?

Servaz zadrżał. Przez chwilę wydawało mu się, że to Hirtmann w jakiś sposób zdołał się włamać do jego komputera.

Potem uświadomił sobie, że niechcący kliknął adres jednej z wyświetlonych stron internetowych. Po chwili napis zniknął i na monitorze zobaczył zwarty tłum ludzi i scenę koncertową zalaną blaskiem reflektorów. Do mikrofonu podszedł wokalista, pomimo panującego zmroku ukrywający oczy za ciemnymi okularami, i przemówił do tłumu, który zaczął skandować nazwisko mordercy. Servaz nie wierzył własnym uszom. Z bijącym sercem czym prędzej opuścił stronę.

Trzy kolejne linki prowadziły po prostu do portali informacyjnych. Dwa następne do stron ogólnie poświęconych seryjnym mordercom. Potem, czternaście z rzędu – do forów internetowych, na których ktoś w ten czy inny sposób cytował nazwisko Szwajcara. Jego uwagę przyciągnął kolejny adres:

Zdjęcia do Doliny Wisielców w Pirenejach.

Zauważył, że jego ręka drży, kiedy klikał w to hasło. Gdy skończył czytać, odsunął fotel daleko od monitora. Zamknął oczy. Zrobił długi wdech.

Jedyne, co zdołał zrozumieć, to że zimą miał zostać nakręcony film inspirowany jego śledztwem w Pirenejach, a zwłaszcza ucieczką Szwajcara z Instytutu Wargniera. Nazwiska oczywiście zostały zmienione, ale ogólny rys scenariusza nie pozostawiał wątpliwości. Do ról seryjnego mordercy i komisarza (sic!) wytypowano dwóch znanych aktorów. Servazowi zrobiło się niedobrze. Oto kwintesencja konsumpcyjnego społeczeństwa, pomyślał. Ekshibicjonizm, podglądactwo, komercjalizacja. Mimowolnie przypomniał sobie zdanie Deborda: „Całe życie społeczeństw, w których królują nowoczesne warunki produkcji, zapowiada się jako gigantyczne nagromadzenie spektakli”*. Słowa napisane z wielką przenikliwością ponad dwadzieścia lat wcześniej.

Poczuł gniew, ale także strach. Cały ten ruch wokół Szwajcara... A gdzie on był przez te miesiące? Co szykował? Uświadomił sobie, że mężczyzna może być równie dobrze w Canberze, na Kamczatce, w Punta Arenas, jak w kawiarence internetowej na rogu ulicy. Przypomniał sobie

* Guy Debord, *Spoleczeństwo spektaklu*, przeł. Anka Ptaszkowska, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 1998, s. 11.

ucieczkę Yvana Colonny. Media, gliny, służby antyterrorystyczne – wszyscy sądzili, że jest w Ameryce Południowej, w Australii, wszędzie – gdy tymczasem Korsykanin ukrywał się w owczarni zaledwie trzydzieści kilometrów od miejsca, gdzie popełnił zbrodnię, za którą był ścigany.

Czy Hirtmann rzeczywiście może być w Tuluzie?

Ponad milion mieszkańców w aglomeracji miejskiej. Bardzo zróżnicowana populacja. Wielość losów, indywidualnych dramatów, impulsów stadnych. Sieć ulic, placów, dróg, obwodnic, wielopoziomowych skrzyżowań, ślimaków. Dziesiątki narodowości – Francuzów, Anglików, Niemców, Hiszpanów, Brazylijczyków, Afgańczyków, Malijczyków, Kenijczyków, Tunezyjczyków, Ruandyjczyków, Ormian...

Gdzie najlepiej schować drzewo? W lesie.

Znalazł jej numer w książce telefonicznej. Numer nie był zastrzeżony, ale nie posunęła się też tak daleko, by podać swoje imię: M. Bokhanowsky. Servaz zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim wykręcił numer. Odebrała po drugim dzwonku.

– Halo?

– Tu Martin – powiedział i zawahał się przez moment. – Czy możemy się spotkać? Chciałbym ci zadać kilka pytań... na temat Hugona.

Cisza.

– Chcę, żebyś mi powiedział prawdę, tutaj, teraz: myślisz, że to on? Czy myślisz, że mój syn jest winny? – Jej głos drżał, napięty i delikatny jak pajęcza nić.

– Nie przez telefon – zaznaczył. – Ale jeśli chcesz wiedzieć, mam coraz więcej wątpliwości co do jego winy. Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale powinniśmy porozmawiać. Mogę być w Marsac za jakieś półtorej godziny. Pasuje ci czy wolisz to przełożyć na jutro? – Domyślił się, że kobieta się zastanawia. Czekał. – Marianne? – odezwał się w końcu, ponieważ nie odpowiadała.

– Przepraszam, musiałam pomyśleć. W takim razie może zostaniesz na kolację? Pójdę zrobić jakieś zakupy.

– Marianne, chcę być wobec ciebie uczciwy. Nie wiem, czy jako detektyw powinienem...

– W porządku, Martin. Nie musisz tego rozgłaszać. Będiesz mógł mnie wtedy przepytwać. Po dwóch lampkach wina jestem o wiele bardziej rozmowna.

Nieudana próba rozładowania atmosfery.

– Wiem – powiedział i w tej samej chwili tego pożałował. Nie chciał nawiązywać do przeszłości, a jeszcze mniej, by podejrzewała go o motywacje inne niż zawodowe, zwłaszcza w tym momencie.

Podziękował jej, odłożył słuchawkę i spojrzął na adres w książce telefonicznej: Domaine du Lac, numer 5. Nie zapomniał topografii tych okolic. Marianne mieszkała w zachodniej części Marsac. To tam, na północnym brzegu niewielkiego jeziora, stały najbardziej luksusowe wille. Nosiły dostojne nazwy – Belvédère, Le Muid czy Villa Antigone i większość z nich otaczały rozległe trawniki, łagodnie opadające ku pomostom, przy których kołysały się lekkie żaglówki albo małe łódki z zewnętrznym silnikiem. Latem dzieci bogatych mieszkańców willi nad jeziorem uczyły się tu żeglować lub jeździć na nartach wodnych. Ich rodzice pracowali w Tuluzie: zajmowali prominentne stanowiska w przemyśle lotniczym, elektronicznym lub na uniwersytecie. Ciekawy zbieg okoliczności: mieszkańcy Marsac nazywali to miejsce „Małą Szwajcarią”.

Jego telefon zabręczał. Gorączkowo sięgnął do kieszeni, wydobyl go i otworzył klapkę. Margot.

– A teraz o co chodzi? – zapytała. – Do czego ci potrzebna taka wiedza?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Pali czy nie?

– Nie. Nigdy nie widziałam, żeby palił.

– Dzięki. Zadzwoń do ciebie później.

Miał jeszcze parę godzin. Zamierzał się trochę zdrzemnąć. Ale po chwili doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie da rady. To przez Hirtmanna. Szwajcar zaprzętał wszystkie jego myśli.

PÓLNOCNY BRZEG

Była 20.03, kiedy zjawił się na brzegu jeziora, w miejscu, gdzie pale, na których stała restauracja Le Zik, wchodziły w zieloną wodę. Wschodni brzeg. Servaz ruszył na północ. Jezioro Marsac miało kształt kości albo ciastka dla psa o długości siedmiu kilometrów, ciągnącego się na linii wschód-zachód. W większości jego brzegi porastały gęste lasy. Zabudowane było tylko od wschodu. Zresztą „zabudowane” to za duże słowo: każda willa (wszystkie one były nadzwyczajnych rozmiarów) stała na działce o powierzchni od trzech do pięciu tysięcy metrów kwadratowych.

Numer pięć należał do ostatniego domu na północnym brzegu, tuż przy granicy lasu i blisko środkowej części jeziora, tam gdzie ono się zwężało, by dalej znów się rozlać na większej powierzchni. Porośnięty winem budynek z charakterystycznymi frontonami, balkonami i kominami mógł liczyć nawet sto lat. O wiele za duży i zbyt trudny do utrzymania dla samotnej matki z synem, pomyślał Servaz. Brama się otworzyła i policjant dojechał żwirową alejką między potężnymi jodłami aż pod schody, ale kiedy był już na górze, usłyszał, że Marianne woła go przez otwarte drzwi, i mijając ciąg pokoi, przeszedł na taras.

Deszcz wciąż siekł jezioro. Zimorodki krążyły nad wzburzoną powierzchnią, gwałtownie rzucając się głową do wody i równie szybko się wznosząc z ociekającą kolacją w dziobie. Po lewej stronie, za pozostałymi posiadłościami, Servaz widział przez wodną zasłonę dachy Marsac z kościelną dzwonnica. Na wprost, na przeciwległym brzegu, widać było ponury las i to, co miejscowi pompatycznie nazywali „Górami”: skalisty masyw, który wznosił się na wysokość kilkudziesięciu metrów.

Marianne nakrywała do stołu. Na chwilę przystanął i obserwował ją z cienia. Miała na sobie tunikę w kolorze khaki na guziki, z kieszeniami na piersiach i delikatnym plecionym paskiem: strój niemal wojskowy. Servaz mimo woli zauważył opalone gołe nogi oraz brak biżuterii na szyi. Miała tylko lekko pomalowane usta. Z powodu gorąca rozpięła górny guzik tuniki.

– Co za pogoda – westchnęła. – Ale nie damy się dobić, co?

Mówiła bez przekonania, bezbarwnym głosem. Kiedy pocałowała go w policzek, mimo woli wciągnął w nozdrza zapach jej perfum.

– Przyniosłem to.

Wzięła od niego butelkę, przelotnie spoglądając na etykietkę i postawiła ją na stole.

– Korkociąg jest tam – dodała po chwili, widząc, że Servaz stoi ze zwieszonymi ramionami.

Zniknęła w środku i policjant zaczął się zastanawiać, czy jednak nie popełnił błędu, przyjmując zaproszenie na kolację. Wiedział, że nie powinno go tu być, że mały adwokat o świdrującym spojrzeniu posłuży się tą wizytą jako argumentem, jeśli Hugo zostanie uznany za winnego. Czuł też, że śledztwo zajmuje wszystkie jego myśli, że trudno mu będzie mówić o czymkolwiek innym. Powinien był przesłuchać Marianne zgodnie z procedurą, ale nie potrafił się oprzeć zaproszeniu. Po tych wszystkich latach... Zastanawiał się, czy Marianne, zapraszając go, zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Nagle, nie wiedząc dlaczego, stał się czujny.

– Dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego nigdy nie wróciłeś?

– Nie wiem.

– Ani jednego listu, ani jednego e-maila, ani jednego esemesa, ani jednego telefonu przez dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia lat temu nie było esemesów.

– Zła odpowiedź, panie policjancie.

– Bardzo mi przykro.

– To też nie jest odpowiedź.

– Bo nie ma odpowiedzi.

– Ależ oczywiście, że jest.

– Nie wiem. To było... dawno.

– Kłamstwo z litości, ale mimo wszystko kłamstwo.

– Nie pytaj.

– Dlaczego? Pisałam do ciebie. Kilkanaście listów. Nigdy nie odpowiedziałeś. – Spojrzała na niego błyszczącymi oczami w kolorze głębokiej zieleni. – To przez to, że Francis i ja... Tak?

Znowu się nie odezwał.

– Odpowiedz mi. – Wpatrywała się w niego w milczeniu. – A więc o to chodzi. Na Boga, Martin! Wszystkie te lata milczenia to dlatego, że byłam z Francisem?

– Być może.

– Nie jesteś tego pewien?

– Tak, tak, jestem pewien. Boże, jakie to ma dzisiaj znaczenie?

– Chciałeś nas ukarać.

– Nie, chciałem zacząć nowy rozdział. Zapomnieć. I udało mi się.

– Ach tak? A ta studentka, z którą się spotykałeś po mnie? No, jakże ona się nazywała?

– Alexandra. Ożeniłem się z nią. A potem się rozwiedliśmy. Dziwne, że życie można tak podsumować w kilku zdaniach.

Dziwne i deprymujące.

– A teraz masz kogoś?

– Nie. Milczenie.

– Ach, więc stąd ten wygląd dzikusa – próbowała zażartować. – Wyglądasz na podstarzałego chłopca, Martinie Servaz.

Powiedziała to fałszywie lekkim tonem i Servaz był jej wdzięczny za to, że usiłowała rozładować atmosferę. Otaczał ich półmrok wieczoru. Delikatnie odczuwali działanie wypitego wina.

– Boję się, Martin – powiedziała nagle. – Jestem przerażona, umieram ze strachu... Powiedz mi o moim synu. Oskarżycie go?

Przy ostatnim zdaniu głos jej się prawie załamał. Servaz widział poruszenie na jej twarzy i strach w oczach. Zrozumiał, że to jest jedyne pytanie, które liczyło się dla niej od samego początku. Milczał przez chwilę, szukając odpowiednich słów.

– Gdyby na tym etapie przekazać go sędziemu, byłoby to bardzo prawdopodobne.

– Ale powiedziałeś mi przez telefon, że masz wątpliwości. – W jej głosie słychać było niemal rozpaczliwe błaganie.

– Słuchaj, jeszcze jest za wcześnie. Nie mogę o tym mówić. Ale potrzebuję kilku informacji – powiedział. – I czasu. Są pewne rzeczy... Nie chcę ci robić fałszywych nadziei.

– Słucham cię.

– Czy Hugo pali?

– Rzucił kilka miesięcy temu. Skąd to pytanie? Machnął ręką.

– Znałaś Claire Diemar.

– Byłyśmy przyjaciółkami. No, nie bardzo bliskimi. Znajomymi. Była sama w Marsac, ja też. Taki rodzaj przyjaźni.

– Opowiadała ci o swoim prywatnym życiu?

– Nie.

– Ale wiedziałaś to i owo?

– Tak. Oczywiście. W przeciwieństwie do ciebie nie wyjechałam z Marsac. Znam tu wszystkich i wszyscy znają mnie.

– A co wiedziałaś? Zobaczył, że się waha.

– Jakieś plotki... O jej prywatnym życiu.

– Jakiego rodzaju?

Marianne znowu się zawahała. Za jego czasów nie cierpiała plotek. Ale stawką była wolność jej syna.

– Podobno Claire kolekcjonowała mężczyzn. Wykorzystywała, a potem wyrzucała jak zużyte chusteczki do nosa. Bawiła się nimi. Podobno złamała serce paru facetom w Marsac.

Spojrzał na nią. Pomyślał o e-mailach znalezionych w komputerze. Były wyrazem szczerzej, gwałtownej, totalnej, absolutnej miłości. Nie pasowały do tego portretu.

– W każdym razie robiła to dyskretnie. A jeśli chcesz nazwisk, to ja ich nie znam.

A ty, miał ochotę zapytać, jak to jest u ciebie z tymi sprawami?

– Mówi ci coś imię Thomas?

Spojrzała na niego, zaciągając się papierosem. Potrząsnęła głową.

- Nie. Zupełnie nic.
- Jesteś pewna? Wypuściła dym.
- Przecież mówię.
- Czy Claire Diemar słuchała muzyki poważnej?
- Co?

Powtórzył pytanie.

- Nie mam pojęcia. A to ważne?

Nagle przyszło mu do głowy inne pytanie.

– Czy w ostatnim czasie zauważyłaś coś dziwnego? Czy ktoś się nie kręcił koło twojego domu, nie śledził cię na ulicy? Wszystko jedno, coś, z czym czułabyś się nieswojo?

Rzuciła mu nierozumiejące spojrzenie.

- Ale mówimy teraz o Claire czy o mnie?

– O tobie.

- Nie. A powinnam?

– Nie wiem. Gdyby coś zwróciło twoją uwagę, daj mi znać. Wpatrywała się w niego intensywnie, ale już nie komentowała.

– A ty – powiedział nagle. – Opowiedz mi o sobie, jak żyłaś przez wszystkie te lata.

- Dalej przesłuchuje mnie glina?

– Nie.

- A co chcesz wiedzieć?

- Wszystko. Te wszystkie lata, Hugo, twoje życie po...

W blasku zachodzącego słońca zobaczył, że jej oczy zachodzą lekką mgłą. Milczała, by zebrać wspomnienia. I dokonać wyboru. A potem opowiedziała. Starannie wyważone zdania. Nic melodramatycznego. A jednak jej opowieść kryła w sobie głęboki dramat. Marianne poślubiła Mathieu Bokhanowskiego, jednego z członków ich paczki. Bokha, pomyślał Servaz skonfundowany. Bokha, ten cham. Ten głupek. Dobry kolega, ale trochę kłopotliwy – zawsze znajdzie się ktoś taki. Ostentacyjnie obnoszący się z pogardą dla dziewczyn i wszelkich przejawów romantyzmu. Bokha i ktoś taki jak Marianne. W ich czasach była to rzecz nie do pomyślenia. Bokha, który wbrew wszelkim oczekiwaniom okazał się

dobrym, czułym i uprzejmym facetem. „On był w głębi serca dobry – podkreślała. – Choć na takiego nie wyglądał”. I niepozbawionym swoistego poczucia humoru.

Zapalił papierosa i czekał na dalszy ciąg. Była z Bokhą szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa. Swoją dobrocią, niewiarygodną energią i prostotą przenosił góry. Zdołał sprawić, by prawie zapomniała o bliznach, jakie zostawił w niej duet Servaz/ Van Acker. „Kochałam was. Obu. Jeden Bóg wie, jak bardzo was kochałam. Ale byliście nieprzystępni. Ty z tym przygniatającym wspomnieniem matki, z nienawiścią do ojca, Francis ze swoim ego”. Mathieu dawał wytchnienie, nie żądając niczego w zamian. Po prostu był, zawsze kiedy go potrzebowała. Servaz słuchał, jak przewija taśmę wszystkich tych lat, z pewnością wiele spraw pomijając, retuszując, upiększając, ale czy nie robimy tego wszyscy? W czasach, kiedy się przyjaźnili, nikt – od Marianne zaczynając – nie postawiłby złamanego grosza na przyszłość Bokhy, a tymczasem okazało się, że był nie tylko zdolny do tworzenia więzi, ale też obdarzony inteligencją praktyczną, która w latach, gdy Martin i Francis spędzali czas na dyskusjach o książkach, muzyce, kinie i koncepcjach filozoficznych, była czymś niemal bezużytecznym. Bokha skończył ekonomię, zbudował sieć sklepów informatycznych i w szybkim tempie zdołał zgromadzić niewielką fortunę.

W międzyczasie urodził się Hugo. I tak Bokha, który był nadwornym miernotą, głupkiem i sługą ich paczki, miał wszystko, czego może zapragnąć mężczyzna: pieniądze, uznanie, najpiękniejszą kobietę w okolicy, dom i syna.

To było z całą pewnością za dużo szczęścia – tak przynajmniej sądziła Marianne. Servaz, nie mówiąc tego głośno, pomyślał o hybris, owej pysze, która była jednym z grzechów głównych według starożytnych Greków: człowiek, który go popełniał, stawał się winnym tego, iż chce przekroczyć wyznaczoną mu miarę, i tym samym ściągał na siebie gniew bogów. Mathieu Bokhanowsky zginął w wypadku, gdy któregoś wieczoru wracał samochodem z otwarcia entego sklepu. Krążyły różne plotki – według jednych prowadził pod wpływem alkoholu, według innych w jego samochodzie znaleziono też ślady kokainy, jeszcze inne głosiły, że nie jechał sam, ale w towarzystwie ślicznej sekretarki, która wyszła z wypadku tylko trochę poobijana.

– Oszczerstwa, kłamstwa, zazdrość – podsumowała Marianne świszczącym głosem.

Podciągnęła kolana do klatki piersiowej, a jej bosc stopy uczepliły się jak pazury krawędzi drewnianego fotela. Przez chwilę Servaz wpatrywał się

w piękne, opalone stopy z grubymi żyłami biegnącymi wzdłuż na wysokości kostek. Deszcz bębnił w powierzchnię jeziora z beznadziejną regularnością.

– Krążyły też pogłoski, według których Mathieu był bankrutem. To nieprawda. Włożył pieniądze w ubezpieczenia i różne fundusze, a ja zaczęłam pracować, żeby nie musieć sprzedawać domu. Zajmuję się dekoracją wewnątrz dla ludzi, którzy nie mają gustu, grafiką stron internetowych dla przedsiębiorstw i stowarzyszeń. Odległe to od naszych marzeń o zostaniu artystami, ale nie aż tak bardzo odległe... – Urwała, ale Servaz wiedział, co chciała powiedzieć: „nie tak odległe jak bycie glina”. – Hugo miał jedenaście lat, kiedy zaczęłam wychowywać go sama – zakończyła, rozgniatając niedopałek w popielniczce. – Myślę, że całkiem nieźle sobie poradziłam. Martin, Hugo jest niewinny. Jeśli go oskarżysz, pošlesz do więzienia nie tylko mojego syna, ale również niewinnego człowieka.

Zrozumiał, co miała na myśli. Nigdy by mu tego nie wybaczyła.

– To nie zależy tylko ode mnie – odparł. – To decyzja sędziego.

– Ale uzależniona od tego, co ty mu powiesz.

– Wróćmy do Claire. W Marsac na pewno są osoby, którym jej sposób bycia się nie podobał.

Skinęła głową.

– Oczywiście. Plotek tu nie brakuje. Ja też byłam ich obiektem, kiedy po śmierci Mathieu odwiedzali mnie żonaci mężczyźni.

– A odwiedzali cię?

– Bez żadnych podtekstów. Mam tu paru przyjaciół. Francis może ci mówić. Pomogli mi przez to przejść. Te gliniarskie maniery, nie znałam cię z tej strony.

Zgniotła kolejny niedopałek.

– Skrzywienie zawodowe – powiedział.

Marianne wstała.

– Od czasu do czasu powinienes zapomnieć o swoim zawodzie.

Ton jej głosu smagnął go jak bicz, ale kobieta złagodziła uderzenie, kładąc przelotnie dłoń na jego ramieniu. Zapaliła światło na tarasie. Zapadał zmrok. Servaz usłyszał kumkanie żab. Owady krążyły wokół lampy, na powierzchni jeziora zaczęły się pojawiać języki mgły.

Wróciła z następną butelką. Servaz czuł się dobrze, był rozluźniony, zastanawiał się jednak, dokąd ich to zaprowadzi. Zauważył, że mimowolnie śledzi wzrokiem każdy jej ruch. Uświadomił sobie, że jej sposób chodzenia go magnetyzuje. Otworzyła butelkę i naląła mu wina. Żadne z nich nie odczuwało już potrzeby mówienia, kobieta jednak często spoglądała na niego spod jasnej grzywki. Nagle zrozumiał, co się działo w jego wnętrzościach. Pożądał jej. Gwałtownie. Nie miało to nic wspólnego z tym, co przeżyli kiedyś. Pożądał tej kobiety, dzisiejszej, czterdziestoletniej Marianne.

Była 1.10, kiedy wrócił do mieszkania. Wziął gorący prysznic, by się pozbyć zmęczenia, które wiązało mu mięśnie i na wieży w salonie włączył cicho *IV Symfonię* Mahlera. Myślał o wszystkim, czego się dowiedział w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin i próbował wprowadzić jakiś ład w swoje myśli.

Servaz zastanawiał się, dlaczego tak bardzo lubi te symfonie. Być może dlatego, że są kompletnymi światami, w których może się zatracić, ponieważ odnajduje w nich tę samą gwałtowność, krzyki, cierpienia, chaos, burze i mroczne znaki, które spotyka na zewnątrz, na ulicy. Słuchać dzieł Mahlera to podążać drogą, która prowadzi od ciemności do światła i odwrotnie, od niepohamowanej radości do burz wstrząsających barką ludzkiej egzystencji, aż wywróca ją do góry dnem. Ten Everest sztuki symfonicznej atakowali najwybitniejsi dyrygenci i Servaz kolekcjonował różne wykonania tak, jak inni zbierają znaczki albo muszle: Bernstein, Fischer-Dieskau, Reiner, Kondraszyn, Klemperer, Inbal...

Muzyka wcale nie przeszkadzała mu w myśleniu. Wręcz przeciwnie. Koniecznie musiał się przespać, pięć, sześć godzin, nie dłużej, po to, by naładować akumulatory. Servaz wiedział jednak, że jego umysł nie zazna spoczynku, dopóki nie uporządkuje, nie sklasyfikuje natłoku suchych faktów i wrażeń – i nie wydobędzie z nich głównej osi śledztwa na następny dzień.

Nazajutrz była niedziela, ale nie miał wyjścia: musiał zebrać brygadę, zatrzymanie chłopaka kończyło się za kilka godzin. Servaz wiedział, że w świetle zgromadzonego materiału sędzia nie zawaha się ani chwili z wnioskiem o areszt tymczasowy. Marianne będzie załamana, a chłopak straci tam niewinność; kilka dni w pudle i nigdy nie będzie już patrzył na świat tak jak dawniej. Sięgnął po notatnik i zaczął spisywać fakty:

1. Hugo znaleziony na brzegu basenu Claire Diemar. Claire martwa w wannie.
2. Twierdzi, że podano mu środki odurzające i że obudził się w salonie ofiary.
3. Żadnych śladów obecności osoby trzeciej.
4. Jego przyjaciel David mówi, że chłopak wyszedł z pubu Dubliners przed meczem Urugwaj-Francja: wystarczająco dużo czasu, żeby pojechać do Claire i zabić ją. Mówi też, że Hugo źle się poczuł: pretekst czy prawda?
5. Był pod wyraźnym wpływem środków odurzających, kiedy znaleźli go żandarmi. Dwie hipotezy: podano mu narkotyk / naćpał się sam.
6. Niedopałki. Ktoś obserwował Claire. Hugo czy ktoś inny? Według Margot i Marianne Hugo nie pali.
7. Płyta z ulubioną muzyką Hirtmanna w odtwarzaczu.
8. Kto wyczyścił pocztę elektroniczną Claire? Dlaczego miałby o to zadbać Hugo, skoro nie zrobił nic z własnym telefonem? Kto ukradł telefon ofiary?
9. Czy zdanie „Przyjaciel to czasem puste słowo. Nieprzyjaciel – nigdy” wskazuje na Hugona? Czy jest ważne?
10. Kim jest Thomas999?

Servaz podkreślił dwa ostatnie pytania. Zatrzymał ołówek, posłał jego końcówkę i przeczytał zapisane zdania. Wkrótce pracownia badań informatycznych udzieli odpowiedzi na pytanie numer dziesięć. Będzie można zrobić krok naprzód w śledztwie. Jeszcze raz pomału zebrał fakty, ustalając chronologię: Hugo wyszedł z pubu krótko przed meczem Urugwaj-Francja; około półtorej godziny później został zauważony przez sąsiada na brzegu basenu Claire Diemar; krótko potem żandarmeria znalazła go przestraszonego i pod wyraźnym wpływem alkoholu i narkotyków, gdy tymczasem młoda wykładowczyni spoczywała na dnie własnej wanny. Chłopak twierdził, że stracił przytomność i obudził się w salonie ofiary.

Servaz odchylił się do tyłu i pograżył w myślach. Istniała jakaś sprzeczność między na pierwszy rzut oka spontanicznym i przypadkowym charakterem tego morderstwa a jego niezwykle dopracowaną scenografią. Oczyma duszy znowu ujrzał obraz Claire Diemar związanej w wannie

z latarką w ustach. Nagle nabrał przekonania, że ten, kto to zrobił, nie był nowicjuszem. Taki sposób działania zdradzał doświadczonego zabójcę, nie debiutanta. Jednocześnie wskazywał na osobowość silnie zaburzona. Sprawca zastosował swoisty rytuał. A obecność rytuału niemal zawsze wskazuje na typ psychologiczny zagrożony skłonnością do seryjnych przestępstw. Czy seria dopiero nastąpi, czy już trwa? – zastanawiał się. Ta myśl przemknęła mu już przez głowę, kiedy zobaczył zwłoki, ale odrzucił ją, ponieważ seryjni mordercy – poza filmami i powieściami – należą do rzadkości oraz dlatego, że to nie jest pierwsza myśl, jaka spontanicznie przychodzi do głowy każdemu policjantowi kryminalnemu: większość z nich nigdy nie miała z tym zjawiskiem do czynienia. Hirtmann? Nie, niemożliwe. A jednak punkt siódmy niepokoił go najbardziej. Było mu bardzo trudno uwierzyć, by Szwajcar mógł być zamieszany w tę sprawę. To było zbyt nieprawdopodobne, a poza tym oznaczałoby, że bardzo dobrze znał jego przeszłość. Przypomniał sobie jednak słowa, jakie usłyszał tego ranka od człowieka z Paryża: o motocyklicie na autostradzie... W to również trudno mu było uwierzyć. Czy aby członkowie komórki zajmującej się tropieniem Szwajcara wskutek częstego uganiania się za duchami nie zaczęli brać własnych pragnień za rzeczywistość?

Przeszedł za wyspę na środku swojej otwartej kuchni, wyjął z lodówki puszkę piwa i wyslizgnął się przez balkonowe drzwi.

Zbliżył się do balustrady i spojrzął na ulicę na dole. Tak jakby Szwajcar mógł gdzieś tu być, stać na deszczu i śledzić jego najdrobniejszy ruch. Przeszedł go dreszcz. Ulica była opustoszała, ale miasta nigdy całkowicie nie zasypiają. Servaz o tym wiedział. Jakby w odpowiedzi pod blokiem przejechał wóz policyjny na sygnale – D/A, D/A, D/A – prześlizgując się między zaparkowanymi zderzak w zderzak autami, po czym zniknął, a dźwięk syreny stopniowo wtopił się w odwieczne buczenie miasta, permanentnie przełączonego na stan czuwania.

Wrócił do środka i włączył komputer, by sprawdzić pocztę. Zazwyczaj robił to wieczorem przed snem. Reklamy kusiły propozycjami tanich podróży kolejowych po całej Europie, nadmorskimi hotelami po obniżonych cenach, willami do wynajęcia w Hiszpanii, spotkaniami dla singli... Nagle jego wzrok zatrzymał się na e-mailu zatytułowanym: „Gratulacje”.

Servaz poczuł, że w jego żyłach gęstnieje krew. Wiadomość wysłał niejaki Theodor Adorno. Najechał myszką i kliknął:

Od: *theodor.adorno@hotmailcom*

Do: *martin.servaz@infomail.fr*

Data: *12 czerwca*

Temat: *Pozdrowienia*

Przypomina Pan sobie IV Symfonię, pierwsze część, Komendancie? Bedächtig... Nicht eilen... Recht gemächlich... Kawalek, który leciał, kiedy wszedł Pan do mojego „pokoju” owego pamiętnego grudniowego dnia? Już dawno myślałem, żeby do Pana napisać. Czy to Pana dziwi? Uwierzy mi Pan bez trudu, jeśli napiszę, że w ostatnim czasie byłem bardzo zajęty. Wolność, podobnie jak zdrowie, naprawdę docenia się dopiero wtedy, gdy było ich się przez dłuższy czas pozbawionym.

Ale nie będę się już Panu naprzykrzał, Martin. (Pozwoli Pan, że będę Pana w ten sposób nazywał?) Ja sam nie cierpię natrętów. Wkrótce przekażę Panu pewne informacje. Nie sądzę, że się Panu spodobają – jestem jednak pewien, że uznaje Pan za interesujące.

Z wyrazami przyjaźni

JH

NOC

Księżyc ukazał się w krótkim przeblysku, wkrótce znowu zniknął, zasłonięty przez chmury. Przez otwarte okno wpadał szum deszczu bębniącego o dachówki, wilgoć oblepiała jej skórę jak mokre prześcieradło, na podłogę u jej stóp kapały krople wody, jednak Margot stała bez ruchu. Zaciągała się papierosem. Dusila się w ciasnym pokoiku na poddaszu.

Obowiązywał zakaz palenia, ale miała to gdzieś. Koszulka kleiła się do rozgrzanej skóry, pot spływał jej między łopatkami i pod pachami. Spojrzała na zegarek. Dziesięć minut po północy. Jej współlokatorka spała z zaciśniętymi pięściami. I chrapała. Jak zwykle.

Margot zastanawiała się, kto robi więcej hałasu – letni deszcz czy ona. Lubiła tę trochę pulchną, nieśmiałą dziewczynę, ale to nocne chrapanie ją dobijało. Na szczęście iPod wsączał jej do uszu *Welcome to the Black Parade* w wykonaniu My Chemical Romance. Migrena rozsadzała jej skronie. Jeszcze piętnaście minut wcześniej obie ślęczały nad wypracowaniem z filozofii.

Wychyliła się na zewnątrz i rzuciła okiem na starą, okrągłą wieżę porośniętą bluszczem i zwieńczoną spiczastym dachem, znajdującą się na rogu dwóch budynków. Deszcz moczył jej twarz i ramiona. W oknie dyrektora na szczycie wieży paliło się światło. Jak często bywało o tej porze. Pewnie Grubas był w ferworze filmów porno, podczas gdy jego małżonka słodko spała.

Margot uśmiechnęła się na tę myśl.

Wiele razy widziała, jak ukradkiem gapił się na nogi studentek, i była pewna, że głowę miał pełną świńskich fantazji.

Nagle jej uwagę przykuł błysk światła na granicy jej pola widzenia. Spojrzała w kierunku parku. Światło znowu rozbłysło. Raz. Dwa razy. A potem – nic.

Cholera, Elias, pomyślała. Naprawdę jesteś walnięty!

Wyrzuciła niedopałek, który spadając, zakreślił w ciemności świetlistą parabolę, i zamknęła okno. Zatrzasnęła leżące na łóżku

laptopa, którego monitor lśnił w półmroku. Wciągnęła na stringi szorty w kolorze khaki, zapięła wielką srebrną klamrę nabitego ćwiekami paska i wsunęła stopy w odblaskowe trampki.

Na ścianie nad jej łóżkiem wisiały trzy plakaty z filmów grozy przedstawiające: 1) główną postać z *Halloween*, 2) Pinheada, Cenobitę z głową nafaszerowaną gwoździami z *Wysłannika piekieł*, 3) Freddy'ego Kruegera, postrach dzieci, potwora o poparzonej twarzy, który nawiedzał we śnie nastolatków z *Koszmaru z ulicy Wiązów*. Margot uwielbiała horrory. Podobnie jak heavy metal i powieści Anne Rice, Poppy Z. Brite i Clive'a Barkera. Wiedziała, że zarówno jej gust literacki, jak i zamiłowania muzyczne i filmowe kalają Marsac i że żadnemu z tych autorów nie grozi wpisanie do programu nauczania literatury współczesnej. Nawet Lucie, która bardzo się starała przypodobać swojej współlokatorce, trochę protestowała przeciwko tym plakatom, na które musiała patrzeć każdego wieczoru przed zaśnięciem. Protestowała też przeciwko zwyczajowi Margot, by palić w pokoju, nawet mimo otwartego okna.

Pochyliła się nad niewielką umywalką, spryskała twarz zimną wodą i opłukała pachy.

Podniosła się i spojrzała w lustro. Dwa rubinowe kolczyki, jeden w łuku brwiowym, drugi w dolnej wardze, błyszcząły jak małe czerwone gwiazdki w neonowym świetle. Margot – szczupła brunetka o umięśnionych nogach i półdługich włosach, była zupełnie niepodobna do innych dziewcząt w Marsac. Była z tego dumna.

Drzwi szafy lekko skrzypnęły, kiedy je otworzyła, by zdjąć z wieszaka swój skafander i Lucie cicho zaprotestowała przez sen.

Korytarz był pusty i mroczny. Światło dochodziło przez szpary pod drzwiami pokojów na końcu korytarza, gdzie mieszkały uczennice kursów przygotowawczych na politechnikę. W niektórych pokojach nie gasło ono przed trzecią nad ranem. Korytarz był jednak całkowicie wymarły i Margot szła do klatki schodowej, wyraźnie czując ducha tego miejsca. Budynek miał prawie trzysta lat. Ruszyła po schodach.

Z dziecięcą, radością wybiegła w sam środek ulewy. Ciepły deszcz bębnił o kaptur jej skafandra, kiedy szła wzdłuż muru dawnych stajni. Następnie przez mokrą trawę dotarła do pierwszego żywopłotu. Przemykała z cienia w cień, starając się być niewidoczna. Zatrzymała się między żywopłotem, czereśnią i stojącym na postumencie wysokim

posągiem. Podniosła głowę. Pochylona postać patrzyła na nią pustymi oczami.

– Cześć – odezwała się do posągu. – Paskudna pogoda nawet dla ciebie, co?

Z dużych liści drzewa kapąły na nią krople wody. Ruszyła w dalszą drogę wzdłuż żywopłotu. Wejście do labiryntu znajdowało się kawalek dalej. Dyrekcja liceum wiele razy zamierzała go zamknąć albo ściąć, ponieważ na jego terenie niejednokrotnie dochodziło do „chrzczenia kotów”, a także „niestosownych zachowań” uczniów obojga płci – labirynt był jednak, podobnie jak główny gmach, wpisany do rejestru zabytków i nie było sposobu, by go tknąć. Zainstalowano zatem tylko łańcuch z tabliczką TEREN PRYWATNY. UCZNIOM WSTĘP WZBRONIONY, co oczywiście respektowali jedynie najposłuszniejsi. Margot do nich nie należała. Schyliła się i przeszła pod łańcuchem.

O tej porze skąpany w deszczu labirynt nie był przyjemnym miejscem. Zadrzała, przeklinając Eliasa w duchu.

– Gdzie jesteś? – zawołała, by przekrzyczeć szum ulewy.

– Tutaj! – rozległ się głos dokładnie na wprost niej, ale odgradzała ją od niego ściana krzewów. Pierwsza alejka biegła aż do rogów labiryntu, na prawo i na lewo.

– Okay. Albo mi powiesz, którądy mam przejść, albo wracam.

– W lewo – odpowiedział.

Ruszyła w lewo. Śmiech.

– Nie: w prawo.

– Elias!

– W prawo, w prawo...

Zawróciła. Nieprzemakalna tkanina szeleściła przy każdym ruchu. Miała wrażenie, jakby poruszała się wewnątrz bańki mydlanej. Skręciła na końcu alejki. Dwa metry dalej za prawym rogiem znajdował się skręt w lewo, a zaraz za nim – w prawo. Następnie skrzyżowanie i trzy możliwości: prosto, w prawo i w lewo.

– A teraz gdzie?

– W lewo!

Poszła za jego wskazówką, pokonała jeszcze dwa zakręty i wreszcie go zobaczyła. Siedział na kamiennej ławce porośniętej mchem,

z wyciągniętymi przed sobą nienaturalnie długimi nogami. Elias nie miał kaptura. Jego czarne włosy przylegały do głowy, a długa, ociekająca wodą grzywka zasłaniała prawie całą twarz.

– Elias, wiesz, że jesteś kompletnie stuknięty!

– Wiem.

Potarła czubek nosa.

– Kurwa, gdyby ktoś nas tu zobaczył, wzięłby nas za czubków!

– Spoko, nikt nie przyjdzie.

– Domyślam się!

Elias i Margot chodzili do tej samej klasy. Z początku niespecjalnie zwracała uwagę na tego chudego dryblasa, który wyglądał na przytłoczonego własnym ciałem i który chował się za długą grzywką jak za zasłoną. W trakcie przerw większość czasu spędzał, siedząc, paląc i czytając w kącie boiska, z dala od wszystkich. Nie odzywał się do nikogo, chyba że musiał. Z powodu swojej odludkowatości szybko stał się obiektem ukradkowych spojrzeń, uszczypliwych uwag i drwin. Najczęściej powracały epitety w rodzaju „aspołeczny”, „stuknięty”, „odklejony”, a ze strony dziewcząt – „prawiczek”. Wyglądało jednak na to, że opinie innych Elias ma gdzieś. Najprawdopodobniej właśnie ta jego cecha w końcu zwróciła uwagę Margot i sprawiła, że dziewczyna postanowiła bliżej poznać dryblasa. Zdawała sobie sprawę z kierowanych w ich stronę spojrzeń, kiedy na szkolnym podwórku podjęła pierwsze próby zbliżenia się do niego, ale podobnie jak Elias miała gdzieś, co pomyślą inni. I w przeciwieństwie do niego miała już w tym college’u wystarczająco solidne grono przyjaciół.

– Uważaj – powiedział od razu – jeśli podejdziesz za blisko, możesz się zarazić.

– Czym?

– Samotnością.

– Twoja mizantropia nie robi na mnie wrażenia.

– To co tutaj robisz?

– Próbuję coś zrozumieć.

– Co?

– Czy jesteś geniuszem, kompletnym idiotą czy po prostu facetem, który się zgrywa.

– Minęłaś się z powołaniem, kochanieńka. Nie wyjeżdżaj mi tu z jakąś tanią psychologią.

Tak to się zaczęło. Elias nie pociągał jej fizycznie. Bardzo jej się jednak podobało, że potrafił bez kompleksów przyjmować swoją inność. Margot podniosła głowę. Księżyc pokazał się na chwilę w przerwie między chmurami i zaraz zniknął. Elias wyciągnął do niej rękę z paczką papierosów. Wzięła jednego.

– Wiesz o Hugonie?

– Jasne. Ludzie o niczym innym nie mówią.

– To wiesz, że znaleźli go naćpanego na brzegu basenu pani Diemar – powiedział.

– I?

– Słyszałem, że śledztwo prowadzi twój ojciec.

Przerwała pstrykanie zapalniczką, która odmawiała posłuszeństwa.

– Kto ci powiedział? Myślałam, że rozmawiasz tylko ze mną?

– Jakieś dziewczyny rozmawiały o tym rano, stałem obok. Tutaj wiadomości szybko się rozchodzą. Wystarczy wystawić antenki – powiedział, rozczapierzając palce po obu stronach głowy.

– Okay. Do czego zmierzasz?

– Wczoraj wieczorem, zanim to się stało, byłem w Dublinersach. Hugo i David też tam byli.

– No i co z tego? Słyszałam, że do pubu przyszły tłumy na ten mecz... Urugwaj-Francja.

– Hugo wyszedł z pubu przed rozpoczęciem meczu. Około godziny przed tym, jak pani Diemar została zamordowana,

– Tak, wszyscy o tym wiedzą. Kraży taka plotka.

– To nie jest tylko plotka. Byłem tam. Nikt nie zwracał na niego uwagi w tamtej chwili, wszyscy czekali na ten pieprzony mecz. Wszyscy oprócz mnie.

Na ustach Margot pojawił się uśmiezek. Pomyślała o ojcu.

– Nie jesteś fanem sportu, co, Elias? A co ty w tym czasie robiłeś? Bawiłeś się w pieprzonego podglądacza? Kimałeś? Czytałeś *Braci Karamazow*?

– Może byśmy się skupili na istocie rzeczy? – usadził ją. Margot zamierzała wbić mu kolejną szpilę, ale się powstrzymała.

– A co jest istotą rzeczy?

– David też wyszedł z pubu...

Zamieniła się w słuch. Chmury znów się rozsunęły jak zamek błyskawiczny i na krótką chwilę ich oczom ukazał się biały brzuch księżycy.

– Jak to?

– Dokładnie tak. Parę sekund po nim.

– Masz na myśli...

– Że David też nie oglądał meczu. Nikt nie zwrócił na to uwagi, bo wszystkich obchodził tylko ten idiotyczny futbol. Może poza Sarah.

– Sarah była z nimi?

– Tak, siedziała z nimi przy stoliku. Tylko ona z ich trójki została. Potem David wrócił. A Hugo nie, jak ci wiadomo.

Margot nagle stała się czujna. Wzmogła uwagę.

– Jak długo go nie było?

– A bo ja wiem, nie liczyłem. Jak się domyślasz, nie miałem pojęcia, co się dzieje. Zauważyłem tylko, że w pewnym momencie David wrócił do stolika. To wszystko.

Sarah była na drugim roku kursów przygotowawczych, tak jak David i Hugo. Bez wątpienia najładniejsza dziewczyna w całej szkole. Miała krótkie blond włosy i lubiła nosić małe kapelusiki na bakier. Ona, David, Hugo i jeszcze jedna dziewczyna o imieniu Virginie – mała czarnowłosa okularnica o silnej osobowości – byli niemal nierozłączni.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Mam zasugerować ojcu, żeby przesłuchał Sarah?

Uśmiechnął się.

– A nie chcesz się dowiedzieć więcej?

– Niby jak?

– Jaki ojciec, taka córka, nie? To znaczy: czy jest ktoś, kto lepiej się nadaje do przeprowadzenia małego śledztwa na terenie szkoły niż my?

– Nie mówisz poważnie.

Wstał. Był od niej wyższy o ponad głowę.

– Ależ oczywiście, że mówię poważnie.

– Kurwa, Elias!

– A gdyby ułożyć takie równanie: mamy Hugona podejrzanego o morderstwo i znalezione na miejscu zbrodni, mamy Davida, który wychodzi kilka sekund po nim, mamy Sarah, która wszystko widziała, ale milczy, i mamy czworo najlepszych studentów drugiego roku, inaczej mówiąc, cztery najbardziej błyskotliwe umysły w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, które tworzą nierozłączny kwartet. Przyznasz, że jeśli spojrzeć pod tym kątem, sprawa staje się niebywale interesująca, nie? Krótko mówiąc, gdzieś tu jest haczyk.

– I zamierzasz wtykać w to nos? Dlaczego?

– Pomyśl. Kto poza tą czwórką posiada najbłyskotliwszy umysł w tej szkole?

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem.

– Założmy, że się zgodzę. Co robimy?

Usta młodego człowieka rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Jeśli ktokolwiek z nich ma coś wspólnego z tym, co się stało, będzie unikać twojego ojca, glin, wykładowców, całego świata, tylko nie reszty studentów. I to jest nasza szansa. Rozdzielimy się, będziemy ich pilnować i zaczekamy, co się będzie działo. Osoba, która to zrobiła, na pewno prędzej czy później się zdradzi.

– Nie wiedziałam, że jesteś aż tak stuknięty.

– Zastanów się, Margot Servaz. Nie wydaje ci się dziwne, że taki gość jak Hugo dał się tak łatwo złapać?

– Ale dlaczego właściwie miałabym ci pomagać?

– Ponieważ wiem, że go lubisz – odpowiedział, ścisząc głos i wbijając wzrok we własne stopy. – I że żaden niewinny człowiek nie zasługuje na to, by nocować w więzieniu – dodał z niespotykaną u niego powagą.

Trafiona, zatopiona. Niespokojnym wzrokiem rozejrzała się dookoła po labiryncie. Czerń nieba nad żywoplotem rozdarł błysk. Przez jej głowę przemknęła myśl – jasna i oślepiająca jak błyskawica.

– Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? – zapytała zmienionym głosem.

– Że jeśli Hugo jest niewinny, to szaleniec jest na wolności.

NIEDZIELA

CAFÉ UBIK

– Kofeina – powiedział Servaz.

– Kofeina – powiedział Pujol.

– Kofeina – powiedział Espérandieu.

– A ja się napiję... herbaty – obwieściła Samira Cheung, po czym opuściła salę zebrań i poszła skorzystać z zainstalowanego przy windach dystrybutora z ciepłymi napojami, podczas gdy Vincent zabierał się do uruchomienia ekspresu.

Była niedziela, 13 czerwca, dziewiąta rano. Servaz dyskretnie popatrywał na podwładnych. Espérandieu miał na sobie obcisły T-shirt Kaporal – który podkreślał, że jego właściciel w mądry sposób dba o mięśnie klatki piersiowej i ramion – oraz dżinsy z mnóstwem kieszeni rozcięte na wysokości kolan. Servaz początkowo miał problem z przyzwyczajeniem się do strojów młodszego kolegi (a i teraz nie był pewien, czy mu się to udało). A potem do jednostki dołączyła Samira Cheung i nagle upodobania odzieżowe Vincenta wydały się niemal... rozsądne. Jakkolwiek tego czerwcowego poranka dała dowód swoistej powściągliwości: była ubrana w kamizelkę z cekinami, pod którą włożyła T-shirt z napisem DO NOT DISTURB, I'M PLAYING VIDEO GAMES, dżinsową minispódniczkę, pasek z wielką klamrą oraz kowbojki. Servaza jednak bardziej niż wygląd śledczych interesowało to, co mają w głowie, a odkąd przyszli Vincent i Samira, ich brygada miała najwyższą wykrywalność sprawców w całym Wydziale Spraw Kryminalnych, mimo że za oficjalną fasadą chwalebego rozwoju i spuścizny wskaźnik przestępczości Różowego Miasta znacznie przekraczał średnią.

Postawcie staruszkę z torebką w rękę na którejś z ulic o północy, a zaraz zjedzie się połowa skuterów z miasta, by ją okraść – zwykły mawiać Servaz. Niewykluczone, że ich właściciele pozabijają się nawzajem o ten łup. Nie trzeba zresztą czekać do zmroku: Tuluza to miasto, w którego żyłach nieprzerwanie krąży trucizna miejskiej przestępczości. Ludzie z wydziału musieli stawiać czoło rosnącej liczbie przestępstw, napadów, włamań i nielegalnego handlu. Podobnie jak w innych sektorach gospodarki dla zbrodniarzy najistotniejsze były przyrost liczby klientów

i ich satysfakcja. Dane statystyczne w tej dziedzinie były tak samo ważne dla złodziei, jak i dla urzędników, w kontekście kryzysu zaś miała się ona znacznie lepiej niż jej legalne odpowiedniki.

Aby powstrzymać falę występku, władze miasta wpadły na świątłą myśl, która streszczała mechanizm zaprzeczenia, jaki wykazywały w podejściu do przestępczości: powołały do istnienia Biuro Ładu Publicznego, Dlaczego nie stworzyć biura wolności seksualnej do walki z falą gwałtów, skoro już przy tym jesteśmy? Albo biura zdrowego życia do walki z handlem narkotykami? Biuro miało zostać otwarte całkiem niedaleko, na placu, gdzie policja i celnicy dokonywali regularnych nalotów, których jedynym skutkiem było rozpedzenie dealerów i handlarzy papierosami z przemytu na kilka godzin. Po pewnym czasie wracali wszyscy na ten sam plac, jak mrówki na chwilę przepędzone tupnięciem.

Prawo natury, pomyślał Servaz, wstając. Przetrawanie najsilniejszego. Adaptacja. Darwinizm społeczny. Ruszył korytarzem. Gdy znalazł się w łazience, podszedł do rzędu umywalek. W lustrze zobaczył bezmiar mozołu i zmęczenia: cienie pod oczami, zaczerwienione powieki. Wyglądał jak trup. Spryskał twarz zimną wodą. Po tamtym e-mailu bardzo mało spał, a od kofeiny, która krążyła w jego żyłach, było mu niedobrze. Na zewnątrz przestało padać. W słońcu, które wpadało przez okienka nad pisuarami, tańczył kurz, przegrzane powietrze czuć było środkiem czyszczącym; Servaz zastanawiał się, czy firma sprzątająca pracuje tu także w niedziele. Duża przestrzeń za jego plecami sprawiała, że czuł się nieswojo. Lęk był tuż-tuż; policjant rozpoznał na karku jego elektryzujące mięśnie.

Kiedy wrócił do sali, zauważył, że Vincent i Samira otworzyli już swoje laptopy. Dziewczyna miała jeszcze na szyi słuchawki i Servaz pomyślał przelotnie, w jakim wieku Samira zacznie mieć problemy ze słuchem. Dostrzegł, że nawet Pujol zaopatrzył się w smartfona i westchnął, wyciągając na stół swój notatnik i dobrze naostrzony ołówek.

Pujol jako czterdziestodzieciolatek był weteranem grupy. Glina starej szkoły, twardziel, zwolennik metod siłowych. Silny, potężny facet, z gęstą czupryną siwiejących włosów, którą czochrał, kiedy się zastanawiał, co zdaniem Servaza niezbyt często mu się zdarzało. Ze względu na posiadane doświadczenie przydawał się w grupie, choć niektóre aspekty jego osobowości nie podobały się Martinowi: rasistowskie kawały, zachowanie niejednokrotnie na granicy dobrego smaku w stosunku do świeżo upieczonych funkcjonariuszek policji, macyzm i podskórna homofobia. Te ostatnie cechy wyszły na jaw z chwilą

pojawienia się w wydziale Vincenta i Samiry Cheung. Pujol wraz z kilkoma kumplami bez żadnych zahamowań obrażali i upokarzali nowych członków brygady, aż w końcu Servaz postanowił położyć temu kres. Odwołał się przy tej okazji do metod, których generalnie nie pochwalał i zyskał kilku wrogów. Ale jednocześnie zaskarbił sobie dozą wdzięczność dwójki młodych podwładnych.

Kawa wreszcie zabulgotała w ekspresie i Espérandieu zajął się nalewaniem. Pozostała dwójka siedziała pogrążona w lekturze e-maila.

– Theodor Adorno – odezwała się Samira – to panu coś mówi, szefie?

– Theodor Adorno to niemiecki filozof i muzykolog, wybitny znawca dzieł Mahlera – oświadczył.

– Czyli ulubionego kompozytora Juliana Hirtmanna i twojego – zauważył Espérandieu.

Servaz się zasepił.

– Miliony ludzi cenią muzykę Mahlera.

– Jaki jest dowód, że to nie ścierna? – zapytała Samira, podnosząc głowę, z kubkiem w dłoni. – Od czasu ucieczki Hirtmanna w wydziale odbierali dziesiątki fałszywych telefonów i całą masę trefnych e-maili.

– Ale ten przyszedł na jego prywatną pocztę – uściślił Espérandieu.

– O której?

– Koło osiemnastej – odpowiedział Servaz.

– Tutaj jest godzina wysiania. – Vincent wskazał górę strony jedną ręką, w drugiej trzymając kawę.

– I o czym to świadczy? Czy Hirtmann miał ten adres? Pan mu go podał, szefie?

– Oczywiście, że nie.

– A zatem to o niczym nie świadczy.

– Wróciliśmy do punktu wyjścia? – zainteresował się Pujol, odchylając się na krześle, by się przeciągnąć i strzelić kośćmi palców.

– Informatycy nad tym pracują – zasygnalizował Espérandieu.

– Jak długo to potrwa? – chciał wiedzieć Servaz.

– Nie wiem. Po pierwsze jest niedziela, specjalnie ściągnęli jednego technika. Po drugie gość się trochę stawiał i przypomniał, że już dostał

robotę przy twardym dysku Claire Diemar. Chciał wiedzieć, co jest ważniejsze. Po trzecie, mają jeszcze jedną sprawę na głowie i to jest ich priorytet: żandarmeria i wydział bezpieczeństwa publicznego rozpracowują siatkę pedofilską, której członkowie wymieniają się zdjęciami i filmami na terenie regionu, ale też w całej Francji i Europie. Mają do sprawdzenia setki adresów e-mailowych.

– A ja myślałem, że seryjny morderca, który znowu może zacząć działać, to też priorytet.

Ta uwaga nieco ostudziła temperaturę panującą w pomieszczeniu. Samira wypila łyk swojej herbaty i skrzywiła się, jakby napój był gorzki.

– Bo tak jest – powiedziała łagodnie. – Ale mimo wszystko tam chodzi o dzieciaki, szefie...

– Okay, okay – odpowiedział.

– Jeżeli to Hirtmann – zauważył Pujol.

– Jak to? – nastroszył się Servaz.

– Zgadza się z Samirą – powiedział Pujol, wywołując powszechne zaskoczenie. – Ten e-mail absolutnie o niczym nie świadczy. Na pewno są ludzie, którzy potrafią zdobyć twój adres e-mailowy. Wszyscy wiedzą, że w Internecie nie ma czegoś takiego jak prywatność. Mój chłopak ma trzynaście lat i wie na ten, kurwa, temat więcej ode mnie. O ile się orientuję, wśród hakerów i informatycznych geniuszy jest sporo małych kawalarzy.

– A ile osób waszym zdaniem wiedziało, jaki utwór muzyczny leciał w celi Hirtmanna, kiedy tam byliśmy?

– Jesteś pewien na sto procent, że żaden dziennikarz tego nie zwęszył? Że taka wiadomość nigdzie się nie pojawiła? Oni wtedy dużo szperali. Prasa nagabywała wszystkich bohaterów tej sprawy. Może ktoś się wygadał. Naprawdę przeczytałeś wszystkie artykuły, które na ten temat wydrukowali?

Oczywiście, że nie, pomyślał wściekły. Artykułów było kilkadziesiąt. Servaz wręcz starał się unikać ich czytania. I Pujol o tym wiedział.

– Pujol ma rację – przyznała Samira. – To na pewno jakiś kretyn sprytniejszy od innych. Od czasu ucieczki Hirtmann ani razu nie dał znaku życia. Minęło osiemnaście miesięcy. Dlaczego miałby to zrobić akurat teraz?

– Dobre pytanie. A ja mam inne: co robił w międzyczasie?

To był głos Vincenta. Zmroził atmosferę.

– A co waszym zdaniem robi człowiek taki jak on, kiedy się znajdzie na wolności? – zapytał Servaz.

– W porządku, ile osób myśli, że to on?

Podniósł rękę, żeby dać przykład. Zobaczył wahanie Espérandieu, ostatecznie jednak jego ręka pozostała w dole.

– A ile osób uważa inaczej?

Tym razem zgłosili się Pujol i Samira. Dziewczyna była lekko zmieszana.

– Ja nie mam zdania – powiedział Espérandieu, widząc pytające spojrzenia pozostałych.

Servaz poczuł narastający gniew. Mieli go za paranoika. A jeśli to prawda? Bzdury. Spojrzał kolejno na każde z nich i podniósł rękę, by ich uciszyć.

– W odtwarzaczu Claire Diemar była płyta. Mahlera – zaczął. – Oczywiście ta informacja nie może się przedostać na zewnątrz, zwłaszcza do prasy.

Dostrzegł zaskoczone spojrzenia całej trójki.

– I dzwoniłem do komórki w Paryżu.

Streścił im swoją rozmowę z Paryżem. Zapadła cisza.

– Z tą płytą to może być zwykły zbieg okoliczności. – Samira nie odpuszczała. – A historia z motocyklistą sfilmowanym na autostradzie pachnie mi sfabrykowanym newsem. Ostatecznie ci goście w Paryżu muszą jakoś uzasadnić istnienie swojej jednostki. To tak jak z badaczami UFO: gdyby jutro ktoś wykazał, że chodzi tylko o balony meteorologiczne, drony czy jakieś wojskowe prototypy, straciliby rację bytu.

Servaz miał ochotę wybuchnąć. Zachowywali się jak naukowcy, którzy analizując wyniki swoich doświadczeń, widzą w nich tylko to, co chcieli znaleźć. Nie mieli ochoty, by uznać, że Hirtmann może być zamieszany w sprawę, więc nie chcieli o tym słuchać. I z góry założyli, że każda informacja na jego temat to wymysł albo że można ją podważyć. Na swoją obronę mieli fakt, że byli zalewani fałszywymi wiadomościami i telefonami od osób, które sądziły, że go widziały tu czy tam – a każdy taki alarm okazywał się fałszywy albo niemożliwy do potwierdzenia.

Wyglądało to tak, jakby Szwajcar zapadł się pod ziemię. Pojawiła się nawet teza o jego samobójstwie, ale Servaz w nią nie wierzył: przecież gdyby chciał, mógłby ze sobą skończyć w Instytucie Wargniera. Jego zdaniem Hirtmann pragnął tylko dwóch rzeczy: odzyskać wolność i wrócić do tego, co robił wcześniej.

– Mimo wszystko zadzwonię do Paryża i przekażę im tego e-maila – powiedział.

Zamierzał jeszcze coś dodać, kiedy w sąsiednim pomieszczeniu rozległ się głos:

– Jest! Mamy go!

Servaz podniósł nos znad swojego notesu. Wszyscy rozpoznali głos jednego z informatyków z pracowni komputerowej. Wysoki, szczupły młody człowiek – z długą szyją, w okularach i dżinsach, wyglądający jak skrzyżowanie Billa Gatesa i Steve'a Jobsa – triumfalnie wkroczył do sali, dzierżąc w dłoni kartkę.

– Nowa wiadomość! – rzucił, wymachując świstkiem. – Namierzyłem komputer, z którego wysłano e-maila.

Servaz dyskretnie rozejrzał się dookoła. Wszystkie spojrzenia spoczywały na nowo przybyłym. Nerwowość i ekscytacja były niemal dotykalne.

– I?

– Został wysłany stąd. Z kafejki internetowej. W Tuluzie.

Servaz zauważył, że fasada Café Ubik przy rue de Rome była wciśnięta między bar kanapkowy a sieciowy sklep z damską odzieżą. Przypomniawszy sobie, że za jego studenckich czasów w tym miejscu była księgarnia. Jaskinia Alibaby pachnąca papierem, tuszem, kurzem i niezgłębionymi tajemnicami słowa pisanego. Jedyne pamiątki po tamtych czasach to łukowato sklepione arkady z wpisaną w środek witryną kafejki i fasada z czerwonej cegły. Servaz odczytał wywieszkę z godzinami otwarcia: nieczynne w poniedziałek, ale za to otwarte w niedzielę rano.

Niewidzialna granica dzieliła wnętrze na dwoje. Po lewej kawiarenka z ladą i stolikami, a po prawej przestrzeń multimedialna z rzędem foteli, przypominająca salon fryzjerski. Przy komputerach siedziała dwójka klientów rozmawiających przez zestawy słuchawkowe. Servaz przyjrzał im się uważnie, jakby się spodziewał, że jeden z nich może się okazać

Hirtmannem. Kobieta za ladą – „Fanny”, jak głosiła plakietka na jej piersi – uśmiechała się nieznacznie znad olbrzymiego dekoltu. Espérandieu pokazał legitymację i zapytał, czy była tu poprzedniego wieczoru około osiemnastej. Spojrzała w głąb pomieszczenia i zawołała niejakiego Patricka. Usłyszeli zrzęczenie od strony zaplecza. Patrick trochę zwlekał, zanim się pojawił. Potężny facet około trzydziestki, w białej koszuli z podwiniętymi rękawami i czarnych spodniach. Rzucił im podejrzliwe spojrzenie zza okularów i Servaz od razu zakwalifikował go jako „mało współpracującego”. Patrick miał małe, jasne, zimne i uparte oczka.

– W jakiej sprawie?

Espérandieu podszedł do niego, znowu pokazując legitymację. Komendant wolał trzymać się z tyłu. Jego zastępca był gikiem – cyberświat był dla niego czymś nieskończenie bliższym niż dla Servaza, którego cała ta wszechobecna moda na telefony komórkowe, portale społecznościowe i tablety przyprawiała o ból głowy. Poza tym Espérandieu nie wyglądał na glinę.

– Pan jest właścicielem?

– Kierownikiem – poprawił go ostrożnie grubas.

– Wczoraj około osiemnastej został stąd wysłany pewien e-mail. Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy pan sobie przypomina człowieka, który go napisał.

Kierownik uniósł brwi nad oprawki okularów i spojrzał na nich wzrokiem oznaczającym: a jak myślisz, koleś?

– Co wieczór przewija się tu jakieś pięćdziesiąt osób. Sądzi pan, że zaglądam im przez ramię i sprawdzam, co robią?

Espérandieu i Servaz mieli przy sobie zdjęcie Szwajcara, ale postanowili go nie pokazywać. Gdyby przypadkiem gość rozpoznał seryjnego mordercę, który rok wcześniej był na pierwszych stronach gazet, istniało ryzyko, że zacznie rozpowiadać wszem i wobec, co się stało. A wieść, jakoby Hirtmann był w Tuluzie i zabawiał się wysyłaniem e-maili do policji, dotarłaby do prasy w krótszym czasie, niż wynosi wynik Usaina Bolta na setkę.

– Bardzo wysoki, szczupły facet – opisywał Espérandieu – koło czterdziestki... Być może miał perukę. Mógł zwracać uwagę nieco dziwnym zachowaniem. Prawdopodobnie mówi z lekkim akcentem.

Kierownik przenosił wzrok z jednego policjanta na drugiego jak kibic na korcie Rolanda Garrosa z miną świadcząca o tym, że ma ich za kompletnych idiotów. Wzruszył ramionami.

– Gość w peruce i z obcym akcentem? To jakiś żart? Trochę dużo tego „być może”, nie uważa pan? Nie, nie kojarzę. – Ale po chwili jakby coś sobie przypomniał. – Chwileczkę... – Dostrzegł ich zaskoczenie i przerwał. Wyblakłe niebieskie oczka błyszczały za szklami okularów i Servaz zrozumiał, że facet delektuje się ich zainteresowaniem i niecierpliwością. – Tak, ktoś tu był, teraz sobie przypominam... – Uśmiechnął się i zrobił zamyśloną minę. Czekał na ich reakcję.

Servaz poczuł narastającą wściekłość.

– Piękna instalacja – powiedział Espérandieu, jakby ciąg dalszy go nie interesował. – Ma pan tu Wi-Fi?

Mężczyzna wyglądał na zbitego z tropu nagłą utratą zainteresowania dla jego spotkania z gościem, ale dla odmiany mile polechtanego zainteresowaniem dla lokalu.

– Eee... nie, zostawiłem kable. Przy trzydziestu stanowiskach nawet najlepszy router bardzo szybko by wysiadł. Przez gry w sieci.

Espérandieu pokiwał głową z uznaniem.

– Mhm. No tak, oczywiście. A zatem ktoś przyszedł?

Teraz z kolei kierownik cyberkafejki poczuł ochotę, by trochę podgrzać ich zapał.

– Tak, ale nie facet, którego pan opisał. To była kobieta. Zainteresowanie policjantów spadło niemal do zera.

– A jaki to ma związek z człowiekiem, którego szukamy? Na jego twarz powrócił uśmiech.

– Powiedziała mi, że przyjdziecie. Mówiła, że przyjdą tu jacyś goście i będą wypytywać o e-maila, którego wysłała. Ale nie powiedziała, że będą z policji.

Trafiony. Cała ich uwaga znowu skupiła się na nim. Servaz i Espérandieu nie spuszczaali go z oczu.

– Ale to jeszcze nie wszystko.

A to gnida, pomyślał Servaz. Jeszcze chwila, a złapałby gościa za kołnierz i kazałby mu zeżreć jego pomarańczową plakietkę.

– Zostawiła to...

Zobaczyli, jak wchodzi za ladę, otwiera jedną z szuflad i coś z niej wyjmuje.

Koperta.

Servaz poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Patrick podał szarą papierową kopertę Vincentowi, który już zdążył założyć rękawiczki.

– Ktoś tego dotykał oprócz pana?

– Nikt.

– Jest pan pewien?

– Tak. Ja ją odebrałem i ja ją tam schowałem.

– Ma pan nóż do papieru? Albo nożyczki?

Mężczyzna pogrzebał w szufladzie i podał mu nóż do chleba. Espérandieu delikatnie rozciął kopertę i sięgnął do środka dwoma palcami. Servaz patrzył na dłoń Vincenta, który między palcem wskazującym a kciukiem trzymał srebrny, połyskujący dysk. Espérandieu obejrzał płytkę z każdej strony. Servaz zrobił to samo, zaglądając mu przez ramię. Powierzchnia dysku była czysta, bez żadnych napisów ani śladów palców.

– Możemy to odczytać? – zwrócił się do kierownika. Mężczyzna wskazał im rząd komputerów dla klientów.

– Nie, nie tutaj. W jakimś bardziej dyskretnym miejscu.

Patrick przeszedł na drugą stronę lady i odsunął czerwoną kotarę. Ciasne pomieszczenie bez okna, pełne kartonów po sprzęcie informatycznym i skrzynek z butelkami. Nieużywany ekspres do kawy starego typu, a w kącie biurko z komputerem i lampka.

– Czy ta kobieta, która dała panu kopertę, była sama? – spytał Servaz

– Tak.

– Jakie wrażenie na panu zrobiła? Patrick się zamyślił.

– O ile pamiętam, ładna. Poza tym raczej surowa. Teraz, kiedy pan pyta, wydaje mi się, że miała perukę, tak...

– Poprosiła pana, żeby pan nam to przekazał? Dlaczego nie zadzwonił pan na policję?

– Bo ani przez chwilę nie było mowy o policji ani o czymkolwiek nielegalnym. Powiedziała mi tylko, że jacyś ludzie przyjdą tu i będą o nią pytać i że mam im przekazać tę kopertę.

– Dlaczego się pan zgodził? Nie wydało się to panu podejrzane?

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

– W komplecie były dwa banknoty po pięćdziesiąt euro.

– To tym bardziej podejrzane, nie?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Oprócz peruki nic nie zwróciło pana uwagi?

– Nie.

– Ma pan tu kamerę?

– Tak, ale włącza się dopiero wieczorem po zamknięciu lokalu, na czujnik ruchu.

Facet wyczytał rozczarowanie w oczach Servaza i robił wrażenie, jakby się tym delectował. Patrick nie wyglądał na szczególnie zatroskanego o los współobywateli, za to bardzo się starał, by zaledwie nie ułatwiać pracy policji. Z całą pewnością czytelnik George'a Orwella, teorii na temat Wielkiego Brata, przekonany, że żyje w państwie policyjnym.

– A banknoty, ma je pan jeszcze?

– Nie, pieniądze są w ciągłym obrocie.

– Dziękuję panu – powiedział Espérandieu, żeby się go pozbyć.

Servaz zobaczył, jak jego zastępca pochyła się nad komputerem. Kierownik nie ruszał się z miejsca.

– A ten facet, którego szukacie, to kto?

– Może pan już iść – powiedział Servaz, uśmiechając się szeroko. – Poprosimy pana, jak będziemy pana potrzebować.

Mężczyzna zmierzył ich wzrokiem, po czym wzruszył ramionami i odwrócił się na pięcie. Gdy znalazł się po drugiej stronie kotary, Espérandieu wsunął płytę do urządzenia. Na monitorze pojawiło się okienko i program do odtwarzania plików multimedialnych uruchomił się automatycznie.

Servaz instynktownie napiął mięśnie. Czego się spodziewać? Wiadomości od Hirtmanna? Nagrania wideo? I kim była kobieta, która rozmawiała z kierownikiem? Wspólniczką? Obaj byli spięci.

Servaz zobaczył, jak na koszulce Vincenta między łopatkami pojawia się trójkąt potu, z pewnością nie tylko z powodu panującego w klitce gorąca. Z sali dochodził przygłuszony gwar rozmów.

Przedłużająca się w nieskończoność cisza, którą zakłócały jedynie trzaski elektryczności statycznej w głośnikach. Espérandieu podkreślił głośność.

Nagle z urządzenia buchnęła na cały regulator przerażająca muzyka. Obaj podskoczyli jak rażeni prądem.

– O ja pierdołę! – Espérandieu rzucił się, by ściszyć urządzenie.

– Co to jest? – zapytał Servaz. Serce waliło mu tak, że o mało nie pękło. Kawalek z płytki leciał dalej, tyle że już ciszej.

– Marilyn Manson – odparł Vincent.

– Ktoś tego słucha?

Mimo odczuwanego napięcia Espérandieu nie mógł powstrzymać uśmiechu. Utwór wreszcie się skończył. Odczekali jeszcze kilka sekund do końca odczytu.

– Koniec – powiedział Espérandieu, patrząc na kursor na ekranie.

– Nie ma nic więcej?

– Nie, to wszystko.

Z twarzy Servaza zniknął niepokój. Teraz malowało się na niej zakłopotanie i poczucie porażki.

– Co to ma znaczyć twoim zdaniem?

– Nie wiem. Ewidentnie to jakaś ścierna. Jedno jest pewne: to nie Hirtmann.

– Nie.

– A zatem e-mail też nie jest od Hirtmanna. Servaz zrozumiał aluzję i poczuł nawracającą złość.

– Uważacie, że mam paranoję, tak?

– Słuchaj, każdy by miał. Ten wariat jest na wolności. Policja w całej Europie go szuka, ale nie ma żadnych śladów. Przy wiadomościach, jakimi

dysponują, może być wszędzie. A ten czubek, zanim zniknął, rozmawiał z tobą.

Servaz spojrział na swojego zastępcę.

– W każdym razie wiem przynajmniej jedno... – wypowiadając te słowa, zdawał sobie sprawę, że mogą one być kolejnym argumentem do zapisania w dokumentacji jego paranoi – ...prędzej czy później ten szalaniec wróci.

SANTORYN

Irène Ziegler spojrzała w dół i sto metrów niżej zobaczyła statek wpływający do kaldery. Z jej punktu obserwacyjnego wielki okręt wyglądał jak niewinna biała zabawka. Niebieski kolor nieba i morza był niemal sztuczny. Kontrastował z oślepiającą bielą tarasów, ochrą klifów i czernią małych wulkanicznych wysepek rozsianych po zatoce.

Zanurzyła wargi w bardzo słodkiej greckiej kawie i głęboko zaciągnęła się papierosem. Jedenasta przed południem. Już było gorąco. W dole, u podnóża klifu, statek wysadzał na brzeg kontyngent turystów. Na sąsiednim tarasie para Anglików w słomkowych kapeluszach pisała kartki pocztowe. Na kolejnym stał mężczyzna około trzydziestki, który nie przestając rozmawiać przez telefon, pomachał jej przyjaźnie. Średniego wzrostu, o atletycznej budowie ciała, w białych szortach i luźnej, ale bez wątpienia drogiej niebieskiej koszuli. Twarz bardziej pomarszczona niż opalona, tag heuer na nadgarstku. Początki łysiny. Niemiecki trader – singiel ociekający kasą. Kilkakrotnie widziała go wracającego do hotelu na lekkim gazie, za każdym razem w towarzystwie innej dziewczyny. Hotel przyjmował dość dzianą klientelę, noc w niskim sezonie kosztowała tu 225 euro. Szczęśliwie Irène nie musiała pokrywać kosztów pobytu ze swojej pensji funkcjonariuszki żandarmerii.

Odmachała facetowi i wstała. Miała na sobie podkoszulek w kolorze czerwonej papryki i białą spódniczkę z ultracienkiej tkaniny. Lekka morska bryza łagodziła narastający upał, ale kobieta i tak czuła, jak po plecach płynie jej strumyczek potu. Weszła do pokoju.

– Nie ruszaj się – powiedział jakiś głos wprost do jej ucha.

Ziegler zadrżała. Ktoś jej groził.

– Rusz się tylko, a pożałujesz.

Poczuła, że wokół jej nadgarstków wykreconych na plecy zaciska się pętla. Pomimo gorąca jej przedramiona pokryły się gęsią skórka. Potem ktoś zawiązał jej oczy i przestała cokolwiek widzieć.

– Idź prosto do łóżka. Żadnych sztuczek.

Posłuchała. Jakaś ręka brutalnie pchnęła ją na łóżko. Ktoś zdjął jej spódnicę i majtki od kostiumu.

– Nie za wcześnie na takie zabawy? – zapytała, leżąc z twarzą w pościeli.

– Zamknij się! – zarządził głos za jej plecami. Jej uszu dobiegł zduszony chichot. – Nigdy nie jest za wcześnie. – Właściciel głosu posługiwał się językiem francuskim z lekkim słowiańskim akcentem.

Została przewrócona na plecy. Zerwano z niej koszulkę. Poczowała na sobie nagie, rozgrzane ciało. Czyjeś wargi zaczęły całować jej powieki, nos, usta, następnie jej ciało zaczął pieścić mokry język. Uwolniła związane za plecami nadgarstki, zerwała z oczu opaskę i zobaczyła czarne włosy Zuzki, której głowa wędrowała coraz niżej w kierunku jej brzucha. Spojrzała na jej opalone plecy i jędrne pośladki. Jej lędźwie przebiegła fala pożądania. Zanurzyła palce w jej czarnych, jedwabistych włosach, wygięła ciało, otarła się o nią i jęknęła. Po czym twarz Zuzki wróciła na wysokość jej twarzy, twarde i gładkie łono przywarło do jej łona i kobiety zaczęły się całować.

– A to co za dziwne upodobania? – zapytała nagle Irène między jednym pocałunkiem a drugim.

– *Yaourti me meli* – odpowiedział głos. – Jogurt z miodem. Ciii...

Irène wpatrywała się w ciało leżącej obok Zuzki. Słowaczka była naga, poza słomkowym kapeluszem, którym zasłoniła twarz, i sandałami ze skórzanych rzemyków na nogach. Była równo opalona i pachniała słońcem, morską solą i kremem ochronnym. Miała pełniejsze piersi niż Irène, większe sutki, dłuższe nogi i ciemniejszą karnację. Brakowało tylko tego tatuażu – pomyślała Irène, z uśmiechem przyglądając się wytatuowanemu na jej wzgórku łonowym delfinowi. Jeszcze dzień wcześniej go tam nie było. Zuzka zafundowała go sobie w salonie w Firze – „stolicy” wyspy – na pamiątkę tych wyjątkowych wakacji. Delfin był jednym z motywów najczęściej spotykanych w greckiej ikonografii, a ich miłosne gniazdko nazywało się hotel Delfini. Dziewczyna czekała z tym do ostatniego dnia wakacji, ponieważ nie należy kąpać się ze świeżym tatuażem, i zaaplikowała na to miejsce krem z filtrem o wskaźniku 60.

Od trzech tygodni na pokładach kolejnych statków przemieszczały się z jednej wyspy na drugą i zwiedzały Cyklady na skuterze: Andros, Mykonos, Paros, Naksos, Amorgos, Serifos, Sifnos, Milos, Folegandros, los – i na zakończenie Santoryn, gdzie od czterech dni spędzały czas, kąpiąc

się, nurkując i opalając na czarnych plażach, spacerując malowniczymi biało-niebieskimi uliczkami, na których było prawie tyle sklepów co w Tuluzie, i przeżywając chwile miłosnych uniesień w swoim hotelowym pokoju. Z początku odwiedzały jeszcze lokale typu Enigma, Koo Club albo Lava Internet Café, aie szybko się zniechęciły do tych nocnych klubów ze spoconymi facetami i kobietami, które piły aż do momentu, gdy ich oczy stawały się przezroczyste, a mowa jeszcze bardziej niezrozumiała niż zazwyczaj. Od czasu do czasu zachodziły na jednego do Marvin Gaye czy Tropical Bar. Opuszczały te miejsca w chwili, gdy zalewała je fala rozwrzeszczanych imprezowiczów, po czym snuły się po bardziej zacisznych uliczkach, trzymając się za ręce i całując w bramach i ciemnych zaułkach, albo wsiadały na skuter, by pospacerować po plaży w świetle księżyca, ale nawet tam trudno było się opędzić od pijaków i natrętów i uciec od pulsujących odgłosów techno.

Ziegler wstała bezgłośnie, żeby nie zbudzić towarzyszki i wyjęła z lodówki butelkę soku pomarańczowego. Napełniła dużą szklanke, wypila, po czym weszła do łazienki i stanęła pod prysznicem. To był ich ostatni dzień. Następnego dnia wylecą do Francji i każda wróci do swojego poprzedniego życia: Zuzka do dyskoteki, w której była zarazem menedżerką i pierwszą striptizerką i gdzie dwa lata wcześniej poznała się z Irène, a Ziegler na nowe miejsce przydziału, do brygady śledczej w Auch.

Nieszczególny awans w porównaniu z poprzednim stanowiskiem w wydziale śledczym w Pau.

Śledztwo z 2008 roku pozostawiło po sobie ślady. Paradoksalnie wziął ją w obronę komendant Servaz i policja kryminalna z Tuluzy, podczas gdy własna hierarchia ją ukarała. Na to wspomnienie na chwilę przymknęła oczy: ponury spektakl, podczas którego jej przełożeni ubrani w galowe mundury analizowali akt oskarżenia. Wbrew wszelkim zasadom chciała działać w pojedynkę i ukryła przed partnerami ze swojego zespołu informacje, które pomogłyby im szybciej ująć ostatniego z członków gangu przestępców seksualnych. Ukryła też pewne aspekty z własnej przeszłości mające związek ze śledztwem i wykradła ważny dowód, na którym widniało jej nazwisko. Nie została ukarana poważniej tylko dzięki interwencji Martina i prokurator Cathy d’Humières, którzy podkreślali, że Irène uratowała policjantowi życie i ryzykowała własne podczas ujęcia mordercy.

Rezultat: po powrocie z wakacji miała kontynuować służbę w brygadzie śledczej w głównej miejscowości departamentu liczącego dwadzieścia trzy tysiące mieszkańców. Nowe życie, nowy początek.

Teoretycznie. Wiedziała już, że sprawy, którymi będzie się zajmować w nowym miejscu, nie będą mieć wiele wspólnego z tymi, które powierzano jej wcześniej. Auch nie było siedzibą sądu apelacyjnego, jak Pau, ale okręgowego. Podczas pierwszych tygodni nowej służby zdażyła się już zorientować, że poważniejsze sprawy konsekwentnie powierzano policji kryminalnej, policji departamentalnej albo wydziałowi śledczemu żandarmerii w Tuluzie. Ziegler westchnęła, wyszła spod prysznic, owinęła się ręcznikiem i wróciła na taras, podniosła okulary słoneczne i wychyliła się przez kamienny murek z pomalowanymi na biało fugami.

Pograżyła się w kontemplacji statków pływających po kalderze.

Przeciągnęła się jak kot w słońcu. Wymarzony moment na magazynowanie wspomnień.

Zastanawiała się, gdzie jest Martin, co teraz robi. Bardzo go lubiła. Nie wiedział o tym, ale Irène na swój sposób nad nim czuwała. Zasięgnie informacji po powrocie. Potem jej myśli znowu zmieniły tor. Gdzie jest Hirtmann? Co teraz robi? Na dnie jej serca obudziły się instynkt łowcy i niecierpliwość. Jakiś głos w środku mówił jej, że Szwajcar znowu zaczął i nigdy nie przestanie. Nagle zdała sobie sprawę, że chce, aby te wakacje już się skończyły. Spieszyła się, by wrócić do Francji – i znowu zacząć polowanie.

Przez resztę niedzieli Servaz trochę sprzątał, słuchał Mahlera i myślał. Około piątej po południu zadzwonił Espérandieu. Jego zastępca był na dyżurze. Sartet, sędzia śledczy oraz sędzia do spraw wolności i zatrzymań postanowili oskarżyć Hugona i umieścić go w areszcie tymczasowym. Servaz od razu stracił humor. Nie był pewien, czy młody człowiek wyjdzie z tego doświadczenia niewinny. Znajdzie się po drugiej stronie lustra, zobaczy, co się kryje za piękną fasadą demokratycznych społeczeństw. Miał nadzieję, iż chłopak jest jeszcze na tyle młody, by zapomnieć to, co tam zobaczy.

Przypomnił sobie słowa zapisane w zeszycie Claire. W tej sprawie było coś dziwnego. Zbyt oczywiste, a jednocześnie zbyt tajemnicze. Dla kogo one były przeznaczone?

– Jesteś tam jeszcze? – zapytał.

– Tak – odpowiedział jego zastępca.

– Postaraj się zdobyć próbkę pisma Claire. I poproś o porównanie grafologiczne ze zdaniem w zeszycie.

– Chodzi o ten cytat z Victora Hugo?

– Tak.

Wyszedł na balkon. Powietrze wciąż było ciężkie, a złowieszcze niebo przyniatało miasto jak ciemna płyta. Trzaski piorunów były tylko dalekim, zduszonym echem i Servaz miał wrażenie jakiegoś zawieszenia czasu. Powietrze było naelektryzowane. Pomyślał o anonimowym drapieźcy przechadzającym się wśród tłumu, o ofiarach Hirtmanna, których nigdy nie odnaleziono, o zabójcach swojej matki, o wojnach i rewolucjach, o świecie, który wyczerpuje wszystkie swoje zasoby, z zasobami zbawienia i odkupienia włącznie.

– Ostatnia noc na Santorynie – powiedziała Zuzka, podnosząc kieliszek z margaritą.

Przed ich stolikiem białe tarasy, zabarwione na niebiesko przez noc, opadały stromo ku krawędzi klifu – prawdziwe wyzwanie rzucone regułom urbanistycznym i trzęsieniom ziemi, Lego balkonów i świateł ściśniętych i zawieszonych nad pustką. W dole kaldera powoli pogrążała się w mroku, wulkaniczna wysepka na jej środku była już tylko czarnym cieniem. Stojący na kotwicy w zatoce statek świecił jak bożonarodzeniowe drzewko.

Słona bryza z pełnego morza rozwiała czarne włosy Zuzki, która odwróciła wzrok i spojrzała na Irène. W blasku świec jej tęczęwki miały bladoniebieski kolor z ciemniejszą obwódką wpadającą we fiolet. Miała na sobie bardzo jasny niebieski podkoszulek na ramiączkach z dekoltem obszytym cekinami, dżinsowe szorty, skórzany pasek i bransoletkę z mnóstwem charmsów na prawym nadgarstku. Irène nie mogła się na nią napatrzeć.

– *Cheers to the world* – oświadczyła, podnosząc swój kieliszek.

Następnie pochyliła się nad stolikiem i pocałowała Irène z językiem, wzbudzając zaciekawienie sąsiadów. Jej język smakował tequila, pomarańczą i cytryną. Osiem sekund, nie więcej. Przy niektórych stolikach rozległy się oklaski.

– Kocham cię – oznajmiła Zuzka, nie zdając sobie sprawy, że mówi całkiem głośno.

– Ja ciebie też – odpowiedziała Irène z płonącymi policzkami.

Nigdy nie lubiła ostentacji. Miała motocykl Suzuki GSR600, licencje pilota helikoptera, splanę, lubiła duże prędkości, nurkowanie i sporty motorowe, ale przy Zuzce wyglądała na nieśmiałą i nieporadną.

– Nie pozwól, żeby ci durni macho zawrócili ci głowę, zgoda? – Od czasu do czasu Zuzka robiła niewielkie błędy w związkach frazeologicznych.

– Możesz na mnie liczyć.

– I chcę, żebyś co wieczór do mnie dzwoniła.

– Zuzik...

– Obiecuj.

– Obiecuję.

– Najmniejszy sygnał, że masz... depresja, zaraz przyjeżdżam – obwieściła Słowaczka tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zuzik, mam mieszkanie służbowe. W budynku pełnym żandarmów.

– I co z tego?

– Oni naprawdę nie są przyzwyczajeni do takich rzeczy.

– Przykleję sobie wasy, jeśli to jest problem. Nie będziemy się ukrywać całe życie. Powinnaś zmienić zawód, wiesz o tym, nie?

– Już o tym rozmawialiśmy. Lubię moją pracę.

Uliczki pod tarasem, na którym siedziały, z chwili na chwilę wypełniał coraz gęstszy tłum turystów i imprezowiczów.

– Być może. Ale ona nie lubi ciebie. Może byśmy się przeszły na plażę, skorzystały z ostatniej greckiej nocy?

Ziegler skinęła głową, pogrążona we własnych myślach. Żegnajcie, wakacje. Powrót do okręgu Południowy Wschód. Kochała swoją pracę. Nagle oczyma duszy ujrzała siebie w sytuacji sprzed osiemnastu miesięcy, kiedy tam, w górach, porwała ją lawina: zrozpaczona patrzyła na Martina, który zniknął jej z oczu. Po raz setny przypominała sobie tamten zakład psychiatryczny w zasypanej śniegiem dolinie, jego długie korytarze i elektroniczne zamki, uwięzionego tam bladego mężczyznę o zagadkowym uśmiechu i muzykę Mahlera...

Księżyc w pełni świecił nad Morzem Egejskim, rysując na powierzchni wody trójkątny, srebrzysty blask. Szły bosą granicą wody. Trzymały się za

ręce, w wolnych dłoniach niosąc sandały. Na brzegu mocniej było czuć morską bryzę, która muskała ich twarze. Chwilami dochodził do nich pogłos muzyki z którejś tawerny na brzegu wielkiej plaży w Perissie, innym razem kierunek wiatru się zmieniał i muzykę zagłuszał szum morza.

– Dlaczego od razu o tym nie powiedziałaś, jak mówiłam, że powinnaś zmienić zawód? – zapytała Zuzka.

– O czym?

– Że ja też powinnam zmienić.

– Zuzka, jesteś wolna.

– Nie lubisz tego, co robię.

– Ale dzięki twojej pracy się poznałyśmy.

– I właśnie tego się boisz.

– Jak to?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Pamiętasz? Jak robiłam striptiz wtedy, kiedy weszliście do sali, ty i ten drugi żandarm. Myślisz, że zapomniałam, jak wtedy patrzyłaś? Chciałaś to ukryć, ale tamtego wieczoru nie mogłaś ode mnie oderwać oczu. Wiesz, że na innych klientkach robię takie samo wrażenie.

– A może byśmy zmieniły temat?

– Odkąd jesteście razem, byłaś w Pink Banana tylko jeden raz, wtedy w grudniu, kiedy ci zostawiłam wiadomość, że cię opuszczam – ciągnęła Słowaczka, nie bacząc na prośbę przyjaciółki.

– Zuzka, proszę...

– Nie skończyłam. A wiesz dlaczego? Bo się boisz, że zobaczysz to twoje spojrzenie u innych klientek. Boisz się, że zwrócę na którąś uwagę, tak jak zwróciłam uwagę na ciebie. No cóż, mylisz się. Znalazłam ciebie, Irène. Obie się odnalazłyśmy. I nikt nie może wejść między nas, nie masz się czego obawiać. Jesteś tylko ty. Jedyne, która może między nas wejść, to twoja praca.

Ziegler nic nie odpowiedziała. Patrzyła na srebrny trójkąt na wodzie. Przypomniała sobie ten pierwszy raz, kiedy zobaczyła, jak Zuzka się rozbiera na scenie Pink Banana, tę nieprawdopodobną giętkość jej kręgosłupa i sposób, w jaki posługiwała się swoim ciałem, jakby grała na instrumencie, który opanowała do perfekcji.

– Zbyt uczuciowo podchodzisz do tej pracy – powiedziała Zuzka, nie przerywając marszu. – Te wszystkie miesiące, kiedy widziałam, jak ona przenika do twojego prywatnego życia, znosiłam twój zły nastrój, milczenie, lęk. Nie chcę znowu przeżywać czegoś takiego. Bo jeżeli nie potrafisz oddzielić prywatnego życia od tej pieprzonej roboty, jeśli nie potrafisz się wyłączyć, kiedy jesteśmy razem, to nie musisz się obawiać, że mnie zbajeruje jakaś lesba, ale możesz się bać samej siebie: jesteś jedyną osobą, która może nas rozdzielić, Irène.

– W takim razie nie masz się już czym martwić. Tam, gdzie teraz jestem, będę się zajmować tylko złodziejami torebek i pijackimi bójkami.

Powiedziała to zrezygnowanym tonem. Zuzka złapała ją za rękę i zatrzymała.

– Będę z tobą szczerą. Dla mnie to wspaniała wiadomość. Ziegler nie odpowiedziała. Słowaczka przyciągnęła ją do siebie, pocałowała i przytuliła. Irène czuła zapach jej skóry i włosów, delikatną nutę perfum, morską bryzę wirującą wokół nich, jakby bóg wiatrów zapragnął ich połączenia. Poczowała przyływ pożądania. Zanim spotkała Zuzkę, nigdy czegoś podobnego nie przeżywała. Nigdy z taką intensywnością.

– *Hey, girls, this is not Lesbos Island!**

Zapity głos, rubaszny rechot. Odsunęły się od siebie i ruszyły w kierunku grupki, która właśnie wyłoniła się z ciemności. Młodzi Anglicy. Wstawieni. Plaga niektórych śródziemnomorskich plaż. Było ich trzech.

– *Look at those fucking dykes!***

– Czołem, dziewczyny – odezwał się najmniejszy Anglik, robiąc krok do przodu.

Nie odpowiedziały. Ziegler szybko rozejrzała się dookoła. Na plaży nie było nikogo prócz nich.

– Ładna pełnia, co, dziewczyny? Superromantycznie, mniem, mniem. Nie nudzi wam się trochę tak samotnie? – rzucił, odwracając się do kolegów.

Dwaj pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Odwal się, dupku – odparowała Zuzka perfekcyjną angielszczyzną.

Ziegler zadrzała. Położyła dłoń na ramieniu przyjaciółki.

* Hej, dziewczyny, to nie Lesbos!

** Patrz na te pierdolone lesby!

– Słyszeliście, chłopaki? Nie są łatwe, myślałby kto! No, mówię, to dla was, trzymajcie, chcecie łyka?

Mały rudzielec zabrał jednemu z kolegów butelkę piwa i wyciągnął rękę w kierunku Irène.

– Nie, dzięki – odpowiedziała po angielsku.

– Jak chcesz.

Ton był zbyt pojednawczy. Ziegler poczuła, jak każdy mięsień jej ciała napina się i twardnieje. Kątem oka pilnowała pozostałych typków.

– A ty, pieprzona szmato, napijesz się? – zawołał do Zuzki świszczącym głosem.

Dłoń Irène mocno ścisnęła ramię Słowaczki. Dziewczyna tym razem milczała. Zdała sobie sprawę z zagrożenia.

– Zapomniałaś języka w gębie? Czy używasz go tylko do obrażania ludzi i lizania?

Z jednej z tawern dobiegła fala muzyki, Ziegler pomyślała, że nawet gdyby krzyczały, nikt ich nie usłyszy.

– Wyjątkowo seksowna jesteś jak na lesbę – powiedział rudzielec, mierząc wzrokiem ciało Słowaczki.

Irène obserwowała dwóch pozostałych. Stali bez ruchu. Czekali na rozwój wypadków. Kibice. A może byli już zbyt wstawieni, by się ruszyć. Od ilu godzin pili? Odpowiedź na to pytanie nie była bez znaczenia. Przeniosła uwagę na lidera. Anglik był trochę tłustawy, miał brzydką twarz, opadającą grzywkę i długi szpiczasty nos, który sprawiał, że wyglądał jak jakiś pieprzony szczur. Miał na sobie białe szorty i idiotyczną koszulkę Manchesteru United.

– Może na jeden raz zmieniałabyś menu? Ssałaś już facetowi, ślicznotko?

Zuzka ani drgnęła.

– Hej, mówię do ciebie!

Irène zdążyła już zdać sobie sprawę, że to się tak łatwo nie skończy. Nie z tym imbecylem. W milczeniu oceniła sytuację. Dwaj pozostali byli wyraźnie wyżsi i postawniejsi, ale wyglądali na ociążałych i powolnych. A jeśli w dodatku od kilku godzin pili, ich refleks musiał być mocno osłabiony. Założyła, że na razie typek z grzywką stanowi największe

zagrożenie. Zastanawiała się, czy gość ma w kieszeni jakiś nóż albo scyzoryk. Pożałowała, że zostawiła w hotelu swój gaz łzawiący.

– Zostaw ją – powiedziała, żeby odwrócić uwagę typa od Zuzki.

Anglik ruszył w jej kierunku. W świetle księżycy zobaczyła, że jego oczy błyszczą z wściekłości, ale wzrok miał wyraźnie przyćmiony przez alkohol. Tym lepiej.

– Coś ty powiedziała?

– Zostaw nas w spokoju – powiedziała Ziegler łamaną angielszczyzną. Musiała go zwabić bliżej siebie.

– Zamknij się, szmato! Nie wtrącaj się.

– *Fuck you, bastard* – odparowała.

Twarz Anglika wykrzywiła się w sposób niemal komiczny i otworzył usta. W innych okolicznościach jego mina mogłaby się wydać śmieszna.

– COŚ TY POWIEDZIAŁA?

– *Fuck you* – powtórzyła, tym razem bardzo głośno.

Zobaczyła, że dwaj pozostali się poruszyli i w jej głowie zapaliła się lampka alarmowa. Uwaga: może wcale nie są tak pijani, na jakich wyglądają. Mimo wszystko zauważyli, że sytuacja się rozwija.

Mały grubas także się poruszył. Zrobił krok w jej stronę. Nie zdając sobie z tego sprawy, właśnie wkroczył na jej obszar. Tylko zrób jakiś ruch, pomyślała z taką mocą, że miała wrażenie, iż powiedziała to na głos. Jeden ruch...

Mężczyzna nagle podniósł rękę, by ją uderzyć. Pomimo spożytego alkoholu i nadwagi był szybki. I liczył na efekt zaskoczenia. Z kim innym na pewno by mu się udało, ale nie z Irène. Uchyliła się z łatwością i wymierzyła cios nogą w najbardziej wrażliwą część ciała każdego osobnika płci męskiej. Bingo, strzał w dziesiątkę! Rudzielec zawył i padł na kolana w czarny piasek. Irène zauważyła, że zbliża się do niej jeden z kolegów tamtego i już zamierzała się nim zająć, ale w międzyczasie Zuzka zdażyła opróżnić na jego twarz swój pojemnik z gazem łzawiącym. Anglik krzyknął z bólu, podnosząc dłonie do twarzy i zgiął się wpół. Trzeci stał, oceniając sytuację i wahając się, czy wkroczyć do gry. Korzystając z tego, Ziegler spojrzała na rudzielca. Akurat wstawał. Nie czekając, aż całkiem się podniesie, chwyciła jego rękę na wysokości nadgarstka i wykonała rotacyjny ruch, którego nauczyła się w szkole żandarmerii,

wykręcając jego ramię na plecy. Nie poprzestała na tym. Gdyby pozwoliła im dojść do siebie, ona i Zuzka byłyby zgubione. Nie osłabiając chwytu, skręcała rękę dalej, aż rozległo się chrupnięcie. Rudzielec zawył z bólu jak ranne zwierzę. Puściła go.

– Złamała mi rękę! Kurwa, ta lesba złamała mi rękę! – zawodził, trzymając się za złamane ramię.

Ziegler poczuła jakiś ruch po swojej prawej stronie. Odwróciła się na tyle szybko, by dostrzec zbliżającą się pięść. Uderzenie odrzuciło jej głowę do tyłu i przez krótką chwilę miała wrażenie, jakby zanurzano ją pod wodą. Trzeci drań jednak przeszedł do działania. Ogluszona, upadła na piasek i od razu poczuła kopnięcie w żebra. Przewróciła się na bok, by zamortyzować uderzenie.

Spodziewała się kolejnych ciosów, ale ku jej wielkiemu zaskoczeniu nie nadeszły. Podniosła głowę i zauważyła, że Zuzka wisi wczepiona w plecy trzeciego typka. Rzuciła okiem w bok i zobaczyła, że drugi zaczyna się podnosić, wciąż jeszcze mrugając i łzawiąc. Wstała i rzuciła się z odsieczą przyjaciółce, wymierzając kopniaka w splot słoneczny przeciwnika, który padł, tracąc oddech i równowagę. Zuzka pchnęła go w piach, zwolniła uścisk i wstała.

Mały jeszcze nie całkiem odpuścił. Rzucił się w kierunku Ziegler. Tym razem w sprawnej dłoni trzymał nóż: Irène przez moment widziała błysk ostrza w świetle księżyca. Bez trudu się usunęła, złapała Anglika za złamaną rękę i pociągnęła.

– Aaaaaaaa! – zawył, po raz drugi padając na kolana w piach.

Puściła go. Chwyciła dłoń Zuzki.

– Chodź, spadamy stąd!

W następnej chwili biegły co sił w nogach w kierunku światła, muzyki i zaparkowanego w pobliżu tawern skutera.

Będiesz miała piękną śliwę – powiedziała Zuzka, dotykając jej napuchniętego łuku brwiowego.

Irène przejrzała się w lustrze w łazience. Na jej czole pojawił się sinoczerwony guz. Okolica oka zaczęła przybierać fioletowy kolor.

– Właśnie tego mi było trzeba, żeby wrócić do pracy.

– Podnieś lewą rękę – zakomenderowała Zuzka.

Spróbowała. Skrzywiła się.

– Boli cię?

– Aj!

– Chyba masz złamane żebro – powiedziała Słowaczka.

– Ale gdzie tam.

– W każdym razie po powrocie pójdziesz do lekarza.

Ziegler skinęła głową, z trudem wkładając koszulkę. Wróciła do pokoju. Zuzka wyjęła z lodówki dwie minibutelecзки wódki Absolut i dwie butelki soku owocowego.

– Ponieważ w tej pieprzonej dziurze nie można wyjść, by nie zostać zaatakowanym przez chuliganów, wypijemy tutaj. To uśmierzy ból. Mniej pijana prowadzi do łóżka.

– Umowa stoi.

Obudził go dzwonek telefonu. Servaz leżał zwinięty na sofie przy otwartych drzwiach balkonowych. Przez chwilę sądził, że to szum deszczu go obudził. Ale potem sygnał rozległ się znowu. Usiadł i sięgnął w kierunku stolika, na którym jego telefon brzęczał i wibrował jak złośliwy owad, obok szklanki z resztkami glenmorangie na dnie.

– Servaz.

– Martin? To ja. Obudziłam cię? – To była Marianne. Osłabiony głos osoby na skraju wyczerpania nerwowego, która piła alkohol. – Zamknęli Hugona w areszcie. Wiesz o tym?

– Tak.

– Więc, dlaczego, kurwa, do mnie nie zadzwoniłeś? – W jej głosie brzmiał nie tylko gniew: to była wściekłość.

– Miałem zadzwonić, Marianne, naprawdę, ale potem... potem... zapomniałem.

– Zapomniałeś? Kurwa, Martin, mój syn łąduje w więzieniu, a ty zapominasz mnie o tym poinformować!

To nie całkiem była prawda. Chciał zadzwonić, ale długo się wahał. A w końcu, wyczerpany, zasnął.

– Posłuchaj, Marianne, ja... nie sądzę, żeby to był on, ja... Musisz mi zaufać, znajdę winnego.

– Zaufać ci? Już sama nie wiem, co się dzieje. Myśli mącą mi się w głowie, jestem skołowana od wałkowania ich w kółko, wyobrażam sobie, że Hugo siedzi sam w nocy w tym więzieniu, i wariuję od tego. A ty... ty zapominasz do mnie zadzwonić, nic mi nie mówisz, zachowujesz się, jakby nic się nie stało, i pozwalasz sędziemu wsadzić mojego syna do paki, choć mówisz mi, że uważasz go za niewinnego! I ty chcesz, żebym ci ufała?

Chciał coś powiedzieć, bronić się jakoś. Ale wiedział, że to byłby błąd. To nie był dobry moment. Jest czas dyskusji, czas usprawiedliwień i czas milczenia. Popęlniał ten błąd w przeszłości: pragnienie usprawiedliwienia się za wszelką cenę, narzucenia swojego zdania bez względu na cenę, posiadania ostatniego słowa. Ale to nie działało. To nigdy nie działa. Zdażył się już tego nauczyć. Dlatego milczał.

– Słuchasz mnie?

– Nic innego nie robię.

– Dobranoc, Martin. Odłożyła słuchawkę.

PONIEDZIAŁEK

LEK WYSOKOŚCI

W poniedziałek rano Servaz był umówiony w kostnicy, by poznać wyniki sekcji zwłok. Przezroczyste szyby. Zapach detergentów. Długie, akustyczne korytarze. Chłód. Za którymiś drzwiami rozległ się wybuch śmiechu, potem znów zapadła cisza i znalazł się sam ze sobą, schodząc do podziemi.

W jego pamięci mały chłopiec tańczył i biegał dookoła matki. Tańczył i śmiał się w promieniach słońca, jego matka także się śmiała.

Przegnał wspomnienie. Wszedł przez wahadłowe drzwi.

– Dzień dobry, komendancie – przywitał go Delmas. Servaz spojrział w kierunku dużego podnoszonego stołu, na którym spoczywało ciało Claire Diemar. Z miejsca, w którym stał, mógł podziwiać jej piękny profil – z tym, że góra czaszki została precyzyjnie odcięta i widział także lśniąca w blasku świetlówek szarą substancję jej mózgu. Również tułów rozcięty był w kształcie litery igrek, a wewnątrz można było zobaczyć różowe wnętrzości. Na jednym z blatów w hermetycznie zamkniętych pojemnikach leżały pobrane próbki. Reszta wylądowała w pojemniku na odpady anatomiczne.

Servaz pomyślał o swojej matce.

Spotkał ją taki sam los. Odwrócił wzrok.

– Cóż – odezwał się człowieczek o różowej cerze i blado-niebieskich oczach – chciałby się pan dowiedzieć, czy umarła w wannie. Lepiej będzie, jeśli powiem to panu wprost: z topielcami naprawdę jest problem. A kiedy mamy do czynienia z utonięciem w wannie, problem jest jeszcze większy.

Servaz rzucił mu pytające spojrzenie.

– Okrzemki – wyjaśnił Delmas. – Jest ich pełno w rzekach, morzach, oceanach... Kiedy człowiek wciąga wodę w płuca, rozpraszają się po całym organizmie. Po dziś dzień to najlepszy znak rozpoznawczy utonięcia żywcem. Z tym że woda z miejskich wodociągów jest bardzo uboga w okrzemki. Rozumie pan problem?

Lekarz zdjął rękawiczki, wrzucił je do kosza otwieranego pedałem i podszedł do sterylizatora.

– Poza tym ślady obrażeń na ciele są trudne do zinterpretowania z powodu zalania wodą. Na szczęście ona nie przebywała w wodzie długo.

– Są ślady obrażeń? – podchwycił Servaz.

Delmas gestem wskazał własny kark. Jego pulchne, różowe dłonie całe były w mydle antybakteryjnym.

– Siniak na wysokości kości ciemieniowej i obrzęk mózgu. Bardzo silne uderzenie ciężkim przedmiotem. Powiedziałbym, że zagrożenie życia wchodziło w grę już w tym momencie, sądzą jednak, że zmarła wskutek utopienia.

– Sądzi pan?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Mówiłem panu, w przypadku utonięcia rozpoznanie nigdy nie jest łatwe. Być może analizy powiedzą nam więcej. Na przykład zawartość strontu, jeśli jego stężenie we krwi mocno się różni od przyjętej normy, natomiast jest zbliżone do zawartości tego pierwiastka w wodzie, w której ją znaleziono, będziemy mieć prawie pewność, że zmarła wskutek zatonięcia w tej cholernej wannie.

– Mhm.

– Podobnie z plamami opadowymi: zanurzenie opóźniło ich powstawanie. Poza tym badanie histopatologiczne niczego szczególnego nie wykazało.

– A latarka? – zapytał Servaz.

– Co latarka?

– Co pan o tym sądzi?

– Nic. Interpretacja to pana działka. Ja ograniczam się do faktów. W każdym razie kobieta była w panice i wyrywała się tak mocno, że więzy zostawiły głębokie rany w jej powłokach. Pozostaje pytanie, w którym momencie to robiła. Prawdopodobnie wyklucza to hipotezę o śmiertelnym uderzeniu w czaszkę.

Servaz zaczynał mieć dosyć tych zastrzeżeń w wypowiedzi lekarza. Wiedział, że Delmas to kompetentny gość. I właśnie dlatego, że był kompetentny, był także niesłychanie ostrożny.

– Chciałbym, żeby te wnioski były trochę...

– Dokładniejsze? Będą dokładniejsze, kiedy będziemy mieć wyniki badań. Tymczasem mogę powiedzieć, że istnieje dziewięćdziesięciopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że została wrzucona do tej wanny żywa i że umarła wskutek utonięcia. To nie tak źle, zważywszy na okoliczności, prawda?

Servaz myślał o panice kobiety, o strachu, który czuła, gdy woda zaczęła podchodzić coraz wyżej, o przerażającym uczuciu duszenia się, którego sam doświadczył w tamten grudniowy dzień, kiedy o mało nie zginął z plastikową torbą na głowie. Pomyślał o braku wrażliwości człowieka, który patrzył, jak kobieta umiera. Lekarz miał rację: interpretacja to jego robota. A jemu zmysł interpretacji podpowiadał, że mają do czynienia z nie byle jakim zabójcą.

– À propos, czytał pan gazetę? – zapytał Delmas.

Servaz rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Jeszcze miał w pamięci artykuł, który przeczytał w pokoju Elvisa. Lekarz odwrócił się, sięgnął po leżący na blacie numer „La Dépêche” i podał mu.

– Powinno się panu spodobać. Strona piąta.

Servaz przewracał kartki, przełykając ślinę. Nie musiał długo szukać. Nagłówek napisany był wielkimi literami. HIRTMANN PISZE DO POLICJI. Psia krew! Tekst zajmował zaledwie kilka linijek. Jego autor wspominał o e-mailu „wysłanym do komendanta Servaza z policji kryminalnej” przez osobę podającą się za Juliana Hirtmanna. „Według źródeł policyjnych na obecnym etapie niemożliwe jest ustalenie, czy wiadomość jest rzeczywiście dziełem mordercy ze Szwajcarii, czy oszustwem”. Tak jak w poprzednim artykule przypominano, że komendant Servaz „to ten sam detektyw, który prowadził śledztwo w sprawie morderstw w Saint-Martin zimą 2008 roku”. Servaz nie mógł się otrząsnąć. Narastał w nim gniew.

– Genialne, prawda? – zażartował lekarz. – Chciałbym wiedzieć, kim jest ten palant, który to wypaplał. W każdym razie to na pewno ktoś od was.

– Muszę już iść – powiedział policjant.

Espérandieu słuchał *Knocked up Kings of Leon*, kiedy Servaz wszedł do biura.

– O cholera, ale masz minę!

– Chodź ze mną.

Espérandieu popatrzył na szefa. Zrozumiał, że nie czas na zadawanie pytań. Zdjął słuchawki i wstał. Martin był już na zewnątrz. Szedł długimi krokami w kierunku podwójnych drzwi i korytarza prowadzącego do gabinetu dyrektora. Jeden za drugim przeszli przez drzwi przeciwpożarowe, minęli kącik ze skórzanymi sofami, pełniący funkcje poczekalni, i sekretariat.

– Ma spotkanie! – rzuciła sekretarka, widząc, że przechodzą. Servaz się nie zatrzymał. Zapukał i wszedł do środka.

– ...adwokaci, notariusze, licytatorzy. Podchodzimy do tego ostrożnie, ale niczego nie pomijamy – mówił właśnie Stehlin, zwracając się do kilku członków wydziału przestępczości finansowej. – Martin, mam spotkanie.

Servaz podszedł do dużego stołu, przywitał zgromadzonych i rozłożył przed dyrektorem policji kryminalnej otwartą na piątej stronie gazetę. Stehlin się pochylił. Spojrzał na wielki nagłówek. Podniósł głowę i powiedział przez zaciśnięte zęby;

– Panowie, później dokończymy tę rozmowę.

Czterej mężczyźni wstali i wyszli, rzucając Servazowi pytające spojrzenia.

– Przeciek na pewno wyszedł od nas – rzucił od razu komendant.

Nadkomisarz Stehlin był w samej koszuli. Otworzył wszystkie okna, by wpuścić trochę jeszcze w miarę chłodnego porannego powietrza i pomieszczenie zalewał uliczny hałas. Klimatyzacja od wielu dni była zepsuta. Ruchem głowy wskazał im miejsca po drugiej stronie swojego biurka.

– Masz jakiś pomysł, kto to może być? – zapytał.

Faks w kącie pokoju pluł wiadomościami. Nadkomisarz nigdy go nie wyłączał. Servaz nic nie powiedział. Usłyszał jego ton i zrozumiał: uwaga na bezpodstawne oskarżenia. Nie mógł się powstrzymać od porównywania nowego szefa z jego poprzednikiem, nadkomisarzem Wilmerem. Wilmer ze starannie przystrzyżoną bródką i wiecznie przyklejonym – jak przewlekła opryszczka – uśmiechem, nosił zawsze najwyższej jakości garnitury i krawaty. Dla Servaza jego obecność na tym stanowisku dowodziła, że każdy imbecyl może zająć wysoko, jeśli nad nim również są imbecyle. Podczas jego pożegnalnego koktajlu atmosfera była chłodna i sztywna, a kiedy wygłaszał podziękowania, otrzymał bardzo skąpe oklaski. Stehlin trzymał się z boku, nie miał krawata i był, tak jak teraz, w samej koszuli. Wyglądał na glinę bliższego ludziom. I starannie obserwował swoich

przyszłych współpracowników. Servaz także mu się przyglądał. Doszedł do wniosku, że w tamtej chwili jego nowy szef uświadomił sobie, jak wiele pracy będzie musiał włożyć w naprawienie strat po swoim poprzedniku. Servaz bardzo lubił Stehlina. To był dobry glina, który zdążył poznać pracę w terenie – nie technokrata, który przy najdrobniejszej mżawce otwiera parasol.

Stehlin odwrócił się i sięgnął po coś, co leżało za jego plecami. Ta sama gazeta. Położył ją na egzemplarzu Servaza. Nie oczekiwał, że będzie czytał.

– Jednego jestem pewien – powiedział Servaz. – To nie mogło wyjść ani od Vincenta, ani od Samiry. Mam do nich stuprocentowe zaufanie.

– To dość poważnie ogranicza możliwości – zauważył Stehlin.

– Tak.

Stehlin miał ponurą minę. Splótł palce na biurku.

– Sugerujesz kogoś?

Servaz się zamyślił.

– Puśćmy informację, która będzie znana tylko jemu. Jakaś fałszywka. Jeśli jutro pojawi się w gazecie, upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu: zyskamy pewność, że to on i będziemy mogli wnieść całkiem formalne dementi, a tym samym podważyć wiarygodność dziennikarza i jego informatora.

Nie podał jeszcze żadnego nazwiska, wiedział jednak, że nadkomisarz i on mają na myśli tę samą osobę. Stehlin skinął głową.

– Ciekawy pomysł. A jaką informację masz na myśli?

– To musi być coś na tyle wiarygodnego, żeby połknął haczyk i na tyle istotnego, żeby prasa zechciała o tym napisać.

– Byłeś u lekarza sądowego – zasugerował Espérandieu. – Można by zasugerować, że Delmas znalazł jakiś kluczowy ślad. Coś, co definitywnie uniewinniłoby chłopaka.

– Nie – zaproponował Servaz. – Tego nie możemy zrobić. Ale możemy powiedzieć, że u Claire Diemar znaleźliśmy płytę Mahlera.

– Ale przecież to prawda. – Stehlin był zdezorientowany.

– Właśnie. I tutaj jest haczyk. Podamy niewłaściwy tytuł. W odpowiedniej chwili będziemy mogli z całą uczciwością powiedzieć, że informacja jest całkowicie fałszywa, że nigdy nie znaleźliśmy na miejscu

zbrodni *Czwartej Symfonii*, oczywiście bez uściślenia, że znaleźliśmy inną płytę. – Servaz uśmiechał się szelmowsko. – Za jednym zamachem kwestia śladu Hirtmanna w sprawie morderstwa Claire Diemar zostanie ośmieszona, a dziennikarz, który opublikował newsa, na dłuższy czas zdyskredytowany. Za pięć minut zebranie z brygadą śledczą!

Szedł już ku drzwiom, kiedy zatrzymał go głos Stehlina.

– Powiedziałeś „śladu Hirtmanna”? To jest jakiś ślad Hirtmanna?

Servaz spojrział na przełożonego, wzruszył ramionami, udając, że pierwsze słyszy i wyszedł.

Dalekie pomruki burzy, upał, nieruchome powietrze i szare niebo. Okolica wyglądała, jakby na coś czekała, zastygła jak owad w żywicy. Stodoły i pola wyglądały na opustoszałe. Około piętnastej zatrzymał się na obiad w przydrożnym barze, gdzie kilku mężczyzn hałaśliwie rozmawiało na temat wyczynów narodowej drużyny piłkarskiej i kompetencji jej trenera. O ile dobrze rozumiał, w kolejnym meczu miała się ona zmierzyć z Meksykiem. Servaz już miał ich zapytać, czy to dobra drużyna, ale się powstrzymał. Z zaskoczeniem obserwował u siebie ten wzrost zainteresowania tematem mistrzostw i uświadomił sobie pewną ukrytą nadzieję: że reprezentacja zostanie wyeliminowana tak szybko, jak to tylko możliwe i wreszcie będzie można się zająć czym innym.

Był tak pogrążony w swoich myślach, że nawet nie zauważył, kiedy znalazł się na brukowanych uliczkach miasteczka. Wspominał rozmowę kierowców, zasłyszana w restauracji i nagle uderzył go fakt, że wszystko wydarzyło się w ciągu kilku godzin piątkowego wieczoru, podczas jednego meczu, który skupił przy ekranach telewizorów cały kraj. Powinni pogrzebać w tej chronologii. Muszą się skupić na tym, co się działo chwilę wcześniej, i szczegółowo odtworzyć przebieg wypadków. Snuł refleksje dalej. Powinien zacząć od punktu wyjścia: od pubu, który Hugo opuścił na krótko przed tym, jak popełniono zbrodnię. Był coraz bardziej przekonany, że ten, którego szukają, nie przypadkiem wybrał czas i miejsce. Wszystko mu mówiło, że chronologia stanowi klucz. Zaparkował samochód na parkingu znajdującym się na małym placu, pod platanami, wyłączył silnik i spojrział na taras pubu. Był wypełniony po brzegi. Młode twarze. Studenci, chłopcy, dziewczyny. Jak za jego czasów, dziewięćdziesiąt procent klienteli nie miało jeszcze dwudziestu pięciu lat.

Margot Servaz nalala sobie kawy bez smaku z automatu w holu, wsypala dodatkowy cukier zdobyty w stolowce, zalozyła sluchawki – co oznaczalo: „nie próbujcie mi zawracać dupy” – i dyskretnie spojrzala na trio David/Sarah/Virginie na drugim koncu tlocznego i gwarneho holu. Spotkali sie na przerwie. Margot przygryzla dolna warge, szpiegujaca ich, a jednoczesnie udajac zainteresowanie tablica ogloszen. Na tablicy, wzrod dziesiatek anonsow, wisial plakat zapowiadajacy BAL NA ZAKONCZENIE ROKU ORGANIZOWANY PRZEZ STOWARZYSZENIE STUDENTOW MARSAC, a takze zaproszenie: FRANCJA-MEKSYK NA GIGANTYCZNYM EKRANIE, CZWARTEK 17 CZERWCA, GODZINA 20.30, FOYER F WYDZIALU NAUK SCISLYCH. PRZYBYWAJCIE LICZNIE, ZAPEWNIAMY PIWO I CHUSTECZKI! Pod spodem ktos dopisal grubym czerwonym markerem: DOMENECH DO BASTYLII! Uwage dziewczyny zwrocio dziwne ozywienie, z jakim cala trojka rozmawiala, rozgladajac sie jednoczesnie dookol. Zalowala, ze nie potrafi czytac z ruchow warg. Kiedy Sarah spojrzala w jej kierunku, Margot szybko odwrocio wzrok, udajac, ze z irytacja grzebie w szufladce automatu, do ktorej powinna wpaść reszta. Kiedy z powrotem podniosla wzrok, zobaczyla, ze trio odchodzi w strone podwórka. Ruszyla za nimi, wyjmujac bibulki i tabakierke. W sluchawkach Marilyn Manson spiewal glosem podobnym do dzwieku zardzewialej piły utwór *Arma-goddam-motherfuckin-geddon*:

Śmierć najpierw paniom, potem panom

Szatańskie dziewczyny umarły oszalałe

Naprawdę popieprzone samobójczynie

Najpierw próbujesz to pieprzyć,

potem próbujesz to zjeść

Jeżeli nie nauczyło się twojego imienia,

lepiej zabij to, zanim je zobaczą...

Jej ulubiony wokalista z zespołem. Wiedziała o nich absolutnie wszystko. Idąc w ślady Marilyn Mansona, perkusista grupy przybrał pseudonim Ginger Fish, który jest kombinacją Ginger Rogers i Alberta Fisha, amerykańskiego zabójcy i kanibala. Basista z kolei na tej samej zasadzie kazał się nazywać Twiggy Ramirez – połączenie angielskiej modelki Twiggy i seryjnego zabójcy Richarda Ramireza. Margot zastanawiała się jednak, czy zamiast za każdym razem, kiedy jacyś

nastolatki robią masakrę w którejś z amerykańskich szkół, winić jedynie NRA (potężne stowarzyszenie posiadaczy broni palnej), nie warto byłoby postawić sobie pytania o wpływ hipnotycznych wideoklipów i przesiąkniętych przemocą słów piosenek na wrażliwą psychikę młodych ludzi. Ale, ma się rozumieć, że obrońcy wolności wypowiedzi artystycznej nie chcieli słuchać tego rodzaju argumentów. Margot już raz nazwano „reakcjonistką” i „faszystką”, kiedy zasugerowała, że „te komercyjne gówna niezasłużenie nazywane sztuką nie są warte ani jednej śmierci w jakimś amerykańskim kampusie czy gdziekolwiek indziej”. Oczywiście była gotowa zaciekle bronić rzeczony wolności wypowiedzi, kiedy ktoś ją atakował, ale najbardziej pociągała ją prowokacja. Jak Sokrates lubiła podważać wygodne pewniki swoich rozmówców. Podważać zbyt szybkie odpowiedzi. Psuć ich dobre samopoczucie.

Poszukała ich wzrokiem w tłumie młodzieży. Rozdzielili się. Sarah i Virginie paliły w milczeniu. David przyłączył się do innej grupki. Na nim Margot skupiła uwagę. Chłopak na cały weekend zniknął z pola widzenia, ale wiedziała, że tak jak ona i Elias nie pojechał do domu. Gdzie był? Odkąd rano znów się pojawił, wyglądał na podenerwowanego i spiętego. David był najlepszym przyjacielem Hugona. Rzadko widywano ich osobno. Rozmawiała z nim wiele razy. David wkurzał ją swoim niefrasobliwym podejściem do wszystkiego, ale pod tą fasadą pajaca wyczuwała jakąś powagę, zranienie widoczne czasem w jego oczach. Tak jakby uśmiech wiecznie obecny na jego ustach otoczonych jasną brodą był jakimś rodzajem tarczy. Przed czym go chronił?

Margot zrozumiała, że to na nim należy się skupić.

– Zauwa... że... Da... wyglą... nerwo...?

Zdanie z trudem przebiło się do jej uszu przez ścianę dźwięku w chwili, gdy Marilyn Manson ryczał: *Pieprz, jedz, zabijaj i jeszcze raz.*

– Elias... – zauważyła.

Oswobodziła jedno ucho.

– Szedłem za tobą, odkąd opuściłaś klasę – powiedział.

Uniosła brew. Elias obserwował ją spod grzywki.

– No i?

– Widziałem twoje manewry. Śledzisz ich. Sądziłem, że uznajesz mój pomysł za debilny.

Wzruszyła ramionami, z powrotem umieszczając słuchawki na miejscu. Chłopak je zdjął.

– W każdym razie powinnaś się zachowywać trochę bardziej dyskretnie! – wydarł się wprost do jej ucha, – Aha, dowiadywałem się: nikt nie wie, gdzie był David przez ten weekend.

Pub The Dubliners należał do pewnego Irlandczyka z Dublina, który oczywiście uznawał Joyce'a za najwybitniejszego pisarza wszech czasów. Był już w Marsac za studenckich czasów Servaza. On i Francis znali tylko jego imię: Aodhágán. Zawsze to on stał za barem. Podobnie jak Servaz, Aodhágán postarzał się o dwadzieścia lat, tyle że w tamtych czasach miał tyle lat, ile policjant obecnie. W połowie lat osiemdziesiątych Aodhágán przyjechał na południowy wschód, żeby uczyć angielskiego po zakończeniu kariery w wojsku (to była oficjalna wersja, niektórzy sądzą raczej, że chodzi o karierę w Irlandzkiej Armii Republikańskiej), był jednak nieco zbyt choleryczny i bitny jak na członka ciała pedagogicznego i zauważył, że większym poważaniem cieszy się za barem niż przy tablicy.

Lokal Aodhágána był jedynym pubem w Marsac, w którym oprócz drewna, miedzi i ceramicznych nalewaków do piwa znajdowały się także półki wypełnione książkami w języku Szekspira. Podstawową klientelę pubu stanowili studenci i przedstawiciele lokalnej społeczności brytyjskiej. Będąc studentem, Servaz przychodził tu kilka razy w tygodniu sam lub w towarzystwie Van Ackera i kilku innych osób. Nierzadko, zamówiwszy piwo albo kawę, sięgał na półkę po jakąś książkę. W te piękne dni zanurzał się w zachwycającej lekturze oryginalnych wersji *Buszującego w zbożu*, *Dublińczyków* lub *W drodze*, mając w zasięgu ręki opasy słownik angielsko-francuski.

– O psiaakrew, młody Martin czy mam zwiady?

– Już nie taki młody, staruszk.

Włosy i broda Irlandczyka były już raczej siwe niż brązowe, ale niezmiennie wyglądał jak skrzyżowanie komandosa i didżeja z pirackiego radia z lat sześćdziesiątych. Wyszedł zza lady i uściskał Servaza, klepiąc go po plecach.

– I co teraz robisz?

Servaz mu powiedział. Aodhágán zmarszczył brwi.

– A ja myślałem, że pójdziesz w ślady Keatsa.

Servaz wyczuł rozczarowanie w jego głosie i na chwilę się zawstydził. Aodhágán znowu klepnął go w plecy.

– Ja stawiam! Czego się napijesz?

– Masz jeszcze twój słynny porter?

Aodhágán w odpowiedzi puścił do niego oko, a cała jego twarz zmarszczyła się z radości.

Kiedy wrócił z piwem, Servaz wskazał mu krzesło naprzeciwko.

– Siadaj.

Irlandczyk rzucił mu zaskoczone spojrzenie. I ostrożne. Mimo upływu lat rozpoznał ten ton – a francuskiej policji wcale nie lubił bardziej niż angielskiej.

– Zmieniłeś się – powiedział, odsuwając krzesło.

– Tak. Zostałem gliną. Aodhágán spuścił głowę.

– Jeśli jest taki zawód, w którym nie mógłbym sobie ciebie wyobrazić... – powiedział cicho.

– Ludzie się zmieniają – zauważył Servaz.

– Nie wszyscy... – W głosie Irlandczyka dało się wyczuć ból.

Jakby odczuwał ciężar wyciągania na powierzchnię wszystkich zdrad, zaprzeczeń, odmów. Własnych czy cudzych? – pomyślał Servaz.

– Chciałbym ci zadać kilka pytań. Popatrzył na Aodhágána.

Irlandczyk wytrzymał jego spojrzenie. Servaz poczuł, że atmosfera się zmienia. Nie byli już Martinem i Aodhágánem z dawnych czasów. Byli gliną i facetem, który nie cierpi spotkań oko w oko z glinami.

– Hugo Bokhanowsky, mówi ci to coś?

– Hugo? Oczywiście. Kto by go nie znał. Bystrzak... Trochę jak ty kiedyś. Nie, raczej jak Francis. Ty byłeś bardziej dyskretny, bardziej wycofany, mimo że nie miałeś im czego zazdrościć.

– Wiesz, że został zatrzymany? Skinął głową w milczeniu.

– Był w twoim pubie tego wieczoru, kiedy została zabita Claire Diemar. Wyszedł stąd, według niektórych świadków, kilkanaście minut przed zabójstwem. Zauważyłeś coś?

Irlandczyk się zamyślił. Następnie spojrzał na Servaza wzrokiem, jakim apostołowie patrzyli na Judasza.

– Byłem za barem, obsługiwałem, daleko od drzwi. Pub pękał w szwach tamtego wieczoru. I tak jak wszyscy, patrzyłem, co się dzieje w telewizji. Nie, niczego nie zauważyłem.

– Pamiętasz, gdzie siedział Hugo z przyjaciółmi?

– Tam. Przyszli wcześniej, żeby sobie zająć najlepsze miejsca.

– Kto siedział z nim przy stoliku? Irlandczyk znowu się zamyślił.

– Nie jestem pewien. Ale sądzę, że byli tam Sarah i David. Sarah to piękność, najładniejsza dziewczyna, jaka przychodzi do mojego lokalu. Ale nie pozuje na księżniczkę. Fajna. Trochę zamknięta w sobie. Ona, Virginie, David i Hugo są prawie nierozłączni. Przypominają mi Francisa, Marianne i ciebie, gdy byliście w ich wieku...

Servaz poczuł ucisk w żołądku.

– Pamiętasz? Jak przychodziliście tutaj naprawiać świat, dyskutować o polityce? Mówiliście o buncie, o rewolucji, o zmianie systemu. Ha, ha! Młodość jest wszędzie taka sama! Marianne... To był ktoś, pamiętasz? Nawet śliczna Sarah nie dorasta jej do pięt. Wszyscy szaleliście na jej punkcie, to było widać. O, widziałem tu wiele studentek... Ale Marianne była wyjątkowa.

Servaz rzucił mu przenikliwe spojrzenie. Wtedy nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Aodhágán miał w tamtych czasach czterdzieści lat. Nawet on nie mógł być całkowicie nieczuły na wdzięki Marianne. Na tę aurę tajemniczości i wyższości, którą rozsiewała. I na to zbiorowe szaleństwo wokół niej.

– David to najlepszy kolega Hugona.

– Wiem, kim jest David. A Virginie?

– Mała brunetka, trochę pulchna, w okularkach. Bardzo żywa, bardzo inteligentna. Z dużym autorytetem. To dziewczyna stworzona do zarządzania, wierz mi. Zresztą inni też. Do tego was szkolili, co? Do bycia dyrektorami haeru, ministrami i Bóg wie kim jeszcze.

Nagle Servaz coś sobie przypomniał.

– W piątek wieczorem, kiedy przyjechaliśmy do Marsac, była awaria prądu.

– Tak, na szczęście mam agregat na wszelki wypadek. To się stało jakieś dziesięć minut przed końcem meczu... Boże, nie mogę w to uwierzyć – powiedział Aodhágán pod nosem.

– W co?

– W to, że zostałeś gliną. – Westchnął przeciągle. – Wiesz, w latach siedemdziesiątych byłem więźniem w Long Kesh. To najbardziej syfiasty kryminal w Irlandii Północnej. H-Block, mówi ci to coś? To były strefy pod specjalnym nadzorem. Nazywano je tak, bo z lotu ptaka miały kształt litery H. Long Kesh było dawną bazą wojskową, w której brytyjska armia przetrzymywała republikanów i irlandzkich lojalistów, którzy się sprzeciwiali angielskiej okupacji. Zdezelowane instalacje, brud, wilgoć, powybijane okna, brak higieny... A ci pieprzeni klawisze to byli prawdziwi faszyści. Zimą był mróz i nie mogliśmy spać. Brałem udział w słynnym strajku głodowym w 1981 roku, w czasie którego Bobby Sands umarł po siedemdziesięciu dniach głodówki, na miesiąc przed śmiercią wybrany przez irlandzki naród na posła. Margaret Thatcher była bezwzględna. Brałem też udział w „strajku kocowym” w 1978, kiedy odmówiliśmy noszenia więziennych ciuchów i chodziliśmy nago, zawinięci w zapchlone koce mimo panującego zimna, a także w „brudnym strajku” w tym samym roku, kiedy odmówiliśmy mycia się i smarowaliśmy ściany w celach odchodami i sikaliśmy na podłogę, żeby zaprotestować przeciwko torturom i znęcaniu się nad więźniami. Dawali nam zepsute jedzenie, pozbawili nas tytoniu, torturowali, upokarzali... Nie pękłem, nie ustąpiłem ani na krok. Nienawidzę mundurów, młody Martinie, nawet niewidzialnych.

– A więc to prawda.

– Co?

– Że byłeś członkiem IRA.

Aodhágán nie odpowiedział. Patrzył na Servaza niezmaconym wzrokiem.

– A podobno w tamtych czasach IRA zachowywała się jak prawdziwa policja w gettach – zasugerował Servaz.

W oczach rozmówcy pojawił się błysk wściekłości. Ten człowiek nigdy nie zapomniał.

– Hugo to dobry chłopak – powiedział Aodhágán, zmieniając temat. – Uważasz, że jest winny?

Servaz się zawahał.

– Nie wiem. Dlatego musisz mi pomóc, nieważne, czy jestem gliną czy nie.

– Przykro mi, niczego nie widziałem.

– Może jest jakiś inny sposób.

Aodhágán spojrział na niego pytająco.

– Pogadaj z ludźmi dookoła, popytaj, spróbuj się dowiedzieć, czy ktoś coś widział albo słyszał.

Irlandczyk popatrzył na Servaza z niedowierzaniem.

– Chcesz, żebym ja szpiegował dla policji?

Servaz przegnał obiekcje.

– Chcę, żebyś mi pomógł wyciągnąć z więzienia niewinnego człowieka – odparował. – Chłopak od wczoraj siedzi w areszcie tymczasowym. Chłopak, którego lubisz. Wystarczy?

Aodhágán znowu spiorunował go wzrokiem. Servaz zauważył, że mężczyzna się zastanawia.

– Oto *deal* – odezwał się w końcu. – Przekażę ci wszystkie informacje przemawiające za jego niewinnością, jakie zdołam zebrać, a te, które mogą obciążyć chłopaka albo kogokolwiek innego, zostawię dla siebie.

– Do cholery! – zaprotestował Servaz podniesionym głosem. – Ktoś zabił kobietę, torturował ją i utopił w jej własnej wannie! Być może wariat jest na wolności, gotów to powtórzyć!

– To ty jesteś gliną – powiedział Irlandczyk, wstając z krzesła. – Kupujesz albo nie.

O 17.31 ponownie znalazł się na małym placu. Spojrział na niebo. Było zaciągnięte chmurami czarnymi jak atrament. Znowu zanosilo się na deszcz. Wciąż czuł niepokój. Rozpoznawał to po ściśniętym żołądku.

Jest piątek wieczór, pomyślał. Coś się dzieje na tym placyku. Hugo mówi, że nie czuje się dobrze. Jest przed 20.30, mecz reprezentacji Francji jeszcze się nie zaczął. Idzie do swojego samochodu. Ktoś wychodzi zaraz za nim. Ktoś, kto siedział w tłumie ludzi w pubie i czekał na ten moment.

Półtorej godziny później Hugo zostaje znaleziony przez żandarmerię u Claire Diemar. Co się dzieje w ciągu tych sekund po wyjściu z pubu? Chłopak jest sam czy może jest z nim ktoś jeszcze? W którym momencie urywa mu się film?

Omiótł spojrzeniem parking i rzędy samochodów. Z oddali dobiegł huk grzmotu, przerywając wieczorną ciszę. Nagły powiew ciepłego wiatru rozczochrał mu włosy i spadło kilka kropel deszczu. Po przeciwnej stronie

placu wznosił się najwyższy budynek Marsac – dziesięć betonowych pięter – jak brzydki pryszcz wśród niskich mieszczańskich kamienic i wolno stojących domów. Na parterze mieścił się psi salon piękności, biuro agencji pracy Pôle Emploi i bank. Servaz od razu je zauważył. Kamery. Dwie. Jedna skierowana na wejście, druga na pozostałą część placu. A więc także na parking... Przełknął ślinę. To by było cholerne szczęście. Zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Mimo wszystko musiał jednak sprawdzić.

Zamknął z powrotem jeepa i ruszył wzdłuż rzędu samochodów w kierunku kamery.

Zauważył, że jest skierowana we właściwą stronę. Spojrzał za siebie na wejście do pubu. Co najmniej dwadzieścia pięć metrów... Teraz wszystko zależało od jakości obrazu. Kamera na pewno znajdowała się zbyt daleko, by zidentyfikować osobę wychodzącą z pubu – chyba żeby już było wiadomo, kogo się szuka. Ale być może nie była zbyt daleko, by zobaczyć, czy ktoś wyszedł za chłopakiem.

Nacisnął na domofon banku. Mechanizm otwierający drzwi zabrzączał. Gdy znalazł się w środku, przeszedł przez główny hol, minął klientów czekających w kolejce do okienek, przeszedł przez białą linię i pokazał odznakę jednej z pięciu pracownic.

Na ladzie stała figurka Superbohatera z wymalowanym logo banku. Servaz pomyślał, że specem od reklamy nie brakuje poczucia humoru. Gdzie był ich superbankier między końcem 2007 a październikiem 2008 roku, kiedy udziałowcy na całym świecie stracili dwadzieścia bilionów dolarów, czyli równowartość dóbr produkowanych na świecie w ciągu roku, a wszystko za sprawą zaślepienia – i niekompetencji – banków, inwestorów i traderów? Gdzie byli, kiedy bank musiał umorzyć długi Grecji, Portugalii i Hiszpanii?

Servaz poprosił o natychmiastowe spotkanie z dyrektorem placówki i pracownica podniosła słuchawkę. Dwie minuty później szedł w jego kierunku mężczyzna około pięćdziesiątki. Wyciągał ku niemu rękę, ale jego twarz była nieprzenikniona.

– Proszę za mną – powiedział.

Przeszklony gabinet na końcu korytarza. Dyrektor poprosił Servaza, by usiadł. Servaz odpowiedział, że nie trzeba. W dwóch słowach wyjaśnił, o co chodzi. Dyrektor położył palec na dolnej wardze.

– Nie wydaje mi się, żeby to był problem – oznajmił wreszcie z wyraźną ulgą. – Niech pan idzie za mną.

Opuścili przeszklony gabinet i przeszli przez korytarz. Mężczyzna pchnął jakieś drzwi. Pomieszczenie wielkości komórki z jednym małym oknem o matowej szybie. Na stole leżało urządzenie przypominające bardzo płaski odtwarzacz-nagrywarke DVD na pilota. Obok znajdował się dziewiętnastocalowy monitor. Dyrektor go włączył.

– Mamy w sumie cztery kamery – powiedział – dwie w środku i dwie na zewnątrz. Towarzystwo ubezpieczeniowe nie wymagało aż tylu. Wymagało tylko nadzoru wideo przy bankomacie. Proszę.

Dyrektor nacisnął na przycisk pilota. Na ekranie pojawiła się mozaika złożona z czterech obrazów.

– Interesuje mnie ta kamera – powiedział Servaz, dotykając palcem prostokąta, na którym widać było parking, w lewym górnym rogu.

Dyrektor nacisnął na guzik z numerem cztery i obraz zajął cały ekran. Servaz zauważył, że jest on lekko rozmyty w głębi, na wysokości wejścia do pubu.

– Nagrywa się jak leci czy jest czujnik ruchu?

– W środku jak leci, oprócz kamery przy bankomacie, która włącza się na czujnik ruchu. Nagrania są nadpisywane.

Servaz był zawiedziony.

– A zatem nagranie z ostatniego piątku na pewno zostało wymazane przez nagrania z następnych dni, tak? – zapytał.

– Nie, nie sędzę. – Dyrektor się uśmiechnął. – Kamera, o której pan mówi, również działa na czujnik ruchu, tak jak ta przy bankomacie. Włącza się tylko wtedy, kiedy coś się dzieje na parkingu, co dość regularnie zdarza się w ciągu dnia, ale nocą bardzo rzadko. Poza tym aby zaoszczędzić pamięć, kamera zapisuje ograniczoną liczbę obrazów na sekundę. A jeśli moja pamięć nie zawodzi, dysk tego urządzenia ma pojemność jednego terabajta. To powinno spokojnie wystarczyć. Przechowujemy nagrania tak długo, jak każe prawo.

Servaz poczuł, że jego puls lekko przyspiesza.

– Niech mnie pan nie pyta, jak to działa – powiedział dyrektor, podając mu pilota. – Chce pan, żebym wezwał człowieka, który to zakładał? Może tu być za pół godziny.

Servaz spojrział na zegar w rogu ekranu, a następnie na zafoliowaną kartkę papieru przymocowaną do blatu za pomocą taśmy klejącej. Na górze kartki było napisane: „Instrukcja obsługi systemu monitoringu”.

– Nie trzeba, powinienem sam dać radę.

Dyrektor spojrział na zegarek.

– Zamykamy za niecałe dziesięć minut. Może mógłby pan przyjść jutro...

Servaz się zastanowił. Ponaglała go pilność sprawy i własna ciekawość. Nie chciał stracić ani minuty.

– Nie, zostanę tutaj. Proszę mi powiedzieć, jak mam za sobą zamknąć.

Dyrektor trochę się usztywnił.

– Nie mogę zostawić banku otwartego ot tak po godzinie zamknięcia – zaprotestował. – Ale jeśli pan będzie w środku... – Zawahał się przez chwilę. – Zamknę pana od zewnątrz. Tak czy siak, wyłączę alarm. Nie chcę, żeby pan go niechcący uruchomił i żeby zwała się tu żandarmeria. – Pokazał Servazowi wyświetlacz swojego BlackBerry. – Jak pan skończy, proszę do mnie zadzwonić na ten numer, przyjdę, by zamknąć za panem i włączyć alarm. Mieszkam obok.

Servaz zapisał numer w swoim telefonie. Dyrektor wyszedł, zostawiając jednak drzwi klitki uchylone. Servaz usłyszał, jak ostatni klienci opuszczają bank. Potem jego uszu doszły odgłosy zbierających się i żegnających pracowników. Oni także wyszli.

Pięć minut później dyrektor z teczką w dłoni wsunął głowę przez szparę w drzwiach.

– Poradzi pan sobie?

Servaz przytaknął, choć zaczynał w to wątpić. Instrukcja obsługi wyglądała na cholernie skomplikowaną, przynajmniej dla kogoś takiego, kto, jak on, generalnie ma problem z techniką. Zaczął od naciskania guzików pilota; obraz zniknął, by po chwili powrócić. Następnie udało mu się uzyskać tryb pełnoekranowy, ale wciąż nie miał właściwego obrazu. Zaklął. W tej pieprzonej instrukcji nigdzie nie było napisane, jak odczytać nagrania. Jasna sprawa... Czy kiedykolwiek spotkał instrukcję obsługi, która byłaby w pełni użyteczna?

O godzinie 18.45 uświadomił sobie, że jest zlany potem. W pokoiku musiało być jakieś trzydzieści pięć stopni. Otworzył okienko. Było

zabezpieczone dwoma grubymi prętami przytwierdzonymi do muru. Zauważył, że okno wychodzi na ślepą uliczkę i że na zewnątrz znowu się rozpadało. Do pomieszczenia wraz z upragnionym chłodem wdzierał się szum deszczu.

Była 19.07, kiedy wreszcie zrozumiał, jak uruchomić odczyt. Gdy już dotarł do nagrań z kamery monitorującej parking, uświadomił sobie, że jest tylko jeden sposób na dojście do zapisu, którego szukał – z ostatniego piątku, z godziny chwilę przed 20.30 – jeżeli taki zapis w ogóle istniał: odtwarzać całe nagranie w przyspieszonym tempie.

Zrobił pierwszą próbę, ale w jakiś tajemniczy sposób przyspieszone odtwarzanie zablokowało się i nagranie wróciło do punktu wyjścia.

– CHOLERA! CHOLERA! CHOLERA! CHOLERA!

Jego głos niósł się po korytarzu i pustym holu. Nabrał powietrza. Spokojnie. Dasz radę. Pocił się obficie, koszula kleiła mu się do pleców. Postanowił odtwarzać zapis w przyspieszonym tempie do pewnego momentu, potem zwalniać do normalnego i kawałek dalej znów przyspieszać.

O 19.23 jego serce zaczęło bić szybciej. Na ekranie pojawiły się cyfry 20.12... Przełączył na normalne tempo odtwarzania. Właśnie o tej godzinie coś włączyło kamerę. Z parkingu wyjeżdżało jakieś auto. Servaz przyjrzał się samochodowi mijającemu kamerę. Ekran rozświecił blask. Nad Marsac rozpętała się burza, wycieraczki samochodu chodziły w tę i z powrotem, tak że trudno mu było dojrzeć cokolwiek w środku. Aż w jednej, króciutkiej chwili udało mu się dostrzec małżeństwo około pięćdziesiątki. Znowu poczuł zawód. Obraz urwał się i włączył ponownie o godzinie 20.26. Za kurtyną deszczu przez parking jechało inne auto. Było coraz mniej światła, ale system kompensował ten brak. Widoczne w głębi drzwi pubu były coraz bardziej rozmyte. Zastanawiał się, czy będzie w stanie cokolwiek zobaczyć, gdyby ktoś w tamtym momencie opuścił lokal. Potarł powieki. Od wpatrywania się w ekran piekły go oczy. Szum deszczu był ogłuszający, można było odnieść wrażenie, że dochodzi z ekranu. Nagle zeszywniał. Hugo... Wyszedł z pubu. Pomimo niewyraźnego obrazu i burzy nie miał najmniejszych wątpliwości co do tożsamości postaci. Miała na sobie te same ubrania co Hugo na miejscu zbrodni. Fryzura i kształt twarzy się zgadzały. Servaz przełknął ślinę. Miał świadomość, że następne sekundy będą decydujące.

No już. Idź.

Servaz wlepił wzrok w ekran. Zobaczył, jak młody człowiek idzie alejką między zaparkowanymi samochodami. Ciąg migawek zapisanych z częstotliwością dziesięciu obrazów na sekundę nieco szatkował jego ruch. Młody człowiek zastygł w bezruchu w samym środku alejki i podniósł oczy ku niebu. Stał tak dłuższy czas.

Co ty wyprawiasz, na Boga?

Hugo był tak nieruchomy, że Servaz zastanawiał się, czy przypadkiem odtwarzanie znowu się nie zablokowało. Jednocześnie obserwował wejście do pubu. Ale tam nic się nie działo. Krew pulsowała w jego ciele tak mocno, że czuł to w spoconych opuszkach palców, które zostawiały wilgotne ślady na pilocie. No idź... Servaz wzrokiem szukał samochodu, który Hugo zostawił przed domem Claire Diemar, ale nie widział go. A przecież auto musiało być gdzieś tu, w tej alejce. Nagle Hugo ruszył w prawo i zniknął. Cholera! Pośrodku parkingu stała betonowa budka – zapewne jakieś pomieszczenie techniczne – i Hugo zaparkował za nią! Servaz znowu zaklął i już miał uderzyć pięścią w stół, kiedy w głębi drzwi pubu się otworzyły...

A niech to!

Widział dokładnie. Otworzył usta i wpatrywał się w ekran. Istniała pewna szansa. Niewielka, całkiem malutka. No, podejdz tu... Postać ruszyła alejką w stronę kamery. Ze względu na ustawienie urządzenia także jej zachowanie było widoczne jako sekwencja nieruchomych obrazów. Postać szła w kierunku miejsca, w którym Hugo zaparkował samochód. Servazowi zaschło w gardle. Nowo przybyły był wysoki i szczupły. Miał na sobie bluzę, której kaptur włożył na głowę. Cholera! Nagle Servaz zrozumiał, że nie zobaczy jego twarzy i się wkurzył. Mimo wszystko dostrzegł przynajmniej jeden pozytywny: dzięki temu nagraniu zeznania Hugona stawały się bardziej prawdopodobne. Nawet jeśli nie były decydującym dowodem w tej sprawie. Postać w kapturze zniknęła za betonową budką.

I co teraz?

Była jeszcze jedna szansa. Samochód musiał cofnąć, w którymś momencie na pewno pojawi się w polu widzenia kamery. Może uda się zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Servaz czekał ze ściśniętym gardłem, w skrajnym napięciu. Za długo. Za długo to trwało... Coś musiało się stać.

Jakiś hałas.

Zerwał się na równe nogi. Usłyszał hałas, ale nie za oknem: wewnątrz banku.

– Jest tu ktoś?

Żadnej odpowiedzi. Może mu się zdawało. Deszcz na dworze walił tak głośno, że Servaz nie był już pewien. Wieczornym powietrzem znowu wstrząsnął grzmot. Policjant chciał z powrotem skupić uwagę na ekranie. Nie, przecież coś usłyszał... Wcisnął pauzę i wstał. Wyszedł na korytarz.

– Hej! Kto tam?

Jego głos rozbrzmiewał echem w pustym holu, który znajdował się na jednym końcu korytarza. Na drugim końcu Servaz zauważył wyjście awaryjne – metalowe drzwi z poziomą sztabą. Zamknięte.

Zawahał się i ostatecznie ruszył w kierunku holu. Nikogo nie widział. Okienka, rzędy kolorowych foteli, biała linia. Hol był pusty. Zawrócił.

Z tym, że... teraz to poczuł.

Delikatny powiew powietrza.

Prawdopodobnie między oknem jego klitki a jakimś innym otworem. Znowu zawrócił i przez szklane drzwi wyjrzał na opustoszały plac. Drzwi były zamknięte. Cień stopniowo wypełniał wnętrze. Aż po najdrobniejsze zakamarki. Cień i cisza. Servaz miał wrażenie, jakby ktoś potraktował jego nerwy tarką. Sięgnął: po broń, którą nosił na biodrze, wyjął ją z kabury. Od miesiący tego nie robił. Dokładniej – od zimy 2008 roku.

Od czasu Hirtmanna...

Cholera!

Ruszył wzdłuż lady przy okienkach. Po drugiej stronie był jeszcze jeden korytarz. Szedł teraz powoli, mocno trzymając pistolet. Miał nadzieję, że ktoś nie będzie akurat przechodził przed szklanymi drzwiami banku i go nie zobaczy. Nie był jeszcze całkiem pewien, czy nie ulega jakiejś paranoi. Poza tym nie trzymał broni w przepisowej pozycji, ciągle licząc na to, że nie będzie musiał jej użyć. Pot kapał mu z brwi do oczu i Servaz raz po raz mrugał.

Drugi korytarz był krótszy od pierwszego. Znajdowały się tu tylko jedne drzwi. Do toalety.

Przykucnął i przyłożył dłoń do dwucentymetrowej szpary pod nimi.

Prąd powietrza przechodził tamtędy.

Pchnął drzwi, pokonując opór hydraulicznego samozamykacza. Woń przemysłowego środka czyszczącego. Nagle przeciąg stał się silniejszy i Servaz nateżył całą uwagę. Drzwi do męskiej toalety.

Były otwarte.

Ktoś zapomniał zamknąć okno, a ponieważ dyrektor nie włączył systemu alarmowego, nikt tego nie zauważył. Servaz szukał jakiejś łatwej odpowiedzi. Brzytwa Ockhama. Hipoteza, jakoby ktoś miał się dostać do banku, żeby go załatwić, podczas gdy była niejedna okazja, by zrobić to gdziekolwiek na zewnątrz, wydała mu się okrutnie naciągana.

Stanął obiema stopami na krawędzi muszli klozetowej i podciągnął się na wysokość niewielkiego okna. Takie same pręty jak w jego klitce. Na dworze lał deszcz. Niczego nie zauważył. Gdy schodził na podłogę, usłyszał kolejny hałas, nie w toalecie, ale wewnątrz banku. Krew kotłowała się w jego żyłach z siłą wody spadającej na turbiny elektrowni. Nagle poczuł strach. Z walącym sercem, na nogach z waty odwrócił się do drzwi. Ktoś był gdzieś w banku... Mocno ścisnął pistolet, ale jego mokra dłoń ślizgała się na wilgotnej rękojeści.

Wezwać posiłki. Ale jeżeli się myli? Wyobraził sobie wytłuszczone tytuły w gazetach: „Policjant przeżywa atak paranoi w pustym banku”. Mógł też zadzwonić do dyrektora pod pretekstem, że nie potrafi odczytać nagrań. I co dalej? Będzie tu siedział zamknięty, aż ktoś przyjdzie? Takie były jego myśli, gdy nagle jego uszu dobiegło trzaśnięcie drzwi awaryjnych.

Psiakrew!

Wyskoczył z łazienki, biegiem minął okienka, poślizgnął się na zakręcie i rzucił się w głąb korytarza. Przeszedł przez metalowe drzwi. Schody. Dudnienie czyichś kroków nad jego głową. Cholera! Servaz pędem wbiegł na schody. Dwa biegi betonowych stopni i jedne drzwi na każdym piętrze. Stopnie drgały pod jego stopami. Nadstawiał uszu, by usłyszeć, czy uciekinier nie opuszcza klatki schodowej, ale był pewien, że idzie dalej. Po trzech piętrach Servaz dostał zadyszki. Ogień palił mu płuca. Uczepił się metalowej poręczy. Na piątym piętrze zatrzymał się, by złapać oddech, zgięty w pół, z dłońmi na kolanach. Jego płuca pracowały głośno jak kowalski miech. Pot spływał mu po nosie. Koszula na plecach była mokra. A jego cel nie przerywał wspinaczki, Servaz czuł pod stopami vibracje schodów. Znowu ruszył do góry. Dochodził do siódmego piętra, kiedy nad jego głową rozległo się skrzypnięcie, a następnie trzask metalowych drzwi. Otworzył drzwi na siódmym. Nie skrzypiały ani nie

trzaskały. To nie przez te drzwi przeszedł uciekinier... Serce waliło w piersi Servaza, jakby miało eksplodować. Przez moment zastanawiał się, czy mógłby umrzeć na zawał, wspinając się po schodach w pogoni za mordercą.

Minał dziewiąte.

Kiedy pokonał dwa ostatnie biegi schodów, jego mięśnie były jak z betonu. Dach... To stamtąd pochodziło metaliczne trzaśnięcie. To tam schronił się uciekinier. Strach powrócił do niego z całym impetem. Servaz przypomniał sobie śledztwo w Pirenejach. Swoje zawroty głowy i lęk wysokości. Zawahał się.

Był zlany potem. Przekładając pistolet z jednej ręki do drugiej, wytarł dłonie w spodnie, przetarł twarz mankietem koszuli. Wpatrując się w metalowe drzwi, czekał, aż jego serce trochę się uspokoi.

Co go czeka po drugiej stronie? A jeśli to pułapka?

Wiedział, że z powodu lęku przestrzeni od razu jest na słabszej pozycji. Ale miał broń...

Czy ten, którego ściga, jest uzbrojony?

Wahał się, jaką przyjąć taktykę. Niecierpliwość i pilność sprawy gnały go do przodu. Położył drżącą dłoń na metalowej poprzeczce. Skrzydło drzwi skrzypnęło, gdy je pchnął. Natychmiast znalazł się w samym środku burzy, błysków, wiatru i deszczu. Czuł, że na dachu, na odsłoniętej powierzchni wieje o wiele mocniej niż na dole. Poczul pod butami żwirek, którym wysypany był dachowy taras – duża płaska powierzchnia obrzeżona betonowym murkiem o wysokości zaledwie dwudziestu centymetrów. Servaz poczuł, że jego żołądek zamienił się w twarde supeł. Widział dachy Marsac, iglicę kościoła otoczoną chmurami, mokre pagórki, niebo potężne jak morze, całkowicie zachmurzone. Pozwolił, by drzwi za jego plecami się zatrzasnęły. Gdzie go tu przygnało? Wiatr targał mu włosy. Rozejrzał się na prawo i lewo. Z dachu wyrastał rząd ceglanych wieżyczek wysokich mniej więcej na metr, w których znajdowały się otwory wentylacyjne. Servaz zauważył też długie gumowe węże rzucone na podłogę i trzy anteny satelitarne. To wszystko.

Gdzie on się schował?

Deszcz się wzmógł. Lał mu się za kołnierz i spływał po karku, bębnił o czaszkę, splukiwał twarz. Nad miastem zalegały czarne chmury. Pagórki rozjaśniały błyskawice. Servaz miał wrażenie, jakby wisiał pod niebem.

Wiatr w uszach.

Jakiś odgłos po lewej...

Odwrócił głowę w tę stronę, trzymając w ręku wycelowaną broń. W tej samej chwili jego mózg dokonał analizy sytuacji i w ciągu jednej setnej sekundy wyciągnął wniosek: „pułapka”. Jakiś kamyk, jakiś przedmiot. Ktoś po prostu coś rzucił, by skierować jego uwagę w niewłaściwą stronę.

Usłyszał – ale za późno – tupot nóg za swoimi plecami, poczuł gwałtowne uderzenie w kark, ktoś chwycił go w pasie i brutalnie pchnął do przodu. Pod wpływem paniki zwymiotował. Zaparł się nogami, wypuścił broń, tłukł rękami na oślep.

Napastnik popychał go i ciągnął, korzystając z przewagi, jaką dał mu efekt zaskoczenia i fakt, że to on zainicjował starcie. Zanim Servaz zdążył zareagować, poczuł, że z całym impetem leci w kierunku krawędzi dachu.

– NIEEEEEEEEEEE!

Usłyszał własny krzyk, zobaczył, że krawędź zbliża się zdecydowanie za szybko, a pejzaż dookoła spieszy mu na spotkanie, mimo że jego podeszwy rozpaczliwie starały się nie stracić kontaktu ze żwirem.

Dziesięć pięter.

Jego perspektywa – drzewa, niewielki park podobny do angielskiego skweru ze stojącymi wokół kamienicami z czerwonej cegły, białe gzymsy, dachy, kwadratowa, spiczasta dzwonnica, samochody, gołąb – uległa rozszerzeniu i zakłóceniu, zdeformowana przez strach, deszcz, zawroty głowy Servaz zawył. Zobaczył cały plac pogrążony w cieniu, rząd balkonów u swoich stóp, pionowe i zlewające się ze sobą strugi deszczu, czubki własnych butów uderzające o betonowy murek. Ostateczne pchnięcie i własne ciało lecące do przodu...

Przez chwilę kołysał się tak nad przepaścią, przytrzymywany z tyłu przez czyjąś rękę.

Następnie otrzymał potężny cios w głowę, jego pole widzenia zalały świetliste plamki i Servaz zapadł się w czarną dziurę.

Tego samego wieczoru o godzinie 20.30 Irène Ziegler i Zuzka Smatanova wróciły samolotem z Santorynu na lotnisko Tuluza-Blagnac. Lot trwał mniej niż dwie godziny i miały jeszcze w pamięci widok z samolotu wznoszącego się nad wulkaniczną wyspą, stromy klif o wysokości stu

dwudziestu metrów, wpadający do lśniącego morza i białe domki wyglądające jak ptasie łajno na wierzchołku wulkanu.

Na lotnisku odebrały bagaże i skierowały się do holu D. Stamtąd darmowy autobus miał je zawieźć na „ekonomiczny” parking, na którym od miesiąca czekał ich samochód (całkowity koszt parkowania wyniósł 108 euro). Słowaczka opłaciła prawie całe wakacje. Irène kupiła sobie tylko bilet w obie strony i pokryła rachunki w dwóch restauracjach: na Paros i na Naksos. Zdecydowanie posada striptizerki i kierowniczkii nocnego klubu była znacznie bardziej dochodowa niż praca w żandarmerii. Irène zastanawiała się kiedyś, jak zareagowałoby jej dowództwo, gdyby się dowiedziało, że jej partnerką jest szefowa dyskoteki ze striptizem, która reguluje także część jej rachunków. Podjęła już jednak rozstrzygającą decyzję, że gdyby któregoś dnia miała wybierać między swoją pracą a Zuzką, nie zawaha się ani chwili.

Ciągnęły za sobą walizki na kółkach, patrząc na deszcz za oknami i z nostalgią wspominając greckie słońce. Gdy mijały kiosk z gazetami, Irène znieruchomiała.

– Co jest? – zapytała Słowaczka.

– Zaczekaj.

Zuzka rzuciła jej pytające spojrzenie. Ziegler zostawiła walizkę. Podeszła do okienka. Zdjęcie było złej jakości, ale rozpoznała go. Z pierwszej strony jednej z gazet patrzyła na nią blada od światła fleszy twarz Martina Servaza. Tytuł głosił: HIRTMANN PISZE DO POLICJI.

CHMURY

Szare, sinoblade chmury. Nadęte jak bulwiaste grzyby, ściśnięte na niebie jak osiedla wieżowców. Poczul na rogówce uderzenie kropli wody. Twardej jak kula bilardowa. Potem drugie i trzecie. Zamrugał. Deszcz padał mu prosto na twarz, a ponieważ miał otwarte usta, czuł go też na języku.

Piekielny ból z tyłu czaszki, w miejscu, w którym głowa stykała się ze zwirem. Uniósł ją. Ból się wzmógł, jakby zapuszczał korzenie w kark i ramiona. Krzywiąc się, Servaz przewrócił się na lewy bok. Jego twarz znowu znalazła się nad przepastną pustką. Na ten widok zrobiło mu się niedobrze. Leżał na krawędzi dachu! Zaledwie kilka centymetrów dzieliło go od śmiertelnego upadku. Przerażony przewrócił się na drugą stronę, turlając się po żwirku, który kłuł go przez ubranie. Następnie przeczołgał się w bezpieczne miejsce i stanął na drżących nogach.

Uniósł rękę i ostrożnie dotknął głowy. Natychmiast poczuł przenikliwy ból. Odsunął dłoń. Zdażył jednak wyczuć pod włosami potężnego guza. Spojrzał na palce. Deszcz zmywał spływającą po nich krew. To nic nie znaczy, pomyślał. Owłosiona skóra zawsze obficie krwawi.

Nieco dalej zobaczył swój pistolet. Zrobił dwa kroki, by go podnieść.

Dowlókł się do metalowych drzwi, które z tej strony miały klamkę. Próbował przeanalizować ostatnie zdarzenia.

Nagle pojawiła się myśl: nagranie...

Niepewnym krokiem pokonał dwa biegi schodów otworzył drzwi dziewiątego piętra i rzucił się ku windom. Gdy był już na parterze i kabina się otworzyła, poszukał wzrokiem drzwi klatki schodowej. Przeszedł przez nie i zauważył wyjście awaryjne, przez które przechodził kilka minut wcześniej. Samozamykacz hydrauliczny zatrzaskał za nim metalowe skrzydło. Servaz wyszedł z budynku i ruszył ku przeszklonym drzwiom banku. Nadal były zamknięte. Nie mógł już wrócić do środka. Wyjął telefon i połączył się z dyrektorem.

– Skończył pan?

– Nie, ale coś się tu stało.

Pięć minut później na placu zaparkowała japońska terenówka. Dyrektor wysiadł i podszedł do niego zaniepokojony. Wystukał kod i Servaz usłyszał brzęczenie elektronicznego zamka. Pchnął drzwi i skierował się do pomieszczenia monitoringu.

Mała nagrywarka zniknęła. Na stole zostały tylko kable.

O to właśnie chodziło napastnikowi. Wykraść nagrania. Naraził się na znaczne ryzyko. Z całą pewnością to był on. Człowiek w kapturze. To on zabił Claire Diemar, to on podał Hugonowi środek odurzający. Servaz nie miał już najmniejszych wątpliwości. Przez cały czas napastnik był tuż obok, szpiegował go, siedł za nim. Widział, jak Servaz zbliża się do kamery i wchodzi do banku. Zrozumiał, co policjant zamierza zrobić. Nie był w stanie ocenić, czy zostanie rozpoznany, dlatego podjął to szalone ryzyko... Musiał wejść do banku z innymi klientami, ukryć się w toalecie i siedzieć tam aż do zamknięcia. Następnie wywabił Servaza z klitki na drugą stronę agencji i kiedy policjant był w toalecie, ukradł twardy dysk i zwiął. Jakoś tak.

Servaz zaklął. Zauważył, że stoi w kałuży wody ściekającej z jego przemoczonych ubrań.

– Sądzi pan, że on był na tym nagraniu, że wszedł do mojego banku... Człowiek, który zabił tę kobietę? – Głos dyrektora prawie drżał. Mężczyzna właśnie uświadamiał sobie, co się stało. Był blady.

Servaz czuł straszliwy ból, jakby ktoś wbijał mu w czaszkę żelazny pręt. Będzie musiał iść do lekarza. Zadzwoił do laboratorium i poprosił o przysłanie ekipy techników.

– Niech pan wraca do siebie – powiedział do dyrektora. Następnie wyszedł z pomieszczenia i ruszył w kierunku holu.

Jego przemoczone buty z każdym krokiem wydawały głośnie młaśnięcie. Śliczna pracownica banku, której podobizna była przyklejona do kartonowego stelaża, posyłała mu promienny uśmiech. Na szyi miała apaszkę w kolorach firmowych banku. Nie wiedząc dlaczego, Servaz nagle zaczął złorzeczyć w duchu wszystkim specom od reklamy i ich manipulacjom, które zanieczyszczają codzienność, ludzkie mózgi i całą egzystencję od narodzin aż do śmierci. Tego wieczoru miał pretensje do całego świata. Puścił drzwi, które zamknęły się za nim, i zapalił papierosa, kryjąc się przed deszczem pod balkonem. Niezależnie od tego, z której strony rozważał to, co się wydarzyło, zawsze dochodził do tego samego wniosku: pozwolił mordercy uciec.

Robiło się coraz ciemniej, tylko na zachodzie poniżej warstwy chmur niebo było jeszcze jasne i lśniące. Na placu pod drzewami panował mrok. Spojrzał na zegarek. Była 22.30. Technicy zjawia się nie wcześniej niż za godzinę.

Żołądek skręcał mu się z niepokoju. Servaz wiedział, że w pobliżu czai się morderca, który nie waha się uderzyć w funkcjonariusza policji, działa z zimną krwią i przerażającą determinacją, znajduje się zaledwie o kilka metrów od nich, chodzi za nimi krok w krok; jest tuż-tuż, nie spuszcza ich z oczu. Na tę myśl komendant poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba.

W jego kieszeni zabrzączał telefon. Spojrzał na numer: Samira.

– Namierzyli Thomasa999 – odezwała się do słuchawki. – Wcale nie ma na imię Thomas.

I nagle Servaz był już bardzo daleko od banku.

– Nie uwierzysz – powiedziała.

Ktoś pukał do drzwi. Margot rzuciła okiem na śpiącą współlokatorkę, spojrzała na monitor leżącego na łóżku laptopa i na zegarek w rogu ekranu. Była 23.45. Wstała i uchyliła drzwi. Elias. Jego okrągła, blada twarz – przynajmniej ta jej część, która nie była zasłonięta grzywką – odcinała się na ciemnym tle korytarza.

– Co robisz w babskiej części? Nie mogłeś zadzwonić albo wysłać esemesa?

– Chodź za mną.

– Co?!

– Ruchy.

Była o krok od wyzwania go od idiotów i zatrzaśnięcia mu drzwi przed nosem, ale powstrzymał ją ton jego głosu. Wróciła po szorty i koszulkę i ubrała się. Była prawie północ. Margot otworzyła drzwi w samych majtkach i staniku, a Elias nawet nie spojrzał na jej ciało, choć wiedziała, że generalnie podoba się chłopakom. A zatem w grę wchodziło jedno z dwojga: albo rzeczywiście był prawiczkim, jak twierdziły niektóre dziewczyny, albo – jak czasem utrzymywali faceci – gejem.

Nacisnęła włącznik i na korytarzu zapaliło się światło.

– Kurwa, Margot! – zganił ją ochrypłym szeptem.

Spojrzała na niego pytająco. Wzruszyła ramionami i skierowali się ku schodom. Przemknęli pod spojrzeniami dwóch marmurowych popiersi stojących w holu na dole i wyszli drzwiami do parku. Na zewnątrz panowała cisza między kolejnymi atakami burzy. W szczelinie pośród chmur połyskiwał księżyc, jak drapnięcie bladego pazura. Roślinność była nasiąknięta wodą i Margot poczuła wilgoć w trampkach już po pierwszych kilku krokach w trawie.

– Dokąd idziemy?

– Wyszli.

– Kto?

Podniósł oczy do nieba.

– Sarah, David i Virginie. Widziałem ich, jak jedno po drugim wchodzili do labiryntu. Na pewno się tam umówili. Musimy się spieszyć.

– Poczekaj. A jak na nich wpadniemy? Co im powiemy?

– Zapytamy ich, co tam robią.

– Super.

Zanurzyli się w mrok. Minęli posąg pod wielką czereśnią, prześlizgnęli się pod zardzewiałym łańcuchem i weszli do labiryntu. Elias stanął i nadstawił uszu. Margot poszła w jego ślady. Wiatr poruszał roślinnością dookoła w oczekiwaniu na następną ulewę i trudno było zidentyfikować inne dźwięki, ale z drugiej strony zagłuszał także ewentualne odgłosy ich kroków.

Widziała, jak Elias się zawahał, zanim skręcił w lewo. Na każdym zakręcie obawiała się, że wpadną na tamtą trójkę. Żywopłot od dawna nie był przycinany i Margot od czasu do czasu czuła na twarzy drapanie gałęzi. Niebo znowu było zasnuwane chmurami. Nie słyszała nic poza szumem wiatru i wody skapującej z liści i zaczynała się zastanawiać, czy aby Elias się nie pomylił.

Aż do chwili, gdy w ciemności rozległy się głosy. Bardzo blisko.

Elias zatrzymał się przed nią i dał jej znak, podnosząc rękę, jak w filmach wojennych, gdzie komandosi przenikają na terytorium wroga. O mało nie zachichotała. Ale w głębi duszy wcale nie było jej do śmiechu. Zaczynała czuć się nieswojo. Wstrzymała oddech. Byli tuż obok... Za najbliższym zakrętem. Zrobili jeszcze dwa kroki i usłyszeli słowa Davida:

– To jest rozwalające, wkurwiające.

– Co innego możemy zrobić? – Margot od razu rozpoznała łagodny, przyciszony głos Sarah. – Pozostaje tylko czekać...

– Nie możemy go tak zostawić – zaprotestował David.

Włoski na przedramionach Margot stanęły dęba, jakby poraził ją prąd. Marzyła tylko o jednym: wrócić do siebie i znowu zobaczyć Lucie. Głos Davida był słaby i płaczliwy. Wymowa niedokładna, zacinał się na niektórych sylabach. Jakby był pijany – albo naćpany.

– Kiepsko to widzę. Jest... Na pewno jest coś, co możemy zrobić... Cholera, nie możemy... Nie możemy go opuścić...

– Zamknij się. – Głos Virginie. Strzelił jak trzaśnięcie z bicia. – Nie wolno ci teraz pęknać, słyszysz mnie?

Ale David jakby nie słyszał. Przez ścianę żywopłotu do uszu Margot dotarł jego szloch. Jak długie, zduszone skomlenie. I zgrzytanie zębów.

– O kurwa... kurwa... kurwa... – jęczał. – O kurwa, o ja pierdołę...

– David, jesteś silny. Jesteśmy z tobą. Jesteśmy twoją jedyną rodziną, pamiętaj o tym. Sarah, Hugo, ja i reszta. Nie zostawimy Hugona, nie ma takiej opcji.

Cisza. Margot się zastanawiała, co Virginie ma na myśli. David pochodził ze znanej rodziny: jego ojciec był przemysłowcem i dyrektorem generalnym grupy Jimbot. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat dzięki wręczaniu łapówek na wszystkich szczeblach, schlebaniu politykom, finansowaniu ich kampanii wyborczych, udało mu się podbić dużą część lokalnych rynków autostrad, zagospodarowania przestrzennego i infrastruktury. Jego starszy brat skończył studia w Paryżu i na Harvardzie, razem z ojcem zarządzał rodzinną firmą. David ich nienawidził – Hugo powiedział jej o tym któregoś dnia.

– Musimy szybko zwołać Krąg – powiedział nagle David. Znowu cisza.

– Niemożliwe. Zebranie będzie siedemnastego, tak jak było zaplanowane. Nie wcześniej – znowu władczy głos Virginie.

– Ale Hugo jest w pacy! – chlipnął David.

– Nie opuścimy go. Nigdy. W każdym razie ten glina w końcu zrozumie, a jeśli będzie trzeba, my mu w tym pomożemy.

Margot poczuła, że z jej twarzy odpływa krew. Sposób, w jaki Virginie mówiła o jej ojcu, sprawił, że po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. W głosie dziewczyny dało się wyczuć lodowatą brutalność.

– Ten glina, jak go nazwałaś, to ojciec Margot.

– No właśnie.

– No właśnie co?

Cisza. Virginie nie odpowiedziała.

– Nic się nie bój, mamy go na oku – powiedziała wreszcie. – Jego córki również...

– Co ty gadasz?

– Powiedziałam po prostu, że trzeba doprowadzić do tego, żeby ten glina zrozumiał, że Hugo jest niewinny. W ten czy inny sposób. A poza wszystkim musimy być ostrożni...

– Nie zauważyłeś, że ostatnio, gdzie się nie obejrzymy, ona tam jest? – wtrąciła się Sarah. – Zawsze w pobliżu. Zawsze chodzi tam, gdzie my.

– Kto?

– Margot.

– Sugerujesz, że Margot nas szpieguje? To absurd!

To był głos Davida. Elias odwrócił głowę i w półmroku rzucił jej pytające spojrzenie. Margot zamrugowała nerwowo.

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy być ostrożni. To wszystko. Jakoś nie czuję tej dziewczyny. – Głos Sarah płynął jak lodowaty strumyk.

Margot miała ochotę uciekać. Po niebie nad ciemnym labiryntem przesuwały się blade chmury.

Nagle w jej kieszeni rozległ się słaby, ale słyszalny dźwięk harfy. Smartfon. Elias spojrzął na nią wściekle. Jego oczy były wielkie jak spodki. Margot poczuła, że jej serce wykonało salto.

– Porozmawiam z nią, jeśli chcecie... – zaczął David.

– Ciii! Co to był za dźwięk? Nie słyszeliście?

– Jaki dźwięk?

– Coś jakby... harfa, coś w tym stylu. O tam, niedaleko.

– Nic nie słyszałem – powiedział David.

– Ja też to słyszałam – odezwała się Sarah. – Ktoś tu jest!

– Biegiem! – szepnął jej do ucha Elias. Co powiedziawszy, chwycił ją za rękę i sprintem pobiegli do wyjścia z labiryntu, nie próbując już ukryć swojej obecności.

– Kurwa! – zawołał David. – Ktoś tu był!

Usłyszeli, że rzucił się w pościg. Dziewczyny ruszyły za nim. Elias i Margot pędzili co tchu, wchodząc w zakręty na maksymalnej prędkości, ocierając się o żywopłot. Trójka za nimi również biegła, Margot słyszała z tyłu tętent stóp. Czuła się tak, jakby krew miała jej wytrysnąć ze skroni. Myślała, że zakręty i alejki nigdy się nie skończą. Kiedy na pełnym gazie przebiegali pod łańcuchem, zardzewiała tabliczka głęboko zadrapała jej plecy i Margot skrzywiła się z bólu. Chciała wracać tą samą drogą, którą przyszli, ale ręka Eliasa brutalnie szarpnęła ją w tył.

– Nie tędy! – warknął szeptem. – Zobaczą nas! Pociągnął ją w przeciwną stronę, w wąski przesmyk między rzędami żywopłotu, którego nie zauważyła. Znaleźli się w kompletnych ciemnościach, pod drzewami. Z liści kapłała woda. Ruszyli slalomem między pniami drzew i wypadli wprost na przeszkloną ścianę półkolistej auli. Margot zobaczyła ich odbicia w ciemnych szybach auli. Gestykulowali jak uczniowie Marcela Marceau. Dobiegli do niewielkich drzwi, na które nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyła, jak Elias sięga do kieszeni i wsuwa klucz do zamka. Chwilę później byli w środku. W opustoszałych korytarzach rozlegało się echo ich pospiesznych kroków.

– Skąd wzięłeś ten klucz? – rzuciła, biegnąc u jego boku.

– Później!

Schody. Nie te, którymi schodzili. Starsze, węższe i pachnące kurzem. Doszli do piętra mieszkalnego. Elias pchnął jakieś drzwi. Margot nie mogła wyjść ze zdziwienia: stali przed korytarzem dziewcząt. Zaledwie kilka metrów od jej pokoju.

– Włóż! – wyszeptał. – Nie rozbieraj się! Wchodź do łóżka i udawaj, że śpisz!

– A ty? – zapytała.

Krew w jej żyłach waliła jak werbel.

– O mnie się nie martw, leć!

Posłuchała go i ruszyła w stronę swojego pokoju. Obejrzała się za siebie: Elias zniknął. Zamknęła za sobą drzwi i zaczęła rozpinąć pasek,

kiedy przypomniła sobie jego słowa. Podniosła kołdrę i wsunęła się pod nią w ubraniu.

Kilka sekund później usłyszała szybkie kroki na korytarzu i jej puls przyśpieszył. Ktoś przekręcił klamkę. Margot myślała, że jej serce eksploduje ze strachu. Zamknęła oczy i lekko otworzyła usta jak osoba pogrążona we śnie. Usiłowała oddychać głęboko i spokojnie. Mimo zamkniętych powiek odgadła, że po jej twarzy przesuwa się światło latarki. Była pewna, że z miejsca, w którym stali, mogli usłyszeć walenie jej serca, zauważyć pot na jej czole i czerwone policzki.

Drzwi się zamknęły. Kroki się oddaliły i usłyszała, jak Sarah i Virginie wchodzi do swojego pokoju.

Otworzyła oczy.

W ciemności widziała tańczące białe punkty.

Miała wyschnięte gardło, a jej ciało było zlane potem. Podniosła się i usiadła na łóżku. Uświadomiła sobie, że cała się trzęsie.

RZYMSKIE WAKACJE

Radio było włączone. Dochodzący z niego głos dobrze postawiony i głęboki.

– Na czym polega zawód posła? Na spędzaniu czasu w komitetach charytatywnych, na spotkaniach dzielnicy, zgromadzeniach departamentu, oklaskiwaniu przemówień, otwieraniu hipermarketów, rozstrzyganiu lokalnych sprzeczek, ściskaniu dłoni i mówieniu „tak” w odpowiednim momencie. Większość moich kolegów absolutnie nie wierzy w to, żeby nieszczęściom społeczeństwa można było zaradzić za pomocą takiej czy innej ustawy. Nie wierzą także, żeby postęp społeczny leżał jakoś w ich gestii. Wierzą w religię przywilejów, wyznają credo bogacenia się i dogmat darmowości – oczywiście tylko w odniesieniu do nich samych.

Servaz schylił się i zgłosił, nie tracąc z oczu drogi. Dźwięk wypełnił kokpit. Policjant nie pierwszy raz słyszał ten głos. Jego właściciel za sprawą swojego tupetu, młodego wieku i wyczucia słowa stał się ulubieńcem mediów. Kimś, kogo należy zapraszać do telewizyjnego studia i porannych audycji radiowych, kimś, kto podnosi statystyki słuchalności.

– Mówi pan o przeciwnikach czy o kolegach z własnego obozu? – chciał się dowiedzieć redaktor.

– Słowa mają swoje znaczenie, prawda? Powiedziałem „większość”. Czy pan słyszał, bym kiedykolwiek wygłaszał przemówienie partyjne?

– Ma pan świadomość, że mówiąc to, przysporzy sobie pan nie tylko przyjaciół?

Znowu przerwa. Servaz wciąż czuł przeszywający ból, pulsujący jak żyła z tyłu czaszki. Spojrzał na wyświetlacz GPS-u. Światła reflektorów przesuwają się po pniach drzew. Las nie był niezamieszkały. Białe barierki, latarnie co pięćdziesiąt metrów i starannie wykopane rowy. Za drzewami widać było duże, nowoczesne budowle.

– Ludzie mnie wybrali, żebym mówił im prawdę. Wie pan, dlaczego ludzie głosują? Po to, by mieć złudzenie kontroli. Kontrola jest dla ludzi tak samo istotna jak dla szczurów. W latach siedemdziesiątych naukowcy

wykazali na dwóch grupach szczurów rażonych prądem, że te, którym dano możliwość kontroli nad impulsami elektrycznymi, miały więcej przeciwciał i mniej wrzodów żołądka.

– Może dlatego, że otrzymywały mniej impulsów elektrycznych – próbował żartować redaktor.

– To właśnie robię i chcę robić nadal – kontynuował, nie dając się zbić z tropu. – Przywracać ludziom kontrolę. Nie tylko iluzję. Dlatego mnie wybrali.

Servaz zwolnił. Hollywood. Takie właśnie miał skojarzenie na widok tych oświetlonych budynków między drzewami. Żaden z nich nie miał mniej niż trzysta metrów kwadratowych powierzchni. Pachniało sklepami z wyposażeniem wewnątrz, piwnicami pełnymi lokalnych win i sączącym się cicho jazzem.

– W tym kraju jedna osoba wybierana do władz przypada na stu mieszkańców. I jeden lekarz na trzystu. Nie sądzi pan, że powinno być odwrotnie? Efekt jest taki, że wy tam, na samej górze, przydzielacie jakąś sumę pieniędzy na określony cel, a ona, jak by to powiedzieć... Rozpierzcha się. Na każdym z pośrednich stopni część tej sumy wyparowuje. Kiedy wreszcie dociera na sam dół, do tych, dla których normalnie powinna być przeznaczona, duża jej część została już pochłonięta przez koszty funkcjonowania, wynagrodzeń, przetargów i tak dalej.

– Mówi pan tak dlatego, że marcowe wybory w większości regionów wygrała lewica – ironizował prowadzący.

– Oczywiście. Ale pan przecież płaci podatki, prawda? Założę się, że...

Servaz wyłączył dźwięk. Był prawie na miejscu. To nie była audycja na żywo, ale nie miał gwarancji, że zastanie ptaszka w jego gniazdku. Ani że ptaszek akurat nie śpi. A jednak to właśnie tutaj chciał się z nim spotkać. Nie podczas dyżuru w biurze poselskim. Nikogo nie poinformował o swojej inicjatywie, poza Samirą i Espérandieu. Vincent zapytał tylko: „Jesteś pewien, że to nie zaszkodzi?”

Jak to pan poseł powiedział? „Kontrola jest dla ludzi tak samo istotna jak dla szczurów”... Ależ tak, pełna zgoda. Dlatego właśnie Servaz chciał zachować kontrolę nad swoim śledztwem.

Skręcił z głównej drogi i bardzo powoli jechał alejką między drzewami. Miała ona kilkanaście metrów długości i była całkiem prosta. Kończyła się przed budowlą, której tył niemal opierał się o ścianę drzew.

Zupełne przeciwieństwo domu Marianne: budynek był nowoczesny, parterowy, cały z betonu i szkła. Ale jeśli chodzi o lokalizację, poseł nie miał powodu, by zazdrościć Marianne. To leśne osiedle zajmowało drugie miejsce – po północnym brzegu jeziora – wśród najbardziej prestiżowych dzielnic Marsac. Co do samego miasta, to ogromną, przekraczającą wszelkie wyobrażalne normy część jego bazy lokalowej stanowiły mieszkania socjalne. Z oczywistych powodów. Nie było tam prawie nikogo, kogo można by wsadzić do więzienia. Sześćdziesiąt procent jego populacji stanowili wykładowcy uniwersyteccy, wyższe kadry przemysłu, pracownicy banków, piloci samolotów liniowych, chirurdzy i inżynierowie przemysłu lotniczego w Tuluzie. Stąd dwa pola golfowe, klub tenisowy i dwie restauracje wyróżnione przez przewodnik *Michelin*. Marsac: dwa kościoły i zadaszone targowisko z XVII wieku, dziesiątki pubów i restauracji. Park technologiczny inkubatorów innowacyjnych technologii współpracujących z miejscowym wydziałem nauk ścisłych i dużymi zakładami przemysłowymi na przedmieściach Tuluzy. Marsac – wytworne przedmieście dla elity regionu, miejsce, w którym żyje się wśród swoich, z dala od zgiełku wielkiego miasta.

Wyłączył silnik. Przez przednią szybę przyglądał się oświetlonemu budynkowi. Z charakterystyczną dla czerwcowych wieczorów duszną opieszałością zapadał zmrok. A przecież było krótko przed północą. Poziome linie, płaski dach, duże powierzchnie szyb podzielone pod kątem prostym na całej długości podwyższonego tarasu. Pokoje, supernowoczesna otwarta kuchnia, salony, korytarzyki – pomimo pionowych rolet wszystko było doskonale widoczne. Budownictwo w stylu Miesa van der Rohe. Servaz pomyślał, że Paul Lacaze, wschodząca gwiazda prawicy, rozciągnął swój status osoby publicznej nawet na wybór architektury własnego domu. Otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Zza wielkiej szyby ktoś go obserwował. Kobieta... Zobaczył, że odwraca głowę i z kimś rozmawia.

Nagle w jego kieszeni zabrzączał telefon.

– Martin, dobrze się czujesz? Co się stało?

Marianne... Poszukał wzrokiem kobiety za szybą. Zniknęła. W jej miejsce pojawiła się postać mężczyzny.

– W porządku. Kto ci powiedział?

– Dyrektor banku to mój przyjaciel...

No jasne, pomyślał. Przecież sama mówiła, że wszystkich tutaj zna.

– Posłuchaj. – Westchnęła do słuchawki. – Bardzo mi przykro z powodu wczorajszego wieczoru. Wiem, że robisz, co w twojej mocy. Chciałam przeprosić.

– Muszę kończyć – powiedział. – Zadzwoń do ciebie.

Znowu spojrzął na dom. Szklane drzwi się odsunęły i mężczyzna znalazł się na tarasie, chroniąc się przed ulewą pod betonowym dachem.

– Kim pan jest?

– Komendant Servaz, policja kryminalna. – Wchodząc na stopnie, pokazał odznakę. – Paul Lacaze?

Lacaze uśmiechnął się do niego.

– A jak pan sądzi? Nie ogląda pan telewizji, komendancie?

– Prawdę mówiąc, nie. Ale właśnie słyszałem pana w radiu. To było bardzo ciekawe.

– Co pana sprowadza?

Servaz wszedł pod dach i uważnie przyjrzał się gospodarzowi. Czterdzieści lat, postawny, na pierwszy rzut oka w dobrej formie. Lacaze miał na sobie dres z kapturem, przez co wyglądał trochę jak bokser po treningu. I w istocie kimś takim właśnie był. Pięściarzem. Wojownikiem, który woli zadawać ciosy niż stosować uniki. Jego bluza różniła się od tej, którą Servaz widział na filmie z monitoringu, ale to nic nie znaczyło.

– Nie domyśla się pan?

Mężczyzna patrzył już mniej przyjaźnie.

– Claire Diemar – wyjaśnił Servaz.

Na chwilę poseł zastygł w absolutnym bezruchu.

– Kochanie, co się dzieje? – odezwał się kobiecy głos za jego plecami.

– Nic. Pan jest z policji. Prowadzi śledztwo w sprawie tego morderstwa. A skoro jestem posłem i merem tego miasta...

Lacaze rzucił mu przenikliwe spojrzenie. Kobieta wyłoniła się zza szklanych drzwi. Miała na głowie chustkę, spod której wystawała peruka o kręconych włosach. Jej brwi zastępowały grube czarne kreski i pomimo zapadającego zmroku dało się zauważyć, że źle się czuje. Mimo to była ładna. Podała mu rękę. Servaz uścisnął dłoń lekką jak piórko. Nie było w niej siły ani energii.

Wyczytał w oczach kobiety, że nowotwór dokonuje w jej ciele coraz większych spustoszeń. Nagle poczuł ochotę, by przeprosić i wyjść.

– Co za straszna historia – powiedziała. – Biedna kobieta...

– Nie zajmę wiele czasu – wytłumaczył się Servaz. – To zwykła formalność.

Spojrzał na jej męża.

– Może przejdziemy do mojego gabinetu, komendancie? Skinął głową. Lacaze wskazał na podłogę. Servaz spojrzał pod nogi i zauważył wycieraczkę. Posłusznie wytarł buty. Weszli do domu. Przeszli przez salon, w którym na wielkim, płaskim ekranie telewizora wyświetlano czarno-biały film z napisami. Dźwięk był wyłączony. Servaz zauważył dwie szklanki do połowy wypełnione szkocką na niskim stoliku i butelkę na barku. Korytarz oświetlały ledowe lampki. Na ścianie nie było żadnych dekoracji. Do przeciwległej, przeszklonej, przylepiła się już noc. Lacaze pchnął drzwi w głębi korytarza. Gabinet, jak można się było spodziewać, był przestronny, nowoczesny i wygodny. Hebanowe ściany niemal w całości pokrywały zdjęcia w ramkach.

– Proszę siadać.

Lacaze usiadł w skórzanym fotelu za biurkiem. Zapalił lampkę kreślarską. Krzesło, na którym siedział Servaz, było zrobione z chromowanych rurek i sprężystej skóry.

– Nikt mnie nie uprzedził o pańskiej wizycie – zaczął poseł.

Stracił całą ogładę.

– Biorę to na siebie.

– W porządku. Czego pan chce?

– Przecież pan wie.

– Poproszę o fakty, komendancie.

– Claire Diemar była pana kochanką.

Poseł nie krył zaskoczenia. Servaz nie pytał. To było stwierdzenie.

– Kto panu to powiedział?

– Jej komputer. Poza tym ktoś zadbał o to, by dokładnie wyczyścić jej pocztę elektroniczną w pracy i w domu. Dość głupie posunięcie, jeśli chce pan znać moje zdanie.

Lacaze patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem. A może był dobrym aktorem.

– Thomas999 to przecież pan, prawda? Pisaliście do siebie namiętne e-maile.

– Kochałem ją.

Tak bezpośrednia, lakoniczna odpowiedź zaskoczyła Servaza. Lacaze zdawał się praktykować szczerość we wszystkich dziedzinach. Uczciwy polityk? Servaz nie był na tyle naiwny, by wierzyć, że istnieje choćby jeden egzemplarz tego gatunku.

– A pańska żona?

– Suzanne jest chora. Kocham moją żonę, komendancie. Tak samo jak kochałem Claire. Wiem, że być może trudno panu to pojąć.

Wciąż ta pozorna szczerość. Servaz nie ufał ludziom, którzy zawsze przemawiają w imię prawdy.

– To pan opróżnił skrzynki e-mailowe Claire Diemar?

– Co?

– Dobrze pan słyszał.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Zna pan rytualne pytanie.

– Nie mówi pan poważnie?

– Owszem.

– Nie muszę na nie odpowiadać.

– To prawda, chciałbym jednak, żeby pan to zrobił.

– Czy nie powinien pan być skonsultować się z sędzią, zanim przyszedł pan o tej godzinie zawracać głowę mnie i mojej żonie? Sądzę, że słyszał pan o czymś takim jak immunitet poselski.

– Ten termin nie jest mi całkiem obcy.

– A zatem nie przesłuchuje mnie pan w charakterze świadka, tak? W przeciwnym razie nasza rozmowa jest podwójnie niemożliwa: ze względu na porę oraz mój immunitet.

– Właśnie. To tylko mała przyjacielska pogawędka.

– Którą mogę w każdej chwili zakończyć.

Servaz skłonił głowę.

Polityk spojrział na niego, po czym z westchnieniem odchylił się na oparcie fotela.

– O której godzinie?

– W piątek między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą pierwszą trzydzieści.

– Tutaj.

– Sam?

– Z Suzanne. Oglądaliśmy film. Niech pan sobie wyobrazi, że ona uwielbia amerykańskie komedie z lat pięćdziesiątych. Ostatnimi czasy robię wszystko, żeby... umilić jej życie. W piątek oglądaliśmy, chwileczkę, *Rzymskie wakacje*. Tak mi się zdaje, trzeba by jeszcze ją zapytać. Nie jestem pewien, mogłaby to potwierdzić, gdyby doszło do... Ale nie doszło, prawda?

– Na razie tej rozmowy nie ma – potwierdził Servaz.

– Tak właśnie myślałem.

Dwaj bokserzy podczas ważenia. Lacaze oceniał Servaza. Lubił przeciwników na poziomie.

– Niech mi pan o niej opowie.

Servaz rozmyślnie użył tego zaimka. Wiedział, jak zadziwiająco chemię mogło wyzwolić to słowo w mózgu zakochanego mężczyzny. Wiedział z doświadczenia.

I rzeczywiście, spojrzenie Lacaze'a stało się mniej zdecydowane. Trafiony. Bokser przyjął cios.

– Ach... Boże, ona... ona... Czy to prawda, co mówią? – Poseł szukał właściwych słów. – Że zmarła... związana... utopiona... Cholera, zaraz zwymiotuję!

Servaz zobaczył, że mężczyzna jednym susem zrywa się i podbiega do drzwi. Ale gdy tylko się przy nich znalazł, zawrócił. Przez kilka sekund miotał się na środku pokoju, jakby chwiał się ogłuszony między linami ringu, po czym wrócił na swoje miejsce i opadł na fotel. Policjant w głowie ciągnął analogię jeszcze dalej: brakowało tylko wiadra i masażysty w rogu ringu.

– Przykro mi.

Na czole pośła lśniły mikroskopijne kropelki potu. Mężczyzna był blady jak ściana.

– Tak – odpowiedział łagodnie Servaz. – To prawda.

Polityk spuścił głowę, tak że niemal dotknął czołem podkładki na blacie biurka. Oparłszy łokcie o blat, splótł dłonie na karku.

– Claire, o kurwa, Claire, Claire, Claire.

Z gardła Lacaze'a wznosił się już tylko przeciągły lament. Servaz był zdezorientowany. Albo facet rzeczywiście szalał na punkcie tej kobiety, albo był najlepszym aktorem świata. Wyglądało na to, że ma głęboko gdzieś fakt, że ktoś jest świadkiem tej sceny.

Następnie wstał. Servaz zobaczył piorunujące spojrzenie zaczerwienionych oczu. Rzadko zdarzało mu się widzieć kogoś tak wstrząśniętego.

– Ten chłopak to zrobił?

– Przykro mi. Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– Ale macie przynajmniej jakiś trop? – Jego ton był niemal błagalny.

Servaz skinął głową, że tak. Ale czy rzeczywiście miał? Zaczynał w to wątpić.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby panu pomóc – powiedział poseł, dochodząc do siebie. – Chcę, żeby ten śmieć, który to zrobił, został złapany.

– W takim razie proszę odpowiadać na moje pytania.

– Słucham.

– Niech mi pan o niej opowie.

Lacaze wziął głęboki oddech, jak bliski wyczerpania bokser, który wraca do walki. Zaczął mówić.

– To była bardzo inteligentna dziewczyna. Cudowna. Utalentowana. Claire była doskonała pod każdym względem, była młodą kobietą, bogowie jej sprzyjali, miała wszystkie możliwe talenty.

Sprzyjali aż do piątkowego wieczoru, pomyślał Servaz.

– Jak się poznaliście?

Lacaze opowiedział. Szczegółowo. Servaz zauważył, że mężczyzna mówi z nieudawaną przyjemnością. Został zaproszony na wizytę do

liceum, jak bywało co roku, odkąd został merem Marsac. Znał każdego wykładowcę, wszystkich członków personelu: kursy przygotowawcze w Marsac były jedną z wizytówek miasta, przyciągającą najwybitniejszych uczniów z regionu. Przedstawiono mu nową wykładowczynię języków i kultury antycznej. Coś się zaczęło dziać już od pierwszego kontaktu – wyjaśnił. Rozmawiali przy lampce wina. Opowiadała mu, że wcześniej uczyła francuskiego i łaciny w jakimś college'u, później na podstawie konkursu została przyjęta na nauczyciela jednego z liceów, aż wreszcie zaproponowano jej to prestiżowe stanowisko. Lacaze od razu wyczuł, że jest singielką i potrzebuje kogoś u swego boku, by móc zacząć nowe życie w nowym środowisku zawodowym. Instynktownie, za sprawą wrodzonej zdolności do czytania w ludzkich myślach, to dar odziedziczony po ojcu – wyjaśnił. Już podczas pierwszego spotkania było dla niego jasne, że na tym nie poprzestaną. I tak się stało – zaledwie dwa dni później, kiedy spotkali się przypadkiem w myjni. Prosto z myjni pojechali do hotelu. Tak się to zaczęło.

– Czy pańska żona była już wtedy chora?

Lacaze podskoczył, jakby go spoliczkowano.

– Nie!

– I co było dalej?

– Normalnie, zakochaliśmy się w sobie. Jestem osobą publiczną. Trzeba było zachować dyskrecję. Ta sytuacja nam ciążyła. Chcieliśmy wykrzyczeć naszą miłość całemu światu.

– Prosiła, żeby pan odszedł od żony, a pan nie chciał? O to chodzi?

– Nie. Jest pan w całkowitym błędzie, komendancie. To ja chciałem odejść od Suzanne. A Claire była przeciwna. Mówiła, że nie jest gotowa, że to by zrujnowało moją karierę, nie chciała brać na siebie takiej odpowiedzialności, kiedy jeszcze nie wiedziała, czy chce dzielić ze mną życie. – W jego głosie dało się wyczuć nutkę żalu. – A potem Suzanne zachorowała i wszystko się zmieniło. – Zatopił zbolące, nieskończone smutne spojrzenie w oczach Servaza. – Moja żona uświadomiła mi, że mam jakieś przeznaczenie, że Claire jest dla mnie zbyt ekscentryczna, zbyt skoncentrowana na sobie, by pomóc mi w jego realizacji. Że jest jedną z tych kobiet, które niczego nie dają innym, ale wysysają z nich wszystko, by nakarmić siebie. Wymogła na mnie obietnicę, że kiedy jej już nie będzie, nie zrezygnuję z mojej przyszłości dla... Claire.

– Jak się dowiedziała o waszym związku?

Oczy mężczyzny spochmurniały.

– Znalazła pewne ślady, przeprowadziła małe śledztwo. Moja żona była dziennikarką. Ma nosa i zna środowisko. Powiedzmy, że chciała wiedzieć, ale nie więcej, niż to konieczne.

– Czy pan pali?

Lacaze uniósł brew.

– Tak.

– Jaką markę?

Poseł spojrzał na niego zaintrygowany, ale odpowiedział.

– Bywał pan u Claire?

– Tak. Oczywiście.

– Nie bał się pan, że ktoś pana zobaczy?

Zauważył, że polityk się waha.

– Jest ścieżka przez las, która wychodzi na jej ogród – wyjaśnił. Servaz powstrzymał się od reakcji. – Z drugiej strony prowadzi do miejsca piknikowego w lesie, przy drodze. Przejście jest, że tak powiem, niezauważalne, jeśli się nie wie o jego istnieniu. Parkowałem tam i dalej szedłem pieszo. Około dwustu metrów. Jedynymi osobami, które mogły mnie zauważyć, byli sąsiedzi z naprzeciwka: ich okna wychodzą na ogród Claire. Ale podejmowałem to ryzyko. I zawsze wkładałem coś z kapturem. – Uśmiechnął się. – Ciężko nam to, ale też było ekscytujące, naprawdę. Czuliśmy się jak dwójka konspiratorów. Jak nastolatki, którzy uciekli z domu. Rozumie pan, syndrom „my-kontra-reszta-świata”.

Pod koniec jego głos zadrżał. W pewnych okolicznościach najpiękniejsze wspomnienia stają się krzyżami, które trzeba dźwigać, pomyślał Servaz. Przypomniawszy sobie ścieżkę przez las. Czy Lacaze powiedziałby mu o niej, gdyby to on śledził Claire z krzaków? A może ją szpiegował i odkrył, że spotyka się z innym mężczyzną? Z Hugonem? A ta bluza z kapturem? Czy to jego widział na nagraniu z monitoringu? Tamten człowiek wydał mu się wyższy i szczuplejszy, ale mógł się mylić. Dlaczego Lacaze czuł potrzebę, by o tym wspomnieć? Czyżby polityk nieświadomie rzucał Servazowi wyzwanie, by ten udowodnił mu winę?

– No dobrze, ma pan jeszcze jakieś pytania?

– Na razie nie.

– W porządku. Powiedziałem panu: zrobię wszystko, co w mojej mocy, by panu pomóc. Ale z drugiej strony... pan sobie zdaje sprawę z mojej pozycji.

Najwyraźniej Lacaze doszedł już do siebie. Servaz spojrział na niego, udając, że nie rozumie.

– Z mojej pozycji jako osoby publicznej – uściślił polityk, rozdrażniony. – Klasa polityczna w tym kraju przeżywa agonię. Nie mamy już żadnej wiary w siebie, dzielimy się władzą od tak dawna, że nie mamy już żadnych nowych pomysłów, najmniejszej szansy na zmianę czegokolwiek. Komendancie, nie wstydzę się tego powiedzieć: jestem jedną ze wschodzących gwiazd tej partii. Wierzę w moje przeznaczenie. Za dwa lata, kiedy nasz prezydent przegra wybory, a przegra je, ja stanę na czele tej formacji i w dwa tysiące siedemnastym roku będę na pierwszej linii. Kiedy lewica będzie musiała się zmierzyć z bilansem swoich dokonań. Kiedy Europa, podobnie jak reszta świata, będzie sceną buntów i powstań. Ludzie tacy jak ja to przyszłość. Rozumie pan, o jaką stawkę chodzi? To coś o wiele istotniejszego niż pańskie śledztwo, śmierć Claire Diemar czy ratowanie mojego małżeństwa.

Servaz był oszołomiony: tego człowieka pożerała ambicja.

– I co w związku z tym?

– W związku z tym nie mogę sobie pozwolić na najmniejszy cień na moim obliczu, najdrobniejsze podejrzenie, rozumie pan? Ponieważ tego właśnie będą chcieli ludzie: nowych, nieskalanych postaci. Nietkniętych najmniejszą korupcją, wolnych od starych machinacji, nieskalanych żadną aferą. Musi pan prowadzić śledztwo z absolutną dyskrecją. Wie pan tak samo dobrze jak ja, że jeśli moje nazwisko wypłynie w toku śledztwa, nawet jako osoby niewinnej, zawsze znajdzie się ktoś, kto powie, że nie ma dymu bez ognia, ktoś, kto będzie podsyczał plotki, żeby mnie pograżyć... Ale porozmawiajmy o pańskiej karierze, żeby już nie mówić o mojej. Mogę panu pomóc, komendancie. Mam potężne znajomości. Na poziomie regionalnym i krajowym. Moje zdanie liczy się na najwyższych szczeblach. – Lacaze głęboko wciągnął powietrze. – Liczę na pańską dyskrecję. I na pańską lojalność. Niech pan nie popełni błędu: tak samo jak pan chcę, by znaleziono drania, który to zrobił, ale chcę również, by to śledztwo było prowadzone dyskretnie.

No proszę... Servaz poczuł, że narasta w nim gniew. Facet już zapomniał o swojej deklaracji: „Zrobię wszystko, żeby panu pomóc”.

Lacaze proponował mu ni mniej, ni więcej, tylko wymianę usług, wzajemne zobowiązanie. Policjant wstał.

– Niech się pan nie fatyguje. Nie brałem udziału w wyborach od prawie dwudziestu lat. Podejrzewam, że z tego powodu jestem niezbyt czuły na wszelkie argumenty wyborcze. Mam ostatnie pytanie.

Lacaze czekał.

– Czy poza tymi dorocznymi odwiedzinami w liceum w Marsac znał pan tę uczelnię?

– Oczywiście, byłem studentem Marsac. To jest... jak by to panu powiedzieć? Bardzo specyficzne miejsce. Zupełnie inne niż...

– Nie trzeba. Znam je.

Lacaze spojrział na niego zaskoczony. Servaz wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem.

Dochodząc do salonu, prawie wpadł na żonę posła. Stała jak słup i mierzyła Servaza absolutnie lodowatym spojrzeniem. Trzymała w dłoni szklankę whisky. Podniosła ją do ust, nie przestając wpatrywać się w niego wyzywająco; jej białe wargi były zaciśnięte. Zrozumiał przekaz: wiedziała – i również miała nadzieję, że Servaz potrafi działać dyskretnie. Ale z innych powodów.

– Ma pan krew na kołnierzyku, z tyłu – zauważyła lodowato.

– Proszę mi wybaczyć – wyjąkał. – Przepraszam, że niepokoiłem państwa o tak późnej porze.

– Ci, którzy twierdzą, że po śmierci nie ma niczego, są w błędzie – powiedziała, wpatrując się w dno swojej szklanki. – Jest wieczna cisza. Nie jest łatwo się z nią zmierzyć. – Podniosła na niego oczy. – Spieprzaj pan.

Wyszedł z korytarza, przeszedł przez salon ku przeszklonym drzwiom. Bez słowa odprowadzała go wzrokiem aż do tarasu. Czuł się zmiażdżony. Zmiażdżony ciężarem zalegającej nocy. Zmiażdżony własną przeszłością. Zmiażdżony tym, co przeżył tam, na dachu. Przystanął na chwilę pod betonowym zadaszaniem i rozejrzał się po czarnej, wrogiej okolicy. Z tyłu jego czaszki wciąż pulsował ból, jakby o czymś mu przypominając. Ale o czym? Servaz postawił kołnierz i smutno zanurzył się w ciemnościach.

NOSTALGIA

Pochyliła się nad muszlą klozetową, by zwymiotować. Wypłukała usta. Umyła zęby i znowu wypłukała. Po czym podniosła się i spojrzała na ducha, który patrzył na nią z lustra. Wzrokiem rzuciła mu wyzwanie. Robiła tak od miesięcy. Poczwała jednak, że duch już się jej nie boi, że z każdym dniem jest coraz silniejszy.

Oficjalnie zaczął się rozrastać dziesięć miesięcy temu w jej szyi, wiedziała jednak, że był tam już dużo wcześniej. Z początku w postaci pojedynczej małej komórki, samotnej i złowieszczej, która czekała na swój czas: na chwilę, kiedy zacznie się dzielić na tysiące, miliony i miliardy komórek. Ironia losu: im większa była liczba tych nieśmiertelnych komórek, tym ona sama była bliżej śmierci. I druga ironia: wróg był nie na zewnątrz, ale w środku. Narodził się z niej. Mechanizm molekularny, podział komórkowy, czynniki mutagenne, wtórne ogniska... Została specjalistką. Miała wrażenie, że fizycznie czuje mnożenie się komórek rakowych w swoim ciele, rakowe wojska, które przemieszczały się po autostradach jej układu krążenia, łącznikach, zjazdach, podrzędnych drogach naczyń włosowatych i gruczołów limfatycznych, okupowały jej płuca, trzustkę i wątrobę, wysyłając przerzuty aż do pachwiny i mózgu. Otworzyła apteczkę i sięgnęła po środek przeciwwymiotny. Napełniła wodą kubek do mycia zębów. Nie miała w żołądku nic poza alkoholem. Straciła już apetyt. Na początku tygodnia znowu brała chemię. Zanuciła *Feeling Good*. Wersja Muse albo Niny Simone. Im bliżej była śmierci, tym bardziej chciało jej się śpiewać. *Birds flying high you know how I feel/Sun in the sky you know how I feel*. Wychodząc z łazienki, usłyszała dobiegający z gabinetu głos męża. Paul zostawił niedomknięte drzwi. Boso podeszła bliżej. Był niespokojny. Rozmawiał przez telefon drżącym głosem.

– Mówię ci, mamy problem. Ten glina nie odpuści – Jest uparty.

Położyła dłoń na chustce, sprawdzając, czy peruka dobrze leży. Znowu mdłości. Nagle znalazła się bardzo daleko. Zobaczyła rodzące się i umierające planety, gwiazdy, które gasną na firmamencie, dziecko w łonie matki oczekujące narodzin, podczas gdy jakiś człowiek umiera, falę powstającą na otwartym oceanie i siebie samą w wieku piętnastu lat mknącą na desce surfingowej, sonatę Schuberta, którą grała na pianinie

jako dziewiętnastolatka oklaskiwana przez setkę słuchaczy, warany w jakiejś dżungli, lagunę, wulkan, plecak, podróż dookoła świata w towarzystwie dużo od niej starszego żonatego mężczyzny, którego wtedy kochała. Tego właśnie chciała. Przewinać film. Wrócić do punktu zerowego. Zacząć wszystko od nowa.

Znowu usłyszała spanikowany głos za drzwiami.

– Wiem, która jest godzina! Zadzwoń do niego i zapytaj, co się dzieje. Nie, nie jutro, teraz, w nocy, cholera! Niech wyciągnie prokuratora z łóżka, do kurwy nędzy!

Gdzie byłeś i co robiłeś w piątek wieczorem?

Uśmiechnęła się. Pieszczoch mediów się boi. Ma pietra. Kochała go. O tak. Bardziej niż któregokolwiek innego. Aż do dnia, kiedy zaczęła nim gardzić. Również bardziej niż którymkolwiek innym. Jej pogarda była wprost proporcjonalna do dawnej miłości. Czy to jeden ze skutków ubocznych choroby? Choroba powinna raczej uczynić ją bardziej wyrozumiałą, nieprawdaż? Bardziej... empatyczną, jak zwykli mówić ci ludzie, jej „przyjaciele” – dziennikarze, politycy, lekarze, dyrektorzy przedsiębiorstw, drobni dorobkiewiczze. Teraz sobie uświadamiała, w jakim otoczeniu się obraca: pedanci, bufoni, pozerzy z ustami pełnymi pięknych słów, dowcipnych powiedzonek, wytartych frazesów, którymi raczą się nawzajem. I jak bardzo brakuje jej prostych ludzi, których знаła w dzieciństwie. Ojca, matki – prostych rzemieślników. Ich sąsiadów, ich przyjaciół, skromnej dzielnicy, w której dorastała.

– W porządku. Zadzwonisz do mnie.

Jej uszu dobiegł trzask odkładanej słuchawki. Dyskretnie się usunęła. Słyszała, jak opowiadał gliniarzowi, że spędzili tamten wieczór razem, oglądając film na DVD. I że ona uwielbia amerykańskie komedie z lat pięćdziesiątych – jedyna prawda w tym steku kłamstw. *Rzymskie wakacje*. O mało nie parsknęła śmiechem. Wyobraziła sobie męża jako Gregory’ego Pecka, a siebie samą jako Audrey Hepburn, jadących na vespie po ulicach Rzymu. To prawda, dziesięć lat wcześniej byli do nich podobni. Idealne małżeństwo. Wszyscy ich podziwiali, zazdrościli, patrzyli na nich z zawiścią. Podczas każdego przyjęcia, na które szli razem, skupiali na sobie wszystkie spojrzenia – ona, młoda, błyskotliwa i pociągająca dziennikarka, i on, młody polityk, przed którym świetlana przyszłość stała otworem. Spojrzenia pełne zachwytu i zawiści. Świetlana przyszłość nadal stoi przed nim otworem...

Od wielu lat nie oglądali razem żadnego filmu.

Słyszała, jak skomlał – niczym ranne zwierzę – nad śmiercią tej dziewczki. Nie przejmował się gliniarzem, który siedział naprzeciwko. Aż tak bardzo ją kochał?

Gdzie byłeś w piątek?

Jedno było pewne: nie w domu. Podobnie jak we wszystkie inne wieczory.

Nie chciała wiedzieć. Było już wokół niej wystarczająco dużo ciemności. Nie miała nic przeciwko temu, by smażył się w piekle albo zdychał w więzieniu – ale po jej śmierci. Smutek, samotność i strach przed śmiercią miały w jej ustach smak gipsowego pyłu. A może to kolejna sztuczka ducha. Chciała umrzeć w spokoju.

Ziegler otworzyła szafę i wyjmowała z niej wszystkie ubrania, które kolejno kładła na łóżku.

Nieprzemakalna granatowo-modra kurtka z dwiema wstawkami z napisem ZANDARMERIA na plecach i klatce piersiowej. Niebieska bluza polarowa ze wzmocnieniami na łokciach i ramionach. Kilka koszulek polo z długim rękawem, dwie pary spodni, trzy proste spódnice, koszule, jeden czarny krawat ze spinką, kilka par czólenek i dwie pary gланów, rękawiczki, czapka z daszkiem i kapelusz, który wydał jej się równie idiotyczny jak przed wakacjami, kiedy miała go na głowie ostatni raz.

Jednak teraz nie nosiła już tych galowych strojów, które wkłada się na defiladę lub wizytację prefekta, ale ubierała się zwyczajnie. Wszystkie te mundury, które większość jej kolegów nosiła z taką dumą, dla niej były symbolami jej degradacji i niełaski.

Przez dwa lata ubierała się po cywilnemu jako pracownik wydziału śledczego. I oto teraz wracała do punktu wyjścia.

Marzyła o przeniesieniu do wielkiego miasta, szalonego, pełnego świateł, hałasu. Zamiast tego znalazła się w małej miejscinie. Wiedziała, że w takich z pozoru idyllicznych miejscowościach przestępczość, choć mniej widoczna, nie jest bynajmniej mniej wszechobecna. Za sprawą powszechnego dostępu do samochodów i nowych technologii bandytyzm szerzył się we wszystkich zakątkach kraju. Z jednej strony rozzuchwaleni przestępcy z miast nie wahali się zapuszczać w okolice, w których było mniej policji. Z drugiej, wystarczyła miejscina licząca kilkuset mieszkańców, by znaleźć w niej jednego czy dwóch bezmózgich kretyńców, którzy w swoich snach o potędze marzyli o dorównaniu w podłości

miejskim idolom. Dość powiedzieć, że zarówno w mieście, jak i na prowincji bezrobocie nie groziło adeptom dwóch profesji: prawnikom i glinom.

Ziegler doskonale wiedziała, że jeśli tylko pojawi się jakaś poważna sprawa, od razu zostanie ona powierzona innej jednostce śledczej, dysponującej większymi możliwościami niż jej skromna brygada.

Upewniła się, że wszystkie stroje są czyste i wyprasowane, po czym z powrotem powiesiła je w szafie, starając się jak najszybciej o nich zapomnieć. Nazajutrz rano kończyły się jej wakacje. Od tej chwili żadnego negatywnego myślenia.

Wyszła z sypialni, przeszła przez miniaturowy salon służbowego mieszkania, chwytając po drodze leżącą na ławie gazetę. Następnie usiadła przy małym biurku pod oknem i włączyła komputer.

Znalazła artykuł. Na stronie internetowej gazety nie było więcej informacji niż w papierowym wydaniu. Był natomiast link odsyłający do starszego artykułu, który ukazał się podczas jej pobytu na greckich wyspach. Jego tytuł: *MORDERSTWO MŁODEJ WYKŁADOWCZYNI W MARSAC. Policjant, który rozwiązał sprawę z Saint-Martin, prowadzi śledztwo.* Poczuli, że jej puls przyspieszył.

– Na boga, czy pan wie, która jest godzina? – powiedział minister, plując do słuchawki i wyciągając drugą rękę w kierunku nocnej lampki.

Rzucił okiem na żonę, która spała głęboko na środku ich wielkiego łóża. Na dzwonek telefonu nawet się nie przebudziła. Mężczyzna po drugiej stronie słuchawki nie odpowiedział. Ostatecznie był przewodniczącym zespołu parlamentarnego w Zgromadzeniu Narodowym i nie miał w zwyczaju budzić ludzi z powodu drobiazgów.

– Jak się pan domyśla, skoro dzwonię do pana o tej porze, chodzi o sprawę najwyższej wagi.

Minister podniósł się do pozycji siedzącej.

– Co się dzieje? Jakiś zamach terrorystyczny? Ktoś nie żyje?

– Nie, nie – odpowiedział głos. – Nic z tych rzeczy. Niemniej jednak w mojej opinii to nie mogło czekać do jutra.

Minister miał ochotę powiedzieć, że ich opinie są niemal tak liczne i tak od siebie różne, jak to, co obydwaj mają między nogami, powstrzymał się jednak, ponieważ spieszo mu było, by dowiedzieć się więcej.

– O co chodzi?

Szef zespołu parlamentarnego wyjaśnił mu sprawę. Minister zmarszczył brwi i spuściwszy białe stopy na podłogę, wsunął je w pantofle. Następnie wyszedł z sypialni służbowego mieszkania i udał się do gabinetu.

– Mówi pan, że on był kochankiem tej kobiety? To plotka czy fakt?

– Przyznał się temu policjantowi – odpowiedział rozmówca.

– Kurwa! Jest głupszy, niż myślałem. A nie mówił panu przypadkiem, czy ją zabił? – zakpił minister.

– W mojej opinii nie. – Polityk był całkiem poważny. – Nie sądzę, by Paul był do czegoś takiego zdolny. Jeśli chce pan znać moje zdanie, to słabeusz, który chce uchodzić za silnego.

Przewodniczący zespołu parlamentarnego nie był zły z powodu tego wyskoku, który jednocześnie uniewinniał i upokarzał jego rywala. Był świadom ambicji Paula Lacaze'a. Wiedział, że młody poseł pożąda jego stanowiska. Nie cierpiał tego wolnego strzelca, tego wściekłego szczeniaka, który chciał w polityce grać rolę rycerza na białym koniu. Z białym jest ten problem, pomyślał, że się brudzi. W gruncie *rzeczy* nie był niezadowolony z tego, co się stało. Ale minister po drugiej stronie westchnął.

– Radzę panu usunąć ze swojego słownika wyrazy takie jak „zdanie” „sądzę” czy „opinia” – rzucił oschle. – Wyborcy nie lubią opinii, ale działania i fakty.

Szef zespołu parlamentarnego miał ochotę odbić piłeczkę, ale się pohamował. Był na tyle wyrobionym politykiem, że wiedział, kiedy lepiej siedzieć cicho.

– A ten glina, co o nim wiemy?

– To ten, który półtora roku temu uwalił Erica Lombarda.

Po drugiej stronie zapanowało milczenie. Minister się zastanawiał. Spojrzał na zegarek. Było dwanaście minut po północy.

– Dzwonię do Ministerstwa Sprawiedliwości – postanowił. – Trzeba za wszelką cenę utrzymać kontrolę nad tą sprawą, zanim wybuchnie nam przed nosem. A pan zadzwoni do Lacaze'a. Niech mu pan powie, że chcę go widzieć. Jutro. Mam gdzieś jego plany. Niech sobie radzi.

Nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę. Odszukał numer telefonu kobiety, która stała na czele Ministerstwa Sprawiedliwości.

Powinna szybko zasięgnąć informacji na temat sędziów, którzy zajmują się sprawą. Przez chwilę żałował czasów, kiedy w tym kraju sędziowie byli pod pantoflem władzy, kiedy można było zdusić każdą aferę, kiedy życie pierwszego gliniarza Francji składało się tylko z nielegalnych podsłuchów, kompromitujących raportów na temat jego rywali i brudnych sztuczek. Bardzo by chciał powrotu do tamtych czasów, ale było to już niemożliwe. Obecnie mali sędziowie wszędzie wpychali swoje brudne ryjki i na każdym kroku trzeba było się mieć na baczności.

Servaz spojrział na zegarek na desce rozdzielczej. Dwadzieścia minut po północy. Może jeszcze nie jest za późno. Czy wolno mu wpadać ot tak, bez zapowiedzi? Znowu poczuł w nozdrzach zapach jej perfum, tak jak w sobotę wieczorem, kiedy go pocałowała. Zdecydował, że mu wolno. Zamiast wracać do Marsac, zostawił za plecami dzielnicę rezydencji i kontynuował drogę przez las, po czym na najbliższym skrzyżowaniu wśród pól skręcił w lewo. Szosa prowadziła prosto nad jezioro. Przejechał odcinek wzdłuż lasu i wziął jeszcze jeden zakręt. Pierwszy dom na północnym brzegu należał do Marianne. Za drzewami, na parterze domu Servaz dostrzegł światło. Marianne nie spała. Podjechał pod bramę i wysiadł z auta. Nacisnął na guzik domofonu.

– To ja – powiedział po prostu, gdy usłyszał ciche buczenie prądu w urządzeniu. Uświadomił sobie, że jego serce bije trochę zbyt mocno.

Zamiast odpowiedzi usłyszał kliknięcie i brama powoli się rozsunęła. Servaz wrócił za kierownicę. Powoli jechał po żwirku. Światła samochodu wydobywały z ciemności niskie gałęzie świerków. Nikt nie przyglądał mu się z okna, ale drzwi wejściowe na ganku były otwarte.

Zamknął je za sobą i ruszył tam, skąd dobiegał dźwięk telewizora. Siedziała na piaskowej kanapie wśród poduszek, z kolanami podciągniętymi pod siebie i lampką wina w ręku. Oglądała jakiś program literacki. Uniosła rękę z kieliszkiem w jego kierunku.

– Cannonau di Sardegna – powiedziała. – Chcesz?

Nie wyglądała na zaskoczoną tak późną wizytą. Servaz nigdy nie słyszał o tym winie. Marianne miała na sobie krótką satynową piżamę, której chabrowy kolor podkreślał blond jej włosów, jasną barwę oczu i opaleniznę na nogach. Nie mógł nie patrzeć.

– Chętnie – odparł.

Wstała zwinnie, wyjęła z barku duży kieliszek, postawiła go na ławie i do wysokości jednej trzeciej wypełniła winem. Było dobre, ale jak na jego gust trochę zbyt wytrawne. Musiał jednak przyznać, że nie jest specjalistą. Marianne wyciszyła telewizor, zostawiając włączony obraz. Syndrom samotnej osoby, pomyślał. Telewizor, nawet z wyłączonym głosem, to już jakaś obecność. Wyglądała na wyczerpaną i smutną, miała nieumalowane, podkrążone oczy – taka jednak wydała się Servazowi jeszcze bardziej pociągająca. Aodhágán miał rację. Jak kiedyś, tak i dziś nie miała sobie równej. Mogłaby wpaść na jakieś przyjęcie bez makijażu, nieuczesana i ubrana tylko w tę piżamę, a i tak przyćmiłaby wszystkie inne kobiety pomimo ich biżuterii, sukienek szytych na miarę i uczesania prosto od fryzjera.

Usiadła z powrotem. Servaz opadł na kanapę obok niej.

– Co cię sprowadza? – zapytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się do niego i podskoczyła.

– O Boże, Martin, masz pełno krwi za kołnierzem i we włosach!

Pochyliła się i poczuł, jak delikatnie rozgarnia jego włosy palcami.

– Masz paskudną ranę. Powinieneś iść do lekarza! Jak to się stało?

Wypił łyk wina i opowiedział jej. Wiedział, że jeszcze jeden czy dwa łyki takie jak ten, a zacznie mu się kręcić w głowie. Rzucił okiem na etykietę. Aż czternaście procent. Powiedział jej o nagraniach z monitoringu banku, o drugiej postaci, o hałasach, o pościgu na dach.

– Czy to znaczy... czy to znaczy, że osoba sfilmowana przez kamerę to według ciebie prawdziwy sprawca?

Wyczuł nadzieję w jej głosie. Wielką, nadmierną.

– To możliwe – odpowiedział ostrożnie.

Nic nie dodała, ale zgadł, że intensywnie rozmyśla, nie przestając mechanicznie rozgarniać jego włosów końcówkami palców.

– Tego nie można tak zostawić. Trzeba cię zszyć.

– Marianne...

Znowu wstała i wyszła z pokoju. Wróciła pięć minut później z wata, alkoholem i opakowaniem pasków Steri-Strip.

– Nie da rady. Chyba będziesz musiała mi ogolić czaszkę.

– Czemu nie?

Zrozumiał, że dobrze jej zrobi, jeśli zajmie się czymś przez chwilę i nie będzie myślała o Hugonie. Poczłł pieczenie alkoholu, gdy przemywała ranę, a kiedy przycisnęła trochę zbyt mocno, podskoczył z bólu. Wyjęła z pudełka jeden pasek, zdjęła warstwę ochronną i spróbowała go przykleić, ale niemal od razu zrezygnowała.

– Masz rację, trzeba cię ogolić.

– W żadnym wypadku.

– Zaczekaj. Pozwól, że zobaczę.

Znowu się pochyliła, jej palce wciąż były zanurzone w jego włosach. Była blisko. Zbyt blisko... Uświadomił sobie, jak cienka jest satynowa piżama, która dzieli go od tego ciała. Zdał sobie sprawę z obecności gorącej, opalonej skóry pod spodem. Z jej zbyt dużych – podobnie jak u niego – ust. Kiedyś się z tego śmiali. Mówili sobie, że ich usta odnalazły się nawzajem. Palce Marianne pieściły jego kark. Odwrócił głowę.

Spojrzał jej w oczy i dostrzegł ich blask.

Wiedział, że to nie jest dobry moment, że to ostatnia rzecz, jaką powinien zrobić w tej chwili. Przeszłość to przeszłość. Już nie wróci. Już nie będzie tak jak dawniej. Nie taka przeszłość jak ich. To niemożliwe. Zyskaliby na tym tylko tyle, że musieliby spakować najpiękniejsze wspomnienia do walizki, pozbawić je tego wielkiego ładunku magii, jaki zachowały aż dotąd. Jeszcze był czas, by wcisnąć „pauzę”: i milion dobrych powodów, żeby to zrobić.

W głębi jego wnętrzości wezbrała jednak nagła fala. Palce Marianne wśliznęły się w jego włosy jak woda i przez kilka sekund widział tylko jej twarz i szeroko otwarte oczy, lśniące jak jezioro w blasku księżyca. Pocałowała go w kącik ust i poczuł, jak oplata go ramionami. Nagle cisza wydała mu się gęstsza. Pocałowali się. Spojrzeli na siebie. Znowu się pocałowali. Jakby musieli się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę i że właśnie tego pragną. Instynktownie wrócili do dawnych gestów, które były ich sposobem na wzajemne oddanie: głębokie pocałunki, całkowite zawierzenie, w którym bez reszty się zatracali, zamknięte oczy: w przeciwieństwie do Alexandry, która jakby zatrzymywała się na progu, z na wpół otwartymi ustami, z tą rezerwą, która zdradzała potrzebę kontroli nawet podczas uprawiania seksu. Nawet gdyby był niewidomy, rozpoznałby ten język, te usta, te pocałunki. Mieli rację, gdy mówili, że ich usta się odnalazły. Był z innymi kobietami – po Marianne i nawet po Alexandrze – ale z żadną nie zaznał takiej jedności, takiej komplementarności. Tylko ona całowała go w ten sposób.

Rozebrał ją pośpiesznie i rozpoznał włosy między jej udami. Długa szyję, szerokie plecy, brodawki piersi, znamię. Te same były także smukłe kształty i szczupłe ramiona, a także solidniej zbudowana dolna część ciała: obfite, rozszerzające się biodra, atletyczne nogi i taki sam brzuch, zadziwiająco – bardziej niż u jej braci – umięśniony, który musiała zawdzięczać genom. Rozpoznał też charakterystycznie wyginającą się i powracającą miednicę i obfitą wilgoć, którą wyczuł palcami. Wszystko to było mu tak dobrze znane, że uświadomił sobie, iż wspomnienie tych wszystkich doznań drzemało gdzieś zapisane w zwojach gadziej części jego mózgu i tylko czekało na obudzenie. Miał wrażenie, jakby znowu znalazł się u siebie.

Irène nie chciało się spać. Wróciła do swojego nocnego rytuału, który nie pozwalał jej spać. Do swojej pasji, swojego polowania. Uaktualnianie informacji. Przeglądanie zapisków w laptopie MacBook Air po miesiącu wakacji, w trakcie których na życzenie Zuzki była odłączona od sieci.

O tej obsesji świadczyły zdjęcia i wycinki z prasy przypięte szpilkami do ścian jej biurowego kącika. Gdyby członkowie paryskiej komórki, z którą kontaktował się Servaz, włamali się do komputera Irène Ziegler, z pewnością byliby zdumieni ilością informacji, jakie zdołała zgromadzić w ciągu kilku miesięcy na jeden, jedyny temat: Juliana Aloisa Hirtmanna. I być może uznaliby, że mogłaby należeć do ich zespołu, ponieważ najwyraźniej Ziegler przeczytała wiele o Szwajcarze. W rzeczywistości przeczytała wszystko.

Funkcjonariuszka żandarmerii znalazła w archiwach szwajcarskiej prasy niemal niewyczerpaną kopalnię informacji o dzieciństwie Hirtmanna, o jego studiach na Uniwersytecie Genewskim, karierze prokuratora, trzyletnim pobycie w Międzynarodowym Trybunale Karnym w Hadze. Pewna helwecka reporterka długo rozmawiała z bliższymi i dalszymi krewnymi, sąsiadami i mieszkańcami Hermance, miasteczka nad brzegiem Jeziora Genewskiego, gdzie Hirtmann dorastał. Dzieciństwo seryjnego mordercy zawsze zawiera pewne zapowiedzi przyszłości, wiedzą o tym wszyscy specjaliści: nieśmiałość, samotność, niski stopień socjalizacji, patologiczne upodobania, zniknięcia zwierząt w sąsiedztwie... Klasyka gatunku. Dziennikarka dotarła w ten sposób do pewnego zdarzenia, które zwróciło uwagę śledczych. W wieku dziesięciu lat Hirtmann stracił młodszego o dwa lata brata Abła w nie całkiem wyjaśnionych okolicznościach. Rzecz zdarzyła się w środku lata podczas

wakacji, które Hirtmann i jego braciszek spędzali u dziadków. Rodzice chłopców właśnie się rozwiedli.

Dziadkowie mieli farmę z typowym dla Szwajcarii dużym budynkiem, z gołębnikiem, krowami i gęśmi. Rozległa panorama była piękna – błękit na górze i błękit na dole, gdyż posiadłość leżała nad jeziorem Thun w Oberlandzie Berneńskim. Za domem pasmo lodowców, stojących „niczym talerze na suszarce”, jak pisał Charles Ferdinand Ramuz. Widok jak z obrazka. Według dziennikarki liczni świadkowie mówili o samotnym chłopcu trzymającym się na dystans od innych dzieci, który bawił się jedynie ze swoim braciszkiem. Będąc u dziadków, Julian i Abel mieli w zwyczaju jeździć na długie rowerowe wycieczki – czasem na całe popołudnie – w okolice jeziora. Siadali w bujnej trawie i obserwowali, jak w dole, poniżej łagodnej i harmonijnej wypukłości pagórka, suną po jeziorze białe statki; słuchali, jak dzwony w dolinie wybijają wolno płynące godziny – ich wesołe melodie fruwały w niebo jak latawce unoszone prądami powietrza.

Tamtego wieczoru Julian wrócił sam. Zalewając się łzami, wyjaśnił, że on i brat poznali mężczyznę o imieniu Sebald. Jak twierdził, spotkali go na początku wakacji, a potem codziennie widywali się z nim po kryjomu. Sebald – dorosły mężczyzna w wieku około czterdziestu lat – uczył ich „wielu rzeczy”. Jednak tego dnia był dziwny i rozdrażniony. Kiedy Julian mu powiedział, że Abel ma w kieszeni dwa pierniczki Basler Lackerli, Sebald chciał skosztować. „Wydaje mi się, że Abel to ukochany synek mamusi, nie mam racji, Julianie? I że ty jesteś mniej kochany?” – powiedział. Młodszy brat jednak uparcie odmawiał podzielenia się z Sebaldem ciasteczkami. „No i co zrobimy?” – zapytał mężczyzna słodkim głosem, od którego obaj chłopcy zadrżeli. I kiedy Abel, który zaczynał się już bać, okazał chęć powrotu, Sebald nakazał Julianowi przywiązać go do drzewa. Chłopak, chcąc się przypodobać dorosłemu, którego również się bał, posłuchał pomimo błagań braciszka. Następnie mężczyzna kazał mu napchać ziemi i liści do ust Abela, aby go ukarać, podczas gdy on wraz z Julianem mieli jeść ciastka na oczach małego. Właśnie w tej chwili Julian uciekł, zostawiając braciszka w rękach dorosłego.

Natychmiast po usłyszeniu relacji Juliana dziadkowie i sąsiedzi popędzili w tamto miejsce, ale po Ablu i Sebaldzie nie było śladu. W końcu tydzień później wody jeziora wyrzuciły ciało chłopca na brzeg. Sekcja zwłok wykazała, że przytrzymał go głowę pod wodą. Co do tajemniczego Sebaldy, liczne dochodzenia prowadzone przez szwajcarską policję nie naprowadziły na żaden jego ślad ani nawet nie pozwoliły na potwierdzenie jego istnienia.

Podczas studiów na uniwersytecie – jak donosiło kilka czasopism kryminalnych – Hirtmann spotykał się z kilkunastoma studentkami, ale miał tylko jeden poważny związek: z kobietą, która później miała zostać jego żoną. Jego byłe dziewczyny i koledzy z wydziału prawa byli nagabywani przez prasę, a ich zeznania różniły się w wielu punktach. Niektórzy opisywali go jako zupełnie normalnego studenta. Inni wspominali o jego fascynacji śmiercią i grozą. Według tych ostatnich Hirtmann często żałował, że zamiast na prawo nie poszedł na medycynę, i wykazywał się zaskakującą znajomością anatomii. W wywiadzie zamieszczonym w „La Tribune de Genève” studentka o imieniu Gilliane mówiła: „Był interesujący i zabawny, wcale nie jakiś niepokojący czy groźny. Przeciwnie, to był ktoś, kto potrafi manipulować ludźmi, kiedy z nimi rozmawia, omamić ich. Fascynujący był też ten jego mroczny styl – ubiór, upodobania muzyczne, lektury, sposób patrzenia, rozumie pan...”. Inny dziennikarz zestawiał jego rozmaite podróże do krajów sąsiadujących ze Szwajcarią z pewną liczbą zaginięć młodych kobiet. Kilka artykułów mówiło o pobycie Hirtmanna w Międzynarodowym Trybunale Karnym w Hadze, gdzie miał orzekać między innymi w sprawach gwałtów, tortur i morderstw popełnianych przez funkcjonariuszy sił zbrojnych – Błękitnych Hełmów.

Ziegler sporządziła niekompletną listę możliwych ofiar byłego prokuratora w Szwajcarii, ale także w Dolomitach, w Alpach francuskich, w Bawarii i w Austrii, oraz odnotowała pewną liczbę podejrzanych zaginięć w Holandii, w czasie gdy przebywał tam Hirtmann. W tym zniknięcie mężczyzny około trzydziestki, dociekliwego dziennikarza, który, jak się zdaje, wywęszył coś na długo przed innymi. Niewątpliwie obok kochanka pani Hirtmann była to jedyna ofiara płci męskiej. Na liście znalazła się też amerykańska turystka, która zaginęła na Bermudach w czasie, kiedy Hirtmann spędzał wakacje kilka kilometrów od jej miejsca zamieszkania – mimo że władze doszły do wniosku, że kobieta padła ofiarą rekinów. Prasa i policja przypisywały Szwajcarowi czterdzieści przypadków zaginięć w czasie dwudziestu pięciu lat. Według rachunków Ziegler liczba ofiar Hirtmanna była raczej bliska setki. Ani jednej z nich nie odnaleziono. Jeśli była jakaś dziedzina, w której mógł on uchodzić za mistrza, było nią właśnie pozbywanie się ciał.

Irène odchyliła się na oparcie fotela. Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę uśpionego bloku. Od czasu, kiedy Szwajcar uciekł z Instytutu Wargniera, minęło osiemnaście miesięcy. Czy przez cały ten czas zabijał? Czy kiedykolwiek będzie o tym wiadomo?

Mroczne oblicze Juliana Aloisa Hirtmanna ujrzało światło dzienne, kiedy zamordował swoją żonę i jej kochankę, sędziego Adalberta Bergera, kolegę z sądu w Genewie, w swoim domu na brzegu Jeziora Genewskiego w nocy 21 czerwca 2004 roku. Hirtmann, który często organizował w swojej willi orgie, na których bywała genewska śmietanka, tego wieczoru zaprosił na kolację młodego sędziego. Mieli po dżentelmeńsku ustalić szczegóły odejścia żony Hirtmanna Alexii, która chciała rozwodu. Po skończonej kolacji, podczas gdy w tle rozbrzmiewały *Kindertotenlieder* Mahlera, grożąc kochankom bronią, zmusił ich, by zeszli do piwnicy i rozebrali się do naga, po czym oblawszy ich szampanem, poraził oboje prądem za pomocą specjalnie przygotowanego elektrycznego wibratora. Cała sprawa z powodzeniem mogłaby zostać uznana za nieszczęśliwy wypadek, zważywszy na styl życia małżeństwa, gdyby przy okazji nie uruchomił się alarm i gdyby policja nie dotarła na miejsce, zanim Alexia wyzionęła ducha.

Śledztwo, które nastąpiło potem, doprowadziło do odkrycia w skrytce bankowej kilku segregatorów pełnych prasowych wycinków na temat zaginięć kilkudziesięciu młodych kobiet w pięciu krajach ościennych, Hirtmann oświadczył, iż interesował się tymi zniknięciami z powodu swojego skrzywienia zawodowego. Kiedy okazało się, że jego linia obrony jest nie do utrzymania, zaczął manipulować psychiatrami. Jak większość osób jego pokroju doskonale wiedział, jakiego rodzaju odpowiedzi oczekują psychiatrzy i psychologowie od osobnika takiego jak on. Wielu zatwardziałych zbrodniarzy stało się mistrzami w odwracaniu działania systemu na swoją korzyść. Szwajcar wspominał o zazdrości, jaką przeżywał, kiedy odkrył, że jego rodzice bardziej kochają młodszego syna niż jego, o pogardzie, z jaką odnosiła się do niego matka, alkoholizmie ojca i stosowanej przez niego przemocy, a nawet o niestosownych seksualnych gestach ze strony matki – i niewątpliwie korzystał przy tym ze swojego wybitnego talentu do manipulowania ludźmi, o którym wspominała studentka w wywiadzie.

Julian Hirtmann przebywał w kilku szwajcarskich szpitalach psychiatrycznych, zanim znalazł się w Instytucie Wargniera. Tam, gdzie spotkali się z nim Servaz i Irène. Tam, skąd uciekł przed dwoma laty dzięki pomocy kogoś z personelu.

Ziegler wróciła do dwóch artykułów prasowych: tego, który nosił tytuł *Hirtmann pisze do policji*, i drugiego na temat śledztwa Martina w Marsac. Kto stał za ucieczką Szwajcara? Rozmyślała o stanie ducha, w jakim musiał teraz być Martin. Martwiła się o niego. Po śledztwie z zimy 2008 roku długo rozmawiali przez telefon i w trakcie górskich wycieczek i

Servaz wreszcie zwierzył jej się z traumy przeżytej w dzieciństwie. Potraktowała to jako oznakę wielkiego zaufania, ponieważ była pewna, że nie rozmawiał o tym z nikim od wielu lat. Tamtego dnia postanowiła, że będzie nad nim czuwać, na swój sposób, nawet w tajemnicy przed nim – jak siostra, jak przyjaciółka...

Westchnęła. W ciągu ostatnich miesięcy powstrzymywała się od zaglądania do komputera Martina. Ostatni raz włamała się do niego wtedy, kiedy dykcja żandarmerii powierzyła jej sprawę do rozpatrzenia komisji śledczej. W tamtych czasach wykazywała się zdolnością włamywania się do cudzych komputerów, którą Ministerstwo Obrony z pewnością uznałoby za interesującą, gdyby tylko o niej wiedziało. W ten sposób przeczytała raport, jaki Martin skierował w jej sprawie do organu dyscyplinarnego. Był to bardzo przychylny raport, w którym komendant podkreślał jej wkład w śledztwo i ryzyko poniesione w celu ujęcia winnego i zachęcał komisję do okazania łagodności. Jako że nie miała prawa znać tekstu, nie mogła podziękować Servazowi. Następnie zapoznała się z treścią e-maili – rzecz jasna, znacznie mniej przychylnych – jakie wymieniało między sobą kilku wyższych oficerów żandarmerii.

Wielokrotnie czuła pokusę, by w ten sposób zasięgać informacji na temat Martina. Wiedziała, jak dostać się do obu jego komputerów – w siedzibie policji kryminalnej i w domu, ale postanowiła tego nie robić. Nie tylko z lojalności; także dlatego, że nie miała ochoty zdobywać wiedzy, której posiadania później by żałowała.

Każdy ma swoje tajemnice, każdy ma coś do ukrycia i nikt nie jest tylko tym, na kogo wygląda.

Tak samo jak ona. Chciała zachować w sobie taki obraz Martina, jaki on sam w niej zostawił: mężczyzny, który mógłby być dla niej atrakcyjny, gdyby nie pociągały jej kobiety, pełnego sprzeczności, nawiedzanego przez widma własnej przeszłości, jednocześnie pełnego gniewu i czułości, mężczyzny, którego każdy gest i każde słowo kazały myśleć, że jest świadomy faktu, iż na powagę człowieczeństwa składają się pojedyncze czyny wszystkich ludzi. Nigdy nie poznała bardziej melancholijnego faceta. I bardziej prawego. Czasem Ziegler łapała się na marzeniu, że Martin znajduje wreszcie kogoś, przy kim zaznaje beztroski i spokoju. Ale wiedziała, że coś takiego nigdy nie nastąpi.

Udręczony – to słowo narzucało jej się, gdy o nim myślała.

Szybko wystukała kombinację klawiszy i tym razem się nie cofnęła. Robię to dla ciebie. Kiedy już znalazła się w systemie, poruszała się w nim

sprawnie jak włamywacz w ciemnym mieszkaniu. Przejrzała pocztę elektroniczną i znalazła ją: niedawno otrzymaną wiadomość, tę, o której pisali w gazecie. Martin przekazał ją do Paryża, do komórki zajmującej się tropieniem Szwajcara.

Od: *theodor.adorno@hotmail.com*

Do: *martin.servaz@infomail.fr*

Data: *12 czerwca*

Temat: *Pozdrowienia*

Przypomina Pan sobie IV Symfonię, pierwsza część, Komendancie? Bedächtig... Nichtteilen... Rechtgemächlich... Kawalek, który leciał, kiedy wszedł Pan do mojego „pokoju” owego pamiętnego grudniowego dnia? Już dawno myślałem, żeby do Pana napisać. Czy to Pana dziwi? Uwierzy mi Pan bez trudu, jeśli napiszę, że w ostatnim czasie byłem bardzo zajęty. Wolność, podobnie jak zdrowie, naprawdę docenia się dopiero wtedy, gdy było się ich przez dłuższy czas pozbawionym.

Ale nie będę się już Panu naprzykrzał, Martin. (Pozwoli Pan, że będę Pana w ten sposób nazywał?) Ja sam nie cierpię natrętów. Wkrótce przekażę Panu pewne informacje. Nie sądzę, że się Panu spodobają – jestem jednak pewien, że uznaje Pan za interesujące.

Z wyrazami przyjaźni

JH

Przeczytała – raz i drugi – aż nasiąkła tymi słowami. Zacisnęła powieki i skoncentrowała się. Otworzyła oczy, przebiegła wzrokiem treść e-maili, które Martin wymienił z paryską komórką, i podskoczyła: Hirtmann mógł być widziany na motocyklu na autostradzie Paryż-Tuluza. Ta wiadomość miała załącznik i Ziegler natychmiast go otworzyła. Poruszone, trochę zamazane zdjęcie z kamery monitoringu w punkcie opłat... Wysoki mężczyzna w kasku na motocyklu Suzuki. Pochyliła się, żeby zapłacić, wyciągając rękę w rękawiczce w stronę okienka; nie widać twarzy ukrytej pod kaskiem. I inne zdjęcie: wysoki blondyn z bródką, w okularach słonecznych na nosie, płacący przy kasie w supermarkecie. Identyczna

bluza, z orłem naszytym na plecach i małą flagą amerykańską na prawym rękawie. Ziegler poczuła, że dostaje gęsiej skórki. Hirtmann czy nie? W ułożeniu ciała, w kształcie twarzy było coś znajomego... Nie ufała jednak gorącemu pragnieniu, by go rozpoznać, gdyż mogło ono prowadzić do wyciągnięcia zbyt pospiesznych wniosków.

Hirtmann w Tuluzie...

Oczyrna duszy ujrzała siebie i Martina w tej celi znajdującej się w sektorze A – był to sektor o najwyższym poziomie zabezpieczeń, w którym zamknięci byli najgroźniejsi pensjonariusze Instytutu Wargniera. Brała udział w spotkaniu, przynajmniej na początku, do czasu, aż Hirtmann poprosił o możliwość rozmowy z Martinem sam na sam. Tego dnia coś się wydarzyło. Czowała to. To się stało bez uprzedzenia, ale wszyscy to wyczuli. Jakby między seryjnym mordercą i policjantem nastąpiło jakieś połączenie, jak wtedy, gdy dwaj mistrzowie szachowi albo wielcy pisarze zwęszają się i rozpoznają. Co takiego sobie powiedzieli, kiedy zostali sami? Martin nie był w tej kwestii zbyt rozmowny. Irène przypomniała sobie, że kiedy tylko weszli do celi o powierzchni dwunastu metrów kwadratowych, rozmowa dwóch mężczyzn natychmiast zaczęła krążyć wokół muzyki, która leciała z odtwarzacza: to był Mahler, jeśli wierzyć Martinowi, bo Ziegler nie potrafiła odróżnić Mozarta od Beethovena. Przypominało to pojedynkę między dwoma szanującymi się nawzajem pięściarzami wagi ciężkiej. Wszyscy otaczający ring mieli świadomość własnej małości i tego, że są tylko widzami.

Wkrótce przekażę Panu pewne informacje. Nie sądzę, że się Panu spodobają – jestem jednak pewien, że uznaje Pan za interesujące.

Przebiegł ją dreszcz. Coś się działo. Coś bardzo nieprzyjemnego. Ziegler wyłączyła komputer i wstała. Wróciła do sypialni i rozebrała się – ale tryby w jej mózgu nadal intensywnie pracowały.

Inferludium 2

ROZWIĄZANIE

Miała dzieciństwo.

Miała życie utkane z radosnych i smutnych wydarzeń, wypełnione życie, które przypominało pokaz łyżwiarstwa z figurami obowiązkowymi i dowolnymi. Najlepsza była w tych dowolnych. Życie podobne do milionów innych.

Jej pamięć, jak każda pamięć, przypominała album pełen pożółkłych fotografii albo ciąg krótkich kawałków przeskakujących filmów nagranych na taśmie Super 8, zapakowanych do plastikowych pudełek.

Śliczna mała jasnowłosa dziewczynka, która buduje zamki z piasku na jakiejś plaży. Prawie kilkunastolatka – ładniejsza i bardziej intrygująca niż inne dziewczęta w jej wieku – jej loki, łagodne spojrzenie i przedwcześnie rozwinięte kobiece kształty przyprawiały o wewnętrzny zamęt niektórych dorosłych panów z otoczenia jej rodziców; mężczyźni ci musieli dokonywać prawdziwych wysiłków, by nie zwracać uwagi na jej opalone kolana, biodra i świetlistą, aksamitną skórę. Sprytna, inteligentna dziewczyna – duma swojego ojca. Studentka, która spotkała miłość swojego życia, młodego, błyskotliwego i smutnego mężczyznę o pełnych ustach i zniewalającym uśmiechu. A potem zdała sobie sprawę, że mężczyzna jej życia dźwiga ciężar, który nigdy nie przestanie go przygniatać, i nawet ona była bezsilna wobec nawiedzających go upiorów.

Po czym go zdradziła.

Nie znajdowała lepszego słowa. Chciało jej się płakać. Zdrada. Nie ma nic bardziej bolesnego, bardziej ponurego, nic ohydniejszego od tego słowa. Tak dla zdradzonego, jak i dla zdrajcy. Albo – w tym wypadku – zdrajczynie... Zwinęła się w kłębek na twardej, gołej ziemi swojego ciemnego grobowca. Czyżby to była jej pokuta? Czy to sam Bóg karał ją za pośrednictwem tego szaleńca na piętrze? Czy te miesiące piekła były zapłatą za jej zdradę? Czy zasłużyła na to, co ją spotkało? Czy ktokolwiek na tej ziemi zasługuje na to, co ona przeżywa? Nie wymierzyłaby takiej kary najgorszemu wrogowi...

Pomyślała o mężczyźnie, który żył tuż nad nią; tak, żył, w przeciwieństwie do niej. Wychodził do świata żywych i wracał stamtąd, przetrzymując ją w przedsionku śmierci. Nagle przeniknęło ją lodowate zimno. A jeśli jemu ta zabawa się nie nudzi? Jeśli nie znudzi mu się nigdy? Jak długo to może trwać? Miesiące? Lata? Dziesięciolecia? DO JEGO ŚMIERCI? I ile czasu jeszcze upłynie, nim ona oszaleje, stanie się kompletnie stukniętą, obłąkaną wariatką? Rozpoznawała już u siebie zwiastuny obłędu. Czasami bez powodu wybuchała śmiechem, którego nie potrafiła opanować. Albo też powtarzała setki razy: „Niebieskie oczy do nieba, szare oczy do raj, zielone oczy do piekła, czarne oczy do czyśćca”. Chwilami, musiała przyznać, całkowicie odpływała. A może to rzeczywistość zniknęła za ekranem fantazji, mentalnych, delirycznych projekcji w standardzie CinemaScope. Witamy na sobotnim pokazie specjalnym. Emocje i łzy gwarantowane. Prosimy przygotować chusteczki. W porównaniu ze mną Fellini i Spielberg są żałośnie pozbawieni wyobraźni.

Umrze jako wariatka.

Ta oczywistość ją przeraziła. I myśl, że to się nigdy nie skończy. Nigdy się nie zatrzyma. Że będzie się starzeć w tym grobie, a on tymczasem będzie się starzał tam, na górze. Byli niemal rówieśnikami. Nie! Wszystko, tylko nie to! Miała wrażenie, że się dusi, rozsypuje, uczucie, jakby się zapadała. Nie, nie, nie, tylko nie to! I nagle stała się kompletnie zimna w środku. Właśnie zobaczyła wyjście – tutaj, na wprost przed sobą. Nie miała wyboru. Żywa nigdy stąd nie wyjdzie.

Należało zatem znaleźć sposób, by umrzeć.

Przyjrzała się tej myśli z każdej strony. Jakby oglądała motyla albo owada.

Umrzeć...

Tak. Nie miała wyboru. Aż dotąd żyła w iluzji, nie dopuszczała do siebie oczywistości.

Raz już mogła to zrobić: wtedy, kiedy sądziła, że uciekła, podczas gdy on po prostu udawał, że śpi, żeby potem tym lepiej się z nią bawić w lesie. Gdyby wówczas była zdecydowana, z pewnością znalazłaby sposób, by ze sobą skończyć. Ale wtedy myślała tylko o ucieczce, o tym, by wyrwać się stąd żywa.

Czy były przed nią inne kobiety? Wiele razy zadawała sobie to pytanie i była pewna, że tak. Ona była ostatnia w długiej serii. Jego

system był zbyt doskonały, żaden szczegół tego pięknego dzieła nie był pozostawiony przypadkowi.

Nagle z lodowatą jasnością dostrzegła wyjście.

Nie ma żadnego sposobu, by popełnić samobójstwo. Musi więc doprowadzić do tego, by on ją zabił.

Jakie to proste. Poczowała nagły przyływ entuzjazmu, tak samo niestosownego, jak ulotnego, niczym matematyk, który właśnie znalazł rozwiązanie wyjątkowo trudnego równania. Po czym pojawiły się trudności i entuzjazm się rozplynął.

Miała jednak nad nim przewagę: miała czas.

Czas na kombinowanie, rozmyślanie, czas, w którym mogła oszaleć, ale także poświęcić się obmyśleniu strategii. Tak naprawdę czas był jedynym towarem, którym mogła dysponować zgodnie ze swoją wolą.

Powoli, w niemal całkowitych ciemnościach swojego więzienia, jeśli nie liczyć promyka światła wpadającego przez judasza, zaczęła pracę nad czymś, co zwykle się nazywało planem.

WTOREK

BEZSENNOŚĆ

Światło księżyca wpadało przez otwarte drzwi balkonowe i wypełniało pokój. Kiedy uniósł głowę i obrócił ją w lewo, widział jego odbicie w tafli jeziora. Słyszał, jak na zewnątrz, pod balkonem, fale liżą brzeg, wydając przy tym cichy szmer jak delikatnie pocierana tkanina.

Czuł przy sobie ciało Marianne, miękkie i gorące. Mieć obok siebie ciepłe ciało, czuć czyjąś obecność w swoim łóżku – coś takiego nie przytrafiło mu się od wielu miesięcy. Jej udo spoczywało na jego udzie, piersi dotykały jego torsu, jej ramiona obejmowały go z ufnością. Miękki kosmyk blond włosów laskotał go po brodzie. Oddychała miarowo. Servaz nie śmiał się ruszyć, żeby jej nie obudzić. Najdziwniejszy był ten oddech: nie ma nic bardziej intymnego niż czuć na skórze oddech śpiącej osoby.

Przez okno, na drugim brzegu jeziora widział ciemny i ostry skalny masyw zwany przez okolicznych mieszkańców „Górami”. Brzuchaty księżyc znajdował się równo nad nim. Przestało padać. Niebo było usiane gwiazdami, las w dole czarny i nieruchomy.

– Nie śpisz?

Odwrócił głowę. Twarz Marianne w blasku księżyca, jej duże oczy – jasne, ciekawe, błyszczące.

– A ty?

– Mhm. Chyba mi się coś śniło. Dziwny sen, ani przyjemny, ani nieprzyjemny, ..

Spojrzał na nią. Nie wyglądała, jakby chciała powiedzieć coś więcej na ten temat. Jakaś myśl pojawiła się w jego głowie i zniknęła natychmiast, kiedy zaczął się zastanawiać, kto był w jej śnie: Hugo, Bokha, Francis – a może on? Z lasu dobiegł dziwny, przeciągły krzyk jakiegoś nocnego ptaka.

– Śnił mi się Mathieu – powiedziała wreszcie. Bokha.

Zanim zdążył się odezwać, wstała i zniknęła w łazience. Przez uchylone drzwi usłyszał, jak sika, a potem otwiera szafkę. Zastanawiał się, czy szuka następnej prezerwatywy. Co powinien myśleć na temat tego,

że Marianne posiada ich cały zapas? Tej nocy po raz pierwszy użyli prezerwatywy i Servazowi wydało się to dziwne. Za to fakt, że on nie miał przy sobie ani jednej, wyraźnie ją uradował. Spojrzał na radiobudzik. 2.13. Przez chwilę się zastanawiał, jak policzyć prezerwatywy przed następnym razem – tak jakby miał być jakiś następny raz – i zaraz zaczął się wstydzić tej myśli.

Kiedy wróciła do pokoju, sięgnęła po leżącego na nocnym stoliku papierosa i wyciągnęła się obok Martina. Pociągnęła dwa razy i włożyła papierosa między jego wargi.

- Nie wiesz przypadkiem, co my... tu robimy? – zapytała.
- Wydaje mi się to dosyć oczywiste – próbował zażartować.
- Nie mówiłam o pieprzeniu.
- Wiem.

Pieściła go między udami.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie mam zielonego pojęcia – dodała. – Nie chcę... Nie chcę, żebyś drugi raz przeze mnie cierpiał, Martin.

Prawdę mówiąc, penis Servaza nie myślał ani o cierpieniu, ani o wszystkich tych latach, których było trzeba, żeby jego właściciel mógł o niej zapomnieć, wyrzucić ją ze swojego życia. Miał to wszystko gdzieś i natychmiast stwardniał. Marianne ściągnęła kołdrę i położyła się na nim całym ciałem. Ocierała się o jego brzuch, przesuwając się do przodu i do tyłu i rozkosznie naciskając. Potem odsunęła twarz od jego twarzy i dalej ocierała się o niego jedwabistą skórą, intensywnie patrząc mu w oczy; miała rozszerzone źrenice i uśmiech na suchych wargach, a Servaz się zastanawiał, czy jednak nie przyniosła czegoś z łazienki.

Pochyliła się i nagle ugryzła jego dolną wargę aż do krwi. Podskoczył z bólu. Poczul w ustach żelazisty smak krwi. Mocno ścisnęła jego głowę, miażdżąc mu uszy, podczas gdy on ugniatał jej pośladki i ssał brodawkę nabrzmiałą jak pąk kwiatu. Na penisie czuł słodki i wilgotny nacisk. Wreszcie podniosła się, zacisnęła palce na jego ciele i w chwili, gdy wbiła się na niego, wydała z siebie interesujący charkot. W tej chwili przypomniał sobie, że w tamtych czasach była to jej ulubiona pozycja i w ciągu ułamka sekundy, który wystarczył, by wszystko zepsuć, niszczycielski smutek rzucił mu się do gardła.

Czy to była kwestia nocy, blasku księżyca, pory? Poszli na całość w taki sposób, że Servaz czuł się potem zarazem pusty i zbity z tropu. Kiedy Marianne znowu wyszła do łazienki, dotknął pogryzionej wargi. Miał

zadrapania na plecach, ugryzła go też w ramię. Jeszcze czuł pod skórą ogień, piekący ślad po jej pieszczotach i uśmiechnął się zarazem zwycięsko i poważnie. Poważnie, ponieważ wiedział, że jego zwycięstwo jest tymczasowe. Czy było to naprawdę zwycięstwo? A może ponowny upadek? Co o tym myśleć? Znowu zaczął się zastanawiać, czy Marianne brała coś, zanim zaczęli się kochać. Jego dyskomfort rósł. Kim była ta kobieta w łóżku? Nie tą, którą znał...

Wróciła do sypialni i rzuciła się na łóżko. Po czym pocałowała go z czułością, jakiej nie okazywała, od kiedy zaczęli się pieścić. Kiedy skuliła się u jego boku, jej głos był bardziej ochryply i głębszy.

– Powinieneś uważać: wszystkie osoby, z którymi się wiąże, źle kończą.

Spojrzał na nią.

– Co masz na myśli?

– Dobrze słyszałeś.

– O czym ty mówisz?

– Wszyscy, których kocham, kończą źle – powtórzyła. – Ty i to wszystko, co się wtedy stało... Mathieu... Hugo...

Czuł się tak, jakby kolumna mrówek gryzła mu żołądek.

– Nieprawda. Zapomniałaś o Francisie. Wydaje się, że całkiem nieźle sobie poradził.

– Co wiesz o życiu Francisa?

– Niewiele oprócz tego, że cię rzucił niedługo po tym, jak ty zostawiłaś mnie dla niego.

Spojrzała mu w oczy, szukając w nich wyrzutu.

– Tak myślisz. Wszyscy tak myślą. W rzeczywistości to ja pierwsza powiedziałam „stop”. A potem on rozgłaszał, że to on zakończył nasz związek, że to była jego decyzja.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– A to nie była prawda?

– Któregoś dnia, kiedy po raz enty się pozarliśmy, zostawiłam mu kartkę, na której oznajmiłam, że to koniec.

– Dlaczego w takim razie nie mówiłaś wszystkim, jaka jest prawda?

– A jakie to miało znaczenie? Znasz Francisa. Zawsze wszystko musi się kręcić wokół niego.

Punkt dla niej. Przyglądała mu się. Znalazł w jej oczach spojrzenie dawnej Marianne, uważne, przenikliwe i czułe,

– Wiesz, kiedy twój ojciec się zabił, nie zdziwiło mnie to. Tak jakbym już wcześniej wiedziała, co się stanie. Całe to poczucie winy, które dźwigałeś... jakby to się już wydarzyło. To było gdzieś zapisane.

– *Ducunt volentem fata, nolentem trahunt*, jak powiedział Seneka – podsumował ponuro.

– Ty i ci twoi klasycy. Wiesz, to dlatego odeszłam. Myślisz, że zostawiłam cię z powodu Francisa? Zostawiłam cię, ponieważ byłeś gdzie indziej. Zagubiony, prześladowany przez wspomnienia, gniew i poczucie winy. Bycie z tobą było jak dzielenie się tobą z duchami, nigdy nie wiedziałam, kiedy jesteś ze mną, a kiedy...

– Czy naprawdę musimy teraz o tym mówić? – zapytał.

– A kiedy? Oczywiście potem odkryłam, o co Francisowi chodziło. Kiedy zrozumiałam, że zależało mu nie na mnie, ale na tobie, że chciał zadać ci ból, posługując się mną, rzuciłam go. Chciał cię pokonać na twoim własnym terytorium, pokazać, który z was jest silniejszy... Byłam dla was tylko stawką w grze, polem bitwy. Ta wasza diabelska rywalizacja, pojedynek na odległość, a w środku Marianne. Jak trofeum. Rozumiesz? Twój najlepszy przyjaciel. Twoje *alter ego*, twój brat. Byliście nierozłączni, a on przez cały ten czas miał w głowie tylko jedną myśl: odebrać ci to, co miałeś najdroższego.

Czuł, że jego mózg płonie, miał ochotę uciec i więcej tego nie słuchać. Nagle zrobiło mu się niedobrze.

– Cały Francis – ciągnęła – błyskotliwy, zabawny, ale w głębi duszy pełen urazu i zazdrości. On siebie nie lubi. Nie lubi swojego odbicia w lustrze. Lubi tylko jedno: upokarzać innych, robić z nich miazgę. Twój najlepszy przyjaciel. Wiesz, co mi kiedyś powiedział? Że zasługuję na kogoś lepszego niż ty. Wiesz, że zazdrościł ci pisarskiego talentu? Francis Van Acker nie ma żadnego prawdziwego talentu. Jedyne jego talenty to umiejętność manipulowania ludźmi.

Powstrzymał chęć uciszenia jej gestem.

– A potem pojawił się Mathieu. Bokha, jak go nazywaliście. O, nie był tak błyskotliwy jak wy. Ale stał oboma nogami na ziemi, był solidny, godny zaufania i był o wiele sprytniejszym i lepszym strategiem, niż

moglibyście podejrzewać, wy i te wasze przerośnięte ego. A przede wszystkim była w nim ta siła. I ta dobroć. Mathieu to była siła, cierpliwość i dobroć. Ty furia, a Francis dwulicowość. Kochałam Mathieu. Was dwóch też kochałam. To nie była ta sama pożerająca namiętność. To nie był ten ogień, ale być może na głębszym poziomie było to coś, czego ani ty, ani Francis nigdy nie będziecie w stanie pojąć. A dzisiaj jest Hugo. On jest wszystkim, co mi zostało, Martin. Nie odbieraj mi go.

Servaz poczuł, że ogarnia go zmęczenie. Zniknęło całe podniecenie tej nocy. Cała radość i lekkość ulotniły się niczym bąbelki szampana.

– Znasz Paula Lacaze’a?

Zawahała się przez chwilę.

– A co Paul ma z tym wspólnego?

Zastanawiał się, ile może jej powiedzieć. Nie mógł się zdradzić ze swoim odkryciem.

– Znasz w Marsac wszystkich. Co o nim wiesz?

Patrzyła na niego badawczo w blasku księżyca. Zrozumiała, że ma to związek z trwającym śledztwem – a zatem z Hugonem.

– Ambitny. Bardzo. Inteligentny. Prowokator. Prosta ścieżka do kariery politycznej na poziomie państwowym. Jego żona ma raka. – Znowu mu się przyglądała. – Wiesz to wszystko – wywnioskowała, patrząc na niego. – Dlaczego się nim interesujesz?

– Przykro mi. Na razie nie mogę nic powiedzieć. Interesuje mnie nie to, o czym wiedzą wszyscy, ale to, o czym ty wiesz, a inni nie wiedzą.

– Dlaczego miałabym wiedzieć coś, czego nie wiedzą inni?

– Ponieważ mogłoby mi to pomóc w wykazaniu niewinności twojego syna.

Leżała pod kołdrą, ale nie spała. Nie pozwalały jej na to pełne niepokoju myśli. Margot wciąż przypominała sobie tajemniczą rozmowę, którą słyszeli z Eliaszem w labiryncie. Próbowwała odtworzyć każde słowo, rozszyfrować je. Co miała na myśli Virginie, kiedy oświadczyła, że w razie konieczności pomogą jej ojcu zrozumieć? W tym zdaniu była jakaś niewypowiedziana groźba, która ją mroziła. W ewidentny sposób wyczuła zagrożenie. Sądziła, że ich zna, myślała, że to po prostu czwórka najbardziej błyskotliwych studentów: Hugo, David, Virginie i Sarah. Ale tej

nocy odkryła coś, co nie dawało jej spokoju. Musimy szybko zwołać Krag. Krag... Jaki Krag? Samo słowo miało aurę tajemnicy, było w nim coś enigmatycznego. Wystukała esemesa do Eliasa:

Mówili o Kręgu. Co to jest?

Zastanawiała się, czy chłopak już śpi, czyjej odpowie. Po chwili jej smartfon leżący tuż obok pod kołdrą wydał z siebie dźwięk harfy. I choć na to czekała, sygnał sprawił, że podskoczyła.

Nie mam zielonego pojęcia. To ważne?

Tak sądzę.

Czekając na odpowiedź, wyjrzała spod kołdry, by sprawdzić, czy Lucie śpi. Nie było jednak niebezpieczeństwa, chrapanie współlokatorki mogłoby służyć za podkład dźwiękowy do filmu katastroficznego o wielkim trzęsieniu ziemi w Los Angeles.

W takim razie od tego powinniśmy zacząć.

Jak?

Mówili o spotkaniu Kręgu 17. Nie odstępimy ich na krok.

OK. A tymczasem?

Kontynuujemy nadzór. Uważaj, zauważyli cię.

Czytając to ostatnie zdanie, znowu poczuła strach. Przypomniała sobie, co powiedziała Sarah: „Musimy ją mieć na oku, jakoś nie czuję tej

dziewczyny”. Była w trakcie pisania odpowiedzi: „W porządku, do jutra”, kiedy odezwał się sygnał telefonu, informujący o ostatniej wiadomości:

Bądź bardzo ostrożna. Mówię poważnie. Jeśli sprawca jest wśród nich, jest się czego bać. Dobranoc.

Margot przez dłuższą chwilę wpatrywała się w słowa zapisane na podświetlonym ekranie. W końcu wyłączyła smartfona i odłożyła go na nocną szafkę. A potem zrobiła coś, czego nie robiła nigdy wcześniej: wstała i zamknęła drzwi pokoju na klucz.

ŹRÓDŁO

Była 7.30 rano i Zlatan Jovanovic obserwował klientów kawiarni Richelieu, kończąc swoją kawę ze śmietanką i croissantami. W tle Bruce Springsteen w starej szafie grającej śpiewał *Hungry Heart*. Jovanovic każdemu, kto tylko zechciał go słuchać, chwalił się, że w mgnieniu oka potrafi rozpoznać cudzołożnego małżonka, komornika, niewierną żonę, gliniarza, drobnego złodziejaska lub dealera narkotyków. Na przykład ten gość około pięćdziesiątki, stojący przy barze w towarzystwie dwóch młodszych kolegów pod krawatem. Właśnie dostał esemesa i uśmiechał się rozanielony. Żadna wiadomość służbowa ani wysłana przez żonę nie jest w stanie wywołać na twarzy mężczyzny takiego uśmiechu. A obrączka na palcu tego faceta była stara. Zlatan mógłby się założyć – widząc sposób, w jaki po otrzymaniu wiadomości mężczyzna się wyprostował i spojrzał z góry na swoich sąsiadów, robiąc przy tym minę zdobywcy – że jego kochanka jest od niego o wiele młodsza i bardzo atrakcyjna. Jovanovic upił jeszcze jeden łyk kawy, wytarł górną wargę i znowu spojrzał na pięćdziesięciolatka, który szybko wystukiwał odpowiedź. Profesjonalista, pomyślał. W niespełną minutę później w sali rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości. Hm, wygląda na to, że sprawa się kręci... Potem dostrzegł w oczach mężczyzny krótki błysk niezadowolenia. Zauważył, że facet nerwowo obgryza paznokcie. Ach! Ach! Czyżby pani postanowiła przejść do kolejnego etapu? Może naciska na niego, by odszedł od żony. A jegomość z pewnością nie ma na to ochoty... Ciągle ta sama historia wbrew powszechnie panującym przekonaniom, do siedemdziesięciu procent rozwodów dochodzi w wyniku decyzji żony, nie męża. Mężczyźni są większymi tchórzami. Jovanovic wzruszył ramionami, położył na stole pięć euro i wstał. Nie jego sprawa – ale być może wkrótce żona tego osobnika stawi się w jego biurze. Marsac to małe miasto.

Pożegnał się z barmanem, przeszedł na drugą stronę ulicy i zniknął w niedużym, pomalowanym na żółto budynku. Przy drzwiach jedyny złoty szyld – jego: Z. JOVANOVIĆ, PRYWATNA AGENCJA DETEKTYWÓW. INFILTRACJE/INWIGILACJE/ŚLEDZTWA. DO PAŃSTWA DYSPOZYCJI 24/24, 7/7. REJESTRACJA W PREFEKTURZE. Liczba mnoga słowa „detektyw” była nadętą parabolą. Jovanovic był jedynym pracownikiem biura, miał tylko sekretarkę, która przychodziła dwa razy w tygodniu, by

zaprowadzić nieco porządku w jego rozgardiaszu. Wielka tablica przymocowana do drzwi na trzecim piętrze była bardziej wymowna: ŚLEDZTWA W SPRAWIE NIEUCZLIWEJ KONKURENCJI, DOSTARCZANIE DOWODÓW, PRZEJĘCIA KLIENTÓW, KONTROLA ZWOLNIEŃ LEKARSKICH, WERYFIKACJA CV, ŚLEDZTWA W SPRAWIE WYPŁACALNOŚCI, WERYFIKACJA AUTENTYCZNOŚCI DOKUMENTÓW, POSZUKIWANIE OSÓB ZAGINIONYCH, KRADZIEŻE W FIRMACH, WYKRYWANIE PODSŁUCHÓW, AUDYTY BEZPIECZEŃSTWA, SPRAWDZANIE ROZKŁADU DNIA WSPÓŁMAŁŻONKA, POSZUKIWANIE DOWODÓW NIEWIERNOŚCI, SPRAWDZANIE ZNAJOMYCH WASZYCH DZIECI, CENY OBLICZONE NA PODSTAWIE STOPNIA ZŁOŻONOŚCI ZADANIA I ZAANGAŻOWANEGO PERSONELU, TECHNIKI I BAZY LOGISTYCZNEJ. PODLEGAMY OBOWIĄZKOWI TAJEMNICY ZAWODOWEJ (ARTYKUŁ 226-13 NOWEGO KODEKSU KARNEGO). DZIAŁAMY WE FRANCJI I ZA GRANICĄ ZA POMOCĄ SIECI AGENCJI PARTNERSKICH; NASZE KONTAKTY SĄ PRZYDATNE W SĄDACH, NASI DETEKTYWI DZIAŁAJĄ ZA ZGODĄ PREFEKTURY. Połowa spośród tych informacji była fałszywa, ale Zlatan Jovanovic nie był pewien, czy choćby jeden spośród odwiedzających go klientów kiedykolwiek zadał sobie trud przeczytania całej tablicy od początku do końca. Skądinąd na znaczną część swojej działalności z pewnością nie uzyskałby zgody policji.

Osoba, z którą się umówił, była już na szczycie schodów i Zlatan, łapiąc oddech, uścisnął jej dłoń. Włożył klucz do zamka i lekko pchnął drzwi. W miniaturowym mieszkaniu, które służyło mu za gabinet, panował zaduch, czuć było dymem papierosowym i kurzem. Zlatan ruszył prosto do pokoju w głębi, równie szarego i matowego jak on sam.

– A gdzie twoje brygady, Zlatan? – zapytał wesoło głos za jego plecami. – Czają się w schowku na miotły?

Jovanovic nie odpowiedział. Czy działał z brygadą czy bez, jak do tej pory wszyscy byli zawsze z niego zadowoleni. Wiedział, że tylko to się liczy. Poza tym, owszem, miał współnika – mimo że jego noga nigdy nie powstała w tym gabinecie.

Zapalił papierosa bez filtra, nie przejmując się osobą, która siedziała naprzeciw niego, przerzucił stos papierów leżących obok komputera i w końcu znalazł to, czego szukał: mały notes na spirali.

Jego jedyny współnik – inżynier informatyk, którego Zlatan zwerbował rok wcześniej – uśmiełby się na widok tego narzędzia. Od tamtego czasu działania agencji balansującej na pograniczu legalności, ale zarazem najbardziej dochodowe, należały właśnie do tego obszaru –

kradzież na masową skalę danych informatycznych, włamania do prywatnej poczty elektronicznej, do komputerów, podsłuch telefonów komórkowych, szpiegowanie wejść na strony internetowe. Właśnie w tej dziedzinie biuro działało najczęściej. Zlatan szybko zrozumiał, że firmy dysponują znacznie większymi środkami niż większość prywatnych osób i że należy zlecać te prace podwykonawcy dysponującemu kompetencjami, których on sam nie posiada. Zaciągał się dymem, słuchając jednocześnie zleceniodawcy tłumaczącego, o co mu chodzi. Tym razem było to coś więcej niż nielegalna działalność. Zlatan gwizdnął przeciągle.

– Być może mam odpowiedniego człowieka – powiedział wreszcie – ale nie wiem, czy się zgodzi. Trzeba będzie... odpowiednio go przekonać.

– Pieniądze nie stanowią problemu. W zamian żądam, żeby nie zostały żadne ślady na piśmie.

– To się rozumie samo przez się. Wszystkie potrzebne informacje zostaną zapisane na nośniku USB. Nie będzie żadnej kopii. Żadnych nazwisk, notatek, żadnych faktur, żadnych śladów.

– Zawsze są ślady. Komputery mają tę cholerną właściwość, że je zostawiają.

Jovanovic wyjął z kieszeni chusteczkę i starł pot, który spływał mu po karku. W pomieszczeniu nie było żadnej klimatyzacji, która walczyłaby z panującą już o tej porze duchotą.

– Komputer w tym gabinecie służy wyłącznie do zwykłej papierologii, do niczego innego – wyjaśnił. – Jest dziewiczy jak mały ewangelik. Wszystkie poufne prace są prowadzone gdzie indziej i nikt oprócz mnie nie wie gdzie. A osoba, która ze mną współpracuje, jest gotowa zniszczyć wszystko na mój znak.

Wyglądało na to, że odpowiedź została przyjęta z aprobatą.

Promień słońca obudził Servaza. Policjant otworzył oczy i przeciągnął się. Rozejrzał się po pokoju oświetlonym blaskiem nowego dnia. Ściany w kolorze czekolady, jasne meble i ciężkie bladoszare zasłony. Wszędzie dookoła lampki i bibeloty. Przez dwie sekundy był całkowicie zdezorientowany.

Weszła Marianne ubrana w krótką niebieską satynową piżamę. Z tacą w ręku. Servaz ziewnął. Był głodny jak wilk. Chwycił grzanekę i zamoczył ją w kubku z kawą, po czym upił wielki łyk soku pomarańczowego. Uśmiechając się kącikiem ust, patrzyła, jak mężczyzna

je w milczeniu. Kiedy skończył, odstawił tacę na puszysty dywanik w kolorze piasku, leżący przy łóżku.

– Masz papierosa? – zapytał.

Swoją paczkę zostawił w kieszeni. Sięgnęła po pudełko leżące na nocnej szafce, podała mu papierosa i ogień i ujęła jego wolną rękę w swoją dłoń. Palce Marianne były sprężyste i ciepłe.

– Myślałeś o tym, co się stało?

– A ty?

– Nie, ale mam ochotę kontynuować...

Nic nie odpowiedział. Nie był pewien, na co ma ochotę.

– Jesteś spięty. – Położyła dłoń na jego klatce piersiowej. – Co się dzieje? To przeze mnie? Przez to, co powiedziałam o tobie i o Francisie?

– Nie.

– No to dlaczego?

Zawahał się. Czy powinien z nią o tym rozmawiać? Czemu nie? Powiedział jej o otrzymanym e-mailu. I o zdjęciu z monitoringu na autostradzie. Wspomniał po prostu o pewnym człowieku, który uciekł i który szuka z nim kontaktu.

– Coś się dzieje – powiedział. – Nie wiem dokładnie co. Mam wrażenie, jakbym był obserwowany. Takie uczucie, jakby... ktoś śledził wszystkie moje czyny i gesty, wiedział, dokąd się przemieszczam, a nawet to przewidywał, jakby... jakby był tutaj, w mojej głowie.

– To ma jakiś związek ze śledztwem w sprawie Claire?

Znowu pomyślał o płycie znalezionej w odtwarzaczu.

– Nie wiem. Ten człowiek uciekł ze szpitala psychiatrycznego. Dwie zimy temu.

– To ten Szwajcar, o którym pisali w gazetach, tak?

– Mhm.

– Sądysz, że... on wrócił?

– Być może. Naprawdę nie wiem, co o tym myśleć. A może ja... Masz rację, dostaję paranoi. A jednak coś czuję. Jakby gdzieś był jakiś plan, jakaś kanwa, jakaś strategia, która mnie dotyczy. Jakbym był marionetką.

Wystarczy parę prowokacji z jego strony, tu e-mail, tam drobny znak, a ja już reaguję w taki czy inny sposób.

– To dlatego w tamten wieczór pytałeś mnie, czy widziałam kogoś kręcącego się koło domu?

Przytaknął. Zobaczył błysk w oczach Marianne. Wiedział, co myśli: że wróciły jego stare demony.

– Powinieneś uważać, Martin.

– Myślisz, że zaczyna mi odbijać?

– Dzisiaj w nocy stało się coś dziwnego...

– Dziwnego? W jakim sensie?

Zobaczył, że Marianne zbiera myśli. Na czole między jej brwiami zarysowała się pionowa bruzda.

– To było po tym, jak się... kochaliśmy po raz drugi. Ty w końcu usnałeś, a ja po naszej rozmowie jakoś nie mogłam. Która to mogła być godzina? Trzecia? Wyszłam z łóżka, wzięłam papierosy i poszłam zapalić na balkon.

Nic nie odpowiedział, czekając na dalszy ciąg.

– Widziałam jakiś cień nad jeziorem. Nie jestem pewna, ale wydawało mi się, że ktoś jest za drzewami w ogrodzie. Przemknął wzdłuż brzegu i zniknął w lesie. Przez chwilę myślałam, że to może jakieś zwierzę: dzik albo daniel. Ale teraz, kiedy sobie przypominam, myślę, że nie. Tam był człowiek.

Patrzył na nią w milczeniu. Wróciło wrażenie, że kto inny zamiast niego pisze stronicę tej historii, że on jest tylko jednym z bohaterów, a autor kryje się w cieniu, tuż obok, podejmując decyzje w sprawie każdego z epizodów. Dwie niezależne od siebie opowieści: z jednej strony zabójstwo Claire Diemar; z drugiej – powrót Hirtmanna. Chyba że... Opuścił nogi na podłogę i wstał. Wziął z krzesła slipy i spodnie, a następnie bosy wyszedł na balkon.

– Pokaż – rzucił przez otwarte drzwi. – Gdzie widziałaś ten cień w nocy?

Marianne wyszła na słońce i wskazała miejsce w dole zbocza, po prawej stronie, na granicy jeziora, trawnika i lasu.

– Tam.

Wszedł z powrotem do pokoju i włożył koszulę. Gdy znalazł się na parterze, zszedł schodami tarasu na stronę jeziora. Następnie ruszył przez spadzisty ogród, idąc między drzewami i klombami kwiatów. Było już gorąco. Słońce wysuszyło trawę, a jezioro błyszczało w jego promieniach jak metalowa płyta. Uwagę Servaza przyciągnął jakiś warkot. Mniej więcej sto metrów dalej od pomostu odbiła motorówka i wkrótce w jej kilwaterze pojawił się narciarz wodny. Młody chłopak, który – sądząc po brawurowych zygzakach – miał już za sobą wiele godzin praktyki. Ten, kto zabił Claire Diemar, cechował się taką samą sprawnością i doświadczeniem. Servaz po raz kolejny pomyślał, że morderca na pewno nie był nowicjuszem.

Rozejrzał się dookoła, ale niczego nie znalazł. Jeśli ktoś ich podglądał, nie zostawił śladów.

Zszedł nad samo jezioro. Zauważył ślady butów, ale były stare. Ruszył wzdłuż brzegu. Po zmianie rytmu pracy silnika domyślał się, że łódź za jego plecami wykonuje manewry. Zbliżył się do granicy lasu, wszedł między drzewa, które schodziły niemal do wody.

W oddali zaszczekał pies. W Marsac odezwały się dzwony. Motorówka na jeziorze wciąż warczała.

Z zagłębienia między krzakami i trzcinami wypływało małe źródelko. W przebijającym się przez liście świetle poranka połyskiwała strużka wody płynącej po pomarszczonym piaszczystym dnie.

Na jej drodze, w pobliżu źródła, leżał pień drzewa. Servaz pomyślał, że na pewno wielu młodych ludzi z sąsiedztwa przychodzi tu, by posiedzieć, flirtować i całować się z dala od ludzkich spojrzeń. Zobaczył nawet dwie litery wycięte w korze. Schylił się i zastygł.

JH

Usiadł na innym pniu, nieco dalej. Wskutek szybko rosnącej temperatury – a może dokonanego przed chwilą odkrycia – jego czoło pokryło się potem. W powietrzu brzęczały owady i Servaz przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Odpędził krążące mu nad głową muchy i wystukał numer laboratorium kryminalistycznego, by poprosić techników o zbadanie miejsca. Kiedy tylko skończył rozmowę, jego telefon znowu się odezwał.

– Mój Boże, co się z panem dzieje? I dlaczego miał pan wyłączony telefon? – wściekał się ktoś prosto do jego ucha.

To był Castaing, prokurator z Auch. Servaz wyłączył aparat poprzedniego wieczoru i włączył go dopiero rano, by skontaktować się z policją kryminalną.

– Był rozładowany – skłamał. – Nie zauważyłem.

– Czy nie mówiłem panu, żeby pan nie podejmował żadnej inicjatywy bez wcześniejszej konsultacji z prokuraturą?

Lacaze nie traci czasu, pomyślał Servaz.

– Czy nie powiedziałem panu tego wyraźnie, komendancie?

– Zamierzałem poinformować sędziego – skłamał po raz drugi. – Właśnie miałem to zrobić, ale pan mnie uprzedził.

– Bzdury! – zachnął się prokurator. – Za kogo pan się uważa, komendancie, i za kogo uważa pan mnie?

– Znaleziono kilkadziesiąt e-maili, które pisali do siebie Paul Lacaze i Claire Diemar, które dowodzą, że mieli romans. Paul Lacaze sam się do tego przyznał wczoraj wieczorem. Najwyraźniej byli w sobie bardzo zakochani. Przesłuchałem go nieoficjalnie – odpowiedział.

– Zjawił się pan u niego i jego chorej na raka żony o jedenastej wieczorem. Właśnie ministerstwo zmyło mi głowę. A nie lubię tego, niech mi pan wierzy.

Servaz przyglądał się nartnikowi, który przemieszczał się po powierzchni tam, gdzie woda stała. Krocząc na długich, cienkich odnóżach, pająk unikał zamoczenia – dokładnie tak jak człowiek po drugiej stronie słuchawki.

– Niech się pan nie przejmuję. Biorę na siebie odpowiedzialność za tę sprawę.

– Odpowiedzialność, też coś – parsknął prokurator. – Odpowiedzialność spadnie na mnie, jeśli panu się nie uda. Jedyna rzecz, która powstrzymuje mnie przed poproszeniem Sarteta o odebranie panu sprawy i wycofanie pańskich ogólnokrajowych uprawnień, to fakt, że Lacaze sam prosił, żebym z tym nic nie robił. – (Boi się, że się rozniesie, pomyślał Servaz). – To ostatnie ostrzeżenie, komendancie. Żadnych więcej kontaktów z Paulem Lacaze'em bez zezwolenia sędziego. Czy pan mnie zrozumiał?

– W stu procentach.

Zatrzasnął komórkę i stał pot spływający mu z czoła. Plecy i pachy miał tak mokre, że miał ochotę się drapać. Chłodna źródłana woda i roślinność przyciągały owady.

Zanim zdążył zrozumieć, co się z nim dzieje, poczuł, jak jego usta wypełniają się śliną i schylił się, by z wymiotować kawę i śniadanie.

Irène Ziegler wsunęła palec za sztywny kołnierz munduru i przesunęła nim po szyi. Mimo że otworzyła okratowane okno, w jej gabinecie było okrutnie gorąco. Kolejna rzecz, która nie zmieniła się od jej wyjazdu na wakacje: nikt nie naprawił klimatyzacji. Nie było też pieniędzy na wymianę starego komputera ani instalację dodatkowego, a przede wszystkim szybszego łącza internetowego. Efekt: na przesłanie zdjęcia podejrzanego potrzeba było co najmniej pięciu minut. Jeśli chodzi o jej podwładnych, to jeden był na zwolnieniu lekarskim, a drugi właśnie kosił trawnik! Tak wyglądała rzeczywistość żandarmerii w najdalszym zakątku prowincji. Atmosfera była typowa dla wczesnoletniego poranka: wszyscy skorzystali z nieobecności szefa, zapanowało powszechne rozprężenie, większość spraw była opóźniona i ludzie chodzili naburmuszeni. Poza nią wszyscy pracowali tu od lat. I miesiąc jej nieobecności wystarczył, by przypomnieli sobie, że kiedy jej nie było, życie było bez porównania łatwiejsze. Wiedziała jednak, że jej ludzie też mieli powody do narzekania: brak personelu, dyżury w nocy, weekendy i wszystkie wolne dni, ciągle rosnąca liczba godzin służby, brak życia rodzinnego, nieadekwatne wynagrodzenie, dawno nieremontowane mieszkania, pomieszczenia służbowe i samochody – a ponad tym wszystkim nadęci politycy, trąbiący, że walka z przestępczością jest ich priorytetem. Pracując w wydziale śledczym, przywykła działać samodzielnie. Teraz musiała zadać sobie gwałt i poszukać sposobu na stworzenie zwartej i solidarnej brygady.

Odrobinę pokory, kochanieńka. Czasami potrafisz być straszną cholera. Pamiętaj, by jutro rano przynieść im croissanty.

Zachichotała na tę myśl. A może jeszcze potrzymać im kuśkę w trakcie sikania? Marszcząc brwi, spojrzała na stertę teczek na swoim biurku. Okradanie aut, przestępczość drogowa, włamania, kradzieże samochodów, zniszczenia i szkody. Co najmniej pięćdziesiąt dwa odnotowane przypadki przestępczości lokalnej i tylko pięć rozwiązanych. Genialne. Była natomiast całkiem dumna z własnego bilansu wykrywalności przestępstw i wykroczeń, wynoszącego prawie siedemdziesiąt procent. To znacznie powyżej średniej krajowej. Jednak akta dwóch spraw, które najbardziej ją zajmowały, były zarazem

najbardziej opasłe. Pierwsza z nich dotyczyła gwałtu: jedyne informacje, jakie na ten temat posiadali, to marka i kolor samochodu oraz wygląd naklejki na przedniej szybie, które ofiara dokładnie opisała. Irène od początku czuła, że to śledztwo nie wzbudzi entuzjazmu jej ludzi, którzy będą mieć pokusę, by odłożyć je na bok do czasu, aż pojawią się nowe elementy – inaczej mówiąc: aż nastąpi cud – była jednak zdecydowana wycisnąć z niego tyle, ile tylko się da.

Druga sprawa dotyczyła szajki specjalizującej się w kradzieży kart bankowych, która od kilku miesięcy grasowała w regionie, stosując technikę *collet marseillais*, polegającą na zablokowaniu karty w bankomacie za pomocą kawałka karty do gry, paczki papierosów albo biletu do autobusu czy metra. Gdy to następowało, pojawiał się jeden z przestępców i doradzał ofierze kilkakrotne wybranie swojego numeru PIN. Kiedy ofiara szła do banku, by odzyskać swoją niby połkniętą kartę, przestępca wyjmował kartę i udawał się w inne miejsca, gdzie dokonywał wypłat i zakupów, dopóki nie została ona zablokowana. Ziegler zauważyła, że w jednym z bankomatów pułapka była instalowana trzy razy w ciągu czternastu miesięcy i że po każdym razie było około pięciu miesięcy przerwy. Wyglądało na to, że rzeczony bankomat miał w oczach złodziei jakieś szczególne zalety. Irène zapisała na górze strony:

Zastawić pułapkę w bankomacie. Sprawdzić ruch w tym czasie.

Przez uchylone drzwi usłyszała, jak jeden z jej ludzi wchodzi żwawym krokiem i domaga się powszechnej uwagi.

– Chłopaki, słuchajcie!

Wszyscy ucichli i Ziegler nadstawiła uszu z nadzieją, że dowie się czegoś nowego na temat zalegających spraw.

– Wygląda na to, że Domenech zostawi Anelkę w składzie na mecz z Meksykiem.

– Kurwa, to niemożliwe! – zawołał jakiś głos.

– I Sidneya Govou też...

Za drzwiami rozległ się pomruk niezadowolenia. Ziegler podniosła oczy ku skrzydłom wielkiego wentylatora bezproduktywnie mieszającym gorące powietrze. Wróciła myślami do artykułu, na który wpadła w kiosku na lotnisku, i e-maila znalezionej w komputerze Martina. Uznała, że

skoro te wszystkie sprawy czekały na jej powrót przez cały miesiąc, to mogą poczekać jeszcze trochę. Wstała. Zamierzała się z kimś spotkać.

Margot skręcała papierosa, trzymając między wargami końcówkę z filtrem i rozkładając na bibułce źdźbła tytoniu. Jednocześnie obserwowała drugi koniec wypełnionego tłumem młodzieży boiska, tam gdzie gromadzili się studenci drugiego roku. Z niecierpliwością doczekała końca wykładu Van Ackera, choć zazwyczaj bardzo go lubiła. Zwłaszcza wtedy, kiedy miał fatalny humor, to znaczy prawie zawsze. Francis Van Acker był sadystą, despota i miał w sobie prawdziwy wykrywacz średniactwa. Nienawidził średniactwa, podobnie jak tchórzostwa, służalczości i potakiwaczy. Zawsze kiedy miał słabszy dzień, koniecznie musiał sobie znaleźć kozła ofiarnego. Wtedy w całej sali wykładowej unosił się zapach krwi. Margot z zadowoleniem patrzyła, jak po kolegach przebiega blady strach. Rozwinęli w sobie prawdziwy instynkt przetrwania i już w chwili wejścia profesora do sali wszyscy byli w stanie się domyślić, czy tego dnia rekin wyruszy na polowanie czy też nie. Margot, podobnie jak inni, wnioskowała to po sposobie, w jaki mierzył ich spojrzeniem niebieskich oczu i ułożeniu otoczonych wianuszkami zarostu ust.

Lizusi nienawidzili Van Ackera i bali się go. Na początku roku szkolnego popełnili błąd, sądząc, że zyskają sobie jego przychylność, płaszcząc się przed nim, i na swoją zgubę odkryli, że Van Acker nie tylko jest nieczuły na wszelkie rodzaje pochlebstwa, ale także to, że za ten błąd w osądzie przyjdzie im drogo zapłacić. Jego ulubionymi ofiarami byli ci, którzy nadrabiali swoje ograniczone zdolności (ograniczone na tle tej elity, jaka uczyła się w Marsac) nadmierną gorliwością. Margot nie należała do tej grupy. Zastanawiała się, czy Van Acker ceni ją za to, że jest córką swojego ojca, czy za to, że w tych rzadkich wypadkach, kiedy brał ją na tapetę, by ją sprawdzić, zawsze potrafiła mu się postawić. Francis Van Acker lubił, kiedy ktoś stawiał mu czoło.

– Servaz – zagadnął ją tego ranka, kiedy była pogrążona w myślach na temat wydarzeń ostatniej nocy – nie jest pani zainteresowana tym, co tu opowiadam?

– Eee... ależ tak, oczywiście.

– A zatem, o czym mówiłem?

– O istnieniu zgodności w kwestii niektórych dzieł, o tym, że skoro na przestrzeni wieków wielka liczba ludzi uważała, że Homer, Cervantes, Shakespeare i Hugo są wybitnymi artystami, oznacza to, że zdanie „każdy

ma swój gust” jest sofizmatem... o tym, że nie wszystko ma taką samą wartość i że wszystkie szmiry sprzedawane przez reklamę jako sztuka, masowe kino i w ogóle cała ta komercja nie są równe wielkim wytworom ludzkiego umysłu, o tym, że podstawowe zasady demokracji nie mają zastosowania w sztuce, w której panuje bezlitosna dyktatura najlepszych nad miernymi.

– Czy powiedziałem, że „nie wszystko ma taką samą wartość” ?

– Nie, proszę pana.

– Proszę więc nie wkładać w moje usta słów, których nie wypowiedziałem.

Klasa zachichotała. Ci, którzy zazwyczaj służyli za piorunochron dla wyładowań Van Ackera, byli wniebowzięci, gdy kto inny padał ich ofiarą. Śmiech w pierwszym rzędzie. Dyskretnie pokazała środkowy palec lizusom siedzącym w dolnych rzędach amfiteatralnej sali, którzy odwrócili się i gapili na nią wymownie.

Nabrała dymu w młode, ale już skażone nikotyną płuca i rzuciła okiem na trio David/Sarah/Virginie. Teraz oni patrzyli na nią, pomimo odległości i grupki uczniów, które stały im na drodze. Wytrzymała ich spojrzenie, zaciągając się małym papierosem i ani na chwilę nie spuszczała ich z oczu. W nocy postanowiła zastosować radykalnie inną taktykę. Bardziej... wymyślną. Wprawić zwierzynę w ruch. Zamiast zachowywać się bardziej dyskretnie, miała zamiar się pokazywać, utwierdzać ich w podejrzeniach, tak by zaczęli myśleć, że ona coś wie. Jeśli sprawca jest wśród nich, to w końcu wyczuje niebezpieczeństwo i popełni błąd.

Taktyka ta nie była pozbawiona pewnej dozy ryzyka. Była wręcz niebezpieczna. Ale w więzieniu był niewinny człowiek i czas naglił.

– Gdzie zostało zrobione to zdjęcie? – zapytał Stehlin.

– W Marsac. Nad jeziorem. Na skraju lasu. Tuż obok ogrodu Marianne Bokhanowsky, matki Hugona.

– To ona odkryła te litery?

– Nie, ja.

Dyrektor zrobił wielkie oczy.

– A co ty tam robiłeś? Szukałeś czegoś?

Servaz przewidział to pytanie. Jego ojciec nauczył go, że powiedzenie prawdy prawie zawsze jest najlepszą strategią. W większości wypadków była bardziej kłopotliwa dla innych niż dla samego mówiącego.

– Spędziłem tam noc. Znam matkę chłopaka od dawna. Dyrektor wpatrywał się w niego. I nie tylko on: teraz na Servaza patrzyli również Espérandieu, Pujol i Samira.

– Jasna cholera – powiedział Stehlin. – To jest matka głównego podejrzanego!

Servaz milczał.

– Kto jeszcze o tym wie?

– O tym, że byłem tam w nocy? Na razie nikt.

– A jeśli ona postanowi użyć tego przeciwko tobie? Jeśli powie o tym swojemu adwokatowi? Jeśli sędzia się o tym dowie, zdejmie cię ze służby i odda śledztwo żandarmerii!

Servaz przypomniał sobie wrednego człowieczka w okularach, który przyszedł tamtej nocy i prosił o widzenie z Hugonem – ale nic nie powiedział.

– Cholera, Martin! – wściekał się Stehlin. – W ciągu jednego wieczoru przesłuchujesz posła, nikogo o tym nie informując, a potem spędzasz noc z matką... u matki głównego podejrzanego! Twoje zachowanie może mieć poważne konsekwencje, zaszkodzić całemu śledztwu, pracy całego zespołu!

Stehlin miał dar mówienia eufemizmami. Mógł się wyrazić dosadniej. Servaz wiedział jednak, że jego szef jest wściekły.

– No dobra – powiedział dyrektor, wyraźnie starając się odzyskać zimną krew. – Czy to coś zmienia? Ciągłe jesteśmy w tym samym punkcie: nie ma żadnych dowodów na to, że te litery wyciął Hirtmann. Jest mi bardzo trudno uwierzyć, żeby Szwajcar wrócił tylko z twojego powodu, żeby ganiał za tobą i specjalnie dla ciebie zostawiał ślady. A wszystko przez jakąś głupią muzykę i dlatego, że raz sobie pogadaliście. Tym trudniej, że to wszystko zaczęło się po śmierci Claire Diemar.

– Nie po – poprawił go Servaz – ale od. A to wiele zmienia. To się zaczęło od płyty kompaktowej w wieży. Nie zapominajmy, że profil Claire dokładnie odpowiada profilowi ofiar Hirtmanna.

Jak można się było spodziewać, to zdanie zrobiło pewne wrażenie. Wszyscy oddali się przetrawianiu informacji.

– Poza tym jest pewna hipoteza – powiedział. – Być może tak naprawdę Hirtmann wcale nie opuścił tego regionu. Możliwe, że podczas gdy wszystkie policje Europy z Interpolem do spółki pilnowały pociągów, lotnisk, granic, wyobrażały sobie, że jest tysiące kilometrów stąd, on ukrył się gdzieś niedaleko, wychodząc z założenia, że na pewno nie będziemy go szukać po drugiej stronie ulicy.

Podniósł wzrok i zobaczył w ich oczach, że odniósł sukces. Zaczynali mieć wątpliwości. Atmosfera zrobiła się cięższa. Każda wzmianka o Szwajcarze, o jego morderstwach, jego przemocy – choćby uczyniona nie wprost – zagęszczała powietrze. Postanowił iść za ciosem.

– Jakkolwiek by było, od tego momentu jest zbyt dużo elementów idących w tym samym kierunku, żebyśmy dłużej mogli sobie pozwalać na ignorowanie wątku Hirtmanna. Nawet jeśli to nie on, to jest ktoś, kto go naśladuje i kto jest w ten czy inny sposób związany z morderstwem Claire Diemar, co stawia pod znakiem zapytania winę Hugona. Chcę, żeby Samira i Vincent zajęli się tym wątkiem w pełnym wymiarze godzin. Niech nawiążą kontakt z komórką w Paryżu, która zajmuje się tropieniem Hirtmanna, i spróbują uzyskać wszystkie informacje, które mogłyby potwierdzić, że Szwajcar jest w okolicy. Albo zaprzeczyć. Stehlin przytaknął z poważną miną. Patrzył na Servaza wyraźnie zaniepokojony.

– W porządku. Ale jest jeszcze jedna sprawa – powiedział. Servaz spojrział na niego.

– Twoje bezpieczeństwo. Szwajcar czy nie, ten świr, który jest na wolności, łązi za tobą. Wygląda na to, że zawsze jest blisko miejsca, w którym się znajdujesz. No i było jeszcze to... zdarzenie na dachu banku. Kurwa, Martin, ty o mało stamtąd nie spadłeś! Nie podoba mi się to. Ten gość naprawdę się na ciebie wziął. Już raz cię zaatakował.

– Gdyby chciał mi się dobrać do skóry, bez problemu mógł to zrobić ostatniej nocy.

– Jak to?

– W sypialni są drzwi prowadzące na balkon i one były otwarte. Między balkonem a ogrodem są raptem trzy metry, tuż obok jest rynna i dzikie wino. Bardzo łatwo mógł się tamtędy wdrapać. A my... to znaczy... ja spałem.

Teraz oczy wszystkich skierowane były na niego. Nie było już wątpliwości, że nie spał w swoim łóżku, że spędził tę noc z właścicielką domu, to znaczy z osobą bezpośrednio związaną z toczącym się śledztwem.

Które może w związku z tym zostać rozniesione na strzepy przez każdego prawnika powołującego się na konflikt interesów. Stehlin zapadł się w fotelu, wlepił oczy w sufit i westchnął przeciągle.

– Jeśli wyjdziemy od hipotezy, że rzeczywiście mamy do czynienia z Hirtmannem, nie sędzę, żeby stanowił zagrożenie akurat dla mnie – dodał pośpiesznie Servaz. – Profil jego ofiar jest zawsze taki sam: młode kobiety o mniej więcej takich samych cechach fizycznych. Według naszej wiedzy jedyni mężczyźni, jakich kiedykolwiek zabił, to kochanek jego żony, w tym wypadku chodziło o zbrodnię w afekcie, oraz Holender, który w niewłaściwym czasie znalazł się w niewłaściwym miejscu. Chciałbym jednak, by Vincent i Samira zajęli się czym innym.

Dwójka współpracowników spojrzała na niego pytająco.

– Przynajmniej z jednym się zgadzam: wygląda na to, że Hirtmann się na mnie uwziął. Jeśli to on, to sprawia wrażenie bardzo dobrze poinformowanego. I zawsze jest stosunkowo blisko miejsca, w którym przebywam. Skądinąd jego ofiary to młode kobiety. Chcę, żeby Vincent i Samira zajęli się ochroną Margot na uczelni w Marsac. Jeśli Szwajcar chce jakoś we mnie uderzyć, wie, że to mój słaby punkt, miejsce, w którym można mnie zranić najbardziej.

Na czole Stehlina pojawiło się jeszcze więcej zmarszczek. Wyglądał na głęboko zaniepokojonego. Spojrzał po współpracownikach. Samira kiwnęła głową.

– Nie ma problemu – odpowiedziała. – Martin ma rację: jeśli ten świr chce mu się dobrać do skóry i rzeczywiście jest tak dobrze poinformowany, jak się wydaje, nie możemy ryzykować zostawienia Margot bez opieki.

– Zgadzam się – przytaknął Espérandieu z przekonaniem.

– Coś jeszcze? – zapytał Stehlin.

– Owszem. Jeśli Hirtmann ciągle depta mi po piętach, być może jest sposób, żeby tym razem go złapać. Pujol mógłby mnie śledzić. Z bardzo daleka, z kimś z brygady. Obserwacja na odległość, a przede wszystkim najbardziej dyskretna, jak się tylko da. Żadnego nadzoru wzrokowego albo bardzo ograniczony, Obserwacja GPS, radiolokacja. Jeśli Hirtmann rzeczywiście chce mnie mieć na oku, będzie musiał się pokazać, podjąc ryzyko, choćby minimalne. A kiedy to zrobi, będziemy na miejscu.

– Ciekawy pomysł... A co, jeśli wyjdzie z lasu?

– Wtedy wkroczymy.

- Tak bez wsparcia, bez jednostki interwencyjnej?
- Hirtmann nie jest terrorystą ani gangsterem. Nie jest przygotowany na taką konfrontację. Nie będzie stawiał oporu.
- A mnie się wydaje, że jest w pełni sił – sprzeciwił się Stehlin.
- Na razie nawet nie wiemy, czy ten plan ma szansę zadziałać. Sprawdźmy to, kiedy przyjdzie czas.
- Dobrze, w porządku. Ale chcę być poinformowany, kiedy tylko coś się ruszy, i macie mi mówić o wszystkim, na co traficie. Zrozumiano?
- Nie skończyłem – powiedział Servaz.
- Co jeszcze?
- Musimy zadzwonić do sędziego, potrzebuję nakazu. W związku z pewną zatrzymaną, która przebywa w areszcie w Seysses.

Stehlin skinął głową. Zrozumiał. Odwrócił się, sięgnął po gazetę leżącą za swoimi plecami i rzucił ją na blat przed Servazem.

- Nie zadziałało. Tym razem nie było żadnego przecieku.

Servaz spojrział na Stehlina. Czyżby się pomylił? Albo dziennikarz nie uznał wiadomości za wystarczająco istotną, albo to nie Pujol jest informatorem prasy.

Niebo za oknami sali było blade. Wszystko trwało w jakimś cholernym bezruchu. Biały upał rozciągnięty na krajobrazie jak przezroczysta błona. Krótkie, mocne cienie pod dębami i topolami, które wyglądały jak skamieniałe. Odrobinę ruchu na tym obrazie wprowadzały tylko biała smuga za odrzutowcem i kilka ptaków. Nawet uczniowie ostatnich klas liceum rozgrywający mecz na boisku do rugby wyglądali, jakby doskwierał im upał, i gra toczyła się w zwolnionym tempie, równie entuzjastyczna i natchniona jak gra futbolowej reprezentacji Francji.

Zapanowało lato i Margot, spoglądając przez okno, zastanawiała się, czy tak już zostanie. Słuchała wykładu z historii jednym uchem. Słowa spływały po niej jak krople wody po plastiku. Z płonąca głową myślała o odręcznie napisanej kartce, którą znalazła godzinę wcześniej przyklepioną taśmą klejącą do swojej szafki. Kiedy ją przeczytała, zarumieniła się ze wstydu i wściekłości, a później, gdy napotkała spojrzenia mijających ją kolegów, uświadomiła sobie, że wszyscy już wiedzą. Wiadomość brzmiała następująco:

Hugo jest niewinny. Twój ojciec powinien uważać. Ty też. Nie jesteś tu już mile widziana, pieprzona dziwko.

Jej taktyka zaczynała przynosić efekty...

KREGI

We wtorek o 13.05 Meredith Jacobsen czekała w hali przylotów lotniska Orly-Ouest na samolot Air France z Tuluzy-Blagnac. Lądowanie miało się odbyć z dziesięciominutowym opóźnieniem, ale kobieta wiedziała dlaczego: wylot został przesunięty po to, by jej szef, poseł Paul Lacaze, zdążył wsiąść na pokład. W ostatniej chwili udało mu się dostać bilet. Maszyna była wypełniona po brzegi.

Takie specjalne traktowanie zawdzięczał nie mandatowi poselskiemu, ale przynależności do mocno ograniczonego kręgu klientów o nazwie Club 2000. W przeciwieństwie do programów oferowanych największym podróżnikom, którzy udokumentują wiele tysięcy godzin wylatanych na pokładach samolotów obsługujących dalekie trasy, Club 2000 nie był programem lojalnościowym. Karta przyznawana była na podstawie drastycznych, ale płynnych kryteriów mocno ograniczonemu gronu potentatów gospodarczych, osobistości show-biznesu, wysokich urzędników i polityków. Początkowo liczba beneficjentów klubu ograniczała się do dwóch tysięcy osób z całego świata dla podkreślenia jego prestiżu i odrębności, stopniowo jednak rozrastała się i teraz było ich już dziesięć razy więcej. Wśród członków klubu można było znaleźć kilku kardynałów, sportowców i laureatów Nagrody Nobla. Oczywiście nie wszyscy spośród pięciuset siedemdziesięciu siedmiu posłów Zgromadzenia Narodowego – choć posiadali oni zagwarantowany darmowy transport – mieli dostęp do tego grona. Lacaze jednak był wschodzącą gwiazdą i ulubieńcem mediów, a linie lotnicze lubią rozpieszczać celebrytów.

Wreszcie drzwi się otworzyły i wypuszczono pasażerów. Meredith Jacobsen pomachała ręką swojemu szefowi, który szedł zaszępiony, z torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Dwudziestoosmioletnia Meredith, córka Francuzki i Szweda, absolwentka wydziału nauk politycznych, asystentka parlamentarna, była opłacana z prywatnych funduszy przyznawanych posłowi i zajmowała miniaturowe biuro przy rue de l'Université pod numerem 126. Lacaze zatrudniał czworo współpracowników, w tym dwoje członków rodziny – dalekiego kuzyna i bratanicę – opłacanych w stu procentach zgodnie z prawem ze środków

Zgromadzenia Narodowego, ale to Meredith była szefową załogi i osobą zaufaną, jedyną zatrudnioną na pełny etat.

Zakres obowiązków asystenta parlamentarnego nie jest ściśle określony. Meredith zajmowała się wszystkim: obsługą korespondencji, ustalaniem rozkładu dnia i planu spotkań, rezerwacją miejsc w pociągach, samolotach i hotelach, kontaktem z mediami, organizacjami pozarządowymi, związkami zawodowymi i środowiskami gospodarczymi, pisała sprawozdania, a nawet brała udział w redagowaniu propozycji ustaw i poprawek. Meredith była skarbem i Lacaze o tym wiedział. Wiedział też, że nie pozostanie długo w tym zawodzie, w którym nie ma żadnej perspektywy kariery. Poza tym była ładna. Dlatego płacił jej 2800 euro miesięcznie, najwyższą pensję w przedziale płacowym dla tego stanowiska, na którym zarabia się od kilkuset do kilku tysięcy euro.

Aby zapłacić swojej asystentce, Paul Lacaze nie sięgał jednak do własnej kieszeni. Jak każdy poseł, otrzymywał od rządu 8859 euro miesięcznie na zatrudnienie współpracowników, których liczba nie mogła przekraczać pięciu, na powierzane im prace, a także na pensje dla nich. Do tego dochodziła jego własna dieta poselska w wysokości 5189,27 euro, a także hojny dodatek z tytułu tak zwanego „funduszu reprezentacyjnego” w wysokości 6412 euro, nad którym Zgromadzenie Narodowe nie sprawowało żadnej kontroli. Z państwowych pieniędzy pokrywane były też koszty wszystkich jego podróży kolejami państwowymi, a także połączeń telefonicznych i internetowych, dzięki czemu nie obciążały one wymienionego wcześniej wynagrodzenia. Nawet gdyby się okazało, że Lacaze wydaje nie więcej niż połowę otrzymywanych pieniędzy, nikt nie byłby na tyle nietaktowny, by poprosić go o ich zwrot.

Meredith cmoknęła szefa w oba policzki, chwyciła jego torbę i obydwójce ruszyli w stronę strefy krótkiego postoju, gdzie czekała na nich taksówka.

– Musimy się spieszyć – powiedziała. – Devincourt czeka na ciebie z obiadem w Kręgu.

Lacaze zaklął w duchu: Wieloryb mógł wybrać bardziej dyskretne miejsce. Oficjalnie Devincourt był tylko zwykłym senatorem. Nawet nie był przewodniczącym grupy. W rzeczywistości jednak siedemdziesięciodwulatek był jedną z szych w swojej partii. Po raz pierwszy został wybrany na posła w 1967 roku, w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Przez ponad czterdzieści lat stał na czele najważniejszych ministerstw, poznał sześciu prezydentów, osiemnastu premierów, tysiące parlamentarzystów, zbudował i udaremnił więcej układów niż ktokolwiek inny. Lacaze uważał go

za dinozaura, kogoś, kto jest już passé, za przeżytek – nikt jednak nie mógł sobie pozwolić na to, by nie słuchać Wieloryba.

Meredith Jacobsen obciągnęła spódnicę, sadowiąc się na tylnym siedzeniu taksówki i Lacaze po raz kolejny zauważył, że dziewczyna ma naprawdę ładne nogi. Z radia na cały regulator leciała piosenka Davida Bowie i poseł poprosił kierowcę, żeby ściszył. Meredith, która siedziała z otwartą teczką na kolanach, przystąpiła do przedstawiania mu rozkładu dnia. Lacaze słuchał jej z roztargnieniem, obserwując smutne, opuszczone zabudowania przemysłowe na południowych przedmieściach Paryża. W sumie wolał już slumsy Buenos Aires i São Paulo. Zwiedził je przy okazji luksusowej wizyty zorganizowanej przez jedno z towarzystw przyjaźni przy Zgromadzeniu Narodowym.

Wchodząc do głównej sali, Lacaze zauważył, że Wieloryb nie zaczekał na niego z jedzeniem. Królował pośrodku restauracji Kręgu Zjednoczenia Międzypańskanckiego* na pierwszym piętrze. Stary senator wolał ją od obłożonego przy ładnej pogodzie tarasu i kawiarenki, w której tłoczyli się umięśnieni trzydziestolatkowie korzystający ze sportowej oferty klubu. Wieloryb nie uprawiał sportu i ważył sto pięćdziesiąt kilogramów. Do Kręgu uczęszczał w czasach, gdy wszystkich tych smarkaczy nie było jeszcze na świecie. Krąg Zjednoczenia Międzypańskanckiego powstał w 1917 roku, z chwilą przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Został utworzony jako miejsce spotkań dla oficerów i osobistości trójporozumienia w jednym z najpiękniejszych prywatnych budynków Paryża, przy rue du Faubourg - Saint-Honoré, między ambasadą brytyjską i amerykańską, Pałacem Elizejskim i luksusowymi butikami VIII dzielnicy. Dawno już stracił pierwotne przeznaczenie. Dwie restauracje, bar, park, biblioteka z piętnastoma tysiącami woluminów, prywatne salony, sala bilardowa, basen, łaźnia turecka i kompleks sportowy w podziemiach. Koszt przyjęcia: około 4000 euro. Roczna składka: 1400. Oczywiście, aby zostać przyjętym, nie wystarczyło mieć pieniądze. Gdyby tak było, wszyscy nowobogacy handlarze ciuchami z drugiej strony Atlantyku, chuderławi i pryszczaci geniusze informatyczni oraz dealerzy narkotyków z departamentu Seine-Saint-Denis zwaliliby się do jego salonów i trampkami deptali jego dywany. Do Kręgu należało zostać wprowadzonym i mieć cierpliwość, gdyż dla niektórych czas oczekiwania trwał całe życie.

* Fr. Cercle de l'Union Interalliée

Przeciskając się między stolikami, Lacaze przyglądał się senatorowi, który jeszcze go nie zauważył. Siedział przed homarem – niewysoki, otyły, ubrany w przyciągający uwagę prążkowany garnitur i białą koszulę, Lacaze widział fałdy na jego karku i wałki tłuszczu rozciągające tkaninę kosztownego ubrania.

– Mój młody przyjacielu – odezwał się Devincourt przepitym głosem, kiedy zauważył posła – niech pan siada. Nie zaczekałem na pana. Mój żołądek jest bardziej wymagający niż najkapryśniejsza kochanka.

– Dzień dobry, senatorze.

Kiedy podszedł do nich kierownik sali, Lacaze zamówił łopatkę jagnięcą z borowikami.

– Cóż, powiedziano mi, że zadał się pan z jakąś cizią, a jej przyszedł do głowy brzydki pomysł, żeby zdechnąć? Mam przynajmniej nadzieję, że warto było.

Lacaze zadrżał. Wziął głęboki oddech. Poczul w żołądku kwaśną mieszanekę wściekłości i rozpacz. Słyszac, w jaki sposób ten tłusty drań nazwał Claire, miał ochotę rzucić się na niego z pięściami i rozwalić mu czaszkę. Ale już raz pękł, przed tamtym gliniarzem. Musi się pozbierać.

– W każdym razie nie otrzymywała za to wynagrodzenia – wycedził przez zaciśnięte szczęki.

Paryska śmietanka wiedziała, że Wieloryb korzysta z kosztownych usług specjalistycznych świadczonych przez dziewczęta ze Wschodu, które mężczyźni sprowadzają do drogich hoteli. Przez chwilę senator wpatrywał się w niego nieprzeniknionym wzrokiem, po czym wybuchnął śmiechem, który ściągnął na nich spojrzenia innych gości: jedne były wściekłe, inne — zaskoczone.

– O kurwa, co za dupek! W dodatku był zakochany! – Devincourt wytarł tłuste wargi rogiem serwetki i nagle odzyskał powagę. – Miłość... – W jego żarłocznych ustach to słowo zabrzmiało wręcz obscenicznie i Lacaze znowu poczul, jak skręcają mu się wnętrzności. – Ja też byłem zakochany – powiedział nagle Wieloryb. – Dawno temu. Jako student. A ona była taka piękna, cudowna. Studiowała na Akademii Sztuk Pięknych. Miała talent. O tak. Myślę, że to były najpiękniejsze dni mojego życia. Miałem zamiar się z nią ożenić. Marzyłem o dzieciach, dużej rodzinie i o tym, żeby w każdej chwili mojego życia mieć ją przy sobie. O tym, że będziemy wieść słodkie, długie i spokojne życie, że będziemy się razem starzeć i patrzeć, jak nasze dzieci dorastają i mają dzieci, że

będziemy dumni z nich, z naszych przyjaciół, z samych siebie. Sentymalne marzenia. Miałem nimi wypchaną głowę. Wyobraża pan sobie? Ja, Pierre Devincourt! A potem przyłapałem ją w łóżku z innym. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby zamknąć drzwi na klucz. A pana przyjaciółka miała kogoś innego?

– Nie.

Zdecydowana, natychmiastowa odpowiedź. Devincourt rzucił mu ostrożne spojrzenie, pod ciężkimi powiekami mignął krótki błysk.

– Ludzie głosują – powiedział nagle Wieloryb. – Wydaje im się, że decydują... Nie mają żadnej mocy decydowania. Żadnej. Ponieważ bez końca, wybory za wyborami, kadencja za kadencją, oddają władzę tej samej kaście. Tej samej grupie ludzi, którzy decydują za nich. Nam. Kiedy mówię „nam”, mam na myśli także naszych politycznych przeciwników. Dwie partie, które od pięćdziesięciu lat dzielą się władzą, które udają, że w niczym się nie zgadzają, podczas gdy zgadzają się prawie we wszystkim. Od pięćdziesięciu lat jesteśmy panami tego kraju i sprzedajemy poczciwemu ludowi ten fortel pod tytułem „przemiany demokratyczne”. Okresy kohabitacji powinny były go zastanowić: jak dwie władze wywodzące się ze skrajnie różnych opcji mogą razem rządzić? Ale nie: w dalszym ciągu łykał tę bujdę, jak gdyby nigdy nic. A my korzystaliśmy z jego wspaniałomyślności. – Podniósł do ust grzyba na widelcu. – Ale ostatnimi czasy niektórym zachciało się zbyt szybko podzielić ten tort. Zapomnieli, że należy odegrać komedię, okazać minimum dyskrecji i wiarygodności. Na lud można szczać, jeśli wierzy on, że pada deszcz. – Wieloryb znowu wytarł usta. – Paul, nie zostanie pan szefem partii, jeśli będzie pan w coś zamieszany. Już nie. Te czasy się skończyły. Niech więc pan to tak załatwi, żeby pańskie nazwisko nie pojawiło się w związku z tą sprawą. Ja się zajmę tym komendancikiem. Będziemy go mieć na oku. Ale chcę wiedzieć: ma pan alibi na wieczór, kiedy popełniono morderstwo?

– Mój Boże, co pan sobie wyobraża? Że to ja ją zabiłem? ~ oburzył się.

Zobaczył, że w oczach grubasa zapłonął ogień. Wieloryb pochylił się nad stołem i jego bas zagrział między szklankami jak uderzenie pioruna:

– Posłuchaj mnie, mały, podły dupku! Zachowaj swoje oburzenie zgorszonej dziewicy dla sądu, dobra? Chcę wiedzieć, co robiłeś tamtego wieczoru: pieprzyłeś ją, lizaleś jej cipkę, piłeś z przyjaciółmi, wciągałeś kreskę w kiblu, był z tobą ktoś czy nie, czy ktoś to, do cholery, może potwierdzić! I przestań mi tu zgrywać niewiniątko!

Lacaze poczuł się, jakby go spoliczkowano. Krew odpłynęła z jego twarzy. Rozejrzał się dookoła, żeby się upewnić, że nikt nie słyszał, a następnie wlepił w grubasa spojrzenie sfinksa.

– Byłem... byłem z Suzanne. Oglądaliśmy DVD. Włoską komedię. Od czasu jak ma... raka, staram się jak najwięcej przebywać w domu.

Senator się wyprostował.

– Przykro mi z powodu Suzanne. To straszne, co ją spotkało. Bardzo lubię twoją żonę.

Wieloryb powiedział to z brutalną uczciwością. Z powrotem zanurzył nos w swoim talerzu. Koniec dyskusji. Lacaze poczuł, jak zalewa go poczucie winy. Zastanawiał się, jak zareagowałby człowiek siedzący naprzeciwko, gdyby poznał prawdę.

PAWILONY

Najpierw zwracały uwagę hałasy. Były wszechobecne, natrętne, niepokojące. Tworzyły gęsty podkład dźwiękowy, rozlegały się bez przerwy jak niezbędna rutyna. Głosy, drzwi, krzyki, kraty, zamki, kroki, brzęk kluczy... Potem pojawiał się zapach. Nie jakiś szczególnie nieprzyjemny, ale charakterystyczny. Jedyne w swoim rodzaju. Wszystkie więzienia pachną tak samo.

Tutaj głosy w większości były kobiece. Pawilon dla kobiet zakładu karnego w Seysses niedaleko Tuluzy. Do więzienia należały też trzy inne budynki: dwa dla mężczyzn i jeden dla nieletnich.

Kiedy strażniczka otworzyła drzwi, Servaz odruchowo napiął mięśnie. Zostawił broń i odznakę przy wejściu, wypełnił dokumenty, przeszedł przez służbę i bramki bezpieczeństwa. Przemierzając więzienne korytarze w ślad za strażniczką, przygotowywał się psychicznie.

Kobieta dała znak, by wszedł. Zaczepił powietrza. Skazana numer 1614 siedziała z łokciami na blacie stołu, trzymając przed sobą skrzyżowane ramiona. Światło jarzeniówki padało na jej kasztanowe włosy, które nie były już długie, sprężyste i bujne, jak wtedy, kiedy widział ją poprzednim razem, ale krótkie, suche i matowe. Spojrzenie jednak miała takie samo. Elisabeth Ferney nie straciła ani odrobiny swej arogancji. Ani wyniosłości. Servaz mógłby się założyć, że wyrobiła sobie tutaj pozycję równą tej, jaką miała, będąc przełożoną pielęgniarek w Instytucie Wargniera. Przed którą wszyscy chyliłi czoło i która umożliwiła ucieczkę Julianowi Aloisowi Hirtmannowi. Servaz brał udział w jej procesie. Choć adwokat usiłował podkreślać fakt, iż jego klientka została zmanipulowana przez Szwajcara i przedstawiać ją jako ofiarę, jej osobowość świadczyła przeciwko niej. Przysięgli na własne oczy mogli stwierdzić, że kobieta na ławie oskarżonych nie ma w sobie nic z ofiary.

– Cześć, komendancie.

Ten sam stanowczy głos. Była w nim jednak nowa nuta: znużenie. A może zmęczenie. Lekko rozwlekła intonacja. Servaz zastanawiał się, czy Lisa Ferney nie jest pod wpływem antydepresantów. To dość powszechna praktyka w tym miejscu.

– Dzień dobry, Elisabeth.

– O, to teraz mówi się do mnie po imieniu? Zostaliśmy kumplami? Nie wiedziałam. Tutaj mówią raczej Ferney. Albo 1614. Ta dziwka, która pana przyprowadziła, nazywa mnie „zołzą numer jeden” Ale to tylko fasada. Tak naprawdę przychodzi do mnie w nocy i to ona jest na kolanach...

Servaz wpatrywał się w nią, usiłując odróżnić prawdę od fałszu, ale był to daremny trud. Elisabeth Ferney była nieodgadniona. Jedynie iskierki złośliwej radości tańczące w jej brązowych oczach mogły być jakimś sygnałem. Servaz znał kiedyś pewnego dyrektora więzienia, który o zatrzymanych, będących pod jego opieką, mówił „szmaty” i „kurwy”. Regularnie je wyzywał, molestował seksualnie najmłodsze, a w nocy razem z kilkoma strażnikami odwiedzał pawilon kobiet, by dać sobie zrobić loda. Został odwołany, ale nie zastosowano wobec niego żadnych sankcji, ponieważ prokurator uznał, iż samo odwołanie jest już wystarczającą karą. Kto jak kto, ale Servaz akurat dobrze wiedział, że w więziennym świecie wszystko jest możliwe.

– Wie pan, czego mi najbardziej brakuje? – ciągnęła, wyraźnie zadowolona z reakcji, którą wyczytała z jego twarzy. – Internetu. – Wszyscy się uzależniliśmy od tego świństwa, to szaleństwo. Jestem pewna, że brak dostępu do Facebooka spowoduje błyskawiczny wzrost liczby samobójstw w więzieniach.

Odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej. Przez zamknięte drzwi słyszał rozmaite odgłosy: echo rozmów, nawoływania, dźwięk pchanego wózka; a potem charakterystyczne podzwanie metalu o metal. Servaz wiedział, co to jest. Pora spaceru. Strażnicy wykorzystywali ją na wejście do cel i upewnienie się, czy żaden z prętów w oknie nie został przepiłowany: uderzali w nie żelaznym drągiem. Hałasy... Nic nie dawało więźniom bardziej odczuć ich osamotnienia niż ten stały podkład dźwiękowy.

– Wie pan, że siedemdziesiąt procent osadzonych tutaj to narkomanki? Mniej niż dziesięć procent korzysta z leczenia substytucyjnego. W ubiegłym tygodniu jedna dziewczyna powiesiła się na pasku. To była jej siódma próba, mówiła, że zamierza zrobić to jeszcze raz. A oni zostawili ją samą, bez nadzoru. Rozumie pan: gdybym chciała, mogłabym zniknąć. W ten czy inny sposób.

Zastanawiał się, do czego kobieta zmierza. Czy Elisabeth Ferney próbowała popełnić samobójstwo? Zapisał sobie, by spytać o to personel medyczny.

– Ale pan nie przyszedł tu ot tak, żeby się dowiedzieć, co u mnie słychać, prawda?

Servaz przewidział to pytanie. Jeszcze raz przypomniał sobie radę, jakiej udzielił mu ojciec. Szczerość. Nie był pewien, czy to dobra strategia – ale nie miał innej na podorędziu.

– Julian do mnie napisał. E-maila. Sądzę, że jest tutaj, w Tuluzie. Albo gdzieś niedaleko.

Czy coś wyczytał w spojrzeniu byłej przełożonej pielęgniarek? A może to tylko jego wyobraźnia? Wpatrywała się w niego, wciąż nieprzenikniona.

– Julian, Elisabeth... To teraz wszyscy jesteśmy kolegami. No i co pisał w tym e-mailu?

– Że zamierza znowu przejść do działania, że cieszy się wolnością.

– I pan w to wierzy?

– A co pani o tym myśli?

Uśmiech na nieumalowanych wargach wyglądał jak szrama po nacięciu scyzorykiem.

– Niech pan pokaże tego e-maila, to może coś panu powiem.

– Nie.

Uśmiech zniknął.

– Wygląda pan na zmęczonego, Martin. Na kogoś, kto niewiele sypia. Czy się mylę? To z jego powodu, prawda?

– Pani też nie wygląda najlepiej, Liso.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. To Hirtmann nie daje panu spokoju? Boi się pan, że dobierze się panu do skóry? Ma pan dzieci?

Servaz wbił paznokcie w dłonie, które trzymał pod stołem. Następnie położył ręce płasko na udach i spróbował się rozluźnić. W tej kobiecie było coś, co mroziło go do szpiku kości. Poczul wilgoć pod pachami.

– Ale właściwie dlaczego pan? O ile się nie mylę, spotkał się pan z nim tylko raz. Pamiętam pańską wizytę w Instytucie. Z tym małym psychologiem z bródką i z babką z żandarmerii... Ładna dziewczyna. Co

takiego powiedzieliście sobie z Julianem tamtego dnia, żeby miał się na pana tak zawziąć? A pan zawziął się na niego, prawda?

Pomyślał, że nie powinien pozwalać na to, by to ona prowadziła rozmowę. Elisabeth Ferney była z tej samej gliny co Hirtmann: perwersyjna, narcystyczna manipulatorka, osoba do głębi egocentryczna, nieustannie dążąca do zawładnięcia umysłami innych. Zamierzał coś powiedzieć, ale nie dała mu dojść do słowa.

– I co, pomyślał pan, że być może skontaktował się z dawną współpracowniczką, tak? Nawet gdybym coś wiedziała, dlaczego miałabym o tym opowiadać? Zwłaszcza panu?

To pytanie również przewidział. Zmierzył się z jej spojrzeniem.

– Rozmawiałem z sędzią. Dostęp do codziennej prasy i możliwość korzystania z pracowni komputerowej. Z kontrolowanym dostępem do Internetu raz w tygodniu. Osobiście się dowiem, czy administracja tej... placówki respektuje decyzję sędziego. W tej sprawie ma pani moje słowo.

– A jeśli nie mam panu nic do powiedzenia? Jeśli Hirtmann się ze mną nie kontaktował? Umowa nadal stoi? – Uśmiechnęła się złośliwie. Servaz nic nie odpowiedział. – Jaką mam gwarancję, że dotrzyma pan słowa, że to nie blef?

– Żadnej.

Zaśmiała się. Ale w jej śmiechu nie było radości. Udało mu się. Wyczytał to w jej spojrzeniu,

– Żadnej – powtórzył. – Nie ma pani żadnej gwarancji. Wszystko zależy od tego, czyja pani uwierzę czy nie. Wszystko zależy ode mnie, Elisabeth. Ale i tak nie ma pani wielkiego wyboru, prawda?

W oczach siedzącej naprzeciwko kobiety na krótko pojawił się płomyk gniewu i nienawiści. Musiała powtarzać to zdanie tak często, że rozpoznawała je nawet wtedy, gdy wypowiadał je kto inny. Zdanie, które wygłasza ten, kto ma władzę. Teraz role się odwróciły i miała okrutną świadomość tego faktu. Tak często była na jego miejscu, kiedy z doktorem Xavierem rządziła Instytutem Wargniera – grożąc pacjentom i głaszcząc ich, przedstawiając im możliwe zyski i straty, mówiąc dokładnie to, co przed chwilą powiedział Servaz: że nie mają wyboru i wszystko zależy od niej.

– W przeciwieństwie do pana nie mam żadnych wiadomości od Juliana Hirtmanna – odpowiedziała, a policjant wyczuł w jej głosie nieudawany żal i smutek. – Nie szukał kontaktu ze mną. Długo czekałam

na jakiś znak. Na cokolwiek... Wie pan tak samo dobrze jak ja, że nie ma nic prostszego niż przekazać wiadomość więźniowi. Ale to nigdy nie nastąpiło. Nie. Mam za to jedną informację, która powinna pana zainteresować.

Wytrzymał jej spojrzenie, czekając ze wszystkimi zmysłami w pogotowiu.

– Raz w tygodniu komputer i dostęp do codziennej prasy, jesteście umówieni?

Kiwnął głową.

– Ktoś jeszcze był tu przed panem. Ktoś, kto chciał wiedzieć dokładnie to samo co pan. I żeby było śmieszniej, to było dzisiaj.

– Kto?

Posłała mu szelmowski uśmiech. Wstał.

– Cóż, pozostaje mi zapytać dyrektora – powiedział.

– Świetnie. Niech pan wraca do siebie. Tylko niech pan nie zapomni o złożonej obietnicy.

Zamierzał się spotkać z jeszcze jedną osobą. W pawilonie dla nieletnich. Zdawał sobie sprawę, że to absolutnie nielegalne. Ale Servaz miał w więzieniu swoje kontakty i wiedział, że wiadomość o tym spotkaniu nie dojdzie do uszu dyrektora. Właśnie po to poprosił sędziego o zgodę na przesłuchanie Elisabeth Ferney w ramach śledztwa w sprawie Hirtmanna: żeby mieć dostęp do więzienia.

Idąc korytarzami, zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu Lisa Ferney. Ktoś był u niej przed nim. Osoba, której Servaz dawno nie widział. Znowu miał przed oczami obraz lawiny.

Otwarto przed nim drzwi i policjant aż zadrżał. Psiakrew! Zapadnięte policzki, sine cienie pod oczami, spłoszone spojrzenie. Wiedział, że Hugo został umieszczony w osobnej celi, ale w tym momencie zaczął się o niego bać. Gdyby Marianne zobaczyła swojego syna w takim stanie, byłaby wstrząśnięta. Servaz wyszedł i przymknął za sobą drzwi.

– Chcę, żeby został objęty specjalnym nadzorem – powiedział do strażnika. – Proszę mu zabrać pasek, sznurówki, wszystko. Boję się, żeby nie zrobił głupstwa. Ten dzieciak niedługo stąd wyjdzie. To tylko kwestia czasu.

Przypomniął sobie słowa Lisy Ferney: „W ubiegłym tygodniu jedna dziewczyna powiesiła się na pasku. To była jej siódma próba. A oni zostawili ją samą, bez nadzoru...” Strażnik uśmiechał się i mierzył go wzrokiem.

– Kurwa, zrozumiał mnie pan?

Strażnik rzucił mu obojętne spojrzenie, po czym skinął głową. Servaz obiecał sobie, że przed wyjściem porozmawia z dyrektorem, i wrócił do pomieszczenia.

– Dzień dobry, Hugo.

Żadnej odpowiedzi.

Tak jak podczas spotkania z Elisabeth Ferney wysunął krzesło i usiadł.

– Hugo – zaczął – okropnie mi przykro z powodu... tego. – Wskazał ręką na pomieszczenie. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby przekonać sędziego do wypuszczenia cię na wolność, ale wydaje mi się... że okoliczności obciążające były zbyt poważne. Przynajmniej na razie.

Hugo wpatrywał się we własne dłonie. Spojrzenie Servaza padło na jego paznokcie – obgryzione do krwi.

– Bo pojawiły się nowe okoliczności. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie zostaniesz tutaj długo.

– Niech mnie pan stąd wyciągnie!

Ten krzyk zaskoczył Servaza, tak że policjant aż podskoczył. To było błaganie, zaklinanie. Spojrzał na chłopaka. Po jego policzkach płynęły łzy, wargi mu drżały.

– Niech mnie pan stąd wyciągnie, błagam pana.

Tak, pomyślał. Nie martw się. Wyciągnę cię stąd. Ale musisz się trzymać, chłopcze.

– Posłuchaj mnie! – powiedział. – Musisz mi zaufać. Pomogę ci stąd wyjść, ale ty ze swojej strony też musisz mi pomóc. Absolutnie nie mam prawa tu być i widzieć się z tobą: postawiono ci zarzuty i może z tobą rozmawiać tylko sędzia w obecności twojego adwokata. Mogłyby mnie za to spotkać dotkliwe sankcje. Przy tych nowych okolicznościach sędzia będzie musiał rozważyć swoje stanowisko. Zrozumiałeś?

– Co za nowe okoliczności?

– Paul Lacaze, znasz?

Chłopak mrugnął, co nie umknęło Servazowi. Nie na darmo od piętnastu lat był detektywem.

– Znasz go, prawda? PRAWDA?

Hugo znowu wpatrywał się w swoje obgryzione paznokcie.

– Kurwa, Hugo!

– Tak, znam go. – Zamilkł, a Servaz czekał chwilę w milczeniu. – Wiem, że spotykał się z Claire.

– Spotykał się?

– Byli w związku... Absolutnie *top secret*. Lacaze jest żonaty, jest posłem i merem Marsac. Ale jak pan się o tym dowiedział?

– Znaleźliśmy e-maile w komputerze Claire. – Tym razem Servaz nie zauważył żadnej reakcji. Wyglądało na to, że wiadomość nie zaskoczyła chłopaka. A zatem to prawdopodobnie nie on wyczyścił jej pocztę. Komendant pochylił się nad stołem. – Paul Lacaze był w supertajnym związku z Claire Diemar. Nikt nie mógł o nim wiedzieć, sam to powiedziałeś. A zatem skąd ty wiedziałeś?

– Ona mi powiedziała.

Servaz spojrział na niego zaskoczony.

– Jak to?

– Claire opowiadała mi o wszystkim.

– A niby z jakiej racji?

– Bo byliśmy kochankami.

Policjant wpatrywał się w chłopaka, przetrawiając wiadomość.

– Wiem, co pan teraz myśli. Mani siedemnaście lat, a ona miała trzydzieści dwa. Ale kochaliśmy się. Poznała Paula Lacaze'a przede mną. Postanowiła z nim zerwać. Był w niej bardzo zakochany. I zazdrosny. Od jakiegoś czasu podejrzewał, że ma kogoś innego. Bała się, że się wścieknie i zrobi aferę, jak się dowie, że Claire ma romans ze swoim uczniem, w dodatku niepełnoletnim. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę jego sytuację, on też nie miał ruchu. Nie mógł sobie pozwolić na nagłośnienie tej sprawy.

– Od jak dawna?

– Od paru miesięcy. Na początku było tak, jak panu mówiłem: rozmawialiśmy o literaturze, ona się interesowała tym, co piszę, bardzo

wierzyła w mój talent i chciała mnie zachęcić, pomóc mi. Powiedziała, żebym od czasu do czasu wpadał do niej na kawę. Wiedziała, że po Marsac rozejdą się plotki, ale miała to gdzieś: taka była Claire, wolna, była ponad to wszystko. A potem stopniowo się w sobie zakochaliśmy... To dziwne, bo na początku zupełnie nie była w moim typie. Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej osoby.

– Dlaczego nie powiedziałeś o tym ani sędziemu, ani mnie?

Hugo zrobił wielkie oczy.

– Żartuje pan? Dobrze pan wie, że wtedy tym bardziej byłbym podejrzany!

Miał rację.

– Czy Paul Lacaze mógł wiedzieć o tobie i Claire? Zastanów się. To ważne.

– Wiem, o czym pan myśli – odpowiedział smutno Hugo. – Szczerze mówiąc, nie wiem. Obiecała mi, że mu o wszystkim powie. Długo o tym rozmawialiśmy. Miałem dość tej sytuacji, nie chciałem, żeby się z nim dalej spotykała. Ale prawdę powiedziawszy, nie wiem, czy zdążyła to zrobić. Ciągle zwlekała, znajdowała różne preteksty, żeby odłożyć to na później. Myślę, że bała się jego reakcji.

Servaz przypomniał sobie płomienne e-maile Claire Diemar, jej miłosne wyznania kierowane do Thomasa999. Pomyślał o petach w lesie, o postaci, która wyszła z pubu za Hugonem, o tym, że chłopak zeznał, iż stracił świadomość i ocknął się w salonie Claire. Może Paulowi Lacaze'owi nie trzeba było niczego mówić. Może wiedział.

Kiedy wyszedł na parking, uderzyła w niego fala gorąca. Słońce wisiało jak lampa na niebie, które miało kolor białka kurzego jaja. Miał wrażenie, jakby brakowało mu powietrza. Otworzył na przestrzał drzwi jeepa, by wypuścić panujący w kabinie żar. Po jego lewej stronie, w odległości jakichś trzystu metrów, wznosiły się mury i wieżyczki innego więzienia – zakładu karnego w Muret. Przebywali w nim skazani z długimi wyrokami i w przeciwieństwie do więzienia, z którego właśnie wyszedł, wśród sześciuset osadzonych nie było ani jednej kobiety.

Miejsca dla dwóch tysięcy kobiet skazanych na karę pozbawienia wolności oferowały sześćdziesiąt trzy spośród stu osiemdziesięciu sześciu zakładów penitencjarnych we Francji. Tylko sześć z nich było więzieniami wyłącznie żeńskimi. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer.

– Ziegler – odezwał się głos po drugiej stronie.

– Musimy pogadać.

– Jesteś bardzo opalona.

– Właśnie wróciłam z wakacji.

– Gdzie byłaś? – spytał, choć odpowiedź ani trochę go nie interesowała. Jednak nie zapytać o to byłoby nietaktem.

– Na Cykladach. – Ton jej odpowiedzi wskazywał, że nie jest naiwna.

– Leniuchowanie, opalanie, skutery wodne, spacer, ruiny, nurkowanie...

– Powinienem wcześniej się do ciebie odezwać – przerwał jej – i zapytać, co słyhać, ale wiesz, jak jest, byłem, eee... zajęty.

Spoglądała na ludzi okupujących sympatyczny ogródek knajpy Bar Basque w cieniu drzew, na placu Świętego Piotra – w Tuluzie, nie w Rzymie.

– Nie musisz się tłumaczyć, Martin. Ja też mogłam zadzwonić. A to, co zrobiłeś... ten bardzo pozytywny raport, który napisałeś po tym wszystkim, wiesz, dali mi go przeczytać – skłamała. – Powinnam była ci za to podziękować.

– Napisałem tylko, jak było.

– Nie. Opowiedziałeś o tym z pewnej perspektywy, w sposób, który stawiał mnie poza podejrzeniami. Na podstawie tych samych faktów można by napisać coś całkiem przeciwnego. Wszystko jest kwestią perspektywy. Przynajmniej ty dotrzymałeś obietnicy.

Wzruszył ramionami zakłopotany. Kelnerka precyzyjnie się między stolikami i postawiła przed nimi kawę i wodę Perrier.

– A jak tam na nowym stanowisku? Teraz ona wzruszyła ramionami.

– Kontrole drogowe, od czasu do czasu jakaś bójka między pijakami w barze, włamanie, akty wandalizmu, czasem złapiemy jakiegoś handlarza głównym przy bramie liceum. Ale dzięki temu widzę, jak dobrze mi było w poprzednim miejscu. Zdezelowane pomieszczenia, obskurne mieszkania, absurdalne decyzje podejmowane przez odklejone kierownictwo... Słyszałeś o syndromie „wiercącego się żandarma”?

– O czym?

– Jajogłowi, którzy nami rządzą, postanowili w trybie pilnym wyposażyć nasze biura w nowe fotele. Ale jest pewien problem: dla funkcjonariusza z bronią na biodrze podłokietniki są za wąsko ustawione. Efekt: wszyscy żandarmi w tym kraju wiercą się na siedzeniach, zanim uda im się usiąść.

Servaza rozbawił ten obraz. Ale nie na długo.

– Odwiedziłaś wczoraj w puszcze Lisę Ferney – przeszedł do rzeczy. – Po co?

Spojrzała mu prosto w oczy. Przypomniwał sobie tę wietrzną noc na posterunku żandarmerii w górach, kiedy opowiedziała mu o tym, jak została zgwałcona przez tych samych mężczyzn, którzy zgwałcili Alice Ferrand i innych nastolatków w ośrodku kolonijnym Les Isards. Patrzyła teraz prawie tak samo jak wtedy. Ponuro.

– Przeczytałam w gazecie, że Hirtmann nawiązał z tobą kontakt, że wysłał ci tego e-maila. I... – Szukała właściwych słów. – Od wydarzeń w Saint-Martin nie przestałam o nim myśleć. Tak jak ci mówiłam, w brygadzie nic specjalnie ciekawego się nie dzieje. Więc żeby się czymś zająć, zbierałam informacje o Hirtmannie. Od śledztwa w Saint-Martin to jest w pewnym sensie moja obsesja, takie hobby. Jak kolejki elektryczne, zbieranie znaczków albo motyli, rozumiesz? Tyle że motyl, którego chcę przypiąć szpilką w mojej gablocie, jest seryjnym mordercą.

Podniosła do ust szklanke z wodą. Servaz przyglądał się Irène. Nadal miała wytatuowany mały chiński ideogram na szyi i dyskretny kolczyk w lewym płątku nosa. Nie wyglądała na typową funkcjonariuszkę żandarmerii. Nie żeby mu się to nie podobało. Cenił Irène Ziegler. Lubił z nią pracować. Wpatrywał się w nią intensywnie.

– Chcesz powiedzieć, że zbierasz wszystko, co się o nim mówi albo pisze?

– Tak. Coś w tym stylu. Staram się gromadzić informacje, sprawdzać, czy mogą mnie dokądś zaprowadzić. Jak dotąd bez wielkiego sukcesu. Jakby zapadł się pod ziemię. Nikt nie wie, czy jest żywy czy martwy. Więc kiedy wracając z wakacji, zobaczyłam, że nawiązał z tobą kontakt, od razu pomyślałam o Lisie Ferney. I poszłam się z nią spotkać.

– To może być dowcip – powiedział. – Albo efekt copycat.

Zobaczyła, że się waha.

– Ale jest coś jeszcze – dodał.

Nie odpowiedziała. Sądziła, że wie, o czym Servaz zamierza jej powiedzieć, ale nie mogła się zdradzić z tym, co znalazła w jego komputerze.

– Na jednym z odcinków autostrady A20 ktoś widział motocyklistę podobnego do Hirtmanna, który mówił z akcentem, być może szwajcarskim. Zeznania kierownika sklepu potwierdziły zdjęcia z kamery w punkcie opłat kawałek dalej na południe. Jeśli to był on, to jechał w kierunku Tuluzy.

– Kiedy to było? – zapytała, choć znała odpowiedź.

– Jakies dwa tygodnie temu.

Rozejrzała się dookoła, jakby Szwajcar mógł być gdzieś w tłumie i szpiegować ich. Większość klienteli stanowili studenci. Ogródek, z murem z różowej cegły, dzikim winem i kamienną fontanną przypominał prowansalski placyk. Odtworzyła w myślach dokładne brzmienie e-maila. Miała ochotę powiedzieć mu, co o tym myśli, ale nie mogłaby tego zrobić bez przyznania się, że włamała się do jego komputera.

– A ten e-mail – rzuciła. — Masz kopię?

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął złożoną na czworo kartkę i podał jej. Zabrała się do ponownego czytania tekstu, choć znała go już na pamięć.

– Nie daje ci to spokoju, co?

Przytaknęła.

– Co o tym myślisz? – chciał się dowiedzieć.

– Hm... – udała, że kontynuuje lekturę.

– Hirtmann czy nie?

Zrobiła minę, jakby się zastanawiała.

– Według mnie to do niego podobne.

– Dlaczego tak uważasz?

– Mówiłam ci, spędziłam parę miesięcy na analizowaniu jego osobowości, jego zachowania. Nie chwaląc się, sądzę, że znam go lepiej niż ktokolwiek inny. A to brzmi prawdziwie, ma coś w sobie. Jakbym słyszała jego głos, tak jak wtedy, kiedy byliśmy w jego celi.

– A jednak został wysłany przez jakąś kobietę z kafejki internetowej w Tuluzie.

– Ofiara albo współniczka – oceniła. – Gdyby się okazało, że znalazł kobietę równie zboczoną jak on, byłoby to bardzo niepokojące – dodała, wpatrując się w niego.

Pomimo panującego upału Servaza przeszył zimny dreszcz.

– To mówisz, że w nowej pracy ci się nudzi? – zagadnął, uśmiechając się półgębkiem.

Spojrzała na niego, wyraźnie zaciekawiona, co policjant ma na myśli.

– Powiedzmy sobie, że nie dla takich rzeczy wstąpiłam do żandarmerii.

Przez chwilę wyglądał, jakby się namyślał, po czym zdecydował:

– Samira i Vincent zajmują się zbieraniem informacji na temat Hirtmanna. Ale poprosiłem ich też, żeby czuwali nad moją córką. Margot uczy się w Marsac. Jak większość studentów mieszka w bursie. Stanowi więc idealny cel. – Servaz zdał sobie sprawę, że mówiąc te słowa, ściszył głos, jakby się bał, że gdyby wypowiedział je głośno, mogłyby się urzeczywistnić. – Co byś powiedziała, gdybym przekierowywał do ciebie wszystkie informacje, które otrzymujemy na temat Hirtmanna? Chciałbym, żebyś mi mówiła, co o nich myślisz.

Zobaczył, że jej twarz się rozjaśniła.

– Krótko mówiąc, miałabym być konsultantką, tak?

– Sama to powiedziałaś: niniejszym zostałaś ekspertką od szwajcarskich seryjnych morderców – potwierdził z uśmiechem.

– Czemu nie? Nie boisz się, że mogą z tego być kłopoty?

– Nie musimy zaraz o tym trąbić. Tylko Vincent i Samira będą wiedzieli o sprawie. To oni będą ci przekazywali informacje. Mam do nich zaufanie. A twój punkt widzenia mnie interesuje. Wtedy, w zimie, wykonaliśmy razem kawał dobrej roboty.

Servaz zauważył, że komplement poruszył Irène.

– Kto ci powiedział, że byłam w więzieniu spotkać się z Lisa Ferney? – zapytała.

– Ona. Byłem u niej jakieś dwie godziny po tobie. Wielkie umysły myślą tak samo.

– I co ci powiedziała na temat Hirtmanna?

– Że nie ma z nim żadnego kontaktu. A tobie?

– To samo. Wierzysz jej?

– Wyglądała mi na bardzo zdołowaną.

– I sfrustrowaną.

– Chyba że jest świetną aktorką.

– Możliwe.

– Jak by się zachowywała, gdyby Hirtmann był w okolicy i nawiązał z nią kontakt?

– Na pewno tak, jakby nie miała od niego żadnych wiadomości. I udawałaby, że jest zdołowana.

– I sfrustrowana.

– Sądziś, że...?

– Nic nie sędzę. Ale może warto byłoby mieć ją na oku.

– Ale nie wiem jak – powiedziała Ziegler.

– Wpadaj do niej regularnie. Miałem wrażenie, że jest w depresji. Może w końcu coś powie. Choćby po to, żeby dać ci drobny prezent w zamian za pewność, że znowu przyjdiesz się z nią spotkać. Tylko nie zapominaj, że to narcystyczna manipulatorka, tak jak Hirtmann i że będzie się starała wybadać twoje słabe punkty, omotać cię. Być może będzie mówiła tylko to, co chcesz słyszeć.

Skinęła głową z zafrasowaną miną.

– Nie jestem nowicjuszka. Naprawdę uważasz, że Margot coś grozi?

Miał wrażenie, jakby w jego żołądku zaczęło się kotłować kłębowisko robaków.

– *Expressa nocent, non expressa non nocent* – odpowiedział, po czym przetłumaczył: – „To, co zostało wyrażone, szkodzi, to, co nie zostało wyrażone, nie szkodzi”.

Jechała po otwartej przestrzeni na swoim motocyklu, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Przyklejone do drogi samochody zostawały daleko w tyle. Słońce oświetlało wzgórze porośnięte wybujałą, obfitą roślinnością. Irène czuła się pełna energii i niecierpliwa. Znowu była w grze.

Hirtmann był w okolicy...

Powinno ją to przerazić, ale przeciwnie, takie wyzwanie było dla niej ekscytujące. Jak bokser, który trenuje przed najważniejszym meczem swojego życia i dowiaduje się, że jego najpotężniejszy rywal wrócił na ring po długiej nieobecności. Gotowy, by założyć rękawice.

– Mamy wynik analizy grafologicznej – oświadczył Espérandieu. Servaz przyglądał się pod światło kobiecej postaci, która w promieniach zachodzącego słońca przechodziła na drugą stronę ulicy. Był piękny letni wieczór, ale policjant czuł się rozczarowany. Kiedy w jego kieszeni zabrzączał telefon, przez chwilę miał nadzieję, że dzwoni Marianne. Przez cały dzień czekał na jakiś sygnał od niej.

– To nie Claire Diemar zapisała tamto zdanie w zeszycie.

Servaz odwrócił wzrok od kobiety. Krajobraz przegrzanego miasta nagle zniknął.

– To pewne?

– Grafolog wyraził się jasno. Powiedział, że nie ma cienia wątpliwości i że mógłby się nawet założyć o własną reputację.

Servaz intensywnie myślał. Sprawy zaczynały się klarować... Jego mózg pracował na pełnych obrotach, jak tłoki lokomotywy parowej, do której naładowano węgla. Ktoś napisał zdanie pogrążające Hugona i zostawił zeszyt na widoku w gabinecie Claire Diemar. Hugo był idealnym kozłem ofiarnym: błyskotliwy, uzależniony od narkotyków, ładny chłopak. A przede wszystkim kochanek Claire. Często u niej bywał. Servaz zastanawiał się, co to oznacza. Niekoniecznie, że ten, kto chciał go zrobić, był świadomy ich związku. Być może wiedział tylko, że chłopak często tam chodzi. Wszyscy troje – Marianne, Francis i angielski sąsiad – powiedzieli mu to samo: w Marsac wiadomości szybko się rozchodzą.

Albo też – zastanawiał się, zbliżając się do wejścia na parking i schodząc pod ziemię – jest inna możliwość. Paul Lacaze...

– Jedno jest pewne – powiedział Espérandieu. – Ten, kto to napisał, to jakiś cholerny świr.

– Gdybyś chciał zdobyć próbkę pisma Paula Lacaze'a bez jego wiedzy, gdzie byś szukał? – zapytał Servaz, myśląc o tym, by z samego rana zawiadomić prokuratora w Auch.

– Nie wiem. W merostwie? W Zgromadzeniu Narodowym?

– Nie znasz bardziej dyskretnego sposobu?

– Chwileczkę – powiedział jego zastępca. – A w jaki sposób Lacaze miałby podłożyć zeszyt w liceum? Wszyscy w Marsac go znają. Na pewno nie podejmowałby takiego ryzyka, gdyby zamierzał ją zabić.

Punkt dla niego.

– No to kto?

– Ktoś, kto może swobodnie i bez zwracania na siebie uwagi poruszać się po liceum. Jakiś uczeń, wykładowca, osoba z personelu... Dużo ludzi.

Servaz znowu pomyślał o tajemniczych niedopałkach w lesie. Wsunął w parkomat swój bilet, a następnie kartę bankową i wystukał PIN.

– Kolejna rzecz, która wyklucza Hirtmanna z gry – stwierdził Espérandieu.

Komendant pchnął szklane drzwi parkingu i wszedł między rzędy samochodów. Patrzył na litery i cyfry na filarach. B1. Zaparkował swojego jeeпа w sektorze B6.

– Jak to?

– Powiedzmy sobie szczerze, skąd Szwajcar miałby tyle informacji na temat Marsac, Hugona, uczelni?

– A listy? A e-mail? A płyta? Co z tym zrobisz? Po drugiej stronie zapanowało długie milczenie.

– Może ktoś próbuje cię wyprowadzić z równowagi, Martin.

– Psiakrew, kompakt Maniera był w odtwarzaczu, jeszcze zanim powierzono nam śledztwo!

Trafiony. Tym razem zero odpowiedzi. Za plecami usłyszał odgłos kroków. Głośno dźwięczały na betonie.

– Nie wiem, to dziwne. Coś tu nie gra – powiedział Espérandieu.

Po głosie Servaz odgadł, że jego zastępca doszedł do tego samego wniosku co on. Ta sprawa nie miała sensu. Tak jakby dano im do dyspozycji wszystkie klucze, ale nie mieli właściwego zamka. Znalazł się na wysokości swojego samochodu i zwolnił. Kroki były coraz bliżej... Nacisnął na pilota. Rozległ się podwójny sygnał i auto zamrugało światłami na powitanie.

– W każdym razie uwa... – zaczął Vincent.

Servaz odwrócił się do tyłu. Jednym szybkim i płynnym ruchem. Mężczyzna był tuż obok... Kilka centymetrów od niego. Trzymał dłoń w

kieszeni skórzanej kurtki. Servaz zobaczył własne odbicie w szklach jego okularów. Rozpoznał ten uśmiech. Błądą skórę i czarne włosy. Zanim Hirtmann zdążył wyciągnąć broń, policjant wymierzył cios wolną ręką. Przyplacił to okrutnym bólem kości dłoni. Nie pozwolił jednak, by Szwajcar doszedł do siebie. Złapał go za kurtkę, rzucił na samochód po przeciwnej stronie alejki i rozpląszczył jego twarz na tylnej szybie. Szwajcar zaklął. Jego okulary słoneczne z brzękiem upadły na ziemię. Servaz przywarł do pleców napastnika i wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni jego kurtki. Jego palce trafiły na to, czego szukał. Prawie. Bo to nie była broń.

Telefon komórkowy...

Jednym ruchem odwrócił przeciwnika. To już nie był Hirtmann. Nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Nawet chirurgia plastyczna nie mogłaby zmienić jego twarzy w takim stopniu. Mężczyzna krwawił z nosa. Patrzył dzikim, przerażonym wzrokiem.

– Niech pan bierze moje pieniądze! Proszę! Ale niech mi pan nie robi krzywdy, błagam!

Cholera! Człowiek był mniej więcej w wieku Servaza i miał nieświeży oddech. Policjant schylił się po jego słoneczne okulary i włożył mu je na nos. Otrzepał jego skórzaną kurtkę. – Bardzo mi przykro – powiedział. – Wziąłem pana za kogoś innego.

– Co?! Co?! — wrzeszczał oswobodzony mężczyzna, jednocześnie wściekły i dezorientowany, podczas gdy Servaz chował do kieszeni swój telefon i oddalał się szybkim krokiem.

Zapalił silnik i wrzucił wsteczny. Samochód ruszył z piskiem opon. Przez tylną szybę Servaz zobaczył, że mężczyzna wyjął telefon i wpatruje się w jego tablicę rejestracyjną, jednocześnie próbując zatamować krwotok z nosa za pomocą dużej paczki chusteczek higienicznych już zabarwionych na czerwono.

Servaz chętnie naprawiłby wyrządzone szkody, ale było już za późno. Często myślał, że najlepszym wynalazkiem dla ludzi takich jak on, którzy najpierw działają, a potem się zastanawiają, byłby wehikuł czasu. Ile spraw w swoim życiu mógłby uratować, gdyby dysponował takim narzędziem? Małżeństwo, karierę, Marianne? Wrzucił jedynekę i odjechał. Opony samochodu pisnęły na zbyt gładkim podłożu.

Może robię sobie złudzenia – pomyślał, wyjeżdżając z parkingu. Może mam tendencję do komplikowania spraw. Może Hirtmann nie ma z tym

nic wspólnego. Vincent ma rację. Niby jak mógłby mieć? Ale może to ja mam rację, a oni są w błędzie, może słusznie oglądam się za siebie, może słusznie mam się na baczności i z lękiem patrzę w przyszłość.

Może słusznie się boję.

KAWALEK DROGI

Drissa Kanté obudził się, usłyszawszy dźwięk klaksonu na ulicy. A może obudził go koszmar, który śnił.

W jego śnie panowała noc. Był na pełnym morzu, gdzieś na południe od Lampeduzy, setki kilometrów od brzegu. Noc była niespokojna. Wiatr osiągał prędkość czterdziestu węzłów. Fale miały wysokość czterech metrów. W jego śnie morze było serią zwieńczonych białą pianą ruchomych wzgórz. Niebo przypominało czarnozielony wir chmur i błyskawic. Potem wiatr zaczął wyć jak wygłodzona bestia, która chętnie obgryzłaby im pięty, i zmoczyła ich niemal pozioma fala deszczu. Sztorm. Dziesięć w skali Beauforta. Wszyscy znaleźli się w piekle. Kilkumetrowe fale unosiły delikatną łódkę, na której pokładzie znajdował się on i siedemdziesiąt sześć przerażonych osób, w tym trzynaście kobiet i ośmioro dzieci. Wściekłe bałwany przewalały się nad pokładem, od dziobu do rufy, i mroziły ich do szpiku kości. Wszyscy trzęśli się z zimna i ze strachu, czy barka się nie przewróci. Tulili się do siebie nawzajem. Jasne błyskawice rozdzierały nocne niebo. Wyglądały jak wielkie fluorescencyjne koralowce. Jedyne maszt już dawno został wyrwany z jarzma; dno łodzi wypełniało się wodą, której nie nadawali wybierać, i wydawało się, że miotana wściekłymi falami łódź w każdej chwili może zatonać. Deszcz siekł i oślepił ich, w ich uszach wyl rozszalały wiatr, kobiety krzyczały, dzieci płakały, a wszystko zagłuszał skowyt morza.

Silnik zaburtowy o mocy czterdziestu koni mechanicznych wyzionął ducha krótko po wypłynięciu. Przegniła stara skorupa trzeszczała przy każdym uderzeniu wody. Szczękając zębami, Drissa myślał o Libijczykach zajmujących się przerzutem, którzy w zamian za tę tratwę zabrali im ostatnie oszczędności, świadomi, że prawdopodobnie wysyłają ich na śmierć, o Tuaregach z Gao, o handlarzach niewolników z Dirkou, o żołnierzach i o straży granicznej, o wszystkich tych spotkanych po drodze krwiopijcach, którzy bogacili się ich kosztem na każdym etapie ich „podróży”. Przeklinał ich. Dziesięcioro ludzi zmarło z pragnienia już po drodze, a ich wrzucono na pokład. Kilkoro dzieci miało gorączkę.

Kiedy na horyzoncie, wśród deszczu, piorunów i wodnego pyłu, pojawiły się światła maltańskiego statku, myśleli, że są uratowani.

Wszyscy, łącznie z dziećmi, stanęli po jednej stronie, ryzykując wywrócenie łodzi, krzyczeli i machali rękami, rozpaczliwie czepiając się burty za każdym razem, gdy fala unosiła łajbę w górę i rzucała nią w dół. Ale statek się nie zatrzymał. Wielka jednostka przepłynęła blisko nich, mogli zobaczyć obojętne spojrzenia maltańskich rybaków, którzy stali na mostku oparci łokciami o reling. Niektórzy z nich nawet śmiali się pod kapturami swoich sztormiaków albo dawali im znaki. Około trzydziestu mężczyzn rzuciło się do morza. Miotani przez masy wody to w górę, to w dół, usiłowali dopłynąć do wielkiej sieci rybackiej pełnej tuńczyków. Dwóch utonęło. Trałowiec jednak odpłynął, a jego załoga nie uczyniła najmniejszego gestu, by ratować zrozpaczonych ludzi uczepionych wleczonej sieci. W swoim śnie Drissa był wśród nich; był przemarznięty, miał zgrabiałe palce, żołądek rozdęty i chory z powodu wypełniającej go morskiej wody, a marynarze celowali w niego ze strzelb, pod nim zaś kłębiły się tuńczyki, które swoimi płetwami ogonowymi o mało nie przecięły go na pół. Wtedy właśnie się obudził.

Rozejrzał się dookoła. Był bez koszulki, mokry od potu, miał otwarte usta. W miarę jak rozpoznawał swój pokój, jego oszalałe serce się uspokajało. Przetarł oczy i powiedział do siebie, jakby recytował mantrę: „Nazywam się Drissa Kanté, urodziłem się w Ségou, w Mali, mam trzydzieści trzy lata, obecnie mieszkam i pracuję we Francji”.

W rzeczywistości jego towarzysze płynęli uczepieni sieci przez trzy dni, aż zostali uratowani przez włoską marynarke: dowiedział się o tym z gazety czytanej na pokładzie statku, na którym wreszcie znalazł ratunek. Kapitan maltańskiego trałowca oświadczył, że nie mógł ich przyjąć na pokład, a przede wszystkim zawrócić po nich, nie narażając się na stratę „drogocennego połowu tuńczyka”. Drissa postanowił zostać w łodzi z kobietami i dziećmi, nawet gdyby miała zatonać. Uratował ich w ostatniej chwili hiszpański statek *Rio Esera*. Kiedy kapitan usiłował ich wysadzić na Malcie, sprzeciwiły się temu władze wyspy. W efekcie trałowiec stał zablokowany u jej brzegów przez ponad tydzień, aż wreszcie zaopiekowano się jego nadprogramowym ładunkiem.

Na Malcie, gdy już znaleźli się na stałym lądzie, powiedziano mu, by wsiadł do autobusu numer 113. Na pętli tej linii miał być ośrodek, w którym będzie mógł się przespać, umyć i zjeść. Czekając na autobus, rzucił okiem na stosy papierów walających się w pobliżu przystanku. Ulotki. Sięgnął po jedną. Było na niej napisane po angielsku:

NA WSZYSTKICH NIELEGALNYCH IMIGRANTÓW
STRZELAJCIE I ZABIJAJCIE
WSZYSTKICH CZARNYCH IMIGRANTÓW Z AFRYKI
NIE CHCEMY WAS TU,
BRUDNE GÓWNA
UCIEKAJCIE STĄD, PÓKI MOŻECIE
PRZEKAŹCIE TO WASZYM KOLEGOM

Ostatnia linijka składała się z trupich czaszek, okalających skrót KKK. Drissa wsiadł do autobusu i wysiadł na ostatnim przystanku. Obóz Hal Far. Dawne lotnisko wojskowe przekształcone w ośrodek dla uchodźców. Blaszane baraki z małymi okienkami, miasteczko namiotowe i wielki hangar. W hangarze nie było samolotów, za to tłoczyło się w nim ponad czterysta osób. Drissa spędził ponad rok w jednym z baraków o powierzchni dwudziestu pięciu metrów kwadratowych, w którym na piętrowych łózkach nocowało ośmiu lokatorów. Latem temperatura sięgała tu pięćdziesięciu stopni. Zimą „ulice” obozu zamieniały się w błoto. Trzydzieści odrażających, śmierdzących plastikowych kabin pełniło jednocześnie funkcję pryszniców i toalet. Wielu imigrantów żałowało opuszczenia rodzinnych krajów. A potem, w 2009 roku, pojawiła się iskierka nadziei: ambasador Francji na Malcie, Daniel Rondeau, oświadczył, że jego kraj gotów jest przyjąć uchodźców.

Inicjatywę wsparły inne państwa, takie jak Niemcy i Wielka Brytania. W ten sposób w lipcu Drissa Kanté wśród wielu dziesiątek innych osób znalazł się we Francji.

Za pracę płacono tu lepiej niż na Malcie, gdzie ludzie tacy jak on każdego ranka opuszczali obóz Hal Far i zbierali się wokół dużego ronda w pobliżu Marsy, na którym rekruterzy, nie opuszczając samochodów, negocjowali dzienne stawki. Tutaj z początku było podobnie, aż wreszcie Drissa dostał pracę w firmie sprzątającej. Nie żałował. Wstawał każdego ranka o trzeciej, by sprzątać biura. Jego praca nie była zbyt uciążliwa. On, który miał dyplom inżyniera, przyzwyczał się do uspokajającego dźwięku odkurzacza, do sztucznego zapachu wykładzin, skórzanych foteli i butelek z produktami do czyszczenia, a także do prostej rutyny swoich zajęć. Należał do niewielkiego zespołu – pięć kobiet i dwóch mężczyzn – który sprzątał kilka biurowców. Popołudniami odpoczywał. Wieczorami chadzał do kafejek, by spotkać się z ludźmi takimi jak on i pomarzyć o innym

życiu – takim, jakie widział, przechodząc przed witrynami sklepów lub obserwując klientów za szybami restauracji.

Była jednak pewna sprawa, która spędzała Drissie sen z powiek i przyprawiała go o zimne poty. Nie zadowolił się marzeniami. Chciał skosztować tamtego życia. Żeby to osiągnąć, zgodził się robić coś, czego teraz żałował. I to coś go prześladowało. Drissa Kanté był człowiekiem do głębi uczciwym. Wiedział, że jeśli rzecz wyjdzie na jaw, straci pracę. Albo jeszcze gorzej. Nie chciał wracać – już nie.

Kiedy wyszedł z mieszkania, ulice Tuluzy pulsowały typową dla letnich wieczorów energią. Była dziewiętnasta, a temperatura wciąż nie spadała poniżej trzydziestu pięciu stopni. Zazwyczaj takie upały nie zdarzały się w tym mieście poza lipcem i sierpniem. Ucieszył się. Lubił gorąco. W przeciwieństwie do większości mieszkańców, którym brakowało powietrza, jemu oddychało się lepiej.

Usiadł w ogródku kawiarni L'Escale na place Arnaud-Bernard, przywitał się z Hocinem, jej szefem i zamówił miętową herbatę. Czekał na dwójkę przyjaciół – Soufiane'a i Boubacara. Klient siedzący przy sąsiednim stoliku wstał, podszedł i zajął miejsce naprzeciwko niego. Drissa podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę około czterdziestki z tłustymi czarnymi włosami, ubranego w sfatygowaną koszulę w kolorze wątpliwej bieli, o nieprzeniknionej twarzy ukrywającej się za ciemnymi okularami.

– Mogę się przysiąc?

Malijczyk westchnął.

– Czekam na znajomych.

– Nie będę się rozwodził, Driss.

Drissa Kanté wzruszył ramionami. Zlatan Jovanovic, trzymając w dłoni kufel piwa, opadł na małe, chybotliwe krzesło, które wydawało się zbyt rachityczne dla jego metra dziewięćdziesięciu trzech wzrostu i stu dwudziestu kilogramów wagi. Drissa, jak gdyby nigdy nic, zamieszał cukier w małej filiżance ze złotym brzegiem.

– Potrzebuję od ciebie pewnej przysługi.

Drissa poczuł się tak, jakby w jego żołądku powstała dziura wypełniona powietrzem. Nic nie odpowiedział.

– Słyszałeś?

Domyślił się, że mężczyzna patrzy na niego zza ciemnych szkieł.

– Nie chcę już robić tych rzeczy – odpowiedział zdecydowanym głosem, ze wzrokiem utkwionym w kraciastym obrusie. – Skończyłem z tym.

Gromki wybuch śmiechu sprawił, że Drissa podskoczył na swoim krześle. Zaniepokojony rzucił okiem na pozostałych klientów kawiarni. Wszyscy na nich patrzyli.

– On już nie chce robić tych rzeczy! – zawołał głośno Zlatan i odchylił się na krześle. – Słyszeliście?

– Niech pan się zamknie!

– Spokojnie, Driss. Tutaj sprawy innych nikogo nie interesują, powinienes o tym wiedzieć.

– Czego pan ode mnie chce? Powiedziałem panu ostatnim razem, że to koniec.

– Tak, wiem, ale, powiedzmy... zaistniały nowe okoliczności. Ścisłej rzecz ujmując, mamy nowe zlecenie.

– To nie są moje sprawy, nie chcę o tym wiedzieć.

– Driss, obawiam się, że to bardzo ważne – ciągnął mężczyzna, niewzruszony, jakby byli współnikami rozmawiającymi o interesach. – Zleceniodawca dobrze płaci.

– To pana problem, niech pan sobie znajdzie innego jelenia. Jeśli o mnie chodzi, odwróciłem kartkę.

Drissa czuł, że w miarę jak mówi, jeszcze bardziej utwierdza się w swoim postanowieniu. Być może siedzący naprzeciwko człowiek zrozumie wreszcie, że na niego już nie może liczyć. Wystarczy, że on sam pozostanie stanowczy i będzie obstawał przy swojej decyzji. Nawet całą noc, jeśli będzie trzeba. Facet w końcu odpuści.

– Nikt nigdy tak całkiem nie odwraca kartki, Driss. Takiej kartki. Nikt nie postanawia ot tak, z dnia na dzień, że z tym kończy. Nie ze mną. To ja decyduję, kiedy jest koniec, kumasz?

Drissa poczuł, jak przeszedł go dreszcz.

– Nie może mnie pan zmusić do...

– Ależ mogę. A co by było, gdyby wszystkie odbitki, które zrobiłeś, wszystkie papiery, które wyciągnąłeś z koszy na śmieci, trafiły w ręce policji?

– Utonąłby pan razem ze mną, to by było!

– Naprawdę to zrobisz, zdradzisz mnie? – zapytał Zlatan z udawaną urazą i zapalił papierosa.

Drissa patrzył wyzywająco w czarne szkła, ale spokój mężczyzny zbijał go z tropu. Czuł, że rozmówca żartuje sobie z niego, że się nie boi. Za to w nim narastał tym większy niepokój.

– Świetnie – odezwał się mężczyzna, zaciągnąwszy się papierosem. – A zatem powiedz mi: kim ja jestem?

Malijczyk nie odpowiedział, ponieważ nie potrafił.

– Co im powiesz, przyjacielu? Że mężczyzna w ciemnych okularach za zainstalowanie po raz pierwszy mikrofonu w lampie płaci tysiąc euro? I że kiedy zobaczyłeś takie pieniądze, nie umiałeś się oprzeć? A potem, kiedy dorzucił jeszcze pięćset euro za sfotografowanie dokumentów z teczki? I kolejne pięćset za wyjmowanie codziennie papierów z kosza na śmieci? Zapytają cię, jak ten facet się nazywa. Co im powiesz? Święty Mikołaj? Powiesz im, że ma około czterdziestki, jest wysoki i ma wyraźną nadwagę, że mówi z lekkim akcentem i ubiera się tak jak wszyscy? Że nie znasz ani jego nazwiska, ani adresu, ani nawet numeru telefonu, że to zawsze on dzwoni do ciebie z ukrytego numeru? To zamierzasz im opowiedzieć? Uwierz mi, to ty stoisz po uszy w gównie, nie ja.

– Powiem im, że jeśli będzie trzeba, zwrócę pieniądze.

Mężczyzna znowu wybuchnął śmiechem. Drissa poczuł się malutki. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, wolałby nigdy nie spotkać tego człowieka.

Wielka, gorąca, wilgotna łapa spadła na jego dłoń z odrażającą zażyłością.

– Nie udawaj głupszego, niż jesteś, Drissa Kanté. Wiem, że można ci wiele zarzucić, ale nie jesteś idiotą.

Na dźwięk swojego nazwiska Afrykańczyka przeszły ciarki od stóp do głów.

– No cóż, podsumujmy... Zajmujesz się szpiegostwem przemysłowym w kraju, w którym jest ono zbrodnią niemal równie wielką jak zabicie człowieka. A tymczasem przyjechałeś do tego kraju niedawno, ponieważ okazał się on na tyle łaskawy, by cię przyjąć i wyciągnąć z maltańskiego gówna, w którym gniłeś; niedawno wreszcie znalazłeś stałe zatrudnienie, a może nawet, kto wie, przyszłość... Cała reszta jest nie do zweryfikowania, jest wytworem twojej wyobraźni, bajką. Poza tymi faktami żadnego innego nie da się potwierdzić, *amigo*.

Drissa spojrział na plamy potu pod pachami na koszuli swojego rozmówcy.

– Mnóstwo ludzi tu pana widziało. Będą mogli poświadczyć. Nie jest pan wytworem mojej wyobraźni, jak pan powiedział.

– Niech będzie. Założmy. I co z tego? Poza tym, że tutejsi ludzie nie bardzo lubią rozmawiać z policją, jest rzeczą oczywistą, że robiłeś to dla kogoś i otrzymywałeś za to pieniądze. No i co z tego? Dla ciebie to niczego nie zmienia, jeśli chcesz znać moje zdanie, to dla ciebie nawet gorzej, niż gdybyś zajmował się tym z jakichś szlachetnych pobudek. Co powiedzą wszyscy ci klienci dookoła? To samo co ty. Policja nigdy do mnie nie dotrze, a ty będziesz gnął w więzieniu, aż po kilku latach cię deportują. Naprawdę tego chcesz? Odbyleś długą podróż, bracie, pokonałeś pustynię, morze, granice... Mówi się, że ten kraj jest rasistowski, ale, kurwa, wiesz, że rasistami są też Libijczycy, Maltańczycy, Chińczycy, a nawet ci pieprzeni Tuaregowie. Cała ta kurewska planeta jest rasistowska, bracie. A ty jesteś Malinke, najczarniejszym z czarnych. Naprawdę chcesz stracić zezwolenie na pobyt?

Drissa poczuł, że opuszczają go siły, a jego wola nabiera wody jak łódka podczas sztormu. Od tego, co mówił mężczyzna, jego mózg trzeszczał jak tamto czółno uderzane morskimi falami. Każde z jego słów było jak smagnięcie biczem.

– No, odpowiedz: tego chcesz?

Pokręcił głową, wpatrując się w kraciasty obrus.

– Świetnie. A więc słuchaj, to ja zdecyduję, kiedy z tym skończysz. Ale mam dla ciebie dobrą nowinę. Masz moje słowo: ostatni raz cię o coś proszę. Ostatni. Do wzięcia jest dwa tysiące euro.

Drissa podniósł głowę. Perspektywa, że wreszcie będzie wolny i że zarobi tyle pieniędzy, trochę go pocieszyła. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Otworzył wielką dłoń, na której leżał mały pendrive.

– Musisz jedynie podpiąć to do gniazda USB. Potem odpalisz komputer i resztą zajmie się pendrive: znajdzie hasło i wgra na dysk pewien programik. Zajmie ci to nie więcej niż trzy minuty. Wyjmiesz pendrive, wyłączysz komputer i tyle. Koniec, kropka. Nikt nigdy się nie zorientuje, że było jakieś włamanie. Oddasz mi pendrive, odbierzesz swoje dwa tysiące euro i więcej o mnie nie usłyszysz. Masz moje słowo.

– Gdzie? – zapytał Drissa Kanté.

Miał wrażenie, jakby przejeżdżał przez ścianę ognia. Każdy cień, każdy krzaczek był błogosławieństwem. Elvis Konstandin Elmaz opuścił szybę, ale efekt był podobny do tego, jakby otworzył drzwiczki piekarnika, w którym on sam piekł się we własnym sosie. Na szczęście zapadał wieczór, a w okolicy było dużo zieleni, Elvis często więc znajdował się w cieniu. Na skrzyżowaniu skręcił w prawo przed umieszczoną na pniu drzewa tablicą:

ZAGRODA WOJOWNIKÓW
HODOWLA PSÓW STRÓŻUJĄCYCH
I OBRONNYCH

Nieco dalej wjechał w jeszcze bardziej podrzędną drogę o popękanej, zapadniętej nawierzchni. Na tle nieba zabarwionego pomarańczową poświatą zachodzącego słońca jak chińskie cienie odcinały się stodoła i maszt elektrowni wiatrowej. Panujący upał nie był jedyną przyczyną, dla której twarz Elmaza pokryta była warstwą potu. Wieczór i coraz dłuższe cienie wywoływały w nim nerwowość. Elvis Elmaz miał pietra. W szpitalu przed gliniarzem i tą śmieszoną policjantką udało mu się zagrać twardziela, ale od razu zrozumiał, co się stało. Kurwa! Znowu się zaczyna... Prowadząc, miał wrażenie, że jego żołądek skręca się w nieskończoną liczbę supłów. Do kurwy nędzy, nie chce zdychać. Nie da się. Nie da się tak jak ta puszczalska nauczycielka. Pokaże im, z jakiej jest gliny! Z wściekłości i strachu uderzył w kierownicę. Tylko się pokażcie, dupki, to ja was wykończę! Obedrę was ze skóry, świry! Nie widział, jak przyszli tamtego wieczoru. Serbowie, dobre sobie! Bzdura. Sam wymyślił tę historyjkę o Serbach i cizi na użytek policji, poprosił jednego czy dwóch kumpli z baru, żeby potwierdzili. Knajpa była pełna ludzi takich jak on – gości na warunku, czekających na proces albo między dwiema odsiadkami. O mało go nie dopadli, ale obronił się, a oni uciekli. Za dużo świadków. To go uratowało. Ale na jak długo? Miał do wyboru inne rozwiązanie: o wszystkim opowiedzieć glinom. Ale wtedy wróciliby do sprawy, inni powiedzieliby, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy, rodziny by się na niego rzuciły. Proces i odsiadka. Ile by dostał, ze swoją kartoteką? Nie chce wracać do paki. Nie ma mowy. Tablica umieszczona przy zardzewiałej skrzynce na listy, stojącej w objęciach kwitnącego na kremowo bzu, informowała o skręcie w jeszcze bardziej wyboistą drogę. Uczepiony kierownicy, zaczął się kołysać w fotelu. Przejechał przez przerzucony nad

strumieniem mostek z bali i zanurzył się w pole kukurydzy, na którym kładły się już cienie wieczoru. Ostatnie sto metrów drogi wiodło przez prawdziwy tunel zieleni. W zapadających ciemnościach mężczyznę ogarniał coraz większy niepokój. Pośrodku drogi rósł pas trawy, która szurała o podwozie. Tablica, tym razem większa, głosiła:

ROTTWEILERY, DOBERMANY, OWCZARKI BELGIJSKIE,
AMSTAFFY, DOGI ARGENTYŃSKIE I DOGI Z BORDEAUX

Reklamę zdołał nieudolnie przedstawiony pies. Elvis sam go namalował. Z prawej strony, zza pni drzew rozległa się przerażająca wrzawa, przerywając wieczorną ciszę: powitalne szczekanie i ujadanie jego ulubieńców. Uśmiechnął się, słysząc brzęk krat, na które wściekle rzucały się jego ukochane pieski. Molosy jakby wzajemnie się pobudzały, zdzierając sobie gardła do krwi. Potem się zmęczyły i jazgot ucichł.

Na pewno one także cierpiały z powodu upału. Kiedy wyłączył silnik, wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi, delektował się otaczającą go ciszą.

ZAGUBIONE SERCA

Margot nie mogła już znieść upału, jaki panował w jej pokoju. Od potu T-shirt kleił jej się do pleców, a włosy do czoła. Ochlapała twarz nad małą umywalką znajdującą się za parawanem, za którym stało jej łóżko. Sięgnęła po ręcznik i uchyliła drzwi, zamierzając iść pod prysznic. Wtem usłyszała ich głosy.

- Czego chcesz? – pytała Sarah dwoje drzwi dalej.
- Musisz przyjść. Chodzi o Davida.
- Słuchaj, Virginie...
- Rusz się!

Margot rzuciła okiem przez szparę w drzwiach. Virginie i Sarah stały naprzeciw siebie, jedna na korytarzu, druga na progu swojego pokoju. Studentkom drugiego roku przysługiwały pokoje jednoosobowe. Sarah skinęła głową i na chwilę zniknęła w środku, po czym wyszła i w ślad za koleżanką ruszyła w stronę klatki schodowej.

Cholera!

Margot zastanawiała się, co robić. W głosie Virginie wyraźnie słyhać było pośpiech i stres. Mówiła o Davidzie. Margot w pół sekundy podjęła decyzję. Wsunęła conversy na bose stopy i wyszła. Korytarz był pusty. Skradając się, ruszyła ku schodom.

Usłyszała schodzące dziewczyny.

Ich szepty, tłumione okrzyki i kroki na kamiennych stopniach. Szarpnęła z tyłu szorty, które przylepiły jej się między pośladkami, otrząsnęła się trochę i ruszyła w dół monumentalnymi schodami, przesuwając dłonią po poręczy. Przez duży witraż na półpiętrze zauważyła słońce chowające się za budynkami, których ciemne sylwetki tuliły się do siebie na tle zabarwionego na czerwono nieba. Gdy wyszła na powietrze, natychmiast dosięgły ją brązowiejące promienie tańczące nad czarnym horyzontem drzew i betonowych pawilonów. Powietrze było tak gęste, że miała wrażenie, jakby zderzyła się z szybą, ale wieczór zaczynał już łagodzić żar dnia niczym kojący balsam.

Rozejrzała się za dziewczynami.

Zauważyła je w ostatniej chwili. Dwie sylwetki zanurzające się w czarnej masie lasu za kortem tenisowym.

Pobiegła w tym kierunku, najciszej jak tylko mogła, wśród chmar muszek i cieni.

Ale kiedy alejką prowadzącą wzdłuż opustoszałych kortów dotarła na skraj lasu, cienie – coraz głębsze i gęstsze – zlały się w złowieszczy półmrok i Margot się zawahała. Nie była już pewna, czy chce biec dalej.

Gdzie one się podziały? Usłyszała jakiś szmer w lesie. Potem, w głębi, głos Sarah: „David!”. Na wprost... Zobaczyła ścieżkę, ledwie dostrzegalną wśród leśnego poszycia. Odwróciła się, zamierzając wrócić do bursy. Nie ma mowy, nie wejdzie tam. Po chwili jednak ciekawość i żądza wiedzy zwyciężyły i Margot ruszyła w głąb lasu.

Cholera!

Przedzierała się wśród gałęzi i zarośli. Pajęczyny muskały jej twarz, chmary owadów kłębiły się wokół niej zwabione zapachem odsłoniętej skóry, krwi i potu. Szła ostrożnie, ale i tak dziewczyny idące przed nią robiły zbyt duży hałas, by zauważyć jej obecność. Między koronami drzew w świetle zachodzącego słońca widać było jasne prześwity, w których unosił się kurz, jednak w dolnej warstwie lasu było znacznie ciemniej i chłodniej. Poczula na szyi ugryzienie jakiegoś paskudnego robaka i ledwie się powstrzymała od zmiążdżenia go głośnym plaśnięciem.

– David, kurwa, co ty wyprawiasz?

Głosy: dziewczyny go znalazły. Poczula, że z napięcia zaschło jej w gardle, nadepnęła na jakąś gałązkę, która trzasnęła głośno jak petarda, tak że Margot przez chwilę się zastanawiała, czy tamte dwie tego nie zauważyły. Były jednak zbyt zaaferowane.

– Boże, David, coś ty zrobił?

Głos Sarah odbił się echem w całym lesie. Dziewczyna była bliska paniki. Ten stan był cholernie zaraźliwy i Margot o mało mu się nie poddała. Ostrożnie podeszła bliżej między gałęziami jodeł. Zauważyła zalaną wieczornym światłem polanę.

Kurwa, co tu się dzieje?

Na przeciwległym krańcu polany stał David. Miał nagi tors, opierał się o szary pień drzewa, szeroko rozłożonymi ramionami czepiał się dwóch niemal idealnie poziomych gałęzi na wysokości jego barków. Dziwaczna

poza przywodząca na myśl ukrzyżowanie. Jego długie ręce rozciągnięte były po obu stronach ciała, głowa opuszczona, podbródek dotykał klatki piersiowej, jakby chłopak był nieprzytomny. Margot nie widziała jego twarzy. Tylko blond włosy i brodę. Jasnowłosy Chrystus... Nagle podniósł głowę i dziewczyna odskoczyła do tyłu, widząc jego szalone, blade, otumanione spojrzenie.

Przypomniały jej się słowa piosenki Depeche Mode w wykonaniu Marilyną Mansona: *Your own personal Jesus/Someone who hears your prayers/Someone who cares...*, „Twój własny, osobisty Jezus, ktoś, kto wysłuchuje twoich modlitw, ktoś, kto się troszczy”...

Gałęziami nad jej głową poruszył lekki podmuch wiatru. Margot dostrzegła czerwone ślady na klatce piersiowej Davida i poczuła, jakby impuls elektryczny zjeżył jej włosy na rękach. Zupełnie świeże nacięcia... A potem zobaczyła nóż. W prawej dłoni. Jego ostrze również było czerwone.

– Cześć, dziewczyny.

– Kurwa, David, co ci jest? – odezwała się Virginie. – Co ty wyprawiasz?

Głos młodej kobiety wybrzmiał na pogrążonej w ciszy polanie. David uśmiechnął się półgębkiem i opuścił głowę na krwawiący tors.

– Dałem ciała, co? Jak wy to robicie? Kurwa, jak wy dajecie radę zachować zimną krew przy tym wszystkim, co się dzieje?

Czy chłopak coś wziął? Wyglądał na naćpanego. Drżał od stóp do głów, trząsał mu się podbródek, płakał i śmiał się jednocześnie – przynajmniej wyglądało to na śmiech, a może raczej na chichot. Na klatce piersiowej miał cztery nacięcia: z każdego płynęła krew. Wyglądała jak ściekająca farba. Margot spojrzała niżej i zobaczyła wielką poziomą szramę na jego brzuchu, tuż nad pępkiem.

– Już nie wytrzymam tego gówna. Trzeba z tym skończyć, nie możemy tego dalej ciągnąć, dziewczyny...

Cisza.

– Nie, mówię serio, do czego to podobne, możecie mi powiedzieć? Co my, kurwa, robimy? Dokąd nas to zaprowadzi?

– Ogarnij się — głos Virginie, I znowu: – A Hugo? Pomyślałeś o nim?

Margot, schowana za krzakiem, widziała, jak David to przekręca głowę z jedne) strony na drugą, to spogląda w niebo.

– A co ja na to poradzę, że Hugo jest w puszcze?

– Kurwa, David, Hugo to twój najlepszy przyjaciel! Wiesz, jak on ciebie kocha, jak nas kocha. Potrzebuje nas, ciebie. Musimy go z tego wyciągnąć.

– Ach tak? A jak to zrobimy? Widzisz, na tym właśnie polega różnica między nim i mną... Gdybym to ja był na jego miejscu, wszyscy mieliby to w dupie. Hugo zawsze był zauważany, podziwiany. Wystarczy, żeby spojrział, żeby pstryknął, a Sarah już rozkłada przed nim nogi albo robi mu laskę. Nawet ty, Virginie, choć nigdy się do tego nie przyznasz, marzysz tylko o jednym: żeby cię zerznął. A ja...

– Zamknij się!

Przestraszone krzykiem ptaki z głośnym trzepotem skrzydeł poderwały się z gałęzi.

– Już nie mogę... nie mogę... – Teraz szlochał.

Sarah przeszła przez polanę i rzuciła się ku niemu, by go przytulić. Virginie wykorzystała ten moment, by wyjąć mu z ręki nóż. Margot miała wrażenie, że serce przemieściło jej się do gardła.

Posadziły Davida na trawie u stóp drzewa. Margot czuła się tak, jakby obserwowała zdjęcie z krzyża i złożenie do grobu. Sarah głaskała go po policzkach, czole, delikatnie całowała jego usta i powieki.

– Moje maleństwo – mruzczała – moje biedne maleństwo... Margot zastanawiała się, czy im wszystkim odbiło. W tym obłędzie – i w cierpieniu Davida – było jednak coś, od czego ścisnęło jej się serce. Tylko Virginie sprawiała wrażenie przytomnej.

– Trzeba to opatrzyć – powiedziała stanowczo. – Kurwa, David, musisz iść do jakiegoś psychologa! Nie może tak dalej być!

– Daj mu spokój – powiedziała Sarah. – Nie teraz. Nie widzisz, w jakim jest stanie?

Gładziła jego blond włosy, przyciskała go do siebie po macierzyńsku, a on oparł wstrząsaną łkaniem głowę na jej ramieniu, choć była od niego o dobre dziesięć centymetrów niższa.

– Musisz pomyśleć o Hugonie – powtórzyła Virginie ciszej. – On nas potrzebuje. Słuchasz mnie? Hugo oddałby życie za ciebie! Za każdego z nas! A ty się zachowujesz jak... jak... Do cholery, nie mamy prawa go zostawić. Musimy go stamtąd wyciągnąć. Bez ciebie nie damy rady.

Margot nie była w stanie się ruszyć: kucała za krzakami, jakby zahipnotyzowana tą sceną. Jakiś samotny ptak wydał z siebie długi, przenikliwy krzyk, niwecząc czar chwili, i dziewczyna podskoczyła, wyrwana z letargu.

Musisz się stąd zmywać, staruszek. Kto wie, do czego byliby zdolni, gdyby cię zauważyli? A to, jak się do siebie nawzajem odnoszą, dlaczego wydaje mi się to jakieś kompletnie... chore? Jakby coś ich ze sobą łączyło, jakaś niezniszczalna więź. Co by o tym pomyślał Elias? Albo jej ojciec?

Chciałaby stamtąd uciec – miała już dość owadów, które nie przestawały jej atakować – ale była zbyt blisko. Przy najmniejszym ruchu usłyszeliby ją i zauważyli. Wystarczyło, że o tym pomyślała, a truchlała ze strachu. Nie miała wyboru, musiała zostać. Mimo że nie mogła odetchnąć pełną piersią, bolały ją kolana, a dłonie, które trzymała na udach, były kompletnie mokre.

David powoli kiwnął głową. Virginie przykucnęła przed nim i uniosła jego podbródek.

– Nie poddawaj się, proszę cię. Niedługo spotkanie Kręgu. Masz rację, może trzeba z tym wszystkim skończyć. To trwa już wystarczająco długo. Ale mimo wszystko musimy dokończyć robotę.

Krag... Drugi raz słyszała to słowo. W powietrzu było coś ponurego, utrudniającego oddychanie. Śpiew świerszczy i owadów, nadciągająca noc: Margot czuła to każdym nerwem i każdą żyłą. Miała ochotę natychmiast uciekać. Nagle trójka przyjaciół wstała.

– Chodźmy stąd – powiedziała Virginie, podając Davidowi jego porzuconą na trawie koszulkę. – Włóż to. Pójdiesz za nami, okay? Przede wszystkim nikt nie powinien cię zobaczyć w tym stanie.

Na polanie było coraz ciemniej. David w milczeniu skinął głową. Rozprostował swoje pajakowate ciało. Margot zobaczyła, jak naciąga koszulkę na szczupły tors poznaczony ranami, które w gasnącym świetle miały kolor bardziej czarny niż czerwony; widziała, jak Sarah i Virginie ciągną go w stronę ścieżki prowadzącej do liceum. Kiedy przechodzili obok niej, ukryła się jeszcze głębiej w cieniu. Czuła dudniącą w skroniach krew. Odczekała w krzakach długą chwilę. Do momentu, aż zapanowała cisza, jednak nie była to cisza absolutna, zakłócały ją różne odgłosy, których dziewczyna nie potrafiła zidentyfikować.

Miała też wrażenie – mgliste, paranoiczne – jakby nie była sama. Jakby ktoś był w pobliżu. Zadrżała. Nad wierzchołkami drzew pojawił się księżyc. Noc zaczęła w zwodniczy sposób zmieniać perspektywę.

Jak długo tak siedziała bez ruchu? Nie była w stanie tego ocenić.

W scenie, którą obserwowała, był jakiś czar – w negatywnym znaczeniu tego słowa. Dziwny klimat, którego nie potrafiła określić. Z jednej strony to, co widziała, do głębi ją poruszyło. Czuła, że ci troje są zgubieni, że nie ma dla nich zbawienia. Nie rozumiała tego, w czym uczestniczy, ale w jakiś niejasny sposób wiedziała, że przekroczyli pewien próg, pewną granicę. I że już nie mogą zawrócić. Nagle odeszła jej chęć do drażenia tej sprawy. Miała ochotę zająć się czym innym. Pomyślała, że powie Eliasowi, by radził sobie sam.

Odczekała jeszcze trochę i ruszyła do przodu, ale po chwili stanęła.

Tuż obok usłyszała trzask łamanej gałązki, jakby nadepniętej czyjąś stopą. Zastygła. Nadstawiła uszu, ale serce waliło jej jak oszalałe i słyszała tylko szum własnej krwi w uszach oraz szelest liści poruszanych wieczornym wiatrem.

Co to było? Kręciła głową na wszystkie strony jak zwierzę na czatach. Jednak w lesie, pod zwartą koroną gałęzi, było coraz ciemniej. Tylko niebo powyżej miało nieco jaśniejszą, szarą barwę. Co to było?

Znowu ruszyła w stronę wyjścia z lasu. Uszła nieco ponad dziesięć metrów i nagle została gwałtownie pchnięta do przodu i rzucona na ziemię. Poczula, jak na jej plecy zwała się wielki ciężar. Twardo uderzyła o podłoże. Poczula zapach marihuany i gorący oddech na swoim policzku. Jednocześnie jakaś ręka przyciskała jej głowę do ziemi.

– Śledziłaś nas, szmato, tak?

Miotła się, ale David przygniatał ją całym ciężarem. Przyciskał policzek do jej twarzy. Czuła jego kłujący zarost.

– Wiesz, że zawsze mi się podobałaś, Margot. Zawsze lubiłem te twoje kolczyki i tatuaże, zawsze miałem ochotę na twój mały tyłeczek. Ale ty zawsze zauważałaś tylko Hugona, jak wszystkie te dziwki!

– David, puść mnie!

Z przerażeniem poczuła, jak jego gorąca i mokra dłoń wciska się pod jej koszulkę, jak mokre paluchy dotykają jej piersi.

– Boże, co ty robisz? Przestań! Przestań, do cholery!

– Wiesz, co się robi z takimi dziewczynami jak ty? No, wiesz, co się robi?

Jego głos brzmiał w jej uchu jak mruczenie. Nagle złośliwie wykręcił palcami jej sutek. Krzyknęła z bólu. Druga ręka od tyłu wślizgiwała się pod jej szorty. Margot czknęła.

– Coś nie tak? Nie kręci cię małe szybkie jebanko? Nie mów, że wolisz to robić z tym świrem?

Chciał ją zgwałcić. Ta myśl była dla niej czymś tak niepojętym i nierzeczywistym, że jej mózg nie dopuszczał jej do siebie. Tutaj, kilkadziesiąt metrów od uczelni... Poczowała wszechogarniającą trwogę. Panikę i przerażenie. Walczyła ze wszystkich sił i musiał cofnąć ręce, by chwycić ją za nadgarstki i przycisnąć je do ziemi. Był silny. Za silny dla niej.

– Niechaj będę szubrawcem, natomiast ona jest wzniosłego serca i pełna uczuć uszlachetnionych przez edukację. A tymczasem... o, gdybyż ona mnie pożałowała.*

Jego dłoń znowu przystąpiła do ataku pod jej szortami, tym razem od przodu, na podbrzuszu. David recytował dalej. Jego palce wciskały się w ciasną przestrzeń między szortami i skórą. Znowu czknęła. Czowała podbrzusze Davida przyciśnięte do swoich pośladków. Miał erekcję.

– Katarzyna Iwanowna jest wprawdzie damą wielkoduszną, ale i niesprawiedliwą*...

– Tołstoj! – zawołała, żeby rozproszyć jego uwagę, nie przestając gwałtownie się wrywać.

– Ach, ach, ładna próba! Skucha! To Dostojewski, *Zbrodnia i kara*. Szkoda, że tego dupka Van Ackera tu nie ma. Uważa, że jesteś dobra...

Udało mu się wsunąć jeden palec pod jej majtki.

– Przestań! Zostaw mnie! David, nie rób tego! Nie rób tego!

– Cicho – zamruczał jej do ucha. – Teraz się zamknij – powiedział to łagodnym głosem. Łagodnym, ale zdecydowanie zmienionym. Dało się w nim wyczuć groźbę. David już się nie bawił. Był gdzie indziej. Był kimś innym.

* Wszystkie cytaty ze *Zbrodni i kary* za; Fiodor Dostojewski, *Zbrodnia i kara*, przeł. Czesław Jastrzębiec-Kozłowski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1987, s. 18.

Drugą dłonią przykrył jej usta, by nie mogła krzyczeć. Margot spróbowała go ugryźć. Na próżno. Z przerażeniem poczuła, że palce Davida sięgają głębiej do jej majtek. Była niezdolna do reakcji, jakby jej umysł oddzielił się od ciała. Ona także nie była już sobą, była kimś innym.

To, co się działo, nie miało z nią nic wspólnego.

David zdejmie jej szorty, a potem ją zgwałci, tu, na ziemi.

To ciebie nie dotyczy.

Nagle ręka Davida została gwałtownie wyszarpięta z jej majtek i Margot usłyszała, że chłopak zaklął. Potem nastąpiło uderzenie, David znowu krzyknął z bólu i zanim sama zdołała się podnieść, zobaczyła jego twarz przyciśniętą do ziemi, tuż obok swojej.

– To boli!

– Zamknij się, mały popierdolony gnojku!

Znała ten głos. Odwróciła się na plecy i patrzyła, jak podwładna jej ojca – ta ze śmieszoną twarzą, ale w superciuchach – zakuwa Davida w kajdanki, przytrzymując jego plecy kolanem.

– W porządku? – zapytała Samira Cheung, spoglądając na nią.

Kiwnęła głową i otrzepała kolana oblepione ziemią i żdźbłami trawy.

– Nie zrobiłbym tego – wyskamlął David z policzkiem przyciśniętym do ziemi. – Kurwa, przysięgam, nie zrobiłbym tego! To było tylko tak!

– Czego byś nie zrobił? – Głos Samiry wydobywał się z ust wąskich i niebezpiecznych jak ostrze brzytwy. – Masz na myśli gwałt? Już to zrobiłeś, dupku! Z technicznego punktu widzenia to, co zrobiłeś, nazywa się gwałtem, żaloszny kretynie.

– Niech go pani zostawi – odezwała się Margot.

– Co?

– Niech go pani zostawi. Chciał mnie tylko nastraszyć. Nie zamierzał mnie zgwałcić. To prawda.

– Nie robisz sobie jaj? Skąd wiesz?

– Niech go pani puści.

– Margot...

– W każdym razie nie wniosę skargi. Nie może mi pani tego nakazać.

– Margot, to właśnie z powodu takich...

– Niech mu pani da spokój! Niech go pani puści! Napotkała wzrokiem spojrzenie Davida. W jego złotych oczach zobaczyła mieszankę niezrozumienia, zaskoczenia i wdzięczności.

– Zrobisz, jak będziesz chciała. Ale nie zapomnę poinformować twojego ojca, w tej sprawie możesz na mnie liczyć.

Skinęła głową, zawstydzona, widząc wściekłe spojrzenie policjantki. Trzask zdejmowanych kajdanków. Margot zobaczyła, jak Samira podnosi Davida z ziemi, przybliżyła twarz do jego twarzy na odległość pięciu centymetrów i świdruje go czarnymi jak asfalt oczami.

– Masz pietra? Powinieneś. Byłeś o włos od spięczenia życia sobie i jej. Będę cię mieć na oku. Zrób mi tę przyjemność i wywiń jakiś numer. Tylko jeden. Wszystko jedno jaki. A zaraz się pojawię.

David spojrzał na Margot.

– Dzięki.

Wyraz jego oczu był trudny do odczytania. Czy to był wstyd? Wdzięczność? Strach? A potem Samira odwróciła się w jej kierunku. Margot wciąż siedziała na ziemi.

– Trafisz sama – powiedziała zimno policjantka.

I odeszła tą samą drogą. Margot usłyszała, jak rozgarnia gałęzie i szybkim krokiem rusza aleją wzdłuż kortów. Serce dziewczyny przez cały czas waliło jak oszalałe. Wzięła kilka oddechów i zaczęła się zastanawiać, jakim cudem podwładna jej ojca znalazła się tam we właściwym momencie. Czy ojciec kazał jej pilnować? Usłyszała, że znowu zapanowała cisza, a nad lasem zapadła noc. Dopiero wtedy odwróciła się na plecy, wyciągnęła na trawie z oczami utkwionymi w ciemniejącym niebie widocznym ponad drzewami. Włożyła na uszy słuchawki, poprosiła Marilynę Mansona, by zaśpiewał prosto do jej uszu *Sweet Dreams*, i płakała aż do całkowitego wyczerpania.

Nie wiedziała, że ktoś ją obserwuje.

Najpierw usłyszał warkot silnika i muzykę. Zbliźali się od strony lasu, bardzo szybko. Elvis Elmaz wyłączył dźwięk w telewizorze, odwrócił głowę i spojrzał w kierunku okna. Zauważył w lesie jakieś migające światła. Reflektory. Zerwał się z kanapy i sięgnął po broń, która stała w kącie pokoju oparta o ścianę. Jego serce zaczęło walić jak oszalałe. Nikt go nie odwiedzał o tej godzinie.

Psy zaczęły warczeć, a potem szczekać i wyć. Trzęsły kojcami, rzucając się pazurami na siatkę.

Sprawdził, czy broń jest naładowana, odbezpieczył ją i zbliżył się do okna, gdy nagle wpadł przez nie snop białego światła i oślepiając Elvisa, rozlał się po pokoju.

Samochód wyłonił się z mroku na długich światłach i zatrzymał się przed werandą. Elvis zasłonił oczy dłonią, ale i tak musiał odwrócić głowę. Światłu towarzyszył huk muzyki z samochodowego odtwarzacza; od podkreślonych basów drżały mury.

Elvis z coraz szybciej bijącym sercem rzucił się ku drzwiom, trzymając przed sobą wycelowaną strzelbę.

– Kurwa, wiem, kim jesteście, pędzie! – zawołał, gdy znalazł się na werandzie. – Pierwszemu, który się zbliży, rozwalę mózg!

Poczuł zimny metal podwójnej lufy przystawionej do swojej skroni.

– Tu Samira – rozległ się głos w telefonie.

Servaz wyłączył dźwięk wieży. Z zewnątrz dobiegało wycie syreny. Po raz kolejny był rozczarowany. Znowu miał nadzieję, że to Marianne. A dlaczego ty się do niej nie odezwiesz? – zapytał samego siebie. Dlaczego czekasz na jej ruch?

– Co się dzieje?

– Chodzi o Margot. Dziś wieczorem coś się stało. Coś bardzo niefajnego. Ale z nią wszystko w porządku – dodała pośpiesznie.

Zesztywniał. Margot. Coś bardzo niefajnego... Co za porąbane słownictwo! Poczekał na dalszy ciąg. Samira opowiedziała mu o scenie, której była świadkiem. Pilnowała przestrzeni za budynkami, Vincent był z przodu. Zajęli stanowiska obserwacyjne wczesnym wieczorem. Vincent siedział w samochodzie na parkingu, Samira schowała się w krzakach. Zobaczyła dwie dziewczyny idące wzdłuż kortów w kierunku lasu. Potem pojawiła się Margot, ruszyła ich śladem i weszła za nimi między drzewa. Poszła więc za nią i zauważyła, że Margot obserwuje polanę, na której te dziewczyny rozmawiają z chłopakiem o imieniu David. Była zbyt daleko, by słyszeć rozmowę, ale młody człowiek wyglądał na kompletnie naćpanego. Własnoręcznie pociął sobie nożem klatkę piersiową. Następnie Samira widziała, jak cała trójka rusza w stronę szkoły. Margot siedziała schowana w krzakach. Najwyraźniej tamci troje jej nie zauważyli. Ale po

kilku minutach David znowu się pojawił. Samira zobaczyła, jak chłopak kryje się za jakimś krzakiem i straciła go z oczu, aż do chwili, gdy rzucił się na Margot. Ruszyła biegiem w ich stronę, ale byli dobre trzydzieści metrów od niej, a w tym pieprzonym lesie jest pełno jeżyn; Samira potknęła się o korzeń, na którym zwichnęła kostkę i kiedy się podniosła, okazało się, że cholernie ją boli. Zanim interweniowała, upłynęło jakieś półtorej minuty, nie więcej, szefie, przysięgam.

– Przynajmniej został zatrzymany na gorącym uczynku – powiedziała.
– I naprawdę, szefie, Margot ma się dobrze.

– Nic nie rozumiem! Na jakim gorącym uczynku?! – zawołał.
Powiedziała mu.

– Mówisz, że David próbował zgwałcić moją córkę?

– Margot twierdzi, że nie. Że nie miał takiego zamiaru. Ale udało mu się... eee... włożyć jej rękę do... do majtek.

– Już jadę.

– Kurwa, nie róbcie tego, nie róbcie tego, do cholery!

Szarpnął się. Dla formy. Miał ręce związane za plecami, a nogi – od kostek do kolan – przymocowane do nóg krzesła grubą taśmą klejącą. W podobny sposób przykleili do oparcia część jego tułowia i szyję. Za każdym razem, gdy się szarpał, taśma wyrywała mu owłosienie ze skóry. Pot lał się z niego strumieniami, nie sądził, że może mieć go aż tyle. Przeciekł przez dżinsy, tworząc mokrą plamę w kroczu; wyglądało to, jakby Elvis oddał pod siebie mocz. Co niechybnie by nastąpiło, gdyby ten stan miał trwać dłużej. Presja strachu.

– BANDA POJEBAŃCÓW! KURWA WASZA MAC! PIEPRZEŃ WAS WSZYSTKICH!

Wyzwiska pozwalały mu przezwyciężyć lęk. Wiedział, że to nie będzie przyjemna śmierć. Wystarczyło, że sobie przypomniał, co się stało z nauczycielką. Sadyści... Nigdy nie był zbyt czuły wobec kobiet. Bił je, gwałcił, ale to, co musiała znieść Claire Diemar, przechodziło ludzkie pojęcie – nawet dla kogoś takiego jak on. Wstrząsnął nim dreszcz: na myśl o tym, co go czeka, zrobiło mu się żal samego siebie.

Wciągnął w nozdrza zapach psów, silną i kwaśną woń własnego ciała i bogaty aromat lasu: związali go na zewnątrz, na werandzie. Wydawało mu się nawet, że w nieruchomym powietrzu czuje lekki podmuch

wieczornego wiatru, przypominający podziemny prąd. Drobinki kurzu i owady tańczyły w agresywnym świetle samochodowych reflektorów, od którego bolały go oczy. Dostrzegał każdy szczegół z niezwykłą ostrością – łącznie z fontannami śliny wytryskującymi ze swoich ust, ilekroć ich wyzywał. Nagle wszystko wokół niego stało się dziesięciokrotnie bardziej żywe niż zazwyczaj, wszystko zyskiwało kapitalną, ostateczną wartość.

– Nie boję się – powiedział. – Zabijcie mnie, i tak to pierdolę.

– Naprawdę? – zainteresował się jeden z napastników. – A to świetnie!

Podobnie jak pozostali, miał na sobie przesiąkniętą potem bluzę, a jego twarz kryła się w cieniu kaptura.

– Ale będziesz się bał, wierz mi – powiedział spokojnym głosem inny.

Było w tym głosie coś, co sprawiło, że Elvis zadrżał. Ta jego pewność. Ten spokój. Ten chłód. Zobaczył, jak rozwijają na podłodze rolkę przezroczystej i błyszczącej folii spożywczej. Zakręciło mu się w głowie. Jego serce tłukło się w piersi jak ptak szukający wyjścia z klatki.

– Co wy, kurwa, robicie?

– O, nagle cię to interesuje?

Wstali i zaczęli okręcać folię wokół jego tułowia, umięśnionych, nagich ramion i oparcia krzesła. Zmusił się do uśmiechu.

– Co to ma być?

– To? – zarechotali. – Papu dla twoich milusińskich. Intruzi zniknęli z jego pola widzenia. Słyszał, że są w środku, otwierają i zamykają lodówkę, a następnie wracają wielkimi krokami. Nagle dłonie w lateksowych rękawiczkach zaczęły wsuwać kawałki świeżego, krwistego mięsa między folię spożywczą i jego ciało. Elvis podskoczył. Kiedy miał już kilka kotletów na brzuchu, wrócili do owijania krzesła folią, z każdym okrażeniem zbliżając się do jego gardła, po czym wsunęli kolejne kawałki ścierwa – tego taniego, którego używał do karmienia zwierząt – między folię, jego klatkę piersiową i szyję.

– W co wy się, do cholery, bawicie?

Nagle jeden z nich draśnięciem scyzoryka rozciął mu policzek. Ciepła krew zaczęła sikać na jego podbródek, na szyję, na plastikową folię i na mięso.

– Au! Kurwa, jesteście chorzy!

– Wiedziałeś, że materiał, z którego jest zrobiona ta folia, składa się w pięćdziesięciu sześciu procentach z soli i w czterdziestu czterech procentach z benzyny?

I dalej go owijali, jakby był podróżnikiem złapanym przez tubylców, przywiązywany do słupa ofiarnego. Znowu poczuł zimny dotyk folii spożywczej na swojej szyi i palącym karku, a potem chłód mięsa wsuwanego między ciało i plastik. Następnie ostatnimi kawałkami mięsa wymazali mu twarz. Krzywiąc się, wściekle szarpał głową na wszystkie strony.

– Przestańcie! Przestańcie już! Banda poje,..

Znowu weszli do środka. Słyszał, jak odkręcają kurek nad zlewem otwartej kuchni i rozmawiając, myją ręce pod bieżącą wodą. Chciał się ruszyć. Kiedy tylko odejda, zamierzał przewrócić krzesło i spróbować się uwolnić. Ale czy zdąży? Pot obficie ściekał po jego twarzy i brodzie, Elvis zamrugnął powiekami, by strząsnąć słone krople, które spływały mu z brwi i piekły w oczy. Zrozumiał, co robią, i napełniało go to przerażeniem. Nie bał się umierania, ale taka śmierć? Nie. Kurwa, nie!

Przesunął językiem po suchych, spieczonych wargach. Pot kropla za kroplą kapał z jego nosa na plastikową folię.

Spojrzał w oślepiające światło reflektorów. Otaczała go noc i czarny las. Słyszał brzęczenie owadów wśród drzew. Psy już nie czekały. Jak posłuszni widzowie czekały na dalszy ciąg filmu... Może już czuły zapach oznaczający posiłek. Jego kaci minęli go, zeszli po schodach, wsiedli do samochodu i zatrzasnęli drzwi.

– Zaczekajcie! Wracajcie! Mam pieniądze! Dam wam! – wrzeszczał – Dużo! Dam wam wszystkie! Wracajcie! – Błagał, jak nigdy wcześniej w swoim życiu. – WRACAJCIE, WRACAJCIE, DO CHOLERY!

A potem się rozplakał. Samochód ruszył na wstecznym biegu w kierunku pograżonych w mroku kojców.

Nie było czasu do stracenia. W ciemnościach otwierali kojce, jeden po drugim. Psy ich znały. Wiele razy pod nieobecność właściciela przyjeżdżali tu, by je karmić i z nimi rozmawiać.

– To ja – odezwał się jeden z nich uspokajającym głosem. – Poznajecie mnie, prawda? Założę się, że jesteście głodne. Nie jadłyście już ponad dwadzieścia cztery godziny.

Psy kolejno wyskakiwały z kojców. Otoczyły ich, a oni stali bez ruchu, pozwalając się wachać tym wielkomordym bestiom, których przodkowie bez mrugnięcia okiem rzucali się na niedźwiedzie. Molosy ocierały się o ich nogi, krążyły wokół samochodu. A potem poczuły inny zapach unoszący się w nocnym powietrzu. Przyjezdni zobaczyli w świetle reflektorów, jak unoszą pyski, a ich wielkie karki jak na komendę odwracają się w kierunku domu. W małych, błyszczących oczkach wyczytali głód i żarłoczność. Oblizwały się i nagle, jakby na sygnał, z głośnym ujadaniem całym stadem puściły się w tamtą stronę. Kiedy horda wskoczyła na werandę, usłyszeli, jak Elvis mówi rozkazującym tonem:

– Tytan, Lucyfer, Tyson, dobre psy, leżeć! Powiedziałem: leżeć! – Po chwili w jego głosie słyhać już było tylko czystą panikę: – Powiedziałem, leżeć! Tyson! Nie! Nieee!

Nie byli w stanie powstrzymać drżenia, kiedy nocną ciszę rozdarł krzyk i pomruki zadowolonych molosów pożerających swojego pana.

BREAKING BAD

– Nie zrobiłbym tego – łkał, spoglądając to na jedno, to na drugie. – Nie zrobiłbym tego. Przysięgam. Ja... ja... ja... chciałem ją tylko nastraszyć. Nie, kurwa, naprawdę, ja nigdy nikogo nie zgwałciłem! Ona nas śledziła. I w pewnym momencie się wkurzyłem. Chciałem... chciałem jej napędzić stracha, to wszystko! Ja... miałem dziś kiepski dzień. Przysięgam, kurwa. Nigdy w życiu czegoś takiego nie zrobiłem. Musicie mi uwierzyć!

Złapał się rękami za głowę, jego plecami wstrząsał cichy szloch.

– Brałeś coś, David? – zapytała Samira. Skinął twierdząco głową.

– Co?

– Speeda.

– Od kogo go miałaś? Zawahał się.

– Nie jestem kapusiem – powiedział, jakby byli na planie serialu kryminalnego.

– Słuchaj no, gnojku... – zaczął Servaz, którego twarz spurpurowiała.

– Od kogo? – powtórzyła Samira. – Nie zapominaj, że zostałeś przyłapany na usiłowaniu gwałtu. Wiesz, co to oznacza: relegowanie ze szkoły, proces, więzienie. Nie mówiąc już o tym, co powiedzą ludzie. I o twoich rodzicach.

Skinął głową.

– Nie wiem, jak się nazywa. Studiuje na wydziale nauk ścisłych. Nazywają go Heisenberg, tak jak bohatera z...

– *Breaking Bad* – przerwała mu Samira, notując pytanie, które chciała zadać brygadzie antynarkotykowej.

– Hugo też bierze? – chciał się dowiedzieć Servaz.

David znowu twierdząco skinął głową, nie przestając się wpatrywać we własne dłonie.

– Czy Hugo brał coś tego wieczoru, kiedy byliście w pubie na meczu? Odpowiadaj.

Tym razem David podniósł głowę i popatrzył Servazowi prosto w oczy

– Nie! Był czysty.

– Jesteś tego pewien?

– Tak.

Komendant i Samira popatrzyli na siebie. Zdanie w zeszycie nie było napisane ręką Claire, a Hugo z całą pewnością był naćpany. Postanowili nazajutrz zadzwonić do sędziego, nie byli jednak pewni, czy na aktualnym etapie śledztwa te fakty wystarczą, by uzyskać zwolnienie chłopaka z aresztu.

– A teraz spadaj – powiedział wreszcie Servaz. – I przekaz swojej bandzie: jeśli ktokolwiek z was dotknie choćby włosa mojej córki, wasze życie zamieni się w piekło.

David wstał i wyszedł ze spuszczoną głową. Servaz również się podniósł.

– Wracajcie na stanowiska – powiedział do Samiry. – Skontaktujcie się z narkotykami i zapytajcie, czy znają tego Heisenberga.

Wyszedł z pokoju i ruszył przed siebie korytarzem. Znał to miejsce jak własną kieszeń. Z każdym lub prawie każdym metrem wiązały się jakieś wspomnienia. Teraz jedno z nich wypłynęło na powierzchnię. Z lat wcześniejszych niż czasy Marsac... Francis i on. Mieli dwanaście, trzynaście lat. Francis pokazał mu jaszczurkę wygrzewającą się w słońcu na murku. „Patrz”. I jednym cięciem łopaty albo jakiegoś zardzewiałego noża – Servaz nie pamiętał – pozbawił zwierzę ogona. Ogon nadal poruszał się na wszystkie strony, jakby obdarzony własnym życiem, podczas gdy jaszczurka czmychała, szukając kryjówki. Ale kiedy Martin stał zafascynowany ciągle żywym ogonem oddzielonym od ciała, Francis zdążył sięgnąć po sporej wielkości kamień i zmiażdżyć głowę gada, zanim ten zniknął w dziurze.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo to jest podstęp: podczas gdy drapieżnik jest zafascynowany tym ruszającym się kawałkiem ogona, jaszczurka korzysta z tego i ucieka.

– Naprawdę musiałeś ją zabić?

– Jestem drapieżnikiem inteligentniejszym od innych – odpowiedział Francis.

Servaz pchnął drugie drzwi po lewej. Dawna sala lekcyjna. Margot siedziała w ławce ze słuchawkami na uszach i obgryzała paznokcie. Kiedy wszedł, zdjęła słuchawki.

– Wypuściliście go?

Servaz twierdząco kiwnął głową.

– Ale obciach – powiedziała. – Teraz wszyscy będą na mnie patrzeć jak na zadżumioną.

– To nie twoja wina.

– Czeka mnie tu jeszcze drugi rok, tato. Jak mam poznawać nowych kolegów, jeśli mam wypisane na plecach: „dziewczyna-której-nie-wolno-dotykać-ani-się-do-niej-zbliżyć-ponieważ-jest-chroniona-przez-policję”?

– Heisenberg, mówi ci to coś?

– Gość, który stworzył mechanikę kwantową czy postać z serialu *Breaking Bad*?

Servazowi ulżyło. Odpowiedziała bez najmniejszego wahania ani mrugnięcia okiem. Najwyraźniej nigdy nie słyszała o dealerze noszącym przydomek Heisenberg.

– O czym jest ten serial?

– To historia nauczyciela chemii, który się dowiaduje, że ma zaawansowanego raka, i który po to, żeby zapewnić byt swojej rodzinie, kiedy jego już nie będzie, decyduje się na produkcję i sprzedaż narkotyków. Interesujesz się teraz serialami?

Stąd to przydomek, pomyślał, zastanawiając się, jak na podstawie takiej historyjki można stworzyć serial.

– Słyszałaś ich rozmowę – nagle zmienił temat. – O czym mówili?

Zobaczył, jak Margot marszczy brwi i się zastanawia.

– Nie wiem. To było dosyć niespójne. I dziwne. David powiedział, że ma już tego wszystkiego dość... że nie chce już tego robić.

– Czego?

– Nie mam pojęcia. A potem Virginie powiedziała, że nie mogą zostawić Hugona, że on kochał ich wszystkich. A tak, a potem powiedziała o czymś jeszcze dziwniejszym: O Kręgu. Powiedziała, że Krąg niedługo się zbiera.

– Krąg?

– Tak.

Już miała mu powiedzieć, że Krąg ma się spotkać 17 czerwca, ale się powstrzymała. Dlaczego? Dlaczego zachowujesz to dla siebie? Co z tobą? Tylko oni dwoje byli na bieżąco: Elias i ona. Co jej chodziło po głowie?

– Co to jest? Masz jakiś pomysł? Pokręciła głową.

– Idź się położyć – powiedział, czując, że sam pada ze zmęczenia.

– A Vincent i Samira jak długo tu zostaną? – spytała, sięgając po słuchawki.

Nagle Servaz o czymś pomyślał.

– Tak długo, jak będzie trzeba – odpowiedział. – Jakiej muzyki słuchasz?

– Hę? Dlaczego cię to interesuje? Nie znasz, nazywa się Marilyn Manson. To nie twój styl – zachichotała.

– Możesz powtórzyć?

– Co?

– Nazwę zespołu.

– Marilyn Manson. A dlaczego? Co jest, tato?

Servaz poczuł, jakby pod jego stopami otwierała się przepaść. Kafajka internetowa... Wyszło mu w ustach, a na jego twarz wystąpiły kropelki potu. Wyjął telefon i drżącymi palcami zaczął szukać numerów do Espérandieu i Samiry.

Samira Cheung znowu leżała w zaroślach na tyłach liceum, jak jakaś pieprzona komandoska. Już żałowała, że nie ubrała się inaczej. Miała na sobie stretchowe džinsy i za krótką koszulkę: trawa łaskotała ją w pępek i kobieta przez cały czas się drapała. Na szczęście podkoszulek był czarny, a spodnie ciemnoniebieskie, dzięki czemu była mniej widoczna.

Z miejsca, w którym się znajdowała, Francuzko-Chinko-Marokanka miała widok na cały zespół budynków: od betonowych pawilonów i trybuny sportowej po lewej aż po wejście do stajni, skrzydło sypialne po prawej, a także korty tenisowe, trawnik i wejście do labiryntu. W otwartym oknie Margot świeciło się światło. Samira miała nawet wrażenie, że widzi rozżarzoną końcówkę papierosa i smużkę dymu. Oj, dziewczynko, przepisy tego zabraniają... Żeby nie zasnąć, wypła kawe i zażyła modafinil, choć wydarzenia tego wieczoru dostarczyły jej wystarczająco dużo adrenaliny,

by była pobudzona. Chętnie zapodałaby sobie trochę death metalu przez uszy, żeby ożywić się jeszcze bardziej, na przykład Hannibal Corpse, których album *Butchered and Birth*, powtórnie wydany w 2002 roku, zawierał tytuły tak znane jak *Living Dissection* („Sekcja na żywo”), *Under the Rotted Flesh* („Pod zgniłym mięsem”) i *Gutted* („Wypatroszony”). Ale nie chciała, by ktoś zaszedł ją od tyłu, od strony lasu i zrezygnowała ze słuchawek. Prawdę mówiąc, wzdrygała się na myśl, że ma za plecami ten gęsty, głęboki las.

Na ile tylko była w stanie, starała się trwać w bezruchu. Nie miała ochoty zostać zauważona przez mieszkańców i stać się lokalną atrakcją. Od czasu do czasu wykonywała jednak w krzakach małą rozgrzewkę i kilka ćwiczeń rozciągających. Rozmyślała też o tym, jak urządzić ruinę na przedmieściach Tuluzy, swój nowy dom. Był wtorek, a znajomy, który miał jej zamontować prysznic, nadal się nie odzywał.

Jej krótkofalówka zatrzeszczała i wśród nocnej ciszy rozległ się głos Espérandieu.

– Jak tam u ciebie?

– Spokój.

– Martin odjechał. Kompletnie fiksuje. Chciał tu zostać. Na jego prośbę żandarmeria postawiła patrol na drodze, przy wjeździe na teren szkoły. Kazał Margot zamknąć pokój na klucz i pod żadnym pozorem nie otwierać nieznajomym. Poszła się położyć.

– Niezupełnie. Widzę ją: pali skręta. Ale potwierdzam, jest w pokoju.

– Mam nadzieję, że nie słuchasz tam muzyki.

– Słyszę tylko jakąś pieprzoną sowę. A u ciebie cisza?

– Jak w grobie.

– Naprawdę myślisz, że on miałby ochotę się tu pojawić?

– Hirtmann? Nie wiem. Zdziwiłoby mnie to... ale ta sprawa z muzyką Marilyną Mansona jest niepokojąca.

– A jeśli nas zauważy?

– Cóż, zachęci go to, żeby zawrócić. Nie sędzę, by miał ochotę znowu wylądować w celi. Jeśli chcesz znać moje zdanie, jest daleko stąd. I nie zapominajmy, że jesteśmy tu przede wszystkim po to, żeby chronić Margot, a nie łapać Hirtmanna.

Samira nic nie odpowiedziała.

Wcale tak nie myślała.

Gdyby nadarzyła się okazja dobrania się Szwajcarowi do skóry, nie zamierzała się krępować.

W wieku dziesięciu lat Suzanne Lacaze była przekonana, że świat jest cudownym placem zabaw i że wszyscy ją kochają. Gdy miała lat dwadzieścia, odkryła, że świat to miejsce rozdzierające i raniące, a większość ludzi kłamie – zarówno przed innymi, jak przed samymi sobą: stało się to wtedy, gdy najlepsza przyjaciółka odebrała jej chłopaka, w którym Suzanne była do szaleństwa zakochana, ze łzami w oczach i ze słowami „kochamy się”, „jesteśmy dla siebie stworzeni”, „tak mi przykro, Suzie” w ślicznych zasranych usteczkach... Teraz, gdy miała już czterdzieści lat z kawalkiem, wiedziała z niezachwianą pewnością, że świat to wymarzony plac zabaw dla drani i piekło dla pozostałych, a Bóg to mistrz świata czubków we wszystkich kategoriach.

Leżąc w łóżku, wpatrywała się w sufit i słuchała chrapania śpiącego obok męża. Wrócił zaledwie przed godziną i mimo że duch, który w niej zamieszkał, osłabił jej węch, wyczuła zapach innej kobiety. Nawet się nie pofatygował, by wziąć prysznic.

W ostatnim czasie stał się wobec niej taki uważny, taki cierpliwy. Taki... grzeczny. Dlaczego zawsze taki nie był?

Nie łudź się, staruszko. Tu nie chodzi o miłość, ale po prostu o spokojne sumienie. Nawet nie wziął prysznic: jakiego dowodu jeszcze potrzebujesz?

Chciała umrzeć w spokoju. Nagle zrozumiała, że „umrzeć w spokoju” oznacza zemstę. Jej zemstę. Z porażającą jasnością – jakby jej własna matka wróciła z krainy umarłych, by powiedzieć „Musisz to zrobić” – zrozumiała, że nazajutrz zadzwoni do tego gliny i powie mu prawdę.

Interludium 3

KONFRONTACJA

Zastrzyk. Zanim straciła świadomość, kiedy igła wbiła jej się w ramię, przywołała całą swoją wolę.

Bądź silna. To teraz...

Otworzyła oczy w dużym pokoju jadalnym o wystroju z minionej epoki. Tak było zawsze. Siedziała w fotelu z wysokim oparciem, na końcu dużego stołu. W talii i w kostkach przypięta była do fotela szerokimi skórzanymi pasami.

Talerze, świeczniki, kieliszki, wino, muzyka. Oczywiście Mahler. Ten pierdolony, zasrany świr Mahler. Zastanawiała się, czy po tych wszystkich miesiącach, które spędziła zamurowana w milczeniu, zdoła mówić wystarczająco głośno. Czy zapalenie strun głosowych już minęło.

Nie miała innej broni. Tylko swój głos.

– Stuknijmy się! – zawołał wesoło.

Zazwyczaj się nie sprzeciwiała. Lubiała smak wina, jego zapach, uwalniający stan upojenia. Po dniach spędzonych w piwnicy, kiedy karmił ją mdłą i bezbarwną zupą, lubiała świeżo wyprasowaną sukienkę, aromat wina, zapach mydła i czystości na swojej skórze, wykwintny smak serwowanych dań. Podobnie jak za każdym poprzednim razem, przez dwadzieścia cztery godziny nic nie jadła. Chciał, żeby była wygłodzona. I była. Tylko Bóg wiedział, jak bardzo. Jej żołądek i mózg wołały, by rzucić się na dymiący talerz. Wpatrywała się w plastikowy kieliszek, woń wina mile drażniła jej nozdrza. Kusząco... Miała na nie ochotę. Ogromną ochotę. Prawie tak jak na początku chciało jej się narkotyków, których została pozbawiona. Myślała wtedy, że zwariuje.

Położyła dłonie płasko na stole. Mierzyła męczyznę wzrokiem, z lekkim ironicznym uśmieszkiem na ustach. Zobaczyła, jak zdezorientowany marszczy brwi.

– Nie stukniesz się? – zapytał, nie przestając się uśmiechać. – Co ci jest? Nie chce ci się pić?

Umierała z pragnienia. Jej gardło było wyschnięte na wiór.

– No już, przecież wiesz, że to nic nie da – powiedział trochę bardziej pieszczotliwie. – Napij się. Zobacysz, to wino jest wyjątkowe.

Parsknęła dźwięcznym, szyderczym, pogardliwym śmiechem. Tym razem dostrzegła w jego oczach iskierkę z wątpienia. A potem przyjrzał jej się uważnie, jak naukowiec, który nagle zaobserwował u królika doświadczalnego nieoczekiwaną reakcję.

– Ach tak, rozumiem. Prowokacja – zażartował, ale uprzejmie. Bez wrogości.

– Kurwa twoja mać – powiedziała zimnym, chropowatym głosem.

To jeszcze bardziej zbiło go z tropu. Pogładził się po czarnej bródce. Jego krótko obcięte blond włosy lśniły w blasku świec i żyrandola. Znowu się uśmiechnął,

– To słownictwo do ciebie nie pasuje – skwitował pobłaźliwie. Wpatrywała się w niego z szyderczym grymasem ust.

– To słownictwo do ciebie nie pasuje – powtórzyła, naśladując jego akcent i snobistyczny, nosowy sposób mówienia.

W jego oczach na chwilę pojawił się błysk gniewu, ale wkrótce uśmiech powrócił.

– Ty pieprzony zboku, skurwysynu, żalony impotencie...

Nic nie odpowiedział, tylko na nią patrzył.

– Twoja matka była kurwą, prawda? Tym razem uśmiechnął się wesoło.

– Masz całkowitą rację.

Ta reakcja na chwilę wytrąciła ją z równowagi, ale kobieta szybko zebrała się w sobie. Zarechotała cicho.

– Co cię tak rozśmieszyło?

– Twój miniaturowy fiut. Jednego dnia wcale nie spałam. Widziałam go.

Zobaczyła, że spojrzenie siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyzny znowu stało się posepne. Zadrżała. Wiedziała, do czego jest zdolny.

– Przestań.

– Przestań.

W jego oczach pojawiła się jakby atramentowa plama, która po chwili zniknęła. Odwrócił się i sięgnął ręką za siebie, by podkręcić muzykę dobywającą się z miniwieży stojącej na komodzie. Buchnęły dźwięki skrzypiec, rozległy się uderzenia perkusji, ryknęły instrumenty dęte. Kobieta zaczęła naśladować ruchy dyrygenta: przymknęła powieki i kołysała głową, wymachując przy tym rękami. Uśmiechała się. Nie miała ani noża, ani widelca – musiała jeść palcami. A talerz był papierowy. Nie przestając udawać frenetycznego dyrygenta, chwyciła talerz na zupę i rzuciła nim przez pokój, po czym zaczęła śpiewać, fałszując, przekrzykując muzykę. Zupa ściekała ze ściany. A więc odzyskała głos. Zaśpiewała jeszcze głośniej.

– DOŚĆ!

Wyłączył dźwięk. Wpatrywał się w nią surowym wzrokiem. Już się nie uśmiechał.

– Nie powinnaś się ze mną bawić w ten sposób.

Tym razem była to wyraźna groźba i na ułamek sekundy kobietę zmroził strach. Słyszała wściekłość w jego głosie. I podobnie jak dobrze wytresowany pies, na gniew pana reagowała przerażeniem. Pozbieraj się. Jesteś na dobrej drodze. Po raz pierwszy miała nad nim przewagę i na krótko doświadczyła uczucia triumfu.

– Obyś się udławił własnym gównem i zdechł – powiedziała. Uderzył pięścią w stół.

– Przestań! Nienawidzę takiego języka!

Zachichotała, wykrzywiając twarz.

– Ojejku, jejku! Ty naprawdę jesteś tylko małym, pieprzonym impotentem, nie mam racji, kotku? Któremu normalnie nie staje. Który nie potrafi powiedzieć fiut, pizda, jaja... Założę się, że jak byłeś mały, mama macała ci siusiaka. Masz problem z brzydkimi słowami i z kobietami, chłoptasiu? A może ty jesteś ciotą?

Zobaczyła, że wyprowadziła go z równowagi. Nigdy dotąd w swoim życiu nie używała takich słów ani nie mówiła tak wulgarnym tonem, nawet w chwilach największej wściekłości. Czuła, że robi jej się od tego niedobrze.

– Ty szmato – wycedził. – Ty pieprzona kurwo. Zapłacisz mi za to.

Odepchnął krzesło i wstał. Kobietę ogarnął lęk. A potem panika – gdy zobaczyła, co jej oprawca trzyma w ręku. Widelec... Zapadła się głębiej w

fotel. Uśmiech stopniowo zniknął z jej warg. Jeśli mężczyzna wyczyta teraz strach w jej oczach, jeśli zobaczy, że odpuściła, wygra.

Kiedy był już dość blisko, odchrząknęła głośno i splunęła w jego kierunku. Nie trafiła w twarz, ale przynajmniej ubrudziła mu koszulę. Nie zadał sobie trudu, by zetrzeć ślinę, tylko wpatrywał się w nią pustym wzrokiem.

Nagle wolną ręką chwycił jej twarz i z całej siły ścisnął, imadłem palców miażdżąc jej szczęki i zęby przez skórę policzków. Bolało. Wrywała się, szarpała głową na wszystkie strony, próbowała odepchnąć go rękami, drapać, ale mężczyzna nie zwalniał uścisku. Wtem poczuła przenikliwy ból, jakby porażenie prądem. Widelec wbił się głęboko w jej wargi, jak zęby grzechotnika. Kobieta krzyknęła, otwierając usta. Natychmiast trysnęła z nich krew. W tej samej chwili widelec uderzył po raz drugi, wbijając się w jej górne dziąsło, między zęby. Myślała, że zwariuje z bólu. Krew tryskała jak gejzer. Kobieta szlochała, krzyczała, wyła, a widelec uderzał dalej – w policzki, wargi, język...

A potem obłęd ustał. Równie nagle jak się zaczął.

Jej serce waliło z prędkością dwóch tysięcy uderzeń na godzinę. Miała wrażenie, że powiększyło się trzykrotnie. Paliły ją krwawiące usta i dolna połowa twarzy. Cierpiała męki. Starła się złapać oddech, uspokoić szalone bicie serca. Domyśliła się, że mężczyzna ją obserwuje, czeka na reakcję. Wreszcie, zadowolony, wrócił na miejsce.

– Pedał, ciota, małe gówno, rob...

Zobaczyła, że znieruchomiał. Stał teraz plecami do niej. Zebrała ostatnie siły, próbowała nie zwracać uwagi na ból.

– Ajajaj! – zareagowała. – Co za... śmieszny człowieczek! Jaki przeciętny... zwy... czajny, pospolity, żaloszny... O to chodzi, Julianie Hirtmann?

Odwrócił się. Znowu się uśmiechał.

– Myślisz, że nie zrozumiałem twojej sztuczki? Myślisz, że nie wiem, do czego chcesz mnie sprowokować? Ale w ten sposób mi się nie wymkniesz. Przed nami jeszcze długie miesiące, długie lata wspólnego życia.

Słyszając te słowa, poczuła, że jej odwaga słabnie. Ale zmusiła się, by tego po sobie nie pokazać. Rozczochrała sobie włosy, wydając lekceważące dźwięki, i wybuchła złym śmiechem. W jej źrenicach tańczyły kpiarskie

ogniki. Potem chwyciła swoją sukienkę i rozerwała ją, ukazując nagie piersi.

– Naprawdę chcesz spędzać wieczory z tak wulgarną, tak odrażającą dziewczyną jak ja? Długie miesiące, lata? Z pewnością mógłbyś znaleźć bardziej ugodową kobietę, prawda? Jakaś nową... Bo jeśli chodzi o mnie, to koniec, piękniśiu. Nigdy nie będziesz mnie już miał tak jak dawniej. Zapomnij o tym. – Gwałtownym gestem zrzuciła plastikowy kieliszek z winem i wycelowała palec w jego krocze. – Wyjmij go. Założę się, że jest mięciutki i skurczony. Staje ci tylko, jak śpię, prawda? Nie uważasz, że to podejrzane? Czy ty się mnie boisz, chłopczyku? Udowodnij, że jesteś mężczyzną, no już, wyjmij go; pokaż tę twoją dżdżowniczkę. Ale nie... Nie jesteś w stanie, prawda? Teraz tak będą wyglądały nasze wieczory, kochany. Będziesz musiał się przyzwyczaić.

Widziała, jak bardzo jest rozczarowany. Chciałaby, żeby szybko z nią skończył. Wiedziała jednak, że nie zrobi jej tej przyjemności. Najpierw każe jej zapłacić. Przygotowywała się na cierpienie, przypomniawszy sobie o całym złu, jakiego się w życiu dopuściła, o wszystkich błędach, które chciałaby naprawić, o ludziach, z którymi chciałaby się pożegnać. O swoim synu, o swoich przyjaciółach, o mężczyźnie, do którego miała dołączyć, i o innym mężczyźnie, którego tak bardzo kochała, a jednak zdradziła. Wszystkim posłała ciche myśli, słowa miłości, a tymczasem po jej policzkach płynęły łzy, a on zbliżał się bez słowa.

Wiedziała, że tym razem się uda...

ŚRODA

REWELACJE

Była 5.30 rano i zaczynało świtać, kiedy Drissa Kanté włączył odkurzacz w gabinecie numer 2.84. Nikt się nie pali do pracy polegającej na czyszczeniu wykładzin i ścieraniu kurzu z biurek i komputerów, nie o tym marzą dzieci – bez względu na to, czy mieszkają w Europie czy w Afryce – a jednak, ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu, Drissa w końcu ją polubił.

Mimo że mając do posprzątania kilka biurowców, nie można było tracić czasu, mimo że trzeba było wstawać, kiedy inni jeszcze spali i wychodzić z łóżka w środku mroźnej nocy albo bladym świtem, prosta rutyna tego zajęcia podobała mu się. Zawsze udawało mu się oderwać i myślami powrócić do kraju albo snuć refleksje na temat tego, co przeczytał. W przeciwieństwie do większości robotników ранней zmiany, którzy oddają się lekturze bezpłatnych dzienników, Kanté dysponował budżetem pozwalającym na kupowanie codziennej prasy, którą czytał świadomie podczas przejazdów autobusem z jednego biurowca do drugiego. Delektował się faktem, że żaden z urzędników spotykanych każdego ranka, a byli wśród nich tacy, którzy witali go z niezwykłą uprzejmością, niewątpliwie chcąc mu wynagrodzić niesprawiedliwość, jaką było w ich oczach jego miejsce urodzenia i wykonywany zawód, nawet nie podejrzewał, iż człowiek odkurzający ich biurka studiował dłużej niż oni. Nowy świat, do którego teraz należał, był tak bardzo różny, tak odległy od dawnego, że Drissa Kanté czasem miał wrażenie, jakby stał się inną osobą. Wiedział, że miliony jego rodaków marzyłyby o znalezieniu się na jego miejscu, ale czasami coś się w nim łamało, kiedy myślał o równinach swojego kraju, o upalnych nocach w rodzinnej wiosce, gdy przychodziła pora ciepła, i o zachodach słońca nad Nigrem.

Tego ranka dusiła go nie nostalgia, ale obawa, by nie stracić posady, którą niejednen mieszkaniec jego nowego kraju uznałby za niegodną. Bał się, że może zaprzepaścić wszystko. Strach do tego stopnia wywracał mu kiszki, że musiał dwa razy biegać do toalety, ściągając na siebie zdziwione spojrzenia pozostałych członków brygady; wy tłumaczył im, że poprzedniego dnia zjadł coś, co mu zaszkodziło. Że było to *djaratankdi*, danie na bazie baraniny, okry i papryki. Nie potrafił wyrzucić z głowy słów tego mężczyzny: „Naprawdę chcesz stracić zezwolenie na pobyt?”. Dziwne,

pomyślał. Tysiące wypowiedzianych słów, tysiące zdań usłyszanych każdego dnia, a pamięć wydobywa spośród nich jeden okruch, który nie daje człowiekowi spokoju.

Podobnie jak wtedy, kiedy porzuciła go kobieta, którą kochał. Powiedziała: „Zapomnij o mnie. Odejdź z mojego życia na zawsze”. Właśnie tego „zapomnij o mnie” i „na zawsze” nigdy nie zdołał zapomnieć.

Wyłączył odkurzacz, sięgnął po piankę czyszczącą w aerozolu leżącą na wózku do sprzątanania i zmył dwie plamy, następnie opróżnił kosze na śmieci do czarnego worka. Złapał szmatę i butelkę z płynem do mycia i ruszył w stronę wskazanego gabinetu. Nadstawił uszu. Nic poza trajkotaniem kolegów w korytarzu. Waliło mu serce. Mimo że było wcześniej, na drugim końcu korytarza było dwóch dyżurujących gliniarzy: widział ich po drodze. Kiedy grubas w czarnych okularach podał mu adres, Drissa zrozumiał, że to nie koniec jego kłopotów.

Kiedy wyjął małą pamięć USB z kieszeni kombinezonu roboczego, trzęsła mu się ręka. W gabinecie był tylko jeden komputer, nie było więc możliwości pomyłki. Spojrzał na wschód słońca za budynkami, który barwił niebo na piękny łososioworóżowy kolor. Wiedział, że jeśli nie zrobi tego teraz, później już się nie odważy. Rzucił okiem przez uchylone drzwi.

Teraz...

Pendrive bez trudu wszedł do gniazda z boku urządzenia. Mężczyzna nacisnął na przycisk uruchamiający komputer i coś wewnątrz zazgrzytało. Czuł, że staje się coraz bardziej nerwowy, podczas gdy komputer się włączał, a pendrive mrugał, sygnalizując uruchomienie programu. Drissa świetnie znał się na komputerach. Grubas miał rację: program zapisany w przenośnej pamięci najwyraźniej pomyślany był tak, by zmylić sekwencję uruchamiania urządzenia; obszedł też etap hasła zabezpieczającego i oszukał program antywirusowy, mężczyzna wiedział jednak, że stosunkowo nietrudno znaleźć w Internecie hakerów zdolnych do tego rodzaju wyczynów. Największa trudność polegała w gruncie rzeczy na dotarciu do konkretnego urządzenia – i w tym przypadku czynnik ludzki był niezastąpiony. Szybciej... Spojrzał na zegarek. Facet powiedział mu, że kiedy proces się skończy, pendrive przestanie mrugać. W międzyczasie włączyło się tło monitora: jakiś banalny krajobraz. Gdyby ktoś teraz wszedł, natychmiast zorientowałby się, że Drissa włączył komputer, czego oczywiście nie powinien był robić. Przetarł dłonią twarz. Był rozgorączkowany i przerażony. Szybciej, na Boga! Mężczyzna powiedział, że wszystko zajmie nie więcej niż trzy minuty. Program pracował już dwie i pół.

Nagle zamarł. Drzwi gabinetu się otworzyły. Podskoczył, jakby pod jego stopami wybuchła petarda.

– Co robisz?

Sparaliżowany spojrzał na osobę, która otworzyła drzwi. Nie był w stanie wykrztusić słowa. To była Aïcha, koleżanka z ekipy sprzątajacej, bezczelna dziewczyna, która przez cały czas nabijała się z niego i go prowokowała. Zobaczył, jak wlepia błyszczące oczy najpierw w monitor, a potem w niego. Surowe, dociekliwe spojrzenie.

– Idź stąd – powiedział.

– Co robisz, Drissa?

– Idź stąd!

Popatrzył na nią ostro, po czym zamknął drzwi. Nigdy więcej! To był ostatni raz! Niezależnie od konsekwencji, nigdy już nie zgodzi się zrobić niczego nielegalnego. Przysiągł to sobie w milczeniu, z sercem podchodzącym do gardła. Pendrive przestał migać. Wyjął go z gniazda, wsunął do kieszeni i wyłączył komputer.

Jego twarz była mokra od potu. Podeszedł do okien, rozsunął rolety i nacisnął niebieską pompkę pojemnika ze środkiem czyszczącym. Lubił jego świeży zapach. Niebo za oknami barwiło się na różowo, szaro i pomarańczowo. Im bardziej w stronę Orientu, tym było jaśniejsze... Wczorajem odda pendrive temu człowiekowi i to będzie koniec. Wcześniej postanowił jednak podjąć pewne środki ostrożności, aby mieć pewność, że facet nigdy już nie będzie go niepokoił. Tym razem już nie będzie naiwny.

– Komendant Servaz?

Spojrzał na budzik. Musiał nie usłyszeć, kiedy dzwonił. Do czwartej nie mógł zasnąć, a potem śniły mu się koszmary. Nie pamiętał ich, ale miał po nich przykre uczucie, które przykleiło się do niego jak guma do żucia. Słońce brutalnie wdzierało się do pokoju, nagrzewając wszystko, łącznie z jego telefonem. Servaz, oślepiiony, zmrużył oczy.

– Mhm, mhm.

– Komisarz Santos, Generalna Inspekcja.

Servaz się wyprostował. Generalna Inspekcja Policji Narodowej. Przypiekacze... Aha, chodzi o faceta z parkingu, pomyślał, siadając na

brzegu łóżka. Wymięta i wilgotna pościel była świadectwem walki, którą stoczył w nocy z wywołującym wyrzuty sumienia superego.

– Dostaliśmy skargę na pana – poinformował Santos. Większość policjantów nazywała go San Antonio, z pewnością przez kontrast z tym bohaterem, gdyż zewnętrznie przypominał raczej zastępcę słynnego komisarza. – Niejaki Florent Mattera, zamieszkały przy boulevard d'Arcole pod numerem 2a, oskarża pana o napaść, do której doszło wczoraj wieczorem. Twierdzi, że zdarzyło się to na parkingu przy place du Capitole. Mężczyzna odpowiadający pańskiemu rysopisowi rzucił się na niego i pobił go, a potem wsiadł do jeepa cherokee. Facet zanotował numery. To był pana samochód. Czy pan kwestionuje te fakty, komendancie?

– Nie.

Po drugiej stronie słuchawki rozległo się westchnienie.

– Będziemy musieli pana przesłuchać.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– Komisarzu, jestem w trakcie niesamowicie ważnego śledztwa.

– Czyż wszystkie śledztwa takie nie są? – zapytał słodziutki głos. – Komendancie, czy pan zdaje sobie sprawę z tego, o co jest pan oskarżony? To bardzo ciężkie wykroczenie. Czasy, w których policjanci zachowywali się jak zbiry, już się skończyły i...

– Dobrze, dobrze. Zaraz będę.

– Cześć, Servaz.

– Cześć.

– Dzień dobry, Martin.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, Servaz.

– Cześć.

Wyglądało na to, że tego ranka wszyscy chcą być dla niego mili. Jakby zachorował na jakiegoś pieprzonego raka. Wysiadł z windy i ruszył korytarzem prowadzącym do wydziału kryminalnego. Była 8.16.

Z ceglanych ścian spoglądały na niego te same co zwykle dziecięce twarze, podpisane u dołu i u góry w dwóch językach: MISSING/ZAGINIENI.

– Cześć, Martin.

– Cześć.

Zazwyczaj mijając te zdjęcia, nie zwracał na nie uwagi. Tego ranka jednak zobaczył je na nowo. Zaginione, nigdy nieodnalezione dzieci. I daty. Ścisnęło mu się serce, tak jak wtedy, kiedy widział je po raz pierwszy: 1991... 1995... 1986... Chryste! Jak ich rodzice mogli z tym żyć?

– Cześć, Martin.

– Mhm...

Najwyraźniej wszyscy już wiedzieli. Informacje tego typu rozchodziły się z prędkością błyskawicy. Wpadł do swojego gabinetu. Na biurku zauważył karteczkę: *Dyrektor na ciebie czeka*. Rozpoznał pismo Pujola. W porządku. Idziemy. Nawet nie odwiesił marynarki. Ruszył w kierunku biura szefa, które znajdowało się po drugiej stronie korytarza. Zauważył, że rozmowy prowadzone w otwartych pokojach milkły, kiedy przechodził obok. Marzył tylko o tym, by uciec przed tymi wszystkimi spojrzeniami. Przeszedł przez drzwi przeciwpożarowe, minął niewielką poczekalnię ze skórzanymi sofami i sekretariat. Zastukał do drzwi.

– Proszę!

Na jego widok dyrektor wstał. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Naprzeciw niego siedział facet z wyraźną nadwagą, krawatem – mimo panującego upału – zawiązanym na grubym węzle i z zaciętą miną funkcjonariusza reprezentującego słuszną sprawę. Nie wstając z miejsca, odwrócił się tylko i spojrzał na Servaza małymi oczkami w kolorze żółtych winogron.

– Cześć, Santos – przywitał się Servaz, ale nie doczekał się odpowiedzi.

– Martin, czy to, co mówi komisarz Santos, to prawda? Czy ty... to potwierdziłeś?

Przytaknął. Stehlin także pokiwał głową, zakłopotany. Santos patrzył na nadkomisarza z uniesionymi brwiami i miną mówiącą: „Dobrze, no i co teraz zrobimy?”.

– Ja... – zaczął Servaz.

Stehlin powstrzymał go gestem.

– Rozmawiałem z komisarzem Santosem. Zgodził się... odroczyć przesłuchanie... do czasu zakończenia tego śledztwa.

Servaz spoglądał zaskoczony to na jednego, to na drugiego. Coś się wydarzyło. Inaczej to byłoby niemożliwe. San Antonio nigdy nie zgodziłby się na tego rodzaju *deal*, gdyby nie było wyższej konieczności. A Servaz był częścią tego równania. Margot! – pomyślał i jego żołądek wywinał potrójne salto.

– Pojawiły się nowe okoliczności – dyrektor potwierdził jego intuicję.

Servaz zaniepokojony wysłuchiwał dalszego ciągu. Przez otwarte okno wdzierał się do pomieszczenia uliczny hałas; klimatyzacja wciąż nie była naprawiona.

– Pamiętasz Elvisa Elmaza, tego faceta, którego przesłuchiwałeś w szpitalu?

Servaz skinął głową.

– Napadnięto na niego dziś w nocy. Walczy o życie.

– Co się stało?

– Wygląda na to, że ktoś przywiązał go do krzesła, obłożył kawałkami mięsa i nakarmił nim jego własne psy.

Servaz wpatrywał się w przełożonego, usiłując uchwycić sens jego słów, a następnie spróbował wyobrazić sobie tę scenę, ale szybko z tego zrezygnował.

– Jest w szpitalu – ciągnął Stehlin. – Nie ma połowy twarzy, ręce i tułów ma poszarpane i obgryzione do kości, wiele narządów poważnie uszkodzonych. Stracił bardzo dużo krwi. Jego obrażenia są tak ciężkie, że umieścili go na oddziale dla najsilniej poparzonych, pod namiotem tlenowym. Zdaje się, że widok jest nieciekawym... i że ma bardzo niewielkie szanse na wyjście z tego. W nocy zapadł w śpiączkę. Jeśli przeżyje, będzie to zawdzięczał swojemu sąsiadowi, który mieszka pół kilometra od niego: widział wieczorem przejeżdżający samochód i słyszał wściekle szczekanie psów. Ale zanim Elmaz w karetce całkiem stracił przytomność, coś się wydarzyło.

Dochodzili do istoty... Co za „coś”? – krzyczał mózg Servaza. Stehlin sięgnął na biurko po opatrzoną etykietką przezroczystą torebkę na materiał dowodowy.

– Udało mu się przekazać jednemu z sanitariuszy, że chce coś napisać. Nie miał już warg ani języka, więc nie był w stanie mówić. Tym

bardziej że miał na twarzy maskę tlenową. Ale widząc poruszenie i naleganie gościa, sanitariusz podał mu w końcu notes i długopis... – Stehlin wziął do ręki torebkę z materiałem dowodowym i podał Servazowi. – I udało mu się napisać to.

Policjant chwycił pakunek. Spojrzał na znajdujący się wewnątrz notes. Drżące, nieporadne, gorączkowe pismo.

Servaz grzebie w przeszłości

Teraz zrozumiał, dlaczego Santos zgodził się na odroczenie przesłuchania. Jednocześnie czuł wielką ulgę i pożerała go ciekawość.

– Grzebałeś w jego przeszłości? – chciał się dowiedzieć Stehlin.

Servaz zaprzeczył gestem. Był oszołomiony.

– Porzuciliśmy ten trop, kiedy się okazało, że ma mocne alibi.

– W takim razie myślę, że w tym zdaniu jest błąd – stwierdził Stehlin.

– „Niech Servaz grzebie w przeszłości” – poprawił. – O czyją przeszłość chodzi? Jego?

Servaz poczuł, że tryby w jego mózgu zaczynają pracować.

– Może za szybko porzuciliśmy ten trop. Może powinniśmy byli sprawdzić, czy Claire Diemar i Elvis się znali.

– Martin, zajmujecie się tym dopiero od czterech dni. Zrobiliście to, co trzeba.

Servaz zrozumiał, że ta uwaga przeznaczona była głównie dla Santosa.

– Jest jeszcze jedna rzecz – dodał dyrektor. – Paryż żąda wyników. Chcą przede wszystkim oczyścić z zarzutów Lacaze’a, zanim wszystko wycieknie do prasy i wybuchnie im w twarz. Więc pytali, w jakim punkcie jesteście, a dziś rano naciskali na brygadę antynarkotykową. Ten twój Heisenberg to ich wtyka. Podali nam jego zamiary. Przynajmniej raz nie kazali się prosić. Myślisz, że on może mieć z tym coś wspólnego?

Servaz przytaknął.

– Rynek drągów w Marsac chyba nie jest zbyt duży, nie? Kto wie? Może to on dostarczył prochy temu, kto nafaszerował Hugona.

Po wyjściu z gabinetu Stehlina Servaz był mokry. Choć była dopiero dziesiąta rano, nawet w cieniu cząsteczki powietrza drgały z wystarczającą częstotliwością, by wytworzyć imponującą ilość ciepła. Wahał się. Miał teraz do sprawdzenia dwa nowe tropy. Od którego zacząć? Grzebanie w „przebogatej” przeszłości osobnika takiego jak Elvis Elmaz mogło zabrać sporo czasu, jednak zdanie, które Albańczyk zapisał, zanim zapadł w śpiączkę, świeciło w umyśle Servaza jak neon.

Jeśli człowiek w tym stanie – kto wie, może nie wyjdzie ze szpitala żywy – mobilizuje ostatnie siły, by coś przekazać, musi chodzić o wiadomość najwyższej wagi. Tak jakby mówił: to, czego szukacie, jest tu.

I to on, Servaz, był adresatem tej wiadomości.

Elvis Elmaz wiedział, kto zabił Claire.

To była ta sama osoba lub ci sami ludzie, którzy nakarmili nim jego własne psy.

Przeszedł przez drzwi przeciwpożarowe. W korytarzu zgromadziła się grupka ludzi i Servaz z bólem serca stwierdził, że chodzi o futbol. Próbował przemknąć bokiem, ale i tak dotarły do niego strzępki rozmów.

– Kurwa, ale gorąco! Jak w RPA! – odezwał się ktoś. Rozległy się śmiechy.

– Nie gadaj, do Pezula Resort daleko! – zawołał inny głos. – A poza tym tam jest przecież zima.

Choć Servaz ze wszystkich sił stronił od plotek, pogłosek, niezliczonych artykułów, pisaniny, reportaży telewizyjnych i radiowych oraz dowcipów krążących wokół Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej, nie umknęło jego uwagi, że spośród wszystkich reprezentacji to drużyna Francji zajmowała najbardziej luksusowy hotel, a koszty jej podróży i zakwaterowania przekraczały milion euro – sumę, którą sam uznawał za szokującą i nieuzasadnioną. Sprawą zainteresowały się nawet jedna z ministrów i jedna z sekretarzy stanu.

– Martin, jak myślisz: sądzisz, że Francja jutro wygra z Meksykiem?

W całym wydziale kryminalnym nie było osoby, która nie wiedziałaby o jego awersji do transmisji sportowych w telewizji czy wręcz do sportu w ogóle. Zauważył kilka ironicznych uśmiezków.

– Mam nadzieję, że nie. Przynajmniej będzie można mówić o czym innym.

Kilka osób się zaśmiało, ale bez przekonania. Najwyraźniej nie była to radosna perspektywa.

Margot przemierzała korytarze z uczuciem, że wszystkie spojrzenia lepią się do niej jak klej. Im dłużej szła, tym większy ich ciężar czuła na barkach. Domyślała się też szeptów, poszturchiwań, wymiany znaczących spojrzeń za swoimi plecami. Na szczęście zbliżał się koniec roku szkolnego. Marilyn Manson zwierzał jej się w słuchawkach: „Chcę zniknąć”. O tak, stary, ja też. My dwoje się rozumiemy, Brianie Hugh.

Zastanawiała się, co oni właściwie wiedzą. Ile było w tym plotek, a ile prawdy? Kto sypnął? Z całą pewnością nie jej ojciec ani Vincent, ani Samira. David? Sarah? Kiedy zbliżała się do swojej szafki, znowu zobaczyła kartkę przypiętą do drzwiczek i poczuła ucisk w żołądku. A więc to tak... Wyobraziła sobie, że zacznie się gadanie i plotka rozejdzie się po szkole z prędkością dźwięku: „Widziałeś? Znowu ktoś zostawił kartkę na szafce Margot!” Cholera! Banda idiotów! Chwilami jakiś pieprzony Armagedon wydawał jej się najlepszym rozwiązaniem.

Gdy podeszła do szafki, zauważyła, że na kartce są nie słowa, ale rysunek. Ściślej mówiąc, ktoś przerobił słynny plakat zachęcający do zasilenia armii amerykańskiej, na którym wujek Sam wskazuje palcem na widza, mówiąc I WANT YOU. Głowę wuja Sama zastąpiono dość niewyraźnym portretem Juliana Hirtmanna.

Kurwa, co za debile! Już nie mają co robić?

Zerwała papier, zgmiotła go w kulkę i rzuciła na podłogę. Otworzyła szafkę. W środku była jeszcze jedna kartka... Rozpoznała pismo, Elias, ty świrze, kto ci pozwolił otworzyć moją szafkę i jak to zrobiłeś? Na kawałku papieru było napisane: *Myślę, że odkryłem Krag.*

Servaz bezskutecznie szukał w szufladach swojego biurka aspiryny. Wszedł do gabinetu podwładnych i otworzył szufladę Espérandieu. Paracetamol, ibuprofen, kodeina, tramadol... Ach, ten Vincent i jego pigułki. Nad wejściem do tego pokoju powinno się umieścić wielki świecący krzyż i zainstalować czytnik kart ubezpieczenia zdrowotnego.

Wrócił do siebie z rozpuszczalną tabletką i szklanką wody i zauważył, że w jego telefonie stacjonarnym miga klawisz wiadomości. Ktoś do niego dzwonił. Spojrzał na numer, który nic mu nie mówił. Połączył się. Wkrótce w słuchawce usłyszał kobiecy głos:

– Suzanne Lacaze. Zmarszczył brwi.

– Dzień dobry, pani Lacaze, czy pani próbowała się ze mną skontaktować?

Cisza.

– Tak... – Jej głos był jeszcze słabszy niż poprzednio. Słysząc w nim też było napięcie. Szept naciągnięty jak guma, która zaraz pęknie. Servaz się zastanawiał, jak powinien się zachować, ale kobieta nie dała mu czasu na myślenie. – Chodzi o mojego męża.

Napięcie. Ogromne napięcie. Jak u osoby, która zbiera się w sobie, by popełnić jakiś brzemenny w konsekwencje czyn. Servaz czuł, że jego tętno przyspiesza.

– Słucham.

– Okłamał pana tamtego wieczoru... w kwestii alibi. Servaz przełknął ślinę. Znowu milczenie.

– Mojego męża nie było w domu wtedy, kiedy zabito tę kobietę. I nie wiem, gdzie był. Jeśli to będzie konieczne, powtórzę to samo w obecności sędziego. Mam nadzieję, że znajdzie pan tego, kto to zrobił. Do widzenia, komendancie.

Rozłączyła się. Servaz odetchnął powoli. Kurwa jasna! Będzie musiał zadzwonić do kilku osób. Wyobraził sobie minę prokuratora z Auch i nagle poczuł, że jego plan dnia naprawdę się rozjaśnia.

HEISENBERG

Servaz lubił to przeczucie zbliżania się do celu, kiedy wszystkie elementy, jeden po drugim, zaczynały wskakiwać na swoje miejsce. Dźwięk podobny do uderzeń werbla w klatce piersiowej. Podmuch powietrza. Kawalkada. Odgłosy zwycięstwa. Wjechał na autostradę z nogą na pedale gazu, powietrze wokół niego było tak gorące, że na horyzoncie drżało jak miraż; nad jego głową wisiało bladoniebieskie, mleczne niebo.

Pomyślał o Santosie, o jego wezwaniu. Wiedział, że jeśli szybko upora się z tą sprawą, Generalna Inspekcja będzie musiała wziąć to pod uwagę i odpuścić. Ale co będzie, jeśli wsadzi do puszeki pieśczocha mediów, przyszłego herolda partii rządzącej, akurat tego gościa, którego nie należy dotykać? Czy nie będą mieć pokusy, by kazać mu za to zapłacić? Oczywiście, że tak. A on na tym parkingu dał im swoją głowę jak na tacy... Ale teraz miał to gdzieś. Zostało w nim tylko podniecenie, jakie odczuwa myśliwy na widok lisa złapanego w sidła.

Lis miał nietęgą minę. Ten, który ostatnio boksował, wyglądał na otumanionego. Przygaszonego. Nie omieszkał wszakże posłać Servazowi swojego magicznego uśmiechu, który jednak zmienił się w grymas ust, nie dosięgając oczu. Słuchał policjanta, nie okazując żadnej reakcji, najmniejszej emocji na wieść o doniesieniu żony.

– Pan także studiował w Marsac, komendancie – odezwał się poseł. – Tak mi pan powiedział. Przypomina pan sobie wykłady z języków i kultury antycznej? Moje ulubione. A do tego wiedza o teatrze. – Servaz pomyślał o Margot. Lacaze bawił się nożem do papieru, próbując ustawić jego szpic na palcu wskazującym. – Słyszał pan więc o hybris.

Komendant nie powiedział ani tak, ani nie, nie poruszył się, tylko patrzył na Lacaze'a. Typowa potyczka między dwoma dominującymi samcami o to, który z nich ma najdłuższego, który sika najdalej. Tym razem jednak Lacaze wiedział, że przegrał,

1 starał się jedynie uratować twarz.

– Ten, kto chciał dojść zbyt wysoko, narażał się na zazdrość i gniew bogów. Wygląda więc na to, że bogowie wybrali moją małżonkę, by była ich ramieniem zemsty. O tak, kobiety są nieprzewidywalne.

W tym punkcie Servaz zgadzał się z Lacaze'em, ale nie okazał tego.

– Czy pańska małżonka mówiła prawdę? – zapytał z lekkim namaszczeniem.

Znowu spotkali się w supernowoczesnym domu na bogatym leśnym osiedlu. Lacaze poprosił o to Servaza, gdy ten dodzwonił się do niego do merostwa. Tym razem jednak małżonki nie było widać. Słońce wpadało przez przeszklone okna, prześwitując między pionowymi żaluzjami i rzucając jasne paski na hebanowe ściany, na których wisiały fotografie przedstawiające pana domu.

– Tak.

– Czy pan zabił Claire Diemar?

– Wydaje mi się, iż muszę panu przypomnieć, że nie może pan postawić mnie w stan oskarżenia bez zatrzymania, a co się z tym wiąże, bez uchylenia mojego immunitetu, a także, że muszę niezwłocznie skontaktować się z adwokatem, ale żeby odpowiedzieć na pańskie pytanie, komendancie: nie, nie zabiłem jej. Kochałem Claire, a Claire kochała mnie.

– Hugo Bokhanowsky twierdzi inaczej. Według niego Claire zamierzała pana zostawić.

– Z jakiego powodu?

– Claire i Hugo byli kochankami. Lacaze spojrzał na niego zaskoczony.

– Mówi pan poważnie?

Servaz przytaknął. Zobaczył na twarzy posła cień zwątpienia.

– Ten chłopak zmyśla. Claire nigdy mi o nim nie mówiła. Snuliśmy plany na przyszłość...

– A jednak ostatnim razem powiedział mi pan, że nie chciała, żeby pan odszedł od żony.

– Dokładnie tak. Dopóki nie będzie pewna, czego chce. Ale z pewnością też dopóki Suzanne będzie... w tym stanie.

– Chce pan powiedzieć: dopóki będzie żyła? Oczy polityka zasnuły się czarnym cieniem.

– Lacaze, czy w ostatnim czasie śledził pan Claire? Czy miał pan w stosunku do niej jakieś wątpliwości?

– Nie.

– Czy wiedział pan o jej związku z Hugonem Bokhanowskim?

– Nie.

– Czy w piątek wieczorem był pan u niej?

– Nie.

Trzy zdecydowane odpowiedzi.

– Gdzie pan był w piątek wieczorem?

Na twarz posła powrócił uśmiech – i puste spojrzenie.

– Tego... tego nie mogę panu powiedzieć.

Wypowiadając te słowa, Lacaze uśmiechnął się ironicznie, jakby tym razem dotarł do niego cały komizm sytuacji, a zarazem jej beznadziejność. Servaz westchnął.

– Na Boga, Lacaze! Jeśli odmówi pan współpracy, będę musiał zawiadomić sędziego, a on na pewno postanowi uchylić pański immunitet. Właśnie jest pan w trakcie rujnowania własnej kariery.

– Pan nie rozumie, komendancie. Właśnie kiedy panu to powiem, moja kariera legnie w gruzach. Z jednej i z drugiej strony nie mam ruchu.

Espérandieu słuchał jednego z dwóch czy trzech albumów, które uważał za najlepsze wydawnictwa rockowe 2009 roku, *West Ryder Pauper Lunatic Asylum* zespołu Kasabian. Z odtwarzacza w jego renault mégane płynęły właśnie dźwięki kawałka zatytułowanego *Fast Fuse*, kiedy ktoś zastukał w szybę od strony pasażera. Vincent ściszył i otworzył drzwi.

– Musimy się z kimś spotkać – powiedział Servaz, zajmując miejsce.

– A Margot?

– Przy wjeździe stoi wóz żandarmerii. – Komendant wskazał niebieski samochód zaparkowany przy drodze, na końcu dębowej alei i łąki. – Samira pilnuje tyłów, a Margot jest na zajęciach. Znam Hirtmanna. Jeśli ma działać, to bez ryzyka. A już na pewno nie będzie ryzykował powrotu pod celę.

– A my dokąd?

– Ruszaj.

Wjechali do miasta. Servaz po drodze informował Vincenta o dalszej trasie. Po rozmowie z Lacaze'em cały jego entuzjazm się ulotnił. Martin nie potrafił zrozumieć, dlaczego poseł upierał się, by nie powiedzieć, gdzie był tamtego wieczoru. Coś się nie zgadzało. Czuł, że Lacaze ma słuszne powody, by zdecydowanie obstawać przy swoim stanowisku. W żadnym razie nie zachowywał się jak człowiek, który popełnił morderstwo. Ale może Lacaze jest po prostu bardzo dobry w te klocki? W końcu to polityk, czyli zawodowy aktor i kłamca.

– To tutaj – powiedział Servaz.

Miasteczko uniwersyteckie znajdowało się na jednym z pagórków, które wznosiły się nad miastem. Pięć identycznych budynków stojących w szeregu. Wjechali przez małą bramę z tablicą: MIASTECZKO UNIWERSYTECKIE IM. PHILIPPE'A-ISIDORE'A PICOT DE LAPEYROUSE'A. Zaparkowali pod drzewami. Trawniki były opustoszałe. W przeciwieństwie do Marsac rok akademicki na wydziale nauk ścisłych już się skończył i większość studentów wyjechała. Miejsce wyglądało na opustoszałe. Długi czteropiętrowy budynek z rzędami dużych okien, dzięki którym pokoje musiały być jasne i przyjemne, wyglądał imponująco. Jednak skoro tylko Servaz i Espérandieu znaleźli się w holu, zrozumieli, że nie wszystko tu gra. Na ścianach porozwieszane były transparenty z hasłami: PŁACIMY CZYNSZ, WYMAGAMY MINIMUM, MAMY DOSYĆ KARALUCHÓW, CROUS* = BRUD. Nie było windy. Gdy wchodzili po schodach, szybko stwierdzili zasadność tych haseł: plastikowe panele na suficie były poodrywane, żółta farba na ścianach złuszczone, a na drzwiach prysznic wisiała kartka z napisem: AWARIA. Servaz miał wrażenie, że rzeczywiście widział jednego czy dwa owady sunące po podłodze. Koledzy z brygady antynarkotykowej podali im numer pokoju: 211. Policjanci stanęli przed drzwiami. Ze środka słychać było włączoną na cały regulator muzykę. Espérandieu zapukał i odezwał się, starając się nadać głosowi młodzieńczy ton:

– Heisenberg, jesteś tam, stary?

Muzyka umilkła. Czekali dobre trzydzieści sekund, zastanawiając się, czy aby Heisenberg nie wymknął się oknem, kiedy stanęła przed nimi szczupła dziewczyna w podkoszulku i szortach. Miała sterczące blond

* CROUS (Conseil Régional des Ceuvres Universitaires et Scolaires) - organizacja zajmująca się pomocą socjalną dla studentów, prowadząca między innymi akademiki, stołówki itp.

włosy – kolor ten był równie nienaturalny jak czerń u ich nasady. Jej ramiona były tak chude, że pod opaloną skórą wyraźnie widać było kości i żyły. W pokoju panował półmrok – roleta była niemal całkowicie zasunięta. Dziewczyna zamrużyła powiekami. Zmierzyła ich kolejno od stóp do głów rozmytym spojrzeniem.

– Heisenberga nie ma? – zapytał Vincent.

– A wy to kto?

– *Surprise!* – zawołał wesoło zastępca komendanta, pokazując legitymację. Odsunął blondynkę i wszedł do środka.

Ściany pokoju prawie w całości pokrywały zdjęcia, plakaty, ulotki, ogłoszenia. Wśród fotografii Espérandieu rozpoznał podobizny Kurta Cobaina, Boba Marleya i Jimiego Hendriksa – idoli młodych ludzi upojonych wolnością, ale także dragami (co skądinąd było cholernym paradoksem). Kiedy tylko wszedł do pokoju, wyczuł unoszący się w powietrzu zapach: THC, tetrahydrokannabinol w najpowszechniejszej postaci – haszysz.

– Heisenberga nie ma?

– A czego od niego chcecie?

– Nie twoja sprawa – powiedział Espérandieu. – Jesteś jego panienką?

Rzuciła im nienawistne spojrzenie.

– A co wam do tego?

– Odpowiadaj.

– Spadajcie.

– Nie wyjdziemy, dopóki się z nim nie zobaczymy.

– Nie jesteście z „narkotyków” – zauważyła.

– Nie. Wydział kryminalny.

– Zadzwońcie po ludzi z „narkotyków”. Nie macie prawa czepiać się Heisenberga.

– A skąd ty o tym wiesz? To twój chłopak?

Nie odpowiedziała. Z błyskiem niechęci w rozmytych oczach popatrywała to na jednego, to na drugiego z policjantów.

– Dobra, w każdym razie ja spadam – powiedziała. Zrobiła krok w kierunku drzwi. Espérandieu wyciągnął rękę i złapał ją za nadgarstek. Natychmiast, jak wrywający się kot, odwróciła się i wbiła mu paznokcie w przedramię. Do krwi.

– Au! O kurwa, podrapała mnie!

Nie puścił jej jednak, ale mocno chwycił za drugi nadgarstek, usiłując powstrzymać jej wierzganie. Dziewczyna walczyła jak tygrysica.

– Puszczaj, ty śmierdzący psie! Zabieraj ode mnie te brudne łapy, pieprzony glino!

– Niech się pani uspokoi! Niech pani przestanie albo panią zamkniemy!

– Nie masz za co, śmieciu! Nie macie prawa tak się znęcać nad kobietą! Cholera, zostawcie mnie!

Miotła się, piszczała i pluła jak wściekłe zwierzę. Kiedy Servaz zbierał się, by przyjść podwładnemu z pomocą, mocno uderzyła głową w ścianę.

– Uderzył mnie pan! – zawołała z rozbitym czołem. – Krwawię! Ratunku! Gwałcą!

Espérandieu próbował zasłonić jej usta dłonią, żeby nie krzyczała. Choć akademik był prawdopodobnie w trzech czwartych pusty, zbiegliby się wszyscy, którzy byli na miejscu. Ugryzła go. Podskoczył, jakby poraził go prąd i już miał uderzyć ją w twarz, kiedy Servaz przytrzymał jego nadgarstek.

– Nie.

Drugą ręką przekręcił zamek w drzwiach. Dziewczyna trochę się uspokoiła, próbując ocenić swoje położenie. Jej zapadnięte oczy miały nienawistne błyski. Zrozumiała, że jest w pułapce. Krew obficie lała jej się z czoła. Zaczęła rozcierać nadgarstki, na których wciąż widać było czerwone ślady palców Vincenta.

– Chcemy po prostu porozmawiać z Heisenbergiem – powiedział spokojnie Servaz.

Dziewczyna usiadła na brzegu łóżka. Podniosła głowę. Próbowała zatamować krew brzegiem podkoszulka, odsłaniając przy tym maleńkie piersi w liliowym biustonoszu.

– I co mu chcecie powiedzieć?

– Chcemy mu zadać parę pytań.

– Heisenberg to ja.

Servaz i jego zastępca wymienili spojrzenia. Przez chwilę zastanawiali się, czy dziewczyna nie próbuje ich wprowadzić w błąd, po czym Servaz uświadomił sobie, że nie. Koledzy z „narkotyków” specjalnie nie powiedzieli im, że Heisenberg jest kobietą. Na pewno zawczasu nieźle się ubawili, wyobrażając sobie zaskoczenie policjantów i trudności, jakie na nich czekały.

– I możecie mnie zamknąć, nie będę odpowiadać na wasze pytania. Mam układ z waszymi kolegami. Nawet są na to jakieś papiery.

– Mam gdzieś waszą umowę.

– Ach tak? No cóż, przykro mi, ale nie tak to działa, panowie. Rozmawiam tylko z gośćmi z „narkotyków”. Mimo że sędzia jest okay. Nie możecie mnie przesłuchać ot tak!

– No cóż, powiedzmy, że reguły uległy zmianie. Możesz zadzwonić do twojego gliny, jeśli tak ci pasuje. No już. Dzwon. Zapytaj go... Potrzebujemy kilku odpowiedzi. Nie masz już ochrony, jesteś wystawiona. Albo rozmawiasz z nami, albo idziesz do puszki.

Patrzyła na nich bladozielonymi oczami, próbując zgadnąć, czy nie blefują.

– Dzwon do twojego gliny. Raz-dwa.

Zwyciężona, spuściła głowę.

– Czego chcecie?

– Zadać ci kilka pytań.

– W rodzaju?

– W rodzaju: czy Paul Lacaze jest twoim klientem?

– Co?

– Paul La...

– Nie no, kurczaczku, wiem, kto to jest Paul Lacaze. Pan mówi serio? Uważa pan, że taki gość ryzykowałby kupowanie dragów u mnie? Cholera, pan żartuje?

– A kim są twoi klienci? Studentami?

– Nie tylko. Mieszczuchy z Marsac, wypindrzone laski, naprawdę strasznie wkurzające, ale za to nadziane, a nawet robotnicy: w naszych czasach z drągami dzieje się to co z golfem. Następuje demokratyzacja.

– Pewnie masz dobre oceny z socjologii, co? – zażartował Espérandieu.

Nawet go nie zaszczyciła spojrzeniem.

– Jak to wygląda? – chciał wiedzieć Servaz. – Gdzie trzymasz towar?

Powiedziała mu. Heisenberg miała kontakt z „magazynierem” – w policyjnym żargonie jest to osoba, która zgadza się przechować towar, najczęściej narkoman lub kilku narkomanów, którzy świadczą taką usługę w zamian za parę działek. Magazynier Heisenberg nie był narkomanem. Była to osiemdziesięcioletnia starsza pani mieszkająca samotnie w małym domku, do której dziewczyna wpadała raz w tygodniu po południu, żeby porozmawiać.

– A twoi klienci, masz listę?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co?! Nie!

– Czy znasz liceum w Marsac? – zapytał. Rzuciła mu podejrzliwe spojrzenie.

– Taaa...

– Uczniowie się u ciebie zaopatrują?

Skinęła głową. Jej źrenice błyszczały wyzywająco.

– Mhm.

– Co? Nie dosłyszałem.

– Nie tylko uczniowie.

Servaz poczuł znajome mrowienie w dole pleców.

– Jakiś nauczyciel? Skąd?

Na jej twarzy pojawił się uśmiezek triumfu.

– Taaa, nauczyciel. Z Marsac. Z elitarnej szkoły. Zaskoczony, he?

Servaz spojrzał w jej wodniste oczy, żeby sprawdzić, czy nie blefuje.

– Nazwisko.

– Przykro mi. Nic z tego. Nie sypię.

– Nie no, serio? A twój układ z „narkotykami”?

– Nie w taki sposób – uściśliła, urażona, jakby ją obrazili.

– Hugo Bokhanowsky: mówi ci to coś?

Potwierdziła skinieniem głowy.

– A David Jimbot? Znowu przytaknęła.

– Nazwisko nauczyciela – naciskał.

– Nie mogę tego zrobić, gościu.

– Słuchaj, mam dość. Tracę przez ciebie czas. W „narkotykach” mają na ciebie teczkę grubą jak Talmud. I tym razem sędzia nie będzie pobłażliwy. Wystarczy jeden nasz telefon i jest gotów cię wsadzić. Posiedzisz ładny kawałek...

– Dobra, kurwa, już! Van Acker.

– Co?

– Francis Van Acker. Tak się nazywa. Nie wiem, co wyklada w Marsac. Facet z bródką, który uważa się za pępek świata.

Servaz spojrział na nią. Francis... Oczywiście, jak to możliwe, że nie wpadł na to wcześniej?

Siedzą w samochodzie we czwórkę. Jadą szybko. Za szybko. W nocy. Krętą drogą wijącą się wśród drzew. Szyby są spuszczone. Wiatr tańczy im we włosach, włosy Marianne, która siedzi oparta o niego na tylnym fotelu, mieszają się z jego włosami, Martin wdycha truskawkowy zapach jej szamponu. To rok, w którym Freddie Mercury pyta na falach radiowych, kto chce żyć wiecznie, a Sting zastanawia się, czy Rosjanie również kochają swoje dzieci. Francis siedzi za kierownicą.

Czwarta osoba to niewątpliwie „Jimmy”, a może Louis: Servaz już nie pamięta. Francis i Jimmy nieustannie rozmawiają, śmieją się, żartują. Piją piwo, wyglądają na wesółych, niezniszczalnych i trochę wstawionych. Francis prowadzi za szybko. Jak zwykle, ale to jego samochód. I nagle w jego wolnej ręce pojawia się joint. Podaje go Jimmy’emu, który chichocze głupkowato, a potem się zaciąga. Servaz czuje, że Marianne jest spięta. Ma na rękach mitenki, które nosi przez cały rok z wyjątkiem lata. Jej gorące palce wylaniają się z wełny i splatają się z jego palcami; ich dłonie są złączone jak ogniwa łańcucha, którego nikt nie byłby w stanie rozerwać. Martin delektuje się takimi chwilami, kiedy siedzą razem w półmroku na

tylnym fotelu, tworząc jakby jedną osobę – mimo że Francis prowadzi zbyt szybko i mimo że jest chłodno. Reflektory samochodu ślizgają się po pniach drzew, droga umyka z zawrotną prędkością. Mimo że powietrze wdziera się do kabiny, w samochodzie czuć trawę. W radiu Peter Gabriel śpiewa Sledgehammer. I nagle w uchu czuje ciepły oddech Marianne i słyszy jej szept:

– Gdybyśmy dziś w nocy mieli zginąć, chcę, żebyś wiedział, że nigdy nie byłam tak szczęśliwa.

On myśli dokładnie to samo, czuje, że ich serca biją unisono. W tej chwili on także jest pewien, że nigdy nie będzie szczęśliwszy niż w te dni, kiedy napętnia go miłość Marianne, przyjazna atmosfera panująca w samochodzie, beztroska i młodość – gdy nagle widzi wzrok Francisa obserwującego ich we wstecznym lusterku. Przed jego oczami unosi się cienka smużka dymu z jointa. Nie ma w nich już ani śladu kpiny i humoru. Zamiast tego jest pożądliwość, zazdrość i czysta nienawiść. Chwilę później Francis puszcza do niego oko i uśmiecha się. Martin sądzi, że tamto mu się przyśniło.

Servaz zaparkował w centrum miasta. Całe popołudnie spędził na rozmyślaniach. Nie potrafił uwolnić się od wspomnienia tego, co poprzedniej nocy Marianne powiedziała na temat Francisa. Że nie ma żadnego talentu i że zawsze był zazdrosny o talent Servaza. Przypominał sobie profesora, który uczył ich literatury, niezwykle eleganckiego mężczyznę z bujną siwą czupryną i nieco pretensjonalną dykcją, który nosił apaszki pod kołnierzykiem prążkowanych koszul i chusteczki w kieszonce garnituru. Servaz i on spędzali długie chwile na pogaduszkach między zajęciami lub po nich. Teraz przypominał sobie, że wywoływało to kpiny Francisa, który nie przestawał deprecjonować starszego człowieka i podejrzewać go, że szuka towarzystwa Martina z powodów innych niż czysto intelektualne.

Servaz ani przez chwilę nie pomyślał, że sarkazm Van Ackera mógł wynikać z zazdrości. Francis był w Marsac w centrum uwagi, miał dwór wielbicieli i jeśli któryś z nich mógł czegoś zazdrościć drugiemu, to tym kimś był właśnie Martin.

Zdania wypowiedziane przez Marianne były nieustannie jak morskie fale w brzegi jego świadomości: „Twój najlepszy przyjaciel. Twoje *alter ego*, twój brat. Byliście nierozłączni, a on przez cały ten czas miał w głowie tylko jedną myśl: odebrać ci to, co miałeś najdroższego...” Nawet jeśli

później znienawidził Francisa za to, że odebrał mu ukochaną kobietę, wtedy uważał ich przyjaźń za coś... świętego. Czy Francis tego tak nie odczuwał? Przypomniawszy sobie słowa, które Van Acker wypowiedział przed pięcioma dniami w Marsac: „Ty byłeś moim starszym bratem – powiedział nagle dziwnie wzruszonym głosem – byłeś moim Seymourem i tego dnia, kiedy wstąpiłeś do policji, dla mnie ten starszy brat na swój sposób popełnił samobójstwo”. Czy to było kłamstwo? Czy Francis Van Acker jest człowiekiem szukającym zemsty na tych, którzy są bardziej utalentowani, zdolniejsi albo przystojniejsi od niego? Czyżby za jego ironią krył się głęboki kompleks niższości? Czyż nie zmanipulował i nie uwiódł Marianne tylko po to, by go sobie skompensować – i dlatego, że była wtedy łatwym łupem? W umyśle Servaza rodziła się pewna hipoteza. Była jednak zbyt absurda, zbyt bezsensowna, by wziąć ją pod uwagę.

Marianne... Dlaczego ciągle się nie odzywała? Czekwała, aż on zadzwoni? Czy bała się, że potraktuje jej telefon jako próbę manipulowania osobą, która może wyciągnąć z więzienia jej syna? A może coś w tym było? Zżerał go niepokój. Miał ochotę zobaczyć ją jak najszybciej. Już doświadczał tego uczucia braku, którego kiedyś tak trudno było mu się pozbyć. Od poprzedniego dnia dziesięć razy o mało nie wystukał jej numeru. I dziesięć razy się powstrzymał. Dlaczego? A Elvis... Co on robił w tej układance? Właśnie wyszedł z sytuacji, która z dużym prawdopodobieństwem była usiłowaniem zabójstwa, walczył o życie i ostatkiem sił przekazał Servazowi, by ten grzebał w jego przeszłości. I wreszcie Lacaze. Lacaze, który odmawiał przyznania się, gdzie był w piątek wieczorem. Lacaze, który miał motyw i nie miał alibi. Lacaze, którego przesłuchanie w charakterze świadka właśnie trwało w gabinecie sędziego: zaczęło się przed czterema godzinami, ale poseł upierał się przy swoim samobójczym milczeniu. Elvis, Lacaze, Francis, Hirtmann: postaci dramatu kręciły się wokół niego jak w ciuciubabce. Głównym graczem, tym, który ma zamknięte oczy, był on. Z rękami wyciągniętymi przed siebie, po omacku musiał znaleźć mordercę.

Servaz wysiadł z jeepa, zamknął go i ruszył do przodu. Po obu stronach uliczki położonej z dala od centrum wznosiły się duże mieszczańskie wille w ogrodach pełnych drzew. Wzdłuż chodników stały gęsto zaparkowane samochody. Servaz wypatrzył miejsce, ale okazało się, że w pobliżu jest latarnia. Dopiero zaczynało się ściemniać, więc nie była jeszcze zapalona.

Nie zatrzymując się, przeszedł obok, wrócił do centrum i zauważył sklep ze sprzętem wędkarskim i narzędziami do majsterkowania. Zdażył tuż przed zamknięciem. Kiedy wyjaśniał starszemu mężczyźnie, że

potrzebna mu długa i sztywna wędka, nieważne czy z kołowrotkiem czy bez, ten patrzył na niego zdezorientowany. W końcu wyszedł z zaplecza z teleskopową wędką z włókna szklanego i węglowego złożoną z sześciu elementów, która po rozciągnięciu miała cztery metry długości.

Servaz wrócił na spokojną uliczkę z wędką na ramieniu. Szedł chodnikiem, rozglądając się dyskretnie na prawo i lewo, przystanął pod latarnią i dwukrotnie z dużą siłą uderzył w nią końcem wędki. Za drugim razem żarówka eksplodowała. Zajął mu to nie więcej niż dwie sekundy, po czym komendant oddalił się krokiem równie nonszalanckim, jak przyszedł.

Po pięciu minutach zaparkował w tym miejscu jeepa, modląc się, by jego sztuczka pozostała niezauważona. W kilku oknach na ciemnych fasadach willi zapaliły się światła. W uliczkę powoli zstępował półmrok.

Francis Van Acker mieszkał w dużym domu w kształcie litery T, pochodzącym z początku zeszłego wieku, jeden numer dalej. Servaz widział zarys budynku między gałęziami sosny i listowiem wierzby. Zbudowany na niewielkim wzniesieniu terenu, stojący na kamiennej podmurówce i wystający ponad czarny o tej porze żywopłot, dom zdawał się przytłaczać swą masą sąsiednie budynki. Światło paliło się w potrójnym wykuszowym oknie na pierwszym piętrze z prawej strony, tuż nad zimowym ogrodem w stylu haussmannowskim – z kolumnami, elementami gipsowymi i płotkami z kutego żelaza, które Servaz dostrzegał w zapadającym zmroku.

Przyszło mu do głowy spostrzeżenie, że willa pasuje do właściciela: ta sama wyniosłość, ta sama pycha. Roztaczała je wokół siebie wraz z niezbyt przyjaznym cieniem. Poza światłem z prawej strony cały budynek pogrążony był w ciemnościach. Servaz wyjął paczkę papierosów. Zastanawiał się, czego się właściwie spodziewa, zasadzając się tutaj. Nie zamierzał przecież wracać tu co wieczór. Pomyślał o Vincencie i Samirze i poczuł ciarki na plecach. Miał zaufanie do swoich podwładnych. Vincent tym bardziej wziął sobie tę misję do serca, że dobrze znał Margot. A Samira mimo ekscentrycznych strojów była jednym z najlepszych członków brygady. Tyle że przeciwnik, z którym mieli się zmierzyć, w niczym nie przypominał tych, którzy zazwyczaj pojawiali się w komendzie policji i na salach rozpraw.

Dwie następne godziny spędził, obserwując dom i niewielki ruch na ulicy: sąsiadów wracających późno z pracy, wynoszących śmieci, wyprowadzających psy. Pomału w oknach salonów zaczęła się pojawiać poświata ekranów telewizyjnych, na piętrach zapalały się światła.

Zastanawiał się, gdzie wyczytał to zdanie: „Wszędzie tam, gdzie gra telewizor, czuwa ktoś, kto nie czyta”. Chciałby znaleźć się teraz u siebie i usiąść z książką na kolanach przy sączącej się cicho muzyce Mahlera.

Tego wieczoru Ziegler późno wróciła do domu. W ostatniej chwili musiała załatwić sprawę bójkę w jednym z barów w Auch: goście byli tak zawiani, że nie daliby rady się bić, ale mieli dość siły, by wyciągnąć nóż. Kiedy żandarmi przybyli na miejsce, pijacy użalali się nad swoim losem w sposób tak płaczący, obrzydliwy i żalony, że Ziegler z chęcią by ich zamknęła na podstawie paragrafu „skrajny stopień zidiocenia”, gdyby taki istniał. Zdjęła przepocony mundur i weszła pod prysznic. Kiedy stamtąd wyszła, miała w telefonie trzy esemesy od Zuzki. Skrzywiła się. Nie miała tyle energii, by dzwonić do przyjaciółki po tak wyczerpującym i smutnym dniu. Nie miała o czym jej opowiadać. Poza tym czekało na nią inne zadanie.

Dzięki, Martin. Czuję, że dzięki tobie już niedługo zaczną się problemy w moim związku. Konsultantka, dobre sobie!

Otworzyła okna, by wpuścić trochę wieczornego powietrza, które było zaledwie odrobinę chłodniejsze niż duchota wypełniająca jej salon. W budynku żandarmerii panowała cisza. Włączyła cicho telewizor, wsunęła pizzę z kluseczkami wołowymi, boczkiem, cebulą, keczupem i mozzarellą do mikrofalówki i w piżamie przeszła przez salon do swojego maca.

Dmuchając, by ostudzić za gorący ser na pizzy, i siorbiąc z dużej szklanki gin z tonikiem i lodem, włączyła komputer.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie liter „JH”, które Martin znalazł wycięte na pniu. Fotografie przesłał jej Espérandieu. Otworzyła jeszcze jedno okno, wstukała nazwę Marsac w Google Maps, przeszła na widok satelitarny i stopniowo przybliżyła zoomem północny brzeg jeziora aż do maksymalnego powiększenia, ale obraz był rozmyty; cofnęła więc powiększenie i uzyskała zdjęcie, na którym trzy centymetry odpowiadają pięćdziesięciu metrom w rzeczywistości. Powoli przesuwiała kursorem wzdłuż brzegu.

Widziane z lotu ptaka niektóre posiadłości przypominały prawdziwe małe pałace. Korty tenisowe, baseny z pawilonami, przybudówki, parki, pomosty dla lekkich żaglówek i motorówek, była nawet szklarnia i plac zabaw dla dzieci. Rezydencji było dziesięć, nie więcej. Zamieszkaną pas brzegu jeziora miał najwyżej dwa kilometry długości. Dom Marianne Bokhanowsky był ostatni. Za nim zaczynał się bujny las porastający

zachodni i południowy brzeg, który dalej przechodził w regularną puszcze zajmującą ogromny obszar.

Przesuwała kursorem do chwili, aż trafiła na drogę biegnącą przez las. Jakies dwieście metrów od zachodniej granicy ogrodu Marianne. Droga miała kształt litery J. Jej wierzchołek skierowany był na północ, a dolny brzuszek na zachód. Na środku wybrzuszenia znajdowało się miejsce postojowe z czymś, co przypominało dwa stoły piknikowe. Było bardzo prawdopodobne, że Hirtmann wyruszył właśnie stamtąd. Z powodu niskiej rozdzielczości obrazu i gęstych zarośli nie była w stanie dostrzec ścieżki. Postanowiła wybrać się tam nazajutrz, jeżeli ci nudziarze na posterunku mimo panującego upału będą siedzieć cicho. Technicy z laboratorium kryminalistycznego przeszukali okolice źródelka. Jak twierdzi Espérandieu, niczego nie znaleźli. Ale czy zapuścili się dalej? Miała co do tego wątpliwości. Czuła rosnące podniecenie: znowu miała świeży ślad. Nie musiała już zgłębiać informacji i dokumentów, na których inni przed nią popsuli sobie wzrok i które miesiącami spały na dyskach komputerów albo kurzyły się na dnie szuflad. Martin obiecał przekazywać jej wiadomości, w miarę jak będą do niego spływały. Śledztwo w Marsac pochłaniało go bez reszty i nie miał czasu zajmować się nimi osobiście, a dwójce swoich podwładnych wlepił ochronę Margot.

To twoja szansa, kochana. Tylko jej nie zaprzepać. Masz niewiele czasu.

Jak do tej pory paryska komórka nie wysłała na miejsce żadnego ze swoich ludzi. Jeden e-mail i dwie litery wyryte nożem w pniu drzewa to trochę zbyt błahy powód, by angażować budżet. Ale prędzej czy później nadzór Margot się skończy, Martin zamknie swoje śledztwo i sprawę przejmie policja. Gdyby udało jej się wpaść na jakiś decydujący trop... Wiedziała, że Martin nie należy do ludzi, którzy przywłaszczają sobie sukcesy innych. Jego wierchuszka będzie zgrzytać zębami, że była informowana na bieżąco, ale nikt nie będzie mógł zaprzeczyć, że to Irène pchnęła naprzód sprawę, nad którą przez wiele miesięcy pracowały dziesiątki wymieniających się śledczych.

A na jakiej podstawie sądzisz, że ci się uda? Spędziła następne dwie godziny, przygotowując atak na system informatyczny zakładu karnego, w którym przebywała Lisa Ferney. Pierwszy krok polegał na ściągnięciu z forum hakerów „botneta” programu-roboty. Irène знаła wiele forów piratów komputerowych. Rzadko je odwiedzała, ale od wystarczająco długiego czasu. U piratów staż służy za wizytówkę; podobnie jak w gangach czy w jakiegokolwiek organizacji przestępczej, nowicjusze,

„newbies”, muszą się najpierw wykazać. Oczywiście dbała o to, by łączyć się z siecią anonimowo. Sztuczka polegała na tym, by użyć strony internetowej specjalnie stworzonej w tym celu, inaczej mówiąc, serwera proxy, który łączył się zamiast niej, zacierając ślady zostawione przez nią w Internecie, i zmieniał adres IP oraz lokalizację. Wybrała jeden, który uważała za szczególnie godzien zaufania na długiej liście płatnych i darmowych anonimizerów. Nazywał się Astrangeris-watching.com. Weszła na stronę i jej oczom ukazała się następująca wiadomość:

*Welcome to Astmngeriswatching – Free Anonymous Proxy Service.
Your privacy is our mission!*

Usługa bynajmniej nie była darmowa i Ziegler musiała poświęcić trochę czasu, ale w końcu dotarła do przystosowanej wersji słynnego programu Zeus, króla wśród koni trojańskich (nigdy nie wyjdziemy z tego antyku – uśmiechnęła się w duchu). Zeus napisany w języku C++, kompatybilny ze wszystkimi wersjami Windows, zainfekował już i przejął kontrolę nad milionami komputerów na całym świecie, w tym systemy informatyczne Bank of America i NASA. Drugi krok polegał na znalezieniu luki w systemie informatycznym więzienia. W tym celu zamierzała użyć adresu e-mailowego samego dyrektora. Poprosiła go o namiary, kiedy wychodziła z zakładu. Teraz miała je przed oczami. Zapisała botneta jako część dokumentu PDF, niewidzialnego dla zapór internetowych i programów antywirusowych Ministerstwa Sprawiedliwości. I przeszła do fazy trzeciej: *social engineering*, polegającej – znowu jak w słynnej antycznej scenie – na przekonaniu ofiary, by sama uruchomiła zastawioną na siebie pułapkę. Przesłała plik dyrektorowi pocztą elektroniczną, wyjaśniając, że w załączniku znajdzie pewne informacje na temat osadzonej, z którymi powinien pilnie się zapoznać. Jediną słabą stroną tej metody była konieczność wysłania konia trojańskiego z własnego adresu. Ryzyko było wkalkulowane. Jeśli ktoś odkryje atak, będzie udawała, że ona także padła jego ofiarą. Kiedy dyrektor kliknie na dokument, Zeus rozprzestrzeni się po plikach systemowych na twardym dysku jego komputera. Dyrektor niczego nie zauważy. Gdy otworzy plik, wyświetli się informacja o błędzie, a wtedy być może usunie wiadomość albo zadzwoni do niej, by poprosić o wyjaśnienia. Za późno. Program będzie już działał.

Po zainstalowaniu jej osobista wersja Zeusa skopiuje mapę systemu informatycznego więzienia, którą Irène otrzyma, kiedy tylko dyrektor połączy się z Internetem. utrzymawszy powiadomienie w czasie

rzeczywistym, odczyta mapę i będzie mogła namierzyć interesujące ją pliki. Zostawi polecenie na serwerze, Zeus je odczyta i przy kolejnym połączeniu prześle jej zamówione pliki. I tak dalej, aż uzna, że posiada już wszystkie informacje, które były jej potrzebne. Wtedy wyśle Zeusowi komendę samozniszczenia i program zniknie. I nie będzie już żadnej możliwości stwierdzenia, że doszło do ataku. Żadnego śladu, który mógłby doprowadzić do niej.

Kiedy uporała się z tym zadaniem, przeszła do następnego. Przed włamaniem się do komputera Martina przez chwilę miała poczucie winy. Pocieszyła się jednak, mówiąc sobie, że działa we wspólnym interesie i że czerpiąc bezpośrednio ze źródła informacji, bez czekania, aż on jej je przekaże, sprawia, że zyskają na czasie. Poza tym komputer był służbowy. Założyła, że gdyby miał coś do ukrycia, przechowywałby to tylko na domowym sprzęcie. Przebiegła wzrokiem skrzynkę odbiorczą i przystąpiła do przeglądania twardego dysku. Przełykając ostatnie krople ginu z tonikiem, szybko przeglądała katalogi z plikami na C:\\Windows i nagle zmarszczyła brwi. Ten program: ostatnim razem go tu nie było... Miała świetną pamięć do takich rzeczy. Być może to nic takiego. Kontynuowała poszukiwania i znowu zmrużyła oczy. W jej głowie zapaliła się lampka alarmowa: jakiś nowy, podejrzany plik. Uruchomiła skanowanie twardego dysku i poszła nalać sobie jeszcze ginu z tonikiem. Kiedy wróciła przed komputer, wynik skanowania wprowadził ją w zakłopotanie. Zabezpieczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie przepuściłyby programu uznanego za niebezpieczny, a Martin z całą pewnością nie należał do osób ignorujących zalecenia systemu bezpieczeństwa. Gdyby dostał e-mail, który wydałby mu się podejrzany albo który został wysłany przez nieznaną osobę, na pewno by go nie otwierał, ale wyrzucił do kosza lub poprosił służby informatyczne, żeby rzuciły na niego okiem. Pozostawała zatem tylko jedna możliwość: niebezpieczny program został zainstalowany bezpośrednio przez osobę, która była na miejscu.

Ktoś zainstalował szkodliwy program bezpośrednio w komputerze...

Ziegler, niezdecydowana, zastanawiała się, jak się zachować. Powinna zawiadomić Martina. Ale jak to zrobić, nie wyjawiając, w jaki sposób uzyskała tę informację? Jak zareaguje, kiedy się dowie?. Czochrała sobie włosy, w zamyśleniu wpatrując się w monitor. Przede wszystkim musi się dowiedzieć, kto zainstalował program. Sięgnęła po notes i długopis i zaczęła robić listę możliwości, ale bardzo szybko okazało się, że jest ich niewiele:

kolega

strażnik

osoba z zewnątrz

W dwóch ostatnich przypadkach było mało prawdopodobne, by Martin pozostawił takie osoby bez nadzoru na tyle długo, by mogły przejść do działania. Dopisała jeszcze jedną linijkę:

sprzątaczką...

W CIEMNOŚCIACH

Okolo jedenastej wieczorem jakiś starszy pan wyszedł na spacer z psem. Spojrzał podejrzliwie na Servaza i na zepsuta latarnię stojącą dwa metry od jego samochodu. Policjant miał nadzieję, że facet nie wezwie żandarmerii. Nie przestając obserwować domu, zadzwonił do Vincenta, a po upływie pół godziny do Samiry. Na pierwszym piętrze nadal paliło się światło.

Niedługo przed północą za oknem mignęła jakaś postać. Servaz nateżył uwagę. Potem światło zgasło i zapaliła się lampa za niewielkim witrażem, w miejscu, gdzie dwa skrzydła zbiegały się ze sobą – musiała to być klatka schodowa. Chwilę później kolejna lampa rozbłysła na parterze, za ciemną bryłą ogrodu zimowego. Servaz wykręcił szyję, by widzieć wejście. Widok zasłaniał mu gruby pień wielkiej sosny i żywopłot otaczający budynek. Kilka sekund później zobaczył jednak światło w holu, a potem drzwi się otworzyły i nad żywopłotem pojawiły się ramiona i głowa Francisa. W domu zgasło ostatnie światło. Van Acker wychodził.

Servaz dyskretnie zsunał się na fotelu, widząc, jak Francis schodzi w dół ogrodu, otwiera furtkę i pojawia się na chodniku mniej niż dwadzieścia metrów od jego zderzaka. Zobaczył, jak jego były przyjaciel idzie w kierunku samochodu – zaparkowanego kawałek dalej czerwonego alfa romeo spidera. Z ręką na kluczyku zaczekał, aż Francis ruszy i dojedzie do wylotu uliczki. Wtedy zapalił i zjechał z chodnika. Pomyślał, że gdyby Van Acker się czegoś obawiał, trudno byłoby jechać za nim w nocy i pozostać niezauważonym. Ale Francis nie wyglądał na zainteresowanego tym, co się dzieje na ulicy: nie rozglądając się dookoła, ruszył wprost do samochodu.

Servaz dotarł do wylotu uliczki w ostatniej chwili, by po swojej prawej stronie w odległości około stu metrów zauważyć tylne światła i kierunkowskaz skręcającego w lewo samochodu. Przyspieszył, by nadrobić odległość wśród wąskich uliczek Marsac, i skręcił w tym samym miejscu. Jadący przed nim kabriolet wjechał w rue 4-Septembre i dojechał do placu Gambetty, który przeciął, kierując się na południowy wschód. Przejeżdżając obok kościoła, Servaz zauważył studenta wymiotującego w cieniu prezbiterium. Dwóch kumpli czekało na niego z kuflami w rękach

przed oświetlonymi drzwiami pubu. Śmiali się. Spider przemknął następnie uliczkami handlowymi, mijając opuszczone metalowe rolety sklepów, kołysząc się na bruku, objechał fontannę i przyspieszył, znalazłszy się na drodze D 939. Wyjechał z miasta. Servaz poszedł w jego ślady. Księżyc w pełni lśnił nad ciemnymi, zalesionymi wzgórzami. Po długim prostym odcinku droga zaczęła się wznosić i wić między drzewami. Servaz trzymał się w pewnej odległości i regularnie tracił z oczu tylne światła spidera, by znów je zobaczyć przy wyjeździe z zakrętu. Jego GPS wskazywał, że do najbliższego skrzyżowania jest nie mniej niż cztery kilometry, nie było więc potrzeby siedzieć Van Ackerowi na ogonie, jednak kabriolet jechał szybko i Servaz musiał uważać, by nie pozwolić mu odjechać za daleko.

Było rzeczą oczywistą, że Francis Van Acker lubi testować osiągi swojego bolidu i jedzie z prędkością znacznie większą od dozwolonej. Francis zawsze miał gdzieś zasady – z wyjątkiem tych, które sam ustanawiał.

Droga wspinała się i opadała w pagórkowatym terenie, wijąc się jak zaskroniec. Jechali z tak wielką prędkością, że spod kół jeepa na każdym zakręcie tryskały zeschnięte liście i żwirek. Servaz miał wrażenie, że słyszc ich w odległości kilku kilometrów. Reflektory samochodów oświetlały coraz gęstszy las. Chwilami w prześwitach nad koronami drzew komendant widział niebo i księżyc w pełni, ale przez większość czasu zielone sklepienie zasłaniało widok. Księżyc wyglądał trochę jak uśmiechnięta twarz, która z zainteresowaniem przypatrywała się ich wyścigowi wśród wzgórz. Dwa czy trzy razy Servaz miał wrażenie, że we wstecznym lusterku widzi światła samochodu, ale koncentrował się na tym, co się działo z przodu.

Kiedy policjant znalazł się na dnie jakiejś dolinki, zauważył, że jadący dwieście metrów przed nim spider skręca w lewo, w węższą drogę. Zrobił to samo. Wkrótce dróżka zaczęła zakosami wspinać się w górę. Przejechali przez osadę złożoną z dwóch czy trzech gospodarstw przycupniętych na szczycie wzgórza jak rząd popsutych zębów w szczęce. Servaz zwolnił, żeby van Acker go nie zauważył. Za przysiółkiem po obu stronach biegnącej grzbietem drogi zobaczył ogrodzone, stromo opadające pola. Dojechawszy do niewielkiego skrzyżowania, zawahał się przez chwilę, jaki obrać kierunek, aż dostrzegł tylne światła między drzewami, daleko po swojej lewej stronie. Droga znowu zaczęła się wznosić. Następnie doprowadziła do wypłaszczenia i biegła przez przestronny, rzadki las. Wysokie, strzeliste drzewa rosły regularnie, przypominając filary zbyt

dużej katedry albo meczetu. Były ich setki. Przy drodze piętrzyły się stopy ściętych pni, tworząc wysokie ogrodzenie z poziomych belek.

Servaz czuł narastający niepokój. Dokąd Van Acker jedzie? Wybrał trasę, która omijała główne drogi: ciąg bardzo podrzędnych i mało uczęszczanych szlaków, zwłaszcza o tej porze. Servaz próbował się zastanawiać, ale był zbyt skupiony na prowadzeniu i wypatrywaniu jadącego przed nim samochodu.

Na następnym skrzyżowaniu, w samym środku niezamieszkanego płaskowyzu z nieużytkami i kępami drzew, oświetlonego jak w biały dzień jasnym światłem księżyca, zauważył tablicę z napisem GORGES DE LA SOULE. Na próżno wypatrywał spidera. Cholera! Servaz zgasił silnik i wysiadł z samochodu. Cisza panująca dookoła wydała mu się jakaś szczególna. Noc była zadziwiająco gorąca, niezmacona najmniejszym powiewem wiatru. Nadstawił uszu. Warkot silnika... Na lewo. Wyteżył słuch: daleki odgłos zmienianych biegów i pisk opon na zakręcie. Wsiadł za kierownicę, wykręcił szerokim łukiem i ruszył w kierunku wąwozu.

Po pięciu minutach był na miejscu. Zwolnił i zaparkował jeepa na poboczu. W ciągu dnia wąwóz był zakątkiem kipiącym zielenią, nad którym las przerzedzał się tylko po to, by wpuścić kilka słonecznych promieni i odsłonić strome wapienne zbocza. Wzdłuż drogi płynęła rzeka. Szeroka i niezbyt rwąca. W zboczu było kilka płytkich jaskiń, odwiedzanych w niedziele przez ludzi, którzy akurat nie mieli nic innego do roboty. Teraz, w środku nocy, okolica wyglądała zupełnie inaczej. W młodości Servaz wielokrotnie bywał tu z Francisem, Marianne i innymi.

Jakieś przeczucie mówiło mu, że prawdopodobnie właśnie tutaj zmierzał Van Acker. Umysł Francisza od zawsze skrywał jakiś mroczny, romantyczny aspekt i ta sceneria bardzo dobrze z nim współgrała. Trochę jak na obrazach Caspara Davida Friedricha. Jeżeli Francis zaparkował gdzieś w wąwozie, to gdyby Servaz wjechał głębiej, przyjaciel na pewno by go zauważył. Tak późno nikt nie jeździł tą drogą. Francis zobaczyłby jego samochód i zrozumiał, że Martin go podejrzewa i śledzi. A jeżeli Francis pojechał dalej, to tak czy owak by mu uciekł. Policjant jednak mógłby się założyć, że tak nie było.

W odległości dwóch metrów od tylnego zderzaka jego samochodu była ścieżka. Wjechał nią bardzo wolno na wstecznym, aż jeep przestał być widoczny z głównej drogi – na wypadek gdyby Francis tędy wracał. Zgasił światła, wyłączył silnik i wysiadł. Wokół panowała cisza. Słyszeć było jedynie szum rzeki płynącej po drugiej stronie drogi. Delikatnie zatrzaskał drzwi. Nasłuchiwał. Gdzieś krzyknął nocny ptak. I więcej nic.

Servaz próbował ocenić sytuację. Nie miał wielkiego wyboru, mógł tylko wejść w głąb wąwozu. Pomyślał, że może Van Acker jest już gdzieś daleko, a on jest tu sam i dziwnie się zachowuje. Wyjął z kieszeni telefon i wyłączył go. A potem ruszył pogrążoną w ciemnościach drogą, mając nad głową rozgwieżdżone niebo.

Idąc asfaltem, zastanawiał się, co właściwie wie o Van Ackerze. Co Francis robił przez te wszystkie lata? Ich życie potoczyło się w odmiennych kierunkach... Uświadomił sobie, że Francis zawsze był tajemnicą, zawsze był jakiś mroczny. Czy osoba, którą tak mało się zna, może być najlepszym przyjacielem? Dwie tak bliskie sobie, a zarazem tak różne istoty. Zmieniamy się. Wszyscy. Bezwrotnie. Jakaś część w człowieku pozostaje niezmienna: rdzeń, czyste serce, które wynosimy z dzieciństwa. Obrasta ono jednak kolejnymi warstwami i dziecko, którym byliśmy, ulega zniekształceniu, aż stanie się dorosłym, kimś tak różnym i tak zwyrodniałym w stosunku do pierwowzoru, że gdyby to dziecko mogło spojrzeć na siebie z zewnątrz, nie rozpoznałoby dorosłego, którym się stało, i z pewnością byłoby sobą przerażone.

Servaz wchodził coraz głębiej w wąwóz. Szum płynącej tuż obok rzeki zagłuszał teraz wszystkie inne dźwięki. Droga wiła się długimi zakrętami, które pokonywał coraz szybciej. Na próżno próbował wypatrzeć coś w rosnącej po bokach gęstwinie. Tutaj, na dnie wąwozu, ciemność była niemal absolutna. I ciągle żadnych odgłosów. Gdzie on się podział? Martin przeszedł jeszcze kilkanaście metrów i wreszcie go zobaczył. Między drzewami a poszyciem, za następnym zakrętem. Kawałek karoserii i reflektor: czerwony spider... Servaz zatrzymał się i lekko pochylił. Między drzewami pojawiły się dwa inne światła. Obok siebie stały dwa samochody. A w alfa romeo siedziały dwie osoby. Policjant zastanawiał się, co teraz robić. Czy da radę podejść bliżej niezauważony? A może lepiej poczekać, aż ta druga osoba wsiądzie do swojego auta? Uświadomił sobie, że ma nad nimi przewagę. Z wnętrza samochodu było widać tylko to, co znajdowało się w zasięgu reflektorów, to znaczy zbocze zalane wiązką oślepiającego blasku na wprost, w osi wozu, tam gdzie znajdowała się jedna z głębszych jaskiń, która była teraz całkowicie oświetlona.

Jeśli przemknie przez las, nie zauważą go. Problemem pozostawał raczej hałas, którego mógł narobić, zbliżając się. Ale dwie osoby były pochłonięte rozmową, a szum rzeki zagłuszał jego kroki. Servaz zaczął się skradać między drzewami i krzakami, ale marsz okazał się o wiele mniej wygodny, niż przewidywał. Zarośla były tak gęste i ciemne, że nie dostrzegał licznych przeszkód, które stawały mu na drodze; co chwila wpadał na jeszcze bardziej nieprzeniknione chaszczki, które musiał

okrażać, nadkładając drogi. Kilka razy w tych ciemnościach o mało nie skreślił kostki na nierównościach terenu i patykach leżących na drodze. Dolne gałęzie drzew drapały mu policzki i czoło, kilkakrotnie zaczepiał koszulą o jeżyny. Co jakiś czas przystawał, obserwował dwie postaci siedzące w samochodzie i znowu ruszał w drogę. Po jakimś czasie – a wydawało mu się, że idzie już bardzo długo – napotkał przeszkodę nie do pokonania. Strumień, który w ciemności był niewidoczny i który z pewnością niżej wpadał do rzeki. Servaz rozpoznał jego obecność po nagłej pochyłości terenu pod nogami, po braku roślinności i szumie wody. Zdjął but i skarpetkę, podwinął nogawkę i spróbował wybadać głębokość, jednak mimo że zanurzył nogę w zimnej wodzie do kolana, ciągle nie wyczuwał stopą dna. Sylwetki po drugiej stronie znajdowały się już w odległości zaledwie kilku metrów od niego, ale były odwrócone plecami. Przeszedł kawałek bokiem wzdłuż strumienia. Teraz wyraźniej widział pasażera. A raczej pasażerkę... To była kobieta. Miała długie włosy, których koloru Servaz nie był w stanie rozpoznać. Z miejsca, w którym się znajdował, nie potrafił też określić jej wieku.

Nagle wpadł na inne rozwiązanie.

Droga wchodziła z jednej, a wychodziła z drugiej strony wąwozu. Były więc dwa wyloty. Kobieta zatem albo przyjechała z przeciwnego kierunku, albo też była na miejscu na długo przed nimi. Servaz założyłby się, że prawdziwa jest pierwsza hipoteza. Nie chcieli, by ktoś zobaczył ich razem. To było ryzykowne... Zawrócił, tym razem nie przejmując się, że hałasuje. Czas naglił. Kiedy tylko znalazł się na drodze, ruszył po asfalcie i żwirze w stronę swojego samochodu. Uświadomił sobie, że dystans, który pokonał biegiem, był znacznie krótszy, niż mu się wydawało, gdy szedł w przeciwną stronę, ale i tak był zdyszany, gdy usiadł za kierownicą. Uruchomił silnik i powoli wyjechał ze ścieżki, ruszył drogą z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, a potem, gdy już był pewien, że pasażerowie spidera go nie usłyszą, gwałtownie wcisnął gaz. Kiedy wrócił na poprzednie skrzyżowanie, zauważył zaparkowany pod drzewami samochód, dobrze widoczny mimo zgaszonych świateł. Od razu go rozpoznał. Zatrzymał się na jego wysokości i opuścił szybę.

– Jezu Chryste, co wy wyprawiacie? Zobaczył, jak Pujol i jego przyboczny się prostują.

– A jak sądzisz? – złościł się pierwszy z nich. – Zapomniałeś? Obserwacja! Poprosił Pujola, żeby jechał w pewnej odległości za nim, na wypadek gdyby pojawił się Hirtmann. Kompletnie wyleciało mu to z głowy!

– Mówiłem „zachować odległość”!

– Zachowaliśmy. Ale ty jeździsz tam i z powrotem we wszystkich kierunkach!

– Uderzenie wędką było niezłe! – rozległ się w ciemnościach ironiczny głos pomocnika Pujola.

Servaz przypomniał sobie o parkującym w wąwozie Van Ackerze, który w każdej chwili mógł przejechać obok nich.

– Wracajcie do Tuluzy! Zjeżdżać mi stąd. Nie chcę mieć was dziś na karku!

Zauważył wściekłość w oczach Pujola, ale nie miał czasu na bardziej obszerne wyjaśnienia. Zaczekał, aż ich samochód zniknie i ruszył. Na następnym rozgałęzieniu skręcił w lewo. Potem znowu w lewo. Przejechał około dwóch kilometrów, zanim dostrzegł kolejną tablicę z napisem GORGES DE LA SOULE w pobliżu zrujnowanego budynku porzuconej farmy ze stodołą. Zaparkował tyłem do ściany, naprzeciwko wjazdu do wąwozu. Wyłączył silnik, światła i czekał.

Po pewnym czasie, który wydawał mu się wiecznością, kiedy już zaczął się zastanawiać, czy kobieta nie wyjechała drugą stroną, samochód minął go. Zaczekał, aż auto zniknie z pola jego widzenia, i ruszył. Przejechał kilka kilometrów z niewielką prędkością, a potem, kiedy GPS zasygnalizował, że zbliża się do rozjazdu, przyspieszył.

Zobaczył, jak samochód skręca w lewo, i znowu zdjął nogę z gazu, pozwalając mu oddalić się na pewną odległość. Zbliżając się do kolejnego skrzyżowania, powtórzył ten manewr i zdążył zobaczyć, że auto pojechało na wprost. Droga do Marsac... Ta sama, która przed wjazdem do miasta biegła obok uczelni, jeśli nie chciał się zgubić w małych uliczkach, musiał podejść bliżej. Był około dwustu metrów za nią i stopniowo zmniejszał odległość na długiej prostej, kiedy zobaczył światła stopu i kobieta przyhamowała, po czym skręciła w kasztanową aleję prowadzącą w stronę liceum. Myślał intensywnie, jednocześnie zwalniając, by zbyt szybko się z nią nie zrównać. Gdyby wjechał w długą aleję wiodącą do parkingu, z całą pewnością zostałby zauważony! Natomiast z tej odległości, z jakiej widział kobietę teraz, nie był w stanie jej rozpoznać.

Przyszła mu do głowy pewna myśl. Vincent! Był gdzieś tutaj, obserwował wejście do liceum. Servaz zatrzymał się w trawie na poboczu, naprzeciw ciemnego głównego gmachu stojącego na skraju łąki. Parkując, kciukiem już wciskał klawisz telefonu.

– Martin? Co jest?

– Do parkingu podjeżdża samochód! – zawołał. – Widzisz go? Kobieta za kierownicą. Muszę wiedzieć, kto to jest.

Cisza.

– Czekaj... Tak, widzę. Sekundkę... Wysiada... Studentka... blondynka... Zważywszy na wiek, musi być na kursach przygotowawczych.

– Idź do niej! Muszę wiedzieć, jak się nazywa! – krzyczał. – Wymyśl cokolwiek. Powiedz jej, że policja pilnuje liceum od czasu zamordowania wykładowczynie. Zapytaj ją, czy czegoś nie zauważyła. I powiedz jej, że nie powinna się włóczyć sama po tym, co się stało. Naściemniaj coś... I zapytaj o nazwisko.

Zobaczył, jak Espérandieu wysiada z samochodu zaparkowanego kilkaset metrów dalej i nie zamknawszy drzwi, szybkim krokiem rusza w stronę innej postaci, która nie zauważyła go i idzie ku schodom.

Rzucił okiem na deskę rozdzielczą.

Lornetka.

Schylił się i otworzył schowek. Była w środku, tam gdzie latarka, notes i broń.

Chwycił ją. Espérandieu sadził wielkimi susami przez trawę, by dogonić młodą kobietę. Wciąż nie dostrzegła jego obecności. Servaz przywarł oczami do okularów lornetki wycelowanej w jej kierunku.

– Zostaw ją – rzucił nagle do telefonu.

– Co?

– Nie pokazuj się. Nie trzeba. Wiem, kto to jest.

Zobaczył, że Espérandieu znieruchomiał i rozgląda się na wszystkie strony. Wreszcie go zauważył. Servaz rozłączył się i opuścił lornetkę, zastanawiając się gorączkowo nad tym, co właśnie zobaczył.

To była Sarah.

Margot sprawdziła, czy drzwi pokoju są dobrze zamknięte, i wróciła do wilgotnej pościeli. Spojrzała na sąsiednie łóżko i ścisnęło jej się serce. Jej współlokatorka poprosiła o zmianę pokoju, kiedy rozeszła się wiadomość, że Margot coś grozi.

Uświadomiła sobie, jak bardzo brakuje jej Lucie, mimo że tak niewiele miały ze sobą wspólnego i tak kiepsko się dogadywały. Lucie zabrała wszystkie swoje rzeczy, zdjęła ze ściany zdjęcia piątki braci i sióstr i ta część pokoju wyglądała teraz na smutną i opuszczoną.

Siedząc po turecku na łóżku, Margot wpatrywała się w temat wypracowania, które zadał im Van Acker, ale miała pustkę w głowie. Tytuł brzmiał: „Znaleźć siedem dobrych powodów do tego, by nigdy nie napisać powieści, i jeden (wartościowy), żeby ją napisać”. Margot sądziła, że Van Acker chce w ten sposób otworzyć oczy wszystkim początkującym pisarzom z jej klasy na czekające ich trudności. Jeśli chodzi o powody do niepisania powieści, Margot znalazła już następujące:

1. Bo jest ich już za dużo; w każdym roku wydaje się nowe powieści, nie mówiąc już o tysiącach tych, które są napisane, ale nigdy nie zostaną opublikowane.

2. Napisanie powieści wymaga dużego nakładu pracy w zamian za bardzo niewielką wdzięczność, kiedy cała ta praca zostaje zniweczona jednym, prostym zabójczym zdaniem.

3. Na pisaniu nie można się wzbogacić, autor może co najwyżej zarobić na restaurację i wakacje, pisarze żyjący z pióra stanowią gatunek na wymarciu, jak pantera śnieżna czy hipopotam karłowaty.

Zapomniała o dwóch ostatnich uwagach; już widziała, jak Francis Van Acker okrutnie sarkastycznym tonem mówi: „Czy to znaczy, że według pani, panno Servaz, połowa geniuszy naszej literatury powinna się powstrzymać od pisania?”. A poza tym... poza tym, usychała... Jej umysł wciąż przetrwał to, co działo się na zewnątrz. Czy on siedzi gdzieś tam, ukryty w lesie, i śledzi ją? Czy Julian Hirtmann rzeczywiście kręci się w okolicy, czy oni wszyscy świrują? Myślała też o wiadomości, którą Elias zostawił tego ranka w jej szafce: „Myślę, że odkryłem Krag”. Kurczę, co on miał na myśli? Próbowwała z nim porozmawiać, ale powstrzymał ją gestem mówiącym: „później”. Kurwa, Elias, jak ty mnie wkurzasz!

Jej wzrok padł na niewielkie kompaktowe urządzenie leżące na łóżku. Walkie-talkie. Dostała radiotelefon od Samiry, która pokazała jej, jak się nim posługiwać. I powiedziała: „Tylko się nie wahaj, możesz mnie wywołać w dowolnym momencie”.

Bardzo lubiła Samirę, tę jej niesamowitą facjatę i jej ciuchy. Margot jeszcze raz spojrzała na urządzenie. Wreszcie sięgnęła po nie, przystawiła do ust i wcisnęła kciukiem umieszczony z boku guzik.

– Samira?

Puściła guzik, tak jak ją poinstruowano, żeby policjantka mogła odpowiedzieć.

– Tak, kurczaczku. Już jestem. Co się tam dzieje, ślicznotko?

– Eee... ja... to znaczy...

– Czujemy się samotnie w pokoju, odkąd koleżanka się wyniosła, o to chodzi?

Trafiła w dziesiątkę.

– To nie było zbyt fajne z jej strony... – W urzędzeniu zazgrzytało. – Zaczyna paskudnie śwędieć. Pełno tu jakiegoś paskudnego tałatajstwa. Poza tym trochę mnie suszy. Mam dwa zimne piwa w lodówce. Pasowałoby ci? Nie mamy obowiązku informować o tym dyrektora ani twojego ojca, a ostatecznie zostałam poproszona, żebym cię pilnowała z bliska.

Twarz Margot rozjaśnił uśmiech.

Czuł się zbyt zmęczony, żeby wracać do Tuluzy. Zastanawiał się, czy o tej porze znajdzie miejsce w jakimś hotelu, a później przyszło mu do głowy inne rozwiązanie. Uświadomił sobie jednak, że to nie jest dobry pomysł, że gdyby chciała się z nim zobaczyć, odezwałaby się – a potem pomyślał, że być może z nią było tak jak z nim: rozpaczliwie czekała na jego telefon. Złapał za komórkę, w rogu ekranu zobaczył, która jest godzina, i z powrotem schował ją do kieszeni. Nie chciał jej budzić w środku nocy. Ale może wcale nie spała... Może budziła się co noc, tak jak dwie noce wcześniej, kiedy on leżał w łóżku. Może czekała, miała nadzieję na znak życia od niego i zadawała sobie takie same pytania jak on: dlaczego, do cholery, nie dzwoni? Znowu poczuł na swoich wargach smak jej ust, dotyk języka, a w nozdrzach zapach jej włosów i skóry. Poczul mrowienie w brzuchu. Był spragniony jej towarzystwa.

– Wracam – powiedział przez telefon do Vincenta. – Dobranoc.

Zobaczył, jak zastępca macha do niego ręką i ciężkim krokiem idzie do samochodu. Za godzinę ochronę przejmie inny zespół, który będzie czuwał aż do rana. Servaz nie mógł nie pomyśleć o śpiącej Margot. Zastanawiał się, co teraz robi Hirtmann. Śpi? A może krąży w poszukiwaniu ofiary? Czy już ją znalazł i zamknął gdzieś, by się nią bawić jak kot myszą? Przegnał tę myśl. Powiedział Vincentowi, żeby się ukrył, ale nie za bardzo, tak żeby ktoś, kto szuka jakichś oznak obecności

ochrony, mógł go zobaczyć. Absolutnie nie uważał, żeby Szwajcar miał podjąć takie ryzyko. Wolność była dla niego dobrem zbyt cennym, odkąd spędził cztery i pół roku w zakładach psychiatrycznych – bez odwiedzin, bez spacerów, bez kontaktu z żadnymi innymi ludźmi poza psychiatrami i klawiszami.

Servaz wjechał do Marsac, przejechał przez brukowane uliczki uśpionego miasta i skierował się w stronę jeziora. Minał wybudowaną na palach klubo-kawiarnio-restaurację Le Zik. W środku był tłum. Przez opuszczoną szybę doszła do jego uszu fala muzyki. Objechał lewy, leżący najbliżej miasta brzeg, a następnie ruszył północną stroną jeziora. Dom Marianne był ostatni w szeregu. Zwolnił, zbliżając się do bramy.

Na parterze paliło się światło.

Poczuł, że rytm jego serca przyspiesza. Uświadomił sobie, jak potężne jest jego pragnienie, jak bardzo chce ją całować, trzymać w ramionach. Słyszeć jej głos, jej śmiech. Być z nią...

A potem jego serce zamarło.

Na żwirze stał zaparkowany samochód. Pod jodłami. To nie było auto Marianne, ale czerwony alfa romeo spider. Servaz miał wrażenie, jakby gdzieś w nim wzbierała fala smutku, i po raz kolejny poczuł bolesne ukąszenie zdrady. Zawahał się. A potem zdecydował, że da jej szansę. Wyrzucał sobie złe myśli. Postanowił zaczekać, aż Francis odjedzie, a potem zadzwonić do drzwi. Na pewno będzie jakieś wytłumaczenie. Nie może być inaczej.

Odjechał kawałek i zaparkował w cieniu drzew na granicy posiadłości, tam gdzie droga skręcała przed lasem, kierując się na północ, ku nieużytkom. Wyciągnął papierosa i włożył do odtwarzacza płytę Mahlera. Gdy muzyka się skończyła, wyłączył. W ustach czuł smak żółci. Do jego umysłu sączyła się trucizna z wątplenia. Przypomniawszy sobie zapas prezerwatyw w jej łazience. Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej. Było po drugiej. Kiedy czerwony spider wyjechał z ogrodu i jego opony skrzypnęły na asfalcie, Servaz poczuł, jak po jego ciele rozchodzi się lodowate zimno.

Księżyc na niebie miał twarz smutnej kobiety – jedynej, która nigdy nie zdradzi.

Była trzecia nad ranem.

CZWARTEK

CHARLÈNE

Miał dwadzieścia lat. Długie, czarne włosy, proste na czubku głowy, kręące się po bokach i na wysokości ramion. Koszula z dużym, spiczastym kołnierzem. Między palcami środkowym i wskazującym wypalony do połowy papieros, kciuk oparty na filtrze, dwa pozostałe palce zgięte. Patrzył prosto w obiektyw, intensywnie, z cynicznym błyskiem w oku i ze śladem uśmiechu - a może grymasem - na ustach.

Zdjęcie zrobiła Marianne. Jeszcze dziś się zastanawiał, dlaczego je zachował. Zostawiła go dwa dni po tym, jak zostało zrobione.

Jej łamiący się głos, kiedy mu to oznajmiła. W jej oczach widział łzy - jakby to on odchodził.

- Dlaczego?

- Kocham innego mężczyznę. Najgorszy powód.

Nic nie powiedział. Spojrzał na nią takim wzrokiem, jak na tym zdjęciu (tak mu się przynajmniej wydawało).

- Spadaj.

- Martin, ja...

- Spadaj.

Odeszła bez słowa. Dopiero dużo później dowiedział się, o kogo chodziło. Podwójna zdrada. Przez wiele miesięcy miał nadzieję, że wróci. A potem poznał Alexandrę.

Odłożył zdjęcie tam, gdzie je znalazł. Do szuflady. Tego ranka, kiedy się obudził, miał zamiar je podrzeć i wyrzucić, ale nie zrobił tego. Czuł się załamany. Na skraju wyczerpania nerwowego. Spał niecałe dwie godziny, w dodatku niespokojnym snem, pełnym koszmarów, w trakcie którego czuł na przemian dreszcze i gorące poty.

Hirtmann, Marsac, a teraz to. Czuł się jak guma podczas testów wytrzymałości. Wiedział, że granica jest już blisko. Wyszedł na balkon. Była dziewiąta rano. Znowu zbierało się na burzę. Choć słońce nadal świeciło, od zachodu zbliżały się zwały chmur. Nad miastem unosiły się

fale gorąca, a także hałas silników i klaksonów. W powietrzu czuć było napięcie elektryczne. Jerzyki krążyły nisko, piszcząc przenikliwie.

Ubrał się i wyszedł. Był rozczochrany i źle ogolony. Na jego niemytej od ponad dwudziestu czterech godzin twarzy widać było ślady nocnej ekspedycji, ale miał to gdzieś. Marsz ulicami w promieniach burzowego słońca dobrze mu zrobił. Usiadł w ogródku kafejki przy placu Wilsona i zamówił bardzo mocną kawę. Z dużą ilością cukru, żeby przegnać gorycz...

Zastanawiał się, z kim mógłby porozmawiać, kogo poprosić o radę. Uświadomił sobie, że jest tylko jedna taka osoba. Oczywiście wyobraźni ujrzał piękną twarz, długie, rude włosy, smukłą szyję, fantastyczne ciało i uśmiech.

Pijąc kawę, czekał na godzinę otwarcia.

Potem ruszył rue Lapeyrouse, przeciał znajdującą się w wiecznym remoncie rue d'Alsace-Lorraine z nieruchomymi koparkami i skręcił w rue de la Pomme. Wiedział, że galeria jest czynna od dziesiątej. Była dziewiąta pięćdziesiąt. Drzwi były już otwarte, w środku było pusto i cicho. Zawahał się.

Jego podeszwy skrzypnęły na jasnym parkiecie. Z małych głośników cicho sączyła się muzyka. Jazz. Servaz nawet nie spojrzał na nowoczesne płótna wyeksponowane na honorowych miejscach. Usłyszał dobiegające z piętra stukanie obcasów i czyjś głos. Doszedł do końca pomieszczenia i ruszył w górę krętymi schodami.

Była tam. Rozmawiała przez telefon, stojąc za biurkiem przy dużym łukowatym oknie.

Podniosła oczy i zobaczyła Servaza. Powiedziała:

– Zadzwoń później.

Charlène Espérandieu tego ranka miała na sobie biały T-shirt zsunięty z jednego ramienia i czarne spodnie sindbady. Z przodu koszulki błyszczący cekinowy napis ART. Jej rude włosy połyskiwały ogniście w blasku poranka, mimo że słońce jeszcze nie oświetlało ulicy, a jedynie fasadę z różowej cegły za oknem.

Była diabelnie piękna i Servazowi przemknęło przez głowę, że może właśnie to jest kobieta, której szuka, ta, która go pocieszy i sprawi, że zapomni o wszystkich innych. W której znajdzie oparcie. Ależ nie. Oczywiście, że nie. To żona jego zastępcy. Nie zajmowała całego jego serca, jak to było przed dwoma laty. Na myśl o niej Servaz nie czuł już

przyspieszonego tętna. Mimo całej swej urody była tylko sygnałem z oddali, przyjemną, ale ulotną myślą, która ani nie boli, ani nie rozpala.

– Martin? Co cię tu sprowadza?

– Chętnie napiłbym się kawy,

Wyszła z za biurka i ucałowała go w oba policzki. Ładnie pachniała szamponem i lekkimi cytrynowymi perfumami, jak powiew wiatru w cytrusowym sadzie.

– Zepsuł mi się ekspres. Ja też potrzebuję kofeiny. Chodź. Kiepsko wyglądasz.

– Wiem. Przydałaby mi się też kąpiel.

Przeszli przez place du Capitole w kierunku kawiarnianych ogródków pod arkadami. Szedł w towarzystwie jednej z najpiękniejszych kobiet w Tuluzie, wyglądał jak kloszard i myślał o innej...

– Dlaczego nigdy nie odpowiadałeś na moje esemesy i telefony? – zapytała, umoczywszy wargi w kawie.

– Przecież wiesz.

– Nie. Chciałabym, żebyś mi to wyjaśnił.

Nagle uświadomił sobie, że się pomylił, że nie może jej powiedzieć o Marianne, nie ma do tego prawa. Jest wrażliwa, zraniłby ją. A może podświadomie taki był właśnie jego cel: zranić kogoś, tak jak sam został zraniony.

Ale nie zrobi tego.

– Dostałem e-maila od Juliana Hirtmanna – powiedział.

– Wiem. Vincent sądził, że to jakaś ścierna, że panikujesz. Aż do chwili, kiedy znalazłeś te litery wycięte na pniu. Od tej pory już nie wie, co o tym myśleć.

– Wiesz o literach?

Zatopił wzrok w jej oczach.

– Tak.

– A wiesz gdzie?

– Gdzie je znalazłeś? Mhm, mhm. Vincent mi powiedział.

– Powiedział ci też, w jakich okolicznościach?

Skinęła głową.

– Charlène, ja...

– Nic nie mów, Martin. Nie trzeba.

– A więc powiedział ci, że to osoba, którą znałem dawno temu.

– Nie.

– Ktoś, kogo...

– Nic nie mów, nie jesteś mi winien żadnych wyjaśnień.

– Charlène, chcę, żebyś wiedziała.

– Powiedziałam ci, milcz.

Kelnerka, która podeszła po zapłatę, oddaliła się pośpiesznie.

– Cóż, taka jest prawda – dodała Charlène. – Przecież nie jesteśmy małżeństwem... ani nawet kochankami... ani w ogóle niczym...

Nie odpowiedział.

– Zresztą, kogo obchodzą moje uczucia?

– Charlène...

– Czy tylko ja się zaangażowałam, Martin? Czy ty nigdy niczego nie poczułeś? Czy mi się to przyśniło? Ubzdurałam sobie? Niech to szlag!

Spojrzał na nią. Była w tej chwili nieziemsko piękna. Każdy normalny mężczyzna by jej zapragnął. W promieniu stu kilometrów nie było kobiety, która budziłaby większe pożądanie. Zameżna czy nie na pewno mogła przebierać w ofertach. A więc dlaczego akurat on?

Przez wiele miesięcy sam siebie okłamywał. Tak, poczuł coś. Tak, być może to właśnie ona była kobietą, której szukał. Tak, myślał o niej bardzo często i wyobrażał ją sobie w swoim łóżku, w którym sypia samotnie, i w wielu innych miejscach. Ale był Vincent. I Mégan. I Margot. I cała reszta.

Nie teraz...

Ona także najwyraźniej wyczuła, że to nie jest właściwy moment, bo zmieniła temat.

– Myślisz, że istnieje jakieś zagrożenie dla nas... dla Mégan? – zapytała.

– Nie. Hirtmannowi chodzi o mnie. Nie będzie robił przeglądu wszystkich gliniarzy w Tuluzie.

– Ale gdyby nie mógł uderzyć w ciebie? – Nagle zrobiła zaniepokojoną minę. – Jeśli jest tak dobrze poinformowany, jak mówicie, to na pewno wie, że Vincent jest twoim przyjacielem i najbliższym współpracownikiem. Myślałeś o tym?

– Tak, oczywiście, że myślałem. Na razie nie wiemy nawet, gdzie on jest. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby było jakiejkolwiek zagrożenie. Vincent nigdy nie spotkał Hirtmanna. Szwajcar nic o nim nie wie. Bądźcie tylko trochę bardziej czujni, to wszystko. Jeśli chcesz, powiadom szkołę Mégan i powiedz im, żeby się upewnili, czy nikt się tam nie kręci i żeby nie zostawiali jej samej.

Poprosił o ochronę dla Margot. Czy powinien postąpić tak samo w przypadku wszystkich swoich bliskich? Vincenta, Alexandry?

Nagle pomyślał o Pujolu. Psiakrew, znowu zapomniał! Czy Pujol wrócił do roboty i znowu go pilnuje? Co sobie pomyśli, jeśli zobaczy Charlène i jego prowadzących ożywioną rozmowę w kawiarnianym ogródku pod nieobecność jego zastępcy? Pujol nie cierpiał Vincenta. Servaz był pewien, że nie będzie zwlekał z rozpowszechnieniem tej rewelacji.

– Cholera – powiedział.

– Co się dzieje?

– Zapomniałem, że sam jestem pod obserwacją.

– Czyją?

– Członków wydziału. Ludzi, którzy nie za bardzo lubią Vincenta.

– Mówisz o tych, których usadziłeś dwa lata temu?

– Mhm.

– Myślisz, że nas widzieli?

– Nie wiem. Ale nie chcę ryzykować. Wstaniesz i pożegnamy się uściskiem dłoni.

Patrzyła na niego, marszcząc brwi.

– To śmieszne.

– Charlène, proszę cię.

– Jak chcesz. Uważaj na siebie, Martin. I na Margot... – Zobaczył, że się waha. – I chcę, żebyś wiedział, że ja zawsze jestem, zawsze będę na ciebie czekać. W każdej chwili.

Odsunęła krzesło i już na stojąco bardzo formalnie uścisnęła jego dłoń nad stolikiem. Nie odwróciła się, a on nie patrzył, jak odchodzi.

PRZED MECZEM

Był umówiony na spotkanie w Generalnej Inspekcji o 10.30. Kiedy wszedł do gabinetu komisarza Santosa, zastał go w trakcie rozmowy z kobietą około pięćdziesiątki, która stała obok niego ubrana w czerwony kostium. Jej zsuwające się na czubek nosa okulary i wąskie usta skojarzyły mu się z nauczycielką w starym stylu.

– Niech pan siada, komendancie – odezwał się Santos. – Przedstawiam panu doktor Andrieu, naszego psychologa.

Servaz rzucił okiem na kobietę, która ciągle stała, mimo że w pokoju były dwa wolne krzesła, a potem skierował uwagę na San Antonia, który dodał:

– Będzie się z panem spotykać dwa razy w tygodniu.

Servaz podskoczył, nie wierząc własnym uszom.

– Słucham?

– Dobrze pan usłyszał.

– Jak to „spotykać”? Santos, to jakieś żarty!

– Czy czuje się pan przygnębiony, komendancie? – zapytała nagle kobieta, mierząc go spojrzeniem znad okularów.

– Jestem zawieszony czy nie? – zapytał Servaz, przechylając się nad biurkiem tłustego komisarza.

Małe oczka Santosa przez chwilę patrzyły na niego badawczo przez szparki w powiekach napuchniętych jak u kameleona.

– Nie. Na razie nie. Ale jest panu potrzeba terapia.

– Co?

– Regularne spotkania, jeśli pan woli.

– Spotkania, ja pierdołę!

– Komendancie... – ostrzegł go Santos.

– Czy czuje się pan przygnębiony? – powtórzyła doktor Andrieu. – Chciałabym, żeby pan odpowiedział na to proste pytanie, komendancie...

Servaz nie raczył zaszczyścić jej spojrzeniem.

– Gdzie tu logika? – zapytał urzędnika Generalnej Inspekcji. – Albo potrzebuję leczenia i wtedy należy mnie zawiesić, albo uznaje pan, że jestem zdolny do pełnienia obowiązków służbowych i ta... osoba nie ma tu nic do szukania. Koniec, kropka.

– Komendancie, to nie pan tu podejmuje decyzje.

– Komisarzu, proszę – jęknął. – Czy pan jej się przyjrzał? Od samego patrzenia na nią mam myśli samobójcze.

Na mięsistych wargach Santosa, pod żółtym od nikotyny wąsem pojawił się mimowolny uśmiezek.

– W ten sposób nie rozwiąże pan swoich problemów! – napomniała go kobieta, dotknięta do żywego. – Ucieczka w zaprzeczenie albo sarkazm nic panu nie pomoże.

– Doktor Andrieu jest specjalistką od... – zaczął Santos bez przekonania.

– Santos, wie pan, co się stało. Jak by pan zareagował na moim miejscu?

– Tak, dlatego nie został pan zawieszony. Z powodu presji, jakiej został pan poddany. A także ze względu na toczące się śledztwo. Poza tym nie jestem na pańskim miejscu.

– Komendancie – powiedziała uczonym tonem kobieta – pańskie zachowanie jest bezproduktywne. Czy mogę panu udzielić pewnej rady? Chodziłoby o...

– Komisarzu – zaprotestował Servaz – niech jej pan pozwoli zostać w tym gabinecie, a naprawdę zeświruję. Potem się z nią ożenię, jeśli pan sobie tego życzy. Pięć minut...

– Pani doktor – powiedział Santos.

– Nie sędzę, żeby... – zaczęła sucho kobieta.

– Pani doktor, proszę.

Wyszedłszy z biura Santosa, wjechał windą na drugie piętro i ruszył do swojego gabinetu.

– Stehlin chce się z tobą widzieć – oznajmił jeden z członków brygady, mijając go na korytarzu.

Znowu trwały obrady na temat piłki nożnej. Servaz wychwycił słowa: „decydujący”, „Domenech” i „drużyna”.

– Czuć było napięcie, kiedy ogłosił skład – odezwał się jakiś głos.

– Pfff... jeżeli nie wygramy z Meksykiem, nie przejdziemy dalej – powiedział ktoś inny.

Czy oni by nie mogli zaczekać z tymi rozważaniami, aż znajdą się w knajpie na rogu? – pomyślał Servaz. Ale, ostatecznie, w dzień taki jak ten mordercy i bandyci powinni zrobić to samo. Skierował się w stronę gabinetu szefa, zapukał i wszedł. Dyrektor właśnie chował do sejfu plomby, którymi pieczętuje się zabezpieczone pieniądze lub narkotyki. Powyżej na wieszaku wisiała kamizelka taktyczna z napisem POLICJA KRYMINALNA.

– Jestem pewien, że nie wezwalesz mnie, żeby pogadać o piłce nożnej – zażartował.

– Lacaze zostanie zatrzymany – oświadczył od razu Stehlin, zamykając sejf. – Sędzia Sartet zwróci się o uchylenie jego immunitetu. Odmówił przyznania się, gdzie był w piątek wieczorem.

Servaz spojrzał na niego z niedowierzaniem.

– Właśnie rujnuje swoją karierę polityczną – skomentował nadkomisarz.

Policjant pokiwał głową i powiedział:

– A jednak nie sądzę, żeby to był on. Miałem wrażenie, że bał się powiedzieć, gdzie był. Ale nie dlatego, że tamtego wieczoru był u Claire Diemar, nie.

Stehlin spojrzał na niego, nic nie rozumiejąc.

– Jak to? Nie łapię.

– No, tak jakby przyznanie się, gdzie był, mogło zaszkodzić jego karierze nawet bardziej niż postawienie mu zarzutów – odpowiedział Servaz, próbując zrozumieć znaczenie własnych słów. – Wiem, wiem, to się nie trzyma kupy.

Ziegler wpatrywała się w monitor komputera. Nie w ten ostatni krzyk mody, który miała w domu, ale w starego rzecha, oczywiście znacznie

wolniejszego – w swoim gabinecie w komendzie. Aby trochę umilić wnętrze, powiesiła na ścianach plakaty ulubionych filmów – *Ojciec chrzestny II*, *Łowca jeleni*, *Czas apokalipsy*, *Mechaniczna pomarańcza* – ale to było za mało. Spojrzała na teczki stojące na półkach przed nią: „włamania”, „handel anabolikami”, „Romowie” i westchnęła.

Poranek był spokojny. Rozesłała swoich ludzi tu i tam, tak że na posterunku było cicho i pusto. Tylko strażnik siedział przy wyjściu.

Rozdawszy bieżące zadania, Irène wróciła do tego, co znalazła poprzedniego wieczoru w komputerze Martina. Ktoś wgrał do jego komputera złośliwe oprogramowanie. Któryś z kolegów? Po co miałby to robić? Jakiś zatrzymany pod nieobecność Martina? Żaden rozsądny glina, a tym bardziej Servaz, nie zostawiłby zatrzymanego bez nadzoru we własnym gabinecie. Ktoś z ekipy sprzątającej? To była jakaś hipoteza... Na razie Ziegler nie widziała innych. Pozostawało się dowiedzieć – jeżeli miała rację – która firma wygrała przetarg na sprzątanie budynku policji kryminalnej w Tuluzie. Zawsze mogła do nich zadzwonić, ale wątpiła, czy udzielią takiej informacji funkcjonariuszce żandarmerii bez nakazu sądowego i wiarygodnego wyjaśnienia. Mogła też poprosić Martina, by zdobył dla niej namiary firmy. Ciągle jednak potykała się o ten sam problem: w jaki sposób powiedzieć mu o swoim odkryciu, nie przyznając się, że włamała się do jego komputera?

Może istnieje jakieś inne rozwiązanie.

Otworzyła książkę telefoniczną online z usługami specjalistycznymi. Na pytanie: „Kto, co?” odpowiedziała „firma sprzątająca”, a na pytanie „Gdzie?” – „Aglomeracja Tuluzy”.

Trzysta wyników! Wyeliminowała wszystkie tak zwane firmy oferujące drobne prace, takie jak robienie porządków, ogrodnictwo, usuwanie korników czy izolacja termiczna, i skupiła się na tych, które zajmują się wyłącznie sprzątaniem biur i lokali usługowych. Wyświetliło się około dwudziestu nazw. Wyglądało to znacznie bardziej rozsądnie.

Otworzyła klapkę telefonu i wystukała pierwszy numer z listy.

– Clean Service – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry. Tu wydział kadr siedziby policji przy boulevard de l'Embouchure. Mamy... hmm, mały problem...

– Jakiego rodzaju?

– Cóż, nie jesteśmy... zadowoleni z usług waszej firmy, uważamy, że jakość waszej pracy spadła w ostatnim czasie i...

– Siedziba policji, tak?

– Tak.

– Sekundkę. Już kogoś dają.

Czekała. Czy to możliwe, żeby trafiła za pierwszym podejściem? Oczekiwanie się przedłużało. Wreszcie odezwał się poirytowany męski głos.

– Musiała zajść jakaś pomyłka – powiedział sucho. – Chodziło pani o siedzibę policji?

– Tak, właśnie.

– Bardzo mi przykro, ale my nie zajmujemy się pomieszczeniami siedziby policji. Przeszukuję kartoteki klientów od dziesięciu minut. Nie ma tu żadnych waszych papierów. Powtarzam: to pomyłka. Gdzie pani uzyskała tę informację?

– Jest pan pewien?

– Oczywiście, że jestem pewien! Jak to się stało, że dzwoni pani do nas? Kim pani w ogóle jest?

– Dziękuję panu – powiedziała i rozłączyła się.

Po osiemnastu kolejnych próbach zaczęła wątpić w swoją metodę. Z jakiegoś powodu firma, która zajmowała się sprzątaniami tych pomieszczeń, mogła nie figurować w książce telefonicznej. Albo też rzeczona firma, zaniepokojona jej pytaniami, skontaktowała się już z prawdziwym kierownictwem i za chwilę dopadnie ją policja kryminalna, pytając, w co też Ziegler się bawi. Zadzwoiła po raz dziewiętnasty i powtórzyła swoją historijkę. Znowu niekończące się oczekiwanie.

– Mówi pani, że nie jesteście zadowoleni z naszych usług? – odezwał się energiczny głos w słuchawce. – Czy może mi pani powiedzieć coś więcej? Co konkretnie państwu nie odpowiada?

Wyprostowała się na krześle.

Nie przewidziała tego rodzaju pytań i improwizowała z poczuciem winy w stosunku do ekipy sprzątajacej budynek, która zostanie oskarżona o wymyślone niedociągnięcia.

– Dzwonię w imieniu pewnej grupy kolegów – załagodziła na końcu. – Ale wie pan, jak to jest: zawsze znajdują się jacyś maruderzy, malkontenci, ludzie, którzy nie mogliby żyć bez krytykowania innych. Przekazuję ich

skargi, choć osobiście nigdy nie miałam żadnych zastrzeżeń co do stanu mojego gabinetu.

– Zobaczą, co się da zrobić – odpowiedział mężczyzna. – Położę szczególny nacisk na te sprawy, które pani podkreśliła. W każdym razie dobrze, że pani do nas zadzwoniła. Bardzo nam zależy na satysfakcji naszych klientów.

Zwykła rozmowa handlowa, po której jednak można się było spodziewać, że drobny personel może mieć nieprzyjemności.

– Nalegam, żeby pan nie był zbyt surowy. To nic takiego.

– Nie, nie. Nie zgadzam się z panią. Dążymy do doskonałości, chcemy, by klienci byli zadowoleni z naszych usług, i nasi pracownicy muszą temu sprostać. To zupełnie naturalne.

Szczególnie przy tych pensjach, jakie im płacicie, pomyślała.

– Dziękuję za pańskie profesjonalne podejście. Do widzenia. Kiedy skończyła, połączyła się z jednym z tych portali, które udostępniają informacje o strukturze, bilansie i kluczowych liczbach przedsiębiorstw. Na karteczce samoprzylepnej zanotowała nazwisko kierownika firmy Clarion. Nie było jednak numeru telefonu. Zadzwoniła więc na ogólny, tym razem jednak ze służbowego telefonu stacjonarnego, który wyświetlał jej nazwisko i nazwę pracodawcy.

– Clarion – odebrała ta sama kobieta, którą słyszała za pierwszym razem.

– Chciałabym rozmawiać z Xavierem Lambertem – oświadczyła, próbując zmienić głos. – Proszę mu powiedzieć, że chodzi o śledztwo prowadzone przez żandarmerię w sprawie jednego z jego pracowników. To pilne.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Czyżby kobieta rozpoznała jej głos? A potem rozległ się sygnał.

– Xavier Lambert – odezwał się nieco znużony męski głos.

– Dzień dobry, panie Lambert. Mówi Ziegler, kapitan żandarmerii. Prowadzimy aktualnie śledztwo w sprawie osoby, która być może pracuje w jednej z pańskich ekip sprzątających. Potrzebna mi lista pańskich pracowników.

– Lista moich pracowników? Jak pani mówiła, kim pani jest?

– Kapitan Irène Ziegler.

– A po co pani ta lista, pani kapitan, jeśli to nie jest niedyskretne pytanie?

– W pomieszczeniach, w których sprząta pańska firma, popełniono przestępstwo. Kradzież ważnych dokumentów. Znaleźliśmy drobne ślady środków czyszczących na papierach, które leżały razem ze skradzionymi dokumentami. Ale to musi zostać między nami.

– Oczywiście – odpowiedział mężczyzna bez emocji. – Ma pani nakaz?

– Nie. Ale mogę o niego poprosić.

– Proszę więc to zrobić.

Cholera! Rozłączy się!

– Chwileczkę!

– Tak, pani kapitan?

Jej gorliwość jakby go rozbawiła. Ziegler czuła, że narasta w niej złość.

– Niech pan posłucha, panie Lambert. Mogę mieć ten nakaz w ciągu najbliższych godzin. Ale tu chodzi o wyścig z czasem. Być może podejrzany ciągle ma te dokumenty u siebie, ale jak długo? Nie wiadomo, kiedy i komu je przekaze. Chcemy wziąć go pod nadzór. Więc rozumie pan, liczy się każda minuta. A pan z całą pewnością nie chce zostać uznany za współnika, choćby mimowolnego, w przestępstwie tak poważnym, jak szpiegostwo przemysłowe.

– Tak, rozumiem. Naturalnie. Jestem odpowiedzialnym obywatelem i jeśli tylko mogę zrobić coś, żeby pani pomóc w granicach prawa... Ale pani również rozumie, że nie mogę rozpowszechniać danych osobowych moich pracowników bez uzasadnionej konieczności.

– Właśnie ją panu przedstawiłam

– No cóż, powiedzmy, że zaczekam, aż ta... najwyższa konieczność zostanie potwierdzona przez sędziego.

Głos mężczyzny był zabarwiony ironią i arogancją. Wściekłość płonąła w niej teraz żywym ogniem. Tego jej właśnie było potrzeba.

– Oczywiście nie mogę pana oskarżyć o utrudnianie śledztwa, przyznaję, że prawo jest po pańskiej stronie – oświadczyła lodowato. – Ale my, żandarmi, jesteśmy dość zawzięci. Więc jeśli będzie się pan upierał przy tym stanowisku, sprawię, że Clarionowi dobierze się do tyłka inspekcja pracy, Departamentalna Dyrekcja do spraw Pracy

i Zatrudnienia, Komitet Walki z Nielegalnym Zatrudnieniem... I niech mi pan wierzy, będą tak długo skrobać i węszyć, aż coś znajdą.

– Pani kapitan, radzę pani zmienić ton, posuwa się pani za daleko – zdenerwował się mężczyzna. – Nie ujdzie to pani na sucho. Zawiadomie pani przełożonych.

Blefował. Rozpoznała to w jego głosie.

– Jeśli nie dziś, to jutro – ciągnęła tym samym ponurym tonem. – Nie damy panu spokoju, może mi pan wierzyć. Przykleimy się do pana jak guma do żucia do podeszwy. Bo nie podoba mi się ani pański ton, ani pańskie zachowanie. A także dlatego, że my nigdy nie zapominamy. Mam nadzieję, że w pańskim zarządzaniu personelem nie ma najdrobniejszych nieprawidłowości, panie Lambert, szczerze panu tego życzę, ponieważ w przeciwnym razie będzie pan mógł postawić krzyżyk na części swoich klientów, zaczynając od policji...

Milczenie po drugiej stronie słuchawki.

– Wyślę pani tę listę.

– Ze wszystkimi informacjami, które się na niej znajdują – uściśliła i rozłączyła się.

Servaz jechał autostradą. Powietrze wciąż było duszne i nieruchome, ale coraz więcej czarnych chmur na niebie zwiastowało rychłą burzę. Już wkrótce grzmoty i błyskawice rozproszą falę gorąca zalegającą nad miastem. Servaz wyczuwał też, że zbliża się podobnie burzliwe rozwiązanie sprawy. Prowadząc samochód, uświadomił sobie, że jest ono znacznie bliżej, niż im się zdaje. Mają przed oczami wszystkie elementy. Pozostaje tylko połączyć je ze sobą i sprawić, żeby przemówiły.

Zadzwoił do Espérandieu i poprosił go, żeby wrócił do Tuluzy i zajął się badaniem przeszłości Elvisa. Na uczelni w ciągu dnia było pełno ludzi, a Samira ani na chwilę nie spuszczała Margot z oczu. Hirtmann nigdy nie przystąpiłby do działania w takich warunkach. Jeżeli w ogóle miał taki zamiar, w co Servaz zaczynał wątpić. Znowu się zastanawiał, gdzie się podziewa Szwajcar. W tej kwestii każda pewność okazywała się ułudą. Może tylko mu się wydaje, że jest marionetką, a po drugiej stronie nie ma żadnego lalkarza? A może przeciwnie, Szwajcar jest tuż obok, przyczajony w cieniu, i nigdy nie odchodzi za daleko, deptając mu po piętach, chowając się w szczelinach i martwych polach? W umyśle Servaza Hirtmann stawał

się duchem, postacią mityczną. Przegnał tę myśl. Sprawiała, że stawał się nerwowy.

Zaparkował przed restauracją w Marsac z czterdziestominutowym opóźnieniem.

– Gdzie cię wzięło?

Margot miała na sobie szorty, ciężkie buty ze wzmocnionymi czubkami, takie, jak się nosi na budowach, i T-shirt ze zdjęciem nieznanego mu zespołu. Pofarbowane na czerwono włosy miała postawione na żel. Nie odpowiedział, tylko ucałował ją i pociągnął na mały drewniany mostek ozdobiony mnóstwem doniczek z kwiatami, przerzucony nad rzeczką, po której z godnością pływało kilka kaczek. Drzwi restauracji były otwarte na oścież. W przyjemnie chłodnym wnętrzu słychać było delikatny szum dyskretnych rozmów. Wchodząc, Margot ściągnęła na siebie kilka spojrzeń, które z wyższością zignorowała. Szef sali zaprowadził ich do stolika tonącego w kwiatkach.

– Mają tu mojito? – zapytała, gdy tylko usiadła.

– Od kiedy to pijesz alkohol?

– Od trzynastego roku życia.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czy córka żartuje. Najwyraźniej jednak nie żartowała. Servaz zamówił głowiznę cielęcą, Margot hamburgera. Na ekranie wyciszonego telewizora widać było trenujących na boisku piłkarzy.

– Wkurza mnie to – zaczęła od razu. – Cała ta sprawa, ta ochrona. Myślisz, że on naprawdę by mógł... – Nie dokończyła zdania.

– Nie ma powodów do niepokoju – pospieszył z odpowiedzią. – To zwykła ostrożność. Nie ma prawie żadnego ryzyka, żeby cię zaatakował ani nawet żeby się pokazał. Chcę być tylko na sto procent pewny, że nic ci nie grozi.

– To jest naprawdę konieczne?

– Na razie tak.

– A jeżeli go nie złapiecie? Będziecie mnie tak pilnować w nieskończoność? – zapytała, bawiąc się kolczykiem z fałszywym rubinem w łuku brwiowym.

Servaz poczuł ucisk w żołądku. Nie powiedział jej, że właśnie to pytanie go dręczy. Na pewno nadejdzie moment, kiedy sąd zdecyduje, że zagrożenie minęło, i nadzór zostanie zdjęty. Co wtedy? W jaki sposób zapewni córce bezpieczeństwo? I jak będzie mógł spokojnie spać?

– Jeśli o chodzi ciebie – dodał, nie odpowiadając – musisz zwracać uwagę na wszystko, co wyda ci się nienormalne. Jeślibyś zobaczyła, że ktoś się kręci w pobliżu szkoły, albo zaczęła dostawać jakieś dziwne esemesy, nie wahaj się iść do Vincenta. Znasz go i dobrze się dogadujecie. Wiesz, że cię wysłucha.

Skinęła głową, przypominając sobie, jak poprzedniego wieczoru piła piwo, rozmawiała i żartowała z Samirą.

– Ale powtarzam, nie ma powodu do paniki. To tylko środki ostrożności – podkreślił.

To przypomina filmowy dialog, pomyślał. Tysiące razy słyszał coś takiego. Dialog z bardzo kiepskiego filmu, serialu kryminalnego, w którym krew leje się strumieniami. Poczul, że znowu się denerwuje. A może to zbliżająca się burza tak na niego działała?

– Masz to, o co cię prosiłem?

Zanurzyła rękę w płócienną torbę w kolorze khaki i wyjęła z niej plik ręcznie zapisanych kartek z pozaginаныmi rogami.

– Co chcesz z tym zrobić? – zapytała, podsuwając mu plik po blacie stołu. – Nie rozumiem, po co mnie o to prosiłeś. Zamierzasz sprawdzić moją pracę, czy co?

Znał ten wyraz czarnych oczu. Wiele razy musiał się już z nim mierzyć w przeszłości. Uśmiechnął się.

– Nie będę czytał tego, co napisałaś. Masz moje słowo, okay? Interesują mnie notatki na marginesach. Tylko i wyłącznie. Później ci to wytłumaczę – dodał na widok jej zmarszczonych brwi.

Z zadowoleniem spojrział na poprawione na czerwono wypracowania, zgiął je i włożył do kieszeni marynarki.

Był czwartek, godzina 13.30. Minister wszedł do mniejszej z dwóch prywatnych sal restauracji Tante Marguerite przy rue de Bourgogne, położonej dwa kroki od Zgromadzenia Narodowego. Wieloryb, który konsumował właśnie ślimaki z purée czosnkowym, niespiesznie wytarł wargi, po czym zwrócił się do nowo przybyłego:

– No i?

– Lacaze ma zostać czasowo zatrzymany – oświadczył minister. – Sędzia będzie się domagał uchylenia immunitetu.

– Tyle wiem – powiedział zimno Devincourt. – Pytanie tylko, jak to się, u diabła, stało, że ten pieprzony dupek prokurator nie potrafił temu zapobiec?

– Nic nie mógł zrobić. Zważywszy na okoliczności sprawy, dla sędziów śledczych możliwość postąpienia inaczej w ogóle nie wchodziła w grę. Nie mogę tego pojąć: Suzanne wszystko wychlapała policji! Powiedziała im, że Paul skłamał w kwestii swojego rozkładu zajęć. Nigdy bym nie uwierzył, że jest zdolna do...

Minister wyglądał na przygnębionego.

– Nie? – odparował Wieloryb. – A czego się pan spodziewał? Ta kobieta jest w terminalnej fazie raka, została zdradzona, okpiona, upokorzona. Osobiście raczej miałbym ochotę jej pogratulować. Ten mały gnojek ma tylko to, na co zasługuje.

W ministrze się zagotowało. Wieloryb, który od ponad czterdziestu lat gził się z kurwami, udziela lekcji moralności!

– Do pana szczególnie pasuje mówienie takich rzeczy.

Senator podniósł do ust kieliszek z białym winem.

– Robi pan aluzję do moich... zachcianek? – zapytał, bynajmniej niezbity z tropu. – To jest zasadnicza różnica. I wie pan, na czym ona polega? Na miłości. Kocham Catherine tak samo, jak kochałem ją pierwszego dnia. Darzę moją żonę najgłębszym podziwem. Jestem jej najszczerzej oddany. Kurwy to kwestia higieny. I ona o tym wie. Catherine i ja nie sypiamy ze sobą od ponad dwudziestu lat. Jak ten dureń mógł sobie wyobrazić, że Suzanne mu wybaczy? Kobieta taka jak ona. Taka dumna. Z charakterem. Wspaniała. Okay, niech sypia. Ale żeby się zakochiwać w takiej...

– Co robimy? – zapytał minister, ucinając dyskusję.

– Gdzie Lacaze był tamtego wieczoru? Panu chyba powiedział?

– Nie. I odmówił powiedzenia sędziemu. To niedorzeczne! Z nikim nie chce o tym rozmawiać, on zwariował!

Tym razem Wieloryb podniósł oczy na ministra, na jego twarzy malowało się szczere zdumienie.

– Sądzi pan, że on ją zabił?

– Już nie wiem, co o tym myśleć. Ale on zachowuje się tak, jakby był winny. Boże, ale prasa będzie trąbić.

– Niech go pan zostawi – powiedział Wieloryb.

– Co?

– Niech się pan odsunie. Póki jeszcze czas. Minimum związkowej solidarności w kontakcie z mediami: domniemanie niewinności, niezależność wymiaru sprawiedliwości... Konwencjonalna gadka. Ale niech pan również podkreśla, że Lacaze tak jak wszyscy podlega prawu. Wszyscy to rozumieją. Kozioł ofiarny: zawsze kogoś takiego potrzeba, nie mówię panu niczego nowego. Nasz kochany lud funkcjonuje tak samo jak pierwsze plemiona Izraela; uwielbia kozły ofiarne. Lacaze zostanie złożony na ołtarzu mediów, które rozszarpia go i najedzą się nim do syta. Strażnicy cnoty odegrają w telewizji tradycyjną szopkę, tłum będzie im wtórował. A kiedy z nim skończą, przyjdzie kolej na innego. Kto wie? Może jutro to będzie pan. Albo ja... Ale teraz niech pan go poświęci.

– Miał przed sobą świetlaną przyszłość – powiedział minister, wpatrując się w swój talerz.

– *Requiescat in pace* – podsumował Wieloryb, nabijając na widelec kolejnego ślimaka. – Będzie pan dziś wieczorem oglądał mecz? Tylko jedno może nas uratować: zdobycie pucharu świata. Ale to równie realne jak marzenie o wygraniu przyszłych wyborów...

O 15.15 Ziegler znalazła wreszcie tego, którego szukała. A raczej trafiła na dwóch potencjalnych kandydatów. Większość zatrudnionych w ekipach sprzątających Clarion stanowiły kobiety, które stosunkowo niedawno przyjechały z Afryki. Sektor usług zajmujący się sprzątaniami pomieszczeń przemysłowych od dawna był ważnym rynkiem pracy dla imigrantów, jako że sukces obecnych na nim firm polega na elastyczności siły roboczej, która jest nisko wykwalifikowana i na ogół niezrzeszona w związkach zawodowych, a zatem posiada niewielką zdolność do obrony swoich interesów.

Wśród pracowników było tylko dwóch mężczyzn. Ziegler instynktownie postanowiła zacząć od nich. Po pierwsze dlatego, że statystycznie mężczyzn wchodzących w konflikt z prawem było znacznie więcej, jakkolwiek liczba kobiet rosła. Następnie dlatego, że wszystkie statystyki wskazywały na znikomy udział kobiet w przestępstwach, w

które zaangażowane były władze. Po trzecie – mężczyźni byli większymi graczami.

Pierwszy był ojcem rodziny, miał trzech dorosłych synów. Pięćdziesięcioośmiolatek, pracował w firmie sprzątającej od dziesięciu lat. Wcześniej prawie trzydzieści lat przepracował w przemyśle samochodowym, jednak nie w jednym z dwóch największych koncernów, ale w firmie podwykonawczej. Jednak w latach dziewięćdziesiątych rosnący nacisk, jaki ci dwaj producenci wywierali na dostawców w zakresie jakości, terminów, a przede wszystkim kosztów produkcji, sprawił, że wiele mniejszych przedsiębiorstw albo zostało wykupionych przez firmy amerykańskie, albo przeszło drastyczną restrukturyzację. Mężczyzna był najprawdopodobniej jedną z niezliczonych ofiar presji wspomnianych koncernów oraz planów socjalnych, jakie były jej wynikiem. Ziegler odłożyła jego kartę. Rozgoryczony facet, odstawiony na boczny tor po trzydziestu latach dobrej, lojalnej pracy, który ma na utrzymaniu rodzinę. Możliwy kandydat... Przeszła do następnego. Ten był znacznie młodszy, znalazł się we Francji niedawno dzięki zbiegowi okoliczności, za sprawą którego cudem wyrwał się z obozu dla uchodźców na Malcie, gdzie gnił razem z setkami innych nielegalnych uchodźców. Mieszkał sam. Bez żony i dzieci. Cała jego rodzina została tam, w Mali. Mężczyzna, który zaznał horroru podróży przez Morze Śródziemne na prowizorycznej łódce, po czym trafił na wyspę-więzienie. Samotny, zagubiony i słaby w obcym kraju. Próbujący się zaadaptować i wtopić w tłum, by zbyt nie rzucać się w oczy. Zdobyć kilkoro przyjaciół. Być może wykonujący pracę poniżej swoich kwalifikacji. Mężczyzna, którego z pewnością ogarnia błądy strach na myśl o tym, że mógłby zostać odesłany do kraju. Ziegler wahała się między tymi dwoma, przenosiła wzrok z jednej kartki na drugą, aż do chwili, gdy jej palec zatrzymał się na drugiej. Ten: idealny cel... Nazywał się Drissa Kanté.

Espérandieu słuchał *Use Somebody* w wykonaniu Kings of Leon na słuchawkach iPhone'a, wpatrując się w pole bitwy, które miał przed sobą. Trzej bracia Followillowie i ich kuzyn Matthew śpiewali *You know that I could use somebody/Someone like you*. Vincent odśpiewał te słowa, po czym posłał ciche złożenie Martinowi. Zastał chłopaków w trakcie instalowania dużego ekranu w sali zebrań i układania zgrzewek piwa w lodówce. Był pewien, że za niecałą godzinę wszystkie biura, jedno po drugim, opustoszeją. Chciałby dołączyć do imprezy, ale siedział uziemiony przed tonami dokumentów urzędowych i faksów, które podzielił na jak najmniejsze kupki. Było ich kilkadziesiąt.

Badania dotyczące przeszłości Elvise Konstandina Elmaza – który wciąż leżał w śpiączce w szpitalu – zajęły mu już cały poranek i połowę popołudnia. Odbił wirtualną podróż po urzędach skarbowych i przejrzał katalogi opieki społecznej, próbując odtworzyć zawodową drogę Elmaza – jeżeli Albańczyk kiedykolwiek wykonywał legalny zawód. Przejrzał rejestr dowodów rejestracyjnych i praw jazdy w Prefekturze Policji, zrekonstruował przebieg jego małżeństwa na podstawie stanu cywilnego (niewiarygodne: Elvis był żonaty od roku 2001 do 2002, ale jego małżeństwo przetrwało tylko osiem miesięcy!) i sprawdził, czy żyje jakieś jego potomstwo (nikogo takiego nie było, przynajmniej oficjalnie). Skontaktował się także z Funduszem Zasiłków Rodzinnych i skierował zapytanie do Ministerstwa Obrony, aby uzyskać informację o ewentualnym przebiegu jego służby wojskowej.

Wynik: Espérandieu miał przed sobą materiał bogaty, ale niespójny. Najgorsze z możliwych rozwiązań.

Westchnął. Gdyby powiedzieć, że wolałby być gdzie indziej, byłby to eufemizm. Odtwarzanie przebiegu życia Elvise Konstandina Elmaza było zajęciem beznadziejnym i skrajnie nieprzyjemnym. Elvis miał niemal doskonały profil recydywisty regularnie przechodzącego od pobyków w więzieniu do pobyków na wolności i z powrotem. Lista jego wyroków ukazywała osobowość skłoną do przemocy i zdecydowanie odpychającą. Handel, pobicia, kradzieże, napaści seksualne na młode kobiety, pozbawienie wolności, a także, dla dopełnienia obrazu, gwałt we własnym miejscu zamieszkania. Jak mówiła Samira – to cud, że nikogo nie zabił. Należało do tego dodać organizowanie walk psów, jeśli wziąć pod uwagę znaleziska dokonane w jego leśnej posiadłości. W zakładzie karnym w Seysses kilkakrotnie przebywał w karcerze. Podczas przerw między wyrokami był kierownikiem sex-shopu w Tuluzie przy rue Denfert-Rochereau, bramkarzem w znajdującym się kilkaset metrów dalej prywatnym klubie przy rue Maynard, kelnerem w kawiarni-restauracji przy rue Bayard dwieście metrów stamtąd, odwiedzającym prawie wszystkie podejrzane miejsca dzielnicy. Espérandieu nie znalazł żadnego śladu aktywności zawodowej, ale zaintrygował go pewien szczegół: oficjalnie „kariera” Elvise zaczęła się wraz z jego pierwszym wyrokiem, kiedy miał dwadzieścia dwa lata. Do tamtego czasu był na tyle sprytny, że udawało mu się uniknąć odpowiedzialności – policjant nie wierzył, żeby człowiek z takim CV był wcześniej przykładnym obywatelem. W geście rozpaczy otworzył ostatni dokument i przebiegał wzrokiem jego strony z przesadną nadzieją, że coś w tej pisaninie wreszcie przykuje jego uwagę.

A to nawet ciekawe, pomyślał, czytając ostatnią kartkę. Poczł charakterystyczne świerzbie.

Podnił słuchawkę, by zadzwonić do Martina. Na stronie, którą miał przed oczami, widniała nazwa Marsac. Co w tym jednak dziwnego, skoro Elvis dorastał w okolicy? Przed rozpoczęciem swojej mrocznej „kariery” Elvis Konstandin Elmaz był opiekunem w gimnazjum w Marsac.

SZCZURY

Servaz jechał wśród wzgórz. Sygnały zbliżającej się burzy były coraz liczniejsze: pejzaż zmienił kolor, był teraz szary i metaliczny, niebo pociemniało, a wśród skłębionych na horyzoncie chmur policjant dostrzegał dalekie błyskawice bez grzmotów. Zatrzymał się na chwilę w trawie na poboczu drogi, w samym sercu gęstego lasu, by przygotować się psychicznie. Oparty o karoserię, spokojnie palił papierosa, przypatrując się długiej prostej linii schodzącej z boczem naprzeciwko, która następnie wspinała się w jego stronę przecinką biegnącą przez środek lasu. Obserwował muchy i muszki, które zdawały się ulegać powszechnej ekscytacji. W oddali usłyszał nerwowe szczekanie psów. Dłonią przegnał gza rozdrażnionego panującą duchotą. Następnie znowu ruszył w drogę. W ciągu pięciu minut nie minął go ani jeden samochód. Serce Servaza biło ciężko, kiedy wysiadł z jeepa na końcu alei, na skraju polany. Od czasu, kiedy psiarnię opróżniono z jej mieszkańców, panowała tu cisza. Starał się nie myśleć o tej zbiorowej eutanazji. Pod burzowym niebem polana wydawała się jeszcze bardziej ponura. Wszedł na werandę po skrzypiących schodach, uniósł taśmę, którą żandarmeria odgrodziła miejsce zdarzenia i wytrychem otworzył drzwi. W środku rozejrzał się dokoła i włożył rękawiczki. Funkcjonariusze wydziału kryminalnego zajrzeli w każdy kąt, ale nie szukali niczego konkretnego. Czyżby coś pominęli? Servaz patrzył na panujący we wnętrzu chaos. Meble, podłoga, aneks kuchenny, brudne naczynia w zlewie, opakowania po pizzy i hamburgerach, pełne popielniczki i puste butelki po piwie: wszystko znajdowało się w takim stanie, w jakim było na początku, jednak obecnie pokryte było proszkami mineralnymi i organicznymi w różnych kolorach. Zastanawiał się, kto to posprząta. Przez otwarte drzwi jego uszu dobiegł huk grzmotu i Servaz usłyszał szelest liści na zewnątrz.

Powoli zaczął przeszukiwanie. Światło wpadające przez okna miało barwę gipsowej szarości i policjant miał wrażenie, jakby znajdował się na dnie oceanu. Zaświecił latarkę.

Rundka po parterze zajęła mu dobrą godzinę. W pokoju, podobnie jak w salonie, panował odpychający bałagan. Na niepościelonym łóżku poniewierała się skotłowana brudna bielizna i pudełka po grach wideo. W

powietrzu unosił się ten sam lekki zapach marihuany i woń rozkładu. Wszędzie kłębiły się muchy podniecone zbliżającą się burzą. Servaz przeszukał też łazienkę, nie zauważył w niej jednak niczego szczególnego poza jednorazowymi maszynkami do golenia, których ostrza były pełne zarostu, brudną rękawiczką, ogryzkiem szarego mydła, szczoteczką do zębów z zaschniętą pastą i apteczką świadczącą o uzależnieniu jej właściciela od wszelkiego rodzaju leków. Wnętrze kabiny prysznicowej było zielone od pleśni. W muszli klozetowej w kałuży moczu pływał papier toaletowy: najwyraźniej Elvis rzadko używał spłuczki. Servaz wrócił do wąskiego korytarzyka prowadzącego do połączonej z salonem kuchni. Zauważył klapę nad głową. Przyniósł krzesło, wszedł na nie i złapał za uchwyt. Klapa się otworzyła i oczom policjanta ukazała się metalowa drabina. Rozsunął ją.

Strych był nisko sklepiony: by tam wejść, Servaz musiał się pochylić. Przez lukarnę ze szklanych płytek wpadało skąpe światło. Elvis zgromadził tam odpady z wielu lat egzystencji: komputery i drukarki, ubrania filcujące się na wieszakach umieszczonych na metalowych rusztowaniach, kartony, pudełka, segregatory, zepsute odkurzacze, rolki tapet, konsole do gier, wideokasety z filmami porno. Na zakurzonych deskach Servaz zauważył wiele ścieżek wydeptanych przez szczury czy myszy. Szczury, podobnie jak mrówki, to zwierzęta funkcjonujące zgodnie z pewną rutyną: mają tendencję do poruszania się zawsze tymi samymi trasami, na których zostawiają ślady łapek, mocz i odchody. W jednej z szaf, pod zimowymi ubraniami i butami na po nartach, Servaz znalazł metalowe pudła. Przysunął je do siebie po podłodze, podniósł wieko pierwszego i przez chwilę miał wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Dziecko na plaży, bawiące się wiaderkiem i łopatką, w towarzystwie rodziców, to samo dziecko w plastikowym czerwonym samochodzie na pedały z żółtą kierownicą. Dziecko podobne do innych. Jeszcze nie potwór, jeszcze nie bandzior. Servaz był pewien, że to Elvis. Można go było rozpoznać po niektórych szczegółach, Jednak ten maluch miał buzię tak samo promienną, wesołą i niewinną jak inne dzieci. Lwiątko także wyglądają jak słodkie pluszaki, pomyślał.

Szperał dalej.

Zdjęcia nastoletniego Elvisa. Twarz bardziej ponura, chytra. Spojrzenie spode łba wymierzone prosto w obiektyw. Czy Servazowi się wydawało, czy nastąpiła jakaś zmiana? Coś się wydarzyło. Nie miał już przed sobą tego samego człowieka co przed chwilą.

Kobieta... Przytulona do Elvisa. Żona? Ta, która zażądała rozwodu? I którą – kiedy wygrała sprawę – Elvis pobił tak dotkliwie, że trafiła do szpitala? Na zdjęciu wygląda na szczęśliwą, ufną. Obejmuje swojego mężczyznę ramionami, ale podczas gdy ona wesoło spogląda w obiektyw, on patrzy gdzie indziej.

Inne zdjęcia nieznanymi osobom. Zamknął pudło. Rozejrzał się dookoła. W roztargnieniu rzucił okiem na ślady odchodów pozostawione przez szczury.

Ekipa śledczych przeczesła już ten strych, Servaz czytał ich raport. Szukali śladów, tropów tych, którzy napadli na Elvisa i nakarmili nim jego psy. A on, czego on szukał? Jego akurat interesowali nie napastnicy, ale sam Elvis.

Niech Servaz grzebie w przeszłości, napisał Albańczyk.

Niczego szczególnego tu nie widział. Zwyczajny strych. Przez kolejną godzinę poruszał niebo i ziemię, otwierając nawet pudełka od gier wideo i kaset z filmami porno i zastanawiając się, czy nie trzeba by ich przejrzeć na wszelki wypadek...

Zachowywał się jak szczur.

Jak te gryzonie, które zostawiły po sobie tę ścieżkę na podłodze, maszerując przez nią jak karawana przez pustynię.

Ścieżka...

W jednym miejscu się urywała, by zacząć się na nowo kawałek dalej. Servaz spojrział w górę i poczuł, jak w jego mózgu zapala się sygnał alarmowy. Podeszedł bliżej, przykłęknął. Pochylił się. W tym miejscu deski były mniej zwarte niż dookoła i warstwa kurzu była cieńsza. Servaz położył dłonie na dwóch luźniejszych deskach, próbując poruszyć je palcami. Szukał miejsca, za które mógłby złapać. Znalazł. Pociągnął. Dwie deski ustąpiły. Jego oczom ukazało się zagłębienie. Wnęka. W środku coś było. Servaz chwycił przedmiot i wyjął go z kryjówki.

Segregator.

Uniósł sztywną okładkę i zobaczył przezroczyście koszulki przypięte do grzbietu metalowymi pierścieniami. Z bijącym sercem zaczął je przewracać. Trafił na coś... Usiadłszy wygodniej na zakurzonej podłodze, przeglądał zdjęcia. Jedno po drugim.

DYWERSJA

Pilnują cię. Trzeba znaleźć jakiś sposób na wyjście stąd tak, żeby cię nie zauważyli.

Margot jeszcze raz przeczytała esemesa i wystukała trzy słowa:

Ale po co?

Nie musiała czekać na odpowiedź. Jej smartfon wydał z siebie charakterystyczny dźwięk harfy i dziewczyna dotknęła palcem wyświetlacza.

Zapomniałaś? To dziś wieczorem...

Co dziś wieczorem? – zastanawiała się. A potem nagle jej się przypomniało. Krag... wtedy na polance mówili o spotkaniu siedemnastego. Elias miał rację: właśnie był siedemnasty czerwca. Przecież dziedziniec uczelni przez cały dzień huczał od rozmów na temat meczu – podobno decydującego – który miał zostać rozegrany tego wieczoru: Francja-Meksyk. Cholera! Dała spokój z esemesami i wystukała jego numer.

– Cześć – odezwał się, całkowicie wyluzowany.

– Dobra, słucham cię: masz jakiś pomysł?

– Owszem.

– Dawaj.

Wyjaśnił jej. Margot przełknęła ślinę. Wcale jej się to nie podobało. Zwłaszcza kiedy pomyślała o tym czubku, który być może kręcił się po

okolicy. Ale Elias miał rację: to właśnie tego wieczoru coś miało się wydarzyć. Teraz albo nigdy.

– Okay – powiedziała. – Zbieram się.

Rozłączyła się, wstała i poszła po swoją najciemniejszą bluzę z kapturem i czarne spodnie, które poniewierały się gdzieś w szafie. Przejrzała się w lustrze, zaczerpnęła duży haust powietrza i wyszła z pokoju. Na korytarzu było tak cicho i ciemno, że przez chwilę miała pokusę, by zawrócić i przez telefon zakomunikować Eliasowi, że odpuszcza.

W takiej sytuacji, kochana, istnieje jedno rozwiązanie: nie myśleć. Żadnych pytań w stylu: „A gdyby tak?”, „A czy ja mam na to ochotę?”. Szybko!

Ruszyła ku klatce schodowej w swoich bezszelestnych trampkach, zeszła po szerokich stopniach, przesuując dłoń po kamiennej poręczy. Przez duży witraż widać było szarzejący dzień. Usłyszała daleki pomruk burzy. Gdy była na dole, zadzwoniła do Eliasasa.

– W porządku. Jestem gotowa.

– Nie ruszaj się. Dam ci znak. Nie wcześniej...

Elias, który przycisnął się w lesie naprzeciw Margot, obserwował Samirę Cheung przez lornetkę. Policjantka omiatała spojrzeniem budynek uczelni, najczęściej jednak patrzyła na okno Margot, które było otwarte. Dziewczyna zostawiła zapaloną nocną lampkę. Drzwi, przez które miała wyjść, znajdowały się dokładnie dwa piętra niżej i Samira na pewno by jej nie przeoczyła.

Elias włożył dwa palce do ust i wydał z siebie długi, ostry gwizd. Zobaczył, że policjantka od razu odwróciła głowę w jego stronę.

– Teraz – powiedział. – Dawaj!

Margot otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Od razu poczuła naelektryzowane powietrze, jakby zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Liście drżały, jerzyki fruwały we wszystkich kierunkach, podenerwowane nadciągającą burzą. Schyliła się, jak kazał jej Elias, i biegiem ruszyła wzdłuż muru, aż do rogu zachodniego skrzydła, po czym pobiegła w kierunku wejścia do labiryntu.

– Dobra – powiedział Elias do słuchawki. – Nie widziała cię. Margot zastanawiała się, czy rzeczywiście ją to pociesza. Była teraz na zewnątrz, odsłonięta – podczas gdy Vincent i Samira sądzili, że bezpiecznie siedzi w

pokoju. Burzowe niebo zarzuciło szary welon na labirynt z żywopłotów i całą resztę krajobrazu. Minutę później, gdy szła alejkami, Elias nagle wyrósł przed nią jak duch-żartowniś i serce podskoczyło jej do gardła.

– Jasny szlag, Elias! Nie mogłeś się odezwać?

– Aha. Żeby wyskoczyła na mnie twoja ochroniara? Nie chcę zostać zaatakowany przez laskę, która wygląda jak członkini rodziny Adamsów. Nie oglądasz meczu?

– Wal się.

– Dobra, idziemy! – Przystanął na chwilę. – A może to ich słynne zebranie jest po prostu z okazji meczu?

– Zdziwiłabym się – powiedziała, szturchając go. – Szybko!

GRZMOT

Uderzenie pioruna zatrzęsło konstrukcją dachu. Wciąż nie padało. Gdyby zaczęło, Servaz usłyszałby bębnienie kropel o dachówki. Podniósł oczy. Choć była dopiero osiemnasta, czerwcowy dzień się kończył i na strychu było coraz ciemniej.

Servaz wrócił do przeglądania zawartości segregatora.

Zdjęcia. Wykonane dobrym aparatem cyfrowym, a potem wydrukowane na papierze w formacie A4. Pieczołowicie zebrane i zabezpieczone w przezroczystych koszulkach. Bez nazw – tylko miejsca, daty i godziny. Wyobraźnia nie była najmocniejszą stroną fotografa. Prawie wszystkie zdjęcia zrobione były w lesie, pod tym samym kątem i przedstawiały ten sam lub prawie ten sam obiekt: dorosłego mężczyznę w opuszczonych spodniach, kopulującego w trawie, wśród krzaków. Kolejne zdjęcia niezmiennie ukazywały mężczyznę wstającego, a serię kończyło zawsze jedno lub kilka zbliżeń jego twarzy.

Przewracał stronicę. Zajęcie było tak monotonne, że Servaz o mało się nie uśmiechnął. Pozycje, jakie przyjmował fotografowany, również nie świadczyły o zbyt bujnej wyobraźni. Raczej o pilnej konieczności. Szybki numer. W lesie. A kuku! Uśmiechnijcie się, będziecie na zdjęciu. Servaz skupił się na partnerce: przynęta. Na większości zdjęć widział tylko jej nogi, ramiona i kosmyk włosów. Miał wrażenie, że jej blada skóra pokryta jest piegami, ale trudno było to dokładnie stwierdzić z powodu niskiej rozdzielczości zdjęcia. Założyłby się, że to za każdym razem ta sama dziewczyna. Wyglądała bardzo młodo, ale kąt, pod którym zrobiono zdjęcie, sprawiał, że i to trudno było określić. Czyżby nieletnia?

Servaz był już w połowie albumu i zdążył już naliczyć dziesięciu mężczyzn. Dawało to pewną liczbę podejrzanych i motywów. I ileś tam alibi do sprawdzenia. Ale jaki to miało związek z Claire Diemar? Jedno było pewne: Elvisowi nie wystarczało bycie dealerem, gwałcicielem, damskim bokserem i draniem, który każe swoim psom masakrować się nawzajem lub masakrować inne psy podczas okrutnych walk. Był także mistrzem szantażu. Reasumując, Elvis Konstandin Elmaz na swój sposób

miał szerokie spojrzenie. Wielki kawał drania. Prawdziwy hipermarket przestępczości w jednej osobie.

Servaz doszedł do przedostatniego zdjęcia i doznał szoku. Trzymał w ręku nic, której szukał. Na fotografii widać było twarz współpracownicy. Małolata. Nie więcej niż siedemnaście lat. Założyłby się, że to uczennica Marsac...

Twarz przedostatniej ofiary cyklu zdjęciowego widoczna była w dużym zbliżeniu. Na zewnątrz rozległ się huk grzmotu. Bliżej... Ale deszcz nadal nie padał. Servaz miał wrażenie, jakby ktoś klepał go po ramieniu i mówił: „Tym razem mamy”. Ale oczywiście na strychu nie było nikogo poza nim i prawdą.

Kiedy mężczyzna wyszedł z budynku po drugiej stronie ulicy, Ziegler rzuciła niedopałek na ziemię i zgmiotła go obcasem. Włożyła na głowę kask i dosiadła swojego suzuki. Drissa Kanté ruszył chodnikiem. Zaczekała, aż się trochę oddali i włączyła się do ruchu. Nie szedł daleko. Z boulevard Lascrosses skręcił na place Arnaud-Bernard. Ziegler powoli dojechała na plac i skierowała się w stronę wjazdu na parking, kątem oka wciąż obserwując swój cel. Zobaczyła, jak Drissa siada przy stoliku w ogródku baru Escalé. Wjechała na podziemny parking: w tej okolicy nie mogła zostawić motocykla bez nadzoru. Po trzech minutach znowu była na powietrzu.

Drissa Kanté rozmawiał z jakimś innym klientem. Ziegler zerknęła na zegarek, a następnie ruszyła w stronę kawiarnianego ogródka leżącego w bezpiecznej odległości od tego, w którym siedział mężczyzna. Jej kombinezon z czarnej skóry i blond włosy przyciągały spojrzenia wszystkich dealerów papierosów i trawy wypatrujących klienteli wśród narkomanów.

– Chcesz koksu, laluniu? – rzucił ktoś, gdy przechodziła. – Dziesięć gramów prima sort za loda.

Miała pokusę, by się odwrócić i wymierzyć mu cios prosto w twarz, ale to nie był dobry moment, żeby zwracać na siebie uwagę.

– Patrz!

Margot podniosła głowę. Stary ford fiesta wyjechał z alei przed liceum na drogę i ruszył w kierunku miasta. Samochód Davida... Minął ich. Na siedzeniu obok Davida zobaczyli Sarah, z tyłu Virginie. Elias zapalił silnik

i auto wolno ruszyło, rozgarniając maską krzewy, które zagradzały drogę i częściowo ich zasłaniały.

– Nie boisz się, że nas zauważą?

Spojrzał na nią rozbawiony.

– Cóż, istnieje pewne ryzyko. Nigdy wcześniej tego nie robiłem. Ale mnóstwo razy widziałem, jak robi to Clint Eastwood, myślisz, że to coś pomoże?

Wzruszyła ramionami. Uśmiechała się, ale w głębi duszy była skrajnie zdenerwowana.

– Nie sądzę, żeby się spodziewali, że są śledzeni – ciągnął uspokajającym tonem, jakby wyczuwał jej nerwowość. – I na pewno są o wiele bardziej zajęci dyskusją i rozmową na temat swojego słynnego spotkania.

– Kręgu...

– Kręgu – potwierdził. – Psiakrew, to brzmi jak nazwa jakiegoś tajnego stowarzyszenia, masonów, różokrzyżowców albo Skull and Bones. Masz jakiś pomysł, co by to mogło być?

– Zostawiłeś mi kartkę, na której napisałeś, że wiesz, co to jest.

– Nigdy tak nie napisałem, napisałem „odkryłem”.

– Jak to?

– Później ci wytłumaczę. – Zignorował jej pełne wściekłości spojrzenie. – Po raz kolejny jestem szczęśliwy, że futbol mnie nie kręci – powiedział, po czym skupił się na prowadzeniu. – Znasz tę praktykowaną przez Rzymian zabawę piłką, która nazywała się sferomachia?

– To jest motyl – odpowiedziała.

– Jak to?

– *Sphaeromachia gaumeri*. Jesteś pewien, że oni nie uważają? Zapomniałeś, że raz o mało nas nie nakryli w labiryncie? Wiedzą, że są obserwowani...

Spojrzał na nią pół żartem, pół serio, wzruszył ramionami i znowu skoncentrował się na drodze.

Servaz schodził po stopniach werandy. Powietrze było coraz cięższe. Przeszedł przez polanę. Jego jeep był zaparkowany nieco dalej. Szedł w

jego kierunku, kiedy nagle coś zauważył. Jakaś białą plamę w zaroślach po lewej stronie.

Zmienił kierunek i ruszył w tamtą stronę, rozgarniając chaszczę. Mały kawałek jasnej tektury na plastikowej tyczce wbitej w ziemię. Ktoś – zapewne któryś z techników kryminalistyki – napisał na nim „niedopałki”. Servaz zmarszczył brwi. Musieli zabrać pety do laboratorium. Tak jak te, które znalazł u Claire Diemar przy wejściu do lasu. Czy to ta sama osoba? Ktoś śledził Claire na krótko przed jej śmiercią. Czy ten ktoś robił to samo w tym miejscu? Świadek? A może morderca? Kto to był? Co tutaj robił? Skąd wiedział? Liczba niedopałków znalezionych u Claire mówiła o tym, ile czasu tam spędził. Wkrótce będą znali jego DNA. Ale Servaz wątpił, by ta osoba figurowała w policyjnym rejestrze.

Powoli wrócił do jeepa. Burza wciąż warczała daleko, wydawało się, że się waha, czy podejść bliżej. Servaz pomyślał o drapieżniku, który krąży wokół wiosek i którego wieczorem słychać w dżungli – o tygrysie, który czeka na stosowny moment, by przejść do ataku. Jechał powoli do końca alei, w zacienionym lesie skręcił w lewo, a kiedy znowu znalazł się na długiej, prostej drodze, ruszył w kierunku Marsac.

Ziegler z niepokojem przypominała sobie, że tego wieczoru ma się odbyć mecz. Nagle pomyślała, że może Drissa Kanté zamierza spędzić czas w Escale na oglądaniu mundialu, tak jak prawdopodobnie osiemdziesiąt procent mieszkańców Tuluzy, albo, co gorsza, że może chce zabrać kilkoro przyjaciół na mecz do siebie – ale zobaczyła, jak wstaje, ściska kilka rąk i odchodzi sam.

Już zapłaciła rachunek. Zaczekała minutę, po czym wstała, przeszła przez plac i wróciła na parking po swój motor, mijając konsumentów i dealerów, którzy patrzyli na nią z uznaniem.

Przejechali przez Marsac i kierowali się na południe. Pireneje. W oddali, na całej szerokości horyzontu, ponad niższymi wzgórzami, pod burzowym niebem, jak europejskie Himalaje, rozciągała się zaporą gór. Jechali podrzędnymi drogami przez wioski, biorąc zakręt za zakrętem. Elias starał się zachować bezpieczną odległość od tamtych trojga i jednocześnie nie stracić ich całkiem z oczu. Włączył GPS, by mieć wyobrażenie o znajdujących się przed nimi drogach i skrzyżowaniach. Wprowadził punkt docelowy, mniej więcej, na podstawie kierunku, w jakim jechali. Kiedy okazało się, że jadą bardziej na południowy zachód niż na południe,

przestawił GPS i jako tymczasowy punkt docelowy wpisał „Tarbes”. Podobnie jak zrobił wcześniej Servaz, kiedy urządzenie wskazywało, że na odcinku kilku kilometrów nie będzie skrzyżowania, pozwalał im się oddalić, a gdy zbliżało się rozgałęzienie, przyspieszał, by mieć ich na oku.

Siedząca obok Margot podziwiała zręczność, którą wykazywał się jako kierowca i jako śledczy. Na początku roku, za sprawą tej jego grzywki zasłaniającej połowę twarzy i wiecznie nieobecnej miny, miała go za łagodnego marzyciela. Elias tymczasem nie przestawał jej zadziwiać. Nigdy się specjalnie nie rozgadywał na temat swojej rodziny, braci i sióstr (sądziła jednak, że podobnie jak Lucie Elias ma ich wiele) i Margot zaczynała się zastanawiać, czemu chłopak zawdzięcza tak wiele talentów.

Talentów, tak... Na przykład wtedy, kiedy wyjął z kieszeni klucz i otworzył nim drzwi, których nie powinien był otwierać. Albo kiedy zostawił kartkę w jej szafce.

– Nie wiem, jak ci się udało otworzyć moją szafkę, ale zabraniam ci robić tego drugi raz – powiedziała stanowczo.

– Przyjąłem do wiadomości – odparł, ale jego czysto dyplomatyczny ton wskazywał, że powtórzy tę sztuczkę przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Wiesz, że jesteś dziwnym facetem?

– W twoich ustach jest to, jak się domyślam, komplement.

– Skąd wzięłeś klucz do tamtych drzwi wtedy, w nocy? – zapytała nagle.

Na chwilę oderwał wzrok od drogi.

– A jakie to ma znaczenie?

– Ile my się już znamy, ile ze sobą gadamy? Sześć miesięcy? Jakoś tak? A ja mam wrażenie, że im dłużej cię znam, tym mniej o tobie wiem.

Uśmiechnął się przewrotnie, spoglądając na drogę i na słońce, które rozbłyskiwało pod niskim sklepieniem chmur.

– Mógłbym ci odpłacić takim samym komplementem.

– Masz dużo rodzeństwa, to dlatego?

– Trzy siostry i brata.

– O co tu chodzi? Robisz z siebie marzyciela, outsidera, zatopionego w książkach i we własnych fantazjach, a na koniec okazujesz się prawdziwym detektywem, pieprzonym Jamesem Bondem.

Tym razem zaśmiał się szczerze.

– Elias, gdzie ty się tego wszystkiego nauczyłeś?

Jego uśmiech zniknął.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– No.

Pokręcił głową.

– Nie, nie sędzę.

– Ależ tak!

– Miałem dziewięć lat – zaczął.

Margot wstrzymała oddech, czekając na dalszy ciąg. Zauważyła, że chłopak nagle bardzo spoważniał.

– Należałem do grupy, która się nazywała Uważni. Założył ją mój starszy brat. Byłem najmłodszy w tej drużynie, wszyscy inni byli duzi, w jego wieku. Naszym celem było nauczyć się radzić sobie samemu i przeżyć w każdych warunkach. Uważaliśmy się za pieprzonych Robinsonów, rozumiesz. Szliśmy w plener, budowaliśmy szałas, łaziliśmy wszędzie, obserwowaliśmy i zdobywaliśmy różne umiejętności. Mój brat uczył mnie w tym czasie mnóstwa rzeczy: jak posługiwać się kompasem, jak się orientować w terenie, jak naprawić motorower, nalać benzynę, zastawiać pułapki. Powtarzał: „Elias, musisz umieć być samowystarczalny, nie zawsze będę przy tobie, żeby ci pomóc”. Czasem graliśmy w piłkę albo w rugby, bawiliśmy się w podchody, w poszukiwaczy skarbu.

Kiedy padało, zamykaliśmy się w garażu jednego z chłopaków. Jego rodzice nigdy nie wstawiali tam samochodu, to była prawdziwa graciarnia: zdezelowane fotele, części silnika wysmarowane olejem, różne popsute sprzęty, których nie chciało im się wyrzucić. Pozwalali nam tam robić, na co mieliśmy ochotę. No więc rozkładaliśmy cały ten bajzel dookoła siebie i wyobrażaliśmy sobie, że jest druga wojna światowa, a my siedzimy w bombowcu, który leci nad Europą, albo w łodzi podwodnej na dnie oceanu, te sprawy... Oczywiście mój brat zawsze stał na czele, to on był pierwszym pilotem bombowca, kapitanem okrętu podwodnego, szefem wyprawy w kosmos. Mój brachol uwielbiał wydawać rozkazy.

Margot zobaczyła nagle samą siebie w wieku jedenastu lat, w swoim pokoju w mieszkaniu ojca, gdzie sypiała co drugi weekend. Lubiła ten pokój, bo tam mogła chodzić spać później niż w domu i nie miała żadnych obowiązków. Było już późno, przynajmniej jak na jedenastoletnią

dziewczynkę. Ojciec czytał jej *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* i kiedy zamknęła oczy, znajdowała się już nie w maleńkiej klitce o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych, ale na dnie oceanu, na pokładzie *Nautilusa*.

– Jaki był twój brat?

Zobaczyła, że Elias się waha.

– Jak to starszy brat: opiekuńczy, sympatyczny, wkurzający, genialny...

– I co się z nim stało?

– Zginął.

– Jak?

– Najgłępszą śmiercią na świecie. Wypadek na motorze, a potem zakażenie w szpitalu. Tędy do wyjścia. Miał dwadzieścia dwa lata.

– Nie był stary, co?

– Nie.

– Dobra – powiedziała. – Koniec przesłuchania.

– Drissa Kanté?

Odwrócił się. Przez chwilę stał jak sparaliżowany, wpatrując się w zakutane w czarną skórę, botki i kask zjawisko, które stało naprzeciwko niego w samym środku holu. Przez głowę przemknęło mu absurdalne skojarzenie z filmem science fiction. W lustrzanej szybcie kasku widział odbicie własnej twarzy z wytrzeszczonymi oczami. Po czym zjawisko podsunęło mu pod nos odznakę, która sprawiła, że jego kręgosłup przeszył lodowaty dreszcz.

– Tak, to ja – odpowiedział, słysząc we własnym głosie okropne poczucie winy.

– Możemy porozmawiać?

Zjawisko zdjęło kask i jego oczom ukazała się piękna twarz w koronie blond włosów. Spoczywające na nim surowe spojrzenie nie dodało mu jednak otuchy.

– Tutaj?

– U pana, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Mieszka pan sam? Na którym piętrze?

Przełknął ślinę.

– Na dziewiątym.

– No to chodźmy – powiedziała zdecydowanie Ziegler, wskazując na drzwi windy.

W kabinie, równie wiekowej jak hol, Drissa patrzył prosto przed siebie, unikając spoglądania w kierunku sąsiadki. Nie odezwał się ani słowem. Kobieta ubrana w czarną skórę była równie milcząca. Czuł jednak, że nie spuszcza go z oczu. Z każdą sekundą stawał się bardziej nerwowy. Wiedział, że ma to związek z tym, na co się ostatnio zgodził. Powinien był odmówić. Od początku wiedział, że to zły pomysł, ale nie miał już możliwości, żeby się wycofać, ani odwagi, by odmówić.

– Czego pani ode mnie chce? – rzucił wreszcie hardo, gdy wychodzili z windy. – Spieszę się. Jestem umówiony z przyjaciółmi na oglądanie meczu.

– Już niedługo się pan dowie. Zrobił pan coś bardzo głupiego, panie Kanté. Coś cholernie głupiego. Ale być może jeszcze nie wszystko stracone. Przyszłam, żeby dać panu szansę wywinięcia się z tego. Jedyłą szansę.

Szansę... – to słowo odbijało się echem w jego głowie.

Dokąd oni, u diabła, jadą? Elias i Margot przez chwilę sądzili, że David i dziewczyny kierują się na zachód, ale nagle skrzyżowali się na południe w stronę Pirenejów Środkowych, w drogę biegnącą na granicy dwóch departamentów: Haute-Garonne i Hautes-Pyrénées. Opuścili już równinę i pagórki i obecnie wjeżdżali do szerokiej na kilka kilometrów doliny, otoczonej wysokimi górami, jakkolwiek najbardziej strzeliste szczyty tego łańcucha były jeszcze przed nimi i usianej wioskami połączonymi ze sobą jak paciorki różańca. Margot zaczynała się zastanawiać, czy tamci w końcu ich nie zauważą. Jechali za ffordem fiestą od dobrych stu kilometrów.

Ale burzowa aura, coraz bardziej ponura wraz z nadchodzącym wieczorem, dawała im przewagę: we wstecznym lusterku nic bardziej nie przypomina pary samochodowych świateł niż inna para samochodowych świateł.

Ciężkie chmury wisiały nad doliną jak kowadła, a światło przybrało niesamowitą, a zarazem niepokojącą zielonkawą barwę.

Krajobraz wydawał się Margot jednocześnie piękny, niezwykle, majestatyczny i nieprzyjazny. Elias zaś był całkowicie zaabsorbowany tym, co się działo przed nim. Przejechali przez wioskę z ciasno przylegającymi do siebie domami, przycupniętą u zbiegu dwóch wartkich potoków, nad którymi przerzucono dwa monumentalne mosty. Margot zauważyła kilka francuskich flag na balkonach i jedną portugalską. Urwiste szczyty w głębi doliny, ku którym się kierowali, wgryzały się w niebo jak monstrualna szczeka. Dziewczyna coraz intensywniej się zastanawiała, jaki jest cel ich podróży. Jeśli wjadą w te góry, trudno im będzie nie zwrócić na siebie uwagi tamtych. Z pewnością przy takiej pogodzie będzie tam niewiele samochodów. Za pierwszym lepszym zakosem David, Sarah i Virginie dostrzegą jadącego poniżej saaba należącego do Eliasa.

– Kurwa, dokąd oni jadą? – odezwał się chłopak, wtórując jak echo jej myślom.

– Na tej drodze jeszcze jest jakiś ruch. Ale jeśli skręcą w mniejszą, nie uda się za nimi jechać tak, żeby nas nie zauważyli.

Elias uspokajająco puścił do niej oko.

– Wszystkie albo prawie wszystkie drogi, które wyjeżdżają poza tę dolinę, są ślepe. Jeśli tam skręcą, puścimy ich przodem, odczekamy chwilę i dopiero potem pojedziemy za nimi. W ten sposób nie nabiorą podejrzeń.

Jak on to robi, że zachowuje zimną krew? Błefuje, pomyślała. Umiera ze strachu tak samo jak ja, tylko zgrywa twardziela. Zaczęła żałować, że dała się w to wciągnąć. Kiepsko to widzę, kochana.

Mieszkanie Drissy Kantégo było maleńkie, ale bardzo kolorowe. Ta feeria barw na ścianach – czerwony, żółty, pomarańczowy, niebieski – o mało jej nie oślepiła. Tkaniny, obrazy, rysunki, przedmioty... W mieszkaniu panował radosny nieład, tak że miała trudność z utorowaniem sobie drogi do sofy przykrytej narzutą w geometryczne wzory w kolorach khaki i indygo.

Najwyraźniej Drissa Kanté postarał się, by przenieść odrobinę swojego kraju na tę niewielką przestrzeń. Nie wiedziała, że zanim znalazł to lokum, mieszkał w czteroosobowych pokojach o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, a nawet pod namiotem. Siedział na krześle

naprzeciwko niej. Nie ruszał się. Patrzył na nią. Widziała lęk w jego spojrzeniu. Opowiedział jej ze szczegółami o spotkaniach z „grubym człowiekiem o tłustych włosach”. Wysłuchała go z uwagą i wywnioskowała, że tłuszczoch jest detektywem. Nie była zaskoczona. W ostatnich latach biura detektywistyczne mnożyły się w świecie, w którym gospodarka coraz bardziej zaczynała przypominać wojnę, tak że z ich usług korzystali nawet znani i bogaci przedsiębiorcy. Adwokaci reprezentujący drobnych posiadaczy, inwigilowani w prywatnym życiu, członkowie Greenpeace będący ofiarami szpiegostwa informatycznego, osobistości ze świata polityki, których mieszkania „odwiedzano”: uciekanie się do pomocy tych biur stało się praktyką, codzienną, ugruntowaną i powszechną, mimo medialnego larum wywołanego skargami ofiar i wysiłków niektórych sędziów, by w całym tym zamieszaniu zaprowadzić jakiś porządek.

Wynik: coraz więcej biur detektywistycznych i agencji ochrony proponowało swoje usługi klientom – w większości przedsiębiorstwom przemysłowym, ale nie tylko. Irène wiedziała, że w poszukiwaniu pewnych wrażliwych informacji biura te korzystają także z pomocy niektórych spośród jej kolegów, którzy nie przebierają w środkach, byleby dobrze zamknąć miesiąc: żandarmów, wojskowych, byłych członków wywiadu. Drissa Kanté był tylko jednym spośród setek pionków wykorzystywanych przez takie biura. W rzeczywistości miała gdzieś misje, jakie Malijczyk wykonywał dla tego faceta. Interesował ją sam facet.

– Bardzo mi przykro – powiedział. – To wszystko, co wiem na jego temat.

Podał jej rysunek, który właśnie wykonał. Miał dobrą kreskę. Portret lepszy niż wszystkie szkice wykonywane przez roboty.

Podniosła na niego oczy. Drissa Kanté pocił się wielkimi kroplami. Pot znaczył na jego ciemnej skórze ślady, które połyskiwały w blasku lampy. Jego oczy o rozszerzonych źrenicach lśniły strachem i oczekiwaniem.

– A zatem żadnego nazwiska, pseudonimu, imienia?

– Nie.

– A ten pendrive? Ma go pan jeszcze?

– Nie, oddałem.

– Okay. Niech pan spróbuje sobie przypomnieć jeszcze jakieś szczegóły. Metr dziewięćdziesiąt, sto trzydzieści kilogramów, czarne, tłuste włosy, ciemne okulary. Co jeszcze?

Zawahał się.

– Dużo się poci. Zawsze ma mokre plamy pod pachami.

Spojrzał na nią, szukając jakiejś oznaki aprobaty. Ziegler skinęła głową, by go zachęcić.

– Pije piwo.

– Co jeszcze?

Wyjął chusteczkę, by obetrzeć pot z twarzy.

– Akcent.

Uniosła jedną brew.

– Jaki akcent? Zawahał się.

– Sycylijski albo włoski.

– Jest pan pewien? Znowu się zawahał.

– Tak, mówi jak ten Mario z gry.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu. Zapisała w notesie: Super Mario? Sycylijszyk? Włoch?

– To wszystko?

– Mhm.

W jego oczach znowu pojawił się strach.

– To nie wystarczy, prawda?

– Zobaczymy.

Teraz Espérandieu ich słyszał. O dwoje drzwi dalej. Rozmawiali, śmiali się i prognozowali wynik. Słyszał nawet głosy sprawozdawców, którzy zapowiadali skład drużyny, przekrzykując hałas, jaki robili kibice na stadionie, i buczenie wuwuzeli. A także odgłosy stukających o siebie butelek z piwem. Psiakrew!

Zamknął teczkę. Jutro dokończy tę robotę. To może równie dobrze poczekać kilka godzin. Chciał się napić zimnego piwa i posłuchać

hymnów. To był jego ulubiony moment. Już się podnosił, kiedy na jego biurku zadzwonił telefon.

– Mamy wynik porównania grafologicznego – poinformował jakiś głos.

Usiadł z powrotem. Zeszyt na biurku Claire. I notatki na marginesach wypracowania Margot... Pocieszył się, że nie tylko on pracuje tego wieczoru.

Servaz zaparkował na spokojnej ulicy. Wszystkie okna domu były ciemne. Przez otwarte okno wpadało chłodne powietrze, przynosząc zapach kwiatów. Zapalił papierosa i czekał. Dwie godziny później czerwony spider minął go w ciszy. Na szczycie jednego z kamiennych filarów zaczęła migotać lampka, rzucając na chodnik pomarańczowe światło. Brama otworzyła się powoli. Samochód zniknął w środku.

Servaz odczekał, aż w oknach zapala się światła, po czym wysiadł z jeepa. Niespiesznie i niemal bezgłośnie przeszedł na drugą stronę opustoszałej ulicy. Obok bramy, po drugiej stronie filara znajdowała się niewielka furтка, która otworzyła się cicho, gdy przekręcił kłamkę. Kiedy szedł ścieżką w kształcie litery S między klombami, sosną i wierzbą, słyszał jedynie szum własnej krwi w klatce piersiowej. O tej porze drzewa były tylko skupiskami cienia, zatrzymującymi światło ulicznych latarni. Olbrzymia jodła wznosiła się niczym jakiś totem, strażnik tego miejsca. Servaz pokonał trzy betonowe stopnie i znalazł się na podwyższonym tarasie otoczonym kwiatami. Chwilami słyszał odległy dźwięk telewizora dochodzący z któregoś z sąsiednich domów. Komentarze sprawozdawców i wrzaski rozentuzjasmowanego tłumu. Mecz, pomyślał. Zadzwonił do drzwi. Usłyszał wewnątrz echo gongu. Zaczekał chwilę. Potem, choć nie słyszał zbliżających się kroków, drzwi się otworzyły. O mało nie podskoczył na nagły dźwięk głosu Van Ackera.

– Martin?

– Przeszkadzam?

– Nie, wejdz.

Francis ruszył przodem. Miał na sobie satynowy szlafrok przewiązany w pasie. Servaz był ciekaw, czy pod spodem Van Acker jest nagi.

Rozejrzał się dookoła. W środku było zupełnie inaczej niż na zewnątrz. Wszystko tu było nowoczesne. Wypucowane. Puste. Szare ściany niemal pozbawione obrazów, jasna podłoga, nieliczne meble wykonane z chromowanej stali i drewna. Rządki halogenów na suficie.

Stosy książek na schodach. Przeszklone drzwi na werandę były otwarte i z zewnątrz dochodziły odgłosy z sąsiedztwa – uspokajająca oznaka normalności, zwykłego życia, głosy bawiących się dzieci, szczekanie psów i ten sam co poprzednio dźwięk telewizora. Letni wieczór... Na zasadzie kontrastu cisza i pustka panujące w tym domu wydawały się jeszcze bardziej przytłaczające. Przemawiały językiem osamotnienia. Językiem życia nakierowanego wyłącznie na siebie. Servaz zrozumiał, że od dawna nikt tu nie przychodził. Francis Van Acker musiał zauważyć jego dyskomfort, bo włączył telewizor, ściszył głos i wsunął płytę do miniwieży.

– Chcesz się czegoś napić?

– Kawy. Mocnej, z cukrem. Dzięki.

– Siadaj.

Servaz opadł na jedną z sof w kącie przy telewizorze. Po kilku sekundach rozpoznał muzykę, która wypełniła pomieszczenie. *Nokturn cis-moll*. W utworze pełnym niskich tonów dało się wyczuć napięcie. Servaz poczuł ciarki wzdłuż kręgosłupa.

Francis wrócił z tacą. Odsunął leżące na ławie książki o sztuce i postawił na blacie filiżanki z kawą. Delikatnie pchnął cukierniczkę w stronę Martina. Servaz zauważył zadrapanie między jego szyją a ramieniem. Przez ekran telewizora fuli HD przedelfilowały nieme reklamy, po czym policjant zobaczył reprezentację Francji, wchodzącą na boisko na drugą połowę meczu.

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – Gospodarz podniósł głos, by przekrzyczeć muzykę.

– Nie mógłbyś tego trochę ściszyć? – rzucił Servaz.

– To, jak powiedziałaś, nazywa się Chopin. Nie, nie mógłbym. Lubie tak. A więc?

– Potrzebuję twojej opinii! – zawołał Servaz.

Van Acker, który siedział na szerokim podłokietniku, skrzyżował nogi. Podniósł filiżankę do ust. Servaz odwrócił wzrok od jego nagich stóp i łydek szczupłych jak u kolarza. Francis patrzył na niego zamyślony.

– W jakiej kwestii?

– Śledztwa.

– Do czego doszliście?

– Do niczego. Nasz główny podejrzany to nie ten, o którego chodzi.

– Trudno mi będzie ci pomóc, jeśli nic więcej nie powiesz.

– Powiedzmy, że bardziej potrzebuję twojej opinii na poziomie teoretycznym, ogólnym, niż praktycznym.

– Mhm. Słucham cię.

Przez umysł Servaza przemknął obraz czerwonego alfa romeo spidera, wyjeżdżającego z ogrodu Marianne o trzeciej nad ranem. Przegnał go czym prędzej. Hipnotyzujące dźwięki fortepianu bombardowały pokój. Otrząsnął się i próbował odzyskać jasność umysłu. Zaczerpnął powietrza.

– Co sądzisz o mordercy, który próbuje nam zasugerować, że w okolicy krąży inny, seryjny zabójca, by zrzucić na niego odpowiedzialność za własne zbrodnie? Wysłała e-maile do policji. Przebiera się za motocyklistę i mówi z obcym akcentem do kasjera na stacji benzynowej. Wsuwa płytę CD do odtwarzacza ofiary. Wszędzie upuszcza małe kamyki, jak Tomcio Paluch. Sugeruje nawet, że istnieje pewna... szczególna łączność między detektywem a zabójcą, podczas gdy motyw jego morderstw jest ściśle określony.

– Na przykład jaki?

– Typowy: gniew, zemsta albo potrzeba uciszenia kogoś, kto go szantażuje i grozi, że zrujnuje jego reputację, karierę i całe życie.

– Po co miałyby to robić?

– Już ci powiedziałem, żeby nas skierować na fałszywy trop. Żebyśmy uwierzyli, że sprawcą jest kto inny.

Zobaczył błysk w oku przyjaciela i cień uśmiechu na jego twarzy. Muzyka przyspieszyła. Dźwięki przebiegały przez pokój, frenetycznie skandowane i wystukiwane na klawiaturze przez pianistę.

– Masz na myśli kogoś konkretnego?

– Być może.

– Tym niewłaściwym podejrzanym jest Hugo?

– To nieistotne. Ciekawy jest natomiast fakt, że ten, kto chciał zrzucić na niego winę, bardzo dobrze zna Marsac, jego zwyczaje i kulisy. I zna się na literaturze.

– Naprawdę?

– Na biurku Claire w nowym zeszycie zostawił jedno zdanie. Cytat z Victora Hugo, mówiący o nieprzyjacielu. Chciał, żebyśmy uwierzyli, że

napisała to Claire. Ale to nie ona... To nie jej pismo, grafolog stwierdził jednoznacznie.

– Ciekawe. Sądziś więc, że to jakiś nauczyciel, ktoś z personelu albo któryś z uczniów, tak?

– Właśnie.

Van Acker wstał. Przeszedł za bufet i pochylił się nad zlewem, by umyć filiżankę, odwrócony do niego plecami.

– Znam cię, Martin. Wiem, co oznacza u ciebie ten ton. Miałeś go już w Marsac, kiedy byłeś bliski jakiegoś rozwiązania. Masz innego podejrzanego, jestem pewien. Podziel się.

– Tak... Mam.

Van Acker odwrócił się do niego i otworzył szufladę za bufetem. Wyglądał na spokojnego, zrelaksowanego.

– Nauczyciel, członek personelu czy uczeń?

– Nauczyciel.

Schowany do pasa za ladą Francis wciąż wpatrywał się w niego nieobecny spojrzeniem. Servaz zastanawiał się, co robi z rękami. Wstał. Podeszedł do jednej ze ścian. Na jej środku wisiał jeden, jedyny obraz dużych rozmiarów. Przedstawiał orła cesarskiego przechylającego się przez oparcie czerwonego fotela. Złote odblaski na piórach fascynującego ptaka wyglądały jak szata pychy. Jego ostry dziób i przenikliwe oczy patrzące na Servaza wyrażały siłę i brak jakichkolwiek wątpliwości. Przepiękne, ujmująco realistyczne płótno.

– To ktoś, kto sądzi, że jest podobny do tego orła – skomentował. – Pyszny, silny, przekonany o własnej wyższości i mocy.

Van Acker za jego plecami poruszył się. Servaz usłyszał, jak okraża bufet. Poczuł napięcie w barkach i plecach. Czuł za sobą obecność przyjaciela.

– Mówiłeś o tym komuś?

– Jeszcze nie.

Servaz wiedział: teraz albo nigdy. Obraz pokrywała gruba warstwa werniksu i policjant zobaczył w niej, na lśniących piórach orła, odbicie Francisa, który szedł nie w jego kierunku, ale w bok. Muzyka zwolniła, a potem umilkła. Van Acker musiał wyłączyć urządzenie pilotem, bo zapanowała cisza.

– Może byś dokończył swoje rozumowanie, Martin?

– Co robiłeś z Sarah w wąwozie? O czym rozmawialiście?

– Śledziłeś mnie?

– Proszę, odpowiedz na moje pytanie.

– No nie, w tym miejscu wyobraźnia cię zawodzi? Na Boga, wróć do klasyków: *Czerwone i czarne*, *Opętanie*, *Lolita*... Rozumiesz? Wykładowca i studentka, oklepany motyw.

– Masz mnie za idiotę? Nawet się nie całowaliście.

– O, byłeś aż tak blisko? Przyjechała, żeby mnie poinformować, że to koniec, że daje sobie z tym spokój. Taki był cel naszej nocnej schadzki. Coś ty tam robił, Martin?

– Dlaczego cię zostawia?

– Nic ci, kurwa, do tego.

– Kupujesz towar u dealera o ksywce Heisenberg – powiedział Servaz.

– Od jak dawna ćpasz?

Zapadło zbyt długie milczenie. Policjant czuł na barkach jego ciężar.

– Kurwa, to także nie powinno cię obchodzić.

– Tyle tylko, że Hugo też był naćpany tamtego wieczoru. Został odurzony i przewieziony na miejsce zbrodni przez kogoś, kto prawdopodobnie w tym samym czasie co on był w Dublinersach. I kto dodał czegoś do jego piwa. W piątek wieczorem było tam dość ciasno, prawda? Więc raczej nie było to trudne. Dzwoniłem do Aodhágána. Byłeś w pubie w czasie meczu.

– Podobnie jak połowa wykładowców i studentów Marsac.

– Znalazłem też jedno zdjęcie u Elvisa Elmaza, tego faceta, którego rzucono na pożarcie jego własnym psom. Na pewno o tym słyszałeś. Na zdjęciu jesteś z gołym tyłkiem, z dziewczyną, która ewidentnie jest nieletnia. Założę się, że ona także chodzi do liceum. Co by się stało, gdyby dowiedzieli się o tym inni nauczyciele i rodzice uczniów?

Wydawało mu się, że słyszy, jak Francis po coś sięga. Zobaczył, że jego ręka się poruszyła.

– Mów dalej.

– Claire wiedziała, prawda? O tym, że sypiasz z uczennicami. Groziła ci, że to zgłosi.

– Nie. O niczym nie wiedziała. Przynajmniej nigdy mi o tym nie mówiła.

Odbicie na werniksie powoli się przesuwało.

– Wiedziałeś, że Claire ma romans z Hugonem. Pomyślałeś, że będzie idealnym sprawcą. Młody, błyskotliwy, zazdrosny, nerwowy, a do tego ćpun...

– Taki sam ćpun jak i jego matka – uzupełnił Francis za jego plecami.

Servaz drgnął.

– Co?

– Nie mów, że niczego nie zauważyłeś. Oj, Martin, Martin. Rzeczywiście się nie zmieniłeś. Wciąż tak samo ślepy. Po śmierci Bokhy Marianne uzależniła się od pewnych substancji. Ona też grzeje.

Servaz oczyma duszy zobaczył Marianne tamtej nocy, kiedy się kochali: jej dziwne spojrzenie, chaotyczne zachowanie. Wiedział, że nie powinien teraz pozwolić się rozproszyć. O to właśnie chodziło człowiekowi za jego plecami.

– Nie mogę za tobą nadażyć. – Servaz usłyszał głos Francisza, nie umiał jednak dokładnie określić kierunku, z którego dochodził. – Czy próbowałem sugerować, że to Hirtmann jest winny czy Hugo? Twoja... teoria jest jakaś niejasna.

– Elvis cię szantażował, prawda?

– Prawda.

Znowu wyczuł drobny ruch za plecami.

– Zapłaciłem mu. I zostawił mnie w spokoju.

– Naprawdę chcesz, żebym to kupił?

– Ale tak było.

– Elvis to nie jest typ gościa, który się pozbywa dojenej krowy.

– Chyba że któregoś dnia znajdzie w klatce swojego ulubionego psa z podciętym gardłem i karteczkę: „Następnym razem twoja kolej”.

– Ty to zrobiłeś?

– A czy ja coś takiego powiedziałem? Są ludzie, którzy mają prawdziwy talent do tych rzeczy, choć ceny mają nieco... wygórowane. Ale

to nie ja ich zatrudniłem. Zrobiła to inna ofiara. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że w Marsac mieszka pełno ważnych ludzi. I bogatych. Po tym zdarzeniu Elvis zakończył działalność szantażysty. Psiakrew, Martin. Policja! Co za bagno! A miałeś taki talent...

Servaz zobaczył, że w werniksie obrazu znowu pojawiło się odbicie Francisa. Mężczyzna zrobił krok w jego kierunku i zatrzymał się. W żyłach policjanta buzowała adrenalina – mieszanka paniki i podniecenia. Miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi.

– Pamiętasz tamto opowiadanie? Pierwsze, które dałeś mi do przeczytania. Miało tytuł „Jajo”. To było... To było coś... naprawdę wspaniałego. – W głosie Francisa usłyszał autentyczne drżenie. – Klejnot. Na tych stronach było wszystko... W s z y s t k o. Czułość, delikatność, drapieżność, impertynencja, witalność, styl, przesada, intelekt, emocje, powaga i lekkość. Można by pomyśleć, że to tekst napisany przez autora, który osiągnął szczyt artystycznego rozwoju, a ty miałeś dopiero dwadzieścia lat! Zostawiłem sobie te kartki. Ale nigdy nie miałem odwagi, żeby przeczytać je po raz drugi. Ryczałem, kiedy to czytałem, Martin. Przysięgam ci: chlapałem w łóżku, trzymałem twoje kartki, trzęsła mi się ręka, a ja wyłem z zazdrości, przeklinałem Boga, bo wybrał ciebie, naiwne-go i sentymentalnego dupka. Rozumiesz, trochę jak w tych gadkach o Mozarcie i Salierim. Ty z tym swoim wyrazem grzecznego roztargnienia na twarzy, miałeś wszystko: miałeś talent i miałeś Marianne. Bóg to straszna świnią, kiedy już zaczyna działać, nie sądzisz? Wie, gdzie nacisnąć, żeby zabolalo. No więc tak, postanowiłem odebrać ci Marianne, bo wiedziałem, że nigdy nie będę miał twojego pieprzonego talentu. A wiedziałem, jak się do tego zabrać. To było łatwe. Zrobiłeś wszystko, żeby ktoś ci ją odebrał.

Servaz miał wrażenie, że pokój wiruje wokół niego, że jakaś ogromna pięść ściska jego klatkę piersiową gotową w każdej chwili eksplodować. Za wszelką cenę musi zachować kontrolę, to nie jest właściwy moment, by ulegać emocjom. Francis tylko na to czeka.

– Martin, Martin... – odezwał się Van Acker za jego plecami.

Na dźwięk słodkiego, smutnego i ostatecznego tonu jego głosu Servaza przebiegł dreszcz.

W jego kieszeni zabręczał telefon. Nie teraz! Odbicie stojącego za nim mężczyzny znowu się poruszyło. Komórka wibrowała natarczywie. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon, kątem oka wciąż obserwując odbicie w werniksie.

– Servaz!

– Co się dzieje? – zapytał zaniepokojony Vincent, który wyczuł napięcie w jego głosie.

– Nic. Słucham cię.

– Mamy wynik porównania grafologicznego.

– I...?

– Jeśli to Van Acker zrobił notatki na marginesie wypracowania Margot, to pismo w tamtym zeszycie nie jest jego.

Margot i Elias, zaparkowawszy na poboczu, obserwowali wąską drogę, w którą skręcili Sarah, David i Virginie. Odchodziła po drugiej stronie głównej szosy i natychmiast wspinała się pod górę. Stała przy niej tablica: ZAPORA NÉOUVIELLE, 7 KM. Przez otwarte okno Margot słyszała szum rzeki, która płynęła tuż obok, poniżej drogi.

– Co robimy? – zapytała.

– Czekamy.

– Jak długo? Spojrzał na zegarek.

– Pięć minut.

– Ta droga jest ślepa?

– Nie. Prowadzi do innej doliny przez przełęcz, która leży na wysokości tysiąca ośmiuset metrów. A wcześniej przejeżdża przez zapórę Néouvielle i biegnie wzdłuż jeziora o tej samej nazwie.

– Możemy ich zgubić.

– Istnieje pewne ryzyko.

– Myślałeś, że to ja.

Francis wypowiedział to zdanie bez emocji. Servaz popatrywał na butelkę w jego ręku. Złotawy napój. Whisky. Piękna szklana karafka. Ciężka... Czyżby zamierzał jej użyć? W drugiej ręce Van Acker trzymał szklanekę. Napełnił ją do połowy. Jego dłoń zadrżała. Następnie wzrok mężczyzny spoczął na Servazie. Pełen bólu i pogardy.

– Idź stąd.

Servaz się nie ruszył.

– Mówię ci, spieprzaj. Wynoś się! Dlaczego ja właściwie jestem zaskoczony? W końcu jesteś tylko gliną.

Tak jest, pomyślał Servaz. Tak jest, jestem gliną. Ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Kładąc dłoń na klamce, obejrzał się. Van Acker na niego nie patrzył. Pił swoją whisky, wpatrując się w jakiś punkt na ścianie, który widział tylko on. Wyglądał na bezgranicznie samotnego.

JEZIORO

W lustrze wody odbijały się chmury, zachodzące słońce i postrzępione górskie grzbiety. Margot miała wrażenie, jakby słyszała dźwięki: karillonu, niskiego dzwonu, tłuczonego szkła, podczas gdy chodziło tylko o grę światła. Fale jeziora lizwały strome brzegi w wieczornej poświacie.

Elias zgasił silnik i wysiedli.

Margot poczuła nagle, jak jej środek ciężkości opada na wysokość kolan i zawrót głowy odbiera jej siły: zauważyła, że drugi brzeg drogi stromo opada w dół. Znajdowali się na krawędzi.

– To się nazywa zapora łukowa – wyjaśnił Elias, nie zauważywszy jej słabości. – Ta jest największa w Pirenejach. Ma sto dziesięć metrów wysokości, a zalew obok ciebie sześćdziesiąt siedem milionów metrów sześciennych.

Zapalił papierosa. Margot unikała spoglądania w przepastną pustkę za plecami Eliasa, starając się skoncentrować na jeziorze. Z tej strony do jego powierzchni było mniej niż cztery metry.

– Ciśnienie jest ogromne – powiedział Elias, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. – Jest przenoszone do brzegów przez zjawisko rozprzewadzenia naprężeń, rozumiesz, tak jak działają łuki przyporowe w katedrach.

Droga – zdaniem Margot stanowczo zbyt wąska – biegła łukowatą krawędzią zapory, po czym łączyła się z drugim brzegiem. W powietrzu słychać było pomruki burzy, ale ciągle nie padało. Powierzchnię jeziora jeżył jednak lekki wiatr, wprawiając w drżenie igły rosnących wszędzie dookoła sosen. W miejscach, gdzie nie było drzew, rozciągały się płaskie, trawiaste połacie, poprzecinane strumykami i usiane kupkami kamieni. Wyżej widać było strome górskie zbocza.

– Patrz tam.

Podał jej lornetkę. Powiodła wzrokiem wzdłuż drogi, która wznosiła się i biegła dookoła jeziora dziesięć metrów nad brzegiem. Na parkingu,

mniej więcej w połowie długości zbiornika, stało kilka samochodów, wśród nich nawet jeden minivan. Margot rozpoznała forda fiestę.

– Co oni tam robią?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć – powiedział, wsiadając z powrotem za kierownicę.

– Jak podjedziemy, żeby nas nie usłyszeli?

Wskazał koniec tamy.

– Poszukamy miejsca, gdzie będzie można ukryć auto i dalej pójdziemy pieszo. Miejmy nadzieję, że nie skończą, zanim tam dotrzemy. Ale to by mnie zdziwiło. Po coś przejechali taki kawał drogi.

– Jak się tam dostaniemy? Znasz to miejsce?

– Nie, ale przed nami jeszcze dobre dwie godziny dnia.

Zapalił silnik i dojechali na koniec zapory. Znajdował się tam pierwszy parking. Przy wjeździe, pod małym daszkiem z sosnowych listewek ustawiono mapę okolicy. Nie dało się tu jednak ukryć samochodu. Zostawili go przy wjeździe i podeszli do mapy. Zobaczyli szlaki turystyczne: trzy spośród nich wychodziły z drugiego parkingu, tego, na którym stał ford fiesta. Oba parkingi łączyła ścieżka biegnąca mniej więcej równoległe do brzegu i drogi. Elias wskazał ją palcem i Margot przytaknęła. O tej porze i przy takiej pogodzie nie groziło im, że spotkają tam turystów. Tym bardziej, że poza saabem Eliasa na parkingu nie było żadnych samochodów.

– Wyłącz telefon – nakazał, sięgając do kieszeni po swój. Temperatura szybko spadała. Ruszyli kamienistą ścieżką wśród sosen, które złowrogo skrzypiały na wietrze. Margot słyszała też szum fal poniżej. Wieczorne powietrze pachniało żywicą i górskimi kwiatami, które odcinały się w półmroku jasnymi plamami. Czuć też było lekko zgniłą woń dużego zbiornika wodnego. Bita kamienista ścieżka pięła się w górę, powyżej drogi, która z kolei biegła nad brzegiem jeziora. Margot spodziewała się, że w którymś momencie szlak zacznie schodzić, by trafić na drugi parking. Niebo zaczynało się barwić szarością i fioletem. Góry były już tylko czarną bryłą i to, co Elias nazwał „dniami”, było coraz ciemniejsze. Choć starali się iść jak najciszej, podeszwy ich butów zgrzytały na drobnych kamykach, co oczywiście napełniało Margot niepokojem. Ponieważ wokół nich panowała absolutna cisza.

Kiedy uszli około pięciuset metrów – musiała przyznać, że oszacowała ten dystans bardzo na wyczucie – Elias zatrzymał ją gestem i

wskazał miejsce znajdujące się nieco dalej. Margot spojrzała na stromy brzeg w odległości około dwustu metrów od nich.

Urwisko zaczynało się poniżej drogi i opadało aż do powierzchni jeziora. Natomiast teren przy samej drodze był niemal całkowicie płaski. Obniżał się dopiero kilka metrów dalej, tworząc skalistą skarpe najeżoną krzewami, małymi drzewkami i sosnami. Tam ich zobaczyła. Krag... Powinna była wpaść na to wcześniej. Jakie to proste. Zbyt proste. Odpowiedź była tuż przed ich oczami. Popatrzyli na siebie i przykucnęli na skraju ścieżki, wśród wrzosów i trawy. Chłopak podał jej lornetkę.

Trzymali się za ręce i mieli zamknięte oczy. Margot policzyła: było ich dziewięcioro. Jedna z osób siedziała na wózku. Zauważyła też, że inna osoba stała, ale w dziwnej pozycji, jakiejś wykręconej, jakby jej nogi znajdowały się w nieco innej osi niż tułów. Wyglądało to jak puzzle złożone z obrazów kilku różnych osób, przy czym każdy element był nieco przesunięty w stosunku do innych. Na ziemi u jej stóp dostrzegła dwa połyskujące pręty: kule.

Stali w kręgu na najbardziej płaskiej części terenu, rozciągającej się między drogą a urwiskiem. Ci, którzy stali najbliżej jeziora, piętami niemal dotykali krawędzi, mając za plecami czarne masy wody.

Margot oddała Eliasowi lornetkę i spojrzała na niego w ciemności.

– Wiedziałeś – powiedziała. – Napisałeś na tamtej kartce: „Myślę, że odkryłem Krag”. Wiedziałeś o jego istnieniu...

Odpowiedział, nie przestając patrzeć przez lornetkę.

– To był bluff. Dysponowałem jedynie mapą z tym miejscem zaznaczonym krzyżykiem.

– Mapa? Gdzie ją znalazłeś?

– W pokoju Davida.

– Dostałeś się do pokoju Davida?!

Tym razem nie odpowiedział.

– A więc od początku wiedziałeś, dokąd jedziemy.

Posłał jej rozbawiony uśmiezek i Margot poczuła, że ogarnia ją złość. Elias powoli wstał.

– Chodź, idziemy.

– Dokąd?

– Spróbujemy podejść bliżej. Trochę się zorientować, co się tu dzieje.

To nie jest dobry pomysł, pomyślała. Ani trochę. Nie miała jednak wyboru. Ruszyła za nim, pokonując nierówności terenu, wśród sosen i skał. Robiło się coraz ciemniej.

David stał z zaciśniętymi powiekami. Czuł, że po jego policzkach płyną łzy. Wieczorny wiatr stopniowo je osuszał. Mocno ścisnął dłonie Virginie i Sarah. Sarah i Virginie ścisnęły ręce sąsiadów. Alex, tak jak Sofiane, położył kule u swoich stóp. Maud siedziała na składanym wózku inwalidzkim. Trzeba było przywieźć ją tu z vana, który stał na parkingu nie dalej niż pięćdziesiąt metrów stąd, a następnie złożyć wózek i przenieść ją jeszcze kawałek. Wszyscy wyciągali ręce w stronę sąsiadów.

Krag został zamknięty. Jak co roku. Tego samego dnia, siedemnastego czerwca. Data wryta w ich ciałach. Dziesięć. To była ich liczba. Okrągła. Jak Krag. Dziesięcioro ocalonych i siedemnaście ofiar. I siedemnasty czerwca. Tak zechciał Bóg, przypadek albo przeznaczenie.

Trwając tak z zamkniętymi oczami, pozwolili, by wspomnienia wypłynęły na powierzchnię, opadły ich. Jeszcze raz mieli przed oczami tę wiosenną noc, kiedy przestali być dziećmi, a stali się rodziną. Jeszcze raz przeżywali niezwykle silne uderzenie, kataklizm, odgłosy skrećanego metalu, szyb rozpadających się na tysiące drobnych kawałków, wyrywanych z podłogi foteli, dachu i ścian miażdżonych niczym puszka w jakiejś gigantycznej dłoni. Oczyma duszy widzieli, jak niebo i ziemia wywracają się do góry nogami, owijają wokół siebie, widzieli zbyt delikatne sosny wyrywane z korzeniami z ziemi, ścinane w locie, ostre skały rozcinające blachę, ciała miotane na wszystkie strony, jak astronauty w stanie nieważkości. Widzieli szalone światła reflektorów oświetlające cały ten obłądny wir niesamowitymi rozbłyskami paniki w absurdalnym krajobrazie. Słyszeli krzyki kolegów i dorosłych. A potem syreny, głosy, nawoływania. Łopaty helikoptera nad głowami. Strażaków, którzy przyjechali na miejsce po dwudziestu minutach. W tamtym momencie autokar wisiał jeszcze dziesięć metrów nad powierzchnią jeziora, w odległości zaledwie kilku metrów od nich, chwilowo unieruchomiony na zboczu przez kilka śmiesznych krzaków i zbyt wiotkich drzew.

Widzieli chwilę, kiedy rozległ się złowieszczy trzask i ostatnie drzewa nie wytrzymały, a autokar, skrzypiąc w agonii, ześlizgnął się do jeziora i pośród krzyków tych, którzy byli jeszcze uwięzieni w środku, zniknął pod

czarną powierzchnią wody. Głębina wkrótce rozbłysła blaskiem jednego z reflektorów, który świecił na dnie jeszcze przez kilka godzin.

Chciano ich stamtąd zabrać, ale wszyscy odmówili. Już byli razem i jednym głosem sprzeciwili się dorosłym, z pewnej odległości obserwując akcję ratunkową i daremne starania ratowników, aż ciała ich utopionych małych kolegów, którzy nie zostali zakleszczeni wśród blach pojazdu, wypłynęły na powierzchnię i zaczęły się unosić na wodzie mieniającej się kolorami tęczy powstałej ze sprawą jedyne go reflektora, który jak oko cyklopa lśnił na dnie. Jedno, dwa, trzy, a potem cały tuzin – małe ciała wyskakiwały na powierzchnię jak piłki, a wtedy ktoś zawołał: „Zabrać mi stąd te dzieciaki, do cholery!”. Zdarzyło się to w czerwcowy wieczór, wieczór, który miał symbolizować odzyskaną swobodę, koniec roku szkolnego i początek wakacji, najbardziej ekscytujący czas w ciągu roku.

Krag narodził się na oddziale psychiatrycznym szpitala w Pau, gdzie spędzili część lata, by odzyskać równowagę. To tam, choć oczywiście nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy, zaczął się cały proces. Pomysł zrodził się w sposób naturalny, spontanicznie, nie musieli się umawiać. Zrozumieli, na razie również instynktownie, bez słów, że od tej pory nikt nie będzie mógł ich rozdzielić. Że więź, którą połączył ich los, jest znacznie silniejsza niż więzy krwi, przyjaźni czy miłości. Połączyła ich śmierć. Oszczędziła ich i przeznaczyła sobie nawzajem. Tamtej nocy zrozumieli, że mogą liczyć tylko na siebie. Mieli na to dowód. Dorośli nie są godni zaufania.

David czuł na twarzy delikatną bryzę znad jeziora, która suszyła jego łzy, czuł gorące dłonie Virginie i Sarah w swoich dłoniach, a za ich pośrednictwem – ciepło całej grupy. Potem przypomniał sobie, że tego wieczoru nie ma całej dziesiątki. Było ich dziewięcioro. Kogoś brakowało. Hugona... Jego brata, jego *alter ego*. Hugona, który gnił w więzieniu mimo wszystkich okoliczności, które świadczyły o tym, że jest niewinny. To on musiał go stamtąd wyciągnąć. Wiedział, jak się do tego zabrać. Jako pierwszy przerwał Krag, potem Sarah i Virginie puściły dłonie, które trzymały i tak dalej – reakcja łańcuchowa.

– Cholera! – krzyknął Elias, kiedy zobaczył, że się ruszyli. – Zauważa saaba! – Podniósł się, złapał ją za rękę i zmusił, żeby wstała. – Spadamy! – zawołał jej prosto do ucha. – Zajmie im trochę czasu, zanim odprowadzą dziewczynę na wózku do vana.

– O ile David, Virginie i Sarah nie pojedą przodem. Dojdą do samochodu przed nami. Poza tym jesteśmy za blisko. Usłyszą nas, jeśli zaczniemy biec! – warknęła cicho Margot.

– Jesteśmy w czarnej dupie – podsumował ponuro Elias. Zauważyła, że chłopak intensywnie myśli.

– Sądzisz, że rozpoznają samochód?

– Jeden jedyny samochód na parkingu o tej porze? Nie muszą go rozpoznawać. Mają już wystarczającą paranoję.

– Znają twój samochód czy nie? – nalegała.

– Nie mam, kurwa, pojęcia! W budzie jest pełno bryk. A ja jestem dopiero na pierwszym roku, nie jestem dla nich nikim szczególnie ważnym. W przeciwieństwie do ciebie. Ty przyciągasz spojrzenia wszystkich – dodał.

Zobaczyła Davida, Virginie i Sarah, idących skrajem drogi, plecami do nich i prowadzących ożywioną rozmowę.

– Nikt na nas nie zwraca uwagi! Chodź, lecimy. Tylko cicho!

Wstała i najciszej, jak potrafiła, puściła się slalodem między krzewami i nierównościami terenu.

– Nie starczy nam czasu! – powiedział, kiedy ją dogonił na ścieżce. – Jeśli ruszymy, będą jechali tuż za nami i się zorientują.

– Niekoniecznie! Mam pewien pomysł! – rzuciła, błyskawicznie pokonując spadzisty, stumetrowy odcinek ścieżki.

Pędem ruszył za nią. Miał dłuższe nogi niż ona, ale dziewczyna gnała, jakby się paliło. Dobiegła zboczem do saaba, otworzyła tylne drzwi i dała mu znak, by wsiadł do środka.

– Na siedzenie! Szybko!

– Co?

– Rób, co ci mówię!

W ciszy panującej nad jeziorem słyhać już było niesiony echem szum silnika. Ruszają, za minutę nas miną, pomyślała.

– Szybciej.

Posłuchał jej. Margot włożyła na głowę kaptur i siadła okrakiem na koledze. Drzwiczki od strony drogi zostawiła otwarte. Rozpięła zamek bluzy i oczom Eliasa ukazały się jej drobne, białe piersi.

– Złap je!

– He?

– No już! Obmacuj mnie, cholera!

Nie dając mu czasu na odpowiedź, sama chwyciła dłonie Eliasa i położyła je na swoich sutkach. Następnie przywarła ustami do jego ust, wciskając język między jego wargi. Usłyszała zbliżające się samochody, które zwolniły na ich wysokości i domyśliła się, że przejeżdżający patrzą w ich stronę. Nadal całowała go z języczkiem, czując, jak ze strachu ciarki przebiegają jej po plecach. Palce Eliasa ścisnęły jej piersi, poruszane bardziej odruchem niż pożądaniem. Objęła go za szyję i nadal całowała z otwartymi ustami. Słyszała, jak ktoś powiedział: „O kurwa!” i rozległy się śmiechy, po czym samochody przyspieszyły. Ostrożnie odwróciła głowę. Oddalali się drogą prowadzącą przez tamę. Jej wzrok padł na palce Eliasa, w dalszym ciągu zaciśnięte na jej piersiach.

– Możesz już zabrać ręce – powiedziała, prostując się. Napotkała jego spojrzenie. Było w nim coś nowego, coś, czego do tej pory nigdy nie widziała. – Powiedziałam, żebyś mnie puścił.

Ale on wyglądał, jakby postanowił nic sobie z tego nie robić. Złapał ją za kark i teraz on wpił się wargami w jej usta. Odepchnęła go gwałtownie i wymierzyła mu policzek, mocniej niż chciała. Elias spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Było w nich zaskoczenie, ale także ponura wściekłość.

– Bardzo mi przykro – przeprosiła go i wygramoliła się z samochodu.

STRZAŁY W ŚRODKU NOCY

Servaz powlókł się do samochodu. Czuł się przybity. Blask latarni przeświecał między ciemnymi liśćmi rosnących przy ulicy drzew. Oparł się o dach swojego jeepa cherokee i długo oddychał. Do jego uszu wciąż dochodził dźwięk tamtego telewizora. Miał wrażenie, że komentarze brzmiały mało entuzjastycznie. Wiedział, że Francja przegrała.

Kontemplował kupkę popiołów. Marianne, Francis, Marsac... Przeszłości nie wystarczyło, że znowu wypłynęła na powierzchnię: zrobiła to tylko po to, by zniknąć na zawsze. Jak statek, który wznosi się i staje dęba, zanim pójdzie na dno. Wszystko, w co wierzył, jego najpiękniejsze lata, wspomnienia z młodości, cała ta nostalgia w jego duszy: złudzenia. Zbudował swoje życie na kłamstwach. Czuł, jakby ogromny kamień przygniatał mu klatkę piersiową. Nacisnął klamkę. Kiedy tylko otworzył drzwi, jego telefon zadzwieczał dwukrotnie: nowa wiadomość.

Espérandieu

Wyświetlił ją. Przez chwilę zastanawiał się nad znaczeniem jej treści. Nowe dialekty zawsze sprawiały mu dużą trudność.

Przyjedź, dom Elvisa, coś jest.

Usiadł za kierownicą i zadzwonił do Espérandieu, ale połączył się z anonimowym głosem, który zapraszał go do pozostawienia wiadomości. Niecierpliwość i ciekawość przegnały ciężar z jego piersi. Co robi Vincent w domu Elvisa o tej porze, kiedy powinien pilnować Margot? Potem Servaz przypomniał sobie, że zlecił mu także zbadanie przeszłości Albańczyka.

Wyjeżdżając z miasta, prowadził szybciej niż zazwyczaj. Krótco przed północą długą, prostą drogą wiodącą przez las dotarł do rozgałęzienia, z którego odchodziła mniejsza uliczka. Księżyc nagle wychynął spoza chmur

i zalał niebieskawym światłem czarny las dokoła. Na następnym skrzyżowaniu Servaz skręcił w ledwie przejezdną ścieżkę z pasem trawy pośrodku. Reflektory jego samochodu wydobywały z ciemności każde źdźbło. Palcem wolnej ręki po raz trzeci wybrał opcję „oddzwoń do nadawcy”. Na próżno. Co jego zastępca wyprawia? Dlaczego nie odbiera? Servaz czuł narastający niepokój.

Już odkładał telefon, kiedy nagle rozległ się dzwonek.

– Vincent, ty... – zaczął.

– Tato, to ja.

Margot.

– Muszę z tobą pogadać, to ważne. Myślę, że...

– Coś nie tak? Coś ci się stało?

– Nie, nie, nic. Tylko... Naprawdę muszę z tobą porozmawiać.

– Ale z tobą wszystko w porządku? Gdzie jesteś?

– Tak, tak, w porządku. Jestem u siebie w pokoju.

– Świetnie. Bardzo mi przykro, pchełko. Nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

Rozłączył się i odłożył telefon na fotel pasażera. Podskakując na wybojach, przejechał przez drewniany mostek i reflektory jeepa oświetliły zielony tunel prowadzący na polanę.

Nie widział żadnego samochodu.

Cholera! Zgasił silnik w połowie alejki i wysiadł. Miał wrażenie, że drzwi jego auta wydały ogłuszający dźwięk, kiedy je zatrząskiwał. W oddali pośród jedynej w swoim rodzaju, szarobiałej czerwcowej nocy, rozległ się grzmot. Wciąż te burze. Przypomniawszy sobie tamten zimowy wieczór, kiedy napadnięto na niego w ośrodku kolonijnym i o mało nie zginął z głową obwiązaną foliową torbą. Do tej pory zdarzało mu się nagle w środku nocy budzić pod wpływem tego powracającego koszmaru.

Otworzył drzwi i nacisnął klakson, ale nic się nie wydarzyło poza tym, że pod wpływem tego odgłosu poczuł się jeszcze bardziej zdenerwowany. Servaz schylił się do schowka i wyciągnął z niego pistolet i latarkę. Załadował magazynek. Księżyc znowu zniknął za chmurami i policjant szedł w półmroku, omiatając snopem światła rosnące dookoła zarośla i krzaki. Dwukrotnie bezskutecznie wołał Vincenta. Wreszcie dotarł do polany. Księżyc raczył się na chwilę pojawić, oświetlając

drewnianą werandę i dom, którego okna były ciemne. Cholera, Vincent, pokaż się! Gdyby tu był, byłoby widać jego samochód, jakiś znak, cokolwiek.

Servaza ogarnęło przerażenie na myśl o tym, co może znaleźć. Dom rzucał niepokojący cień. Na nocnym niebie, ponad czarnym lasem, mignął zygzakowaty zarys cichej błyskawicy.

Wszedł po schodach. Jego serce waliło jak oszalałe.

Czyżby w środku ktoś był?

Zdał sobie sprawę, że dłoń, w której trzyma pistolet, drży. Nigdy nie był dobrym strzelcem. Jego żenująca niezręczność zawsze budziła pełne niedowierzania zniechęcenie instruktora.

Nagle nie miał już wątpliwości. Ktoś był w środku. Ta wiadomość to pułapka. Wysłał ją kto inny, nie Espérandieu. Ktoś, kto związał Claire w wannie i patrzył, jak kona, ktoś, kto włożył latarkę do jej gardła, ktoś, kto nakarmił psy ich właścicielem. I ta osoba miała komórkę jego zastępcy i przyjaciela. Przypomniał sobie rozkład pomieszczeń. Musi wejść do środka.

Przeszedł pod taśmą zostawioną przez żandarmerię, otworzył drzwi na oścież i natychmiast przywarł do podłogi. Pocisk wyrwał kawałek drewna z futryny drzwi. Padając, Servaz w coś uderzył. Poczł, że rozciął sobie czoło. Oddał dwa strzały w kierunku, w którym widział ogień. Ogłuszył go huk własnej broni, a nogę drasnęła mu gorąca łuska jednego z pocisków. Mimo szumu w uszach usłyszał, jak napastnik przemieszcza się, wywracając jakiś mebel. Padł drugi wystrzał, oświetlając wnętrze, ale Servaz krył się już za blatem otwartej kuchni. Potem zapadła cisza. Poczł w nozdrzach gryzący zapach prochu. Próbował uchwycić jakiś ruch, jakiś oddech, ale słyszał tylko własny. Jego mózg pracował na pełnych obrotach. Dźwięk broni napastnika był mu nieznany, nie była to broń ręczna – rewolwer ani pistolet automatyczny.

Broń łowiecka, pomyślał. Dwulufowa. Dubeltówka lub nadlufka. I tylko dwa wystrzały. Napastnik nie miał więcej amunicji. Aby przeładować, musiałby złamać strzelbę, wyrzucić zużyte naboje i włożyć nowe. Servaz zauważyłby go i zastrzelił, zanim zdążyłby to zrobić. Był uziemiony.

– Nie masz więcej nabojów! Daję ci szansę: rzuć strzelbę na ziemię, wstań i podnieś ręce do góry! – zawołał komendant. Wolną ręką po omacku szukał w ciemności uchwytu lodówki. To byłoby wystarczające

oświetlenie. Latarkę zgubił, gdy padał na podłogę. – No już. Rzuć broń i wstań!

Żadnej odpowiedzi. Servaz poczuł, że coś spływa mu do oczu. Zamrugał i na chwilę porzucił poszukiwania lodówki, by wytrzeć oczy mankietem. Zrozumiał, że to krew ciekąca z rozciętego czoła.

– Na co czekasz? Nie masz szans się wywinąć. Twoja flinta jest pusta.

Nagle usłyszał jakiś odgłos. Skrzypnięcie drzwi. W środku. Cholera, ucieka tyłem! Servaz rzucił się w kierunku, skąd dochodził hałas, i przewrócił jakiś metalowy przedmiot, który z hukiem uderzył o podłogę. Wyszedł przez tylne drzwi. Las. Ciemność. Niczego nie widział. W krzakach po prawej stronie usłyszał suchy trzask. Zamykana strzelba. Napastnik zdążył przeładować broń. Servaz poczuł w żyłach przypływ adrenaliny. Kucnął. Padł jeden strzał, a zaraz po nim drugi i policjant poczuł dotkliwy ból, który sprawił, że wypuścił z ręki pistolet. Wyciągnął ręce i obmacywał ziemię wokół siebie, by go znaleźć.

Do kurwy nędzy, gdzie się podziała ta pieprzona spluwa?

Szukał rozpaczliwie, głośno przeczesując zarośla. Odwrócił się, klęcząc na ziemi. Znowu usłyszał odgłos przeładowywanej broni, tym razem kilka metrów od siebie. Kiedy nad jego głową z przenikliwym świstem śmignęła przez krzaki kolejna kula, rzucił się na oślep między drzewa. Następny pocisk świsnął gdzieś niedaleko, zrywając liście. Znowu usłyszał odgłos ładowanej strzelby, po czym napastnik ruszył w jego stronę. Martin słyszał, jak niespiesznie rozgarnia krzaki. Zrozumiał! Wiedział, że skoro Servaz nie odpowiada ogniem, to znaczy, że nie ma broni. Policjant rzucił się przed siebie i zawadził o jakiś korzeń. Znowu uderzył o coś głową. Pień. Krew zalewała mu twarz. Czuł, jak ciepła i gęsta spływa po jego policzkach.

Wstał i zaczął biec zygzakiem.

Znowu dwa wystrzały, mniej celne niż poprzednie. Zastanawiał się, czy biec dalej, czy się gdzieś schować. Postanowił biec.

Im bardziej będzie się oddalał, tym większy będzie obszar, który napastnik będzie musiał przeszukać. Na niebie znowu pojawił się księżyc. Jego blask przeświecał przez liście, nadając okolicy nierzeczywisty wygląd. Nie pomagało mu to. Chciał przejść przez kolejną barierę zarośli, ale zaczepił koszulą o jeżyny. Szarpał się wściekle i rozpaczliwie, by się uwolnić i rozdarł ją. Kiedy zauważył, jak łatwym jest celem z powodu jej jasnego koloru, rozpiął guziki. Znowu ruszył przed siebie. Kolce jeżyn

raniły mu tors. Jego blada skóra nie była lepsza niż koszula. Napastnik widział jego plecy! Servaz uznał siebie za idiotę – idiotę, który zaraz umrze. Umrze upokarzającą śmiercią – bez spluwy, bezbronny, powalony strzałem w plecy przez tego, którego miał śledzić. Biegąc przez zarośla, z coraz większą zadyszka i z płonącym gardłem, myślał o Marianne, o Hirtmannie, o Vincencie, o Margot... Kto ją ochroni, kiedy jego już nie będzie?

Rozgarnął ostatni krzak i znieruchomiał.

Wąwóz.

Szum rzeki narastał. Servazowi zakręciło się w głowie. Cofnął się. Serce podeszło mu do gardła. Stał na skraju urwiska. Dwadzieścia metrów niżej między gałęziami drzew widział połyskującą w blasku księżyca wodę.

Za plecami usłyszał suchy trzask łamanej gałązki.

Już był martwy.

Miał wybór między skokiem w pustkę i roztrzaskaniem się na dole o skały a kulką w plecy. Mógł też stanąć twarzą w twarz z zabójcą. Przynajmniej pozna prawdę. Marna pociecha. Spojrzał w dół. Trzęsły mu się nogi. Śledztwo, które prowadził przed dwoma laty zimą w górach, dostarczyło mu wielu chwil niekontrolowanego lęku, kiedy musiał się mierzyć z zawrotami głowy. Wyobraził sobie, jak spada, i znowu zrobiło mu się niedobrze. Żeby nie patrzeć w pustkę, odwrócił się w stronę krzaków. Z dwojga złego wolał kulkę.

Słyszał, że napastnik się zbliża. Jak drapieźnik. Za chwilę zobaczy twarz wroga...

Jeszcze raz rzucił okiem przez ramię, w stronę wąwozu. Zauważył, że ściana urwiska nie jest gładka. Trochę na lewo, jakieś cztery metry niżej, znajdował się mały występ, na którym rosło kilka krzaków. Miał wrażenie, że pod skałą widzi czarny cień. Nisza, naturalne zagłębienie? Servaz przełknął ślinę. A jeśli to jego ostatnia szansa? Gdyby udało mu się zejść tam i wślizgnąć się pod skałę? To bardzo utrudniłoby zadanie mordercy, który musiałby zaryzykować i pójść za nim tą samą drogą, mając wolną tylko jedną rękę, gdyż w drugiej trzymał naładowaną strzelbę. Servazowi zaś nawet dwie ręce wydawały się niewystarczające, by się utrzymać i uniknąć śmiertelnego upadku. Niemożliwe. Nie da rady tego zrobić, nawet gdy w grę wchodzi jego życie. To ponad jego siły.

Zginiesz, jeśli tu zostaniesz. Nie od zawrotów głowy, ale od kuli!

Jakiś szmer przed nim w krzakach... Nie było już czasu na rozmyślanie. Przywarł płasko do zbocza, odwrócony plecami do przepaści, skupiając wzrok na skale znajdującej się kilka centymetrów od jego twarzy. Zaczął się zsuwać, czubkiem buta szukając pod sobą punktów oparcia. Szybciej! Nie ma czasu na szukanie podpórek, na nic nie ma czasu! Za kilkadziesiąt sekund jego prześladowca będzie na skraju zbocza. Zamknął oczy i zsuwał się dalej. Pośpiech działał na niego stymulująco, ale nogi drżały zbyt mocno. Lewa stopa ześlizgnęła się. Poczł, że spada, niesiony własnym ciężarem, sunąc klatką piersiową po chropowatej skale. Krzyknął. Na próżno usiłował wczepić się paznokciami w grunt. Zjeżdżał po wypukłej skale jak sanki, boleśnie zdzierając sobie skórę z nagiego brzucha i klatki piersiowej na każdym ostrym występie. Nagle poczuł na plecach uderzenie krzaków, które zakończyło jego upadek. Znalazł się na małym wypłaszczeniu. Zobaczył przestrzeń pod sobą i przekręcił się na drugi bok. Podczołgał się i wślizgnął do niszy jak zwierzę.

Poszukał dłonią dużego kamienia i znalazł go. Leżał rozciągnięty pod skałą, klatka piersiowa unosiła się i opadała jak szalona.

A teraz czekam na ciebie...

No już, zejź tu, jeśli masz odwagę.

Był cały we krwi, w ziemi, podrapany. Przerażony i rozczochrany. Siedział w grotcie jak neandertalczyk. Wrócił do pierwotnego, dzikiego stanu. Lęk i zawroty głowy powoli ustępowały morderczemu gniewowi, wściekłości. Gdyby ten drań się zbliżył, Servaz roztrzaskałby mu czaszkę kamieniem.

Nie słyszał już z góry żadnych odgłosów. Szum rzeki odbijał się od ścian wąwozu i zagłuszał wszelkie inne dźwięki. Serce Martina wciąż waliło jak oszalałe. W jego żyłach płynęła czysta adrenalina. Tamten być może był na górze i ze strzelbą wycelowaną w jego kryjówkę spokojnie czekał, aż Servaz postanowi wychylić głowę na zewnątrz. Zupełnie jak w filmie *Uwolnienie*. W każdym razie on by tak zrobił. Po jakiejś chwili się rozluźnił. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko czekać. Dopóki był w dziurze, był bezpieczny. Napastnik nie będzie ryzykował zejścia. Chciał sprawdzić, która jest godzina, ale zegarek był potłuczony. Wyciągnął się na ziemi – może będzie musiał tu zostać wiele godzin. I wtedy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

Komórka...

Wyjął telefon. Już miał zadzwonić do Samiry i wezwać ją na pomoc, kiedy uświadomił sobie, że coś się w tej całej sprawie nie zgadza. Ale co?

Zrozumiał w ciągu kilku sekund. W zderzeniu z rozwojem technologii Servaz miał czasem wrażenie, jakby wysiadł z wehikułu czasu. Jako jeden z ostatnich w swoim otoczeniu trzy lata temu kupił telefon komórkowy i to Margot pomagała mu wprowadzić nazwiska znajomych do książki telefonicznej. Bardzo dobrze pamiętał, jak razem wpisywali imię „Vincent”.

A nie „Espérandieu”.

Poszukał w kontaktach imienia zastępcy. Bingo! Dwa różne numery! Ktoś wziął telefon bez jego wiedzy i wprowadził fałszywą nazwę kontaktu, a potem z tego numeru wysłał mu esemesa! Próbował sobie przypomnieć, kiedy zostawił telefon bez nadzoru, ale nie był w stanie trzeźwo myśleć.

Wybrał numer Samiry i powiedział, żeby szybko sprowadziła żandarmów. Już chciał ją poprosić, żeby także przyjechała, gdy nagle w jego głowie zamigotało słowo „dywersja”. A jeśli napastnik wcale nie zamierzał go zastrzelić? Żadna z kul nawet go nie drasnęła, wszystkie przeleciały w pewnej odległości. Albo ten człowiek był kiepskim strzelcem, albo...

– Zwiększ czujność! – zawołał. – I wezwij posiłki. Zadzwoń do Vincenta i powiedz mu, żeby jak najszybciej przyjechał. I przekaz żandarmom, że gość jest uzbrojony. Szybko!

– Kurwa, szefie, co się dzieje?

– Nie mam czasu na wyjaśnienia. Pospieszcie się!

Kiedy Servaz zobaczył miny żandarmów, gdy za pomocą liny i uprząży wyciągnęli go na szczyt urwiska, uświadomił sobie, że musi wyglądać okropnie.

– Trzeba będzie wezwać karetkę – stwierdził Bécker.

– Nie jest tak źle, to tylko tak wygląda.

Przez las wrócili do domu. Strzelec zdążył uciec, ale kapitan kierujący brygadą w Marsac powiadomił telefonicznie wszystkie służby. W ciągu niespełna godziny dom Elvisa i okolice znowu zostały opanowane przez techników, którzy przeczesywali teren, zbierali łuski i wszelkie ślady, jakie mógł zostawić zabójca.

Kiedy wszyscy zajęci byli pracą na zewnątrz i wewnątrz domu, Servaz poszedł do łazienki. Ujrawszy w lustrze swoje odbicie, musiał przyznać, że Bécker miał rację. Gdyby mijał siebie na ulicy, przeszedłby na drugą stronę. Miał we włosach pełno ziemi, ciemne cienie pod oczami, w białku

oka, które było teraz prawie czarne, popękały naczynia krwionośne. Rozszerzone, lśniące źrenice sprawiały, że wyglądał, jakby był naćpany. Dolna warga była rozcięta i napuchnięta. Ślady ziemi zmieszane z grudkami zaschniętej krwi układały się na jego tułowi, szyi, ramionach, a nawet nosie w konstelację plam, punktów, pasków i zadrapań.

Choć powinien opłukać się w umywalce, zamiast tego sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów i nie przestając oglądać się w lustrze, wyjął jednego i spokojnie podniósł do ust. Paznokcie miał czarne jak górnik. Na serdecznym i małym palcu prawej ręki brakowało paznokci. Stał tak, wpatrując się we własne oblicze i zaciągając łąpczywie trzymanym w drżących palcach papierosem, aż się oparzył.

Wtedy bez wyraźnego powodu wybuchnął śmiechem i głowy ludzi w całym domu odwróciły się w jego stronę.

Spotkali się w jednym z pomieszczeń żandarmerii w Marsac. Espérandieu, kilku żandarmów z brygady, Pujol, Sartet – sędzia śledczy, wyciągnięty z łóżka i przywieziony samochodem przez Pujola, i Servaz. Zmęczone twarze ludzi obudzonych w środku nocy, którzy patrzyli na niego z niepokojem. Na posterunek sprowadzono także lekarza dyżurnego, który obejrzał i przemył rany Servaza.

– Kiedy po raz ostatni otrzymał pan zastrzyk przeciwężcowy?

Servaz nie potrafił odpowiedzieć. Dziesięć lat temu? Piętnaście? Dwadzieścia? Nie lubił szpitali ani lekarzy.

– Proszę podwinąć oba rękawy – zaordynował lekarz, grzebiąc w teczce. – Wstrzyknę panu tymczasem dwieście pięćdziesiąt jednostek immunoglobuliny w jedną rękę, a w drugą szczepionkę. I chcę, żeby pan jak najszybciej przyszedł do mojego gabinetu, żeby wykonać test. Domyślam się, że tej nocy nie ma pan czasu.

– Dobrze się pan domyśla.

– Uważam, że powinien pan trochę bardziej dbać o zdrowie – powiedział lekarz, wbijając igłę w jego przedramię.

W wolnej dłoni Servaz trzymał kubek z kawą.

– Co pan ma na myśli?

– Ile pan ma lat?

– Czterdzieści jeden.

– Cóż, sądzę, że już czas, żeby się pan trochę sobą zajął – dodał lekarz, kiwając z przekonaniem głową. – Jeśli nie chce pan przykrych niespodzianek.

– Nadal nie rozumiem.

– Nie uprawia pan dużo sportu, prawda? Niech pan posłucha mojej rady i przemyśli tę sprawę. Niech pan do mnie wpadnie... kiedy pan będzie miał czas.

Doktor wyszedł, z pewnością przekonany, że już nigdy nie ujrzy tego pacjenta. Servazowi się spodobał. Policjant nie pamiętał, kiedy ostatni raz był u lekarza, ale postanowił, że jeśli ten pracuje w Tuluzie, na pewno pójdzie za jego radą.

Rozejrzał się wokół stołu. Streścił im swoją rozmowę z Van Ackerem oraz ostatnie odkrycia: negatywny wynik porównania grafologicznego, zdjęcia znalezione na strychu Elvisa.

– Fakt, że to nie pana przyjaciel napisał te słowa w zeszycie, automatycznie nie zwalnia go z podejrzeń – zauważył od razu sędzia śledczy. – Aż do momentu stwierdzenia niewinności. Znał ofiary, miał okazję i motyw. A w dodatku, jeśli mówi pan jeszcze, że zaopatrywał się w narkotyki u tego dealera, sądzę, że mamy wystarczająco dużo powodów, żeby go zatrzymać. Chciałbym panu jednak przypomnieć, że poprosiłem o uchylenie immunitetu Paula Lacaze'a. Co w takim razie robimy?

– To będzie strata czasu. Powtarzam, jestem przekonany, że to nie on. – Zawahał się. – W winę Lacaze'a też nie wierzę – dodał.

– A to dlaczego?

– Po pierwsze dlatego, że już go pan ma na muszce. Co by mu dało zastawianie na mnie pułapki w tym momencie, kiedy odmawia przyznania się, gdzie był w tamten wieczór, gdy została zabita Claire? To nie ma sensu. Poza tym nie ma go na zdjęciach, które zrobił Elias, nie figuruje w jego katalogu gołych zadków.

– Ale skłamał w sprawie rozkładu dnia.

– Ponieważ z jakichś powodów, gdyby wyszło na jaw, co robił tamtego wieczoru, jego kariera polityczna ległaby w gruzach.

– A może on jest gejem – zasugerował Pujol.

– Ma pan jakiś pomysł, co by to mogło być? – zapytał sędzia, ignorując uwagę policjanta.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Jedno jest pewne – zaczął sędzia. Spojrzeli na niego.

– Jeśli ktoś do pana strzela, to znaczy, że zbliża się pan do prawdy. I że ta osoba przed niczym się nie cofnie...

– Tyle wiedzieliśmy już wcześniej – skomentował Pujol.

– Poza tym – ciągnął Sartet, ostentacyjnie zwracając się do Servaza – adwokat Hugona Bokhanowskiego znowu poprosił o zwolnienie chłopaka. Jutro sędzia rozpatrzy wniosek. Z całą pewnością poprze linię obrony. Biorąc pod uwagę ostatnie zdarzenia i aktualny stan sprawy, nie widzę żadnego powodu, by przetrzymywać tego młodego człowieka w areszcie tymczasowym.

Servaz powstrzymał się od uwagi, że jeśli chodzi o niego, zrobiłby to już jakiś czas wcześniej. Myślni był gdzie indziej. Hipotezy, które konstruował, upadały jedna po drugiej. Hirtmann, Lacaze, Van Acker... Zarówno sędzia, jak i morderca byli w błędzie: wcale się nie zbliżali do prawdy. Przeciwnie, oddalali się. Od początku śledztwa nie byli aż tak zagubieni. Chyba że... Servaz spojrzał na nich zamyślony. Chyba że był bliski rozwiązania, choć nie zdawał sobie z tego sprawy... Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że do niego strzelano? W takim razie musi szczegółowo, jeden po drugim, zbadać wszystkie etapy śledztwa, poszukać, w którym momencie był w pobliżu mordercy, nie widząc go – a w każdym razie przestraszył go na tyle, że gość zdobył się na takie ryzyko.

– Ciągle nie mogę się otrząsnąć – powiedział nagle sędzia. Servaz spojrzał na niego pytająco.

– Ośmieszyliśmy się.

Policjant zastanawiał się, o czym Sartet mówi.

– Nigdy nie widziałem, żeby reprezentacja Francji grała aż tak źle! A to, co się stało w szatni w czasie przerwy, jeśli to prawda, jest niewiarygodne...

Uwaga została przyjęta pomrukiem powszechnej dezaprobaty. Servaz przypomniał sobie, że tego wieczoru odbywał się „decydujący” mecz. O ile dobrze pamiętał, Francja-Meksyk. Nie wierzył własnym uszom. Była druga w nocy, on prawdopodobnie ledwie uszedł z życiem, a ci tutaj rozmawiali o piłce!

– A co się stało w szatni? – chciał się dowiedzieć Espérandieu.

Może wybuchła bomba i połowa reprezentacji wyleciała w powietrze?
– pomyślał Servaz. Albo jeden zawodnik zabił drugiego? Albo trener, którego wszyscy krytykowali, popełnił harakiri na oczach swojej drużyny?

– Anelka wyzwał Domenecha – powiedział oburzony Pujol.

No i co z tego? To wszystko? Servaz był zdezorientowany. Policjantów każdego dnia wyzywa się i opluwa w komisariatach i na ulicy. To wydarzenie to tylko dowód, że francuska drużyna jest odbiciem społeczeństwa.

– Anelka to ten zawodnik, który ostatnio zszedł z boiska przed końcem meczu?

Pujol przytaknął.

– To dlaczego pozwolili mu grać, skoro jest taki zły? – zapytał Servaz.

Wszyscy spojrzeli na niego, jakby właśnie zadał podstawowe pytanie. I jakby znalezienie na nie odpowiedzi było niemal tak samo ważne jak wykrycie mordercy.

OSACZONY

Do uśpionej świadomości Ziegler wsączały się dźwięki *Deszczowej piosenki*. Zanim została wyrwana ze snu, przez chwilę widziała, jak kopie ją, podśpiewując i tańcząc, Malcolm McDowell w meloniku na głowie. Telefon nie przestawał dzwonić. Przewróciła się na brzuch i przeżuując przekleństwa, sięgnęła na nocną szafkę. Nie rozpoznała głosu w słuchawce.

– Kapitan Ziegler?

– We własnej osobie. Psiakrew, która go...?

– Ja... eee... mówi Kanté. Proszę pani, przepraszam, że panią budzę, ale... mam coś ważnego do powiedzenia. To naprawdę ważne, pani kapitan. Nie mogłem zasnąć. Pomyślałem, że powinienem pani coś powiedzieć. Że jeśli tego nie zrobię, to potem już się nie odważę.

Zapaliła lampkę. Radiobudzik wyświetlał 2.32. Co go ugryzło? Po głosie można było jednak poznać, że mężczyzna jest zestresowany, ale trzeźwy. Wstrzymała oddech. Drissa Kanté miał jej coś do powiedzenia. Miała nadzieję, że coś ważnego, zważywszy na porę.

– Co powinien mi pan powiedzieć, panie Kanté?

– Prawdę.

Usiadła i oparła się o poduszki.

– Co pan ma na myśli?

– Okłamałem panią wieczorem. Bałem się... Że ten człowiek będzie mnie prześladował, że jeśli go złapiecie, ja też będę sądzony. I wyrzucony. Pani oferta dalej jest aktualna?

Poczuła, że jej puls przyspieszył. Jej umysł wciąż był jeszcze trochę przytępiony, ale z chwili na chwilę trzeźwiała coraz bardziej.

– Dałam panu słowo – odpowiedziała wreszcie, ponieważ jej rozmówca milczał. – Nikt się o niczym nie dowie. Ale będę pana mieć na oku, Kanté.

Domyśliła się, że mężczyzna waży każde słowo. A jednak do niej zadzwonił, to znaczy, że podjął już decyzję. Wszystko dokładnie przemyślał, zanim wybrał jej numer. Czekwała cierpliwie, czując pulsowanie krwi w palcach ściskających telefon.

– Nie wszyscy są tacy jak pani – powiedział. – A jeśli któryś z pani kolegów wygada? Jeśli mnie wsypie? Wierzę pani, nie im.

– Pana nazwisko nigdzie się nie pojawi. Obiecuję. Tylko ja je znam. Zadzwonił pan do mnie, Kanté. Więc teraz niech pan to z siebie wydusi. Już za późno: więcej panu nie odpuszczę.

– Ten gość. On nie ma sycylijskiego akcentu.

– Ale... Nie bardzo rozumiem.

– Powiedziałem pani, że ma akcent, włoski akcent, pamięta pani?

– Tak. No i?

– Okłamałem panią. On mówi ze wschodnim akcentem, słowiańskim.

Zmarszczyła brwi.

– Jest pan tego pewien?

– Tak, niech mi pani wierzy. Spotkałem mnóstwo ludzi w czasie moich... pielgrzymek.

– Dziękuję. Ale nie dzwoni pan do mnie o tej porze tylko z tego powodu? Mylę się?

– Nie. To nie wszystko,

Irène z miejsca wyostrzyła uwagę. W głosie Drissy Kantégo było coś szczególnego.

– Ja... kazałem go śledzić. On uważa, że jest bardzo sprytny. Ale ja jestem sprytniejszy. Wczoraj, kiedy oddałem mu pendrive, poprosiłem jedną z przyjaciółek, żeby stanęła po drugiej stronie ulicy i śledziła go, gdy wyjdzie z kawiarni. Zaparkował bardzo daleko i był ostrożny, ale moja przyjaciółka też jest sprytna. Potrafi być niewidzialna. Zobaczyła, jak wsiada do samochodu. I zapisała numery.

Ziegler się wyprostowała, jakby ktoś kopnął ją w nerki. Przekręciła się, by wyjąć długopis z szuflady nocnej szafki i sprawdziła na dłoni, czy działa.

– No już, Kanté, słucham pana.

Była druga w nocy, kiedy Margot wróciła do pokoju, wykończona i na skraju wyczerpania nerwowego. Zastanawiała się, czy właśnie nie przeżyła najbardziej szalonego wieczoru w swoim życiu. A także, czy to, co widzieli tam na górze, nad jeziorem, było rzeczywiste. I czy to jest ważne. Była przekonana, że tak. Nie potrafiłaby wytłumaczyć dlaczego, ale ten spektakl pozostawił w niej głęboki dyskomfort, mroczne i uporczywe przeczucie nadchodzącej katastrofy. A do tego te groźby Davida i próba gwałtu, kartka na jej szafce i te ich tajne narady, które widzieli z Eliaszem.

I jeszcze to, co wydarzyło się między nią i Eliaszem na parkingu. Jego niespodziewane zachowanie. Aż do ostatniego wieczoru nigdy nie pomyślała, że może być dla niego atrakcyjna. Tamtej nocy, kiedy otworzyła mu w samej bieliźnie, nawet na nią nie spojrzął. I aż do tego wieczoru ona również nie czuła do niego pociągu. Przypomniała sobie też wściekłość w jego oczach po tym, jak uderzyła go w twarz. Żałowała tego. Wystarczyłoby, gdyby go odsunęła, zamiast go upokarzać. Podróż powrotna była długa i uciążliwa: Elias schował się za murem milczenia i skrzętnie unikał patrzenia na nią.

Przypomniała sobie, jak się całowali. To był pocałunek wymuszony, strategiczny – niemniej jednak pocałunek. Trochę ponad rok wcześniej miała kochankę w wieku swojego ojca, bardzo doświadczonego. Żonatego, ojca dwójki dzieci. Mężczyzna nagle i bez wyjaśnień zakończył ich związek. Podejrzewała, że jej ojciec maczał w tym palce. Od tamtego czasu miała trzy przygody. W sumie była z sześcioma mężczyznami. Pomijając pierwsze, żalosne doświadczenie w wieku czternastu lat. Elias oczywiście był mniej doświadczony. Jego rozległe umiejętności nie sięgały tej dziedziny, czuła to po sposobie, w jaki ją całował. Dlaczego więc miała ochotę jak najszybciej powtórzyć to doświadczenie?

Rozumiała, że wspólnie przeżyty stres, podniecenie, strach zrobiły swoje. Ale to nie było jedyne wyjaśnienie. Uświadamiała sobie, że – nieporadny czy zręczny, jakkolwiek dziwne i nieprzewidywalne było jego zachowanie – Elias jej się podoba. A potem pomyślała o czymś innym.

Musi zawiadomić ojca.

Była przekonana, że to, co widzieli, jest w ten czy inny sposób związane ze śmiercią wykładowczyni. Powinna się na tym skupić. Męczyło ją niewytłumaczalne poczucie, że sprawa jest niezwykle pilna. Dlaczego tato nie oddzwania? Jej myśli biegały w tę i z powrotem.

Jesteś tam?

Długo czekała na odpowiedź:

?

Spotkajmy się na dole, w holu

?

Muszę ci coś powiedzieć

Nie mam ochoty

Proszę

Czego chcesz?

Powiem ci na dole

To nie może poczekać?

Nie. To ważne. Wiem, że cię zraniłam. Proszę cię jak przyjaciela

Bez odpowiedzi. Wystukała jeszcze raz:

Elias?

OK

Wstała, podeszła do umywalki, żeby się odświeżyć, włożyła do ust gumę do żucia i wyszła. Nie było go na dole, kiedy zeszła i już zaczynała myśleć, że chłopak nie przyjdzie, kiedy w końcu się pojawił, z zaciętą twarzą.

– Czego chcesz? – powiedział.

Zastanawiała się, od czego zacząć, szukała odpowiednich słów, a potem nagle już wiedziała. Podeszła do niego bardzo blisko, dotknęła wargami jego warg. Nie odpowiedział na pocałunek. Poczwała, że Elias sztywnieje, robi się twardy jak skała, kontynuowała jednak tak długo, aż odtajał, wziął ją w ramiona i wreszcie odpowiedział.

– Wybacz – wymruczała.

Położyła dłoń na jego karku i patrzyła mu głęboko w oczy, kiedy zabrzęczał jej BlackBerry, którego miała w kieszeni szortów. Nie odebrała, ale telefon nie odpuszczał. Elias pierwszy się odsunął.

– Przepraszam – powiedziała.

Spojrzała na wyświetlacz. Ojciec. Cholera! Była pewna, że gdyby nie odebrała, będzie dzwonił do Samiry.

– Tata?

– Obudziłem cię?

– Eee, nie.

– Okay. Już jadę.

– Teraz?

– Chciałaś mi powiedzieć coś ważnego. Przepraszam, pchełko, ale nie mogłem się wcześniej wyrwać. Trochę się działo dziś w nocy.

Komu ty to mówisz.

– Będę za pięć minut – dodał.

Nie dał jej czasu na odpowiedź. Rozłączył się.

David zawsze uważał śmierć za przyjaciółkę. Za współniczkę. Za powierniczkę. Towarzyszyła mu od dawna. W przeciwieństwie do większości ludzi nie tylko się jej nie bał, ale wręcz widział w niej możliwą małżonkę. Poślubić śmierć... Co za romantyzm, wręcz toporny, zdanie na miarę Novalisa czy Mishimy, ale sama myśl mu się podobała. Wiedział, że jego cierpienie ma swoją nazwę. Depresja. Nazwa budząca strach niemal taki sam jak słowo „rak”. Wiedział, że zawdzięcza ją swojemu ojcu i starszemu bratu. Temu czarnemu ziarnu, które bardzo wcześnie zasiali w jego mózgu, dzień po dniu, rok po roku dając mu do zrozumienia, że jest rodzinnym nieudacznikiem, brzydkim kaczątkiem. Nawet najmniej utalentowany psycholog potrafiłby w nim czytać jak w otwartej książce. Zdystansowany i władczy ojciec, który zarządzał dziesiątkami tysięcy pracowników i którego aurę wyczuwał każdy gość. Starszy brat, wzorowy spadkobierca, który bardzo szybko przeszedł do obozu ojca, nie szczędząc Davidowi upokorzeń.

Młodszy brat, który przypadkiem utonął w domowym basenie, kiedy David się nim opiekował. Matka zaabsorbowana sobą, zamknięta we własnym wewnętrznym świecie. Papa Freud mógłby napisać książkę na

temat jego rodziny. Zresztą między czternastym a siedemnastym rokiem życia Davida matka wozila go po wszystkich specjalistach w okolicy – a depresja i tak nie ustapila. Byly jednak chwile, kiedy potrafil trzymac ja na dystans, kiedy byla tylko niewyraźnym, groźnym cieniem w słoneczne popołudnie, kiedy mógł się szczerze śmiać, a nawet czuć radość. W innych momentach opadały go ciemności, tak jak teraz, a on bał się, że nadejdzie taki dzień, kiedy już nie zwolnią uścisku.

Tak, śmierć była jakąś opcją... Jedyną – wiedział to – która może go uwolnić od tego cienia.

Zwłaszcza gdyby mogła posłużyć wyciągnięciu z więzienia jedyne go brata, którego nigdy nie miał. Hugona. Hugona, który pokazał mu, jak bardzo jego ojciec nie zasługuje na uznanie i jak wielkim kretynem jest jego rodzony brat. Hugo pomógł mu zrozumieć, że nie ma im czego zazdrościć, że robienie kasy to w gruncie rzeczy banalna sprawa i coś nieskończenie mniej niezwykłego niż stanie się nowym Basquiatem czy Radiguetem. To oczywiście nie wystarczyło. Ale pomogło. Kiedy Hugo był obok, David czuł, że melancholia rozluźnia uścisk. Jednak pobyt przyjaciela w więzieniu uświadomił mu pewną prawdę, którą do tej pory wolał ignorować: Hugo nie zawsze będzie przy nim. Któregoś dnia odejdzie. A wtedy depresja wróci z potrójną mocą, bardziej żarłoczna, bardziej wygłodzona, okrutniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Tego dnia pożre go w całości i wypluje jego pustą duszę jak kupkę kości obgryzionych przez sępa. Już czuł, jak niecierpliwie nad nim krąży, czekając na właściwy moment. Nie miał najmniejszych wątpliwości: jej zwycięstwo było przesądzone. Nigdy nie zdoła się jej pozbyć. To do niej będzie należeć ostatnie słowo. A więc na co czekać?

Wyciągnięty na pogniecionej pościeli z rękami pod głową wpatrywał się w plakat z Kurtem Cobainem przypięty do ściany i rozmyślał o tamtym glinie, ojcu Margot. Straty uboczne, jak mówią bohaterowie niskobudżetowych filmów. Ten policjant to będzie strata uboczna... Biorąc winę na siebie i wciągając gliniarza we własną śmierć, ostatecznie uniewinni Hugona. Ta myśl wydawała mu się coraz bardziej kusząca. Trzeba było tylko, żeby to się udało.

DOPPELGÄNGER

Poruszał się trochę w swojej kryjówce w zaroślach, zrobił kilka ćwiczeń rozciągających. Następnie otworzył termos z kawą i – podobnie jak siedząca kilkaset metrów dalej Samira – położył na języku tabletkę modafinilu, którą popił łykiem arabiki. Dodał do kawy trochę Red Bulla. Napój miał przez to dziwny smak, ale przynajmniej, mimo późnej pory, mężczyzna był aktywny jak Wezuwiusz 24 sierpnia 1979 roku.

Mógł w ten sposób wytrzymać jeszcze wiele godzin.

Widok ze wzgórza był interesujący. Choć zabudowania uczelni znajdowały się w odległości kilkuset metrów, przez lornetkę noktowizyjną mógł zobaczyć wszystko, co się tam działo. Rozpoznał komendanta. Pozostałe osoby były mu nieznane. Zauważył młodą policjantkę przyczajoną w krzakach za uczelnią i jej kolegę siedzącego w samochodzie. Ten ostatni zresztą wcale się nie ukrywał. Hirtmann od razu zrozumiał, że policjant stoi tam po to, by go odwieść od zamiaru zbliżenia się do liceum. Ta myśl mu się spodobała. Był zadowolony, że Martin o nim myśli.

Martin, Martin...

Przywiązał się do tego policjanta. Od jego pierwszych odwiedzin w Instytucie Wargniera, kiedy wypowiadał takie celne uwagi o Mahlerze. Tamtego dnia śnieg sypał gęsto i krajobraz za oknem był biały. Grudniowy mróz przenikał grube kamienne mury Instytutu i zalegał w tej przeklętej niegościnniej dolinie. Elisabeth Ferney przyszła, by go uprzedzić, że będzie miał gości: gliniarza z Tuluzy, funkcjonariuszkę żandarmerii i jakiegoś sędziego. Na miejscu zbrodni, na górze, w elektrowni wodnej znaleźli jego DNA. Materiał genetyczny człowieka zamkniętego w najlepiej strzeżonym ośrodku psychiatrycznym w całej Europie! Uśmiechnął się na myśl o ich zakłopotaniu i zmieszaniu. Jednak kiedy glina wszedł do celi, Hirtmann nie wyczytał na jego twarzy ani jednego, ani drugiego. Szwajcar nie zapomniał tej chwili. Czekał na nich, znalazł sobie jakieś zajęcie. Jego umysł wypełniały pierwsze takty *IV Symfonii* Mahlera, kiedy doktor Xavier wprowadził gości. Wtedy zobaczył Martina po raz pierwszy. Jego uwagi nie umknął sposób, w jaki policjant drgnął, rozpoznając muzykę. Potem, ku jego ogromnemu zaskoczeniu i jeszcze większej radości, Martin

wypowiedział nazwisko: „Mahler”. Hirtmann był zadziwiony. W jego sercu wybuchła radość, kiedy zrozumiał – obserwując i słuchając Martina, poruszony tak bardzo, że trudno mu było to ukryć – że ten, kogo ma przed sobą, to jego *Doppelgänger* – bratnia dusza, sobowtór, który wybrał drogę światła, a nie drogę ciemności. Życie znaczy wybierać, prawda? To jedno spotkanie wystarczyło Hirtmannowi, by zrozumieć, że Martin jest do niego bardziej podobny, niż mógłby przypuszczać. Miał wielką ochotę przekonać go do ich „powinowactwa z wyboru”, ale ucieszył się i tym, że Martin często o nim myślał. Rozpoznał w nim człowieka, który tak jak on sam nie cierpiał wulgarności współczesnych rozrywek, głupiego konsumpcjonizmu dzisiejszych ludzi, ubóstwa ich zainteresowań i gustów, pustoty ich myślenia, stadnych zachowań i nieuleczalnej wręcz miernoty. Człowieka, tak jak on, samotnego. O tak, oni dwaj się rozumieli. Nawet jeśli Martinowi trudno było to przyznać. Byli sobie tak bliscy jak bliźnięta rozdzielone zaraz po narodzeniu.

Od tamtego czasu Hirtmann po prostu nie potrafił przestać myśleć o Martinie. A także o jego byłej żonie Alexandrze i córce Margot. Zdobywał informacje. I tak stopniowo rodzina Martina stała się jakby jego rodziną. Wślizgnął się w życie komendanta bez jego wiedzy i był w nim obecny, nigdy za bardzo się nie oddalając. To było nawet lepsze niż oglądanie reality show, do którego rodziny się wybiera. Hirtmann się tym nie nudził. Wiedział, że to życie zastępcze, ale czuł, że Martin jest mu naprawdę bliski. Patrzył na swoje pozbawione mrocznego oblicza *alter ego*.

Przeniósł uwagę na budynek. Wszyscy właśnie wsiadali do samochodu. Szwajcar zostawił auto pół kilometra dalej, w lesie.

Gdyby ktoś się do niego zbliżył, uruchomiłby zainstalowany przez Hirtmanna ultraczuły alarm.

Siedząc tak w czarnej czapce na farbowanych na blond, krótko ostrzyżonych włosach, przesunął obiektyw lornetki na fasadę bursy, wolną ręką głaszcząc się po czarnej bródce. Poza oknem Margot wszystkie światła były pogaszone. Nagle w pokoju dziewczyny dostrzegł Martina, który rozmawiał z nią, żywo gestykułując. Fakt, że stał się niespodziewanym świadkiem tej małej rodzinnej sceny, napełnił go tak wielkim szczęściem i wywołał takie poruszenie, że Hirtmann był zaskoczony. Psiakrew, czy ty się aby właśnie nie zakochujesz? Mężczyźni nigdy ani trochę go nie pociągali. Zakwestionowanie własnej heteroseksualnej orientacji było dla niego równie nie do pomyślenia, jak wyobrażenie sobie Jana Pawła II zapierającego się katolicyzmu. Jednak ten odczytany, samotny gliniarz wywoływał w nim stan w interesujący,

choć dość odległy sposób przypominający zakochanie. Na tę myśl przy-
czajony wśród drzew Hirtmann mimowolnie się uśmiechnął.

JEZIORO 2

Zaparkował na skraju drogi i czekał na przyzwoitą godzinę. Dzień wstawał powoli, wykazując przy tym cierpliwość, której jemu brakowało. Palił papierosa za papierosem, a kiedy wyciągnął rękę do przodu, zobaczył, że drży jak liść wierzby płaczącej zanurzony w rzece. Ten obraz przypominał mu zdanie, którego wszyscy uczyli się na zajęciach z filozofii.

– Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

Pomyślał, że nigdy nie słyszał trafniejszej sentencji. Zastanawiał się, czy kiedyś kochał dziewczynę, która nie istnieje. Spojrzał na bryłę domu stojącego wśród drzew za ogrodzeniem i ból powrócił. Otworzył drzwi, wyrzucił papierosa i wysiadł z samochodu.

Szedł wzdłuż płotu aż do furtki, wszedł do środka i ruszył zwirową alejką. Poranną ciszę zmaćcił głośny chrzęst kamyków pod jego butami. Ale kobieta i tak nie spała. Rozpoznał to po otwartych drzwiach na szczycie schodów. Była szósta rano, po okolicy nie kręcił się żaden kot, a drzwi były otwarte na oścież. Dla niego... Musiała go zauważyć albo na niego czekała. Zastanawiał się, czy wcześniej wstała, czy może przez całą noc nie zmrużyła oka. Gotów był się założyć, że prawdziwa jest druga odpowiedź. Od jak dawna nie sypia? Niebo wciąż było przytłaczające, powietrze ciężkie. Ale na wschodzie spod szarej warstwy chmur przebijało się słońce. Cały ogród usłany był długimi cieniami. Jeden z nich należał do Servaza. Policjant bez pośpiechu wszedł po schodach.

– Tutaj jestem, Martin.

Głos dochodził z tarasu. Servaz przeszedł przez rząd pokoi. Światło słoneczne wydobywało z cienia jego sylwetkę. Kobieta stała plecami do niego. Wszedł na powietrze. Otoczona zielenią powierzchnia jeziora była nieruchoma. Z dokładnością lustra odbijała ścianę drzew rosnących na drugim brzegu i niebo. Panujący spokój robił wrażenie. Spokój pierwszych poranków świata. W tym czystym świetle nawet trawa na zboczu była bardziej zielona.

– Znalazłeś odpowiedzi, których szukałeś? – Ton, którym zadała to pytanie, był zdystansowany, niemal obojętny.

– Jeszcze nie. Ale jestem blisko.

Odwróciła się powoli i spojrzała na niego. Zmęczona, blada twarz. Czerwone oczy, zapadnięte policzki, suche włosy. Próbował wyczytać z jej oczu jakiś przekaz, ale niczego takiego w nich nie było. Było natomiast cierpienie: to nie była Marianne, którą kochał, nawet nie ta sama, z którą niedawno uprawiał seks.

– Wypuszczą Hugona – powiedział.

– Kiedy?

– Sędzia ma wydać postanowienie dziś rano. Jutro chłopak będzie na wolności.

Pokiwała głową w milczeniu. Zrozumiał, że kobieta nie chce się ekscytować, że czeka, aż będzie trzymać syna w ramionach.

– Rozmawiałem z Francisem. Wczoraj wieczorem.

– Wiem.

– Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

Spojrzała mu prosto w oczy. Głębokie spojrzenie, zielone i migotliwe jak las naprzeciwko. Jej wzrok był niewzruszony – ale nie głos.

– A co ci miałam powiedzieć? Że jestem ćpunką? Naprawdę sądziłeś, że ci to wszystko opowiem tylko dlatego, że się bzyknęliśmy?

Zabolało go to sformułowanie i ton, jakiego użyła.

– Co Francis konkretnie ci powiedział?

– Że... że zaczęłaś brać po śmierci Bokhy.

– Fałsz.

Rzucił jej pytające spojrzenie.

– Wygląda na to, że Francis boi się powiedzieć, by tak rzec, całej prawdy. Może obawiał się twojej reakcji. Nie jest szczególnie odważny.

– Jakiej prawdy?

– Po raz pierwszy spróbowałam narkotyków w wieku piętnastu lat – powiedziała. – Na imprezie.

Zadrzał. Piętnaście lat... Znał już wtedy Marianne, choć nie byli jeszcze razem,

– Fakt, że z niczego nie zdawałaś sobie sprawy, zawsze uważałam za jakiś cud – dodała. – Jak często się wtedy bałam, że się dowiesz, że ktoś ci powie...

– Myślę, że byłem wtedy za młody i zbyt naiwny.

– O tak, byłeś. Ale to nie wszystko: byłeś zakochany. Jak byś zareagował, gdybyś o tym wiedział?

– A ty byłaś zakochana? – odpowiedział pytaniem na pytanie. Spiorunowała go wzrokiem i Servaz przez chwilę zobaczył dawną Marianne.

– Zabraniam ci w to wątpić.

Smutno spuścił głowę.

– Narkotyki – zrozumiał nagle. – Francis już wtedy cię zaopatrywał. Jak mogłem być tak ślepy? Do tego stopnia nic nie widzieć... przez cały ten czas, kiedy byliśmy razem.

Podeszła do niego i przysunęła twarz tak blisko, że widział wszystkie drobne zmarszczki, które z biegiem lat pojawiły się wokół jej oczu i ust, każdy motyw złożonego rysunku jej tęczywek. Zmrużyła oczy i wpatrywała się w niego.

– A więc tak uważasz? Że dlatego cię zostawiłam? Z powodu... dragów? Taką masz o mnie opinię?

Zobaczył ciemny płomień w jej oczach. Gniew. Wściekłość. Wyrzut. Duma... I nagle się zawstydził. Było mu wstyd za to, co właśnie robił.

– Ty idioto! Tamtej nocy powiedziałam ci prawdę. Francis był przy mnie i słuchał mnie, a ty byłeś zagubiony, odległy, byłeś gdzie indziej. Prześladowało cię poczucie winy, wspomnienia, przeszłość. Być z tobą, znaczyło żyć z duchami twoich rodziców, z twoimi lękami, z twoimi koszmarami. Nie dawałam już rady, Martin. Pod koniec było w tobie tyle cienia, a tak mało światła. To było po prostu ponad moje siły. Próbowałam, o tak, Bóg mi świadkiem, że próbowałam. A potem pojawił się Francis, w momencie kiedy najbardziej go potrzebowałam. Pomógł mi się od ciebie oderwać...

– I dostarczał ci dragi.

– Tak.

– Zmanipulował cię, Marianne. Sama to powiedziałaś: manipulowanie ludźmi to jego jedyny talent. I wykorzystał. Przeciwno mnie.

Znowu podniosła głowę. Stanowczość wykrzywiała jej rysy.

– Wiem. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, chciałam mu się odpłacić; znałam jego czuły punkt: pycha. Rzuciłam go. Odeszłam od niego, dając mu do zrozumienia, że nigdy się dla mnie nie liczył, że jest nikim. – W jej głosie było jakieś ogromne znużenie, rozbitcie i poczucie winy, których korzenie sięgały daleko w przeszłość.

– A potem pojawił się Mathieu. Pomógł mi się pozbierać. Nic o tym wszystkim nie wiedział. Patrzył na mnie, jakbym była czysta, bez zarzutu. Bokha dokonał tego, co żadnemu z was się nie udało. Uratował mnie.

– Jak mogłem cię wyciągnąć z czegoś, czego istnienia nie byłem świadomy? – poskarżył się.

Zignorowała tę uwagę. Odwróciła głowę w stronę jeziora i Servaz podziwiał jej profil.

– Kiedy...?

– Wróciłam do ćpania? Po śmierci Mathieu... Jesteśmy w mieście, w którym jest prawie tyle samo studentów co mieszkańców. Nie było trudno znaleźć dostawcę.

– Znasz Heisenberga?

Przytaknęła.

– Margot mi o czymś opowiedziała – zaczął, bo miał już dosyć tamtego tematu. – O scenie, jaką widziała ostatniej nocy w górach. Jezioro Néouvielle, mówi ci to coś?

Zobaczył, że wzrok Marianne się zmienił. Servaz streścił jej to, co usłyszał od córki.

Widział, że w miarę opowiadania zmieszanie i zaskoczenie kobiety rośnie.

– Wczoraj był siedemnasty czerwca – odpowiedziała, kiedy skończył.
– Siedemnastego czerwca 2004 – dodała.

Zaczekał na ciąg dalszy.

– Wypadek autokaru. Pisali o tym na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet. Na pewno pamiętasz...

Tak, coś sobie przypominał jak przez mgłę. Jedna z wielu wiadomości w szumie informacyjnym. Katastrofy, masakry, wojny, wypadki, zabójstwa... Wypadek autokaru. Nie pierwszy i nie ostatni. W tamtym było wiele ofiar, także dzieci.

– Siedemnaścioro zabitych dzieci. I dwoje dorosłych: nauczyciel i strażak – ciągnęła. – Kierowca stracił kontrolę nad pojazdem, który zjechał z drogi i wpadł do jeziora. Ale wcześniej na dwie godziny zawisł na zboczu i kilkoro dzieci zdołało się uratować.

Spojrzał na nią.

– Dlaczego tak dobrze to pamiętasz?

– Hugo był w tym autokarze.

– Znasz Davida, Sarah i Virginie? – zapytał.

Przytaknęła.

– To najlepsi przyjaciele Hugona. Poszli za nim na te kursy. Wspaniali młodzi ludzie. Oni też byli tamtej nocy w autokarze.

Servaz zmierzył ją wzrokiem.

– Chcesz powiedzieć, że zostali uratowani z wypadku tak jak Hugo?

– Tak. Wszyscy przeżyli traumę, jak możesz się domyślać. Pamiętam, jak zabierali stamtąd nasze dzieci. To było potworne. One patrzyły na śmierć swoich kolegów. Miały od jedenastu do trzynastu lat.

– Były leczone?

– Były też pod opieką psychologów. Kilkoro było ciężko rannych. Niektóre zostały kalekami. – Przerwała na chwilę, żeby się zastanowić. – Oni już wcześniej byli sobie bliscy. Ale mam wrażenie, że to zbliżyło ich do siebie jeszcze bardziej. Dzisiaj są jak palce jednej dłoni... – Zawahała się. – Gdybyś potrzebował więcej informacji, zajrzyj do lokalnej gazety, „La République de Marsac”. Dobrze na tej historii zarobiła: wszystkie dzieci były stąd, z tego samego gimnazjum.

Patrzył na nią. Czuł się smutny i pusty. Spojrzała mu w oczy.

– Uprzedzałam cię, Martin: wszyscy, do których się przywiązuję, źle kończą.

Wahał się, czy zadać jej pytanie, które paliło go w ustach od samego początku, odkąd przyszedł. Tak bardzo się bał odpowiedzi. Ale musiał ją poznać.

– Co robił tu Francis niedawno w nocy?

– Szpiegujesz mnie?

– Nie, śledziłem jego. Podejrzywałem go.

– Francis właśnie został porzucony przez kochankę, studentkę z Marsac, tę Sarah, o której mówiłeś. To nie pierwszy raz, kiedy sypia ze swoją uczennicą. I nie pierwszy raz przyszedł do mnie się wypłakać. Dziwne, prawda? Kiedy Francis potrzebuje się komuś wygadać, przychodzi do mnie. On jest bardzo samotny. Tak jak ty, Martin. Sądysz, że to przeze mnie? – zapytała nagle. Wykonała dziwny ruch ręką. – Często się nad tym zastanawiam: co ja z wami robię? Co takiego robię mężczyznom mojego życia, czego nie robią inne kobiety? Dlaczego ja was tak niszczę?

Wstrząsnął nią szloch, ale Servaz nie dostrzegł ani jednej łzy. Jej oczy pozostały suche.

– Nie zniszczyłaś Bokhy – powiedział. Spojrzała na niego.

– Mówiłaś, że był z tobą szczęśliwy.

Pokręciła głową z zamkniętymi oczami. Jej usta wykrzywił grymas goryczy.

– Uważasz, że jestem do tego zdolna? Do tego, żeby dać jakiemuś mężczyźnie szczęście? I skończyć z tym? Na zawsze?

Spojrzeni na siebie. To była jedna z tych chwil, kiedy szala uczuć może się przechylić na jedną lub na drugą stronę. Marianne mogła mu przebaczyć wszystkie jego słowa, myśli, osady... Albo na zawsze wyrzucić go ze swojego życia. A on, czego on chciał?

– Przytul mnie mocno – powiedziała. – Potrzebuję tego. Teraz.

Spełnił jej prośbę. Zrobiłby to także, gdyby o to nie poprosiła. Ponad jej ramieniem patrzył na jezioro, na poranne światło. Od zawsze najbardziej lubił poranki: to była najlepsza pora dnia. Niedaleko brzegu, na dużym, dryfującym kawałku drzewa, stała czapla. Marianne także mocno objęła Servaza, a on czuł, że tonie w jej uścisku, w jej ciepłe.

– Zawsze ze mną byłeś, Martin. W moich myślach. Nawet kiedy byłam z Bokhą, ty byłeś tutaj. Nigdy mnie nie opuściłeś. Pamiętasz: DNŚNR?

Tak. Pamiętał. „Dopóki Nas Śmierć Nie Rozłączy”. Zawsze się żegnali tymi pięcioma literami. Słyszał jej głos i oddech w swoim uchu, jej usta były tuż obok. Zastanawiał się, czy to prawda, czy może jej zaufać. Zdecydował, że tak. Dostyc już miał podejrzliwości, nieufności, zawodu, który rzucał cień na każdy aspekt jego życia. Tym razem było to proste i

oczywiste. Bez wahań, bez potrzeby zadowolenia drugiej strony. Jedna wielka harmonia. Od jak dawna nie kochał się w taki sposób? Poczul, że z nią dzieje się to samo: obydwójce wracali z daleka i zrozumiał, że obydwójce pragną przejść przynajmniej kawałek drogi razem. Uwierzyć w jakąś przyszłość. Czapla na jeziorze wydała przeciągły, samotny okrzyk. Servaz odwrócił głowę akurat wtedy, gdy ptak poderwał się ku burzowemu niebu z mocnym biciem skrzydeł.

PIĄTEK

JEZIORO 3

Śniło mu się, że umiera. Leżał na ziemi z twarzą zwróconą ku niebu, po którym przelatywały z krzykiem tysiące czarnych ptaków. A on się wykrwawiał. Następnie w polu jego widzenia pojawiła się jakaś postać, która schyliła głowę, by na niego popatrzeć. Choć miała na sobie perukę i wielkie okulary, nie miał wątpliwości, kto nad nim stoi. Obudził się, wstrząśnięty, z głową wypełnioną jeszcze ptasim krzykiem. Usłyszał jakieś odgłosy na parterze i poczuł zapach kawy.

Która godzina? Przekreślił się, by sięgnąć po telefon. Cztery nieodebrane połączenia. Ten sam numer. Spał ponad godzinę. Oddzwonił.

– Boże, co ty wyprawiasz? – zapytał Espérandieu.

– Zaraz będę – odpowiedział. – Pojedziemy do „La République de Marsac”. To lokalna gazeta. Poszukaj ich numeru i zadzwoń tam. Powiedz im, że potrzebujemy wszystkich informacji na temat wypadku autokaru z siedemnastego czerwca 2004 roku nad jeziorem Néouvielle.

– Co to za historia z tym jeziorem? Masz jakieś nowe ślady?

– Potem ci wytłumaczę.

Rozłączył się. Marianne weszła do pokoju z tacą. Jednym łykiem wypił sok pomarańczowy i czarną kawę i rzucił się na posmarowaną masłem grzanekę.

– Wrócisz? – zapytała znienacka.

Spojrzał na nią, wycierając usta.

– Przecież wiesz.

– Tak. Myślę, że wiem.

Uśmiechała się. Jej przepastne zielone oczy także się śmiały.

– Hugo niedługo będzie na wolności, ty tutaj... Wszystkie nieporozumienia wyjaśnione. Dawno nie czułam się tak dobrze. To znaczy... Dawno nie byłam taka szczęśliwa.

Zawahala się, wymawiając to ostatnie słowo – tak jakby samo nazwanie szczęścia mogło sprawić, że ono ucieknie.

– Naprawdę?

– W każdym razie nigdy nie było mi do tego tak blisko – poprawiła się.

Wziął prysznic. Po raz pierwszy od początku śledztwa bardziej czuł przyływ sił i ochotę do działania i przenoszenia gór niż zmęczenie. Podobnie jak Margot zastanawiał się, czy ta historia z wypadkiem jest istotna i instynktownie czuł, że tak.

Kiedy był już gotów do wyjścia, wziął Marianne w ramiona, a ona nie stawiała żadnego oporu. Mimo wszystko nie umiał nie zadać sobie pytania, czy od wczorajszego wieczoru coś brała. Jakby odgadła jego myśli, odrzuciła głowę do tyłu, obejmując Servaza w pasie. Byli niemal równego wzrostu.

– Martin...

– Tak?

– Pomożesz mi?

Spojrzał na nią.

– Pomożesz mi z tego wyjść?

Skinął głową.

– Tak. Pomogę ci.

Bokha dał radę. Dlaczego jemu miałyby się nie udać? Potrzebowała miłości. To jedyne możliwe leczenie zastępcze. Przypomniał sobie słowa, które wypowiedziała kilka godzin wcześniej: „Zawsze ze mną byłeś. Nigdy mnie nie opuściłeś”.

– Obiecujesz?

– Tak. Tak, obiecuję.

Redakcja „La République de Marsac” nie przeprowadziła jeszcze digitalizacji swoich archiwów. Na płytach CD znajdowały się tylko numery dziennika z ostatnich dwóch lat. Cała reszta – a zatem także rocznik 2004 – była zapisana na mikrofilmach, w plastikowych pudełkach poukładanych w drewnianej szafie stojącej w głębi korytarza.

– No cóż – powiedział Espérandieu, wpatrując się w ten składzik.

– O, jest 2004. – Servaz wskazał stojące jedno na drugim trzy plastikowe pudełka. Nie jest tego tak dużo. Gdzie możemy znaleźć czytnik? – zwrócił się do sekretarki.

Kobieta zaprowadziła ich do piwnic, do pokoju bez okna. Zamigła anemiczna jarzeniówka i zobaczyli czytnik do mikrofiszek: masywne urządzenie, które, jak wskazywała warstwa kurzu, nie było używane na co dzień. Servaz podwinął rękawy i podszedł do potwora. Mniej więcej znalazł się na obsłudze takiego sprzętu, ale kiedy Espérandieu chciał nastawić ostrość, kręcąc soczewką, ta oderwała się i spadła na podkładkę pod mikrofiszki.

Minał dobry kwadrans, zanim udało im się zamocować ją z powrotem. Na szczęście była cała.

Następnie pootwierali pudełka i szukali fiszki z datą osiemnastego czerwca 2004 roku, czyli dzień po wypadku. Bingo. Tytuł i artykuł już na pierwszy rzut oka przyciągały uwagę:

ŚMIERTELNY WYPADEK AUTOKARU W PIRENEJACH

Siedemnaścioro dzieci i dwoje dorosłych zginęło ostatniej nocy, około 23.15, w wypadku autokaru, do którego doszło nad jeziorem Néouvielle. Według pierwszych doniesień pojazd wypadł z drogi na zakręcie, przewrócił się i przez wiele minut był uwięziony na zboczu między drogą a jeziorem, a następnie zsunął się i wpadł do wody na oczach bezradnych służb ratowniczych. Dziesięcioro dzieci i troje dorosłych zostało uratowanych przez tych samych ratowników, którzy bardzo szybko dotarli na miejsce. Przyczyny wypadku nie są jeszcze znane. Wszystkie ofiary to uczniowie gimnazjum w Marsac. Dzieci były na wycieczce z okazji zakończenia roku szkolnego.

Przeglądali kolejne strony. Artykuły, czarno-białe zdjęcia z miejsca katastrofy. Można było rozpoznać podłużny kształt autokaru, który leżał na zboczu, zanim zsunął się do jeziora. W jasnym blasku samochodowych świateł i reflektorów odcinały się ludzkie postaci. W obiektywie widać było krzyczących i gestykujących strażaków. A potem zobaczyli inne zdjęcie. Jezioro rozświetlone blaskiem dobywającym się z dna. Servaz zadrżał. Spojrzał na Espérandieu. Jego zastępca wyglądał na osłupiałego.

Komendant wyjął slajd z czytnika i wydobył z pudełka kilka innych. W artykułach opublikowanych nazajutrz i w ciągu kolejnych dni podawano dokładniejsze informacje:

Pogrzeby siedemnaściorga dzieci i dwóch pozostałych ofiar tragicznego wypadku autokarowego, do którego doszło przedwczoraj nad jeziorem Nêouvielle, powinny się odbyć jutro. Siedemnaścioro dzieci – w wieku od 11 do 13 lat – było uczniami tego samego gimnazjum w Marsac. Spośród dorosłych ofiar jedna to strażak, który starał się ratować dzieci uwięzione w autokarze, a druga to nauczyciel, który się nimi opiekował. Dorośli, którzy także byli w autokarze w chwili wypadku, ale zostali uratowani, to kierowca i dwoje opiekunów: jeden wychowawca i jeden nauczyciel. Spośród możliwych przyczyn katastrofy śledczy od razu wykluczyli prędkość, a badanie krwi kierowcy wykazało, iż w chwili zdarzenia był on trzeźwy.

Autorzy kolejnych artykułów opisywali pogrzeby, wspominali o cierpieniu rodziców, poruszali czułe struny w duszach czytelników. Publikowano zrobione za pomocą teleobiektywu zdjęcia rodzin pogrążonych w smutku nad trumnami i fotografie z cmentarza. Ogólnie rzecz biorąc – epatowano patosem.

Wzruszenie i skupienie panowało wczoraj w Marsac podczas pogrzebu dziewiętnaściorga ofiar katastrofy autokarowej, na który przybyli ministrowie transportu i szkolnictwa.

Większość ocalonych po koszmarniej nocy spędzonej nad jeziorem Nêouvielle jest w szoku. „Najstraszniejsze – powiedział jeden z nich – były krzyki dzieci”.

Później, gdy emocje opadły, ton artykułów zaczął się zmieniać. Było jasne, że dziennikarze wyczuli zapach świeżej krwi. W dwóch artykułach oskarżano kierowcę.

ŚMIERTELNY WYPADEK NAD JEZIOREM NÉOUVIELLE:

PRZESŁUCHANO KIEROWCĘ
ŚMIERTELNY WYPADEK AUTOKARU:
ODPOWIEDZIALNOŚĆ KIEROWCY?

Zdaniem prokuratora z Tarbes jako możliwe przyczyny katastrofy autokaru, która kosztowała życie siedemnaścioro dzieci i dwóch osób dorosłych w nocy z 17 na 18 czerwca nad jeziorem Néouvielle, na pierwszy plan wysuwają się dwie hipotezy: przyczyna techniczna, związana ze złym stanem pojazdu oraz błąd ludzki. Według zeznań kilkorga dzieci kierowca autokaru, Joachim Campos, lat 31, miał stracić kontrolę nad pojazdem wskutek nieuwagi spowodowanej ożywioną rozmową, którą prowadził z jednym z nauczycieli towarzyszących dzieciom, mimo że kręta i wąska droga wymagała od prowadzącego nieustannej czujności. Prokurator jednak zaprzeczył tej ostatniej informacji, wyjaśniając, że istnieje wiele poszlak, wśród których „bierze się pod uwagę błąd ludzki”, ale zeznania muszą jeszcze zostać potwierdzone.

– Suzanne, dlaczego to zrobiłaś?

Paul Lacaze upychał rzeczy do otwartej walizki leżącej na jego łóżku. Obserwowała go, stojąc na progu. Odwrócił głowę w jej stronę. Pod wpływem spojrzenia, jakim zmierzyła go z głębi zapadniętych przez chorobę oczu, zachwiał się, jakby uderzyła go pięścią. Jakby cała energia, która jej jeszcze pozostała, skupiła się w tym maleńkim blasku czystej nienawiści.

– Ty draniu – wycodziła przez zęby.

– Suzanne...

– Zamknij się!

Z bólem w sercu patrzył na jej zapadnięte policzki, na szarą skórę, na zęby, które wystawały spod bezkrwistych warg jak w czaszce szkieletu, na perukę.

– Chciałem ją zostawić. Chciałem zakończyć ten związek. Rozmawiałem z nią o tym.

– Kłamca.

– Nie masz obowiązku mi wierzyć, ale taka jest prawda!

– To dlaczego nie chcesz powiedzieć, gdzie byłeś w piątek wieczorem?

Zauważył, że miałyby ochotę jeszcze choć trochę mu wierzyć... Tak bardzo chciałby ją przekonać, że ją kocha i że tego, co ze sobą dzielili, nie chciałby dzielić z żadną inną. Żeby przynajmniej tę wiedzę zabrała ze sobą. Chciałby jej przypomnieć dobre chwile, wszystkie te lata, kiedy byli doskonałym małżeństwem.

– Nie mogę ci powiedzieć – odparł smutno. – Tym bardziej teraz. Już raz mnie zdradziłaś. Nie mogę ci zaufać. Jak bym mógł, jeżeli z twojego powodu skończę w więzieniu?

Teraz zobaczył, że ona się zachwiała, a blask w jej oczach zadrżał. Przez moment kusiło go, by wziąć ją w ramiona, ale po chwili mu przeszło. Wymieniali cios za ciosem jak bokserzy na ringu. Zastanawiał się, jak to się stało, że znaleźli się w takim punkcie.

– O Boże! – zawołał Espérandieu, czytając kolejny artykuł.

Servaz nie miał tak dobrego wzroku jak jego zastępca i czytał wolniej od niego maleńkie i niezbyt wyraźne literki na mikrofiszkach, ale kiedy usłyszał ekscytację w głosie Vincenta, jego serce zaczęło bić szybciej. Bolały go oczy, a od kurzu, którego klitka była pełna, zbierało mu się na kichanie. Potarł powieki, pochylił się nad podświetlonym ekranem i czytał:

Przyczyny wypadku nie zostały jeszcze ustalone, ale hipoteza błędu ludzkiego wydaje się potwierdzać. Zeznania ocalałych dzieci zasadniczo się pokrywają: W chwili zdarzenia Joachim Campos, kierowca autokaru, 31 lat, miał być zajęty ożywioną rozmową z jedną z ich nauczycielek, Claire Diemar i zwracając się do niej, kilkakrotnie odrywał wzrok od drogi. Claire Diemar to – obok kierowcy autokaru i opiekuna Elvisa Konstandina Elmaza, lat 21 – jedna z trzech dorosłych osób, które przeżyły tragedię. Czwarty dorosły, który także podróżował z dziećmi, zginął, próbując je ratować.

– Koszmarna historia, co? – odezwał się jakiś głos za ich plecami.

Servaz się odwrócił. Zauważył człowieka około pięćdziesiątki stojącego na progu – rozczochrana czupryna, czterodniowy zarost i okulary na włosach – który stał w progu i patrzył na nich z uśmiechem. Nawet gdyby nie znajdowali się w podziemiach redakcji gazety, Servaz bez wahania przykleiłby mu na czoło odblaskową karteczkę z napisem „dziennikarz”.

– To pan zajmował się tą sprawą?

– Tak jest. – Mężczyzna zrobił kilka kroków w ich stronę. – I niech pan mi wierzy, w całym moim zawodowym życiu to był jedyny raz, kiedy wolałbym oddać gorący temat komu innemu.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Kiedy dotarłem na miejsce, autokar był już w wodzie. Niejedno w życiu widziałem, ale to... Byli tam strażacy z okolicy. Był nawet śmigłowiec górskiego pogotowia ratunkowego. Ci biedni goście byli załamani. Zrobili, co mogli, żeby wyciągnąć jak najwięcej dzieci, zanim autokar zniknął pod wodą, ale nie dali rady uratować wszystkich i jeden z nich poszedł na dno razem z dziećmi. Dwaj inni strażacy, którzy byli w środku, kiedy autokar spadł do jeziora, zdołali wypłynąć na powierzchnię. Mimo, że ten pajac kapitan im zabronił, zanurkowali jeszcze raz i udało im się wyciągnąć jeszcze jedno dziecko, ale inne już nie żyły: potonęły albo zostały zmiażdżone. I przez cały czas trwania akcji, ten pieprzony reflektor ciągle świecił, wbrew wszystkiemu. Mimo że ten autokar był taki zmasakrowany, rozumie pan? Takie, no nie wiem... świetliste oko. Tak, oko pieprzonego mitycznego zwierza, jakiegoś potwora z Loch Ness, wyobraża pan sobie? Który leżał na dnie jeziora z dziećmi w brzuchu. Widać było kształt autokaru. Wydawało mi się nawet, że zauważyłem... Cholera! – dodał.

Słychać było, że ma ściśnięte gardło.

Servaz pomyślał o latarce, która tkwiła w gardle utopionej we własnej wannie Claire i o dziwnie wykręconej pozycji, w jakiej zabójca umieścił kobietę. Z wielkim trudem ukrył poruszenie. Mężczyzna podszedł, zsunął okulary w grubej oprawie na nos i schylił się, by przeczytać to, co było wyświetlone na ekranie.

– Ale najgorszy był moment, kiedy ciała niektórych dzieci zaczęły wypływać na powierzchnię – ciągnął. – Okna były powybijane i autokar leżał na boku. Ponad połowa dzieci została uwięziona w środku, ale po kilku godzinach część pasów puściła i stało się to, co się dzieje ze wszystkimi topielcami, którym nie włożono betonowych butów. Wypłynęły... jak jakieś cholerne balony, unosiły się na powierzchni jak kukły.

Jak lalki w basenie, pomyślał Servaz. Boże Wszechmogący!

Mężczyzna najwyraźniej otrząsnął się ze wspomnień i nagle zrobił minę psa, który zwęszył zakopaną w ziemi kość.

– Ciekawe. Dlaczego gliny z Tuluzy nagle zainteresowały się tą starą historią? – Servaz zobaczył, jak spojrzenie dziennikarza przesuwają się z Vincenta na niego, a potem zaczyna płonąć jak bengalskie ognie. – O jasna dupa! Claire Diemar! Zamordowana wykładowczyni... Ona też była w tym autokarze!

Cholera, rzeczywiście, pomyślał Servaz. Zobaczył, jak nagle uruchamiają się wszystkie tryby reporterskiego mechanizmu.

– O cholera! Ofiara utopiona we własnej wannie! Myśli pan, że zrobiło to któreś z dzieci, tak? Albo jakiś rodzic? Ale dlaczego dopiero po sześciu latach?

– Niech pan wyjdzie – powiedział Servaz.

– Co?

– Spadaj pan.

Zobaczył, że dziennikarz się nachmurzył.

– Uprzedzam pana: jutro w „La République” ukaże się artykuł. Jest pan pewien, że nie ma pan nic do powiedzenia?

– Won!

– Kiepsko – podsumował Espérandieu, kiedy facet wyszedł.

– Szukamy dalej.

Następne artykuły donosiły o zwolnieniu kierowcy z braku dowodów. W miarę upływu czasu były coraz rzadsze. Jedne aktualności wypierały inne. Od czasu do czasu w niektórych numerach przypomniano o tragedii – coraz bardziej zwięzłe – chyba że nagle pojawiał się nowy fakt. Jak w przypadku następującego artykułu:

IRONIA LOSU: DOWÓDCA STRAŻAKÓW

KIERUJĄCY AKCJĄ RATUNKOWĄ PO KATASTROFIE

PRZEKŁĘTEGO AUTOKARU UTONĄŁ W GARONNIE

– Można powiedzieć, że kostucha wyrównuje rachunki – skomentował filozoficznie Espérandieu.

Servaz jednak, czytając pobieżnie artykuł, poczuł, że w jego głowie zapalają się wszystkie lampki alarmowe.

Ostatniej nocy jeden z bohaterów tragedii nad jeziorem Néouvielle zginął w okolicznościach dziwnie przypominających te, w których sam w ubiegłym roku zdołał uratować od śmierci kilka osób. Wydaje się – choć śledztwo dopiero się zaczyna – że były dowódca strażaków, którzy próbowali ratować dzieci poszkodowane w wypadku autokaru nad jeziorem Néouvielle w czerwcu ubiegłego roku, kiedy to śmierć poniosło 17 dzieci, z nieznanymi przyczynami bił się z bandą bezdomnych na moście Pont-Neuf w Tuluzie. Świadek, który z daleka obserwował zdarzenie, zeznał, że między czwórką bezdomnych a ofiarą wywiązała się ostra sprzeczka o papierosa, a potem „wszystko potoczyło się bardzo szybko”. Włóczędzy pobili mężczyznę, a następnie zrzucili z mostu do rzeki. Po tym, jak świadek powiadomił policję, ciało zostało wyłowione, ale było już za późno, gdyż spadając do wody, ofiara uderzyła o filar mostu. Trwają poszukiwania napastników. Bertrand Christiaens, lat 51, został przeniesiony do Tuluzy zaledwie miesiąc wcześniej.

– Cholera! – zawołał Servaz, zrywając się z miejsca. – Dzwon! do wydziału! Potrzebuję wszystkich! Znajdźcie listę wszystkich osób, które brały bardziej lub mniej bezpośredni udział w tragedii i przetrząśnijcie kartoteki! Powiedz im, że to pilne, że prasa już zwąchała sensację! Powiedz im, że dziennikarze zaraz dobiegną nam się do tyłka!

Po włączeniu komputera ustalenie tożsamości właściciela samochodu o numerach rejestracyjnych, które podał jej Drissa Kanté, zajęło Irène Ziegler mniej niż trzy minuty.

Zlatan Jovanovic, prywatna agencja detektywów. Infiltracje/inwigilacje/śledztwa. Do państwa dyspozycji 24/24, 7/7. Rejestracja w Prefekturze.

Podano adres w Marsac...

Irène odchyliła się w fotelu, wpatrując się w monitor komputera. Marsac... A jeśli jej wyjściowa hipoteza nie była właściwa? Jeśli to nie Hirtmann zapłacił za śledzenie Martina? Detektyw w Marsac... Tego miasta dotyczyło śledztwo prowadzone przez Servaza. Spojrzała na zegarek. Miała umówione spotkanie w sądzie w Auch, dokąd wezwano ją w sprawie przemocy w pewnym małżeństwie. Następnie miała się stawić w gabinecie komendanta kompanii. Co najmniej dwie godziny stracone. Pewnie więcej. Potem pojedzie do Marsac, żeby poszukać Zlatana.

Nie miała żadnego nakazu sądowego, ale wiedziała, że na pewno coś wymyśli.

Wstała i sięgnęła po kask, strzepnęła łupież ze służbowej koszuli. Na ścianie wisiał plakat z parą żandarmów pozujących do zdjęcia ku chwale żandarmerii. Najprawdopodobniej modele z pressbooka. Wyglądali jak Barbie i Ken. Ziegler spojrzała na swój mundur i westchnęła.

– Szybko poszło – odezwał się Pujol po drugiej stronie linii. – Joachim Campos, kierowca autokaru, był w rejestrze poszukiwanych.

Rejestr Osób Poszukiwanych. Servaz poczuł uderzenie adrenaliny.

– Z jakiego powodu?

– Niepokojące zniknięcie. 19 czerwca 2008.

Jego serce zaczęło bić z podwójną szybkością. Kapitan strażaków został wrzucony do wody w czerwcu 2005, rok po tragedii. Kierowca autokaru zniknął w czerwcu 2008. Claire Diemar została utopiona w wannie w czerwcu 2010. Ile jeszcze było ofiar? Jedna na rok? Zawsze w czerwcu? Jeden szczegół nie współbrzmiał z resztą: Elvis. Nie pasował do schematu. Był ofiarą zbrodni, którą należało nazwać usiłowaniem zabójstwa i do której doszło zaledwie kilka dni po zamordowaniu Claire.

Czyżby ten, kto za tym wszystkim stoi, postanowił przyspieszyć akcję? Z jakiego powodu? Czy skłoniło go do tego śledztwo prowadzone przez policję kryminalną? Może się przestraszył. Może uświadomił sobie, że Elvis w ten czy inny sposób może ich naprowadzić na jego ślad...

– Zadzwoń do szpitala – rzucił Servaz. – Zapytaj ich, czy jest jakaś szansa, że Elvis wyjdzie ze śpiączki, żebyśmy mogli go przesłuchać.

– Nie ma szans – odpowiedział natychmiast jego zastępca. – Właśnie zmarł wskutek odniesionych ran. Kilka minut temu dzwonili ze szpitala.

Komendant zaklął. Mieli pecha. A jednak byli już bardzo blisko celu – był o tym przekonany.

– Znajdź mi nazwisko świadka w sprawie strażaka wrzuconego do Garonny z Pont-Neuf – powiedział do Pujola. Zamknął klapkę telefonu i odwrócił się w stronę siedzącego za kierownicą Vincenta. – Wracamy do Tuluzy. I zabieramy się do sprawy tego gościa, Camposa.

– Już nie mogę.

Sarah spojrzała na Davida. Jego głos brzmiał, jakby miał się zaraz złamać, kruchy i drżący jak usztywniona szronem pajęczyna. Dziewczyna zastanawiała się, czy David już jest naćpany, czy chodzi o coś innego. Wiedziała, jak głęboka jest jego depresja. Często myślała, że czarny anioł mieszkał w duszy Davida już od dawna, a wypadek był wydarzeniem, które pozwoliło mu rozwinąć skrzydła. Wcześniej siedział gdzieś, przyczajony. Wiedziała o utonięciu w basenie młodszego brata, którego powierzono opiece dziewięcioletniego zaledwie Davida. Wiedziała także o tym, jak skrzywdzili chłopaka ci dwaj dranie: ojciec i brat. Często rozmawiała o tym z Hugonem. Hugo mówił, że David jest jak kaczką z obciętą głową. Hugo ogromnie kochał Davida. Ale David kochał Hugona jeszcze bardziej. Łączyło ich coś więcej niż braterstwo. Sarah nie potrafiła tego wyjaśnić. Była to więź jeszcze silniejsza

I głębsza od tej, która spajała całą ich grupę.

Sarah była wśród tych, którzy jako pierwsi zdołali się wydostać przez okna autokaru, kiedy leżał on jeszcze na zboczu, przytrzymywany przez kilka drzew. Pomógł jej w tym nieżyjący już młody nauczyciel; do tej pory pamięta jego zażenowanie i wybakane przeprosiny, kiedy położył dłonie na jej pośladkach, by jednym ruchem wypchnąć ją na zewnątrz – zanim wrócił, by ratować inne dziecko zakleszczone pod fotelem w trudno dostępnym miejscu. Autokar był już bowiem jedną wielką kupą zmiażdżonego, powyginanego żelastwa. To dziwne, ale dobrze pamiętała okrągłą twarz i równie okrągłe okulary tego nauczyciela (wszyscy w klasie nim gardzili, ponieważ nie potrafił wzbudzić ich szacunku; podczas lekcji był obiektem dowcipów, a Hugo wspaniale go parodiował), a nie potrafiła sobie przypomnieć jego nazwiska. A przecież to jemu Sarah zawdzięczała życie, podobnie jak David i wielu innych członków Kręgu. Skończył na dnie jeziora, razem z innymi ofiarami. Za to na zawsze zapamiętała nazwisko tej nowej, początkującej nauczycielki, uwielbianej przez wszystkich uczniów, w której kochała się większość chłopców. Tej ślicznej szmaty, która uciekła jako pierwsza na czworaka, nie oglądając się za siebie, wyjąc jak histeryczka i pozostawiając dzieci na pastwę losu. Głucha na ich wołanie o pomoc. Claire Diemar. Żadne z nich jej nie zapomniało. Jakże byli zaskoczeni – Hugo, David, Virginie i ona – kiedy znowu spotkali ją na kursach w Marsac. Pamięta, jaka była blada i skrepowana, gdy odczytując listę, przypominała sobie ich nazwiska.

Przez wszystkie te lata Sarah nie zapomniała także tego opiekuna o odlotowym imieniu, który zachowywał się jak młody bandzior. Elvise Elmaza, który namawiał ich do palenia po kryjomu, gdy mieli zaledwie dwanaście lat. Elvise, który pożyczał im swojego walkmana i dawał do

słuchania rocka. Elvise, który wyjaśniał chłopcom, jak się dobierać do dziewcząt i który ją cichcem obmacywał, bo w wieku dwunastu lat wyglądała na szesnaście, ale który potrafił też wpaść w szal i zastraszać ich okropnymi groźbami. „Obetnę ci fiuta i wepchnę ci go do ust, mały, pieprzony dupku” – powiedział któregoś dnia do Hugona, nie pamiętała już dlaczego. Podziwiali go i bali się go jednocześnie. Chcieli być do niego podobni. Aż do tamtej nocy, kiedy zobaczyli, że ten ich półbóg to tchórz.

Nie zapomnieli też dowódcy strażaków. Zabronił swoim ludziom wchodzić do autokaru, mówiąc, że w każdej chwili może się stoczyć do jeziora – prawie wszyscy jednak złamali zakaz, a jeden ze strażaków przyplacił tę akcję życiem. Także dzięki tym dziesięciu nieposłusznym strażakom Krąg liczy dziesięć osób, a nie dwie lub trzy. Był też kierowca, który nie dość, że stracił kontrolę nad pojazdem, ponieważ bardziej zwracał uwagę na Claire Diemar niż na drogę, to jeszcze uciekł jako jeden z pierwszych. Jediną osobą, którą uratował, była właśnie ta podła dziwka. Pewnie dlatego, że była ładna, podobnie jak on był raczej przystojnym mężczyzną i potrafił nieźle nawijać, a także dlatego, że ci dwoje dyskretnie flirtowali w czasie drogi.

– Jak się nazywał ten nauczyciel? – zapytała, po czym przytknęła do warg ustnik fajki wodnej i wciągnęła chłodny dym, który połknęła jednym haustem.

David spojrział na nią szklanym wzrokiem. Wyglądał na kompletnie naćpanego.

– Ten w okularach? – zapytała Virginie. – Ten, który nas uratował? Żaba...

– Nie, to było przezwisko. Nikt nie pamięta, jak się nazywał?

– Maxime – powiedział David rozwlekłe, sięgając po przyrząd, który podała mu Sarah. – Nazywał się Maxime Dubreuil.

Tak. Teraz sobie przypomniała. Maxime, który jakby nie słyszał pierdnieć i gwizdów za swoimi plecami w czasie lekcji. Maxime, który kiedy mówił, ciągle poprawiał sobie okulary na nosie. Maxime, który miał jedno oko martwe i który pewnego dnia, czerwony z wściekłości, wrzeszczał: „Kto to zrobił?” – kiedy któreś z nich napisało na tablicy „Dubreuil Jednooki”. Maxime Dubreuil. Bohater... Jego ciało wyłowiono następnego dnia wraz z innymi ciałami, kiedy dźwig wyciągnął z wody wrak autokaru, a potem oddano rodzinie. Sarah przypomniała sobie jego zapłakaną matkę podczas pogrzebu i drobną żonę, której białe włosy wyglądały jak cukrowa wata. Kobieta drżała jak osika.

Czy Maxime pochwaliliby to, co zrobili potem? Na pewno nie. Dlaczego coraz częściej miała poczucie, że się pomylili? Dlaczego wydawało jej się, że stali się jeszcze gorsi niż ci, którzy zostawili ich na pastwę losu?

– Trzeba się zająć tym gliną – powiedział David.

Jego głos był bezbarwny, słaby. Virginie spojrzała na niego i tym razem nic nie powiedziała. Spotkali się w opuszczonej kaplicy wśród drzew, około dwustu metrów od uczelni, gdzie zazwyczaj przychodzili, by siedząc na podłodze, spiskować, pić i palić jointy.

– Wezmę to na siebie – dodał po chwili.

Podał dalej sziszę. Woda w pojemniku miała już zielonkawy kolor

– Co chcesz zrobić?

– Zobaczycie.

Jak zwykle bywa, sprawa zniknięcia Joachima Camposa zaczęła się od zgłoszenia. Telefonowała jego dziewczyna, która wieczorem 19 czerwca 2008 roku czekała na niego w restauracji La Pergola: najpierw była zdziwiona, że mężczyzna się spóźnia, a potem, kiedy nie przyszedł, wpadła w panikę. W raporcie zapisano, że w ciągu wieczoru dwadzieścia trzy razy próbowała dodzwonić się do niego na komórkę, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Nagrała co najmniej osiemnaście wiadomości – wyrażających niepokój, wściekłość, groźby, panikę, błaganie, co świadczyło o pewnej ewolucji jej myśli.

Kiedy po godzinie wyszła z restauracji, udała się prosto do domu partnera, jakieś piętnaście kilometrów dalej. Nikogo nie zastała. Jego samochodu nie było na parkingu.

Tamtej nocy bardzo źle spała. Według wszystkich zeznań zgromadzonych przez śledczych Joachim był przystojnym facetem i typem podrywacza. Kobieta przez całą noc się zamartwiała. Następnego dnia w pracy źle się poczuła i poszła do jego zakładu. Joachim nie pracował już jako kierowca autobusów. Choć nie wniesiono przeciwko niemu żadnego oskarżenia, pracodawca zwolnił go pół roku po wypadku za inne przewinienie. Został magazynierem w hipermarkecie. W tym zawodzie miał rzecz jasna mniej okazji, by flirtować z pięknymi nieznajomymi. W magazynie narzeczoną poinformowano, że Joachim rano nie stawiał się w pracy. Po południu postanowiła zawiadomić żandarmerię. Od której dowiedziała się, że niewiele da się zrobić. We Francji każdego roku znika

czterdzieści tysięcy osób. Dziewięćdziesiąt procent spośród nich odnajduje się w ciągu kilku tygodni. Każdy dorosły obywatel ma prawo zacząć życie od nowa i zmienić adres, nie informując o tym swoich bliskich ani przyjaciół. W ten sposób postępują zwłaszcza mężczyźni – ale kobiety również. Gdyby chodziło o dziecko, wszczęto by poszukiwania, wysłano by pletwonurków, by sprawdzili okoliczne jeziora. Ale jeśli znika dorosły, oznacza to tylko o jedną cyferkę więcej w statystykach. Żeby zaginięcie uznać za „niepokojące”, musi ono dotyczyć dorosłego w złym stanie zdrowia lub objętego nadzorem kuratora albo też muszą istnieć przesłanki wskazujące, że osoba zniknęła wbrew swojej woli. W tym wypadku nie zaistniała żadna z tych okoliczności.

Jednak narzeczona Joachima Camposa – co można wywnioskować z pięćdziesięciu trzech prób połączenia się z jego telefonem komórkowym, które podjęła w ciągu kolejnych godzin – była osobą upartą. Dopięła swego, kiedy w ostatniej chwili pojawił się świadek, który poinformował, że w wieczór zniknięcia Joachima widział osobę o wyglądzie odpowiadającym jego rysopisowi w starym popielatym mercedesie – a było to zaledwie kilka kilometrów od restauracji, w której miało się odbyć spotkanie. Rzeczywiście, były kierowca autokaru miał popielatego mercedesa, o czym świadek nie mógł wiedzieć. Ponadto – ciekawy szczegół, ujawniony przez tego samego świadka – w samochodzie były jeszcze dwie inne osoby.

– Wszyscy wiedzą, że pan Campos lubił piękne kobiety – powiedzieli żandarmi, patrząc na (byłą?) narzeczoną z ukosa.

– To byli dwaj mężczyźni – sprecyzował świadek. Sprawa została zakwalifikowana jako zaginięcie niepokojące.

Z niejasnych przyczyn proceduralnych przejęła ją policja w Tuluzie, która odczekała minimalny okres, po czym jak to zwykle bywa w takich wypadkach, prokurator czym prędzej umorzył sprawę z braku dowodów. W ten sposób Joachim Campos dołączył do statystycznych trzech procent przypadków osób zaginionych, których nigdy nie odnaleziono.

Servaz kolejno wyjmował kartki z teczki. Połowę podał Espérandieu. Była 14.28.

O 15.12 Servaz zabrał się do przeglądania billingu połączeń przychodzących i wychodzących z telefonu komórkowego Joachima Camposa. Samo urządzenie nigdy nie zostało znalezione, ale na wniosek sądu operator przekazał śledczym wykaz połączeń dla podanego numeru.

Jeden numer powtarzał się bardzo często w wieczór zniknięcia i w następne dni – Servaz nawet bez sprawdzania wiedział, że należy on do upartej narzeczonej zaginionego. W ciągu kolejnych dni z kierowcą próbowały się połączyć także inne osoby: jego siostra, rodzice i jeszcze jedna osoba – jak się później okazało (kiedy Servaz przejrzał raport ze śledztwa), mężatka i matka dwójki dzieci, która od kilku miesięcy miała z Joachimem romans.

O 15.28 Servaz zainteresował się lokalizacją ostatnich połączeń otrzymanych i wykonanych przez Joachima Camposa, to znaczy miejscami logowania jego telefonu w godzinach, które poprzedziły jego zaginięcie i nastąpiły bezpośrednio po nim. Na tej podstawie być może udałoby się odtworzyć jego trasę.

Narzeczone, pomyślał nagle.

Servaz ustalał właśnie drogę jednego z niezliczonych rozpaczliwych połączeń, jakie wykonała z restauracji La Pergola, gdzie, zaniepokojona, jadła samotną kolację.

Kto wie, może twoja wytrwałość wreszcie się opłaci – odezwał się w duchu do kobiety, patrząc na nazwę miejsca na kartce papieru.

– Mapa – powiedział. – Potrzebna mi mapa Środkowych Pirenejów.

Espérandieu spojrzał na niego, zbaraniały.

– Mapa?

Vincent wystukał coś na klawiaturze swojego komputera i otworzył Google Maps.

– Proszę, tu masz mapę.

Servaz spojrzał na ekran.

– Możesz trochę zwiększyć zasięg?

Espérandieu przesunął pionową strzałkę w dół, poszerzając obszar widoczny na mapie; odległości między miejscowościami się zmniejszyły.

– Trochę bardziej na południe i na wschód.

Zastępca zrobił to, o co prosił go Servaz.

– Tu – oświadczył komendant.

Espérandieu popatrzył na wskazany punkt. Restauracja La Pergola.

– Aha. No i co?

– Tu jest restauracja, a tu jest ostatni punkt, w którym logował się telefon Joachima Camposa. Trzydzieści kilometrów od restauracji, ale w kierunku przeciwnym do jego miejsca zamieszkania. Świadek zeznał, że widział kogoś podobnego do Joachima w mercedesie niedaleko restauracji, około półgodziny przed tym, jak maszt zarejestrował pojawienie się Camposa. Świadek widział go w towarzystwie dwóch osób. Jeśli przyjąć, że świadek nie miał zwidów, oznacza to, że Campos nie jechał do siebie.

– I co z tego? Bóg wie, dokąd jechał. Może do tej kobiety, która do niego dzwoniła.

– Nie, to też nie ten kierunek. Ciekawe, że od tego momentu nie wyłapała go żadna stacja BTS, mimo tylu telefonów od jego zrozpaczonej narzeczonej.

– Jakby jego telefon został zniszczony albo wyłączony i wyrzucony – podchwycił Espérandieu.

– Właśnie. To jeszcze nie wszystko. Powiększ bardziej.

Espérandieu jeszcze trochę zjechał kursorem i obszar na ekranie zaczął się powiększać. Servaz przesunął palcem od restauracji do stacji przekaźnikowej i pociągnął linię dalej.

– O cholera – podsumował Vincent, widząc, jak palec jego przełożonego zbliża się do miejsca, którego nazwę w ciągu ostatnich godzin widzieli ze sto razy: jezioro Néouvielle.

Ziegler wsiadła na motocykl przed budynkiem sądu i spoglądając na burzowe niebo, rozmyślała o tym, jak usadziła adwokata z urzędu, kiedy z jej kieszeni dobiegła melodia z *Deszczowej piosenki*. Rozsunęła zamek skórzanej kurtki. Spojrzała na wyświetlacz iPhone'a: Martin.

– Nurkowałeś w Grecji, prawda? – zapytał. – Z butlą czy bez? Natychmiast wzmogła czujność, pomimo, a może właśnie z powodu dziwaczności tego pytania.

– Z butlą – odpowiedziała z rosnącym zaciekawieniem.

– Jesteś w tym dobra?

Zachichotała sucho.

– He, he. Jestem instruktorem federalnym pierwszego stopnia, a to oznacza dwie gwiazdki instruktorskie Światowej Konfederacji Działalności Podwodnej.

Usłyszała gwizd po drugiej stronie słuchawki.

– Brzmi cholernie szpanersko. Rozumiem, że wyrażasz zgodę?

– Martin, skąd to pytanie?

Wyjaśnił jej.

– A ty, nurkowałeś już?

– Raz czy dwa w masce z rurką.

– Pytam poważnie. A z butlą?

– Eee... tak, parę razy. Ale to było dawno temu.

Skłamał. Nurkował z butlą tylko raz w życiu. W Club Med, w basenie. W towarzystwie Alexandry i instruktora.

– Kiedy?

– Eee... Myślę, że jakieś piętnaście lat temu. Może trochę więcej.

– To jest bardzo zły pomysł.

– Jedyne, jaki mam. Nie mamy czasu, żeby czekać na wsparcie sądu i ekipę nurków. W ciągu kilku godzin sprawą zajmie się prasa. Ostatecznie to tylko małe jezioro. I bez rekinów – próbował zażartować.

– To jest cholernie zły pomysł.

– Masz, co trzeba? Mam na myśli sprzęt. Jakiś kombinezon dla mnie?

– Taa... Powinnaś coś znaleźć.

– Świetnie. Za ile po ciebie podjechać?

– Mam spotkanie z komendantem kompanii. Daj mi dwie godziny.

Postanowiła, że Zlatanem Jovanovicem zajmie się później. Co takiego odkrył Martin? Płonęła z ciekawości. Butle do nurkowania, jezioro... I skarb ukryty na dnie, pomyślała.

NURKOWANIE

Było już późne popołudnie, kiedy wjechali na bitą drogę. Z zachodu napływało coraz więcej burzowych chmur. Podskakując na wybojach, dojechali do łańcucha rozciągniętego między dwoma słupkami i napiętego kłódką. Na środku wisiała zardzewiała tablica z napisem:

ZAKAZ KĄPIELI

Ich oczom ukazało się jezioro i zapora. Servaz spojrział na oddalony o dwieście metrów drugi brzeg, nad którym widać było biegnącą ostrym łukiem drogę. To w tym miejscu autokar wypadł z trasy i stoczył się po zboczu. Z tamtej strony do jeziora nie było dostępu: poniżej drogi znajdowało się mniej więcej dziesięciometrowe strome urwisko, na którym rosło tylko kilka starych drzew; ich korzenie, odsłonięte wskutek stopniowego osuwania się terenu, schodziły do wody; na powierzchni, między ich rozgałęzieniami unosiła się warstwa suchych patyków i śmieci. W innych miejscach brzeg był mniej urwisty, ale i tak zbyt stromy, a przede wszystkim za gęsto porośnięty jodłami i krzakami, by dało się nim zejść do jeziora w kombinezonie do nurkowania.

Jedyny dostęp do wody był z drogi, na której się znajdowali.

Servaz wyłączył klimatyzację i otworzył drzwi. Upał natychmiast zwałił mu się na ramiona jak pozostawione na słońcu ubranie. Irène obeszła już jeepa i otworzyła tylne drzwi. Rozbierała się w pośpiechu i Servaz zauważył, że jest bardzo opalona. Patrzył na jej ciało – długie, umięśnione nogi, szczupły tułów, płaski brzuch i małe piersi. Na różowe stringi i biustonosz naciągnęła czarny gumowy kombinezon. Martin zaczął się rozbierać.

– Musimy się pospieszyć – powiedziała, spoglądając na chmury.

W oddali rozlegały się i przewalały grzmoty. Od czasu do czasu niebo przecinała cicha błyskawica. Wciąż jednak nie padało. Wyjęła z bagażnika drugi komplet sprzętu i pomogła Servazowi włożyć kombinezon.

Nieprzyjemny dotyk neoprenu sprawił, że dostał gęsiej skórki. Policjant próbował sobie przypomnieć instrukcje, jakich Ziegler kilkakrotnie udzielała mu w samochodzie i zaczynał żałować swojej inicjatywy.

– Chyba zaraz będzie burza – zauważyła. – Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Nie mam innego – powtórzył.

– A nie można by poczekać do jutra? Ekipa nurków przeczesze jezioro. Jeśli coś w nim jest, znajdą to.

– Jutro „La République de Marsac” wydrukuje artykuł z informacją, że policja szuka związku między wypadkiem a zabójstwem Claire Diemar i na sprawę rzuci się cała prasa. Jeśli coś tu jest, nie chcę, żeby dziennikarze przyjechali tu i oglądali to.

– A gdybyś tak mi jeszcze powiedział, czego szukamy...

– Popielatego mercedesa. I być może kogoś w środku.

– Tylko tyle? – zażartowała.

Przez chwilę chciał się wycofać. Nie zmiękł wyłącznie za sprawą pozostałych w nim resztek dumy. Ziegler wyczytała to w jego oczach i wzdychając, pokręciła głową. Ale nic już nie powiedziała. Powtórzyła tylko instrukcje odnośnie do octopusa i oddychania, założyła butlę na plecy Servaza, poprawiła ją. Potem wyregulowała paski, założyła mu maskę i fajkę, i odpowiednio rozmieściła węże octopusa na jego ramionach i tułowiu.

– To jest KRW – powiedziała, wskazując kamizelkę ratowniczo-wyrównawczą. – Pompujesz ją i spuszczasz powietrze tymi guzikami, tak jak ci pokazywałam. Na powierzchni zawsze ma być napompowana. Dzięki temu będziesz się bez wysiłku unosił na wodzie. Butla jest przymocowana do kamizelki tą taśmą. Butla jest połączona z automatem oddechowym. Wkładasz to do ust, o tak. Jeśli się boisz, że go zgubisz, przygryź lekko gumę.

Spróbował oddychać. Miał wrażenie, że powietrze płynące przez wąż stawia opór, ale uznał, że z pewnością jest to wynik stresu. Jego serce biło ciężko. Irène sprawdziła jego pas i płetwy. Zamocowała mu na nadgarstku urządzenie przypominające duży zegarek – komputer nurkowy.

– Tu jest głębokość, a tutaj temperatura. A tu czas, który upłynął. Tak czy siak, nie będę cię spuszczać z oczu i zostaniemy pod wodą maksymalnie czterdzieści pięć minut. Zrozumiano?

Skinał głową. Próbował się poruszyć. Zrobił dwa kroki w przód, podnosząc wysoko kolana, żeby się nie potknąć w płetwach. Zatrzymał się. Czuł się jak łamaga. Trudno mu było utrzymać równowagę. Butla ciężąca mu na plecach sprawiała wrażenie, jakby ktoś czerpał złośliwą przyjemność z ciągnięcia go do tyłu i Servazowi wydawało się, że za chwilę się przewróci.

Ziegler zatrzasnęła tylne drzwi samochodu. Na ten dźwięk z jodeł i sosen na drugim brzegu jeziora poderwała się chmara ptaków. Pomijając to oraz powiewy ciepłego wiatru i dudnienie przewalających się nad nimi grzmotów, wokół panowała cisza.

– Okay, powtarzamy. Dzień się kończy i pod wodą zaraz zrobi się ciemno. Trzymaj zawsze latarkę przed dłonią, żebyś zrozumiała, co chcesz powiedzieć. Jeśli wszystko jest dobrze, dajesz znak „okay” – połączyła kciuk i palec wskazujący w kółko. – Ponieważ jesteś początkujący, zużyjesz zapasy znacznie szybciej niż ja, pamiętaj, żeby regularnie sprawdzać, ile masz tlenu. Powietrza starczy ci na dobrą godzinę. Gdybyś miał jakiś problem albo gdybyśmy się rozdzielili, machaj latarką na wszystkie strony i nie ruszaj się z miejsca. Przyplynę po ciebie. Czy to jest dla ciebie jasne?

Było jasne, że miał na to coraz mniejszą ochotę. Skinał jednak twierdząco głową, trochę za mocno przygryzając ustnik. Miał ściśnięte szczęki.

– Jeszcze jedno. Wdychaj powietrze, ale nie zapominaj o regularnym wydychaniu. Jeśli pod wodą płuca będą za długo wypełnione powietrzem, zaczniesz cię wypychać na powierzchnię. Gdyby tak się stało, pamiętaj, żeby powoli wypuszczać powietrze. Jeśli powietrze będzie się rozpręczać w twoich płucach w miarę wypływania na powierzchnię, może to być niebezpieczne.

Super. Jakiś duży ptak wydał z siebie ochryply krzyk i poderwał się do lotu, muskając powierzchnię wody.

– To jest kompletny kretynizm – dodała. – Jesteś pewien, że tego chcesz?

Servaz znowu skinał głową.

Ziegler wzruszyła ramionami, odwróciła się i spojrzała na niego, po czym powoli, niechętnie weszła do wody, prawie bezgłośnie klapiąc płetwami i oglądając się na brzeg. Martin poszedł w jej ślady. Przez kombinezon poczuł chłód wody. Nawet mu się to spodobało, ponieważ

zaczynało mu być duszno, nie miał jednak pewności, czy po godzinie spędzonej pod wodą w dalszym ciągu będzie mu tak przyjemnie. Górskie jezioro, pomyślał. To jednak nie Seszele...

Kiedy woda sięgała im po piersi, Ziegler splunęła na szybkę maski, rozprowadziła ślinę po pleksi i wyplukowała maskę w wodzie, po czym założyła ją na oczy. Servaz zrobił to samo. Następnie zanurzył twarz i spojrzał na dno. W wodzie unosiły się miliardy cząsteczek wzburzonego mułu, uniemożliwiając dostrzeżenie czegokolwiek. Servaz miał nadzieję, że gdy znajdą się głębiej, widoczność będzie lepsza.

– Ostatnia rzecz. Kiedy cię puszczę, zostań na mojej wysokości. Nie odpływaj dalej niż na trzy metry. Tak, żebym mogła mieć cię na oku. I pamiętaj, żeby wyrównać ciśnienie – zatkać nos i wypuścić powietrze. To uciszy szумы w uszach. To jezioro jest głębokie, a efekty ciśnienia odczuwa się na głębokości dwóch, trzech metrów.

Pokazał palcami znak „okay”, a ona nieznacznie się uśmiechnęła. Wyglądała na jeszcze bardziej zestresowaną niż on.

– Włóż automat oddechowy do ust – poinstruowała.

Wzięła go za rękę i zaczęli płynąć, ruszając płetwami. Kiedy wypłynęli na szerszą wodę, dała mu znak, by wypuścić powietrze z kamizelki i w chmurze bąbelków powietrza zaczęli schodzić pod wodę.

Servaz potrzebował kilku sekund, by przyzwyczać się do automatu oddechowego i zauważył, że oddychanie pod wodą to dla niego prawdziwy wysiłek. Przypomniwał sobie, jak nurkował w basenie, i choć od tamtego czasu minęło już prawie dwadzieścia lat, pamiętał, że niezbyt mu się podobało.

Choć brzeg był niedaleko, znajdowali się już w ciemnościach, których końca Servaz nie widział, mimo że obydwójce mieli włączone latarki. Irène trzymała go za rękę i prowadziła. Zanurzali się coraz głębiej. Powietrze wdychane przez Servaza świstało, a kiedy wydychał, wokół niego strzelały małe bąbelki. Później w snopie światła ich latarek zaczął się kłębić muł i pojawiło się dno. Nieregularne, spadziste i pokryte całą łąką glonów, która falowała pięć metrów niżej, targana przepływającymi prądami. W tej samej chwili poczuł narastający ból w uszach i usłyszał coraz silniejszy szum. Skrzywił się i puścił Ziegler, by podnieść rękę do ucha. Kobieta natychmiast chwyciła go za kamizelkę i kazała płynąć do góry. Spojrzała na niego przez maskę i gestem pokazała, żeby wyrównał ciśnienie. Wykonał jej polecenie, zatkał nos, zrobił wydech i poczuł, jakby z jego ucha wydobyła się wielka bańka powietrza. Ból ustąpił. Słyszał już tylko

lekki szum, który uznał za znośny. Znowu pokazał palcami znak „okay” i zaczęli płynąć w dół, dwukrotnie wyrównując ciśnienie.

Na dnie otarli się brzuchami o mięsiste warkocze glonów. Płynęli w prawdopodobnym kierunku urwiska, nad którym biegła droga. Irène ciągle trzymała go za rękę. A jednak czuł, że jest na świecie sam. Sam ze swoimi myślami. I ze swoim stresem.

Czuł się lekki.

Jakby był w stanie nieważkości.

Cisza...

Słyszał tylko bulgotanie wokół siebie. I echo własnego oddechu. Wdychanie powietrza przez wąż stało się już łatwiejsze.

Rzucił okiem na komputer.

Piętnaście metrów.

Po chwili Ziegler puściła jego rękę i spojrzała na niego. Dał jej znak, że wszystko jest w porządku i kobieta oddaliła się od niego, płynąc w tym samym kierunku. Servaz rozejrzał się dookoła. Nie było tam nic ciekawego. Byli sami na dnie jeziora. Gdyby coś się stało, nikt nawet nie pomyślałby, żeby ich tam szukać. Servaz poczuł się strasznie słaby i bezbronny. Teraz, gdy Irène nie trzymała go za rękę, jego stres z minuty na minutę wzrastał. Hej, uspokój się, jesteś tylko parę metrów pod wodą, wystarczy nabrać powietrza w płuca i napompować kamizelkę, żeby wypłynąć na powierzchnię.

Ale Ziegler mówiła mu o konieczności przestrzegania poziomów dekompresji. Nawet na takiej głębokości. I o tym, że ważne jest, aby nie wpadać w panikę. Cholera. Spojrzał w górę i zobaczył słabe światło. Raczej szare niż niebieskie. Może zaczęła się burza. Ta myśl jeszcze bardziej go przestraszyła i znowu zaczął mieć trudności z oddychaniem. Uspokój się. Zrób wydech. Skupił się nad tym, co miał przed sobą, i skierował strumień światła na muliste dno. Odwróciwszy głowę, zobaczył Irène, która świecąc to tu, to tam, prowadziła poszukiwania w odległości zaledwie trzech metrów od niego, poruszając się swobodnym, falującym ruchem jak syrena. Nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Mógł sobie krzyczeć, nie usłyszałyby go... „Gdybyś miał jakiś problem albo gdybyśmy się rozdzielili, machaj latarką na wszystkie strony i nie ruszaj się z miejsca. Przyłynę po ciebie”...

Dno jeziora stało się bardziej nieregularne – skały, pnie drzew, małe wypukłości, które trzeba było przekraczać, słowem pejzaż równie

zróżnicowany jak na górze. Zaczęło też przypominać dzikie wysypisko śmieci. Servaz oświetlił latarką wielki pień, wzbił się nieco wyżej, by przekroczyć tę przeszkodę, i zanurkował, płynąc w kierunku łąki glonów. Dalej dno zaczęło wyraźnie się wznosić. Rzucił okiem na Irène. Nie zdając sobie z tego sprawy, oddalili się od siebie jeszcze bardziej i Servaz poczuł, że znowu opanowuje go panika. Był sam ze sobą, za cienką szybką z pleksi, na którą napierały tysiące metrów sześciennych złej wody.

Przed jego nosem przepłynęła ławica małych rybek, lśniących srebrzystym blaskiem.

Trochę dalej, wśród glonów i mułu coś leżało. Być może jakieś urządzenie gospodarstwa domowego zrzucone z brzegu, do którego, jak wskazywało wznoszące się dno, było coraz bliżej. Było tu także więcej śmieci. Servaz machnął płetwami, by tam podpłynąć. Dostrzegł już wśród roślinności blady odblask szyby i jakiegoś metalowego przedmiotu. Jego serce zaczęło bić szybciej. Czuł mieszanek podniecenia i strachu. Mimo niecierpliwości i ciekawości zmuszał się, by powoli wypuszczać powietrze. – Jeszcze dwa machnięcia płetwami. Zobaczył go. Popielaty mercedes Joachima Camposa. Niemal nietknięty, mimo toczącej go rdzy. Korozja zjadła połowę tablicy rejestracyjnej, została jednak litera X albo Y, dwa zera i czytelne cyfry oznaczające departament: 65.

Coś było w środku.

Za kierownicą.

Servaz widział go przez przednią szybę pokrytą cienką przezroczystą błoną.

Był blady.

I nieruchomy.

Patrzył prosto przed siebie.

Człowiek, który kiedyś był kierowcą autokaru.

Poczuł, że krew w jego żyłach za bardzo się burzy, że serce bije zbyt mocno, a on za szybko oddycha. Okrążył samochód, szarpiąc się, i niezdarnie podpłynął do drzwi od strony kierowcy.

Wyciągnął rękę i nacisnął na klamkę. Spodziewał się, że będzie zablokowana, tymczasem wbrew jego oczekiwaniom drzwi otworzyły się, wydając zduszone przez wodę skrzypnięcie. Nie było jednak dość miejsca, by otworzyć je na oścież: koła były zakopane w podłożu i dolna część drzwi szorowała o dno.

Servaz przez szparę zajrzał do środka i oświetlił sylwetkę za kierownicą.

Postać siedziała na swoim miejscu, przytrzymywana tym, co zostało z pasów bezpieczeństwa. Gdyby pasy puściły, po kilku dniach gazy rozdełyby trupa i pływałyby on pod sufitem. Strumień światła wydobył z ciemności szczegóły, których Servaz wolałby nie widzieć: długotrwałe zanurzenie zmieniło tkanę tłuszczową w tłuszczowosk, inaczej „trupią tłuszcz”, substancję w dotyku przypominającą mydło i Joachim wyglądał jak doskonale zakonserwowana woskowa figura. Proces saponifikacji powstrzymał rozkład ciała i zachował je w takim stanie przez wszystkie te lata. Owłosienie uległo zniszczeniu i Servaz miał przed sobą łysą, woskową głowę, wystającą z pozostałości kołnierzyka koszuli. Naskórek na dłoniach wystających z postrzępionych rękawów oddzielił się i wyglądał jak dwie nieskazitelnie białe rękawiczki – to również typowy proces u topielców. Oczy zniknęły, a w ich miejscu widniały dwie czarne dziury. Servaz uświadomił sobie, że samochód do pewnego stopnia uchronił trupa przed drapieżnikami. Oddychał coraz szybciej. Miał już okazję oglądać nieboszczyków, ale nigdy nie robił tego dziesięć metrów pod wodą na dnie jeziora, skrzepowany skafandrem. Woda stawała się coraz zimniejsza. Zadrżał. Narastające ciemności, odblask światła, a teraz ten trup... Dwutlenek węgla z trudem wydobywał się na zewnątrz i zatruchiwał mu mózg. Servazowi było coraz trudniej oddychać.

A potem policjant zauważył dziurę w pobliżu skroni. Pocisk trafił w policzek obok lewego ucha. Obejrzał otwór. Strzał z przyłożenia.

Nagle wydarzyła się rzecz niewiarygodna. Trup się poruszył! Servaz poczuł, jak narasta w nim panika. Strzępy koszuli na martwym tułowi zafalowały po raz drugi i policjant gwałtownie się cofnął. Uderzył głową w jakiś metalowy element nadwozia. Poczuł, że zahaczył o coś automatem oddechowym, i na myśl, że zabraknie mu powietrza, na moment ogarnęło go przerażenie. Wydmuchał z siebie chmurę rozpaczliwych bąbelków. Działając pod wpływem szoku, wypuścił z ręki latarkę, która wolno opadła na podłogę auta, między nogi nieboszczyka, zalewając ciało, deskę rozdzielczą i sufit pojazdu strumieniem jasnego światła.

W tej samej chwili ze strzępów koszuli wypłynęła maleńka rybka i zniknęła w oddali. Servazowi szumiało w uszach. Brakowało mu powietrza, w jego skroniach pulsowała krew. Uświadomił sobie, że zapomniał sprawdzić manometr. Wyciągnął rękę, sięgnął między pedały i nogi topielca po latarkę i zaczął nią wymachiwać na wszystkie strony, by wezwać pomoc.

Gdzie jest Ziegler?

Nie miał odwagi, by czekać. Zrobił kilka rozpaczliwych ruchów płetwami w kierunku powierzchni. Upłynął zaledwie kilka metrów i znalazł się w płataninie białych, porozgałęzianych korzeni.

Poczuł, że coś trzyma go za nogę. Miotał się wściekle, by się wyswobodzić, kiedy jakiś inny kawałek drzewa gwałtownie uderzył w jego maskę. Ogłuszony, próbował ruszyć się w lewo, a potem w prawo, ale znowu wpadł w twarde, sztywne korzenie. Były wszędzie! Był uwięziony przez to kłębowisko, które wcześniej widział z daleka, zaledwie kilka metrów pod powierzchnią! Jego latarka musiała się zepsuć, ponieważ dostrzegł już tylko szarość, która wyżej była nieco jaśniejsza, a w dole zupełnie czarna, oraz zagmatwaną sieć makabrycznych korzeni wokół siebie. Czuł, że traci zmysły, że nie jest już zdolny do refleksji. Nie miał odwagi zawrócić ani zanurkować niżej. Za wszelką cenę musiał znaleźć drogę ku górze.

Teraz!

Nagle końcówka automatu oddechowego została wyrwana z jego ust. Przerażony, znalazł ją po omacku i szarpnął, ale urządzenie zakleszczyło się między gałęziami albo korzeniami! Przyłożył do niej usta i łapczywie wciągnął tlen. Jeszcze raz szarpnął i ustnik znowu mu wypadł. Coś się nie zgadzało... Automat wciąż był podłączony do butli. Jak to możliwe, że zaklinował się wśród korzeni? Znowu przytknął go do ust i zrobił wdech. Szarpał rozpaczliwie, usiłując wydobyć urządzenie. Nic z tego. Panika go zaślepiła. Wokół siebie słyszał trzaskające bąble powietrza – objaw własnego oszołomienia.

Nie chciał zostać ani minuty dłużej w tej wodzie, złapany w potrzask. Odpiął taśmy butli. Miotając się, uwolnił się z uprzęży. Po raz ostatni zaczerpnął powietrza z aparatu.

Następnie chwycił korzenie i szarpał je na wszystkie strony, ale w wodzie miał za mało siły. Bił płetwami, ciągnął, zapierał się, naciskał nogami. Rozległ się głuchy trzask. Torował sobie drogę ku górze, na oślep, wślizgnął się w mysią dziurę, podciągnął się wyżej, uderzył się, potrzęsnał, podczołgał się, wyrwał się, znowu się uderzył, uwolnił się i płynął, płynął, płynął ku górze.

Deszcz przyszedł od zachodu. Jak wojsko napadające na jakiś kraj. Najpierw przednia straż w postaci gwałtownych podmuchów wiatru

i błyskawic zapowiedziała jego nadejście. A potem nad lasami i drogami rozszalała się ulewa. To nie był zwyczajny deszcz, ale istny potop spadający z nieba. Walił w dachy i ulice Marsac, szybko przepełniając studzienki, smagał stare kamienne fasady domów, a potem przesunął się nad wieś. Zalewał pagórki, które znikwały przykryte ciężkim, płynnym całunem, i siekł powierzchnię jeziora, kiedy głowa Servaza przebiła warstwę gałęzi i śmieci pływających między korzeniami przy samym brzegu.

Maska przywarła mu do twarzy jak przyssawka. Musiał mocno szarpnąć, by ją zdjąć i miał wrażenie, jakby zrywał ją razem z policzkami. Szeroko otworzył usta i wielkimi, łapczywymi haustami łykał chłodne powietrze. Pozwolił, by deszcz lał mu się na język. Pokręcił głową dookoła i jego przerażenie wróciło. Która godzina? Ile czasu spędził pod wodą, skoro zdażył zapaść zmrok? Usłyszał, jak Ziegler przebija się na powierzchnię obok niego. Chwyliła go w ramiona.

– Co się stało? Co się stało?

Nie odpowiedział. Kręcił głową na prawo i lewo z szeroko otwartymi oczami, z maską na czole. Krople deszczu stuknęły w neoprenowy kombinezon. Usłyszał niedaleko uderzenie pioruna. I szum ulewy bijącej w powierzchnię jeziora.

– Boże! – zawył. – Widzisz mnie?

W dalszym ciągu trzymała go za ramiona. Rozglądała się dookoła i zastanawiała się, jak dopłynąć do brzegu i wspiać się na strome zbocze, czepiając się gałęzi i korzeni. Odwróciła się do niego. Spoglądał na wszystkie strony, ale, co dziwne, na niczym nie zatrzymywał wzroku. Nie patrzył na nią.

– Widzisz mnie? – zapytał, tym razem głośniejszym głosem.

– Co? Co?

– NIC NIE WIDZĘ! JESTEM ŚLEPY!

Obserwował ich, cichy i niewidoczny jak cień. Jak jeden z wielu cieni. Nie zdawali sobie sprawy, że jest tak blisko. Nawet sobie nie wyobrażali, że może być w okolicy. Zdjął czarną czapkę, by poczuć, jak deszcz uderza o jego czaszkę przez krótko przycięte, ufarbowane na blond włosy. Pogłaskał się po czarnej, ociekającej wodą bródce z uśmiechem na ustach i błyszczącymi w półmroku oczami.

Szedł za nimi aż do tej opuszczonej, zrujnowanej kaplicy, gdzie najwyraźniej mieli zwyczaj się spotykać. Zaszył się w krzakach i przez od dawna pozbawione witraża okno słuchał dyskusji, jaką toczyli przy fajce wodnej. Musiał przyznać, że byli znacznie bardziej interesujący niż średnia statystyczna, niż wszyscy ci prymitywni półanalfabeci. Teraz lepiej rozumiał, w jaki sposób Martin stał się taki, a nie inny. To miejsce kształtowało całkiem obiecujących dorosłych. Wyobraził sobie szkołę zbrodniarzy, która w podobny sposób formowała swoich studentów. Pomyślał, że mógłby w niej wykładać, i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Siedząc przyczajony w krzakach w strumieniach deszczu, patrzył, jak młodzi ludzie ubrani w szeleszczące skafandry, w kapturach na głowach, wychodzą z kaplicy i ruszają ścieżką przez las w stronę liceum. Z kaplicy dawno już zniknął Chrystus i wszelkie inne oznaki kultu. Walały się tu puszki po piwie, puste butelki po coca-coli, opakowania po lekach hamujących apetyt i strony gazet pokryte reklamami – ordynarnym symbolem innej religii: dominującej i bezpłodnej religii masowej konsumpcji.

Hirtmann nie był wierzący, ale musiał przyznać, że niektóre religie, zwłaszcza chrześcijaństwo i islam, prześcignęły wszystkie inne w zakresie stosowanych tortur i okrucieństwa. On sam chętnie pobawiłby się wymyślnymi narzędziami zaprojektowanymi przez podobnych sobie średniowiecznych geniuszy, którzy w owych czasach cieszyli się pełną swobodą w rozwijaniu swoich talentów. Głosiłby kazania z taką samą elokwencją, jakiej używał na salach sądowych, by wsadzić za kratki tych, których niewinność można było zakwestionować. Tymczasem przygotowywał się do roli sędziego i kata. Zamierzał na swój sposób odkurzyć stary dowcip o polarnym polewaczu*.

Początkowo sądził, że uzurpator – ten, który odważył się zająć jego miejsce i podszyć pod niego – to jeden spośród tych młodych ludzi. Ale słuchając ich i wędzając tu i tam, zrozumiał swoją pomyłkę. Ironia tej sytuacji objawiła mu się z całym swym okrucieństwem. Biedny Martin... Tyle już wycierpiał. Być może po raz pierwszy w życiu Hirtmann poczuł, że daje się ponieść porywowi współczucia i braterstwa. Prawie miał łzy w oczach. Sam był zaskoczony, że Martin ma na niego taki wpływ. Było to cudowne, przepyszne zaskoczenie. Martin, mój przyjaciel, mój brat, pomyślał. Zamierzał srogo ukarać winnego. Ponieważ jego wina była podwójna, poniesie podwójną karę: za przestępstwo obrazy majestatu i za zdradę.

* *Arroseur arrosé*, film braci Lumière (1895), w którym ogrodnik za sprawą fortelu małego chłopca sam zostaje oblany wodą, którą podlewał ogród (przyp. tłum.).

Karę, która na zawsze czerwonymi literami zapisze się zarówno na jego ciele, jak i w jego umyśle.

SZPITAL

Krwotok siatkówkowy – orzekł lekarz. – Prawo Boyle’a-Mariotte’a: $p_1 \times V_1 = p_2 \times V_2$. Zmianie ciśnienia towarzyszy zmiana objętości masy gazu. Tak jak wszystkie inne gazy, powietrze wewnątrz pana maski zostało poddane zmianie ciśnienia. A zatem uległo sprężeniu, kiedy pan nurkował i rozprężeniu, kiedy się pan wynurzał. Padł pan ofiarą barotraumy: urazu spowodowanego zbyt gwałtownymi zmianami ciśnienia atmosferycznego. Nie wiem, co się stało tam na dole, ale obuoczna utrata widzenia zdarza się raczej rzadko. Nawet chwilowa. Ale niech się pan nie boi, nie będzie pan niewidomy na zawsze.

Super, pomyślał Servaz. Nie mogłeś tego powiedzieć wcześniej, dupku?

Niski, dobrze postawiony głos i pedantyczny akcent doktora wkurzały Martina. Prawdopodobnie gdyby miał okazję zobaczyć go w całości, byłoby podobnie.

– Krwotok może potrwać jakiś czas – ciągnął uczonym głosem. – Nastąpiło uszkodzenie plamki żółtej, strefy najostrzejszego widzenia. Z przykrością muszę panu powiedzieć, że na to schorzenie nie ma specyficznego leczenia. Można jedynie oddziaływać na przyczynę. A w tym wypadku przyczyna zniknęła; pozostaje zatem czekać, aż rzeczy same wrócą do poprzedniego stanu. Może się jednak okazać, że aby umożliwić panu odzyskanie pełnego widzenia, potrzebny będzie zabieg. Zobaczymy. Tymczasem zatrzymamy pana na obserwację. Będzie pan nosił ten opatrunek na oczach. Niech pan pod żadnym pozorem nie próbuje go zdjąć.

Servaz skinął głową, krzywiąc się. Nic więcej nie mógł zresztą zrobić. Nie widział.

– Można powiedzieć, że nie działa pan na pół gwizdka – zażartował doktorek.

Martin miał ochotę odpowiedzieć mu coś złośliwego, ale paradoksalnie to zdanie zabrzmiało dla niego pocieszająco. Z pewnością ze względu na lekki ton, jakim zostało wypowiedziane.

– No dobrze, wpadnę do pana niedługo. Niech pan odpoczywa.

– Gość ma rację – powiedziała siedząca obok Ziegler, kiedy kroki lekarza się oddaliły. – Nie działasz na pół gwizdka.

Poznał po głosie, że Irène się uśmiecha. Wywnioskował stąd, że ona także otrzymała pocieszające wiadomości.

– Powiedz, co ci mówił.

– To samo co tobie. To może potrwać kilka godzin albo kilka dni. I jeśli będzie trzeba, zrobią ci operację. Ale odzyskasz wzrok, Martin.

– Fajnie.

– To był błąd.

– Co?

– To nurkowanie.

– Wiem.

– Będę musiała złożyć wyjaśnienia przełożonym. Skrzywił się. Wiedział, że Irène znowu będzie miała kłopoty.

I po raz kolejny przez niego.

– Przykro mi. Wezmę wszystko na siebie. Sprawdzę z Sartetem i prokuratorem, czy nie można wystawić wstecznego nakazu. Jeśli nie, zeznam, że cię okłamałem i powiedziałem ci, że go mam. Potwierdzą to, jeśli mnie przesłuchają.

– Mhm. W każdym razie z tego powodu mnie nie zwolnią. Zresztą niczego gorszego niż mi zrobili, już nie zrobią. Poza tym mamy trupa: to wszystko usprawiedliwia, no nie?

– A co z samochodem i ciałem?

– Tym razem się postarali; wyciągają to wszystko z jeziora. Mają zrobić sekcję dziś w nocy. Wszyscy są w stanie gotowości.

Słyszał narastający huk burzy za oknem pokoju i zwykle szpitalne odgłosy za drzwiami: głosy pielęgniarek, echo kroków w korytarzu, łoskot pchanych wózków.

– Jestem tu sam?

– Tak. Chcesz, żebym postawiła kogoś przy drzwiach?

– Po co?

– Nie pamiętasz, że poprzedniej nocy ktoś do ciebie strzelał? Nic nie widzisz, jesteś jeszcze bardziej bezbronny. A to jest szpital. Młyn. Ciągłe ktoś wchodzi i wychodzi.

Westchnął.

– Nikt poza policją nie wie, że tu jestem – odpowiedział.

Uścisnęła mu dłoń. Potem usłyszał, jak odsuwa krzesło.

– Powinieneś teraz odpocząć. Chcesz coś na uspokojenie? Pielęgniarka może ci coś dać.

– Ale tylko w płynie. I żeby miało co najmniej dwanaście lat.

– Obawiam się, że tego nie ma na liście leków refundowanych. Odpoczywaj. Muszę coś sprawdzić.

Wstała cicho. Martin wyczuł napięcie w jej głosie.

– Brzmi poważnie.

– Bo takie jest. Jutro rano powiem ci więcej. W ogóle muszę ci opowiedzieć o paru rzeczach.

– Jakich?

– Jutro.

Ziegler zatrzymała się pod daszkiem osłaniającym wejście do szpitala i spojrzała na tonący w strugach deszczu parking. Na ciemniejszym niebie zobaczyła błyskawicę w kształcie łuku elektrycznego. Po chwili powietrze zadrżało od grzmotu.

Zasunęła zamek kurtki, włożyła kask i pobiegła w stronę motocykla. Ruszyła, na wszelki wypadek trzymając stopy blisko podłoża i wolno opuściła parking: letnia ulewa zamieniła drogę w rwący potok. Jechała w kierunku centrum Marsac, jak cień wślizgując się w opustoszałe ulice, zwalniając na zalanych wodą kocich łbach. Była prawie ósma wieczór i Ziegler zastanawiała się, czy zastanie mężczyznę w jego domu czy raczej w biurze. Adres firmowy był bliżej. Kiedy podniosła oczy na żółtą fasadę niezbyt eleganckiego budynku w centrum miasta, zauważyła, że w oknach na ostatnim piętrze pali się światło. Jej instynkt łowiecki natychmiast się obudził. W jej żyłach płynęła adrenalina. To prawda, Irène dawno już nie była na prawdziwym polowaniu, takim, które dostarcza emocji porównywalnych z uniesieniami w czasie seksu lub jazdy na motorze. Zaparkowała na chodniku, zdjęła kask, przyglądała mokre blond włosy

i ruszyła ku drzwiom. Nie było domofonu ani elektrycznego zamka, Ziegler weszła więc po skrzypiących schodach na ostatnie piętro, zostawiając na stopniach mokre ślady. Nacisnęła na guzik domofonu.

– Taa? – odezwał się jakiś głos dwadzieścia sekund później.

– Pan Jovanovic?

– Mhm.

– Nazywam się Irène Ziegler i chciałabym skorzystać z pańskich usług.

– Zamknięte. Niech pani przyjdzie jutro.

– Chciałabym poprosić o śledzenie mojego męża. Wiem, że nie podaje pan stawek, ale jestem gotowa dużo zapłacić. Proszę, niech mi pan poświęci kwadrans.

Przez kilka sekund panowała cisza, którą maćił tylko szum domofonu. Po czym rozległo się brzęczenie elektrycznego zamka i Ziegler pchnęła drzwi, które z początku stawiały opór. Zobaczyła małe mieszkanie, w którym czuć było stęchlizną i papierosowym dymem. Na końcu korytarza, za uchylonymi drzwiami paliło się światło. Podeszła do drzwi i pchnęła je. Złatan Jovanovic właśnie zamykał sejf z dokumentami. Stary model, niewiele bezpieczniejszy od szafy. Prawdziwemu zawodowcowi sforsowanie takiego zamka zajęłoby najwyżej minutę. Zrozumiała, że zadaniem sejfu jest robić wrażenie na klientach. Taka prywatna sztuczka, którą facet powtarzał z każdym nowym gościem: zamykanie dokumentów w sejfie. Ważne papiery na pewno były gdzie indziej: pewnie w formie plików w zaszyfrowanej pamięci jakiegoś komputera. Zamknął ciężkie drzwiczki i przekręcił gałkę. Po czym opadł na dyrektorski obrotowy fotel.

– Słucham panią.

– Niezła sztuczka z tym sejfem. Robi wrażenie.

– Proszę?

– To dość stary model, prawda? Znam przynajmniej dwadzieścia osób, które otworzyłyby go w opasce na oczach i z jedną ręką przywiązaną na plecach.

Zobaczyła, że mężczyzna zmrużył oczy.

– Pani tu nie przyszła z powodu niestałego męża, mylę się?

– Co za przenikliwość.

- Kim pani jest?
- Drissa Kanté, mówi to panu coś?
- Nigdy nie słyszałem.

Kłamał. Leciutkie zwięźenie źrenic. Mimo że usiłował zachować twarz pokerzysty, to nazwisko było dla niego jak policzek.

– Słuchaj, Zlatan. Mogę cię tak nazywać? Naprawdę nie mam dużo czasu. Więc może pominęlibyśmy grę wstępną...

Wyjęła z kieszeni pendrive i położyła go na blacie przed Zlatanem.

- Podobny do tego, który dałeś Kantému?

Mężczyzna nawet nie spojrzał na urządzenie. Wpatrywał się w nią.

- Powtarzam pytanie: kim pani jest?

– Osoba, która cię wsadzi za kratki, jeśli nie będziesz odpowiadał na moje. Mam na myśli pytania.

- Moja działalność jest legalna. Jestem zgłoszony w prefekturze.

– A instalowanie oprogramowania szpiegowskiego w komputerach policji także jest legalne?

Znowu wyglądał na poruszonego. Ale tylko przez maleńki ułamek sekundy. Musiał świetnie grać w pokera.

- Nie wiem, o czym pani chce rozmawiać.

– Pięć lat pierdła. Tyle ci grozi. Poproszę o zastosowanie okazania. Zobaczymy, czy Kanté cię rozpozna. Poza tym mamy świadka. Jego znajoma jechała za tobą i spisała numery twojego auta. Nie mówiąc już o właścicielu knajpy, który wiele razy widział cię z Drissą. Zaczyna być tego sporo, nie? Wiesz, co będzie? Sędzia śledczy poprosi o zatrzymanie cię, a sędzia się zgodzi. Wystarczy, że poświęci dziesięć sekund twojej dokumentacji. Wierz mi, przy tylu dowodach nie będzie wątpliwości. Areszt tymczasowy masz jak w banku.

Wiercił się w fotelu. Mimo że miał minę ważniaka, Ziegler zauważyła w jego czarnych oczach znajomy błysk: strach.

- Wyglądasz, jakbyś się nagle cholernie zdenerwował.

- Czego pani chce?

– Nazwiska twojego klienta. Tego, który ci zlecił śledzenie komendanta Servaza.

– Jeśli to zrobię, mój biznes jest spalony.

– Myślisz, że w pierdlu będziesz mógł dalej prowadzić ten interes? Twój klient to morderca. Chcesz być oskarżony o współudział?

– A co ja z tego będę miał?

Westchnęła. Nie dysponowała żadną kartą przetargową: nie miała zezwolenia na przesłuchanie ani nakazu. Gdyby to się wydało, tym razem mogła być pewna zwolnienia.

– Chcę tylko nazwiska. To wszystko. Jeśli je dostanę, wychodzę stąd i kasujemy pamięć. Nikt się o niczym nie dowie.

Otworzył szufladę biurka. Ziegler się cofnęła. Sięgnął wielką łapą do środka. Podążała za nim wzrokiem, gotowa rzucić się na niego przez biurko. Wyjął tekturową teczkę i położył przed nią. Zauważyła, że mężczyzna ma obgryzione paznokcie.

– Jest w środku.

Stojąc w strugach deszczu, Lacaze podziwiał wejście do nowego pałacu sprawiedliwości. Było już po ósmej wieczorem i zastanawiał się, czy człowiek, którego szuka, będzie jeszcze w gabinecie. Wyrzucił papierosa i w deszczu ruszył w stronę przeszklonego holu.

„Nowy pałac” otworzył swoje podwoje kilka miesięcy wcześniej. Architekci zachowali wyjściowy układ starych budynków i podwórek od strony rue des Fleurs, ale przedłużyli budowlę za pomocą bardzo nowoczesnych dobudówek, epatujących sztuczną wymową szkła, cegieł, betonu i stali, która miała oznaczać ustępstwo na rzecz skromności i dynamizmu. Lacaze zauważył, że ich wybór nieświadomie odzwierciedlał stan wymiaru sprawiedliwości w tym kraju: ultranowoczesna fasada i hol przy wejściu maskowały zużycie i brak środków, którymi naznaczona była cała budowla.

Próba modernizacji skazana na porażkę.

Zanim przepuszczono go przez bramkę bezpieczeństwa, musiał opróżnić kieszenie i położyć ich zawartość na małym stoliku. Następnie przeszedł zwieńczony szklanym dachem hol i skreślił w lewo, mijając drzwi sal rozpraw. Tam, na obsadzonym palmami dziedzińcu, czekała na niego kobieta, z którą się umówił. Żeby dostać się dalej, trzeba było mieć identyfikator, którego Lacaze nie posiadał.

– Dziękuję, że na mnie poczekałaś.

– Jesteś pewien, że on jeszcze będzie? – zapytała kobieta, pokazując swój identyfikator i popychając pancerne drzwi.

– Powiedziano mi, że pracuje do późna.

– Ale umawiamy się: nie wygadasz mu, że to ja cię wpuściłam.

– Możesz być spokojna.

Servaz usłyszał, że drzwi jego pokoju się otwierają, i przez chwilę był naprawdę przestraszony.

– O mój Boże – rozległ się donośny głos Cathy d’Humières. – Jak pan to robi, że ciągle pan wpada w takie tarapaty?

– To tylko tak poważnie wygląda. – Uśmiechnął się z ulgą.

– Wiem. Właśnie rozmawiałam z lekarzami. Martin, gdyby pan mógł siebie zobaczyć. Wygląda pan jak aktor z tego włoskiego filmu z lat sześćdziesiątych: *Król Edyp...*

Uśmiechnął się szerzej i poczuł, że mięśnie jego twarzy rozciągają wielki opatrunek przyklejony do skroni i czoła.

– Chcesz kawy? – odezwał się inny głos.

Servaz rozpoznał swojego zastępcę. Wyciągnął rękę i Espérandieu wsunął w jego dłoń kubek z gorącym napojem.

– Myślałem, że po dwudziestej nie ma odwiedzin – powiedział. – Która godzina?

– Dwudziesta siedemnaście. Mamy specjalne pozwolenie.

– Nie będziemy tu długo siedzieć – powiedziała prokurator. – Pan powinien odpoczywać. Jest pan pewien, że kawa to dobry pomysł? O ile dobrze zrozumiałam, dostał pan coś na uspokojenie.

– Mhm.

Chciał odmówić, ale pielęgniarka nie dała mu wyboru. Nie musiał jej widzieć, by zrozumieć, że nie żartuje. Kawa była wyraźnie kiepska, ale zaschło mu w gardle: wypiłby cokolwiek.

– Martin, jestem tu jako pańska przyjaciółka, to śledztwo znajduje się w wyłącznej gestii Sądu Okręgowego w Auch, ale mówiąc między nami, porucznik Espérandieu wyjaśnił mi, co i jak. O ile dobrze zrozumiałam, sądzi pan, że wszystkich tych ludzi zabił ten sam morderca z powodu tamtej katastrofy autokaru. Taki byłby motyw?

Przytaknął. Byli już całkiem blisko. W tym kierunku należało szukać: Krag, wypadek, śmierć strażaka i kierowcy. Mieli rozwiązanie przed samym nosem. Ale w głębi duszy czuł jakąś wątpliwość. Przyszła mu do głowy, kiedy jechali nad jezioro i przygotowywali się do nurkowania. Coś nie grało... Jeden element, który nie pasował do innych. Nie potrafił jednak wskazać, o co chodzi, a migrena bynajmniej mu w tym nie pomagała.

– Przepraszam, że nie odpowiadam – powiedział. – Ale okropnie boli mnie głowa.

– Oczywiście – przeprosiła Cathy d’Humières. – Omówimy to wszystko, jak się pan lepiej poczuje. A tymczasem nie mamy żadnych wieści o Hirtmannie – zauważyła, zmieniając temat. – Powinien pan mieć strażnika przed drzwiami.

Przeszedł go dreszcz. Co jest, wszyscy chcą pilnować jego drzwi...

– Nie ma potrzeby. Nikt nie wie, że tu jestem, poza załogą karetki, która mnie przywiozła, i kilkoma żandarmami.

– Tak. W porządku. Ale Hirtmann kilka razy dał o sobie znać. Nie podoba mi się to, Martin. Ani trochę.

– Zostanę tu chwilę – włączył się Espérandieu. – Tak na wszelki wypadek.

– Świetnie. Skończymy jutro, jeśli nie będzie pan spał. Jeśli to będzie konieczne, dostanie pan białą laskę – dodała, otwierając drzwi pokoju.

Servaz machnął ręką.

– Dobranoc, Martin.

– Chyba nie zamierzasz tu siedzieć całą noc? – odezwał się do zastępcy, kiedy drzwi się zamknęły.

Usłyszał szuranie przesuwanego fotela.

– Wolałbyś pielęgniarkę? Ale w tym stanie nie wiedziałbyś nawet, czy jest ładna czy brzydka.

Ziegler zamknęła teczkę. Siedzący po drugiej stronie biurka Zlatan Jovanovic wpatrywał się w nią. W jego oczach dostrzegła jakiś błysk... Coś, czego jeszcze przed chwilą nie było. Kiedy czytała, miał czas, żeby się zastanowić. Czy rzeczywiście kupił tę bajkę, że ona stąd wyjdzie i zapomni

o tym, co robił? A może uzmysłowił sobie, że nie pokazała mu żadnego oficjalnego dokumentu? Natychmiast wzmożła czujność.

– Zabieram to – powiedziała, wskazując na teczkę.

Nie odezwał się, tylko nadal na nią patrzył. Wstała. On również. Spojrzała na jego wielkie łapy wiszące wzdłuż ogromnego ciała. Były spokojne. Drissa Kanté miał rację: facet musiał ważyć dobre sto trzydzieści kilogramów. Powoli wyszedł zza biurka. Ziegler stała obok swojego krzesła, czekając, aż mężczyzna minie ją i pójdzie przodem, gotowa do uniku, gdyby się na nią rzucił. Ale niczego takiego nie zrobił, tylko poszedł przed siebie ciemnym korytarzem. Sięgnęła do kieszeni skórzanego kombinezonu, tam, gdzie trzymała broń, i ruszyła za nim, wpatrując się w jego szerokie plecy. Nagle zniknął za otwartymi drzwiami po prawej stronie. Nie zdążyła zareagować. W pomieszczeniu było ciemno. Czym prędzej wyjęła i odbezpieczyła broń.

– Jovanovic! Niech się pan nie wygłupia! Niech się pan pokaże!

Trzymała pistolet gotowy do strzału i wpatrywała się w ciemność, która zaczynała się za futryną, zaledwie metr od niej. Zastygła w miejscu, wahając się, czy iść dalej. Nie chciała narażać się na to, że z ciemności wyskoczy na nią sto trzydzieści kilogramów mięsa, a wielkie łapy zaczną w nią walić jak maczugi.

– Niech pan stamtąd natychmiast wychodzi, do cholery! Zlatan, bo pana kropnę!

Nic. Na Boga! Krew szumiała jej w tętnicach. Myśl! Na pewno jest za rogiem, przyczajony, z jakimś przedmiotem albo i spluwą w dłoni. Trzymała pistolet oburącz, tak jak ją uczono. Jedną ręką zwolniła chwyt i zsunęła ją powoli do kieszeni, w której trzymała iPhone'a.

Nagle usłyszała pstryknięcie z drugiej strony i serce w jej klatce piersiowej wykonało salto, kiedy światło zgasło i mieszkanie pograżyło się w ciemnościach. Blask błyskawicy na chwilę oświetlił korytarz, po czym na zewnątrz rozległ się trzask pioruna i znowu zapanował półmrok. Jedyne źródło światła wpadającego przez okno pustego pokoju po lewej stronie były uliczne latarnie i neon kawiarni na dole. Spływający po szybach deszcz rzucał cienie, które wiły się po podłodze jak czarne węże. Poczula, że jej zdenerwowanie rośnie wykładniczo. Od początku zdawała sobie sprawę, że nie ma do czynienia z amatorem. Nie wiedziała, co facet robił, zanim został prywatnym detektywem, ale była pewna, że zna wszystkie chwyt i sztuczki. Pomyślała o tym, co Zuzka powiedziałaby w takiej sytuacji.

„Straszno”.

Sędzia Sartet właśnie miał zamknąć na klucz drzwi swojego gabinetu, kiedy jego uwagę zwróciły kroki w korytarzu.

– Jak się pan tu dostał?

– Zapomina pan, że jestem posłem – odpowiedział gość.

– Ten budynek jest jak durszlak. Wydaje mi się, że nie byliśmy umówieni. A ja już na dzisiaj skończyłem urzędowanie. O ile mi wiadomo, już panu uchylono immunitet, panie pośle – zażartował. – Niech się pan nie niepokoi, przesłucham pana w swoim czasie. Jeszcze z panem nie skończyłem. To dopiero początek.

– Nie zajmę panu wiele czasu.

Sędzia źle ukrywał złość. Ach, ci politycy, wszyscy są tacy sami. Myślą, że stoją ponad prawem, wszystkim się wydaje, że służą państwu, podczas gdy służą wyłącznie samym sobie.

– Czego pan chce, Lacaze? – zapytał, nawet się nie siląc na uprzejmość. – Nie mam czasu na intrygi.

– Chcę panu coś wyznać.

Od uderzenia pioruna zatrzęsły się szyby. W tej samej chwili zadzwonił telefon i Servaz gwałtownie podskoczył. Z bijącym sercem wyciągnął rękę i po omacku szukał telefonu na nocnej szafce, ale Espérandieu go ubiegł.

– Nie, jestem jego zastępcą... Tak, jest obok... Tak, już go daję... Vincent wetknął mu aparat do ręki i wyszedł na korytarz.

– Halo?

– Martin? Gdzie jesteś?

Głos Marianne.

– W szpitalu.

– W szpitalu? – wyglądało na to, że jest poważnie zaskoczona i przestraszona. – Co się stało?

Opowiedział jej.

– O Boże! Chcesz, żebym do ciebie wpadła?

– Po dwudziestej nie ma odwiedzin – odpowiedział. – Jutro, jeśli masz ochotę. Jesteś sama?

– Tak, dlaczego pytasz?

– Zamknij drzwi na klucz. I okiennice. I nikomu nie otwieraj, okay?

– Martin, przerażasz mnie.

Siebie też, pomyślał i o mało nie odpowiedział: „Umieram ze strachu. Uciekaj. Nie zostawaj w tym pustym domu. Idź na noc do kogoś, póki jeszcze nie dopadł cię ten świr”.

– Nie masz się czego obawiać – powiedział zamiast tego. – Ale zrób, co ci mówię.

– Dzwonili do mnie z prokuratury – mówiła dalej. – Hugo jutro wychodzi. Płakał w słuchawkę, kiedy z nim rozmawiałam. Mam nadzieję, że to doświadczenie go nie... – Nie dokończyła zdania. Servaz domyślił się, że kobieta jednocześnie odczuwa ulgę, radość i niepokój. – Co byś powiedział, gdybyśmy to uczcili we trójkę?

– To znaczy?

– Hugo, ty i ja – wyjaśniła.

– Marianne, nie uważasz, że to trochę... przedwczesne? Poza wszystkim, jestem też tym gliną, który go zamknął.

– Może masz rację. – Wyczuł jej rozczarowanie. – W takim razie kiedy indziej.

Zawahał się.

– Ta kolacja... Czy to znaczy, że...?

– Przeszłość jest przeszłością, Martin. Ale przyszłość to także ładne słowo, nie uważasz? Pamiętasz ten język, który wymyśliliśmy? Który znaliśmy tylko my?

O tak, pamiętał, bardzo dobrze pamiętał. Przełknął ślinę. Poczł, jak wilgotnieją mu oczy. Całe to wzruszenie to na pewno skutek działania leku i adrenaliny, która wciąż krążyła w jego żyłach.

– Tak, tak, oczywiście – odpowiedział ze ściśniętym gardłem. – Jak mógłbym...

– *Sweetsnów*, Martin – powiedział głos w słuchawce. – Dbaj o siebie, proszę. Ja... Do zobaczenia niedługo.

Po pięciu minutach jego telefon znowu zadzwonił. Tak jak poprzednio, Espérandieu odebrał i podał mu słuchawkę.

– Komendant Servaz?

Od razu rozpoznał młodzieńczy głos, choć miał zupełnie inną intonację niż wtedy, gdy słyszał go poprzednio.

– Właśnie dzwoniła do mnie matka. Dyrektor więzienia powiedział mi, że jutro rano skoro świt będę wolny, że nie mają już przeciwko mnie żadnych zarzutów.

Mimo późnej pory Servaz słyszał w słuchawce charakterystyczny więzienny hałas,

– Chciałem panu podziękować...

Poczuł, że się czerwieni. Zrobił tylko to, co do niego należało. Ale wydawało się, że chłopak po drugiej stronie jest bardzo poruszony.

– Eee... wykonał pan dobrą robotę – powiedział. – Wiem, ile panu zawdzięczam.

– Śledztwo nie zostało zakończone – uściślił Servaz pospiesznie.

– Tak, wiem, podobno ma pan inny trop. Ten wypadek autokaru?

– Ty też tam byłeś, Hugo. Musimy o tym porozmawiać. Oczywiście jeżeli będziesz w stanie. Wiem, że to nie jest miłe wspomnienie. Ale chciałbym, żebyś mi opowiedział o tym, co się wydarzyło tamtej nocy.

– Oczywiście. Rozumiem. Sądzi pan, że mordercą może być jedna z uratowanych osób, prawda?

– Albo rodzic którejś z ofiar – sprecyzował Servaz. – Odkryliśmy. .. – Zawahał się, czy mówić dalej – odkryliśmy, że kierowca autokaru również został zamordowany. Tak jak Claire, Elvis Elmaz i prawdopodobnie dowódca strażaków. To nie może być zbieg okoliczności. Jesteśmy już blisko rozwiązania.

– O Boże – wyszeptał Hugo. – A więc może nawet go znam.

– To możliwe.

– Nie chcę panu już przeszkadzać. Powinien pan odpoczywać. W każdym razie chcę, żeby pan wiedział, że będę panu dozgonnie wdzięczny za to, co pan zrobił. Dobranoc, Martin.

Servaz odłożył telefon na nocną szafkę. Czuł dziwne wzruszenie.

– O ile dobrze rozumiem pańskie słowa – powiedział wolno sędzia, z podbródkiem opartym na złączonych palcach obu dłoni – tego wieczoru, kiedy zginęła Claire Diemar, był pan w Paryżu w towarzystwie prawdopodobnego przyszłego kandydata opozycji do wyborów prezydenckich.

Sędziemu przestało się już spieszyć do domu. Całkowicie. Paul Lacaze skinał głową.

– Tak jest. Wracalem w nocy autostradą. Mój kierowca może to potwierdzić.

– I oczywiście poza kierowcą są także inne osoby, które w razie potrzeby będą mogły to poświadczyć? Ten kandydat opozycji na przykład? Albo jego najbliższe otoczenie?

– Tylko w razie konieczności. Ale mam nadzieję, że nie będziemy musieli posuwać się aż tak daleko.

– Dlaczego nie powiedział pan o tym wcześniej?

Poseł uśmiechnął się smutno. Pałac sprawiedliwości opustoszał i na korytarzach panowała cisza. Przypominali dwóch spiskowców. I w sumie nimi byli.

– Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to się wyda, moja kariera polityczna będzie skończona. I wie pan tak samo dobrze jak ja, że w tym kraju nie istnieje coś takiego jak tajemnica śledztwa, że każda sprawa w końcu dociera do prasy. Rozumie pan więc, że ogromnie trudno było mi powiedzieć o tym w tych pomieszczeniach albo w siedzibie policji.

Szczęki sędziego śledczego zacisnęły się. Nie lubił, kiedy ktoś kwestionował uczciwość przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości.

– Ale ryzykując, że zostaną panu postawione zarzuty, również bardzo pan naraził swoją karierę.

– Nie miałem czasu. Musiałem zareagować... i wybierać między jednym a drugim złem. Oczywiście nie przewidziałem, że on przyjedzie tego samego wieczoru, kiedy... kiedy to się stało. Dlatego jak najszybciej musi pan znaleźć winnego, panie sędzio. Wtedy zostaną oczyszczeni, ci, którzy sugerowali, że mogę być winny, stracą wiarygodność, a ja powrócę do pierwszych rzędów jako nieskazitelny polityk, którego próbowano zniszczyć.

– Ale dlaczego zdecydował się pan na te wyznania akurat teraz?

– Ponieważ, o ile dobrze rozumiem, macie inny trop. Sprawę tamtego wypadku...

Sędzia zmarszczył brwi. Najwyraźniej poseł był dobrze poinformowany.

– I?

– W takim razie być może nie trzeba nigdzie zapisywać tej naszej nieformalnej rozmowy. Zresztą nie widzę tu żadnego kancelisty – powiedział Lacaze, rozglądając się demonstracyjnie.

Sartet uśmiechnął się pod nosem.

– Stąd ta późna wizyta.

– Mam do pana całkowite zaufanie – oświadczył poseł z naciskiem. – Ale tylko do pana. Znacznie mniej ufam tym, którzy pana otaczają. Zachwalano mi pańską uczciwość.

Sędzia z uśmiechem przyjął to nieco grubo ciosane pochlebstwo, ale choć nie dał tego po sobie poznać, wywołało ono pożądaną skutek. Poza tym schlebiali mu i to, że on, prosty sędzia śledczy, mógł się znaleźć w samym sercu państwowej afery.

– Informacje na temat pańskiego związku z tą nauczycielką zaczęły już wyciekać do prasy – zauważył. – One także mogą zaszkodzić pana karierze. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę stan zdrowia pańskiej małżonki...

Na czole Lacaze a pojawiła się bruzda, ale mężczyzna zbył ten argument machnięciem ręki.

– Mimo wszystko znacznie mniej niż związki z wrogą partią albo morderstwem – odpowiedział. – A list, który napisałem do Claire krótko przed jej śmiercią, wpadnie przypadkiem w ręce dziennikarzy. Można się z niego dowiedzieć, że postanowiłem z nią zerwać, aby całkowicie poświęcić się chorej żonie. Że nie chciałem już spotykać się z nią, ale z całą energią i oddaniem być przy Suzanne. Żeby było jasne, ja naprawdę napisałem ten list. Jest absolutnie autentyczny. Z tym, że nie zamierzałem go upubliczniać.

Sartet przeszył rozmówcę spojrzeniem. Czuł do niego mieszankę obrzydzenia i podziwu.

– Niech mi pan powie jedną rzecz. W tym ryzykownym spotkaniu z opozycją chodzi o powtórzenie tego, co zrobił Chirac w 1981, tak? Dogaduje się pan z prawdopodobnym kandydatem do przyszłych wyborów

prezydenckich, zapewnia mu pan duże poparcie swojej partii w drugiej turze, a potem, za pięć lat, staje pan przeciwko niemu.

– To już nie te czasy – poprawił go Lacaze. – Ludzie z mojej partii na pewno nie zagłosują na kandydata opozycji, chyba że jego polityka gospodarcza będzie rozsądna i sprawdzona gdzie indziej. I pod warunkiem że nie zgadzają się z wizją obecnego prezydenta. Obawiam się jednak, że jego notowania tak czy siak są zbyt niskie, by zapewnić mu reelekcję.

– To jednak oznacza, że osoba, z którą spotkał się pan w ostatni piątek, wygra prawybory w swojej partii i będzie kandydatem opozycji na prezydenta – zauważył sędzia, który wyglądał na coraz bardziej rozbawionego. – Za dwa lata...

Lacaze odwzajemnił jego uśmiech.

– Istnieje takie ryzyko.

Ktoś zapukał. Servaz odwrócił głowę w stronę drzwi. Usłyszał, że Vincent ruszył się z fotela.

– O, przepraszam – odezwał się młody męski głos. – Przyszedłem zobaczyć, czy zasnął.

– Nie ma problemu – odpowiedział Espérandieu.

Drzwi się zamknęły. Vincent przeszedł przez pokój i fotel zaskrzypiał pod jego ciężarem. Na korytarzach było teraz ciszej. Deszcz za oknem nie przestawał padać i ciągle słychać było grzmoty.

– Kto to był?

– Pielęgniarka. Albo stażysta.

– Wracaj do siebie – powiedział.

– Nie, w porządku. Mogę zostać.

– Kto pilnuje Margot?

– Samira i Pujol. I dwóch żandarmów.

– Idź do nich. Tam się bardziej przydasz.

– Jesteś pewien?

– Jeżeli Hirtmann chce mi się dobrać do skóry, zaatakuje ją. – Jego głos lekko zadrżał. – Nawet nie wie, że tutaj jestem. Poza tym będzie wolał

kobietę... Boję się, Vincent. Będę spokojniejszy, jeśli będziesz tam z Samirą.

– A ten ktoś, kto do ciebie strzelał? Co o tym myślisz?

– To samo. Nie wie, że jestem tutaj. Poza tym strzelać do kogoś w nocy w środku lasu to nie to samo co strzelać w szpitalu.

Domyślił się, że jego zastępca się zastanawia.

– W porządku. Możesz na mnie liczyć. Nie odstąpię Margot na krok.

Espérandieu chwycił rękę Servaza i położył ją na telefonie.

– Na wszelki wypadek – powiedział.

– Okay. Zmykaj. Zadzwoń do mnie, jak tam dojedziesz. Dzięki.

Usłyszał, jak drzwi się zamykają. Zapadła cisza. Zza okna dochodziły odgłosy burzy, rozlegające się jak echo we wszystkich zakątkach nieba. Jakby odpowiadały sobie nawzajem. Otaczały szpital.

Z ulicy dobiegło ostre trąbienie klaksonu. Po nim rozległ się grzmot. Ziegler wyczuła ruch za swoimi plecami. Zrozumiała, że wyszedł przez inne drzwi, by zaatakować ją od tyłu, i czekał na jakiś hałas, by przejść do działania. Za późno... Potężny cios pięści dosięgnął jej skroni, tak że upadła na kolana. Była ogłuszona. Szumiało jej w uszach. Zdażyła tylko odwrócić głowę, by odrobinę zmniejszyć wstrząs w chwili uderzenia.

Kopnął ją w żebra, straciła dech w piersiach i zwinęła się w kłębek na podłodze. Chciał wcelować w brzuch, ale ponieważ leżała skurczona w pozycji embrionalnej, osłaniając głowę rękami, z podciągniętymi kolanami i ściśniętymi łokciami, udało mu się to tylko częściowo. Zasypał więc serią kopniaków jej biodra, nerki i uda.

– Pieprzona dziwka! Naprawdę myślałaś, że mnie wykiwasz? Za kogo ty mnie uważasz, szmato?

Wyzywał ją, nie przestając jej kopać. Z jego ust tryskały fontanny śliny. Ból był straszliwy. Miała wrażenie, że jej łokcie, plecy i ramiona są już miazgą. Schylił się, złapał ją za włosy i uderzył jej twarzą o podłogę. Z jej nosa trysnęła krew, przed oczami zobaczyła chmurę czarnych punkcików i przez chwilę myślała, że zemdleje. Kiedy ją puścił, podniosła drżącą rękę do nosa. Krwawiła. Złapał ją za kostki, mimo że się szarpała, przewrócił ją na brzuch i całym ciężarem zwałił jej się na plecy, przygniatając ją do podłogi. Wbił kolano w jej nerki. Chwycił ją za

nadgarstki, wykręcił ręce na plecy i poczuła, jak spina je kajdankami, zaciągając tak mocno, że boleśnie wpiły jej się w ciało.

– Kurwa! Rozumiesz, co będę musiał teraz zrobić? Rozumiesz, kretynko?

Jego głos był jednocześnie wściekły i płaczliwy. Nie miała cienia wątpliwości, że zaraz może ją zabić. Zastrzelić albo roztrzaskać jej głowę. Ale jeszcze się wahał. Zabicie gliny to jednak był cholernie poważny krok, decyzja, która wymagała refleksji. Być może miała jeszcze niewielką szansę...

– Nie rób głupstw, Zlatan! – zawołała przez nos, który był pełen krwi.
– Kanté o wszystkim wie, moi przełożeni też! Jeśli mnie zabijesz, dostaniesz dożywocie!

– Zamknij się! – Znowu ją kopnął, tym razem lżej, ale trafił w już obite miejsce i Ziegler skrzywiła się z bólu. – Naprawdę masz mnie za idiotę, co? Nawet nie pokazałaś odznaki! I nie masz nakazu! Kantem się zajmę. Kto jeszcze wie? – Kolejny kopniak. Zagryzła zęby. – Nie chcesz gadać? Nie martw się, radziłem sobie z twardszymi.

Splunął na podłogę. Następnie schylił się, przeszukał jej kieszenie, wyjął iPhone'a i podniósł pistolet, który wypadł jej na podłogę. Wielką łapą rozpiął jej skórzaną kurtkę i przelotnie pogłaskał piersi przez koszulkę. Po czym odszedł do swojego gabinetu, zostawiając ją skrępowaną i przerażoną na środku korytarza.

Servaz nie spał. Po prostu nie potrafił zasnąć. Zbyt dużo pytań. W jego żyłach kofeina ścigała się z podanym przez pielęgniarkę środkiem uspokajającym i nie wiedział, która z substancji jako pierwsza dobiegnie do mety: arabica, adrenalina czy bromazepam.

W pokoju panowała absolutna cisza. Słyszał tylko dudnienie burzy na zewnątrz i coraz bardziej odległy odgłos kroków za drzwiami. Próbował sobie wyobrazić, jak wygląda jego pokój, ale nie potrafił. Ostrożnie dotknął opatrunku na oczach, który przypominał niewygodną, sztywną opaskę do spania. Czuł się kompletnie zagubiony.

Wpatrywał się w pustkę przed sobą i myślał.

Odkrycie trupa w mercedesie dowodziło słuszności jego intuicji: morderstwa były związane z wypadkiem autokaru. Bójka dowódcy strażaków z kloszardami według wszelkiego prawdopodobieństwa była jedynie inscenizacją, która miała odwrócić podejrzenia. Rzekomi bezdomni

nigdy nie zostali odnalezieni. Morderca – lub mordercy – okazał się bardzo sprytny: znalezienie związku pomiędzy nieszczęśliwie zakończoną bójką w Tuluzie a zaginięciem człowieka sto kilometrów stamtąd trzy lata później to dla śledczego rzecz trudna, niemal niemożliwa. Nie mówiąc już o innych sprawach dotyczących pozostałych bohaterów tej tragicznej nocy, które – był o tym przekonany – miały jeszcze wyjść na jaw.

Ale coś się nie zgadzało.

Wróciło wrażenie, które miał nieco wcześniej. W tej sprawie było coś niejasnego. O ile rzeczywiście chodziło o morderstwa, a nie o wypadki, zgony kierowcy i dowódcy strażaków zostały starannie zatuszowane. W przeciwieństwie do śmierci Claire Diemar...

Środek uspokajający, który mu na siłę podano, zaczynał działać. Kręciło mu się w głowie. Wyglądało na to, że Siostra Morfina wygrała. Servaz przeklinał lekarzy, pielęgniarki i cały personel medyczny. Chciał być trzeźwy. Zdolny do działania. Wątpliwości rozrastały się w nim jak trująca roślina. Claire Diemar została zamordowana w sposób, który bez cienia wątpliwości odsyłał do wypadku autokaru. Latarka w gardle, oświetlona wanna, nawet lalki w basenie... Ale to był dopiero pierwszy raz, kiedy morderca chciał, by dostrzeżono związek między obydwoma zdarzeniami. A przynajmniej pierwszy raz, kiedy ten związek został tak wyraźnie ukazany. Bo jeśli się przyjrzeć śmierci strażaka – utopionego w Garonnie – i kierowcy autokaru – który wjechał samochodem do jeziora w tym samym miejscu, gdzie autokar wypadł z trasy – to oczywiście związek z katastrofą istniał. Ale został bardzo starannie ukryty.

A tutaj nic z tych rzeczy, powtórzył jeszcze raz w myślach. Żadnego maskowania. Śmierć Claire bezpośrednio nawiązywała do wypadku. I świadczyła o wściekłości mordercy w chwili popełnienia tego czynu. A także o jego braku kontroli.

Nagle wszystko się poukładało. Dlaczego potrzebował aż tyle czasu, żeby dostrzec to, co od samego początku miał przed oczami? Morderca przez cały czas był tuż obok. Nawet nie próbował się ukryć. Servaz przypomniał sobie uczucie, jakiego doświadczył zaraz na początku śledztwa, kiedy w ogrodzie Claire znalazł niedopałki. Czuł się tak, jakby był świadkiem magicznego seansu: ktoś chciał sprawić, by patrzyli na sprawę od niewłaściwej strony. Miał też wrażenie, jakby za kulisami całego dramatu przesuwiał się jakiś niewidzialny dla wszystkich cień. Ale teraz już wiedział. Zrobiło mu się niedobrze. Jeszcze miał nadzieję, że się myli. Modlił się, by tak było. Wciąż niewidzącymi oczyma wpatrywał się w pokój przed sobą. W uszach bez przerwy słyszał odgłosy burzy.

Przychodziła i odchodziła. Jego myśl także powróciła. Ależ oczywiście. Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważył? Wszystko było przed jego oczami. Nikt nie miał lepszych danych niż on, by to zrozumieć. Musi zawiadomić Vincenta. Natychmiast. I sędziego.

Po omacku poszukał telefonu. Palcami rozpoznał jego kształt, kciukiem trafił na duży klawisz menu pośrodku. I mniejsze klawisze pod spodem. Ale nie był w stanie wyświetlić menu, a tym bardziej go odczytać. Próbował na oślep wystukać jakiś numer, podniósł aparat do ucha, ale bezwzględny głos w słuchawce oświadczył, że numer jest błędny. Spróbował jeszcze raz. Ta sama odpowiedź. Dzwonek... Na oślep obmacywał okolice łóżka, znalazł go i nacisnął. Zaczekał. Nic. Nacisnął po raz drugi. A potem zawołał: „Jest tu kto?” Żadnej odpowiedzi, Cholera, gdzie oni wszyscy się podziali? Zrzucił kołdrę, usiadł na krawędzi łóżka i opuścił bose stopy na posadzkę. Ogarniało go jakieś dziwne uczucie. Było coś jeszcze... Druga myśl krążyła po obrzeżach jego świadomości, próbując przyciągnąć jego uwagę. To coś miało związek z ostatnią godziną, z czymś, co wydarzyło się, kiedy już był w tym pokoju. Po wszystkich tych przeżyciach trudno mu było o jasność myśli. Środek uspokajający działał, bo Servaz czuł się coraz bardziej ociężały i przymulony. Ale pilność sprawy go pobudzała. Za wszelką cenę musi zachować przytomność. Już miał pomyśleć o czymś ważnym. O czymś... zasadniczym.

REMIS

Popełnił tylko jeden błąd, ale to wystarczyło.

Ziegler przypomniawszy sobie, że zanim odszedł, przelotnie dotknął jej piersi. Z powodu bólu w klatce piersiowej jej oddech był krótki i świszczący. Leżała na środku korytarza na plecach, z rękami skutymi kajdankami. Wijąc się na podłodze jak piskorz, krzywiąc się i zaciskając zęby, zdołała chwycić pod kurtką brzeg koszulki i gwałtownie pociągnąć. Boże, ta cholerna szmatka była bardziej oporna, niż Irène mogła przypuszczać. Choć ciągnęła ze wszystkich sił, tkanina nie chciała się rozerwać. Jasny szlag! *Madę in China*, nieźle! Położyła głowę na zakurzonej podłodze, by złapać oddech. Metalowe kajdanki boleśnie wpijały się w jej lędźwie. Próbowała się zastanowić. Potem odwróciła głowę i spojrzała na listwę przypodłogową, która znajdowała się na wysokości jej oczu. Gwóźdź... Wystawał na centymetr, dwa, najwyraźniej zapomniany przez młotek. Podczołgała się do ściany. Gwóźdź miał płaską główkę, wystarczająco dużą. Pomysł był idiotyczny, ale Ziegler była gotowa chwycić się wszystkiego. Podciągnęła się na pośladkach, tak by gwóźdź znalazł się na wysokości jej pępka, i próbowała przeturlać się w jego stronę. Z zaskoczeniem zauważyła, jak trudne jest to zadanie, gdy ma się dłonie skute na plecach. Główną przeszkodę stanowił prawy łokieć. Choć brała energiczny zamach, pieprzony łokieć za każdym razem blokował ją i powstrzymywał w połowie obrotu. Nie wspominając już o bólu, jaki odczuwała, bo ten świr Jovanovic wiele razy kopnął ją właśnie w to miejsce. Przy trzecim podejściu udało jej się jednak pokonać przeszkodę; policzek i bark znalazły się tuż nad listwą, a resztą ciała przywarła do dolnej części ściany. Gwóźdź znajdował się pod koszulką, przy samym brzuchu. Prawie dałaś radę... Maksymalnie wypchnęła miednicę, przywarła do listwy i zaczęła powoli pełznąć w dół, tak aby gwóźdź przesunął się na wysokość klatki piersiowej. To także było niezwykle trudne. Ogromnie jej ulżyło, gdy poczuła, że gwóźdź dobrze zahaczył o T-shirt, który miała pod rozpiętą kurtką. Kiedy koszulka była już wystarczająco podciągnięta, Irène głęboko zaczerpnęła powietrza. Raz, dwa, trzy... Gwałtownie, ze wszystkich sił odepchnęła się od ściany. Odgłos rozdieranej tkaniny wprowadził ją niemal w euforię.

Zamknęła oczy, na chwilę znieruchomiła i nadstawiła uszu. Usłyszała, jak mężczyzna grzebie w szufladzie biurka, po czym wsuwa magazynek do pistoletu. Zadrżała. Potem uświadomiła sobie, że Zlatan jednocześnie do kogoś telefonuje.

Odroczenie...

Pośpiech działał na nią tak mobilizująco, że prawie zapomniała o bólu. Czym prędzej chwyciła zakutymi dłońmi tylną krawędź dżinsów i wiła się na wszystkie strony, aż udało jej się wyswobodzić ze spodni biodra, pośladki i prawie całe uda, po czym zaczęła się wściekle rzucać i czołgać, by zsunąć spodnie z nóg i kopnąć je w kąt. Całe jej obolałe ciało buntowało się, ale dała radę. Ten drań nie wie, z kim ma do czynienia. Ubrana tylko w rozpiętą skórzaną kurtkę, rozdartą koszulkę, biustonosz i skąpe różowe majteczki, rozłożyła nogi w pozie absolutnie lubieżnej i czekała, aż mężczyzna wróci. Teraz albo nigdy, pomyślała. Słynna bajka o czerwonym kapturku i wielkim, złym wilku.

– Kurwa, coś ty zrobiła?

Podniosła głowę. Zobaczyła jego błyszczące spojrzenie na swoich piersiach, brzuchu, majtkach... Już wiedziała, że wybrała właściwą strategię. Że Jovanovic należy do tej kategorii mężczyzn. Że być może się nie uda, ale istnieje niewielka szansa. Wzrok Zlatana zatrzymał się u zbiegu jej ud. Wyglądał na zbitego z tropu. Jakby się intensywnie zastanawiał. Oczywiście wiedział, że to nie jest dobry moment, ale trudno mu było odwrócić oczy od takiego zjawiska. Leżała u jego stóp zakuta w kajdanki, miał nad nią władzę.

– Rozkuj mnie – powiedziała. – Proszę... Nie rób tego... Celowo rozłożyła uda, kręcąc się i wyprężając miednicę, jakby chciała się uwolnić. Poczula, że majtki nieco jej się zsunęły. Doskonale... Wpatrywał się w nią. Mrocznym, ciężkim, błyszczącym spojrzeniem. Prymitywnym. Drapieżnik. Znowu dostrzegła wahanie w jego oczach. Był rozdarty między pilną koniecznością pozbycia się jej a tym, co widział: piękna kobieta, prawie naga, zdana na jego łaskę i niełaskę. Pokusa, jaką stanowiło to ciało, była dla mężczyzny tak zepsutego jak on prawie nie do odparcia. Leżała przed nim, na podłodze, skuta, bez pistoletu, bez możliwości obrony... Taka okazja nigdy się nie powtórzy, myślał. Ziegler zgadła, że podniecenie seksualne toruje sobie drogę w mózgu mężczyzny, zaciemniając jego logiczne myślenie.

Nie zastanawiając się więcej, Zlatan chwycił dłonią za klamrę paska i rozpiął ją. Irène głęboko westchnęła.

– Zaczekaj... Nie, nie rób tego – powiedziała.

Doskonale wiedziała, że na mężczyznę tego pokroju takie słowa wywrą efekt dokładnie odwrotny. Zlatan złapał za rozporek i rozpinał go powoli, nie spuszczać jej z oczu. Zrobił ostatni krok do przodu. Wielką, niezdarną łapą próbował poradzić sobie z opornym trzecim guzikiem, w drugiej wciąż trzymając broń. Właśnie wtedy Ziegler nagle zacisnęła nogi wokół jego kostek ciasno jak kleszcze i gwałtownym ruchem przyciągnęła je do siebie, jednocześnie zaplatając własne kostki w fatalny węzeł. Kiedy stracił równowagę, zobaczyła w jego oczach błysk zaskoczenia. Młócił rękami powietrze. Zwalił się całym ciężarem, boleśnie uderzając głową o listwę. Ale Ziegler wpatrywała się w pistolet, który wylądował między nimi. Rozległ się ogłuszający huk. Świst o wysokiej częstotliwości zaświdrował jej w uszach jak odgłos wystrzelonego fajerwerku i ciepły podmuch musnął jej policzek, kiedy niewielki kawałek metalu przeleciał tuż obok i z suchym plaśnięciem uderzył w ścianę gdzieś za nią. W powietrze wzbil się obłok dymu i korytarz wypełnił cierpki zapach prochu. Mężczyzna rozcierał tył głowy i rozglądał się za bronią, kiedy Ziegler, rozpaczliwie wierzgając, kopiąc i odpychając się nogami i pośladkami od podłogi, doczołgała się do niej i już zdołała ją chwycić. Przekreśliła się na bok, przywierając pogruchootanym ramieniem do podłogi. Patrząc na swoje stopy i znajdującego się za nimi Zlatana, wycelowała w niego pistolet, który trzymała w dłoniach skutych kajdankami na plecach.

– Nie ruszaj się, dupku! Jeden ruch, ty pieprzony, zasrany draniu, a będziesz miał w bebechach cały magazynek.

Zaśmiał się ponuro. Jego oczy wyglądały jak dwie mroczne studnie. Marszcząc brwi, wpatrywał się w czarny wylot lufy za plecami Ziegler.

– I co zamierzasz teraz zrobić? – zakpił. – Zabijesz mnie? Byłbym zdziwiony... Długo tak będziemy siedzieć? Przypominam ci, że mam twojego iPhone'a. I kluczyk do kajdanek. Widziałas, w jakiej pozycji leżysz? Za dwie minuty zdrętwieje ci ręka!

Patrzył na nią z całym spokojem drapieźnika, który ma czas. Miał rację. Krażenie krwi w przygniecionym ramieniu było utrudnione, a dłoń za plecami, którą trzymała pistolet, lekko drgała. Niedługo zacznie się trząść zbyt mocno, by zdołała wycelować, a on na tyle dojdzie do siebie, by móc się na nią rzucić.

– Masz pieprzoną rację – oświadczyła, uśmiechając się. Spojrzał na nią zaskoczony. Zaraz potem padł strzał i mężczyzna zawył z bólu. Kula trafiła go w kolano, gruchocząc rzepkę.

– Kurwa, ty wariatko! – wrzasnął i chwycił się oburącz za kolano. – Mogłaś... Mogłaś mnie zabić, cholera!

– Dokładnie tak – rzuciła. – Jak się domyślasz, z tej pozycji strzelałam na chybił trafił. Nie wiedziałam, gdzie dostaniesz. W brzuch, w klatkę piersiową, w głowę... Kto wie, gdzie trafi następna kulka?

Zobaczyła, że robi się błądy. Nie patrząc już na niego, odciągnęła skute ręce prostopadle do pleców i ustawiając pistolet w odległości jakichś czterdziestu centymetrów od podłogi nacisnęła na spust, celując na oślep przez niewielki pokój, za swoimi plecami, w stronę okna, które wcześniej zauważyła. Usłyszała ogłuszający huk wystrzału, który jak piłka do squasha odbił się rykoszetem od ścian korytarza. Za jej plecami rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Mimo szumu w uszach nie umknęły jej uwagi krzyki na ulicy pod oknem.

– Myślę, że teraz kawaleria się pospieszy – powiedziała zadowolona.

Pojawiła się nowa myśl: oczywista, spontaniczna i przerażająca. Jeśli ma rację, on też jest w niebezpieczeństwie. Tu i teraz. W tym szpitalu. Ponieważ wbrew temu, co sądził wcześniej, morderca wie, gdzie go znaleźć. Servaz wiedział, że jest teraz słabszy niż kiedykolwiek i że to dla zabójcy jedyna w swoim rodzaju szansa. Policjant pomyślał, że być może zabójca jest już w drodze, i zrobiło mu się niedobrze.

Siedział na łóżku i czuł, jak do jego żył sączy się przerażenie. Nie ma ani chwili do stracenia. Musi uciekać. Schować się gdzieś. Dotknął swoich ubrań: miał na sobie lekką bawełnianą piżamę. Znowu znalazł po omacku dzwonek, nacisnął guzik. Nic.

Dranie!

Mimo że nic nie widział, rozejrzał się instynktownie dookoła i wstał, wyciągając ręce przed siebie. Obmacywał ściany. Poczł pod palcami chropowaty tynk, płataninę kabli i wreszcie trafił na stojące w pobliżu wezłowania łóżka krzesło, na którym leżała foliowa torba. Włożył dłoń do środka. Jego ubrania... Czym prędzej zdjął spodnie od piżamy i włożył dzinsy, zgarnął ze znajdującej się w pobliżu szafki nocnej telefon komórkowy i włożył go do kieszeni. Wsunął buty na nogi i nawet nie zawiązując sznurówek, ruszył w kierunku, gdzie powinny się znajdować drzwi.

Otworzył je. Na korytarzu panowała dziwna cisza. Servaz zastanawiał się, gdzie się podział personel. Potem w jego umyśle zapłonęły jasnym

blaskiem litery: piłka nożna. Z pewnością oprócz meczów reprezentacji Francji telewizja transmitowała też inne. Chyba że wszyscy zostali wezwani na inne piętro. Odwieczna śpiewka: braki personelu, zadłużenie... Było późno, dzienna zmiana poszła już do domu. Servaza ogarnął strach, odwrócił głowę w prawo i w lewo. Nagle poczuł, że jest na tym pustym korytarzu bardzo słaby i zagrożony.

Mając wszystkie zmysły w pogotowiu, szedł z wyciągniętymi przed siebie rękami, aż trafił na ścianę naprzeciwko. Taka sama chropowata powierzchnia jak w pokoju. Postanowił iść wzdłuż ściany, arbitralnie przyjmując, że pójdzie w lewo. Sądził, że w końcu na kogoś trafi. O mało nie przewrócił się o wózek stojący przy ścianie, ominął go i szedł dalej, nie tracąc kontaktu ze ścianą. Jakieś rury, kartki papieru poprzypinane do korkowej tablicy, pudełko z kluczykiem i łańcuszkiem – być może skrzynka przeciwpożarowa. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie przekreślić kluczyka. Następnie doszedł do rogu. Minał go. Wyprostował się.

– Jest tam kto? Proszę mi pomóc!

Nie było żywego ducha. Czuł ucisk w klatce piersiowej, po plecach pod szpitalną koszulą wypuszczoną na dzinsy spływał mu zimny pot. Kontynuował wędrówkę po omacku wzdłuż ściany.

Nagle znieruchomiał. Jego palce natrafiły na wystającą metalową płytkę, przycisk... Winda! Pospiesznie nacisnął drżącą dłonią na duży kwadratowy guzik i w odpowiedzi usłyszał odgłos „bim-bom”. Jego uszy wychwyciły warkot uruchamianego urządzenia. Kilka sekund później z sykiem rozsunęły się drzwi. Servaz zrobił krok do środka, kiedy ktoś z tyłu go zawołał.

– Hej! Dokąd pan się wybiera?

Usłyszał, że mężczyzna wszedł do kabiny. Drzwi zamknęły się za nimi.

– Które piętro? – odezwał się głos obok niego.

– Parter – odpowiedział. – Pan jest członkiem personelu?

– A pan? Kim pan jest? I jak się pan tu znalazł w tym stanie?

Ton mężczyzny był podejrzliwy. Servaz zawahał się, szukając właściwych słów.

– Niech pan posłucha. Nie mam czasu na wyjaśnienia. Ale potrzebuje pana pomocy. Proszę wezwać policję.

– Co?

– Muszę opuścić to miejsce. Szybko. Proszę mnie zawieźć na posterunek żandarmerii.

Domyślił się, że mężczyzna, zakłopotany, bacznie mu się przygląda.

– Jeśli zacznie mi pan opowiadać, że jest pan...

– To dość skomplikowane. Jestem... Jestem...

Drzwi się otworzyły. Z głośnika rozległ się nagrany cukierkowaty kobiecy głos: „Parter, izba przyjęć, kawiarnia, kiosk”. Servaz wyszedł z windy, usłyszał szmer rozmów nieco dalej i lekki pogłos: domyślił się, że znajdują się w jakimś obszernym pomieszczeniu, być może w holu wejściowym. Ruszył przed siebie.

– Hej, hej, powoli! – rzucił człowiek za jego plecami. – Nie tak szybko! Co pan chce w ten sposób osiągnąć?

Zatrzymał się.

– Powiedziałem panu: nie mogę tutaj zostać.

– Ach tak? A mogę wiedzieć dlaczego?

– Nie mam czasu. Proszę pana, jestem gliną i...

– I co z tego? Cóż to zmienia? Znajduje się pan w szpitalu, jest pan pod naszą opieką. Czy pan widział, w jakim pan jest stanie? Nie mogę pana tak po prostu wypuścić. Pan nie może...

– Dlatego proszę, żeby mi pan pomógł.

– W czym?

– Wydostać się stąd. Niech mnie pan zawiezie na posterunek. Mówiłem panu... Boże, nie ma czasu do stracenia!

Zapadła cisza. Mężczyzna musiał go wziąć za wariata. Servaz nasłuchiwał, czujny, na próżno usiłując rozpoznać głosy i dźwięki dookoła, wyczuć ewentualne zagrożenie. Ale obecność mężczyzny dodawała mu otuchy.

– W tym stanie i w tym stroju? Kompletnie panu odbija, stary! Widział pan, która jest godzina? Leje jak z cebra. Niech pan mi powie, dlaczego panu tak zależy, żeby jechać na posterunek. Nie możemy zadzwonić stąd? A gdybyśmy tak wezwali personel z pana piętra i spokojnie o tym porozmawiali?

– Nie uwierzy mi pan, jeśli panu powiem.

– Niech pan mimo wszystko spróbuje.

– Wiem, że ktoś usiłuje mnie zabić, boję się, czy nie przyjdzie tutaj.

W miarę wypowiedzania tych słów uświadamiał sobie, jak bardzo podają one w wątpliwość jego zdrowie psychiczne. Nie potrafił już jednak myśleć spokojnie. Środek, który mu podano, wykańczał go: czuł się wyczerpany, dezorientowany z powodu ślepoty i coraz bardziej otumaniony. Znowu zapadło milczenie.

– Cóż – odezwał się sceptycznie mężczyzna. – Trudno mi w to uwierzyć. Naprawdę sądzi pan, że nabiorę się na taką bajkę?

Nagle Servaz rozpoznał głos. To był ten sam młody człowiek, który niedawno otworzył drzwi jego pokoju, gdy był tam jeszcze Espérandieu. I który zaraz je zamknął, przepraszając.

– Pan był w moim pokoju – stwierdził.

– Tak jest.

– Był tam ze mną jeden człowiek, pamięta pan?

– Tak.

– To był policjant. Tak jak ja. Co tam robił, pana zdaniem?

Domyślił się, że młody człowiek się zastanawia. Wykorzystał ten moment, by sięgnąć do kieszeni džinsów.

– Proszę, niech pan to weźmie. To mój telefon. Na liście kontaktów jest jego imię Vincent. To porucznik policji. Niech pan do niego zadzwoni! Już! Niech pan mu powtórzy to, co panu powiedziałem. I niech mi go pan da. Szybko! To pilne, do cholery!

Minęli ich jacyś ludzie prowadzący rozmowę. Oddalili się. Na zewnątrz zawyła syrena karetki. Po chwili umilkła. Mężczyzna wziął od niego telefon.

– Pana PIN?

Servaz podyktował mu kod. Czekał, że wszystkimi zmysłami w pogotowiu. Wszędzie dookoła słychać było kroki, głosy. I nie było żadnej możliwości, żeby się dowiedzieć, do kogo one należą. Walczył też z mgłą, która rozlewała się w jego głowie.

– Jego nazwisko?

– He?

– Ten pana porucznik. Jak się nazywa?

– Espérandieu!

– A pan?

– Servaz!

– Chciałbym rozmawiać z porucznikiem Espérandieu – powiedział młody człowiek do telefonu. – Dzwonię w imieniu...

Usłyszał, jak niezdarnie wyjaśnia Vincentowi sytuację, a potem zadaje pytania. W miarę, jak słyszał odpowiedzi, w jego głosie można było wyczuć coraz większe napięcie.

– Dobrze, już go do pana przywożę – rzucił wreszcie. Chwycił Servaza pod ramię. – Idziemy. Kurwa, co za historia! – Teraz komendant słyszał w jego głosie panikę.

– Mówiłem, żeby pan mi go dał.

– Później! Trzeba szybko stąd wiać. Jeśli pan jest w niebezpieczeństwie, to ja też! Jedziemy na posterunek żandarmerii! Nie ma pan przypadkiem broni?

Dobre pytanie. Gdzie się podział jego pistolet? Przypomniał sobie, że zostawił go w schowku samochodu, kiedy szli nurkować.

– Nie – powiedział. – Zresztą i tak by pan nie umiał się nią posługiwać.

Wyszli przez drzwi szpitala i schowali się pod daszkiem przed szalejącą burzą. Powietrze miało zapach i smak ozonu, wokół rozlegały się ogłuszające grzmoty. Mężczyzna złapał Servaza pod rękę i w strumieniach deszczu wielkimi krokami przeszli przez parking. Policjant w jedne; chwili był cały mokry. Deszcz spływał mu po karku za kołnierz szpitalnej koszuli, lał się na włosy. Woda przesiąkła przez podeszwy butów i chlupała między palcami. Zaczął drżeć z zimna. W powietrzu rozległ się kolejny trzask pioruna.

– Niech pan wsiada!

Usiadł, ociekając wodą, na fotelu pasażera i wybuchł nerwowym śmiechem, kiedy sobie uświadomił, że właśnie szuka klamry pasów bezpieczeństwa.

– Co pana tak rozśmieszyło? – zapytał młody człowiek, pośpiesznie zamykając drzwi i uruchamiając silnik.

Nie odpowiedział. Kierowca włączył wycieraczki na najszybszy bieg i ruszyli na pełnym gazie. Poczuli, jak samochód przechyla się i tańczy na

ostrym zakręcie przy wyjeździe z parkingu, i usłyszał pisk opon. Uznał, że ostatecznie to dobrze, że tego nie widzi.

– Myślę, że go zgubiliśmy – powiedział, siląc się na żart. – Musimy tak pędzić?

– Nie lubi pan szybkiej jazdy?

– Nie bardzo.

Przejechali przez kolejne rondo z tą samą piekielną prędkością i Servaz o mało nie uderzył głową w szybę.

– Cholera, niech pan zwolni!

– Proszę zapiąć pas – polecił mu sąsiad z prostotą.

Servaz słyszał odgłos wody obmywającej podwozie samochodu, rozbryzgiwanej kołami, nieba, które drżało od przewalających się grzmotów. Dookoła szalała burza. Niemal zewsząd dobiegał huk piorunów – w wersji dolby – tak że Servaz miał wrażenie, jakby siedział w słuchawkach na uszach. Czuł jednocześnie ulgę i niepokój. W pobliżu rozległ się głośniejszy niż inne huk pioruna. Policjant podskoczył.

– Niesamowita pogoda, prawda?

Zważywszy na sytuację, ta uwaga wydała się Servazowi dziwna. W głosie młodego człowieka było coś... Od samego początku... W jego intonacji... Teraz zdał sobie z tego sprawę. Już w momencie, kiedy mężczyzna otworzył drzwi pokoju i Martin, leżąc w łóżku, usłyszał jego głos, poczuł w sobie jakiś oddźwięk. Nie, żeby znał ten głos. Ale wydawało mu się, że gdzieś już go słyszał – przynajmniej raz.

– Od dawna pracuje pan w tym szpitalu?

Odpowiedź nie padła od razu.

– Nie.

– A czym się pan konkretnie zajmuje?

– Hę? Jestem pomocnikiem medycznym.

– Nie powinien pan zawiadomić przełożonych?

– Niech się pan zdecyduje! Pan i pana zastępca kazaliście mi się spieszyć, jechać, już...

– Tak, ale mimo wszystko – powiedział. – Tak sobie wyjeżdżać z pacjentem, nikogo nie informując. Ma pan jakiś pager albo cokolwiek?

Milczenie. Servaz poczuł, że znowu robi mu się niedobrze, że zalewa go fala strachu. Instynktownie złapał za klamkę w dolnej części drzwi.

– Zawiadomimy szpital, jak dojedziemy na miejsce – powiedział młody człowiek.

– Tak, ma pan rację. Na czym dokładnie polega pana praca?

– Proszę pana, nie sądzę, żeby to był najlepszy moment na...

– Skąd pan wie, że porucznik Espérandieu jest moim zastępcą?

Odpowiedziały mu tylko warkot silnika, uderzenia wycieraczek i walenie deszczu o dach samochodu.

– Dokąd jedziemy, David? – zapytał.

ZJAZD

Noc z 18 na 19 czerwca była jedną z najbardziej burzliwych w roku. Wiatr, którego prędkość dochodziła w porywach do 160 kilometrów na godzinę, wyrwał drzewa z korzeniami. Studzienki przeciwdeszczowe wylewały, a w okolicach Marsac odnotowano wielką liczbę uderzeń pioruna. Strażacy co chwila wyjeżdżali w teren. Wichura porwała blaszany dach sklepu z materiałami budowlanymi. Noc z 18 na 19 czerwca była także jedną z najdłuższych w życiu Servaza. Kiedy tak jechali z Davidem pośród gwałtownych strug deszczu, warczenia burzy, podmuchów wiatru i błyskawic, wbity w fotel policjant, którego oczy piekły od wsiąkającego w opatrunek potu, pomyślał, że jest taka sama pogoda jak tamtego wieczoru, kiedy znaleziono ciało Claire Diemar utopionej w jej własnej wannie.

– Uroczą komedia – powiedział, próbując mówić twardym głosem. – Prawie dałem się nabrać.

– Ależ pan się dał nabrać – poprawił go młody człowiek.

– Dokąd jedziemy?

– Nie zależy panu na moich zeznaniach, komendancie?

– Słucham cię.

Samochód wjechał na kolejne rondo, niebezpiecznie tańcząc. Za ich tylną szybą rozległo się trąbienie klaksonu.

– To ja zabiłem Claire Diemar, Elvisa, Joachima Camposa i kilka innych osób – powiedział David, podnosząc głos, aby przekrzyczeć hałas. Dostali to, na co zasłużyli. To tyle z mojej strony. A co pan powie, komendancie?

– Dlaczego, David?

W ramach odpowiedzi młody człowiek chwycił lewą dłoń Servaza i przesunął nią pod swoim T-shirtem z zaskakującą zażyłością. Policjanta przeszył dreszcz, kiedy pod palcami wyczuł jakby gruby walek skóry ciągnący się na całej szerokości żołądka.

– Co to jest?

– Azjatycka specjalność, seppuku po japońsku. Miałem wtedy czternaście lat. Ale nie miałem odwagi, żeby pójść na całość. Z drugiej strony tęnym nożem robi się to mniej wygodnie niż ostrym sztyletem, prawda? – zachichotał sucho. – Czy nie tego chciał Mishima? – dokończył gorzko.

Przez chwilę Servaz żałował, że nie ma szczególnych kompetencji do reagowania w przypadku takich zachowań, krótko mówiąc, że nie jest psychiatrą, ale gliną.

– Zna pan podstawowe pytanie Camusa, prawda, komendancie?

– „Jest tylko jeden problem filozoficzny prawdziwie poważny: samobójstwo. Orzec, czy życie jest, czy nie jest warte trudu, by je przeżyć, to odpowiedzieć na fundamentalne pytanie filozofii” – zacytował machinalnie Servaz. – David, nie jestem pewien, czy nadażam. O to ci chodzi? Zabijemy się w samochodzie?

Milczenie zamiast odpowiedzi. Servaz przełknął ślinę. Musi znaleźć sposób, by przerwać to szaleństwo. Ale jak? Nie widział żadnego wyjścia, był więźniem tej metalowej skorupy pędzącej na złamanie karku w strugach deszczu i nie miał nad tą sytuacją kompletnie żadnej kontroli.

– Czemu nie? Będzie to jednocześnie moje wyznanie i pożegnanie – rzekł kierowca lodowatym głosem. – Niech pan zauważy, że to się rymuje. Wyznanie parafowane krwią i metalem.

Servazowi udało się otworzyć okno. Czuł mdłości. Na jego twarz spadały wielkie krople wody. Dużymi haustami łapał w płuca wilgotne powietrze. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby wyskoczył w biegu.

– Nie radzę panu teraz wysiadać – odezwał się siedzący obok David. – Wszędzie tu są drzewa i słupy elektryczne. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że znajdą pana głowę z jednej strony, a resztę ciała z drugiej. Nie sędzę, żeby Margot spodobał się taki widok.

Zasunął szybę.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Dlaczego?

– Zna pan choćby jedną osobę, która byłaby naprawdę niewinna, komendancie? Rzucam panu wyzwanie, niech pan znajdzie kogoś takiego.

– Skończ te przechwałki. Dlaczego ty, David? Nie jesteś jedynym uratowanym z wypadku. Dlaczego nie Virginie, Hugo albo Sarah... Chodzi o to, żeby pomścić innych, na przykład tego chłopaka o kulach? Albo dziewczynę na wózku inwalidzkim? Krag... To o to chodzi?

Tym razem doczekał się reakcji. W głosie Davida pojawiło się zaskoczenie.

– Jest pan zadziwiającym człowiekiem, komendancie. Nie sądziłem, że to śledztwo zaprowadzi pana tak daleko. Ale oni są niewinni. Winien jestem jedynie ja. Oni tylko fantazjowali, wyobrażali sobie, marzyli...

– A Hugo i ty rozmawialiście? O tym, co zamierzałeś zrobić? Zwierzałeś mu się? Tak? Wymienialiście myśli, prawda? O wszystkim wiedział...

– Niech pan nie miesza do tego Hugona! Dość pan go już prześladował. Hugo nie ma z tym nic wspólnego!

– Hugo do ciebie zadzwonił, powtórzył ci to, co mu powiedziałem, że jestem blisko, że wiem o wypadku autokaru, że zamierzam dobrać się do skóry członkom Kręgu...

– Co pan wygaduje?

– Świadek zeznał, że w samochodzie Joachima Camposa były dwie osoby – wyjaśnił Servaz. Zaciskał palce na klamce, gotów wyskoczyć, gdyby samochód choć trochę zwolnił. – A Bertrand Christiaens został wrzucony do Garonny przez kilka osób – dodał.

– Śmierć Christiaensa nie ma nic wspólnego z resztą – rzucił tym razem David. – Ale przyzna pan, że to, co mu się stało, to cholerna ironia losu...

– Kłamiesz.

– Co?

– Obserwowałeś zabójstwo Bertranda Christiaensa razem z kilkoma członkami Kręgu, którzy udawali bandę narkomanów i pijaków, osobiście mówiłeś na policji o tym, co widziałeś tamtego wieczoru: twoje nazwisko jest w raporcie... I byłeś w mercedesie Joachima Camposa przed jego śmiercią, ale założę się, że to nie ty strzeliłeś mu w skroń. Byłeś też przy śmierci Elvisa, kiedy nakarmili nim psy, paliłeś papierosy w krzakach. Ale to nie ty zabiłeś Claire Diemar. Wiem, kto to zrobił.

– Co pan wygaduje?

– Jak Hugo doprowadził cię do takiego stanu? Jak on to robi, że tak manipuluje ludźmi, he? Jak cię przekonał, żebyś napisał tamto zdanie w zeszycie zamiast niego?

Obok Servaza zapadło milczenie. Słyszał świszczący oddech. A potem bardzo spokojny głos:

– Myli się pan. To nie Hugo doprowadził mnie do tego stanu, jak pan to nazwał. To mój ojciec, mój brat, moja pieprzona rodzina. Wszyscy ci pewni siebie ludzie, którzy nigdy nie mieli wątpliwości, zgnili dorobkiewiczze, w których oczach byłem nieudacznikiem, kimś żalnym... Hugo zrobił wszystko, co mógł, żeby mi pomóc. Hugo mnie uratował. Dzięki niemu zrozumiałem, że nawet dla kogoś takiego jak ja jest miejsce, że inni nie są ode mnie więcej warci, że nawet są gorsi. To on jest moim bratem, rozumie pan? Moim starszym bratem. Prawdziwym. Takiego brata powinienem mieć. Zrobiłbym dla niego wszystko.

Servaz wyczuł, że tym razem David jest rozpaczliwie szczery. I ta szczerość go przeraziła. Hugo był dla niego autorytetem, miał na niego zabójczy wpływ. Zabójczy dla nich obu.

– Tak, dobrze pan rozpoznał: w zeszycie jest moje pismo. A na niedopałkach znajdują moje DNA. Na tej podstawie wszyscy uwierzą, że to ja jestem sprawcą. A fakt, że zabiłem także pana, tylko to potwierdzi. Nie pozwolę panu dobrać się do pozostałych...

Servaz poszukał palcami brzegów opatrunku. Szarpnął. Najpierw pociągnął skórę, potem puściły końcówki plastra. Uniósł powieki. Miał oczy pełne gorących łez, które spłynęły na jego policzki.

Jakieś błyski... Przez mgłę łez i deszczu zalewającego przednią szybę... Widział!

Jeszcze niewyraźnie, ale widział. Zaczekał chwilę, aż jego oczy się przyzwyczają. Światła samochodów jadących z naprzeciwka oślepiły go, tak że musiał mrużyć powieki. Przez chodzące w tę i z powrotem wycieraczki i strumienie wody dostrzegł drżące czerwone światło. Kiedy David nie zahamował, Servaz wbił się w fotel.

– Do kurwy nędzy! – zawołał.

Młody człowiek na chwilę odwrócił głowę w jego stronę.

– Co pan wyprawia? Zdjął pan...

– David, nie musisz tego robić! Zeznam na twoją korzyść! Powiem, że działałeś pod przymusem! Psychiatrzy uznają, że jesteś niepoczytalny! Wyleczą cię i wyjdiesz z tego! Wolny! Zdrowy!

Odpowiedział mu donośny śmiech.

– Posłuchaj mnie, do cholery! Możemy cię wyleczyć! David, wiem, że jesteś niewinny! Że Hugo cię zmanipulował! Chcesz umrzeć z takim ciężarem na sumieniu? Na zawsze zostać w pamięci innych potworem?

Znak zakazu ruchu: zjazd z autostrady! Servaz poczuł, jak cała krew odpływa mu do żołądka i nóg; jego ciało instynktownie przywarło do fotela. Pojada autostradą pod prąd!

– Kurwa, nie rób tego! NIE RÓB TEGO!

Przez otwarte drzwi karetki Irène obserwowała balet samochodów policyjnych. Migające światło kogutów raz po raz wpadało do wnętrza ambulansu. Prześlizgiwało się po kałużach i oświetlało twarz siedzącego obok niej lekarza. Mężczyzna sprawdzał przewody, którymi była podłączona do rozmaitej aparatury.

– Jak się pani czuje?

– W porządku.

Po raz kolejny wykręciła numer Martina, znowu bez rezultatu. Za każdym razem odzywała się poczta głosowa. Zastanawiała się, czy Servaz usnął. Czowała, że ogarnia ją niepokój. Za wszelką cenę musiała mu przekazać, co znalazła w teczce Jovanovica.

Marianne...

Nie było trudno odgadnąć motyw jej działania. Jedyne możliwe. Kazała śledzić Martina, by chronić Hugona, wiedzieć, na jakim etapie jest śledztwo. Ponieważ gotowa była zrobić wszystko dla jedyne go syna i zarazem jedyne go mężczyzny, jaki jej pozostał. Ale zwracając się do kogoś takiego jak Zlatan Jovanovic, zrobiła jeszcze jeden krok w stronę przestępstwa. Irène odniosła zwycięstwo, ale czowała jego gorzki smak, kiedy myślała o Martinie, o tym, jak zareaguje, kiedy pozna prawdę. Choć tego nie okazywał, był wrażliwy. Był mężczyzną zranionym w dzieciństwie. Zagubionym. Ocalańcem. Jak zniesie kolejny cios? Nagle zauważyła, że lekarz patrzy na zewnątrz szeroko otwartymi oczami, a na jego twarzy maluje się jeszcze szerszy uśmiech.

– Tak? – odezwał się do osoby stojącej przed karetką. Ziegler odwróciła głowę i zobaczyła Zuzkę, która patrzyła na nią z zaniepokojoną miną. Jej czarne włosy opadały na bardzo krótką skórzaną kurtkę w kolorze kremowym, pod którą widniała wielka obfitość naszyjników i wisiorów. Miała na sobie krótką koszulkę odsłaniającą pępek i jeszcze

krótsze szorty z nadrukiem. Usta miała pomalowane czerwoną szminką błyszcząca jak neon. Na chwilę Ziegler zapomniała o bożym świecie.

– Mogę już iść? – zapytała.

Lekarz patrzył to na jedną, to na drugą. Wyglądał, jakby się zastanawiał, z którą wolałby spędzić noc, choć jeśli chodzi o blondynkę, która była cała w siniakach i miała na środku twarzy wielki opatrunek przypominający maskę w kształcie krzyża, nie był to jej najlepszy dzień.

– Eee... Powinien panią zbadać laryngolog i trzeba by obejrzeć pani plecy i żebra.

– Później.

Zeskoczyła z noszy, a następnie z samochodu, wzięła Zuzkę w ramiona i pocałowała ją, schyliwszy głowę bardziej niż zwykle z powodu „maseczki”, którą miała na twarzy. Język jej partnerki miał słodko-gorzki smak campari, żytniej whisky i wermutu. Manhattan – zgadła Ziegler. Zuzka przyszła prosto ze swojej dyskoteki ze striptizem Pink Banana, kiedy tylko Irène zadzwoniła. Lekarz patrzył na nie. Z obiema – odpowiedział sobie w duchu. – Z obiema naraz.

Kiedy weszli w zakręt z absolutnie szaloną prędkością, Servaz uderzył o drzwi i prawie się modlił, żeby się przewrócili, zanim znajdą się na autostradzie. Zobaczył jednak przed sobą wstęgę asfaltu i odblask odległych, ale zbliżających się świateł tam, gdzie autostrada biegła po dużym łuku. Mimowolnie przełknął ślinę. Samochód wyjechał ze zjazdu i ruszył główną drogą pod prąd. Servaz poczuł, że kurczy mu się moszna. Po drugiej stronie pasa zieleni zauważył samochody – jechały w tym samym kierunku, co oni!

– David, błagam cię, pomyśl! Możesz to jeszcze powstrzymać! Nie rób tego, na Boga! Uważaaaaaaj!

Przed nimi rozległ się wizg klaksonu. Frenetyczne sygnały świateł. Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, dwa samochody, które minęli, jechały dalej, panicznie trąbiąc. Pot spływał po jego twarzy jak woda. Parzył jego siatkówki. Servaz przetarł oczy mankietem koszuli.

– David! Odpowiadaj, do cholery! Powiedz coś! Zabijesz nas, kurwa!

David wpatrywał się w drogę. Servaz nie widział w jego oczach niczego poza tym, że chłopak wiezie ich na pewną śmierć. Ścisnął kierownicę tak mocno, że kłykcie jego palców zrobiły się białe. Blask deski

rozdzielczej odbijał się w jasnym zaroście młodego mężczyzny. I w jego wilgotnych oczach. Servaz zrozumiał, że chłopak jest gdzieś daleko. David wpatrywał się w smaganą strugami deszczu autostradę przed nimi, czekając na pojawienie się kolejnego samochodu, koncentrując wszystkie zmysły na mającym wkrótce nastąpić nieuniknionym zderzeniu.

Kiedy w oddali pojawił się kolejny blask, Servaz wbił się w fotel. Kierowca z naprzeciwka zrozumiał, że jada pod prąd, i zaczął wysyłać sygnały świetlne. Reflektory tego pojazdu znajdowały się wyżej nad jezdnią. Ich światło, rozproszone przez deszcz, było silniejsze. Nocną ciszę rozdarł ogłuszający ryk klaksonów. O nie! Oślepiony blaskiem świateł o wielkiej mocy, Servaz zdołał jednak zauważyć, że TIR usiłuje ociężale zmienić pas, widział masywną sylwetkę w obłędnie ślimaczym tempie przewalającą się na drugą stronę, widział olbrzymie fontanny wody tryskające spod niezliczonych kręcących się kół mastodonta. Usłyszał odgłos zmieniania przełożenia silnika, zgrzytliwy protest skrzyni biegów, zobaczył oszalałe miganie świateł, które boleśnie drażniło jego nerwy wzrokowe. Skulił się, czekając na przerażające uderzenie, które miało nastąpić w chwili, gdy David skieruje ich wprost na stalowego potwora.

Ale nic się nie wydarzyło. Rozległo się rozsadzające uszy trąbienie klaksonu kolosa, który przejechał tuż obok nich. Servaz odwrócił głowę i przez siekące w szyby strugi wody zobaczył wytrzeszczone z przerażenia oczy kierowcy, który patrzył na nich z wysokości kabiny. Odetchnął. Nagle zrozumiał, że wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy postawił stopę w Marsac, miało go doprowadzić właśnie tutaj, na tę autostradę, że ta tonąca w deszczu szosa to jakby symbol jego życia, wędrówka pod prąd jego własnej historii. Pomyślał o swoim ojcu, o Francisie, Alexandre, Margot, Charlène. O swojej matce, o Marianne... Przeznaczenie, fatum, przypadek, sploty zdarzeń... Jak atomy, jak cząsteczki, które wpadają jedne na drugie, zderzają się ze sobą i rozpraszają – rodzą się i znikają.

To było zapisane.

Albo nie.

Nagle sięgnął dłonią do kieszeni Davida. Tam, gdzie chłopak włożył jego telefon po tym, jak udawał, że dzwoni do Espérandieu. Servaz wyciągnął aparat.

– Co pan robi? Niech pan to zostawi!

Samochód wykonał kilka niebezpiecznych zygzaków po obu pasach. Servaz odwrócił wzrok, nie przejmując się już tym, co się dzieje przed

nimi. Podniósł telefon do ust. David chwycił go za nadgarstek, usiłując wyrwać mu z ręki urządzenie.

– Vincent, to ja! – zawołał, choć w słuchawce słyszał jeszcze tylko sygnał. – Słyszysz mnie? Vincent, to Hugo! Hugo jest sprawcą! Słyszysz mnie? HUGO! To zdanie w zeszycie to trik, żeby odwrócić podejrzenia! Będzie próbował zrzucić winę na Davida! Rozumiesz, co mówię? – Nagle usłyszał głos Espérandieu po drugiej stronie: „Halo, halo? To ty... Martin?” – Tak, tak – ciągnął, nie zdając sobie sprawy z tego, że w chwili, gdy David próbował wymierzyć mu cios pięścią, którego zręcznie uniknął, przestał mówić do mikrofonu.

Jechali trzema pasami naraz, wjeżdżając nawet na pas awaryjny.

– Dzwon do sędziego! Hugo nie może wyjść z więzienia! Nie mam czasu więcej mówić! Później!

Rozłączył się. Tym razem David skupiał na nim całą uwagę.

– Co pan zrobił? Co pan zrobił?

– To koniec, Hugo się z tego nie wywinie! Zatrzymaj się na pasie awaryjnym! To już niczemu nie służy! Obiecuję ci, wyleczą cię! Masz moje słowo: zajmą się tobą! Kto będzie odwiedzał Hugona w więzieniu, jeśli ciebie nie będzie?

Przed nimi pojawiły się kolejne światła. Lekko po lewej. Cztery w jednej linii. Bardzo mocne, oślepiające, wysoko nad jezdnią. Znowu waga ciężka. David również je widział. Powoli opuścił środkowy pas i łagodnie wjechał na ten, którym zbliżała się ciężarówka; zrobił to płynnie, jakby jego ruchy były wyreżyserowane przez choreografa.

– NIE! NIE! NIE! NIE RÓB TEGO! NIE RÓB TEGO!

Znowu sygnały świetlne. Ryk klaksonu. Metaliczny zgrzyt miotającego się kolosa, szukającego wyjścia z sytuacji. Tym razem wyjścia nie będzie. Gigant nie zdąży zjechać. Samochody jechały wprost na siebie. Zderzenie było nieuniknione. A więc to tutaj skończy się droga. To było zapisane. Koniec opowieści. Jeszcze kilka sekund... Jedno potężne uderzenie. I nic więcej. Pustka. Servaz zauważył po lewej stronie drogę dojazdową, która biegła z boczem w ich kierunku.

– Jeśli nas zabijesz, zabijesz dwóch niewinnych ludzi! Hugo i tak z tego nie wyjdzie! Dla niego to już koniec! Kto go odwiedzi w więzieniu, jeśli ciebie nie będzie? W lewo! W LEWOOO!

Zobaczył cztery porażające, okrągłe ślepiea zmierzające prosto na nich, cztery odbijające się od powierzchni szosy świetliste miecze. Zamknął oczy. Wyciągnął przed siebie ręce i w absurdalnym odruchu położył dłonie na desce rozdzielczej.

Czekał na przerażające uderzenie.

Poczuł, że samochód gwałtownie skręcił w lewo. Otworzył oczy.

Zjechali z autostrady! Z całą prędkością pędzili pod prąd drogą dojazdową!

Servaz zauważył ogromną ciężarówkę mijającą ich z prawej strony, poniżej. Uratowani! Ale zaraz podskoczył, ujrawszy jakiś samochód, który wyjechał tuż nad nimi. David skręcił kierownicą. Wjechali na trawę i telepiąc się, ominęli auto z czterema przerażonymi osobami w środku – rodzina! – połamali kilka gałązek niskiego żywopłotu, po czym wpadli na prawie pusty parking. Servaz zauważył neony kawiarni i stacji benzynowej na jego drugim końcu. David wcisnął pedał hamulca. Samochód wpadł w poślizg, pisnęły opony

Zatrzymali się.

Servaz odpiął pas, otworzył drzwi i rzucił się na zewnątrz, by zwymiotować.

Wiedział, że odtąd śmierć będzie dla niego miała jedną twarz. Dużej ciężarówce, zderzaka i czterech świateł w jednej linii. Wiedział o tym. Wiedział też, że nigdy nie zapomni tego widoku. I że już zawsze będzie się bał, ilekroć będzie wsiadał do samochodu jako pasażer.

Przełykał wilgotne nocne powietrze wielkimi haustami, oddychając krótko, delektował się smakiem letniego deszczu na języku. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, nogi drżały. Huczało mu w uszach, jakby wylatywał przez nie rój pszczoł. Powoli obszedł samochód i zobaczył, że David siedzi na ziemi, oparty o tylne koło. Chłopak czochrał palcami blond włosy i szlochał z wykrzywioną twarzą, wpatrując się w ziemię. Servaz uklęknął przed nim i położył dłonie na ramionach młodego mężczyzny. Przez materiał pielęgniarskiego kitla czuł jego drżenie.

– Dotrzymam słowa – powiedział. – Pomożemy ci. Powiedz mi tylko jedno. To ty włożyłeś płytkę Mahlera do odtwarzacza Claire Diemar?

Zobaczył niezrozumienie w oczach Davida i pokręcił głową z miną mówiącą „Nieważne”. Uścisnął jego ramię i wstał. Wyjął telefon i odszedł

kawałek, świadomy tego, jakim musi być widowiskiem: w przemoczonej szpitalnej koszuli, z pozdieranym naskórkiem na palcach – po niechlubnej przygodzie z nurkowaniem – i ze śladami zerwanego opatrunku na twarzy.

– Psiakrew, co miał znaczyć tamten telefon? I dlaczego nie odbierałeś?

Głos Vincenta. Najwyraźniej spanikowany. Servaz zrozumiał, że jego telefon musiał wibrować wiele razy; nie słyszał go w środku tej nawałnicy. Ale głos zastępcy dobrze na niego podziałał.

– Później ci wyjaśnię. A tymczasem wyciągnij sędziego z łóżka. Trzeba odwołać zwolnienie Hugona. Potrzebujemy też pozwolenia na przesłuchanie go w więzieniu jeszcze tej nocy. Dzwon do Sarteta.

– Przecież dobrze wiesz, że to bezprawne. Hugo ma postawione zarzuty.

– Chyba że przesłuchamy go w innej sprawie – powiedział Servaz.

– Co?

Przedstawił mu swój pomysł.

– Zrób tak, jak ci mówię. Dojadę do was, jak tylko będę mógł.

– Przecież ty nic nie widzisz!

– Ależ skąd, widzę. Choć wierz mi, że czasem lepiej byłoby nie widzieć.

Vincent po drugiej stronie słuchawki milczał, zbity z tropu.

– Nie jesteś w szpitalu?

– Nie. Jestem na parkingu przy autostradzie.

– Co? Co ty...

– Nieważne. Pospiesz się. Później ci wytłumaczę. – Za jego plecami trzasnęły drzwi samochodu. – Poczekaj chwilkę – powiedział.

Miał wrażenie, że na twarzy siedzącego za kierownicą Davida widzi uśmiech. Ich spojrzenia spotkały się pomimo dzielącej ich zalanej deszczem przedniej szyby. Servaz poczuł, jakby poraził go prąd. Wielkimi krokami szedł w stronę samochodu, a kiedy ford fiesta wolno ruszył na wstecznym, zaczął biec. Jak we śnie zobaczył, że samochód wykonuje wdzięczną arabeskę na wyłożonym kostką bitumiczną parkingu, ustawia się przodem w stronę wyjazdu i rusza.

Servaz pomyślał, że chłopak daleko nie odjedzie, skoro wszystkie punkty opłat zostały zablokowane. A potem – w ciągu ułamka sekundy – zrozumiał. Nie! Nie, David. NIE!

Biegł co sił w nogach, krzycząc, gnany rozpaczą, strachem, wściekłością i poczuciem, że nigdy sobie nie wybaczy własnej głupoty. Biegł na próżno za samochodem, którego tylne światła oddalały się coraz bardziej. Ford wpadł w przerwę w żywopłocie i gnał w dół zboczem, którym kilka minut wcześniej wjeżdżali, by po chwili znowu znaleźć się na autostradzie.

Zatrzymał się na środku między pasami.

Prostopadle do osi autostrady.

Z miejsca, w którym stał, Servaz usłyszał, jak David wyłącza silnik. Niemal natychmiast usłyszał histeryczne trąbienie po lewej stronie. Zdażył odwrócić głowę akurat w momencie, gdy duża ciężarówka pojawiła się na zakręcie u stóp pagórka. Zobaczył, jak kolos hamuje zbyt późno i zbyt gwałtownie, staje w poprzek trzech pasów i traci kontrolę nad przyczepą, która z całym impetem uderza w maleńkiego forda, zmieniając go w zwalisko blachy, plastiku i ciała.

Resztę, dużo później, widział już jak przez mgłę: karetki, wozy policyjne, przebijające się przez mrok światła kogutów. Ledwie słyszał wycie syren, skrzeczące wiadomości przekazywane przez radio, krzyki, rozkazy, syk gaśnic śniegowych i piskliwą skargę pił elektrycznych. Prawie nie zwrócił uwagi na samochody dziennikarzy prasowych, którzy przybyli na miejsce żądni łupu, na furgonetki z antenami satelitarnymi, na kamery telewizyjne, na trzaskanie fleszy ani nawet na twarz młodego reportera podtykającego mu pod nos mikrofon, który odsunął jednym pchnięciem. Raczej śnił całą tę scenę, niż ją widział i słyszał. Dowlókl się do kawiarni i kiedy również tam zobaczył ludzi, którzy miotali się jak ogłupione dymem pszczoły, przyszła mu do głowy dziwna myśl: ci ludzie są szaleni, choć o tym nie wiedzą. Bo tylko szaleńcy mogą chcieć żyć na takim świecie i dzień po dniu prowadzić go na zatracenie. I zamówił kawę.

Interludium 4

W GROBIE

Jej umysł był jednym wielkim krzykiem.

Skarga.

Która narastała, pożerając jej myśli.

Wewnątrz swojej głowy wyła z rozpacz, wykrzykując wściekłość, cierpienie, samotność – wszystko to, co miesiąc po miesiącu odzierało ją z człowieczeństwa.

A także błagając. Litości, litości, litości, litości... Błagam, pozwólcie mi stąd wyjść.

Krzyczała, błagała i szlochała. Ale tylko w głowie: w rzeczywistości z jej gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. W ustach miała knebel z kulką, ciasno przypięty paskiem, którego klamra znajdowała się na jej karku. Nie związał jej rąk na plecach: mogłaby wtedy pocierać więzami o kamienną ścianę swojego więzienia i próbować je rozerwać. Owszem, miała dłonie na plecach, ale czubki palców zlepione były supermocnym klejem. Była to bardzo niewygodna pozycja, która szybko spowodowała nieprzemijający ból stawów i niesłychanie bolesny skurcz mięśni wokół kręgosłupa. Przez cały czas musiała być pochylona, także w trakcie snu. Kobieta próbowała zerwać skórę z dłoni, ale okazało się to niemożliwe i o mało nie zemdląca. Niewątpliwie jej oprawca chciał mieć pewność, że ofiara nie przegryzie sobie żył w rękach lub udach.

W ciemności kobieta zmieniła pozycję, by ulżyć napiętym mięśniom: siedziała na klepisku, oparta o kamienną ścianę. Czasem kładła się na ziemi albo na wyleniałym materacu. Większość czasu spędzała, drzemiąc z podkulonymi nogami. Czasami wstawiała i chodziła. Robiła kilka kroków, nie więcej. Straciła już chęć do walki. Nie miała na sobie ubrań, była naga jak małe zwierzątko i przeraźliwie chuda. Karmił ją raz na dwa dni. Robił to, żeby nie umarła z głodu. Nie mył jej już. Schudła tak bardzo, że czuła, iż kości przebijają się przez brudną skórę. Oprócz smaku kulki czuła w ustach permanentny niesmak. Lewą stronę szczęki i języka toczył okrutny ból: ropień. Swędziała ją skóra pod niemytymi włosami. Czuła się coraz słabsza. Musiała ważyć jakieś czterdzieści kilogramów. A może mniej.

Przestał też zabierać ją na górę, do jadalni. Koniec posiłków, koniec muzyki, koniec gwałtów we śnie – bo już jej nie rznął. To była jedyna ulga. Zastanawiała się, dlaczego mężczyzna utrzymuje ją przy życiu.

Miała następczynię. Pewnego dnia dokonał prezentacji. Kobieta była tak słaba, że z trudem utrzymywała się na nogach i musiał ją podtrzymywać, kiedy wchodziła po schodach na parter. „Ależ ty śmierdzisz” – powiedział, zatykając nos. Ujrzała młodą kobietę siedzącą przy stole w fotelu, w którym kiedyś sadzał ją. Jej tułów przypięty był do oparcia szerokim skórzanym pasem – tak samo jak dawniej ona była przypinana. Rozpoznała ten wzrok: tak samo patrzyła ona sama kilka miesięcy albo kilka lat wcześniej. Z początku nic nie powiedziała, nie miała siły. Patrzyła tylko na nią, nie podnosząc wzroku i kiwała głową. Wyczytała jednak lęk w oczach kobiety ubranej w jej sukienkę, wyczuła, że jest wyperfumowana, że ma umyte włosy. Wreszcie zdołała wypluć z siebie słowa „To moja sukienka”. Sprowadził ją do lochu. Więcej nie widziała tamtej kobiety, ale od czasu do czasu słyszała dobiegającą z góry muzykę i wiedziała, co się dzieje. Zastanawiała się, w której części domu trzyma nową ofiarę.

Przez długi czas bała się, że zwariuje, walczyła, by zachować trzeźwość umysłu, i próbowała czepiać się rzeczywistości. Teraz dała sobie spokój. Oblęd, który czaił się na obrzeżach jej umysłu jak drapieżnik, pewien, że trzyma ofiarę w garści, zaczął pożerać jej świadomość, karmić się nią. Jedynym sposobem, by mu się wyrwać, było myślenie o czterdziestu latach dawnej egzystencji, o tym, czym było jej życie – a raczej życie innej osoby, która nosiła jej imię, ale była już do niej niepodobna. Życie piękne, burzliwe, tragiczne – ale w żadnym razie nie nudne.

Kiedy myślała o Hugonie, w jej gardle rósł wyrzut sumienia.

Była z niego taka dumna. Wiedziała o jego uzależnieniach, ale kimże ona była, by rzucać kamień? Jej syn – taki piękny, taki błyskotliwy... Jej największy sukces. Gdzie jest teraz? W więzieniu czy na wolności? Gdy o nim myślała, strach ją dusił, miazdżył klatkę piersiową. Myślała, że rozpadnie się z bólu, kiedy oczyma wyobraźni widziała Mathieu, Hugona i siebie bawiących się razem w ogrodzie albo na plaży, pływających żaglówką po jeziorze w letni poranek, otoczonych przyjaciółmi przy okazji wspólnego grilla w wiosenne popołudnie; przyjaciółmi, którzy – wiedziała o tym – podziwiali ich rodzinę. Słyszała ich śmiechy, krzyki, widziała swojego pięcioletniego synka, podnoszonego w ramionach ojca ku słońcu, wesołego, z wyrazem absolutnego szczęścia na pyzatej buzi. Albo ojca i syna siedzących w głowach łóżka: Hugo uważny, skupiony i śmiertelnie

poważny, z kciukiem w buzi słucha, powoli zasypiając, jak ojciec czyta mu *Robinsona Crusoe*, *Wyspę skarbów* albo *Wojnę guzików*. Mathieu zginął w tamtym wypadku i porzucił ich – Hugona i ją – na poboczu życia. Czasami okropnie miała mu to za złe.

Widziała także dom nad jeziorem, taras, gdzie przy ładnej pogodzie lubiła z książką w ręku jeść śniadanie, widziała gładkie, spokojne lustro wody, w którym odbijały się drzewa rosnące na drugim brzegu – tę oazę spokoju, którą nigdy się nie znudziła, gdzie dochodziły jedynie odgłosy luzowania żagli, pokrzykiwania dzieci na sąsiedniej posesji albo niesione echem pluskanie zaburtowego silnika.

Myślała też o Martinie... Często o nim myślała. Martin, jej największa miłość i największa porażka. Przypominała sobie wykłady w Marsac, kiedy ich spojrzenia spotykały się dwadzieścia razy na godzinę, niecierpliwość, z jaką czekali na kolejne spotkania, dyskusje na temat Schopenhauera, Nietzschego i Rimbauda. Swoją wściekłość na jego hermetyczne zamknięcie wobec tekstów Dylana, Morrisona, Springsteena czy Stonesów. Choć był tylko o rok starszy od niej, mówiła do niego „Stary”, albo „mój kochany Staruszek”. Boże, jak ona go kochała. A pokochała go jeszcze bardziej, gdy odkryła, co Martin pisze. Potrafił otwierać serca, jakby miał do tego jakieś specjalne narzędzie, i wszystko umiał przelać na papier. Niesłychany talent... To była jej pierwsza myśl, kiedy przeczytała początek opowiadania „Jajo”. Do tej pory pamiętała pierwsze zdanie: „Koniec, *finito*, *the end*: gdyby się okazało, że mam umrzeć jutro, nie zmieniałbym ani jednego przecinka w tej historii – najnudniejszej historii, jaka kiedykolwiek została napisana”. Podobało jej się, podziwiała je, ale wiedziała, że nie była pierwszą czytelniczką, że przed nią czytał je Francis – brat i *alter ego* Martina. Zdarzało jej się, że była o Francisza zazdrosna. Zazdrościła mu władzy, jaką miał nad Martinem. I tej, którą miał nad nią samą. Drągi... W tamtym czasie bała się tylko jednego: że Francis wszystko powie Martinowi, wygada mu, że jego największa miłość jest ćpunką. Ten strach nie opuszczał jej przez cały czas, kiedy byli parą. Być może w gruncie rzeczy to właśnie z tego powodu od niego odeszła. Żeby uciec od strachu.

Kochała go, podziwiała – i zdradziła. Przykucnęła w ciemnościach swojego grobu, z pustką w głowie. Cała się trzęsła. Nagle wiatr rozpaczy porwał ze sobą wszystkie te piękne słoneczne obrazy i ogarnęły ją ciemności, zimno i zwątpienie. Oblęd wrócił. Czowała, jak zaciska stalowe szpony na jej mózgu. W takich chwilach ze wszystkich sił czepiała się jednego obrazu – jedyne, wiedziała o tym – który jeszcze ją ratował przed nieuchronnym szaleństwem.

Zamykała oczy i zaczynała biec. Sama, po plaży częściowo odsłoniętej przez odpływ. Fale i wilgotny piasek połyskiwały w blasku wschodzącego słońca, jej włosy smagał lekki wiatr. Biegła, biegła i biegła. Biegła tak wiele godzin, z zamkniętymi oczami. Krzyki mew, jednostajny szum morza, kilka żagli na horyzoncie w świetle poranka. Nie przestawała biec tą niekończącą się plażą. Wiedziała, że nigdy już nie zobaczy dziennego światła.

FINAŁ

Reflektory oświetlały zewnętrzne ogrodzenie więzienia. Parking był pusty. Servaz zatrzymał samochód możliwie jak najbliżej wejścia. Wciąż był wściekły. Gniew stopniowo zajmował w nim miejsce przygnębienia i zmęczenia.

Dyrektor czekał na nich. Tej nocy odebrał kilka dziwnych telefonów: z prokuratury, z policji sądowej, a nawet od głównego dyrektora więziennictwa, którego sam minister sprawiedliwości poprosił o „ułatwienie prowadzenia podjętych czynności komendantowi Servazowi i porucznikowi Espérandieu”. Nie rozumiał, dlaczego nagle wszyscy tak bardzo wzięli sobie tę sprawę do serca. Nie wiedział o tym, że poseł większości, nadzieja swojej partii, o mało nie został zatrzymany i właśnie ostatecznie oczyszczono go z zarzutów oraz że następnego dnia członkowie jego partii czym prędzej ogłoszą w prasie, że deputowany jest absolutnie poza wszelkimi oskarżeniami, zawzięcie piętnując „wszystkie te żalosne przecieki”, pojawią się w programach telewizyjnych, by ogłosić, że „w tym kraju istnieje jeszcze coś takiego jak zasada domniemania niewinności, która w tej sprawie została podeptana przez członków opozycji”. Paryż poczuł, że wiatr się odwraca: jeśli okaże się, że Lacaze jest niewinny, nie może wyglądać na to, że zbyt szybko postawiono na nim krzyżyk. Padł przeciwny rozkaz: zwierano szeregi.

Nie przeszkadzało to dyrektorowi więzienia patrzeć z najwyższą podejrzliwością na komendanta policji o zaczerwienionych oczach i rozszerzonych źrenicach i młodego porucznika ubranego w srebrną kurtkę, w której wyglądał jak nastolatek. Pierwszy mężczyzna miał w dodatku całą twarz i dłonie w siniakach i zadrapaniach oraz duży opatrunek w rozczochranych włosach, jakby szyto mu głowę. Dyrektor zamierzał zamknąć za nimi drzwi, kiedy odezwał się Servaz:

- Czekamy na kogoś.
- Prokurator mówił, że mają być dwie osoby.
- Dwie czy trzy, co za różnica.

– Proszę pana, już jest po północy. Mam tu tkwić, aż skończycie? Bo wolałbym...

– Już jest.

Z tonącego w strugach deszczu parkingu dobiegł ich uszu warkot silnika i ich oczom ukazał się samochód w barwach żandarmerii. Drzwi się otworzyły i z wozu wysiadła kobieta w motocyklowej kurtce, spodniach i botkach. Dziwny opatrunek w kształcie krzyża zasłaniał jej nos i policzki. Lewą rękę miała na temblaku. Wyszedłszy na deszcz, Irène schowała głowę w ramiona i szybko pokonała kilkanaście metrów dzielących ją od wejścia. Przez dobrą godzinę maglowali ją zastępca prokuratora w Auch i kilkoro funkcjonariuszy brygady kryminalnej żandarmerii, ale w końcu udało jej się połączyć z Martinem. W kilku słowach wyjaśniła mu, co się stało, po raz kolejny nie wspominając o tym, że włamała się do jego komputera.

– Jak to odkryłaś? – zapytał zdezorientowany.

Kiedy się dowiedział, że Marianne kazała go śledzić, nie wyglądał na zaskoczonego. Ziegler wyczuła jednak bezmiar jego smutku. Następnie Martin poprosił ją, by dojechała do nich, do Zakładu Karnego w Seysses. Po głosie poznała, że jest wyczerpany. Zapytała go, dlaczego nie jest w szpitalu, ale nie odpowiedział.

– Ta pani jest z nami.

Boże świąty, pomyślał dyrektor na widok oszpeconej blondynki. Co to za cyrk? Otrzymał jednak rozkazy z góry. „Ma pan zrobić wszystko, o co pana poproszą. Jasne?” – powiedział szef więziennictwa przez telefon. Wzruszył ramionami, powiedział strażnikom, żeby dali spokój, kiedy trójka gości, przechodząc przez bramki bezpieczeństwa, uruchomiła alarm i ruszył przed nimi do czeluści więzienia. Ich kroki dudniły na korytarzach. Przeszli przez trzy bariery z krat. Wreszcie dyrektor wyjął pęk kluczy i otworzył drzwi rozmównicy.

– Proszę, czeka na was.

Oddalił się szybkim krokiem. Nie zależało mu na tym, by wiedzieć, co będzie się działo w środku.

– Dobry wieczór, Hugo – powiedział Servaz, wchodząc do pomieszczenia.

Młody człowiek siedzący przy stole, z ramionami skrzyżowanymi na blacie z laminatu, podniósł głowę i spojrzał na niego.

Następnie jego spojrzenie przeniosło się na Espérandieu i Ziegler, którzy weszli za Servazem. Policjant zauważył przelotny błysk zaskoczenia w niebieskich oczach chłopaka w chwili, gdy ten zobaczył twarz funkcjonariuszki żandarmerii.

– Co się dzieje? Dyrektor wyciągnął mnie z łóżka, a teraz wy... Servaz z trudem ukrywał złość. Usiadł i zaczekał, aż Vincent i Irène zrobią to samo. Wszyscy troje siedzieli naprzeciwko Hugona. Z punktu widzenia prawa nie wolno im było spotykać się z nim w ramach śledztwa w sprawie śmierci Claire Diemar, ponieważ miał postawione zarzuty. Zważywszy jednak na ostatnie wypadki, Servaz uzyskał od sędziego Sarteta pozwolenie na przesłuchanie w sprawie zabójstwa Elvisa – odrębnej, ale związanej z tą pierwszą.

– David nie żyje – powiedział cicho.

Zobaczył grymas bólu na twarzy młodego człowieka.

– Jak to?

– Popęłił samobójstwo. Jechał autostradą pod prąd, jego samochód zderzył się z ciężarówką. Zginał na miejscu. – Servaz świdrował chłopaka wzrokiem. Widać było, że Hugo naprawdę czuje ból, walczy, żeby się nie rozplakać, wykrzywiając wargi, jakby połknął pudełko gwoździ.

– Wiedziałaś, że ma myśli samobójcze?

Hugo podniósł głowę. Spojrzał na komendanta błyszczącymi oczami i skinął głową.

– Tak.

– Od dawna?

Młody człowiek wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A jakie to ma teraz znaczenie?”

– Odkąd znałem Davida, zawsze miał skłonność do depresji – wycedził mechanicznym, bezbarwnym głosem. – Nawet kiedy byliśmy gówniarzami, zawsze był... dziwny. Miał takie czarne poczucie humoru... i ten smutny uśmiech. Nawet kiedy miał dwanaście lat, już się tak uśmiechał.

Servaz zauważył, że chłopak bierze wdech, jakby miał zamiar zanurkować.

– Czasami jego reakcje były nie do przewidzenia, potrafił w ciągu sekundy przejść od radości do rozpacz. Raz widziałem, jak chciał rzucić

wielkim kamieniem w głowę kolegi tylko dlatego, że miał inne zdanie. Kiedy się tak zachowywał, kumple go unikali, ale nie ja. Jego matka przez lata wysyłała go do psychiatrów, aż im powiedział, żeby się odwalili. To wszystko wina tego drania, jego ojca. – Głos Hugona płynął jak lawa. – I jego brata, dupka. To oni go zniszczyli. Ci dwaj dranie powinni być ścigani za przemoc psychiczną, jeśli chce pan znać moje zdanie. Przypominam sobie, jak David w wieku czternastu lat przyprowadził do domu dziewczynę, grzeczną dziewczynkę. Jego brat z taką lubością go przed nią upokarzał i zachowywał się wobec niej tak chamsko, że nigdy już nie chciała do niego przyjść i przestała się odzywać. Jego ojciec lubił mówić do matki, że mają „chłopca i dziewczynkę”. Zabraniał mu czytać i w ogóle mieć książki w pokoju. Mówił, że od czytania się babieje. Ojciec szczyił się tym, że osiągnął tyle w swoim życiu bez przeczytania ani jednej książki, nawet w szkole.

– W takim razie jak to się stało, że David trafił do Marsac?

– Ojciec i brat już dawno całkowicie przestali się interesować tym, kim David będzie i co będzie robił. Ustalili, że jest niereformowalny, koniec, kropka. Myślę, że to go bolało jeszcze bardziej niż ich znęcanie się. Jego naukę finansowała matka z własnych pieniędzy. Zawsze starała się chronić Davida przed ojcem i bratem, ale była słaba, zresztą ją też dręczyli.

– Miał już za sobą próby samobójcze?

– Tak, kilka. Raz nawet próbował sobie rozciąć brzuch nożem. Jak samuraje, rozumie pan? To było po zdarzeniu z tamtą dziewczyną.

Servaz przypomniał sobie bliźnię, której dotknął. Ścisnęło mu się gardło i przełknął ślinę. Hugo patrzył kolejno na każde z nich.

– To dlatego obudził mnie pan w środku nocy? I przyprowadził pan posiłki? Żeby mnie poinformować o śmierci Davida?

– Nie całkiem.

– Przecież jutro rano wychodzę, nie?

Servaz wyczuł niepokój w jego głosie. Nie odpowiedział.

– Kurwa, David, mój kumplu, mój bracie... – jęknął nagle Hugo. – Ale miałeś przesrane życie, przyjacielu.

– On to zrobił dla ciebie – powiedział Servaz cicho, ale wyraźnie.

– Co?

– Byłem z nim w samochodzie. David wziął na siebie zabójstwo Claire i Elvise Elmaza. Także Bertranda Christiaensa i Joachima Camposa.

– A kim oni byli?

Ładnie zagrane, pomyślał Servaz. Nie dałeś się złapać.

– Te dwa nazwiska nic ci nie mówią? Hugo pokręcił głową.

– A powinny?

– To nazwiska dowódcy strażaków, którzy przyjechali was ratować nad jezioro Néouvielle, i kierowcy autokaru.

– Ach tak, teraz, kiedy pan to mówi...

– Claire Diemar również z wami była tamtego wieczoru w autokarze, prawda?

Hugo rzucił Servazowi dziwne spojrzenie. Za oknem zagrzmiało.

– To prawda. Była tam. Sądzi pan, że jej śmierć ma jakiś związek z tym wypadkiem, tak? Mówi pan, że David powiedział, że to on ją zamordował? Zanim się zabił?

Servaz zmierzył go wzrokiem. Hugo wyglądał na szczerze zdezorientowanego. Gnojek był cholernie dobrym aktorem.

– Jeżeli zabił się, wjeżdżając pod ciężarówkę, a pan był w samochodzie, to jak to się stało, że jest pan teraz tutaj?

Patrzył na Servaza podejrzliwie. Policjant powstrzymał się, by nie rzucić się na niego przez stół.

– To już koniec – oświadczyła Ziegler spokojnie.

Młody człowiek przesunął wzrok na nią.

– Ten trik z zeszytem, to było dobrze rozegrane. Ryzykowne, ale chytne. Najpierw wskazywał na ciebie, a potem odwrócił od ciebie podejrzania.

Hugo nic nie odpowiedział.

– Podejrzewam, że gdyby policjanci zajmujący się sprawą nie posunęli się w śledztwie tak daleko, gdyby nie wykazali się, że tak powiem, wystarczającą dociekliwością i świadomością zawodową, sam zasugerowałbyś swojemu adwokatowi, żeby poprosił o ekspertyzę grafologiczną.

Na maleńki ułamek sekundy się pojawił – błysk w jego oku, sygnał, którego wypatrywali. Ale natychmiast zniknął.

– Nie rozumiem, o czym chcecie rozmawiać, cholera! Pismo w tym zeszycie nie jest moje.

– Oczywiście, że nie – powiedział Servaz. – Bo to pismo Davida.

– A więc to prawda? To on ją zabił?

– Ty mały, pieprzony zasrańcu – wycedziła Ziegler.

– Hugo, ty go poprosiłeś, żeby napisał to zdanie w zeszycie? Czy zrobił to z własnej inicjatywy?

– Co? Nic nie rozumiem!

Kolejny grzmot. Tym razem bliżej, W więzieniu ktoś krzyczał. Przeciagły, zbolący krzyk. Ucichł równie nagle, jak się pojawił. Kroki strażnika na korytarzu. A potem znowu cisza. Ale cisza w więzieniu nigdy nie trwa długo.

– Claire sypiała z niejednym, prawda? – rzucił Servaz.

– Byłeś zazdrosny? – zapytała Ziegler.

– Ile osób zabiliście, ty i twoi kołesie? – naciskał Espérandieu.

– Dowódcę strażaków zabiliście wy – stwierdził Servaz. – Sarah, Virginie, David i ty. Został wrzucony do wody przez cztery osoby.

– W samochodzie Joachima Camposa świadek widział oprócz niego dwie osoby: ciebie i Davida? – podpowiedziała Irène.

– A u Claire Diemar byliście tamtego wieczoru we dwóch? — włączył się Vincent. – Na nagraniu z kamery są dwie osoby wychodzące z pubu. To też David i ty? Czy David tylko pilnował?

– Nie rozumiem tylko, dlaczego zostałeś na miejscu – dodał Servaz. – Po co tak ryzykowałeś? Dlaczego nie postąpiliście tak jak poprzednio? Dlaczego nie upozorowaliście wypadku albo zaginięcia? Dlaczego siedziałeś na brzegu basenu? Dlaczego?

W świetle jarzeniówki Hugo patrzył kolejno na każde z nich. Servaz widział w jego oczach zwątpienie, gniew, strach. W kieszeni policjanta rozległ się podwójny sygnał telefonu. Esemes. Nie teraz. Nie odrywał wzroku od chłopaka.

– Kurwa, przestańcie! – rzucił w końcu Hugo. – Wezwijcie dyrektora! Chcę z nim rozmawiać! Nie mam wam już nic do powiedzenia! Spadajcie stąd!

– Hugo, sam ją zabiłeś? Czy było was więcej? David brał w tym udział?

Cisza.

– NIE, BYŁEM SAM.

Hugo podniósł na nich wzrok: dwie wąskie, błyszczące szparki. Nic nie powiedzieli. Servaz czuł, jak wali mu serce. Był pewny, że pozostali czują podobnie.

– Poszedłem tam, żeby ją uprzedzić, że jest w niebezpieczeństwie. Wciągnąłem w toalecie w pubie, za dużo wypilem... Był czerwiec. Wiedziałem, że inni niedługo przejdą do działania. I że tym razem to jej kolej. Rozmawialiśmy o tym. – Znowu zrobił ręką gest, który odziedziczył po matce. – Wiedziałem, że tamtej nocy, sześć lat temu, stchórzyła. Że zostawiła nas na pastwę losu, mnie i resztę. Że nie zrobiła nic, żeby nas ratować. Ale wiedziałem też, że od tamtego czasu ma wyrzuty sumienia. Powiedziała mi. Myślała o tym przez cały czas, dosłownie miała obsesję. Dlatego, że tak źle postąpiła. „Bałam się, spanikowałam tamtej nocy. Stchórzyłam. Powinieneś mnie nienawidzić, pogardzać mną, Hugo”. Ciągle mi to powtarzała. Albo: „Przestań mnie kochać, nie zasługuję na to, nie zasługuję na tę miłość, nie jestem dobrym człowiekiem”. Łzy płynęły jej po policzkach, widziałem rozpacz w jej oczach, trzęsła się przytulona do mnie, kiedy to mówiła. A potem, w innych momentach, była najweselszą, najzabawniejszą, najbardziej zaskakującą i najwspanialszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Potrafiła sprawić, że każda chwila była cudowna. Kochałem ją, rozumiecie? – Przerwał, po czym dalej mówił już innym głosem, jakby był dwoma aktorami odgrywającymi jedną rolę. – Tamtego wieczoru, kiedy wychodziłem z pubu, byłem nawalony i naćpany. Poszedłem do niej, kiedy wszyscy oglądali mecz. Opowiedziałem jej o istnieniu Kręgu. Na początku nie mogła w to uwierzyć, myślała, że bredzę, że jestem pijany, co zresztą było prawdą, a potem, kiedy w szczegółach opowiedziałem jej o śmierci kierowcy, nagle zrozumiała, że mówię prawdę.

Servaz widział blask na dnie oczu Hugona. Jak rozgarnięty żar, który tli się pod popiołem, jak ogień od dawna czający się w trawach stepu.

– I wtedy zobaczyłem, jak się zmienia. Jakby na jej miejscu znalazł się ktoś inny. To już nie była ta Claire, którą znałem. Ta, która zachęcała

mnie do pisania i przysięgała mi, że nigdy nie spotkała ucznia z takim talentem. Ta, która wysyłała mi dwadzieścia esemesów dziennie, żeby mi powiedzieć, że mnie kocha i że nic nas nigdy nie rozdzieli, że zestarzejemy się tak samo zakochani w sobie jak pierwszego dnia. Ta, która, kiedy się kochaliśmy, potrafiła leżeć bez ruchu, całkowicie się powierzać, oddawać, a innym razem lubiła przejmować inicjatywę. Która cytowała pisarzy i poetów piszących o miłości i improwizowała melodię na gitarze, kiedy o nas opowiadała. Ta, która potrafiła znaleźć nazwę dla każdej części mojego ciała, jakby studiowała mapę jakiegoś kraju, ta, która nie bała się mówić „kocham cię” ciągle i ciągle, sto razy dziennie. Nagle ta Claire przestała istnieć. Ona... odeszła... A ta, która ją zastąpiła, patrzyła na mnie, jakbym był potworem, wrogiem. Bała się mnie. – Słowa Hugona fruwały w świetle jarzeniówek. Każde z nich odbijało się echem w ciężkim sercu Servaza. – Ale kretyn ze mnie! Na pewno bym tak nie postąpił, gdybym był mniej naćpany. Chciała wezwać policję. Robiłem wszystko, żeby ją od tego odwieść, nie mogłem się pogodzić z myślą, że moi „bracia i siostry” pójdą do więzienia. – Servaz przypomniał sobie słowa, które wypowiedział David w samochodzie, i poczuł ból wsączający mu się między żebra. – Że mieliby zapłacić drugi raz, choć tyle już wycierpieli. Nie wiedziałem, co wymyślić. Powiedziałem jej, że przekonam ich, żeby przestali, że to już koniec, że nie będzie więcej ofiar, ale że ona nie ma prawa robić im tego po tym, co już zrobiła. Nie chciała o niczym słyszeć, zachowywała się jak wariatka, była głucha na wszystkie moje argumenty. Krzyczeliśmy, błagałem ją. A potem wszystko wywaliła: powiedziała, że i tak mnie już nie kocha, że z nami koniec, że kocha innego. Że niedługo miała mi o tym powiedzieć. Opowiedziała mi o tym facecie, pośle. Powiedziała mi, że jest zakochana na zabój, że to mężczyzna jej życia i że jest tego pewna. Krew mnie zalała, wkurzyłem się: To ja chciałem ją ochronić, a ona myślała tylko o tym, żeby nas wsadzić do więzienia i pozbyć się mnie! Nie mogłem jej na to pozwolić. Oni są moją rodziną... Byłem wściekły, pijany ze złości. Pomyślałem: Co to za kobieta, która potrafi przysięgać mężczyźnie na wszystko, co dla niej najdroższe, że będzie go kochać do końca życia, a na drugi dzień mówi mu, że kocha innego? Co to za kobieta, która potrafi bawić się innymi w taki sposób? I zaraz sobie odpowiedziałem: Ta sama, która przez własne tchórzostwo zostawia dzieci na pewną śmierć. Była piękna, młoda, beztraska i myślała tylko o sobie. Tylko ona się liczyła, nagle to zrozumiałem. Wszystkie te wyrzuty sumienia, które ją dręczyły, całe to poczucie winy, to było tylko gadanie. Tak jak jej miłość. Kłamstwo... Wymyślała sobie historyjki i okłamywała samą siebie tak samo jak innych. Tamtego wieczoru zrozumiałem, że Claire Diemar to jeden wielki egoizm i gra pozorów. Że

zawsze będzie trucizną dla wszystkich, których spotka na swojej drodze. Nie miała prawa... Nie mogłem jej na to pozwolić...

– I wtedy ją uderzyłeś – odezwał się Servaz. – Znalazłeś sznur i związałeś ją, a potem włożyłeś do wanny. I odkręciłeś kurek...

– Chciałem, żeby przed śmiercią zrozumiała, co tamte dzieci przez nią wycierpiały. Żeby choć raz w życiu zdała sobie sprawę ze zła, jakie popełniła.

Gdzieś w budynku rozległ się dźwięk przypominający wybuch śmiechu. Wściekły i bezsilny. Po nim zduszony szloch. A potem zapadła cisza. Ale cisza w więzieniu nigdy nie trwa długo.

– I rozumiała, o tak – powiedział Servaz. – Następnie wrzuciłeś do basenu lalki i usiadłeś na brzegu. Dlaczego te lalki? Bo symbolizują twoich utopionych kolegów, którzy wypłynęli na powierzchnię?

– Zawsze, kiedy do niej przychodziłem i widziałem tę kolekcję lalek... Trzęsło mnie na ich widok.

– A potem?

Hugo podniósł głowę i spojrzał na nich.

– Co: potem?

– Byłeś w szoku, sparaliżowany tym, co zrobiłeś, ciągle pod wpływem alkoholu i narkotyków. Kto przyszedł tego wieczoru, żeby wyczyścić pocztę elektroniczną Claire i zabrać jej telefon, tak żeby wyglądało na to, że komu innemu zależało na zatarciu śladów, i włączyć muzykę Mahlera? Kto przyszedł?

– David.

Servaz tak mocno uderzył pięścią w blat, że wszyscy podskoczyli. Wstał i przechylił się przez stół.

– Kłamiesz! David dopiero co popełnił samobójstwo, żeby ratować ciebie, swojego brata, swojego najlepszego przyjaciela, a ty jeszcze kalasz jego pamięć? David tamtego wieczoru wyszedł z pubu po tobie, był na nagraniu z kamer banku, po drugiej stronie placu. Nawet się na mnie rzucił, żeby ukraść to nagranie. Ale to nie on włączył płytę. Kiedy mu o tym wspomniałem tuż przed jego śmiercią, spojrzał na mnie i jestem pewny, że nie wiedział, o czym mówię.

Hugo milczał. Wyglądał na wstrząśniętego.

– Dobra – odezwał się wreszcie martwym głosem, w którym słycać było jednocześnie miłość, nienawiść, litość i niechęć do samego siebie. – David rzeczywiście wyszedł tamtego wieczoru z pubu, żeby mnie zatrzymać, przemówić mi do rozsądku. Wiedział, co chcę zrobić. Chciał mnie powstrzymać od opowiedzenia wszystkiego Claire. Powiedziałem mu, żeby się bujał, a on wrócił do pubu. Ukradł te nagrania tylko po to, żebyście przez niego nie dotarli do Kręgu i dlatego, że to wzmacniało hipotezę, że jest jakiś inny sprawca. Kiedy do niego zadzwoniłem, powiedział mi, że tamtego wieczoru o mało nie skoczył razem z panem z dachu, że powstrzymał się w ostatniej chwili.

Przez sekundę lub dwie Servaz czuł, że zalewa go fala przejmującego zimna.

– A niedopałki w lesie koło domu Claire? – wycedził. – Przecież przed śmiercią powiedział mi, że znajdziemy na nich jego DNA.

– Nie podobał mu się mój związek z Claire. Nie znosił jej. A może był zazdrosny, nie wiem. Ale z tego, co wiem, kilka razy szpiegował nas, siedząc w lesie i paląc jednego papierosa za drugim. Taki też był David...

– Kto? – naciskał Servaz, choć coraz bardziej obawiał się usłyszeć odpowiedź. – Kto przyszedł zrobić porządek?! Kto włożył płytę do tej pieprzonej wieży?

W jego kieszeni znowu rozległ się podwójny sygnał. Policjant wyjął telefon. Dwie nowe wiadomości. O tej porze? Co mogło być aż tak pilnego? Otworzył skrzynkę odbiorczą. Nie miał tego numeru na liście kontaktów. Otworzył pierwszego esemesa. I znowu w jego żyłach nastąpił wyrzut adrenaliny, strachu i słabości.

– Margot! – krzyknął na cały głos, zrywając się z krzesła. Wiadomość była podpisana:

JH

Trzy słowa:

Pilnuj swojej ukochanej

Gorączkowo odszukał numer Samiry, wcisnął klawisz połączenia.

– Szefie? – odezwała się młoda kobieta, zaskoczona.

– Idź do Margot! Biegiem! Ale już! – zawołał do słuchawki.

– Szefie, co się dzieje?

– Nie zadawaj pytań! Rób, co ci mówię!

Usłyszał, jak biegnie po trawie, potem po żwirze. Z bijącym sercem słuchał, jak kobieta pędem pokonuje schody na piętro mieszkalne, puka do drzwi, woła: „Tu Samira!”. Usłyszał otwieranie drzwi i znajomy, zaspany głos, który podziałał na niego jak balsam na oparzenie. A potem zdyszana Samirę w słuchawce:

– Wszystko z nią w porządku, szefie. Spała.

Odetchnął głęboko. Spojrzał na pozostałych, którzy patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

– Proszę, wyświadczyć mi przysługę. Śpij u niej dziś w nocy, zajmij drugie łóżko. Później ci wszystko wyjaśnię. Zrozumiałaś?

– Tak jest – powiedziała Samira. – Mam spać w jej pokoju.

– Zamknij drzwi na klucz.

Zatrzasnął klapkę telefonu. Z uczuciem zakłopotania i ulgi. Znowu spojrzął na esemesa.

– Co się dzieje? – zapytała Ziegler, która również wstała. Servaz pokazał jej wiadomość.

– O cholera — podsumowała.

– Co? – zaniepokoił się Servaz. – Co jest?

– Zamierza się dobrać do skóry Marianne.

– Dlaczego mówicie o mojej matce? – rzucił Hugo z drugiej strony stołu.

Spojrzeli na niego.

– To ona włączyła tę płytę, prawda? – powiedział Servaz bezbarwnym głosem.

– Kurwa, powiedzcie mi, co się dzieje!

Servaz pokazał mu wyświetlacz telefonu. Zobaczył, jak chłopak robi się blady. W jego oczach wyczytał wstręt, niezrozumienie i absolutne przerażenie.

– Kurwa, tym razem to naprawdę on! – zawołał syn Marianne. – Ukarze ją za to, że się pod niego podszyła! Tak, to ona włączyła płytę, zanim do pana zadzwoniła! Tak, wezwałem ją na pomoc tamtego wieczoru!

Sprzedalem jej tę samą bajkę co panu, powiedziałem, że jest za późno, że ktoś mnie widział przez okno z naprzeciwka. Zrozumiała, że za chwilę zjawia się żandarmi. Wtedy wpadła na ten pomysł... Przypomniała sobie o pana śledztwie, o wszystkich tych artykułach, które czytała wtedy w gazetach: Hirtmann, Instytut i wasze wspólne zamiłowanie do Mahlera... Przyjechała jak najszybciej, wsunęła tę płytę do odtwarzacza i zaraz odjechała. Płakała. Powiedziała mi też przez telefon, żebym spróbował wyczyścić pocztę elektroniczną Claire. Nie rozumiałem, czemu to miało służyć, byłem za bardzo otumaniony, ale zrobiłem to i wytarłem klawiaturę. Gdyby żandarmi ją tam zastali, po prostu powiedziałyby prawdę: że wezwałem ją na pomoc. Na szczęście trochę im zeszło, zanim przyjechali. Nie mogli wiedzieć, że znajdą trupa. I pewnie wszyscy oglądali mecz. To nas uratowało. Pojawili się, jak tylko odjechała. Pomyślała, że jeśli to panu powierzą śledztwo i jeśli znajdzie pan tę płytę, to może będzie szansa, że pan nabierze wątpliwości co do mojej winy. Szansa na uratowanie syna... A potem wysłała panu tego e-maila z kawiarenki internetowej.

Wydarzenia minionego tygodnia, wszystko, przez co przeszedł Servaz, teraz wypływało na powierzchnię. Kierownik kawiarenki powiedział im, że była tam kobieta. Hugo i Margot kolegowali się ze sobą. Chłopak musiał powiedzieć matce, jaka jest ulubiona muzyka jego córki. I kto, jeśli nie Marianne, zdołał wziąć jego telefon i wprowadzić tam fałszywy kontakt, kiedy on spał? Kto tak pieczołowicie unikał trafienia go ze strzelby? Kto po cichu, w nocy, wyrył na pniu litery? Przypomniał sobie, co powiedział Vincentowi na parkingu: „Płyta Mahlera była w odtwarzaczu, jeszcze zanim powierzono nam śledztwo”. I nie bez powodu...

– Na co pan czeka?! – ryknął syn Marianne, odpychając krzesło, które głośno upadło na podłogę. – Nie rozumie pan? To on wysłał panu tę wiadomość! Nie widzi pan, co się dzieje? On ją zabije!

Trzaskanie piorunów, światła, koguty, błyskawice. Deszcz spływający po przednich szybach, trzeszczenie krótkofalówek, syreny, prędkość, wstęga szosy zmienionej w potok; rozciągająca się nad wszystkim noc. Płatanina odgłosów w głowie, strach, przyćmiona świadomość. I przerażająca pewność, że będzie za późno. Przejazd przez zamglone Marsac. Jezioro. Ziegler, Espérandieu i on w samochodzie jadącym najpierw wschodnim brzegiem, potem północnym. Vincent za kierownicą. Wozy żandarmerii już były na miejscu. Sześć. Tłoczyły się w otwartej na oścież bramie. Kiedy jechali żwirową alejką, Servazowi zrobiło się niedobrze. W całym domu –

na parterze i na piętrze – było jasno. Blask padający z okien oświetlał park. Wszędzie kręcili się żandarmi... Servaz wezwał ich z więzienia przed niespełną godziną. Wyskoczył z samochodu, ruszył do wejścia i pędem wbiegł po schodach. Drzwi domu także były otwarte na oścież.

– Marianne! – zawołał. Rzucił się ku pustym pokojom.

Znalazł kapitana Bécera, który powitał go poprzednio w domu Claire. Żandarm odbywał naradę z innymi funkcjonariuszami, których Servaz nie znał.

– I co?

– Nigdzie jej nie ma – odparł Bécker.

Servaz metodycznie przeszukał wszystkie pomieszczenia na parterze. Nie miał złudzeń, żandarmi zrobili to już wcześniej. Wrócił do holu.

– Jest tam kto? – zawołał w stronę klatki schodowej.

– Nikogo...

Pokonał przeszkodę w postaci tańczących na wietrze zasłon i wyszedł na taras, na wprost jeziora smaganego deszczem.

Gdzie ona się podziała? Zawołał ją. Jeszcze raz. I jeszcze. Widział zakłopotanie w oczach żandarmów. Ona się za chwilę pojawi, zapyta, co się dzieje, a on weźmie ją w ramiona i będzie całował, puści w niepamięć jej zdradę i wszystkie grzechy. Będą patrzeć na oddalające się radiowozy, a potem otworzą butelkę. Następnie ona poprosi go o przebaczenie – w końcu chodziło o jej syna – i będą się kochać.

Ale nie, będzie musiał ją poinformować, że Hugo zostaje w więzieniu. Z własnej winy. Wiedział, że to rozdzieli ich już na zawsze, że po czymś takim nie da się już zawrócić. Poczuł, jak rozpacz przygniata mu ramiona. Ale przynajmniej będzie żywa. Żywa... Ruszył w dół po przemoczonym trawniku, buty zapadały mu się w gąbczastym podłożu, ulewny deszcz spływał po twarzy i bębnił w głowę. Dołączył do żandarmów ubranych w nieprzemakalne skafandry, którzy przeszukiwali krzaki. Odwrócił się: blask kogutów po drugiej stronie domu odbijał się od brzuchatych chmur, wydobywając z cienia czarną sylwetkę domu o oświetlonych oknach. Ale między plamami światła na trawie panowała ciemność. Obszedł kilka czarnych kęp drzew miotanych porywami wiatru. Słyszał teraz fale liżące porośnięty krzakami brzeg i deszcz smagający tafłę jeziora.

– Nie ma jej tu – odezwał się jeden z żandarmów.

– Jest pan pewien?

– Wszystko przetrząsnęliśmy.

Wskazał na dolną część ogrodu na skraju lasu, tam, gdzie odkrył wycięte w pniu litery. Mimo że teraz wiedział już, że nie były one dziełem Hirtmanna.

– Zobaczcie tam. Jest tam źródło i powalone drzewo. Przeszukajcie cały sektor.

Wrócił do środka. Gdzie ona się podziała? Zabrał ją ze sobą? Na tę myśl żołądek podjechał mu do gardła.

– Martin... – zaczęła Ziegler.

– Kiedy przyjechaliście, wszystko było tak jak teraz? – zwrócił się do Béckera.

– Tak. Okna i drzwi pootwierane. Zapalone światła. A... I grała muzyka.

– Muzyka?

Servaz znieruchomiał. Bécker nacisnął na przycisk wieży i rozległy się pierwsze dźwięki. Na cały regulator. Mahler. Dom wypełniła muzyka instrumentów dętych i skrzypiec, która huknęła w pokojach za sprawą systemu głośników, podkreślana wysokimi dźwiękami trójkątów i niższym głosem wiolonczeli. Cała orkiestra zmierzała ku ostatecznej katastrofie.

Servazowi zaparło dech w piersiach. Rozpoznał utwór: Finał *VI Symfonii*, muzyka klęski. Jego klęski. Kawalek, który sam Adorno ochrzcił powiedzeniem: „Wszystko złe, co się źle kończy”.

Zsunął się po ścianie i usiadł na podłodze. Jego ciałem wstrząsały dreszcze. Obecni w pokoju żandarmi patrzyli na niego, nic nie rozumiejąc. Przecież ten glina niejedno już widział. Wyłączyli muzykę. Wtedy usłyszeli jego szloch. Byli zażenowani, tak jakby policjant nie miał prawa płakać, przynajmniej w towarzystwie kolegów po fachu, a już na pewno nie podczas pełnienia obowiązków służbowych. Chwilę później usłyszeli wybuch śmiechu. Wtedy pomyśleli, że zwariował. Nie pierwszy raz. Nie są robotami. Muszą brać na siebie całe gówno tego świata. Są żyjącymi kloakami, które zbierają gówno i wywożą je jak najdalej od reszty społeczeństwa. Ale tak naprawdę nigdy dość daleko. Gówno zawsze w końcu wraca,

A potem uświadomili sobie, że Servaz trzyma w ręku kawałek papieru. Spojrzeli po sobie. Płonęli z chęci, by podejść bliżej i przeczytać, ale nie mieli odwagi. Na kartce było napisane:

Martin, ona zdradziła twoje zaufanie i twoją miłość. Zaslżyła na karę.

EPILOG

LATO 2010. HISZPANIA

Było gorąco. Wolno schodził brukowanymi uliczkami, nad którymi górowały ukwiecone balkony i latarnie, w stronę plaża Mayor, mijając dziesiątki szczęśliwych ludzi. Panowała ciepła hiszpańska noc. To dziwne, pomyślał, jak zwykły mecz piłki nożnej może uszczęśliwić na kilka godzin miliony ludzi.

Ulice pachniały mydłem, wodą toaletową, oparami piwa, wina i mocniejszych alkoholi, papierosami, petardami puszczanymi przez dzieci i ciepłem zmagazynowanym w ciągu dnia przez mury. Idąc chwiejnym krokiem wśród tłumu, który tańczył, śpiewał i wykrzykiwał mu swoją radość prosto w twarz, słyszał histeryczne relacje komentatorów hiszpańskiej telewizji, spadające z balkonów nad jego głową, podkreślane tumultem hiszpańskich miast opanowanych euforią.

Plaża Mayor z czterech stron otaczały arkady; fasady domów ozdobione były osiemnastowiecznymi freskami. Swoimi żywymi kolorami tak bardzo przypominał włoskie *piazza*, że wielu producentów makaronu używało jego zdjęć jako tła dla swoich reklam. Na tę myśl uśmiechnął się upiornym uśmiechem, który prawdopodobnie wynikał również z faktu, iż od piątej po południu był pijany, a tymczasem było już po północy. Na placu było jednak dużo ludzi, w tym spora liczba dzieci. Opadł na jedyne wolne krzesło.

– Piłeś – powiedział Pedro, odstawiając swoje piwo i patrząc na niego dużymi, wyłupiastymi, wesołymi, niebieskimi oczami.

– Mhm. Co dla ciebie?

Pedro wskazał na pusty kufel, w którym zostały już tylko smugi piany,

– To samo.

Zobaczył, że jego przyjaciel szykuje się, by rozmawiać z nim o reprezentacji Francji. Lubił drażnić Servaza w ten sposób.

– I co, wywalili trenera? – zapytał Pedro.

– Jeszcze nie — odpowiedział policjant.

– A ten zawodnik, który go wyzwiał i ci, co strajkowali w czasie treningu, będą ukarani?

Jego nowy przyjaciel kręcił głową z niedowierzaniem graniczącym z podziwem wobec niezmiernej głupoty, jaką wykazała się reprezentacja sąsiedniego kraju. Servaz uśmiechnął się niemal ekstatycznie: istnieje tylko jeden taki kraj, którego zarabiający miliardy zawodnicy potrafią zastrajkować podczas mistrzostw świata: to jego kraj. Wstał i lekko się zataczając, wszedł do dużego baru, by zamówić *una caña* i *carajillo de coñac*. Oparty o ladę obserwował, jak barman rytualnymi gestami wsypuje cukier puder do maleńkiej szklanki, dodaje dwa ziarenka kawy, okrawek cytryny, miarkę brandy i całą tę zawartość doprowadza prawie do wrzenia pod spieniaczem ekspresu, po czym zapala ją za pomocą zapalniczki i na górę wlewa czarną kawę. Servaz podziwiał ten rytuał i marszczył oczy z absolutnie poważną miną, która zdradzała rozmiar jego upojenia.

Kiedy wyszedł na zewnątrz, niosąc na małym talerzyku gorącą szklankę napoju, Pedro wciąż był na miejscu, po raz dziesiąty głośno komentując mecz z sąsiadami. Servaz podszedł do swojego krzesła i chciał na nim usiąść, ale nie trafił. Gorąca kawa z brandy wylała mu się na koszulę i leżąc na ziemi, wybuchnął śmiechem, nie zważając na spojrzenia gości siedzących przy sąsiednich stolikach.

– Wystarczy – powiedział Pedro. – Pora wracać. Podniósł policjanta, chwyciwszy go pod pachy, i pociągnął w stronę pobliskich uliczek. Był od niego niższy, ale silniejszy. Servaz opierał się o jego ramię. Podniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu ponad dachami, ku nocy, która była jak wiersz Garcii Lorki. Złożył wniosek o cały urlop, wszystkie dni do wykorzystania i wszystkie zaległe i nikt w całej policji kryminalnej się nie czepiał – zważywszy na to, co się wydarzyło. Niedługo przedtem Sarah Lillienfeld i Virginie Croze zostały oskarżone i osadzone w areszcie, a pozostałych członków Kręgu zatrzymano. Śledztwo było w toku, ale już bez jego udziału. Servaz spakował bagaż i pojechał zobaczyć się z Ziegler, która została zawieszona na dziesięć dni za napad i znowu miała stanąć przed komisją śledczą żandarmerii. Zastanawiał się, jak ją ukarzą tym razem. Wiedział, że Irène jest o krok od złożenia rezygnacji i ta perspektywa go zasmucała. Wyjaśniła mu też, że włamała się do systemu informatycznego więzienia, w którym siedzi Lisa Ferney, i że wiąże z Lisa pewną nadzieję: miała dziwne przekonanie, że ona i Szwajcar pewnego dnia nawiążą kontakt. Potem Servaz udał się w dalszą drogę i znalazł schronienie w małym miasteczku po drugiej stronie Pirenejów, w Aragonii, w prowincji Huesca. Cztery godziny od Tuluzy. Kompletnie zadupie. Zapierające dech w piersiach piękno, puste drogi, na których nie spotyka

się żywej duszy. Nikomu nie przyszłoby do głowy, by go tu szukać. Nikt go tutaj nie znał. Tutaj był po prostu Francuzem. Przynajmniej dla Pedra i kilku innych, z którymi spotykał się dopiero od dwóch tygodni, ale których ośmielał się już uważać za przyjaciół. Dla Pedra, który ciągnąc opierającego się na nim Servaza, zatrzymywał się co trzy metry, by świętować zwycięstwo Hiszpanii z niemal każdym mieszkańcem miasteczka. Kilka dni wcześniej zadzwonił do niego dyrektor: odkryli źródło przecieku prasowego. Nie było przecieku – przynajmniej ze strony policji. Wrócili, by przycisnąć szefa kafejki internetowej – Servaz przypomniał sobie Patricka, kierownika o małych, zimnych oczkach za okularowymi szklami – który przyznał się, że zaraz po ich wyjściu zadzwonił do prasy. Wyglądało na to, że na podstawie opisu Patricka dziennikarz sam się domyślił, że chodzi o Servaza. Kiedy Patrick powiedział mu, że gliniarze dostali e-maila wysłanego z jego kafejki, że szukali wysokiego mężczyzny mówiącego z lekkim akcentem i wyglądali na spanikowanych, reporter natychmiast przypomniał sobie najgłośniejszą aferę kryminalną ostatnich lat.

– Masz szczęście – odezwał się Servaz do Pedra, gdy tak szli objęci.

– Dlaczego?

– Że tutaj mieszkasz.

Pedro wzruszył ramionami. Weszli przez drzwi hotelu i ruszyli korytarzem w stronę wewnętrznego patio. Na wysokości pięter w poprzek białych murów biegły drewniane galeryjki ozdobione zielonymi roślinami w donicach i starymi meblami. W powietrzu unosił się przyjemny zapach wypranej bielizny i jaśminu. Weszli po schodach na trzecie piętro i Pedro pchnął drzwi pokoju, których Servaz nigdy nie zamykał.

– Któregoś dnia opowiesz mi, co ci się przydarzyło – powiedział, kładąc go na łóżku. – Jestem ciekaw. Człowiek nie rozwała się tak bez powodu.

– Jesteś... filozofem... *amigo*.

– Tak, jestem filozofem. Na pewno przeczytałem mniej książek niż ty – dodał Pedro, rzucając okiem na książki łacińskich pisarzy na komodzie i zdejmując mu buty. – Choć kilka mimo wszystko przeczytałem. Ale przede wszystkim umiem czytać serca. Ty potrafisz czytać tylko słowa.

Poza książkami w jego małym pokoju było niewiele rzeczy: walizka, jakieś ubrania, walkman (nikt oprócz niego już takich nie używał) i płyty

CD z symfoniami Mahlera. Na tym właśnie polega przewaga muzyki nad książkami – mawiał zawsze. Zajmuje mniej miejsca.

– Kocham cię, *hombre*.

– Jesteś pijany. Dobranoc – powiedział Pedro. I zgasił światło.

O siódmej rano obudził Servaza huk młotów pneumatycznych, trąbienie klaksonów, robotnicy nawołujący się głosami mocnymi jak u śpiewaków operowych. Servaz po raz kolejny zaczął się zastanawiać, jak ten kraj to robi, że tak mało śpi. Przez dłuższą chwilę leżał, wpatrując się w sufit – bezwładny i pusty jak marionetka, której przecięto sznurki. Czuł straszny niesmak w ustach i nieświeży oddech. Miał okropną migrenę. Wstał. Powłókł się do łazienki. Bez pośpiechu. Nikt nigdzie na niego nie czekał. Donikąd już mu się w życiu nie spieszyło.

Zmoczył ramiona i kark letnią wodą z prysznica. Umył zęby i włożył ostatnią czystą koszulę. Nappełnił kubek do zębów wodą z kranu i wrzucił do niej tabletkę aspiryny.

Dziesięć minut później szedł główną ulicą wśród unoszącego się w powietrzu kurzu budowy, opuścił ją, przechodząc przez bramę, i ruszył wąską, zacienioną uliczką, która pięła się w stronę stromego wzgórza. Dookoła niego budziło się miasto. Przez otwarte okna domów słyszał odgłosy pobudki. Wciągał w nozdrza zapach kawy i kwiatów ożywionych porankiem. Słyszał krzyk dzieci. Różne stacje radiowe bez końca świętujące zwycięstwo. Chłonał całą tę energię, jaką czuł wokół siebie, całe to życie. Pomyślał o wiadomościach na temat kryzysu gospodarczego, o wszystkich tych dziennikarzach, którzy mówią o sprawach, na których się nie znają, o narodach, o których nic nie wiedzą, a tylko powtarzają liczby i statystyki. I o wszystkich tych bankierach, ekonomistach, drapieźnych spekulantach, nieuczciwych finansistach, ślepych politykach. Powinni tu przyjechać, żeby zrozumieć. Tutaj ludzie żyją. Chcą żyć. Pracować. Istnieć. A nie tylko przetrwać.

Nie to, co ty, pomyślał.

Wspiał się na wzgórze. Ponad dachami miasta samolot lecący z Francji na południe zostawił za sobą biały ślad na bladoniebieskim niebie. Servaz doszedł do katedry schowanej wśród sosen na samym brzegu urwiska. Przeszedł wzdłuż długiej kolumnady, pokonał kilka schodów i znalazł się w cienistym, chłodnym wirydarzu. Okrażył zbiornik z zielonkawą wodą i dalej ruszył w górę ścieżką, która wiła się najbardziej

zaokrągloną częścią wzgórza i kończyła na szczycie urwiska. Wyszedł na słońce. Znajdował się teraz ponad katedrą i miastem. To stąd rozciągał się najlepszy widok. Wielki, ośmiometrowy Chrystus rozkładał ramiona, rozciągając iluzoryczne błogosławieństwo na cały region, aż po Pireneje.

Cudowna panorama... Jednak to nie widok sprawiał, że przychodził tu każdego ranka, lecz urwisko. I przepaść. To była pokusa. Droga do wolności. Pielęgnował w sobie tę myśl od jakiegoś czasu, ale od przejścia do czynu powstrzymywało go jedno imię: Margot. On akurat dobrze wiedział, jak to jest stracić ojca w taki sposób. Dużo też myślał o Davidzie. Samobójstwo, gdy raz mu się otworzy drzwi, staje się trudnym do wykwaterowania lokatorem. Długo się zastanawiał i doszedł do wniosku, że jeśli podejmie decyzję, to się stanie tutaj. Ten sposób będzie najlepszy. Upadek z trzydziestu metrów, żadnego ryzyka niepowodzenia. Żadnej odrażającej śmierci w hotelowym pokoju. Piękny lot. W promieniach słońca i błękicie. I wymarzona sceneria.

Bawił się tą myślą od wielu dni, a może tygodni. To była tylko myśl. Nie miał zamiaru przejść do działania. Przynajmniej na razie. Ale już sama myśl była pocieszająca. Wiedział, że ma depresję, że istnieją sposoby, by ją leczyć – ale nie miał na to ochoty. Za dużo napatrzył się na śmierć, pochował zbyt wielu ludzi, zaznał zbyt wielu zdrad. Był znużony. Zmęczony. Pragnął odpoczynku i zapomnienia, ale wszystko bez przerwy wracało, ciągle i ciągle. Miał już dosyć twarzy Marianne w swojej pamięci, twarzy swoich rodziców i innych ludzi. Był przekonany, że nie żyje i że podobnie jak w wypadku innych ofiar Szwajcara, jej ciało nigdy się nie odnajdzie. Chciała uratować syna... Ale też zdradziła Servaza. Mimo wszystko chciał wierzyć, że ich spotkanie było szczere, że nie spała z nim wyłącznie z wyrachowania. Jednak myśl o tym, co musiała przejść przed śmiercią, za każdym razem była dla niego tak samo nie do zniesienia jak patrzenie prosto w słońce.

Zauważył Pedra wychodzącego ze swojego warsztatu: maleńka postać w kombinezonie roboczym, bardzo daleko, na samym dole. Ze szmatą w dłoni. Pedro uniósł głowę, by spojrzeć w niebo. Patrzył w jego kierunku, ale go nie widział. Servaz odprowadził wzrokiem jakieś dzieci, które szły nad rzekę, by się kąpać.

– Powiedzieli mi, że cię tu znajdę.

Podskoczył na dźwięk tego głosu. Odwrócił się. Normalnie byłby szczęśliwy, że ją widzi. Ale tego ranka wcale nie wiedział, czy jest zadowolony, czy czuje ulgę, czy może raczej wstyd. Zmieniła się. Usunęła

kolczyki, a jej włosy wróciły do naturalnego koloru. Wyglądała na starszą o kilka lat.

– Jak mnie znalazłaś?

– Tato, wygląda na to, że przekazałeś mi nie tylko zamiłowanie do książek, ale również geny detektywa.

Najwyraźniej to zdanie miała przygotowane już wcześniej. Servaza to rozbawiło. Była opalona, miała na sobie dżinsowe szorty i koszulkę na ramiączkach.

– Przypomniałam sobie, że przyjeżdżaliśmy tu z mamą i z tobą, kiedy byłam mała, i że bardzo lubiłeś to miejsce. Ale to nie była pierwsza rzecz, jaką zrobiłam. O nie... Szukam cię już ponad tydzień. – Zrobiła dwa kroki do przodu, pochyliła się – i natychmiast się cofnęła. – Łaaa! Piękny widok. Ale jak tu wysoko!

Nie widziała, jak Servaz czerwieni się ze wstydu, stojąc obok niej ze ściśniętym żołądkiem.

Rozmawiali. Rozmawiali przez następne dni i noce. Pili i rozmawiali. Palili, śmiali się i rozmawiali. A nawet tańczyli. Zaczął poznawać swoją córkę i musiał przyznać, że człowiek niczego nie wie o innych, a o własnych dzieciach jeszcze mniej. Elias także tam był – wysoki, milczący młody człowiek z grzywką na pół twarzy. Elias był małomówny i Servaz zauważył, że bardzo go lubi. Czasem dotrzymywał im towarzystwa. Czasem zostawiał ich samych. Zdarzały się piękne dni, podczas których byli razem jak nigdy dotąd, i inne, kiedy się kłócili. Jak tamtej nocy, gdy znalazł ją kompletnie pijaną po wieczorze spędzonym z Eliaszem. Pił mniej. A potem wcale. Wydawało się, że mają mnóstwo czasu. Do rozpoczęcia roku akademickiego było daleko i Servaz się zastanawiał, czy Margot zamierza pracować w czasie wakacji. W końcu zapytał ją, kiedy wracają.

– Jak będziesz gotowy. Wrócisz z nami.

Przedstawił im Pedra i pozostałych i stworzyli wesołą paczkę. Elias zaczął się odzywać – przynajmniej trochę. Późno kładli się spać, ale Servaz zauważył, że gdy rano wstaje, ma więcej energii. I że nie leży już godzinami na łóżku, wpatrując się w sufit. Margot i Elias mieszkali w pokoju piętro niżej, także wychodzącym na patio, i rano, gdy za długo się grzebał, córka wchodziła na górę i pukała do jego drzwi. Robili długie wycieczki po okolicy, samochodem i pieszo, oglądali zapierające dech w piersiach widoki, nietknięte zębem czasu miasteczka z kamienia i łupku pośród

krajobrazu jak z westernów. Kąpali się w zimnych górskich rzekach. Jeździli na rowerach i pływali kajakiem. Gawędzili z miejscowymi i turystami, chodzili na imprezy, na które zapraszano ich w ostatniej chwili. Margot robiła zdjęcia, a Servaz po raz pierwszy nie wzbraniał się od tego, by na nich być. Ku swojemu wielkiemu zaskoczeniu odkrył, że się uśmiecha. Kiedy wracali z eskapad, zawsze byli wygłodzeni.

Mijały dni – sielankowe, proste, idealne. Nic nie było zaplanowane, nic się tak naprawdę nie liczyło. Nie było żadnej stawki. Aż któregoś ranka, trochę przed wschodem słońca, obudził się bardzo spokojny, wziął prysznic i spakował walizkę. Tej nocy śnił o niej. Marianne żyła... Gdzieś. I potrzebowała go. Gdyby Hirtmann ją zabił, znalazłby jakiś sposób, by go o tym poinformować. Wyszedł z pokoju. Wszystkie piętra były jeszcze uśpione, ale światło poranka już oświetlało dziedziniec. Zszedł z walizką w rękę, wziął głęboki oddech, by jeszcze raz poczuć zapach jaśminu, prania, pasty do podłóg i wyjazdu. Polubił to miejsce. Zapukał do drzwi.

– Jestem gotowy – powiedział, kiedy się otworzyły.

GRAUS, ARAGONIA, LIPIEC 2011/MORBIHAN,

LIPIEC 2012

Jeśli chodzi o kwestię geografii, potraktowałem ją z dużą swobodą. Jedni uznają, że Marsac leży w jednym miejscu, inni będą sądzą, że gdzie indziej – i wszyscy będą mieli rację i zarazem będą w błędzie. Oczywiście nie istnieje nic takiego jak Cambridge ani Oksford południowego wschodu. Mój południowy wschód to kraina niemal równie fikcyjna jak wspaniałe Śródziemie Tolkiena.

Pozwoliłem sobie też na nieco swobody, pisząc o rzeczywistości pracy policji – robiłem to za każdym razem, ilekroć czułem się w niej jak w za ciasnych butach. I na jeszcze większą swobodę, gdy pisałem o zawiłościach wymiaru sprawiedliwości.

Niemniej jednak niektórym osobom należą się podziękowania za cenne rady, za pełnienie roli moich przewodników i za to, że pomogły mi uniknąć popełnienia jakichś fundamentalnych błędów. W kolejności ich pojawiania się są to: Sylvie Feucher, sekretarz Związku Zawodowego Komisarzy i Wysokich Funkcjonariuszy Policji, oraz Paul Mérault, Christophe Guillaumot, José Mariet i Yves Le Hir z policji w Tuluzie. Jak zawsze wszystkie błędy (zamierzone lub nie) pozostały w tekście z mojej winy. Dziękuję również Stéphane'owi Hauserowi za porady muzyczne – mam nadzieję, że wybaczy mi, iż nie zawsze się do nich stosowałem. I wreszcie podziękowania kieruję do moich redaktorek w XO Éditions, które po raz kolejny zdołały dokonać cudu przemiany wody w wino. Dziękuję też wspaniałym zespołom z wydawnictw XO i Pocket, a także mojej żonie, która zawsze i wciąż sprawia, że życie staje się prostsze, oraz Gregowi – mojemu pierwszemu czytelnikowi, przyjacielowi, powiernikowi i sparingpartnerowi w jednej osobie. I na koniec chciałbym zadedykować tę książkę pewnej kobiecie, która miała kiepski pomysł opuszczenia tego świata na dziesięć dni przed publikacją mojej pierwszej powieści: mojej matce, Marie Sopenie Minier. Niełatwo mi było pogodzić się z faktem, że nie zdążyła jej przeczytać.